

HOTEL

nad zatoką

HOLLY ROBINSON



MARGINESY



HOTEL

nad zatoką



HOLLY ROBINSON

PRZEŁOŻYŁA
Dobromiła Jankowska

MARGINESY

Tracy, za jej wielkie serce, odwagę i inteligencję.

Danowi i dzieciom, dzięki wam moje serce jest pełne miłości.

Kamieniołom w Zatoce Szaleńców

Późna wiosna gasi kamieniołom we mnie.

Mewy spokojnie czyszczą pióra. Moje krzyki

nękają cętkowane złoża lakierowanego

płaczu. Czas ulega sumakowi i sączy się.

Nawiguję na podstawie tego, co widać: mgła kuli się

ze strachu w Twin Lights na Thatcher Island.

Pola skaleni i miki, szaleństwo nieba.

Jak ufać temu, co nie jest godne zaufania,

wadliwej sile spóźnionego refleksu,

archipelagowi, lukowi nieświadomości.

Odważniej nawigować tu przez kapitulację.

Odważniej wciąż stać na cyplu, słuchać.

Niewidocznych ławic przy odpływie.

Wraku i schodzenia z kursu. Słyszeć

kamieniołom: Powtarzaj za mną. Za mną.

Emily Ferrara

z tomu *Alchemy of grief* [Alchemia żalu]

Anne wzdrygnęła się, gdy czerwone światła taksówki zamrugały na zwirowym podejździe. Nie mogła się ruszyć. Dziecko w jej ramionach również nie drgnęło, zaskoczone zimnem wieczoru w Nowej Anglii. Kiedy znów tu przyjechała, niczego nie pragnęła bardziej, niż uciec stąd kolejny raz. Wszystko wyglądało tak jak przed dwoma laty, gdy wpadła tu z wizytą. Pradziadkowie jej ojca zbudowali Hotel nad Zatoką Szaleńców, elegancki ośrodek dla majątnych bostończyków, wznosząc go na skale nad niewielką plażą w kształcie podkowy. W hotelu były pięćdziesiąt dwa pokoje oraz dwie wieżyczki połączone okrągłym gankiem.

Z miejsca, w którym stała, Anne nie widziała wody, ale wyczuwała ostry zapach soli Atlantyku. Jeszcze wczoraj ocean szumiał pod tarasem jej domu w Portoryko.

By pozbyć się myśli o leżącym w ich łóżku Colinie, o plaży Luquillo, miękkim białym piasku i turkusowej wodzie, przywołała w wyobraźni obraz drugiej strony hotelu – szerokiego tarasu z bladoniebieskim sufitem i rzędem białych bujanych foteli. Kiedy w dzieciństwie siadywała w tym miejscu, miała wrażenie, że spogląda przez cały ocean i sięga wzrokiem aż do Europy.

Zrobiło się zimno, włożyła więc Lucy do nosidelka i owinęła ją kocem. Dziecko ledwo było widać. W nagrodę Anne otrzymała obśliniony uśmiech małej. W odpowiedzi również szeroko się uśmiechnęła i ucałowała ciepły policzek córki. Miała nadzieję, że nie zastanie Laury. Nie potrafiłaby mierzyć się teraz z najstarszą siostrą. Nie tego wieczoru. Może już nigdy.

Boy hotelowy w granatowej marynarce i czerwonym kraciastym krawacie na widok Anne ciągnącej walizki i fotelik samochodowy wybiegł na zewnątrz.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – odezwał się. – Mamy dzisiaj wesele i wszyscy są zajęci.

Młody chłopak miał odstające uszy i twarz ze śladami ospy. Nie znała go, dzięki Bogu. Na plakietce widniało imię Tommy.

– Nie ma sprawy – odparła Anne.

Gdy boy postawił jej bagaże w recepcji, Anne dała mu napiwek i podeszła do lady. Jak na zawołanie zza rogu wyłoniła się jej matka pogrążona w rozmowie z Betty, która od lat zarządzała tu personelem sprzątającym. Tego wieczoru matka miała na sobie wąskie beżowe spodnie i czarny wełniany sweter. Strój podkreślała stara srebrna brosza ozdobiona rubinami. Sarah lubiła nosić rodzinne klejnoty Bradfordów.

Anne założyła ręce, by ukryć plamy na bluzie. Z premedytacją nie zerknęła na swoje stopy w sandałach. Nie pamiętała, kiedy ostatnio robiła pedikiur. Nie widziała zresztą takiej potrzeby, gdyż całe dnie spędzała na desce surfingowej.

Betty oddalała się od nich zajęta robieniem notatek na podkładce z klipsem. Albo nie zauważyła Anne, albo jej nie poznała. Nic dziwnego, kiedy ostatnio się widziały, Anne była ubrana w suknię koktajlową.

Didżej w sali balowej puścił piosenkę Vana Morrisona *Have I Told You Lately*. Anne przypomniała sobie, jak w hotelu w San Juan tańczyła do niej z Colinem. Musiała się opanować, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Cześć, mam, przyjechałam.

Matka zmarszczyła czoło i zerknęła na zegarek.

– Później, niż myślałam. Samolot się spóźnił? – Mówiła grzecznym, ale chłodnym tonem, jakby zwracała się do gościa hotelowego. Sarah nie znosiła publicznego okazywania uczuć.

Anne instynktownie przyjęła ten sam uprzejmy sposób konwersacji.

– Nie. Ale na North Station niemal godzinę czekałam na pociąg.

Matka się obruszyła.

– Bardzo mi przykro, że musiałas polegać na transporcie publicznym. Byłam pewna, że poprosisz kogoś, by cię podrzucił.

Anne pomyślała o Hattie, jej najlepszej przyjaciółce z liceum. Byłaby spokojniejsza w czasie podróży, gdyby to ona mogła wyjść po nią na lotnisko. Niestety, poprzedniego dnia Hattie wyjechała z Bostonu do Kolorado na wesele swojej siostry. Anne nigdy nie denerwowała się podróżami, ale tym razem w trakcie lotu z Portoryko była przerażona. Odkąd urodziła Lucy, miała wrażenie, że wszystkie niebezpieczeństwa świata kierują się właśnie ku małej: pędzące samochody, kłuszące owady, wirusy, terroryści, szkodliwe promieniowanie słoneczne. Kiedy lądowali na lotnisku Logana, była pewna, że za chwilę samolot wpadnie do lśniącego oceanu.

– Hattie w tym tygodniu nie ma w mieście – powiedziała w końcu.

– Laura nie mogła cię odebrać?

– Nie prosiłam jej o to.

Matka westchnęła.

– Miałam nadzieję, że doszłyście do porozumienia, o cokolwiek wam wtedy poszło.

– Pogodziłyśmy się – skłamała Anne. – Ale Laura jest zajęta. Nie chciałam jej zawracać głowy.

– Rozumiem. Cóż, sama pojechałabym po ciebie do Bostonu, ale wiesz, co tu się dzieje w weekendy. Byłoby wygodniej, gdybyś przyjechała w tygodniu.

Między innymi dlatego Anne się stąd wyprowadziła: matka zawsze stawiała hotel na pierwszym miejscu. W jej życiu nie było zbyt wiele przestrzeni na inne sprawy. Szczególnie po zniknięciu ojca.

– Mam, nic się nie stało. Dojechałam.

– I bardzo się z tego cieszę! – Sarah przechyliła głowę, taksując córkę

wzrokiem.

To również się nie zmieniło: każdego dnia matka oceniała Anne i jej siostry, upewniając się, że wyglądają i zachowują się przyzwoicie. Lubiła im przypominać, że są „ambasadorkami” Hotelu nad Zatoką Szaleńców, a rodzina Bradfordów pochodzi od Williama Bradforda, jednego z założycieli kolonii Plymouth w Massachusetts.

– Czy to tatuaż? – zapytała nagle matka. Niby swobodnym tonem, ale jednocześnie zmrużyła podejrzliwie oczy.

Anne dotknęła obrysu małego ptaka, portorykańskiego lelka na nadgarstku, a potem obciągnęła rękaw, by go zasłonić.

– Tak.

– Cóż. Kiedy będziesz w moim wieku, w domu opieki będą mieli o czym plotkować.

Anne miała właśnie odpowiedzieć, że tatuaż to jej sprawa, ale w tym momencie za plecami Sarah otworzyły się drzwi do sali balowej i wyszły zza nich trzy pary. Mężczyźni ubrani w smokingi dyskutowali o drużynie New England Patriots. Za nimi szły kobiety, trzymając głowy wysoko na szczupłych szyjach, a ich sukienki druchen pienily się wokół nóg niczym słodkie brzoskwiniowe mikstury.

Matka odczekała, aż goście znikną na szerokich, obitych dywanem schodach z dębową poręczą.

– Masz cudowną cerę, Anne. Portorykański klimat wyraźnie ci służy. I na pewno uda mi się umówić cię na strzyżenie w przyszłym tygodniu. David często ma miejsca we wtorki. Pasowałoby ci?

– Jasne. Może być. – Od ciężaru nosidła i napięcia związanego z tym, że matka zaraz dowie się, co w nim jest, Anne zaczynały boleć ramiona.

Sarah się uśmiechnęła.

– No dobrze, nie stójmy tutaj. Na pewno jesteś zmęczona. No i musisz wziąć kąpiel, i przebrać się przed kolacją. Poproszę Tommy’ego, żeby zaniósł twoje rzeczy do mojego mieszkania. Dobrze?

– Świetnie.

– Doskonale. – Sarah w końcu przemierzyła dzielący je szeroki ciemnozielony ocean orientального dywanu w recepcji, by ucałować policzek córki. Kiedy zobaczyła nosidło na ramionach Anne, ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. – Rany boskie. Czy to jest dziecko?

Anne nie powstrzymała śmiechu.

– Tak.

– To twoje? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

– Ona. I tak, jest moja. Ma na imię Lucy.

– No cóż, przynajmniej nie wybrałaś jednego z tych okropnych

nowoczesnych imion. A gdzie jest ojciec Lucy? – Matka zaczęła rozglądać się po recepcji, jakby za jedną z wiktoriańskich kanap Anne ukrywała jakiegoś mężczyznę.

– W Nowym Jorku.

– Przyjedzie tu?

– Nie. Nie ułożyło się nam. Między innymi dlatego tu jestem.

Sarah instynktownie spojrzała na lewą rękę córki.

– Domyślam się, że nie wzięliście ślubu.

– Nie. – Anne czekała na obowiązkowe „a nie mówiłam?”. Długo czekać nie musiała.

– Rozumiem. – Sarah głośno westchnęła. – Tyle więc wyszło z twojej wielkiej przygody w tropikach: dziecko i brak męża. Mój Boże, jak mogłaś się w to wplątać? – Matka założyła ręce i lekko zakołysała się na piętach. – Odwróć się.

– Słucham?

– Słyszałaś. Odwróć się! Chcę zobaczyć moją nową wnuczkę.

Anne wykonała polecenie matki. Ta odsunęła kocyk i zlustrowała Lucy, która albo spała, albo za bardzo się bała, by wydać jakikolwiek dźwięk. Dzieci zwykle czuły lęk przed Sarah. Kiedyś na urodzinach matka jednym spojrzeniem uciszyła całą bandę maluchów z podstawówki.

W końcu Sarah poleciła córce ponownie się odwrócić.

– Nie jest najbrzydsza mimo rudych włosów. Jednak musimy ostrożnie o niej informować, nie chcę niepotrzebnych plotek – oznajmiła i postukała szkarłatnym paznokciem w wydęte usta.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, mamo! Nikogo nie obchodzi, że samotnie wychowuję dziecko. I w czym jestem gorsza od dziadka hazardzisty, który przegrał rodzinną fortunę? Albo od taty, który był pijakiem, a potem zniknął? O nich jakoś nie wstydzisz się opowiadać ludziom! – rzuciła zirytowana.

– Seks to co innego. – Sarah ściszyła głos na widok starszej pani w spodniach khaki i błękitnym, wzorzystym, wełnianym swetrze, która pojawiła się w recepcji z kubelkiem na lód. – Poczekaj tu, proszę, Anne.

Podeszła do kobiety, serdecznie się z nią przywitała i pokierowała w stronę maszyny do lodu w korytarzu, przy okazji odpowiadając na pytania o wycieczkę połączoną z oglądaniem wielorybów i najlepsze miejsce, by kupić homara. Matka traktowała ją tak poufale, jakby razem dorastały. Bo kiedy Sarah rozmawiała z gościem, czuł się on jak w domu.

Szkoda, że równie ciepłego traktowania nigdy nie doświadczyły jej własne córki. Kolana i plecy wciąż bolały Anne na myśl o łazienkach, które myła, czy tonach pościeli, którą prała w wielkich przemysłowych pralkach na dole.

– Wiem, że trudno ci to pojąć, biorąc pod uwagę twój wiek i styl życia, ale seks w Nowej Anglii zawsze wiązał się ze skandalem. To nie Karaiby. A od hotelu

takiego jak nasz oczekuje się, że będzie promował rodzinne wartości – oznajmiła matka po powrocie.

Włosy Sarah, które zawsze układały się zgodnie z jej nastrojem, wysuwały się z ciasno upiętego koczka; długie siwe pasma unosiły się niczym pajęczyna.

– Będziemy informować, że właśnie rozstałaś się z ojcem dziecka i trudno ci o tym mówić – ciągnęła matka. – Zasugerujemy, że się rozwodzisz.

– Chyba żartujesz.

– Absolutnie nie. – Sarah mówiła spokojnie, ale zdecydowanie. – Jeśli masz tutaj zostać, właśnie tak przedstawimy twoją sytuację. Obawiam się też, że moje mieszkanie nie nadaje się dla dziecka.

Za podwójnymi drzwiami w sali balowej orkiestra zagrała *Raise Your Glass* Pink. W takt melodii goście zaczęli śpiewać. Anne musiała przekrzykiwać muzykę.

– Dlaczego?

– Nie mam miejsca dla dziecka. Ani cierpliwości. Wiesz o tym.

Anne przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem, sfrustrowana kopnęła matkę w nogę. W tej chwili miała ochotę to powtórzyć.

– Lucy nie sprawia kłopotu. Jeszcze nawet nie raczkuje.

– Jak długo zamierzasz zostać?

– Kilka miesięcy? Aż znajdę pracę i znowu stanę na nogi. Będzie miło spędzić wspólnie Boże Narodzenie, nieprawdaż?

– Oczywiście, cieszyłabym się, gdybyś została na święta. – Twarz Sarah nagle się rozjaśniła. – I mam idealne rozwiązanie. Umieszczę cię we wschodnim skrzydle. Mam wolny pokój na trzecim piętrze. Tam goście nie usłyszą płaczu dziecka i nie będzie im przeszkadzało.

Anne oblała się rumieńcem, który jak zawsze rozlał się jej zapewne po twarzy, szyi i dekolcie. Zapewne ze względu na rudy kolor włosów nigdy nie potrafiła ukryć emocji. Równie dobrze mogłaby mieć je wypisane na skórze.

– Mamo, nie dam rady kilka razy dziennie chodzić z dzieckiem po schodach. Proszę, pozwól mi u siebie zamieszkać. – Anne nienawidziła, gdy musiała o cokolwiek prosić.

Co gorsza, czuła, że Lucy zaczyna kręcić się w nosidełku. Pewnie była głodna. Czteromiesięczne niemowlę przyzwyczało się do jedzenia co kilka godzin.

Anne wyobraziła sobie, jak zaczyna karmić w hotelowej recepcji. Mogła usiąść na którejś z kanap i podnieść koszulkę. Co zrobiłaby Sarah, gdyby jej córka odsłoniła pierś przed gośćmi? Zanim Anne zdążyła się powstrzymać, parsknęła śmiechem.

– Cieszę się, że uważasz tę sytuację za zabawną – odezwała się Sarah. – Ale mnie nie śmieszy, że z takim wykształceniem i możliwościami jesteś tylko samotną matką, bezrobotną i wytatuowaną jak połowa nastolatek w Gloucester, bynajmniej nie tak uprzywilejowanych jak ty. – Odwróciła się i gestem wezwała Tommy'ego,

by zabrał bagaże córki. – Pokój trzysta siedem – oznajmiła i spojrzała na Anne. – Chodź, odprowadzę cię.

Byłam idiotką, myśląc, że mogę tu wrócić, myślała Anne, gdy szła korytarzem za matką w stronę tylnych schodów, niosąc Lucy i torbę z pieluchami.

Wbiła wzrok w podłogę, kiedy mijali te same pary wracające do sali balowej, unikając widoku kobiet w brzoskwiniowych sukniach i perłach. Robiły dokładnie to, czego od nich oczekiwano, a nie to, co zrobiła Anne, która spaliła za sobą wszystkie mosty.

Zdjęcia miały pójść gładko. Ich efektem powinien być teledysk lekki i słoneczny jak popowa wokalistka Tia.

Niestety, podobnie jak wiele rzeczy w Los Angeles, okazał się również studnią bez dna. I to z winy Elly.

By zaoszczędzić na produkcji, Elly nie skorzystała z usług tego co zwykle location managera. Tym razem sama wynajęła dom w Laurel Canyon. Należał do znajomego – zwykle bezrobotnego, zwykle naćpanego aktora.

Kiedy udało jej się uzgodnić warunki, odłożyła słuchawkę i uniosła pięść w zwycięskim geście. Cena mieściła się w budżecie. Ogród na tyłach domu osłaniały wysokie cyprysy. Na końcu basenu bez krawędzi wodospad spływał na lśniące czarne kamienie. Miejsce idealne. Idealne aż do dnia rozpoczęcia zdjęć.

Najpierw nawalił basen. Woda w nim powinna być przyjemna jak w kąpielu. Elly, przyzwyczajona do szczypiącego zimna oceanu w Zatoce Szałeńców, gdzie dorastała, uważała większość basenów w południowej Kalifornii za paskudnie ciepłe. Woląла wodę tak lodowatą, nawet w sierpniu, że w ciągu kilku sekund odbierała oddech, aż drętwiały ręce i nogi.

Ogrzewacz w basenie musiał się zepsuć poprzedniego dnia. Tia, siedząca w wodzie na różowym dmuchanym flamingu, gdy ekipa ustawiała kamery i oświetlenie, mdlała z zimna.

Co gorsza, nie od razu to zauważono. Elly była projektantką planu, wraz ze swoją asystentką zajmowały się więc układaniem krzaków. Paul, reżyser, wrzeszczał na swoją asystentkę, by powiedziała w końcu sąsiadowi, żeby wyłączył tę cholerną kosiarkę, kiedy filmują.

– Cisza na planie! – wrzasnął w końcu Paul, przekrzykując kosiarkę i nieustannie puszczaną od nowa ścieżkę kolejnego hitu Tii.

Wtedy ktoś zawołał, żeby dali sobie spokój, bo piosenkarka zemdląла. Wszyscy stawiali na to, że coś wzięła. W Los Angeles zwykle to zakładano. Agentka Tii natychmiast weszła w tryb minimalizowania szkody, żądając, by schowali komórki do kieszeni i nie robili zdjęć, oraz przygotowując oświadczenia dla prasy mówiące, że piosenkarka w wieku osiemnastu lat złożyła śluby czystości i trzeźwości.

Elly wskoczyła do basenu, by wyciągnąć stamtąd dziewczynę. Reszta stała

jak sparaliżowana widokiem kościstej nastolatki w lśniącym, srebrnym kostiumie syreny, kołyszącej się nieprzytomnie na nadmuchiwanym flamingu wśród stada uśmiechniętych nadmuchiwanym delfinów. Tia miała sine usta, o ton ciemniejsze od skóry delfinów.

Hipotermia, pomyślała Elly, kiedy Ryder Argenziano, operator, z którym czasami się spotykała, pomagał jej przenieść piosenkarkę przez szklane drzwi do domu. Chciał wezwać karetkę, ale agentka natychmiast wyrwała mu telefon z ręki.

– Już się budzi – warknęła. – Żadnej karetki. Nie potrzebujemy tu mediów.

Paul do niczego się nie przydał, podskakiwał tylko w małych, czarnych, skórzanych adidasach, wykręcając nerwowo ręce, dlatego to Ryder przejął kontrolę nad sytuacją. Kazał Elly trzymać wysoko pokrowiec na meble, by zasłonić Tię, kiedy stylistka zdejmowała z niej syreni kostium, a potem wkładała suchą bluzę i getry w jaskrawe biało-czerwone spirale, w których chude nogi dziewczyny wyglądały jak świąteczne lizaki.

Tia już oprzytomniała, ale wciąż szczykała zębami z zimna. Agentka i stylistka pomogły jej usiąść, opatuliły kocem i zmusiły do napicia się kawy oraz zjedzenia batonika energetycznego. Dziewczyna skubała go niczym chomik; pewnie na co dzień jadła tylko sałatę i piła wodę witaminizowaną.

Potem zadzwoniła do matki.

– Mamo! Prawie utonąłam! Życie przeleciało mi przed oczami!

Stojący obok Elly Ryder pochylił się jej do ucha i uśmiechnął.

– Przecież to trwało pięć sekund – wyszeptał. – Ile ona mogła mieć wspomnień? Dzień, w którym zdjęła aparat ortodontyczny? Bal maturalny?

Elly zrobiła minę. Zanim wzięła to zlecenie, wahała się, bo Tia miała wysokie notowania na stronach internetowych, i choć była bardzo młoda, zyskała już sławę gwiazdy. To zaś oznaczało dla wszystkich ból głowy.

– Nieważne – odparła. – Już w tym siedzimy. Tia działa w tym biznesie od przedszkola. Dobrze wie, jak rozegrać kryzys, żeby postawić większe wymagania na planie.

I właśnie wtedy poranek przybrał jeszcze gorszy obrót. Przenośne ogrodzenie opiekuna zwierząt najwyraźniej odłączono od prądu – i pewnie zrobił to któryś z asystentów – trzymany w środku niedźwiedź wyszedł poza nie i minął wejście do ogrodu. Elly poczuła mocny, piżmowy zapach zwierzęcia. Ruszyła do drzwi, starając się iść powoli, by nie zwrócić uwagi Paula.

To Elly nalegała, by na planie pojawiły się żywe zwierzęta, oparła bowiem pomysł na teledysk na jedynym przyzwoitym fragmencie całej piosenki – o uwolnieniu bestii więzionej w sercu każdej kobiety. Obdzwoiła wszystkich mieszczących się w budżecie trenerów zwierząt w Hollywood z pytaniem, jakie stworzenia mogłaby ściągnąć na plan, mając ograniczone środki. Namówiła Paula, przekonując, że warto przesunąć część wynagrodzenia operatora i włożyć je

w plan. Targowała się z trenerem, który przywiózł rano węża boa, ospałą, liniejącą papugę w paskudnym humorze i czarnego niedźwiedzia wielkości psa.

Jeśli miś Smokey wyrządzi jakieś szkody na planie albo w sprzęcie, to będzie jej wina. Zanim Elly zdążyła wyjść do ogrodu i zawołać trenera, na trawniku nagle pojawił się kot sąsiadów. Niedźwiedź ruszył w jego kierunku z zadziwiającą prędkością, przebijając się przez kwitnące krzewy, które Elly rano wypożyczyła ze sklepu z rekwizytami. Wystarczyło kilka sekund, by krzaki rozpadły się na kawałeczki, konfetti z liści posypało na patio, a drobiny ziemi rozpuszczały w basenie.

Cholera jasna, co za bałagan. No i Elly będzie musiała zapłacić za zniszczone krzaki.

– Dobra, słuchajcie, kończymy – oznajmił reżyser. Na szczęście Paul stał odwrócony tyłem do drzwi i nie widział trenera goniącego misia po podjeździe.

Paul był niskim facetem, który z powodzeniem stosował taktykę zastraszania. Przez ostatnie dwa lata Elly pracowała z nim przy kilku projektach. Bez względu na porę roku w Hollywood Paul zawsze nosił skórę – czarne skórzane spodnie, czarną skórzaną kurtkę i czarne skórzane buty. Nawet notes miał oprawiony w czarną skórę.

– To by było na tyle, co? – odezwał się Ryder. On nie przejmował się ani Paulem, ani nikim innym, może dlatego, że dorastał w północnej Kalifornii. Choć Ryder wciąż nosił dżinsy i gówniane koszulki, jak nastolatek bumelujący w piwnicy u rodziców, Elly pociągał w nim luz Zachodniego Wybrzeża.

– No – rzucił Paul. – Na dzisiaj koniec. Dostaniecie wszyscy całą dniówkę. – Ukląkł obok piosenkarki. – Tia, skarbie, czy mama przyjedzie po ciebie? – Rzucił „skarbie” tonem, jakim zwykle ludzie mówią „grzybica”.

Tia skinęła głową.

– Dobrze. Doskonale. Naprawdę fantastycznie. Tylko pamiętaj, żeby po południu dać mi znać, jak się czujesz, okej? Jeśli czegoś potrzebujesz, czegokolwiek, tylko powiedz, a dostaniesz. Prawda, Michelle?

– Jasne. Zajmę się tym. Czegokolwiek potrzebujesz. – Asystentka Paula, Michelle, szczupła Japonka w kwiecistej sukience vintage i jaskrawofioletowych tenisówkach z cholewkami do kostek, wszystko notowała, stojąc u boku szefa.

– Elly, zadzwoń, jak tu posprzątasz – warknął Paul i wstał. – Nara. – Wyszedł frontowymi drzwiami tak szybko, że niemal nie dotykał podłogi.

– Dla mnie to koniec – westchnęła Elly. – Dla niego jestem martwa.

– Raczej tak – przytaknął Ryder.

– Powinieneś zaprzeczyć! – Dźgnęła go w żebra.

– Nie zwykłem nikomu słodzić. Dlatego mnie lubisz. – Ryder wzruszył ramionami.

– Dlatego cię lubiłam – sprostowała Elly.

– Wyluzuj. Jeśli zjesz ze mną lunch, pomogę ci posprzątać.

– Zgoda.

Kiedy godzinę później, stojąc w korku na autostradzie, Elly zadzwoniła na komórkę Paula, reżyser nie owijał w bawełnę: kiedy jutro wrócą na plan, nie będzie już korzystał z jej usług, podobnie jeśli chodziło o reklamę, której kręcenie mieli zaplanować w przyszłym tygodniu.

– Ale Paul, odwaliłam dla ciebie kawał dobrej roboty – zaprotestowała Elly.

– Nie moja decyzja, skarbie. Producenta. A wiesz, jak mało obchodzi go to, co zrobiłaś wczoraj. Jemu zależy na tym, co jutro.

– Paul, przestań. Powalcz o mnie. Kogo znajdziesz, żeby mnie zastąpił w tak krótkim czasie?

– Właśnie o to chodzi, kochana. Gwiazdy się ułożyły. Ściągnąłem tego młodziaka. Może go znasz, nazywa się Jay Goodwin. Wpadłem na niego w pijalni soków na Sunset. Co prawda ścianę ma pełną nagród MTV, ale znalazł dwa dni wolne. Producent bardzo się ucieszył. Ale nie bierz tego do siebie. Pracujesz w tej branży dość długo, by wiedzieć, że to nic osobistego.

Elly opowiedziała o tej rozmowie Ryderowi, kiedy kupowali tacos w food trucku i poszli nad wodę w parku Silver Lake Meadow. Ryder zdążył też kupić sześciopak piwa.

– Ma rację – powiedział. – Hollywood to Kraina Jutra, a my jesteśmy przeterminowani. Wiesz, ile Paul ma lat?

– Trzydzieści? – zgadywała Elly.

– Dwadzieścia sześć.

– Szlag.

– No właśnie. A ty jesteś po złej stronie trzydziestu pięciu. Ja w przyszłym roku skończę czterdzieści. – Ryder dopił piwo i otworzył kolejne. – Paul pewnie się zastanawia, jak udaje nam się jeszcze poruszać bez wózka inwalidzkiego.

– Rany, dzięki, od razu mi lepiej. – Elly wgryzła się w taco, delektując nagłym uderzeniem ostrego mięsa i salsy na języku. Pod tą przyjemnością kryło się jednak upokorzenie: Ryder dobrze odgadł jej wiek. Zabolało, szczególnie że Elly niedawno przedłużyła rzęsy i nałożyła nowy wypełniacz pod podkład, który – jak obiecywała stylistka – miał „uzupełnić wszystkie ubytki i zmarszczki, tak jakby zaszpachlować twarz”.

– Mam trzydzieści osiem lat – odezwała się. – Widać muszę w siebie więcej zainwestować.

– Daj spokój, wyglądasz świetnie. – Ryder machnął ręką w stronę parku, w którym dwie Latynoski w sandałach na platformach popychały wózki z dziećmi, wysmarowany olejkami facet opalał się w kąpielówkach, a dzieciak jeździł na deskorolce z chihuahua wetkniętym pod ramię. – Spójrz tylko na tę ludzką zbieraninę. W Los Angeles zawsze sobie jakoś poradzisz, prawda? Walt Disney to

wiedział. Dlatego swoje pierwsze studio wybudował właśnie tutaj, w Silver Lake.

Elly dopiła piwo.

– Czy Disney nie miał ledwie dwudziestu pięciu lat, kiedy zbudował to studio?

– Dwadzieścia dwa.

– Dobij mnie.

Ryder się zaśmiał.

– Kiedy znudzi ci się produkcja, możesz robić coś innego. Dlaczego w ogóle się tu przeprowadziłaś?

Elly skończyła taco i zaczęła się zastanawiać, którą wersję swojego dawnego życia powinna opowiedzieć. Kilka razy przespała się z Ryderem – był jej pierwszym facetem od czasu romansu z Hansem, po którego wypaleniu i zakończeniu przez dwa smutne lata była niczym zombie – ale unikała do tej pory tematów osobistych. Spotykali się, było fajnie i nic poza tym. Ryder przyjeżdżał do domu Elly, ale nigdy nie pozwalała mu zostać na noc. Woląca sypiać samotnie. Zresztą jeszcze długo potrwa, zanim znowu zaufa mężczyźnie po wydarzeniach związanych z Hansem.

– Przeprowadziłam się tutaj, żeby zostać piosenkarką – odpowiedziała w końcu. – Na początku udało mi się zdobyć kilka zleceń. No wiesz, reklamy w kablówce, drobne role w kreskówkach. Nie dość, by robić to dalej. Po dziesięciu latach takiego dziubania zaczęłam pomagać koleżance, która projektowała plany zdjęciowe. Ona mnie wyszkoliła.

– Wciąż mogłaś przecież śpiewać po godzinach i do czegoś dojść.

Elly pokręciła głową.

– Nie. Dzisiaj, jeśli chcesz coś osiągnąć w muzyce, robisz to na swoim kanale na YouTubie i cierpisz nieustanne poświęcenia. Zero zabawy, zero jedzenia i oczywiście zero snu. Nie zamierzam gonić tego króliczka. Lubię projektować plany. Cieszę się, że mieszkam w ciepłym miejscu i z dala od turystyki.

– A tym kiedy się zajmowałaś?

– Całe życie. Moja rodzina prowadzi hotel na północ od Bostonu – wyjaśniła. – Hotel nad Zatoką Szaleńców to tradycyjne miejsce, do którego od pokoleń przyjeżdżają rodziny, by wydać za mąż swoje córki, świętować ważne urodziny i rocznice. Sterta drewna na klifie nad oceanem i ludzie w fotelach wiklinowych, którzy popijają jeden gin z tonikiem za drugim, aż nadejdzie pora kolacji i podadzą pieczeń.

– Brzmi nieźle.

– Oczywiście, jeśli jesteś gościem – przyznała. – Jednak dla nas życie w Zatoce Szaleńców oznaczało nieustanną pracę. Prowadzenie hotelu to jak prowadzenie domu dla rodziny złożonej z dwustu nieznajomych.

– Twoi rodzice wciąż to robią?

- Teraz tylko mama.
- A co się stało z lepszą połową?
Elly lekko uszczypnęła Rydera w ramię.
- Tata był pijakiem. Zniknął, kiedy miałam osiem lat. Od tamtej pory go nie widziałam.
- Auć. Mamie musiało być ciężko.
- Można by tak pomyśleć, ale nie. Trzyma hotel żelazną ręką w aksamitnej długiej rękawiczce. Należy do arystokracji bostońskiej i nie pozwala nikomu o tym zapomnieć. – Elly dopiła piwo i odstawiła pustą butelkę do przenośnej lodówki. – Może jakoś przetrwałabym dzieciństwo, gdyby mama nie robiła ze mnie i moich sióstr darmowej służby. Robiliśmy za sprzątaczkę, pomoce kuchenne, modelki i animatorki, za wszystkie naraz.
- Ile masz sióstr? – Ryder skończył jeść, zwinął serwetkę i papierki po taco w równe kulki i zabawiał się, wrzucając je do pobliskiego kosza na śmieci. Za każdym razem trafiał.
- Dwie – odpowiedziała. – Laura jest najstarsza, ja środkowa, Anne najmłodsza. – Opowiedziała Ryderowi o reklamach telewizyjnych i prasowych, do których przez wiele lat pozowała z siostrami. – Fotografowie nas uwielbiali, bo Laura jest brunetką, ja blondynką, a Anne ma rude włosy. W jednej z gazet dziennikarz nazwał nas „Śpiewającymi Aniołkami Sarah”.
- Nie łapię.
- *Aniolki Charliego*? Kojarzysz taki serial? Moja mama ma na imię Sarah.
- Niezłe. – Zaśmiał się.
- Niekoniecznie. Kiedyś musiałam pozować w ogrodzie w zielonej sukience bez rękawów. Miała tyle warstw, że wyglądałam jak kapusta.
- Ryder znowu się uśmiechnął i wyciągnął na trawie, zrzucając adidas.
- Sporo bym zapłacił, żeby obejrzeć to zdjęcie. A kiedy pracowałaś w hotelu? W liceum?
- I w podstawówce. I w college’u, choć chodziłam do szkoły w Bostonie. Ale i tak najlepiej znano nas jako śpiewające Bradfordówny.
- Wszystkie śpiewałyście? Razem?
- Elly skinęła głową.
- Mama była śpiewaczką jazzową. Poznała tatę, kiedy któregoś lata występowała w hotelu. Po tym, jak tata zniknął, mamie z trudem udało się utrzymać finansowo. Bóg jeden wie, dlaczego nie sprzedała tego biznesu. Uznała jednak, że możemy zapewnić gościom darmową rozrywkę i dzięki nam zaoszczędzi. Miałam z dziesięć lat, kiedy zaczęłyśmy występować. Kazała nam tak samo się ubierać i goście nas uwielbiali.
- To jak rodzina von Trappów z *Dźwięków muzyki*! Byłyście dobre?
- Właściwie to tak, byłyśmy. Bez względu na to, jak bardzo się kłóciłyśmy,

potrafiłyśmy śpiewać w idealnej harmonii. – Elly przez kilka minut przyglądała się grupie rzucających frisbee obdartych chłopaków bez koszulek i w plażowych szortach, a potem znów spojrzała na Rydera.

Miał zamknięte oczy. Widziała piegi na jego nosie. Brązowe włosy, długie niemal do ramion, przetykały złote, rozjaśnione słońcem kosmyki. A może je farbował? W Los Angeles nigdy nic nie wiadomo. Elly zdziwiła się, jak bardzo miała ochotę je pogłaskać. Zacisnęła dłonie na kolanach.

– Twoje siostry wciąż mieszkają w Massachusetts?

Elly oparła się na łokciach.

– Tylko Laura. Anne jest w Portoryko, spełnia marzenia, surfuje i tak dalej. Laura także chciała wyjechać z Massachusetts. Jeździ konno i bardzo ciężko trenowała. W college’u należała do drużyny jeździeckiej i myślała o olimpiadzie, ale potem postanowiła wyjść za mąż i być mamą.

– Na pewno za nimi tęsknisz.

– Nie bardzo. Nasza matka nie należy do rodzinnych i ciepłych osób. Dzwonię do niej z okazji urodzin i świąt, odwiedzam raz na jakiś czas. Z Laurą rozmawiamy raz w tygodniu. Kiedyś byłam najbliżej z Anne, ale w tym roku obie jesteśmy zbyt zajęte, by utrzymywać kontakt. Wiesz, jak to jest w rodzinie. Kiedy wyjeżdżasz, zaczynasz się zastanawiać, czy gdybyś nie był spokrewniony ze swoim rodzeństwem, to moglibyście zostać przyjaciółmi.

– Jasne.

Ryder przytaknął tak ochoczo, że Elly musiała przejść do obrony.

– A twoja rodzina? Jesteście ze sobą blisko?

– Niespecjalnie. Jestem jedynakiem. Rodzice zawsze woleli tylko swoje towarzystwo. Oboje są nauczycielami, wychowali mnie w na wpół pogańskiej komunie w północnej Kalifornii, w mieście, o którym czas zapomniał – odpowiedział. – Hipisi wciąż sprzedawali tam na ulicach domowy chleb z koszyków i mieszkali w vanach, gdy nie stać ich było na namioty. Jako dziecko miałem wielu znajomych wśród dzieciaków, ale niezbyt bliski kontakt z matką i ojcem. Szczerze mówiąc, chyba im ulżyło, kiedy się wyprowadziłem.

– No właśnie. Życie toczy się dalej – skwitowała Elly.

– Pewnie tak. Ale zawsze zazdrościłem ludziom takim jak ty.

– Ludziom takim jak ja?

– Takim, którzy mają prawdziwą rodzinę: matkę, ojca, rodzeństwo. Prezenty pod choinką.

Elly poczuła, jak Ryder turla się w jej stronę. Otworzyła oczy, kiedy zaczął całować jej szyję.

– Przestań! – Odepchnęła go ze śmiechem.

– Ale dlaczego? – Pocałował ją znowu.

– Nie jesteśmy sami. – Odsunęła się, kiedy nad ich głowami przeleciało

frisbee.

Ryder wyciągnął rękę i złapał dysk, po czym odrzucił go do jednego z graczy.

– Nie musimy tutaj zostawać. – Podbródkiem wskazał swój samochód. – Mieszkam kilka kilometrów stąd.

Elly uparła się, że pojedzie za nim własnym autem. Mała przygoda będzie miłą odmianą od ciężkiego poranka na planie, ale nie zamierzała utknąć w mieszkaniu Rydera na dłużej.

Spodziewała się, że będzie przypominało jej własne – zbyt drogie studio w anonimowym budynku. Zdziwiła się, kiedy Ryder wjechał na podjazd żółtego parterowego budynku z dachem krytym gontem, zielono-niebieskimi drzwiami i płótem przykrytym szkarłatną bugenwillą.

– Ładnie tu. – Elly nagle ogarnęła nieśmiałość. Spociła się najpierw na planie, potem w trakcie pikniku w słońcu, w ustach miała kwaśny posmak. – Mogę wziąć prysznic?

– Jasne. – Zaprowadził ją przez bramkę na dziedziniec, podał ręcznik i pokazał prysznic ukryty na zewnątrz przy ogrodzeniu z kratownicy. – Czy teraz mam cię zostawić samą, żebyś odprawiła swoje tajemne babskie rytuały?

– Możesz też wyszorować mi plecy. – Zaśmiała się.

– Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. – Ryder płynnym ruchem ściągnął koszulkę.

Była niedziela, ale Laura wstała o świcie. Kiedy ubierała się w łazience, próbując nie obudzić Jake'a, odtwarzała ponownie w głowie ich wczorajszą wieczorną rozmowę.

– Musimy poprosić twoją matkę o pieniądze na chesne Kennedy – powiedział Jake. – Innego wyjścia nie widzę.

– Nie mogę – zaprotestowała. – Nie po raz kolejny.

– Lauro, nie rozumiem, w czym problem – stwierdził, przeczesując ręką włosy. – To twoja matka się uparła, by Kennedy chodziła do tej szkoły. Jakie jest inne rozwiązanie? Wysłać ją do publicznej? Dla mnie nie ma sprawy, ale ty i Sarah byście się nie zgodziły.

Laura włożyła kurtkę i pomaszerowała do stajni; musiała nakarmić konie, wypuścić je i wyczyścić boksy. W ostatnim czasie tylko tutaj miała nad swoim życiem jakąkolwiek kontrolę.

Dużymi haustami wdychała zimne powietrze. Ich dom znajdował się zaledwie kilkaset metrów od hotelu, po drugiej stronie drogi, patrząc od oceanu. Z tyłu posiadłości rozchodziły się szlaki do lasu i w stronę Dogtown^[1]. Nie było stąd widać wody, nawet gdy zimą z drzew opadły liście, ale przynajmniej w powietrzu unosił się zapach soli. Tego ranka atramentowe niebo na horyzoncie przemywała brzoskwiniowa smuga. Pierwsze dęby zdążyły się już zażółcić,

a klony zaczerwienić, choć był dopiero ostatni tydzień września. Pod wiszącą nisko poranną mgiełką rozpościerało się wciąż jeszcze zielone pastwisko.

Laura wypuściła wszystkie konie poza jedną z klaczy należących do klientów, gniadą Morgan, która zraniła się w nogę podczas skoku i właściciel chciał zatrzymać ją w stajni jeszcze tydzień. Przywiązała ją w boksie. Gdy zaczęła czesać konia zgrzeblem i czyścić mu kopyta, poczuła, jak napięcie powoli spływa z jej ramion. Dotyk gładkiej zwierzęcej sierści, zapach skóry, miękki nos szukający w jej dłoni marchewek – to знаła i kochała od dzieciństwa.

Ich ojciec, Neil, zachęcał, by Laura uczyła się jeździć konno. Pojawiał się też na każdych zawodach córki, aż do dnia, kiedy zniknął. Laura miała wówczas dziesięć lat – wystarczająco dużo, by wiedzieć, że ojciec nie wróci. Mimo to na kolejnych występach wciąż wyobrażała sobie Neila na trybunach, jego rumianą i wesołą twarz pod kapeluszem z klapniętym rondem, który chronił go przed słońcem. Widziała, jak wstaje i wiwatuje, gdy odbierała nagrodę.

O ironio, była jedyną z trzech sióstr, która została na Cape Ann, choć przecież marzyła kiedyś o olimpiadzie. To, że się nie udało, tłumaczyła spotkaniem Jake'a, zajściem w ciążę i rzuceniem college'u albo tym, że była potrzebna matce. Czasami jednak zastanawiała się, czy nie została tutaj dlatego, że czekała na powrót ojca. On bardziej niż ktokolwiek inny sprawiał, że w siebie wierzyła.

Niestety, ponieważ Laura brała pieniądze od matki, była jedyną Bradfordówną, która musiała rzucić wszystko, by pomóc Sarah w hotelu. Ale czyby sobie poradziła bez jej wsparcia?

Laura westchnęła i wprowadziła klacz z powrotem do boksu, myślami krążąc wokół wciąż tych samych tematów. Praktyka dentystyczna Jake'a prosperowała doskonale. Stajnie kilka lat temu zaczęły przynosić zyski. Mimo to ich długi rosły. Znajomi płacili za luksusowe samochody, wakacje i nowe ubrania, nie musząc obliczać, na ile kieliszków wina stać ich w restauracji lub czy w ogóle powinni do niej pójść. Laura spotykała się z takimi ludźmi. Ubierała się jak oni, tak samo mówiła i pomagała im zbierać pieniądze dla mniej uprzywilejowanych. Ale nie była taka jak oni. Mimo pomocy matki musiała oszczędzać, by opłacić rachunki. Zakupy robiła w sklepach z rzeczami używanymi, nawet w Czerwonym Krzyżu. Od dwudziestu lat nie zmienili w domu mebli. W spożywczym wykorzystywała kupony zniżkowe. Nie wiedziała, z czego jeszcze mogą zrezygnować. Kennedy uwielbiała swoją szkołę. Jak Laura mogłaby nie zapewnić córce takiej samej edukacji, jaką sama otrzymała?

Matka opłacała również wpisowe w country clubie Annisquam, ponieważ według Jake'a członkostwo pomagało interesom – jego praktyce i stajniom Laury, gdyż większość uczniów (i koni, które trzymała w stajniach) pochodziła z rodzin poznanych w towarzystwie.

Laura wepchnęła taczkę do pierwszego pustego boksu i widłami zaczęła

wrzucać do niej gnój. Jesteś tutaj, bo tego chcesz, przypominała sobie.

A zresztą, czy ucieczka cokolwiek rozwiązuje? Elly i Anne uciekły z Zatoki Szaleńców, ale żadna z nich nie miała domu, rodziny ani pewnej pracy.

A jednak Laura chciałaby mieć nieco więcej wolności.

Rzuciła się w wir sprzątania stajni – ośmiu własnych koni i tuzina klientów – ładowała tony nawozu na wóz i naczepę. W końcu zdjęła kurtkę, ale kiedy skończyła, koszulę i tak miała mokrą od potu.

Właśnie rozrzucała w boksach świeże trociny, kiedy zadzwoniła matka.

– Musisz mi pomóc z kwiatami na dzisiejsze wesele – zapowiedziała Sarah.

– Mindy wzięła chorobowe i nie ma jej kto zastąpić. Możesz przyjść jeszcze rano?

– Oczywiście – odparła Laura. – Już prawie skończyłam w stajni. Przeprowadzę też Kennedy.

Godzinę później w kuchni Hotelu nad Zatoką Szaleńców podcinała i aranżowała kwiaty. Kennedy pomogła matce zebrać je w ogrodzie, ale teraz, gdy Laura podniosła wzrok, zobaczyła córkę stojącą przed otwartymi drzwiami ogromnej hotelowej lodówki z nierdzewnej stali.

– Na miłość boską, Kennedy – odezwała się Laura. – Zamknij tę lodówkę! Nie stój i się nie gap. Marnujesz prąd.

– Przepraszam, mamó.

Laura patrzyła, jak Kennedy siada w kuchennym kącie z eklerkami w obu dłoniach. Ledwie trzynastoletnia miała już brzusek wystający zza paska dżinsów. Laurę martwiła skłonność córki do podjadania, szczególnie że dziewczynka nie lubiła sportu. Kennedy nie jeździła nawet na rowerze górskim podarowanym jej na zeszłoroczne Boże Narodzenie, który kosztował tyle co trzymiesięczne zakupy spożywcze. Laura miała ochotę sprzedać go. Przydałyby się im pieniądze. Na myśl o nich przypominała sobie, że znowu musi poprosić matkę o pomoc w opłaceniu czesnego Kennedy. Laura poczuła w gardle wielką gulę, jakby pająk uplotł w nim gęstą sieć. Zerknęła na Sarah, próbując wyczuć jej nastrój. Niedobrze: matka przerwała podcinanie kwiatów i spoglądała na Kennedy pozerającą eklerki niczym wygłodniały uchodźca w obozie na pustyni.

Tylko nic nie mów, mamó, prosiła w duchu Laura.

Kilka sekund później Sarah się odezwała.

– Kennedy, skarbie, czy naprawdę musisz jeść na śniadanie to świństwo? Jesteś w siódmej klasie. Grube dziewczyny kiepsko się bawią w liceum.

Kennedy ze szlochom wybiegła z kuchni.

– Mamó! – zawołała Laura, pragnąc pobiec za córką i ją pocieszyć, choć dobrze wiedziała, że Kennedy wybuchała płaczem z taką łatwością, z jaką inni kichają – nagle, głośno i często bez powodu.

– Tak, kochanie? – spytała Sarah znad trzech kwiatów trzymanyh w dłoni.

– Co ty sobie myślałaś? – oburzyła się Laura. – Nie możesz mówić jej takich

rzeczy!

Sarah uniosła podkreśloną kredką brew.

– Niby dlaczego? Ktoś wreszcie musi jej powiedzieć prawdę. Naprawdę chcesz, żeby wciąż tyła? Na śniadanie powinna jeść jogurt, a nie lody. Jaki nosisz teraz rozmiar, Lauro? XL? Kennedy wygląda grubiej od ciebie, a jeszcze nie zaczęła dorastać. A może zaczęła? Dostała już pierwszą miesiączkę? Czytałam, że teraz dziewczynki szybciej dojrzewają.

Sarah lubiła opierać swoje opinie na badaniach naukowych, często nawet na pseudobadaniach cytowanych w porannych programach telewizyjnych. Nikt nie śmiał więc ich kwestionować.

Najgorsze, że Sarah miała rację: Laura nosiła rozmiar XL, niezaprzeczalnie duży. A nie mogła zrzucić nadwagi na ciążę, bo miała już czterdziestkę, a jej córka była nastolatką.

– Nie, Kennedy nie miała jeszcze pierwszej miesiączki.

– Ale chyba to już niedługo, prawda? – Matka wyjęła kolejną dalię ze stosu kwiatów na blacie.

– Tak. A lekarz sądzi, że wtedy prawdopodobnie urośnie i w naturalny sposób schudnie. Tymczasem nie powinniśmy czepiać się tego, co je Kennedy. Lekarz twierdzi, że to może wywołać odwrotny skutek i zachoruje na anoreksję.

– No cóż, odrobina anoreksji jeszcze nikomu nie zaszkodziła. – Sarah włożyła ostatnią czerwoną dalię do kryształowego wazonu już pęczniejącego od szkarłatnych, pomarańczowych i białych kwiatów. – Kobięcą odpowiedzialność za utrzymanie dobrej figury dzisiaj wszyscy próbują włączyć do zjawisk patologicznych. W moich czasach tego właśnie oczekiwano.

– Tak, a przedtem kobiety nosiły gorsety z wielorybich kości – zażartowała Laura przez zaciśnięte zęby.

Matka się uśmiechnęła.

– Wciąż tęsknię za moim pasem wyszczuplającym. Spandeks nie jest tak skuteczny. Już wiem! A może dołączycie z Kennedy do grupy Strażników Wagi? Z chęcią za to zapłacę. Albo za jakąś inną prozdrowotną aktywność.

Przez jedną ekscytującą chwilę Laura miała ochotę zrzucić wazony wypełnione kwiatami, jeden po drugim, na kuchenną podłogę pokrytą kafelkami. Ale się powstrzymała, wciąż bowiem potrzebowała matczynego wsparcia.

– Może się zorientuję, jak wyglądają zapisy – powiedziała. – Dobry pomysł, mamo.

Sarah uśmiechnęła się i wygładziła włosy, które – kiedyś jasne – zdążyły posiwieć, wciąż jednak były długie i gęste. Zwykle zwijała je w równy koczek tuż nad zgrabną szyją. Jakimś cudem – nawet układając kwiaty czy siedząc nad rachunkami – Sarah wciąż wyglądała niczym aktorka z francuskiego filmu, typ bohaterki mającej dwóch kochanków jednocześnie, w tym dużo młodszego.

– Kennedy przynajmniej jest inteligentna – ciągnęła Sarah. – To jakieś pocieszenie. Wygląd nie będzie miał znaczenia, jeśli dostanie się do przyzwoitego college’u i zarobi na swoje utrzymanie. Podobno współczesne kobiety są szczęśliwe, żyjąc samotnie, spełniają się zawodowo i tak dalej.

– Mamo, proszę cię, przestań! – zirytowała się Laura. – Kennedy nic nie będzie. Późno dojrzeła, to wszystko. – Daj Boże, żeby to była prawda.

– Przykro mi, ale się martwię. W jej wieku nie byłyście takie przysadziste. No ale też dużo się ruszałyście, ledwo mogłam za wami nadążyć. Może Kennedy powinna więcej ci pomagać. Obowiązki domowe są doskonałym ćwiczeniem.

Sarah podniosła trzy wazon-y i popłynęła w stronę drzwi prowadzących do jadalni, szeleszcząc pończochami pod tweedową wełnianą spódnicą i czerwoną marynarką zwężaną w talii. Patrząc na matkę, Laura przypominała sobie słowa ciotki Flossie, siostry ojca: „Wasza matka chodzi jak statek Queen Mary przecinający fale”.

Laura była boleśnie świadoma, że ma brudne dżinsy i adidasy, ale zmusiła się, by podążyć za Sarah do jadalni. Musiała zrobić to, co do niej należało, i iść do domu.

– Mamo, wolałabym cię o to nie pytać, ale skoro rozmawiamy o Kennedy, potrzebuję pomocy – powiedziała pośpiesznie Laura. – Nie zapłaciliśmy chesnego, nie mamy rady. Pomożesz nam?

Sarah postawiła wazon-y na stole.

– Ile?

Laura podała kwotę, a matka tylko kiwnęła głową.

– Przygotuję ci czek na jutro rano. Możesz go odebrać w biurze, u Rhondy.

– Dzięki. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły.

Sarah się uśmiechnęła.

– A po cóż ma się rodzinę? – Odwróciła się w stronę kuchni i dodała: – Przy okazji, jest tu Anne. Przyjechała wczoraj wieczorem.

– Co? Dlaczego? – Na dźwięk imienia siostry Laura poczuła taką falę złości, że wbiła sobie paznokcie w dłonie.

– Nie wiedziałaś? Myślałam, że kontaktujecie się przez internet i tylko ja jestem z tego wyłączona. – Sarah machnęła ręką, lekceważąco podsumowując wszystkie media społecznościowe. Ale to była poza, doskonale na co dzień radziła sobie z agresywnym i fachowym marketingiem sieciowym.

– Nie. Na długo zostaje? – Laurę ścisnęło w żołądku. Anne była daleko przez dwa błogie lata.

– Twierdzi, że przynajmniej do Bożego Narodzenia.

Wahadłowe drzwi zamknęły się za Sarah, zanim Laura zdążyła zareagować. Stała jak słup soli. Jeszcze tylko Anne tutaj brakowało! Nie mogła znieść myśli o jej obecności.

Otworzyła drzwi i weszła za matką do kuchni.

– Gdzie teraz jest?

– Na górze. Pewnie śpi.

Oczy Laury zalśniły od gniewu.

– Dlaczego przyjechała na tak długo? Straciła pracę czy co?

Wydawało się, że Sarah chce odpowiedzieć, ale tylko pokręciła głową.

– Najlepiej będzie, jeśli sama zapytasz o to Anne. Wiesz, że nie lubię się wtrącać w wasze sprawy. A teraz spójrzmy. Zamierzałam postawić te wysokie chińskie wazon-y na stołach bufetowych. Co myślisz?

– Jasne. Ustaw je, a ja przyniosę te mniejsze. – Laura zmusiła się do opuszczenia spiętych ramion. Całe ciało powstrzymywało narastający krzyk.

Szybko przeszła do jadalni z kolejnymi dwoma wazonami pełnymi kwiatów. Jeśli chciała uniknąć spotkania z siostrą, musiała szybko skończyć pracę. Zatrzymała się jednak na chwilę, by wyrzucić przez okna na trawnik pokrywający wzgórze opadające w stronę morza, i szukała pocieszenia w znajomym widoku. Ogród składał się z kilku płytkich kamiennych tarasów, które tworzyły coś w rodzaju schodów wiodących na brzeg morza. Na środkowym tarasie znajdowało się patio z białą kratownicą, po której przez większość lata pięły się różowe róże. Teraz, we wrześniu, słynne róże z Zatoki Szaleńców już bladły, ale byliny na skalniakach wciąż tworzyły dywany aksamitnego złota i pomarańczy, czerwieni i fioletu. Pod ogrodem leżała kamienista plaża. Laura patrzyła na fale oceanu rozbijające się o skały. Dzisiejsze przyjęcie weselne zaplanowano na trzecią po południu. Będzie wtedy odpływ, odsłoni złotą podkowę piasku, nad którą zaczną krzyczeć białe mewy, lśnić bielą i krążyć w powietrzu. Goście weselni wezmą drinki, zejną na brzeg i będą robić zdjęcia.

Laura знаła to na pamięć. Dwadzieścia lat wcześniej była panną młodą stojącą pod kwiatami róż. Szła ścieżką wśród wieloletnich roślin, podtrzymując tren i ze śmiechem prowadząc na plażę. Tam, na piasku, pozowali z Jakiem do fotografii ślubnych, które teraz leżały bezpiecznie w oprawionym w biały jedwab albumie wetkniętym na górną półkę szafy w sypialni. Powrót Anne przypomniał Laurze, że nie ma serca znowu oglądać tych zdjęć.

Po wyjściu od Rydera w piątkowe popołudnie Elly bez przerwy oglądała w internecie filmy, teledyski i programy telewizyjne. Przyniosła laptopa do kuchni i na zmianę żłopała kawę i popijała wino. No dobrze, nie tylko popijała – zdążyła już opróżnić dwie butelki, a była dopiero szósta po południu w niedzielę.

Wynotowała sobie nazwiska z tyłówek wszystkiego, co obejrzała, i zaczęła dzwonić: najpierw do tych, z którymi już wcześniej pracowała, a później próbowała na ślepo. Nienawidziła tego, choć próbowała swobodnie pytać: „Hej, masz na tapecie coś nowego? Pojawiło mi się okienko”.

Przez cały czas wygłaszała motywacyjne gadki, przypominając, że jedynym sposobem na sukces w Hollywood jest być na widoku i nosić skórę jak kuloodporną skorupę, gładką i nieprzeniknioną.

Jednak pewność siebie, którą czuła w piątkowe popołudnie, jadąc do domu od Rydera, wyparowała. Ryder pisał esemesy z pytaniem, czy chce się spotkać. Na kolację! Do kina! Na randkę. Jakby mieli po szesnaście lat. No dobrze, tak. Kusiło ją, by spotkać się ponownie po tym cudownym, szalonym seksie. Ale ostatnie, czego teraz potrzebowała, to związek, który utrudni poszukiwanie pracy. Szczególnie związek z Ryderem, mężczyzną, który przypominał wielkiego, przyjaznego psa, nieustannie podskakującego, by cię przywitać, choćbyś sto razy powtarzała, by usiadł. Skóra wciąż ją lekko piekła od męskiego zarostu. Dotknęła twarzy, przypominając sobie, jak spełnieni leżeli ze splecionymi nogami i jak dobrze było zasnąć w ramionach mężczyzny. W sobotni poranek Elly obudziła się i zobaczyła Rydera spoglądającego na nią z uśmiechem, i to zaskakująco czule.

Jeśli od razu się z nim spotka, popełni błąd. Po co się wiązać i psuć coś, co jest w porządku? Jak zwykle w Mieście Aniołów słońce zaczynało właśnie wspinać się po niebie niczym ognista kula pulsującej pomarańczy widoczna za palmami przez balkon z kutego żelaza. Równie dobrze może sobie odpuścić do poniedziałku.

Westchnęła, zamknęła laptopa i poszła do salonu, ciągnąc ze sobą resztki wina. Telefon zadzwonił, kiedy opadała na tanią kanapę obitą skajem i sięgała po pilota.

Dzwoniła Laura.

- Elly! Jesteś w domu! Dzięki Bogu.
- Co tam, Lorelai? – Elly wyłączyła dźwięk i przerzucała kolejne kanały.
- Musisz mi pomóc.
- Co się stało? Wszystko dobrze? – Elly się spięła.
- Nie, nic nie jest dobrze! Dlatego dzwonię! Powinnaś się domyślić!
- Zawsze dzwonisz do mnie o tej porze – zauważyła siostra. – Zmywając naczynia. – Nie mogła się powstrzymać.

Laura była mistrzynią wielozadaniowości, nawet w trakcie rozmowy telefonicznej musiała coś jeszcze robić. Dzisiaj chyba wrzucała talerze do kuchennego zlewu z nierdzewnej stali.

– No dobra, tym razem dzwonię, bo nic nie jest w porządku, rozumiesz? – Laura mówiła piskliwie i nerwowo.

– W takim razie dawaj.

– Anne tu jest!

– W twoim domu?

– Nie! W Zatoce, u mamy.

W tle rozległo się kolejne brzdęknięcie talerza. Elly zmarszczyła czoło, wyobrażając sobie Laurę w tej chwili. Ciemne proste włosy, od czasu college'u zawsze ostrzyżone na pazia, teraz przetykały pasma siwizny; pewnie miała na sobie to samo co zwykle robocze ubranie – džinsy i sweter.

Całe mieszkanie Elly zmieściłoby się w kuchni Laury. Czasami Elly tego zazdrościła, ale częściej nie. Siostra miała zmienne nastroje i zazwyczaj nosiła swoje smutki niczym szal – gryzący, ale i tak blisko szyi.

– Powiedz coś – zażądała Laura.

– No więc Anne przyjechała. I co z tego?

– Wiedziałaś, że wraca do domu?

– Nie. Od jakiegoś czasu nie gadałyśmy. – Elly wyłączyła telewizor, żeby skupić się na spiętym, obcym głosie siostry. – Dziwne, że przyjechała, ale nie rozumiem, dlaczego to taka tragedia.

– Wiesz dlaczego! Anne nie może przebywać w pobliżu Jake'a.

– Daj spokój, to głupota. To było milion lat temu.

Anne mieszkała kiedyś w domu Laury i Jake'a, by zająć się końmi, podczas gdy siostra z Kennedy wyjechały, i ponoć wtedy podrywała jej męża. Szczerze mówiąc, Elly trudno było uwierzyć w tę historię. Jake należał do miłych facetów, uroczych, przystojnych, w nijakim stylu lalki Ken, ale zdecydowanie nie w typie Anne. Ona wolała surowych, brodatych koleś, zwykle leczących się z uzależnienia od czegoś albo po jakiejś tragedii. Tacy mężczyźni ją pociągali, ponieważ byli niebezpieczni, a niebezpieczni – bo nie można było ich zmienić, tyle że sama próba okazywała się ekscytująca.

– Nieprawda! Pamiętasz, jak przyjechała tutaj dwa lata temu? – ciągnęła Laura. – Jak przyłapałam ich w trakcie przyjęcia świątecznego mamy?

– Przykro mi, kochanie – odparła Elly. – Wiem, że to cię zabolowało, ale moim zdaniem to był tylko imprezowy pocałunek po pijaku. I naprawdę nie sądzę, by Anne i Jake kiedykolwiek mieli się ku sobie. Może to dobrze, że Anne wróciła. Może w końcu pogadacie jak rozsądni ludzie. Przecież nie da się tego wiecznie ciągnąć.

– Ale ja nie chcę zachowywać się rozsądnie! – zawołała Laura. – Nie ufam

Anne. I nigdy nie zaufam.

Elly westchnęła. Rozumiała uczucia Laury, ale zawsze była blisko z Anne, a Anne wszystkiemu zaprzeczała. Najbardziej jednak Elly wkurzało, że nie może jednocześnie mieć dobrych relacji z obiema siostrami. To było przykre i dziwaczne.

– Naprawdę uważam, że nie masz się czym martwić – powiedziała. – Kiedy ostatnio rozmawiałam z Anne, mieszkała w Portoryko z jakimś facetem. I zdawała się szaleńczo zakochana.

– Już nie jest – ponuro zaprzeczyła Laura. – Mama twierdzi, że się rozstali.

– Ale nie wiesz na pewno.

– Anne zamierza zostać do świąt! Co to, według ciebie, oznacza?

Elly musiała przyznać, że zapewne nic dobrego.

– A dlaczego się rozstali?

– Tego mama mi nie powiedziała i szczerze mówiąc, mam to w nosie. Ale nie zgadzam się – oznajmiła Laura. – Za żadne skarby. Powiem mamie, że Anne musi wyjechać.

Elly się zaśmiała.

– Daj spokój. Nie możesz tego zrobić. Hotel nie należy do ciebie.

– Ale tylko ja tu utknęłam. Czyli powinnam mieć coś do powiedzenia, prawda? To ja będę się opiekować mamą, kiedy przyjdzie na to pora.

– Nie bądź tego taka pewna. Mama pewnie przeżyje nas wszystkie.

– Być może. – Laura znowu zaczęła trzaskać talerzami. – Ale co mam zrobić, skoro Anne już przyjechała? Musisz mi pomóc.

– Niby jak? Jestem w Kalifornii.

– Przyjedź do domu – poprosiła Laura. – Nie byłeś tu od wieków, a ja potrzebuję wsparcia.

Elly chciała już powiedzieć, że nie da rady przylecieć do Massachusetts z powodu pracy. Ale przecież nie miała już żadnych zleceń. Rozglądając się po mieszkaniu, zauważyła, że wiszący w oknie filodendron usechł, a na parapecie pod nim leżała kupka brązowych liści. Nawet kwiatek nie zatęskni, gdy ona wyjedzie. Może więc pojechać do domu i złapać oddech, a przy okazji pomóc siostrze się pogodzić? Zleceń może szukać i stamtąd. To mieszkanie mogłaby podnająć na miesiąc. Pieniądze się przydadzą. A Ryder będzie musiał znieść odmowę, skoro Elly znajdzie się pięć tysięcy kilometrów od niego.

– Zastanowię się – obiecała w końcu. – W dodatku zbliżają się sześćdziesiąte piąte urodziny mamy. Chyba powinnyśmy zorganizować jej przyjęcie.

– Ktoś powinien – ponuro przytaknęła Laura. – A to oznacza, że my.

Mimo zmęczenia i wykrochmalonej białej pościeli Anne nie spała w hotelu zbyt dobrze. Jeśli się budziła, wcale nie było lepiej: gdy tylko otwierała oczy, złośliwy umysł zaczynał odtwarzać kolejny raz tamten okropny ostatni dzień

spędzony z Colinem.

Wstała wcześniej, żeby zabrać Lucy na spacer, nie chcąc budzić Colina. Był pisarzem, pracował do późna, teraz nad swoją drugą książką. Pierwsza powieść uczyniła go „właściwie sławnym”, jak mówił, „przynajmniej w Irlandii, bo tam nie boją się mrocznych historii”. Sprzedaż pierwszej książki nie dała mu w Stanach możliwości podpisania kolejnej umowy, toteż pochodzący z Dublina Colin poślubił bogatą Amerykankę Barbarę i przeprowadził się do Nowego Jorku. Wrócił na studia, na informatykę. Kiedy małżeństwo się posypało, zapragnął podążać śladami Hemingwaya i zamieszkać na Kubie, ale politycznie było to ryzykowne, wybrał więc Portoryko.

Obecnie Colin pracował jako konsultant w amerykańskiej firmie telekomunikacyjnej, a w wolnym czasie pisał, jak wyjaśnił owego wieczoru, kiedy się poznali w Surf Riders Bar and Grill, gdzie pracowała Anne. Colin przyszedł tam w prążkowanym garniturze, samotny starszy mężczyzna w tłumie szortów i bikini, niczym „czapla wśród gołębi”, jak zauważyła koleżanka Anne, barmanka Josefina. Na Anne zrobiło wrażenie to, jak bardzo Colin oddawał się swojej twórczości. Po rozpadzie małżeństwa zaczął życie od nowa, tak jak ona, kiedy wyjechała z Massachusetts, zrobiwszy licencjat, a potem magisterkę z pedagogiki. Przez dziesięć lat uczyła w szkole podstawowej. Potem, kiedy z trudem udało się jej spłacić studenckie pożyczki i nieco odłożyć, wyjechała na Portoryko – by uciec przed Jakiem i przeżyć przygody, których nie mogłaby doświadczyć, ucząc się i pracując. Otwartość Colina na równie drastyczną życiową zmianę była jednym z powodów, dla których Anne w nim się zakochała mimo piętnastoletniej różnicy wieku i tego, że jego rozwód nie był prawomocny.

Ich związek trwał kilka miesięcy, kiedy zaszła w ciążę. Colin nie chciał dziecka. Anne bardzo się cieszyła. Miała trzydzieści sześć lat i pragnęła zostać matką. W końcu Colin ustąpił, kiedy obiecała, że sama zajmie się niemowlęciem. Po narodzinach Lucy Colin nazwał ją swoim „szczęśliwym przypadkiem”. Anne była pewna, że z czasem pokocha córkę. Może gdy jego rozwód nabierze mocy prawnej, wezmą ślub, ale na tym mniej jej zależało.

Colin nalegał, by po porodzie wynajęli dom, chciał bowiem mieć gabinet. Pieniądze – dwumiesięczny czynsz i kaucję – musiała wyłożyć Anne, ponieważ Colin twierdził, iż większość wypłaty musi wysłać Barbarze, byłej żonie. Wynajęty dom znajdował się w lesie deszczowym El Yunque, na wzgórzu wśród wysokich tropikalnych drzew porośniętych pnączami. Pod tarasem w sypialni jaskrawą czerwienią kwitły pomarańczowe strelicje z grubymi łodygami i hibiskus. Na barierkach opalały się jaszczurki.

Mieszkali zaledwie osiem kilometrów od barów dla turystów i knajpek Luquillo Beach, ale w El Yunque było tak chłodno i mgliście, że zdawało się, iż to inny świat. W wolnym czasie lubili z Colinem chodzić na długie spacery. Ich

ulubiony szlak prowadził do niewielkiego wodospadu. Przed narodzinami Lucy kochali się tam za srebrną wodną kurtyną, a rozpalona skóra piekła pod lodowatym strumieniem. Anne nogami obejmowała Colina w pasie i w takiej pozycji balansowali na śliskich skałach, zdyszani z miłości i pożądania, ufając sobie, by drugie nie upadło.

Portoryko było rajem.

Dzień przed wyjazdem z wyspy Anne ułożyła Lucy na poranną drzemkę, wzięła prysznic i ubrała się do pracy. Colin nawet nie drgnął, kiedy wychodziła. Zwykle zostawał w domu i pisał, podczas gdy niemowlę spało. Kiedy się budziło, przynosił je Anne do restauracji. Tam Clara, siostra właściciela, opiekowała się małą dopóty, dopóki Anne nie skończyła zmiany.

Anne pracowała w Surf Riders Bar and Grill od dwóch lat. Dostawała dobre napiwki, a właściciel – Mateo – godził się na elastyczny grafik. Kiedy zorientował się, że Anne dobrze sobie radzi także w kuchni, pozwalał jej gotować. Przygotowywała więc wyszukane dania i desery. Z ekscytacją rozmawiali o przekształceniu Surf Riders ze zwykłego baru na plaży w miejsce turystyczne, szczególnie dla bogatych przyjezdnych z Miami i Nowego Jorku, którzy trzymali swoje jachty w marinach Fajardo.

– Dodajesz temu miejscu klasy – stwierdził Mateo, kiedy Anne przygotowała czekoladowy tort bez mąki, w Zatoce będący klasykiem. Aby nadać ciastu portorykański charakter, ozdobiła porcje lodami z gujawy.

Klasa czy nie, Mateo upierał się, by Anne w pracy nosiła bikini – standardowy strój wszystkich kelnerów w Surf Ride – kiedy obsługiwała stoliki czy pracowała za barem, nawet po porodzie, mimo większego biustu i dodatkowych kilogramów w talii i biodrach.

– To Portoryko, a nie Manhattan czy Los Angeles – oznajmił, kiedy zaprotestowała, mówiąc, że nie czuje się komfortowo, jeśli chodzi o figurę. – Tutaj faceci lubią prawdziwe kobiety. – Jedyne kompromis, jaki udało się jej osiągnąć, to pozwolenie na wkładanie tuniki w trakcie przygotowywania dań.

Ostatniego dnia w restauracji ubrana w czerwone bikini Anne robiła drinki. Kiedy przyszła, klienci już tłoczyli się wokół baru zrobionego z desek surfingowych. Rozmawiając z nimi i nalewając napoje, szybko straciła poczucie czasu.

Anne była w swoim żywiole, dodawała właśnie świeże liście mięty do trzech zmrożonych szklanek z mojito, kiedy do restauracji zdecydowanym krokiem wszedł Colin. Miał zaciśnięte usta, a pod pachą niczym piłkę do futbolu amerykańskiego trzymał Lucy. Małej to nie przeszkadzało. Śliniła się i uśmiechała do matki, gotowa polecieć prosto w jej ramiona.

– Co się dzieje? – Anne wyszła zza baru i wzięła Lucy.

– Odchodzę. – Colin przeczesał dłonią włosy, które spadły mu na czoło

niczym pióra egzotycznej papugi.

Anne ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

– W porządku. Mówiłam, żebyś przyniósł Lucy, kiedy się obudzi. Wiem, że chcesz pisać.

– Nie o to chodzi.

– Zatem o co?

– Colin, masz stamtąd wyjść. Już. – Dał się słyszeć ostry kobiecy głos.

Colin ujął twarz Anne w dłonie i pocałował ją w czoło, jakby błogosławił.

– Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym, Anne. Mam nadzieję, że o tym wiesz – wyznał.

Wszyscy w barze spojrzeli w ich stronę, a Lucy zaczęła się kręcić, przez co dół od bikini ześlizgnął się z biodra. Anne poprawiła go wolną ręką.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Colin? Co ty tam robisz? – Właścicielka piskliwego głosu, przysadzista kobieta w białej bluzce, dżinsowej spódnicy i adidasach weszła do baru. Krótkie siwe włosy miała ostrzyżone podobnie jak Colin, a szczękę równie kwadratową. Byli tak podobni, że właściwie mogliby uchodzić za rodzeństwo. Przez kilka sekund Anne miała nadzieję, że tak jest. Nie było. Wiedziała, że to Barbara. Jego żona.

– Czy to ona? – zapytała Barbara, wskazując na Anne. – Twierdziłeś, że się z nią nie spotkasz. Miałeś tylko zostawić dziecko w drzwiach – dodała, jakby Lucy była przesyłką kurierską. Najwyraźniej bez potwierdzenia odbioru.

– Jestem Anne, matka dziecka Colina. – Anne poprawiła Lucy na biodrze jako żywy dowód swojego twierdzenia.

Barbara zignorowała ją lekceważącym machnięciem dłoni.

– Nie mamy czasu na twoje ulubione dramaty, Colin. Musimy zdążyć na samolot. Daję ci jeszcze pięć minut. – Wyszła, nie oglądając się za siebie.

– Colin, proszę cię, porozmawiaj ze mną – błagała Anne. – Co się tu dzieje?

– To była Barbara... – urwał.

Nie musiał nic dodawać. Jednym zdaniem Colin zdradził prawdę: okłamywał żonę, okłamywał Anne.

– Wracasz do niej.

– Tak – odparł z bezradnym uśmiechem. – Przepraszam.

– Ale dlaczego?

– Wiesz dlaczego. – Colin wyciągnął rękę i delikatnie założył Anne za ucho kosmyk włosów. To był tak znajomy, intymny gest, że na chwilę zamknęła oczy, walcząc z uczuciem przyjemności. – Doskonale wiesz, że jestem żonaty – szepnęła. – Nigdy nie chciałem bawić się w tatusia. Próbowałem, naprawdę. Ale nie porzucę swojej sztuki dla pieluch. Pisanie to pokarm dla mojej duszy.

Anne zrozumiała: najwyraźniej Barbara groziła Colinowi odebraniem

pieniędzy. To ona wspierała go finansowo, a nie na odwrót. I wtedy Anne straciła cierpliwość.

– Możesz porzucić własne dziecko, ale nie swoją sztukę? I pieniądze swojej żony?

W oczach Colina pojawił się błysk zniecierpliwienia.

– Posłuchaj, nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem. Obiecałem, że będzie nam dobrze, i tak było. Ale nie jestem stworzony do życia w rodzinie.

Rzucając ostatnie zrezygnowane spojrzenie na Lucy, która wepchnęła piąstkę do buzi i patrzyła na ojca błękitnymi oczami, Colin wyszedł z baru.

Anne poszła za nim, ale zatrzymała się na widok Barbary opartej o lśniącego niebieskiego sedana. Niektórzy klienci także wyszli na zewnątrz. Anne żałowała, że po drodze nie zgarnęła z haczyka za barem tuniki, żeby się zakryć. Odśloniła całe ciało, rozstępy, zalaną łzami twarz i niemowlę.

– Przykro mi, Barbaro – udało jej się wydusić. – Colin twierdził, że od ciebie odszedł. Gdybym wiedziała, nie związałabym się z nim.

– Och, daruj sobie. Nie musisz mnie żałować – odparła Barbara. – To ciebie mi żal. Domyślasz się chyba, że nie jesteś jego pierwszą. – Podeszła do auta od strony kierowcy. Colin już siedział w środku.

Anne przez moment marzyła, by zamknąć oczy i stać się niewidzialna, tak jak w dzieciństwie pozwalał jej wierzyć ojciec: „jeśli nie widzisz mnie, ja nie widzę ciebie”.

Musiała jednak stać samotnie na rozgrzanym chodniku z dzieckiem na ręce, paląc się ze wstydu, kiedy samochód odjeżdżał, a ci, którzy wyszli z baru, oglądali scenę ukazującą prawdziwą Anne: kobietę sypiającą z żonatym mężczyzną.

Mateo natychmiast ją zwolnił.

– Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś taka.

– Ja też nigdy bym nie pomyślała – odparła i odeszła razem z dzieckiem. Nie wróciła nawet do baru po ostatnią wypłatę.

A teraz, w przegrzanym małym pokoju na trzecim piętrze Hotelu nad Zatoką Szaleńców Lucy właśnie się budziła, radosna i gaworząca. Anne nakarmiła małą i włożyła ją do łóżeczka, a sama wzięła prysznic i się ubrała. Później zniosła Lucy na śniadanie trzy piętra w dół po wąskich schodach.

Na szczęście był wczesny poniedziałkowy ranek, więc nikt z gości hotelowych jeszcze nie wstał. Rodrigo, brazylijski kucharz, który od trzydziestu lat przygotowywał posiłki w kuchni hotelowej, ucieszył się na widok Anne. Rozczulił się nad Lucy i wziął ją na kilka minut, by Anne mogła zjeść. Nałożyła sobie z bemałów stos jajeczniczy, parówek i naleśników i poczuła, że powoli odzyskuje siły, jedząc w tej eleganckiej sali, przy wykrochmalonych białych obrusach i wazonach ze świeżymi kwiatami.

Razem z siostrami uwielbiały się tutaj bawić w te rzadkie dni, kiedy hotel

był pusty. Kłóciły się, która będzie królową, a która najładniejszą królową. Czasami, kiedy matka pracowała w swoim biurze, podkradały z półek porcelanowe filiżanki. Anne lubiła również pomagać w kuchni. Obierała ziemniaki, mieszała składniki, rozbijała jajka i oddzielała żółtka od białek, układała sałatę na kolacje. Rodrigo miał dla niej specjalny stołek i składał na pół jeden ze swoich fartuchów. Uwielbiała wysokie, lśniące garnki, a także półki pełne kuchennych przyrządów i urządzeń: maszynki do makaronu, kawiarki, elektryczne blendery, tarki do czekolady, młynki do pieprzu. Ale najbardziej kochała kojącą symfonię przykrywek drżących na garnkach, łyżek uderzających o miski, syczącą parę, wirujące miksery i niski głos Rodriga komenderujący personelem. To było przeciwieństwo pełnego napięcia matczynego milczenia i rozkazów wydawanych syczącym głosem.

– Proszę, kogo to wiatr przywiał.

Anne nie słyszała, jak ciotka Flossie wchodzi do jadalni. Zerwała się i przytuliła kościste ramiona.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – powiedziała.

– Ja też, ale nie musisz łamać mi żeber – odparła Flossie. – Usiądź, dziewczyno, zanim przebiją mi płuca.

Anne zaśmiała się i uwolniła ciotkę.

– Jak się masz? Doskonale wyglądasz.

– Najwyraźniej mam się lepiej od ciebie. W te worki pod twoimi oczami wpakowałabym dwie zmiany pościeli.

Flossie była starszą siostrą ich ojca. Panią po siedemdziesiątce, ale wciąż w formie. Ćwiczyła jogę i każdego ranka, nawet w mroźne dni, spacerowała z psem po ścieżkach Halibut Point. Zimą nakładała na buty kolce. Krótkie, lśniące, kasztanowe włosy były poprzetykane siwymi pasemkami, ale skóra wciąż miała zdrowy blask, typowy dla człowieka, który więcej czasu spędzał na dworze niż w domu. Flossie zwykle nosiła bawełniane spodnie do jogi, bluzę i adidasy, które latem zmieniała na birkenstocki.

– Twoja ciotka wygląda jak bezdomna hipiska – narzekała Sarah. – Nie znoszę, jak przechadza się wśród gości.

Za to goście wydawali się nią oczarowani. Dorosłym robiła wykłady o miejscowej historii, dzieciom natomiast opowiadała szalone opowieści o gadających lisach, czarodziejskich sowach śnieżnych i chodziła z nimi po skałach.

Ciotka naląła sobie kawy i usiadła przy stoliku. Mogła robić sobie śniadania we własnym domu na dole wzgórza, niedaleko hotelu, ale przychodziła tutaj, bo to denerwowało Sarah. Okazało się, że właśnie wróciła z weekendu w jakimś ośrodku jogi.

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy twoja matka powiedziała, że przyjechałaś.

– Ja też nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

Flossie uniosła podbródek w stronę ganku, na którym Rodrigo huśtał Lucy na rękach.

– Urocze dziecko. Nowa wnuczka?

Anne dopiero po chwili zrozumiała, że Flossie uznała Lucy za członka rozległej rodziny Rodriga – wszyscy mieszkali w Gloucester, a Sarah z zaskakującą tolerancją przyjmowała dzieci i wnuki swojego kucharza. Co roku w Boże Narodzenie wydawała nawet wielkie przyjęcie dla pracowników kuchni i wszystkie ich dzieci dostawały prezenty pod wielką hotelową choinką.

Najwidoczniej matka uznała, że Flossie nie musi wiedzieć wszystkiego o sytuacji Anne.

– Hm, no nie – powiedziała w końcu. – Ta jest moja.

Ciotka uniosła filiżankę, zmierzyła Anne wzrokiem nad jej krawędzią, upiła głośny łyk i skinęła głową. Kolejną rzeczą, która irytowała Sarah, był absolutny brak manier przy stole.

– No cóż. Z pewnością potrafisz sprawić, by serce starej kobiety przyspieszyło. Gratulacje. Albo wyrazy współczucia, co wolisz.

– Gratulacje. Dziękuję.

– Nie ma za co. Zawsze wiedziałam, że będziesz cudowną matką.

– Nie wiesz tego – sprostowała Anne. – Nawet ja tego nie wiem.

– Ależ wiem. I ty z czasem także zrozumiesz. – Flossie odstawiła filiżankę. – Przyszło ci w ogóle do głowy, żeby nas zawiadomić o jej narodzinach?

– Zamierzałam zrobić wam świąteczną niespodziankę. – Anne bawiła się widelcem. – Nie napisałam, bo nie byłam pewna, jak mama zareaguje na drugą wnuczkę, zwłaszcza że nie jestem mężatką. Uznałam, że powinnam przedstawić Lucy osobiście.

– No tak. Fakt dokonany. I jak zareagowała Sarah?

– Cóż, jeszcze nie poszczuła mnie psami.

– Miło z jej strony.

Skończyły śniadanie, a Flossie opowiadała o swoim wyjeździe na jogę, minionym letnim sezonie w hotelu, różnych zajęciach, które prowadziła w swoim domowym studiu, o stajniach Laury i praktyce dentystycznej Jake'a.

– A co u Kennedy? W zeszłym miesiącu skończyła trzynaście lat. – Anne poczuła wyrzuty sumienia, że nie wysłała dziewczynce prezentu. Nawet kartki z życzeniami. Laura zabroniła siostrze jakichkolwiek kontaktów ze swoją rodziną.

– Jak się miewa?

– Och, jest w depresji, jak wszystkie dziewczynki w tym wieku – odparła Flossie. – A ty?

Anne chciała opowiedzieć o wszystkim ciotce, ale goście zaczęli schodzić się na śniadanie i Rodrigo musiał wrócić do pracy. Oddał jej Lucy, która usadowiła

się na kolanach matki, od razu poprawiając jej humor.

– Wszystko dobrze – odparła tylko. – Potrzebowałam jedynie chwilowej odmiany.

– Wracasz po śniadaniu do apartamentu matki? – Flossie wyciągnęła rękę, by połaskotać stopę Lucy, wywołując u małej uśmiech. – Mogę ci podrzucić trochę zabawek. Mam wciąż w szafie jedno pudełko z czasów, kiedy u mnie bywałyście.

– Dzięki, ale lepiej tego nie rób. Mama umieściła nas na trzecim piętrze we wschodnim skrzydle. Nie ma tam miejsca na zabawki. Przyniosę do ciebie Lucy, żeby mogła się nimi pobawić.

Flossie się skrzywiła.

– Matka dała tobie i dziecku pokój na trzecim piętrze, na które wchodzi się tymi koszmarnymi krętymi schodami? To śmieszne! Co ona sobie myślała? Nie możesz tam mieszkać. Przenieś się do mnie. Znajdę kogoś, kto przyjdzie posprzątać Barkę, i za kilka dni możecie z Lucy tam zamieszkać na tak długo, jak zechcesz.

– Ależ nie mogę – odparła Anne, choć od razu wyobraziła sobie usytuowany na skalnym występie nad plażą niewielki dom Flossie, którego okna sypialni wychodziły na ocean, a na wąskim ganku stały bujane fotele. „Barka”, jak od zawsze Flossie nazywała domek dozorca, byłaby idealnym miejscem, by się zabunkrować i lizać rany.

– Oczywiście, że możesz. Załatwione. – Flossie odsunęła się od stołu i wstała. – Opowiesz mi wszystko przy butelce wina, jak tylko się wprowadzicie.

Może nie wszystko, pomyślała Anne, ale także się podniosła i uściskała ciotkę.

Sarah nie mogła uwierzyć, kiedy Anne pojawiła się w recepcji i oznajmiła, że razem z dzieckiem przenosi się do Flossie, do tego jej okropnego małego domku. Ale tak naprawdę wcale się nie zdziwiła: szwagierka zawsze lubiła się wtrącać, szczególnie gdy chodziło o Anne. Rozpuszczała ją, dlatego Anne nigdy nie nauczyła się dyscypliny. Zdaniem Sarah to Flossie można by obwiniać o sytuację, w której znalazła się teraz jej córka.

Z dziećmi należało postępować zdecydowanie. W dzisiejszych czasach zbyt wielu dorosłych – w tym również, niestety, Laura – dawało swoim dzieciom wszystko, o co prosiły, przez co młodzi, kiedy już wygrzebali się z rodzinnego gniazda na ostre słońce prawdziwego życia, okazywali się bezradni. Przykładów nie trzeba było szukać daleko – choćby hotelowy personel. Niektórzy byli po trzydziestce, a nie mieli własnego auta, kredytu hipotecznego ani celu w życiu. Sarah wychowywała Anne twardą ręką, podobnie jak Laurę oraz Elly, ale wszystkie trzy były niepozobierane. Co za paradoks. Cóż, faktem jest, że córki trudniej wychować niż synów. Choć niektórzy twierdzili, że zajmowanie się chłopcami jest dużym wyzwaniem, Sarah z tą opinią się nie zgadzała. Chłopcy –

a potem mężczyźni – to proste istoty z prostymi potrzebami. Albo są zadowoleni, albo źli, niewiele zostaje pomiędzy.

– Przyjechał wujek Gil – zaanonsowała Rhonda, zaglądając do biura Sarah. Brzmiała podejrzenie radośnie, choć wiedziała, że Sarah idzie na tę randkę tylko dlatego, by zrobić jej przysługę.

– Dziękuję. Powiedz mu, że zejdę za chwilę.

– Dobrze. Mogę mu zaproponować kawę?

– Oczywiście. – Sarah skinęła głową.

Przestrzegając zwyczaju, by drzwi do jej gabinetu pozostawały otwarte, aby mogła mieć oko na recepcję. Starannie szkoliła swoich pracowników, szczególnie odbierających telefony i przyjmujących rezerwacje, bo to oni byli twarzami i głosami Hotelu nad Zatoką Szaleńców. Chciała być blisko, przede wszystkim w trakcie porannych wymeldowań i popołudniowych zameldowań, osobiście też witała gości, jeśli tylko mogła. Ludzie pamiętali takie drobiazgi.

Rhonda była ulubioną pracownicą Sarah. Zatrudniła ją w recepcji dwie dekady temu, bo ta dziewczyna – cóż, teraz ma koło pięćdziesiątki i dzieci na studiach – była dość wysoka, by budzić respekt, i miała wspaniałe gęste ciemne włosy. Na początku Sarah była przekonana, że Rhonda nosi perukę. Jej matka dorastała w Anglii, córka miała więc odpowiednią wymowę i ślad brytyjskiego akcentu. Idealnie pasowała, by reklamować swoim głosem coraz bardziej popularny hotel, w którym „możesz świętować najlepsze chwile w życiu” – jak brzmiał najnowszy slogan reklamowy wymyślony przez Sarah. Niezbyt oryginalny. Była tego świadoma, ale odbiorcy czasem reagowali lepiej na znajome frazy.

Rhonda ponownie pojawiła się w drzwiach i zakładając ręce, spojrzała na Sarah znad błękitnych oprawek okularów.

– Zaniośłam mu kawę – oznajmiła. – Mówi, żeby się pani nie spieszyła. Powiedziałam, że ma poczekać pięć minut. – Zatupała, by podkreślić czas.

– Pięć minut – potwierdziła Sarah, ale po wyjściu Rhondy nie mogła powstrzymać westchnięcia. Nie zgodziłaby się na to absurdałne wyjście, gdyby o przysługę poprosił ktoś inny niż Rhonda, która wyznała, że jej wuj jest samotny. Mniej więcej pięć lat po odejściu Neila, gdy stało się jasne, że mąż nie wróci, Sarah zaczęła spotykać się z innymi mężczyznami. Wśród nich pojawiło się kilku biznesmenów, architekt, bankier, a nawet były senator. W końcu dała sobie spokój. Z mężczyznami jest za dużo zachodu. A poza tym ci, którzy interesowali się Sarah, byli już tak starzy, że skończyłaby jako ich pielęgniarka. Nie, raczej nie skorzysta.

Nigdy nie zdecydowała się oficjalnie rozwieść z Neilem i wciąż nosiła obrączkę. Większość ludzi myślała więc, że Sarah jest wdową. A jej było dobrze – finansowo, emocjonalnie, fizycznie. Poza prowadzeniem hotelu przyjęła inne obowiązki, członkostwo w stowarzyszeniach sztuk pięknych i muzycznym. Przyjaciół. Córki, choć poza Laurą miała z nimi rzadki kontakt. Czasami

podejrzewała, że Laura pojawia się tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy.

Zresztą nie miała już ochoty na kontakty towarzyskie, z wyjątkiem dbania o swoich gości. Jedyne, czego jej było trzeba, by czuć zadowolenie, to własne towarzystwo i sanktuarium uporządkowanego hotelowego apartamentu.

Ale miesiąc temu Rhonda wspomniała o swoim wuju Gilu, wdowcu, który niedawno przeprowadził się do Rockport.

– Chciałabym, żebyście się poznali – powiedziała wtedy. – Wujek Gil nikogo tu nie zna, a pani mogłaby mu tyle opowiedzieć o okolicy. Może choć lunch w hotelu? Na pewno się polubicie.

Sarah wątpiła w to. Niewielu ludzi lubiła. Ale Rhonda była dla niej jak kolejna córka, a kiedy zaczęła naciskać, Sarah zrozumiała, że dla świętego spokoju powinna ustąpić. Zgodziła się na lunch w hotelu, nie musiała dzięki temu nawet wkładać płaszcza.

– Pani Bradford?

Sarah uniosła głowę i zobaczyła w drzwiach biura szefową pokojówek Betty.

– Tak?

– Goście z pokoju dwieście dwanaście jeszcze się nie wymeldowali – powiedziała Betty. – Chciałam się upewnić, że nie prosili o późniejszy check-out, zanim każe komuś zapukać do drzwi.

Sarah pokręciła głową.

– Tylko goście z apartamentu ślubnego prosili dzisiaj o późne wymeldowanie. Zapytaj Rhondę, do dwieście dwanaście chyba nikt dziś nie przyjeżdża. Jeśli chcą zostać do popołudnia, możemy policzyć im za pół doby.

– Dobrze. – Betty spojrzała z zaciekawieniem. – Dobrze się pani czuje? Wydaje się pani blada.

– Oczywiście. Muszę się tylko napić herbaty.

– Zaraz przyniosę, pani Bradford.

– Dziękuję, Betty, ale nie ma potrzeby. Zaraz siądę do lunchu w jadalni.

Betty nie ukrywała zdziwienia – szefowa zwykle jadła lunch w apartamencie – ale Sarah mogłaby założyć się o swoje najlepsze perły, że Betty wiedziała o tej randce kilka sekund po tym, jak ona się na nią zgodziła: Hotel nad Zatoką Szaleńców, podobnie jak większość dobrze prowadzonych obiektów, działał jak jeden organizm.

– Miłego spotkania, pani Bradford – powiedziała Betty i odeszła.

Sarah znów spojrzała na biurko, na stos broszur czekających, aby je wysłać do osób, którym wciąż jakimś cudem nie udawało się ściągnąć formularzy ze strony internetowej. Od godziny automatycznie pakowała je do kopert, myśląc o Laurze i tej okropnej scenie z Kennedy, i o tym, czy powinna była powiedzieć Laurze o dziecku Anne.

Nie zrobiła tego, bo między córkami coś było nie tak, a Laura już i tak

zdawała się dźwigać na barkach ciężar całego świata. Kiedy w sobotni rano skończyły układać kwiaty, Sarah patrzyła, jak Laura i Kennedy idą podjazdem, obie przysadziście, ze schyłonymi głowami, jakby były mleczarkami ze wsi dźwigającymi na ramionach wiadra z mlekiem. Ten widok obudził w niej wściekłość. Miała ochotę wezwać córkę i wnuczkę do środka i powiedzieć, że one również mają kręgosłupy, mimo tego, co najwyraźniej o sobie myślały.

Kiedyś tak bardzo wierzyła w Laurę. Ostatnio jednak martwiła się o jej małżeństwo i stan psychiczny. Miała nadzieję, że to nie depresja zmieniła jej najporządniejsze dziecko w zmęczoną kobietę, która nigdy się nie malowała i której zawsze brakowało do pierwszego. Przypuszczała, że to przez Jake'a, ale co dokładnie się działo?

Zniecierpliwna Sarah – zajęta spekulacjami i rozdarta, co nigdy w niczym nie pomagało – narzuciła kremowy kaszmirowy kardigan na granatową wełnianą sukienkę, wzięła torebkę i zamknęła biuro. Lepiej mieć tę randkę z głowy i wrócić do pracy.

– To niemożliwe, że dzisiaj pracujesz – zdziwiła się Laura, kiedy Jake oznajmił, że w niedzielę musi pojechać do gabinetu.

Czytali gazety przy kuchennym stole po śniadaniu. To był jeden z ulubionych rytuałów Laury. W większość weekendów Kennedy spała do późna, więc Laura mogła spędzić trochę czasu sam na sam z mężem.

Co niedziela wczesnym rankiem najpierw szła do stajni nakarmić i oporządzić konie. Potem przyrządzała specjalne świąteczne śniadanie: gofry, kielbaski albo jajka po benedyktyńsku. Robiła tak, odkąd się pobrali, by pamiętać o tym wspaniałym czasie, kiedy byli młodzi i tak zakochani, że postanowili dla siebie nawzajem zmienić życie.

Tego ranka, z powodu przyjazdu Anne w poprzedni weekend, Laura przeszła na dietę, by schudnąć w talii. Zrobiła jajka w koszulkach na szpinaku. Żadnych muffinów, żadnego sosu holenderskiego. Tylko niewinny kawałek melona na talerzu. Jake nie narzekał na mniejsze niż zwykle śniadanie. Patrząc, jak mąż przełyka kolejne kęsy, Laura pomyślała, że chyba nawet nie czuje smaku. Potem, gdy ona piła drugą filiżankę kawy, Jake wstał od stołu. Teraz pochylał się, by pocałować ją w czoło. Pachniał miętowym płynem do płukania ust. Ciemne, krótkie z boku i dłuższe z tyłu włosy zaczesał do tyłu.

– Nie pierwszy raz jadę do pracy w niedzielę, Lauro. Wiesz o tym doskonale. A to pilne wezwanie do ekstrakcji. Naprawdę chciałabyś, żeby ta biedna pacjentka cierpiała do jutra?

Laura odstawiła filiżankę. Mąż miał rację: kilka razy w roku w weekendy wzywano go do nagłych przypadków. Zawiązała ciasniej pasek kraciastego flanelowego szlafroka, podczas gdy mąż zaglądał do swojej teczki i sprawdzał jej zawartość. Teczka była jednocześnie plecakiem; Jake codziennie przejeżdżał na

rowerze dziesięciokilometrową trasę do biura w Gloucester, nawet w deszczu, a w plecaku zwykle woził laptopa i posiłek. Między innymi dzięki temu wciąż wyglądał na trzydziestolatka. Laura natomiast wyglądem przypominała babcię. Jak to możliwe, że zupełnie inaczej się zestarzelili?

– Obiecałeś, że będziesz mniej pracował – powiedziała.

– Jeśli to zrobię, zostanie nam jeszcze mniej pieniędzy niż teraz, a i tak mam wyrzuty sumienia, że musimy prosić twoją mamę o pomoc w opłaceniu czesnego za szkołę Kennedy. – Jake spojrział na zegarek.

– Wiem. I doceniam to, jak ciężko pracujesz – westchnęła. – Ale w ogóle nie spędzamy czasu razem, jak rodzina.

Jake przestępował z nogi na nogę.

– W zeszłą niedzielę zabraliśmy Kennedy na zakupy. A ona jest już coraz starsza, Lauro. Nie chce z nami spędzać czasu.

– I właśnie dlatego powinniśmy to robić! Ani się obejrzymy, jak wyjedzie do college'u! Kiedy ostatnio naprawdę z nią porozmawiałeś? Albo zabrałeś na rower?

Albo dałeś do zrozumienia, że chcesz spędzić trochę czasu ze mną? – dodała w myślach.

Jake położył dłoń na jej ramieniu i po przyjacielsku ścisnął.

– Obiecuję, że następnego weekend będę miał wolny. Może pójdziemy na porządny spacer do parku Ravenswood albo gdzie indziej. Posłuchaj, przepraszam, ale muszę już lecieć. – Pochylił się i pocałował Laurę ponownie, tym razem w czubek głowy, a potem wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Laura powinna się cieszyć, że ten spokojny niedzielny poranek ma tylko dla siebie. Córka jeszcze spała na górze. Dopiero wieczorem będzie musiała popracować w stajniach i oporządzić konie, dać im ziarna i dolać wody. Aż do jutra żadnych lekcji. To rzadka przyjemność mieć tyle wolnego. Tyle że wcale nie chciała zostać sama. Chciała, by byli rodziną, a nie trzema osobnymi istotami rozchodzącymi się w różnych kierunkach. Dorastała z samotną matką, zbyt zajęta, by spędzać czas z dziećmi, dlatego tak bardzo pragnęła dać Kennedy stabilizację, której brakowało jej i siostrze. A oprócz tego, dlaczego Jake nie mógł zrozumieć, że nie każdy w tej rodzinie skacze z radości na myśl o kolejnej pieszej wędrówce?

Tak naprawdę Laurę dręczyło coś innego: nie wierzyła, że mąż naprawdę pojechał do pracy. Przecież zabrałby ze sobą komputer, tymczasem laptop stał na kuchennym blacie, srebrny i zgrabny, jakby się z niej śmiał.

Jake nie wspominał tego ranka o Anne, nawet kiedy przy śniadaniu Laura rzuciła niezobowiązująco, że jej młodsza siostra „być może się pojawi”. Teraz niepokój rósł, a napędzana kofeiną wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. A jeśli Anne w tajemnicy pisała do Jake'a esemesy? A jeśli przez cały ten czas byli w kontakcie? Przecież to możliwe. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Laura dowiedziała się, że łatwo jest zwodzić swojego partnera. Jeszcze tego ranka,

będąc w stajni, odpowiedziała na trzy wiadomości od Toma, a potem wszystkie skasowała, mimo że przyszły na jej drugi telefon, który kupiła, by rachunek nie pojawiał się w rodzinnym abonamencie.

Laura sprzątnęła naczynia po śniadaniu, zmuszając się, by nie myśleć o Tomie. To żaden problem, przypomniała sobie. Zaledwie internetowa znajomość. Wirtualny flirt, nic więcej. Może go zakończyć, gdy tylko zechce.

Dobrze, że jutro przyjeżdża Elly. Tylko jej Laura opowiedziała o Jake'u i Anne. Myjąc naczynia i niczym robot poruszając się po kuchni, sprzątając i czyszcząc, Laura odtwarzała w pamięci tamten koszmary dzień dokładnie tak, jak opisywała go Elly.

Trzy lata wcześniej zabrała Kennedy na weekend do przyjaciół w Maine, podczas gdy Jake był na jakiejś konferencji. Anne pracowała jako nauczycielka, lato miała wolne, więc Laura poprosiła ją, by zamieszkała u nich i zajęła się końmi. Proponowała nawet, że zapłaci, ale siostra odmówiła.

– Dla mnie to też wakacje, kiedy mogę uciec z mojego małego, gorącego mieszkania – powiedziała wtedy. – A ty zasługujesz na przerwę.

Anne zawsze była wspinałomyślna. Ale przyciągała również facetów – mieszanka siły i kruchości, chłopczyca o figurze gwiazdy filmowej i smagłej skórze. W zależności od nastroju jej oczy zmieniały kolor z błękitnych na srebrne, miała też rude włosy – nie okropne, marchewkowe, ale miedziane. Kiedy dorastały, Laura często zazdrościła Anne urody. Bardziej niż Elly, choć to średnią siostrę można było określić mianem klasycznej piękności – miała długie nogi, wyraziste kości policzkowe i proste jasne włosy.

Mimo to Laurze nigdy nie przyszłoby do głowy, że Anne spróbuje podkraść jej męża. Tego ranka, kiedy Laura i Kennedy wróciły z Maine, Anne zdążyła już wyjechać. Laura była rozczarowana – liczyła na siostrzany wieczór na mieście, by podziękować za opiekę nad domem.

Kiedy Laura zapytała Jake'a, dlaczego Anne tak szybko wyjechała, mąż tylko wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł.

Z jego dziwnego milczenia Laura wywnioskowała, że coś się wydarzyło, i nie przestawała wypytywać. W końcu Jake się zirytował i oznajmił, że po kolacji muszą „poważnie porozmawiać”. Mimo tego ostrzeżenia Laura była niemile zaskoczona. Tematem „poważnych” rozmów między nimi zwykle były pieniądze – muszą zacisnąć pasa, rzadziej chodzić do restauracji, kupować mniej ubrań itd. Znała to na pamięć. Posłała Kennedy do łóżka wcześniej niż zwykle, naląła sobie spory kieliszek wina i dołączyła do Jake'a w salonie. „Spory” to mało powiedziane – czerwony płyn się przelał. Krwistej plamy z białego berberyjskiego dywanu nie dało się sprać. Potem z wściekłością zwinęła dywan i pocięła go kuchennymi nożycami. Nie mogłaby wciąż patrzeć na tę plamę, wiedząc, z czym się wiąże.

Kiedy Laura usiadła na kanapie w salonie, Jake wyciągnął puf i przysiadł przed żoną, zwieszając ręce między kolanami.

– Słuchaj, przepraszam, ale muszę być z tobą szczerzy – zaczął. – Przede wszystkim chcę powiedzieć, że z premedytacją nigdy nie skrzywdziłbym ciebie ani Kennedy.

Żołądek Laury natychmiast zwinął się w supeł. Dokończyła tanie wino małymi, nerwowymi łykami, od których zapiekło ją w gardle.

– Wow, wytrawny ten merlot – powiedziała, nie chcąc, by Jake mówił dalej.

Ale on kontynuował, splatając palce i pocierając kciukiem o prostą złotą obrączkę. Miał za długą grzywkę. Laura chciała wrzasnąć, by przestał chować się za włosami, za co często ganiła też Kennedy. Ale milczała, choć instynktownie wiedziała już, że gdy ta rozmowa dobiegnie końca, ich związek runie z klifu prosto w spienione wody skomplikowanych małżeństw. Wiedziała również, że wybaczy Jake'owi, cokolwiek zrobił. Laura nie wyobrażała sobie bez niego życia. Kochała go od czasu studiów. Razem wchodzili w dorosłe życie.

Jake powiedział, że kiedy przyjechał z lotniska o drugiej nad ranem, światła na dole były zgaszone, ale w pokoju gościnnym wciąż się świeciło.

– Nie chciałem przestraszyć Anne, więc zawołałem ją po imieniu, gdy tylko wszedłem na górę.

Laura z trudem powstrzymała się, by nie wybiec z pokoju. Nie chciała słyszeć ani słowa więcej.

– Jestem pewna, że się ciebie spodziewała. Wiedziała, że wracasz do domu. Wysłałam jej nawet informacje o twoim locie.

– Wiem. O wszystko dbasz. – Głos Jake'a się załamał. – Dlatego tak mi trudno.

– Na Boga, Jake, po prostu mów! – zawołała Laura. – Przespałeś się z moją siostrą? O to chodzi? – Włożyła dłonie pod uda, które zaczęły drżeć. Cała się trzęsła, jakby brała ją grypa.

– Nie – odparł. – Ale prawie.

– Co to niby znaczy? – wykrzyknęła. – Prawie? Jesteś w liceum czy co? Zaliczyliście pierwszą bazę? Drugą? Trzecią? Z moją własną siostrą?

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej kolana, ale mina Laury go powstrzymała. Złożył dłonie na kolanach.

– Drzwi do pokoju gościnnego były uchylone – mówił. – Więc zajrzałem, żeby jej powiedzieć dobranoc. Anne poprosiła, żebym wszedł i opowiedział jej o wyjeździe.

– No dobra. – Laura wpatrywała się w dłonie Jake'a. – I co potem?

– Powiedziała, że cieszy się, że wróciłem, bo o mnie myślała. Fantazjowała.

– Dokładnie tak powiedziała? – Laura podniosła wzrok i spojrzała mężowi w twarz.

Skinął głową.

– Uznałem, że coś źle usłyszałem. Ale tak powiedziała. Zapytałem, dlaczego, a wtedy ona wyszła z łóżka i do mnie podeszła. – Urwał. – Rany boskie, Lauro. To nie jest łatwe. Tak mi wstyd. I nie chcę, żebyś znenawidziła swoją siostrę.

– Mów. – Ale z łatwością mogła zgadnąć. Widziała już Anne w akcji. Jej siostrzyczka zawsze dostawała to, czego pragnęła.

Szczególnie jeśli akurat zapragnęła mężczyzny. Jeszcze w liceum Anne udało się przespać z Sebastianem Martinsonem, który gdy ona była w drugiej klasie, studiował już na Yale. Pewnego wieczoru Laura przyłapała ich na imprezie, zobaczyła splątane kończyny w samochodzie, rude włosy siostry lśniły w świetle latarni, a jej śnieżnobiałe nogi obejmowały mężczyznę w pasie.

– Mów – powtórzyła, choć wolałaby zakryć uszy.

– Niełatwo mi o tym opowiadać, skarbie, naprawdę – ciągnął Jake. – Anne była naga, ale i tak wyszła z łóżka. Byłem zbyt zszokowany, by się ruszyć. Objęła mnie za szyję i zaczęła całować, przyciskając się. Myślę, że była pijana. – Skrzywił się. – Przysięgam, że nic więcej się nie wydarzyło. Uciekłem stamtąd tak szybko, jak się dało. I to twoja siostra! Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Laura pogłaskała męża po schylonej głowie, uciszając go i z ulgą przyjmując, że jego wyznanie skończyło się w tym momencie, a nie tam, gdzie zawędrowała jej wyobraźnia.

– Nie zrobiłeś nic złego – stwierdziła. – Nic się nie stało. Wszystko z nami w porządku. Anne zawsze była szalona. Każdy inny facet by się z nią przespał, a ty nie uległeś. Tylko to się liczy.

– Bo za bardzo cię kocham – wyznał Jake, przyciskając dłoń żony do ust. – Nigdy bym ci tego nie zrobił.

– Wiem – odparła i go pocałowała.

Potem pojechała do mieszkania siostry, przekraczając prędkość, zanim jeszcze zjechała z podjazdu. Anne wszystkiego się wyparła. Opowiedziała zupełnie inną wersję wydarzeń, w którą Laura nie wierzyła nawet przez minutę. A ponieważ w Boże Narodzenie dwa lata temu znowu przyłapała ich razem, była już pewna, że Anne nie można ufać, gdy chodzi o Jake'a.

Teraz wstała od stołu i zaczęła mechanicznie układać gazety. Przecież Jake nie pojechałby tak po prostu spotkać się z Anne. Dlaczego nie, skoro Anne przechodziła jakiś kryzys i z tego powodu przyjechała do Zatoki Szaleńców.

Laura włożyła naczynia do zmywarki, wytarła blat i pobiegła na górę się ubrać. Kwadrans później siedziała już w samochodzie, jadąc do gabinetu Jake'a w Gloucester. Musiała na własne oczy zobaczyć stojący pod nim rower męża. Prowadziła jak zawsze, trzymając kierownicę jedną ręką, z radiem włączonym na cały regulator, nie zastanawiając się nad prędkością. Znała te drogi tak dobrze, że mogła po nich jechać z zamkniętymi oczami. Nie minął kwadrans,

a była już przed gabinetem Jake'a. W nocy musiało tu padać, na asfalcie dostrzegła kałuże lśniące niczym lustra. Zaparkowała i siedziała w aucie, nie wyłączając silnika. Rower Jake'a był na miejscu, przypięty do stojaka. Mąż mówił prawdę! Laura zarumieniła się ze wstydu. Nie powinna w niego wątpić.

Zawibrował jej telefon na kartę. Wiedziała, który to, ponieważ drugi miał ustawiony krzykliwy dzwonek wybrany przez Kennedy. Ten brzmiał jak pszczoła uwieczona w słoiku. Laura drżącymi palcami wyjęła aparat z torebki. Tom, oczywiście. Nikt inny nie miał tego numeru. Zerknęła szybko na ekran z głupią obawą, że zobaczy ją Jake i jakimś cudem domyśli się, co robi. Co za bezsensowny strach. Zresztą nie robiła przecież nic złego. Jeszcze nie.

Spojrzała na ekran i uśmiechnęła się, widząc, że Tom przesłał jej zdjęcie szyldu reklamującego pokazy jeździeckie w Hamilton. „Świat bardzo się stara, bym wszędzie cię widział” – napisał. „Startujesz w tych zawodach? Przyszedłbym pokibicować”.

Laura oparła się o zagłówek. Powinna to przerwać od razu. Napisać, że to koniec, a potem wrzucić telefon do śmietnika. Przez kilka miesięcy prowadziła nieszkodliwy, wirtualny i miły romansik, ale nie zamierzała zdradzać Jake'a.

„Jesteś tam?” Kolejny esemes.

Laura wrzuciła komórkę do torebki i spanikowana wyjechała z parkingu.

Ich drugi lunch – Sarah upierała się, by nie nazywać go „randką”, bez względu na to, jak bardzo podekscytowana była Rhonda machająca im na do widzenia – okazał się jeszcze większą pomyłką. Sarah wiedziała, że tak będzie, gdy tylko Gil Mandel zaprowadził ją do swojego niebieskiego samochodu. Był przysadzistym mężczyzną w starannie odprasowanych spodniach khaki i granatowej koszulce polo. Według Rhondy musiał sam uprasować sobie spodnie, bo jego żona nie żyła od roku. Ale czy Sarah miała jakiś wybór? Oto Gil w spodniach w kancik, szarmancko otwierający drzwi swojego subaru. Zatknęła więc poły karmelowego płaszcza z wielbłądziej wełny między nogi i umościła się w fotelu pasażera. Przynajmniej po podłodze nie wałały się okruchy ani puste puszki; nie znosiła ludzi jedzących w samochodach.

Droga na północ, do restauracji nad wodą w Newburyport, zajęła im pół godziny. Sarah sama wybrała to miejsce, gdyż nie chciała spotkać nikogo znajomego. Przydałby się jej porządny drink; zamówiła manhattan i od razu się uspokoiła, gdy podano jej kieliszek, choć przy okazji zauważyła, że szklanki do wody są zmatowiały. Może powinna zamienić słowo z kelnerką i zasugerować, że powinni dodawać nabłyszczacz do zmywarki.

Zamówili dania u dziewczyny, która zwracała się do nich, tytułując ich swobodnie „moi drodzy przyjaciele”, i radośnie oznajmiła, że „dobrze się nimi zaopiekuje”, na co Gil wyrócił oczami w kierunku Sarah. Ona jednak słowami kelnerki mniej się przejęła niż spojrzeniem, którym ich obdarzyła. Wyobraziła sobie, jak dziewczę, pewnie koło trzydziestki, wraca do kuchni i zachwyca się „tą uroczą parą starszków przy stoliku numer pięć”.

Słyszała nieraz, jak jej personel rozpływał się nad starszymi parami, jakby mężczyźnie i kobiecie pod siedemdziesiątkę dotrzymującym sobie towarzystwa należało się albo współczucie, albo zachwyty. Młodzi nie wyobrażali sobie siebie w tym wieku, nie wierzyli, że ewentualna namiętność może sprowokować ludzi o pomarszczonej skórze do połączenia swoich ciał w chwili zapomnienia. Zapomnienie i namiętność były dla młodych. Sarah niemal się skusiła, by pochylić się i pocałować Gila tylko po to, by zszokować cholerną kelnerkę. Wtedy już nie uważałyby ich za uroczych. Zamiast tego skupiła się na karcie dań. Wybrała grillowane przegrzebki na szpinaku, Gil zamówił pieczonego faszerowanego łupacza. Kelnerka rzuciła im kolejne pełne sympatii spojrzenie, a potem zaszeleściła swoimi rajstopami i poliestrem i wróciła do kuchni.

No dobrze. Im szybciej zjedzą, tym prędzej będzie mogła wrócić do hotelu. Zgodziła się na to drugie spotkanie z Gilem tylko z poczucia winy: pierwszy lunch w hotelu został gwałtownie przerwany, kiedy zapach dymu sprowokował jednego z gości do wezwania straży pożarnej. Pożaru nie było, jedynie przepalona

i dymiąca listwa elektryczna, ale cały hotel ewakuowano na dwie godziny. Sarah przeprosiła Gila i zajęła się obłaskawianiem kilkorga gości, którzy przyjechali w środku tygodnia.

Widok na rzekę Merrimack był stąd niesamowity. Dzięki późnopołudniowemu słońcu trawa miała kolor palonej miedzi, a rzeka zdawała się jaskrawobłękitna. Było tak ciepło, że na wodzie wciąż pływało kilka łodzi.

– Doceniam to, że mimo tak wielu zajęć znalazłaś znowu czas na spotkanie – powiedział Gil. Mówił równie starannie jak Rhonda i tak jak ona miał gęste kręcone czarne włosy, choć przyprószone siwizną. Był młodszym bratem matki Rhondy, przez czterdzieści lat żonatym. Jego żona zmarła nagle w zeszłym roku na raka trzustki. Mieli dwóch dorosłych synów.

– Tak, cóż, Rhonda chyba sądzi, że potrzebujesz przewodnika, bo niedawno się tutaj sprowadziłaś. A Rhonda jest mi bardzo droga – odparła Sarah. – Chętnie opowiem ci o wszystkim, co tu można robić.

Gil się zaśmiał.

– Moja siostrzenica martwi się o mnie, odkąd zmarła Marjory, moja żona. Dobrze sobie radzę, ale to prawda, że nie lubię jeść samotnie.

– A ja zawsze lubiłam – wyznała szczerze Sarah.

– Ach, rozumiem. Należysz pewnie do tych osób, które skutecznie wykonują pięć zadań jednocześnie – zaśmiał się Gil. – Porządkujesz rachunki, piekąc tosty, i płacisz za reklamę online, ćwicząc na bieżni w siłowni. Rhonda mówiła, że pracujesz non stop.

– Bieżnia? Ależ proszę. – Sarah spojrzała podejrzliwie. Co jeszcze opowiadała o niej Rhonda? – Wykonuję zadania w takiej kolejności, by miały sens. I próbuję to robić, zanim się nawarstwia.

– To musi być wyczerpujące – ocenił wesoło Gil, rozkładając serwetkę na kolanach, bo kelnerka podała dania. Machnął lekceważąco dłonią. – Ja lubię poczytać rano gazetę, potem pójść na spacer przed lunchem. Całe życie musiałem zadowalać innych. Teraz pora, bym zadowolił siebie. – Podniósł sztucce. – Jeśli mam ochotę w środku dnia obejrzeć film, to po prostu idę do kina.

Sarah próbowała wyobrazić sobie życie z taką ilością wolnego czasu, ale nie potrafiła. Nie widziała też w nim niczego pociągającego. Ale była dobrze wychowana, więc milczała. Nabiła przegrzebek na widelec.

– Powiedziałaś mi ostatnio, że przed przejściem na emeryturę byłeś chemikiem. Dlaczego wybrałaś chemię?

– Jako dziecko uwielbiałem naukę. Mój ojciec był lekarzem, dziadek również. Ja nie potrafiłem wyjść z laboratorium.

Naukowiec: to wyjaśniało precyzję, z jaką Gil kroił leżącą na talerzu rybę, a także tematy, o których wspomniał w drodze do Newburyport. Zdawał się wiedzieć wszystko o wszystkim, od rodzaju traw porastających bagna wzdłuż drogi

numer 1 do arkanów światowej polityki.

– Naprawdę nie tęsknisz teraz za pracą?

– Ani trochę.

Przyglądała się przez chwilę Gilowi, kiedy zaczęli jeść. Był mężczyzną o surowej urodzie, przysadzistym, z niewielką łysiną ukrytą wśród czarno-białych loków, grubym karkiem i ramionami zapaśnika. Zupełnie nie przypominał wysokiego, szczupłego, eleganckiego i subtelnego Neila.

Sarah i Neil byli dobraną parą. Wszyscy tak uważali. Nawet stara pani Bradford, zawsze niezadowolona babka Neila. Mimo to Sarah podobał się nieujarzmiony, zdecydowany Gil. Rzadko dostrzegało się takie cechy u starszych mężczyzn, zwykle zahukanych i nieprzytomnych, z pustym spojrzeniem i nijakich, poganianych przez żony w supermarkecie i w przesadnie drogich sklepach wzdłuż Bearskin Neck w Rockport.

– Może powinieneś zostać w pracy choć na pół etatu – ciągnęła. – Badania wykazały, że emerytura może szkodzić zdrowiu.

Gil wzruszył dobrze zbudowanymi ramionami, nieprzejęty tym stwierdzeniem.

– Serio? Znam mnóstwo facetów, którzy odwalili kitę, bo nie potrafili powiedzieć stop. Biegali jak chomik w kołowrotku, no i po co? Dla kolejnego rejsu na Karaiby? Nie, dzięki, wolę wolność. I mam teraz więcej czasu na swoje hobby.

Facet zaczynał opowiadać o swoim hobby. Dobry Boże, niech ten lunch jak najszybciej się skończy.

– Czyżby? A jakie to zajęcie?

Pochylił się z błyskiem w oku.

– Odrestaurowuję łódź. Prawdziwą ślicznotkę. Klasyczna fay and bowen z 1912 roku, dwadzieścia sześć stóp długości, z porządnym silnikiem motorowym. Szykuję ją na słoną wodę, wykorzystując oryginalny mosiężny osprzęt, nawet rozpórkę, ster, skeg i śrubę. Położyłem już piętnaście warstw lakieru, a wiosną zamierzam zmienić silnik i ją zwodować. – Skinął brodą w stronę rzeki. – Zdarza ci się pływać?

Sarah pokręciła głową.

– Prowadzenie hotelu nie zostawia zbyt wiele czasu na łodzie.

– Poślubiłaś swoją pracę. Rozumiem. Doba jest za krótka i tak dalej. – Uśmiechnął się, by nie zabrzmieć ironicznie, ale kiedy znowu się wyprostował, zauważyła, że go rozczarowała.

Sarah odwzajemniła uśmiech, jednak irytowała się, kiedy Gil zdawał się sugerować, że brakuje jej innych zainteresowań. Próbowwała coś wymyślić, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Biznes hotelarski wymaga wiele uwagi.

– Oczywiście. A jeśli jesteś szczęśliwa, to najważniejsze. – Gil mówił

z wyższością, co jeszcze bardziej zirytowało Sarah. – Ale opowiedz więcej o sobie. Mówiłaś, że śpiewałaś w zespole jazzowym w Bostonie. Jak wylądowałaś tutaj, na czubku Cape Ann?

– Hotel nad Zatoką Szaleńców wynajął nas na weekend.

– Dlaczego jazz, a nie muzyka klasyczna? Co ci się w nim podobało?

Te pytania zaskoczyły Sarah. Zwykle ludzie pytali ją o miejsca, w których koncertowała, celebrytów, których poznała, o to, czy nagrała jakieś płyty.

– Szkoliłam się na śpiewaczkę klasyczną. – Sarah powtarzała to kłamstwo od tak dawna, że zdawało się prawdą. Tak naprawdę skończyła jedynie szkołę średnią i nie miała formalnego muzycznego wykształcenia, o czym nie wiedział nawet jej mąż.

– Naprawdę? – zdziwił się Gil.

– Tak, ale w końcu zrozumiałam, że bardzo lubię swobodniejszy rytm utworów. A kiedy spróbowałam jazzu, pokochałam jego spontaniczność.

– Chyba nie do końca rozumiem różnicę śpiewu w tych dwóch stylach – wyznał Gil. Metodycznie spożywał swoje danie, jeden element po drugim, skończył już jeść rybę i teraz obrócił talerz, nabijając warzywa na widelec.

– W muzyce klasycznej celem jest utrzymanie nut, ponieważ zwykle występujesz przed dużą publicznością – mówiła Sarah. – A kiedy śpiewasz jazz, wolność muzycznej ekspresji jest większa. Możesz improwizować, a nawet akcentować niektóre części taktu i poswingować.

– Aha. Chyba już rozumiem. Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś profesjonalnie śpiewać?

– Byłam bardzo młoda. Szesnaście. – Sarah sączyła wino, przypominając sobie swoje pierwsze występy: kłamała, że jest starsza, zakradała się do bostońskich klubów i błagała zespoły, by pozwoliły jej ze sobą zaśpiewać. I w końcu ktoś się zgodził. Tamten zespół, The Sweet Tones, składał się głównie ze starszych muzyków.

Rupert, trębacz i frontman z The Sweet Tones, sprawiał, że jego instrument brzmiał raz jak syrena alarmowa, innym razem jak szlochająca kobieta. To on przekonał pozostałych muzyków, żeby pozwolili Sarah zaśpiewać. Miała wtedy osiemnaście lat.

– Rany, czego wy się boicie? – zapytał ich wtedy. – Co nam może zaszkodzić ta chudodupa dziewczyna? Ma ładny głos, to się liczy. A ładna panna może nam pomóc dostać się do nowych klubów.

Miał rację. Sarah była ambitna. Pragnęła uciec z domu matki i stać się niezależna. W przeciwieństwie do tego, co wszystkim mówiła, nawet Neilowi i jego rodzinie, wcale nie dorastała w kamienicy w Back Bay, ale w pozbawionym ciepłej wody mieszkaniu w Everett, niedaleko lotniska. Nigdy nie wspominała też o tym swoim córkom. Chciała, by znały kobietę, którą się stała, a nie dziewczynę,

którą kiedyś była. Sarah nie miała pojęcia, co się stało z ojcem – porzucił je, kiedy była małym dzieckiem. Jedynym zajęciem matki było zaś zabawianie mężczyzn. Nie dla pieniędzy, jak twierdziła, ale sprowadzało się to do jednego: mężczyźni przynosili do mieszkania jedzenie i alkohol. Wielu zostawało na noc, a czasami na cały weekend. Od czasu do czasu któryś z tych facetów zwracał uwagę na Sarah i ją nagabywał. Zaczęła więc sypiać z kuchennym nożem pod poduszką i użyła go więcej niż raz. W końcu znalazła w sąsiedztwie porzucony samochód i postanowiła zbierać koce, które znajdowała w śmietnikach w całym mieście. W aucie spędzała wieczory, kiedy mężczyźni przychodzili do mieszkania matki. Mogła się przynajmniej zatrzasnąć od środka.

Dlatego gdy Sarah dołączyła do The Sweet Tones, była zdeterminowana, by pomóc zespołowi osiągnąć sukces. Zajęła się organizacją występów, została także główną wokalistką, a do klubów chodziła osobiście, by się przedstawić i reklamować zespół.

Opowiedziała Gilowi o tym, jak The Sweet Tones przez wiele lat grali w klubach, najpierw głównie w Bostonie i Providence, a potem, kiedy ich popularność zaczęła rosnąć, w New Haven i w Nowym Jorku. Muzycy przychodzili i odchodzili, ale Sarah i Rupert – który stał się już dla niej kimś w rodzaju ojca, doradzając Sarah we wszystkim, od muzyki, przez ubrania, po mężczyzn, z którymi czasami się spotykała – zostali.

– Uwielbiałam jeździć w trasę – opowiadała. To również było kłamstwo, tyle że nieszkodliwe. Uwielbiała co prawda występy w świetle reflektorów, ale nie znosiła tanich hoteli i długich podróży vanem z mężczyznami, którzy śmierdzeli jak zwierzęta.

Gil skinął głową.

– Pewnie trudno ci było to porzucić.

– Tak, cóż. Dla miłości robimy, co trzeba.

Opowiedziała mu również, jak dziesięć lat po dołączeniu do zespołu, który zmienił nazwę na Sarah and The Sweet Tones, zaczęła rozglądać się po ośrodkach wypoczynkowych z nadzieją na bardziej regularne występy, do których oferowano zakwaterowanie.

– Graliśmy w Catskills, Berkshires, kurortach narciarskich w New Hampshire.

Aż któregoś dnia zadzwoniła matka Neila Bradforda, pytając, czy mogą wystąpić na jakimś weselu, bo poprzedni zespół się wycofał. Kiedy Sarah sprytnie odpowiedziała, że na ów weekend mają już zlecenie (była to prawda, choć występu nie potwierdzono), pani Bradford oznajmiła takim głosem, jakby mówiąc, jadła piure ziemniaczane:

– Mamy tu mały problem. A słyszałam, że wasz zespół jest doskonały. Moi znajomi widzieli was w Chelsea Club. Jesteśmy gotowi zapłacić więcej niż zwykle,

biorąc pod uwagę termin, jeśli zgodzicie się odwołać tamten koncert i przyjechać do nas.

Sarah podwoiła honorarium i zgodziła się na występ.

– No proszę. Ale historia. Przyjechałaś, by wystąpić w hotelu, a zmieniłaś całe swoje życie – podsumował Gil. – Zastanawiałaś się kiedyś, co by się stało, gdybyś odmówiła?

– Czasami się zastanawiam.

– Dlaczego postanowiłaś zostać w Hotelu nad Zatoką Szaleńców, a nie w innych miejscach, w których występowałaś? – Gil skończył warzywa i przeszedł do ziemniaków.

Sarah dziubiła wciąż niemal nietknięte danie.

– Poznałam mojego przyszłego męża. Neil usłyszał, jak śpiewam, i zarezerwował zespół na występy do końca lata. Dopiero później dowiedziałam się, że zrobił to bez konsultacji z rodzicami. – Zaśmiała się. – A mnie obchodziło tylko, że zapłacił za sześć tygodni z góry i dał nam zakwaterowanie.

– Musiał się bardzo zakochać. – Gil się uśmiechnął.

– Ja również. – Sarah odwzajemniła uśmiech i napiła się wina. – Był najmiłym, najbardziej eleganckim mężczyzną, jakiego poznałam.

Zamilkła i udawała, że skupia się na jedzeniu, bo reszty nie chciała już opowiadać. Ona i Neil nie mogli bardziej się różnić, jeśli chodziło o pochodzenie i temperament. Sarah była dziesięć lat starsza, gdy się poznali, ale nie śmiała tego wyznać. W dzisiejszych czasach nie miałyby to znaczenia, ale wówczas mogło wywołać skandal. Była przy nim ostrożna, bardzo ostrożna. Nie od razu zgodziła się na seks. Pozwoliła się pocałować dopiero na trzeciej randce. Flossie wciąż była we Francji, dlatego pani Bradford ulokowała zespół w domu, w którym teraz mieszka Flossie – wtedy wynajmowali go na tygodnie – za to Sarah mieszkała w koszmarnym domku dozorca, w Barce.

Och, ale jakże romantycznie było w Barce, kiedy wieczorami zaczął odwiedzać ją Neil. Ten mężczyzna – pełen życiowej energii i namiętności – sprawił, że Sarah w końcu poczuła, iż szczęście nie jest przeznaczone tylko dla innych. Wiedziała, że jeśli chce utrzymać zainteresowanie Neila i zostać zaakceptowana przez jego rodzinę, musi postępować bardzo ostrożnie. Opowiadała o różnych faktach ze swojego życia, niektórych prawdziwych, innych nie. Zamierzała wzbudzić zainteresowanie, ale nie politowanie. Neilowi wyznała, że jej matka była alkoholiczką (prawda) i że wychowywała ją, jedynaczkę, w kamienicy w Back Bay (fałsz). Powiedziała też, że ojciec w związku z pracą wiele podróżował i rzadko go widywała. (Prawda. Był mleczarzem, w czasach, kiedy to jeszcze coś znaczyło, i porzucił rodzinę, kiedy Sarah była dzieckiem). Nie miało to jednak znaczenia. Neil słuchał jej jednym uchem. Tamtej wiosny ukończył Harvard i szukał miejsca dla siebie, dopóki nie usłyszał śpiewającej Sarah.

– Nadałaś mojemu życiu kierunek – oznajmił. – Jesteś niczym Syrena, córka boga rzeki Achelousa. Jestem tobą beznadziejnie oczarowany. Możesz mnie zaprowadzić, dokąd chcesz.

Neil zapragnął podróżować z zespołem. Słyszając to, Rupert przewrócił oczami.

– Ten chłopak ma tyle zdrowego rozsądku co tyczka od fasoli – narzekał. – Elegancik wytrzyma w trasie z dziesięć minut.

Rupert pomógł Sarah rozważyć różne opcje. Wspólnie uznali, że najlepiej będzie, jeśli zostanie żoną uroczego, grzecznego, kulturalnego idealisty Neila Bradforda. Neil był optymistą i pełnym entuzjazmu marzycielem. Ciemnowłosy, przystojny i chłopięcy, zawsze gotowy pobiec do Zatoki Szaleńców i rzucić się do lodowatego morza, jeździć na rowerze bez trzymanki, zabawiać innych karcianymi sztuczkami i limerykami.

Neil jeszcze nie był mężczyzną, ale Sarah dostrzegła w nim potencjał.

– Coś z niego ulepię – powiedziała Rupertowi.

– The Sweet Tones nigdy nie osiągną wielkiego sukcesu – uspokajał ją Rupert. – Postępujesz właściwie – zapewniał.

Nie było szans na kontrakt płytowy. Rupert, nałogowy palacz, miał problemy z oddychaniem, a perkusista Tony zamierzał odejść po sezonie letnim i zacząć pracę w warsztacie samochodowym brata.

– Tony potrzebuje regularnej wypłaty, ja odpoczynku, a ty męża – wyliczał Rupert. – Ten facet cię uwielbia i wiem, że sobie z nim poradzisz.

Sarah miała powody, by wierzyć w jego słowa. Neil był pod jej urokiem, ona zaś znalazła się pod urokiem wszystkiego, co wiązało się z Bradfordami: wielkiego hotelu, rodziny z długą historią, pochodzenia i pieniędzy. Szkoda, że większość była takim samym kłamstwem jak historia, którą Sarah opowiedziała Neilowi.

– Jak długo byliście małżeństwem? – zapytał Gil po chwili ciszy, która niebezpiecznie się przedłużyła.

Sarah dopiła wino i delikatnie odstawiła kieliszek, uśmiechając się.

– Wciąż jesteśmy małżeństwem – odparła. – Rhonda najwyraźniej źle cię poinformowała. Mój mąż oszedł od rodziny, ale od czasu do czasu wciąż do mnie pisze. Nie wzięliśmy rozwodu. I raczej nigdy nie weźmiemy.

– Dlatego, że tak chcesz, czy dlatego, że tak łatwiej? – Gil skinął na kelnerkę.

Dobrze. Zrozumiał, że Sarah nie jest wolna. Mogą poprosić o rachunek i wyjść.

– Bardzo cię przepraszam. Nie należę i nigdy nie należałam do kobiet, które idą na łatwiznę. Jestem wciąż mężatką, ponieważ nie wierzę w rozwody.

– Aha – rzucił Gil. – Dama starej daty, co? – Uśmiechnął się, ale jednocześnie zmrużył oczy, jakby oceniał ostatnie słowa Sarah, sprawdzając, na ile

poważnie powinien je potraktować.

Najwyraźniej zwróciła jego uwagę. Gil uznał ją za wyzwanie i jak większość mężczyzn miał pewnie ochotę je podjąć.

Jakaś część Sarah z ekscytacją przyjęła fakt, że Gil traktował ją z nieskrywanym zainteresowaniem. Od dawna żaden mężczyzna jej go nie okazywał. Chciała zaprotestować, że wcale nie jest starej daty – bo czyż nie stała się niezależną bizneswoman? – kiedy przy stoliku pojawiła się kelnerka. Gil zaskoczył Sarah, prosząc nie o rachunek, a o kolejne dwa drinki.

Po odejściu dziewczyny Gil mówił dalej.

– Podziwiam cię za lojalność. To piękna cecha. Ja byłem lojalny wobec mojej żony. I wierny, nie dlatego, że nie pojawiały się inne możliwości. – Kiedy Sarah się zaśmiała, podniósł rękę. – Nie chwalebę się. Tylko mówię, jak było. Przez czterdzieści lat trwałem w małżeństwie z jedną kobietą. Przeżyliśmy wzloty i upadki, ale dotrzyaliśmy danych sobie obietnic. Zawsze wiedziałem, że rano się obudzę i zobaczę obok jej uśmiech, nieważne, jak będzie źle. Uważam, że to jedno z największych błogosławieństw, jakie mnie w życiu spotkały. Wszyscy mamy możliwość, by się wymknąć. Ale niektórym naprawdę udaje się po ślubie pozostać wiernymi. Jeśli tak jest, nasze życie staje się bogatsze.

– Znam pewne wyjątki – oznajmiła Sarah, zastanawiając się, jak dogadaliby się z Neilem, gdyby został. – Ale ogólnie rzecz biorąc, zgadzam się. Gratulacje dla ciebie i twojej żony.

– Cóż, to głównie jej zasługa – przyznał Gil. – Ta kobieta była święta, że ze mną wytrzymała. – Odczekał, aż kelnerka, która pojawiła się z drinkami, zniknie. – Na tym świecie jest zbyt wielu kłamców i oszustów. Cieszę się, że cię poznałem, Sarah. – Podniósł kieliszek. – Twoje zdrowie. Za to, że masz zasady i żyjesz po swojemu.

Sarah uniosła kieliszek, ale nie stuknęła się z Gilem, bo to byłoby kolejne kłamstwo.

Anne potrząsnęła mocno szejkerem, próbując nie słuchać wesolutkiego didżeja z weselnego bandu i paplaniny gości naćpanych radością. Nie mogła uwierzyć, że znowu jest w hotelu i obsługuje bar, tak jak każdego lata od swoich dwudziestych pierwszych urodzin aż do tego, kiedy sprawa z Laurą potoczyła się tak źle.

Hotelowy pub nic się nie zmienił. Był jedną z największych atrakcji ośrodka i matka nigdy nie zmieniła jego wystroju. „Nie można ulepszyć doskonałości”, mówiła Sarah gościom, którzy po raz pierwszy odwiedzali to miejsce. Anne uznała, że matka ma rację. Uwielbiała to miejsce. Grube drewniane belki pod sufitem, ozdobne lustro w srebrnych ramach wiszące na obitych tkaniną ścianach, przywiezione z Hiszpanii. Stamtąd pochodziła również boazeria, ręcznie rzeźbione mahoniowe deski pod złotą listwą poręczową. Oryginalne oświetlenie wykonane

przez Shreve, Crump & Low było wysadzone kamieniami półszlachetnymi. Wąski, ale elegancki bar, zrobiony z włoskiego marmuru, zachęcał klientów do zamawiania zimnego martini lub grzanej whiskey.

Tego dnia późnym popołudniem spanikowana Sarah zadzwoniła do Anne z informacją, że barman nagle się rozchorował. Ten, który mógłby go zastąpić, wyjechał na pogrzeb ojca.

– Anne, proszę, pomóż mi dziś wieczorem – poprosiła Sarah. – Jedna z pokojówek może zająć się małą. Zapłacę ci podwójną stawkę. To przyjęcie weselne jednej z córek Martinsonów. Tej najmłodszej, Paige. Znasz ją, prawda? Nie możemy zawieść rodziny. Od dawna są wobec nas lojalni!

Dwa lata starsza od Anne Paige była jedną z licealnych przyjaciółek Elly, mniej wredną niż większość chudych, wysportowanych panien z kucykami z tamtych czasów. Mimo to Anne miała ochotę odmówić matce w zemście za zesłanie jej do pokoju na trzecim piętrze. Plecy wciąż ją bolały od noszenia Lucy nieskończoną ilość razy w górę i w dół, zanim mogła przenieść się do Barki. Ale potrzebowała pieniędzy, a ciotka Flossie zaoferowała, że z radością zaopiekuje się Lucy. Dlatego Anne zostawiła u ciotki dziecko i dwie porcje zamrożonego pokarmu, a potem powędrowała do pubu.

Przygotowując cosmopolitana dla jednej z druhen – dziewczyny po trzydziestce, z małymi ciemnymi oczkami gryzonia i przysadziłą figurą upchaną w suknię z różowej tafty – Anne zauważyła mężczyznę stojącego w kącie naprzeciwko baru. Pił piwo; widocznie przyniósł butelkę z jadalni, bo nie zamówił jej tutaj. Chyba przyszedł sam, w przeciwieństwie do pozostałych gości, którzy weszli do sali barowej w grupkach; był przystojny, lekko mroczny i wyobcowany, jakby zmęczony, niczym znany aktor chwilowo bez ról. Wysoki i szczupły, miał długi nos, niemal idealny, gdyby nie mały garb, i gęste czarne brwi. Włosy koloru ciemnej miedzi zawijały się na kołnierzu smokingu. Widocznie należał do świty weselnej.

Dopiero kiedy Anne skończyła wycinać skórkę z cytryny do drinka druheny – aż ta zapiszczała: „O mój Boże, jaka śliczna! Jak kwiatek!” – i przeszła na drugą stronę baru, by obsłużyć kolejnego gościa stojącego bliżej tajemniczego mężczyzny, poznała go. Był to Sebastian Martinson. Starszy brat panny młodej. Teraz bardziej podobny do swojego ojca, nie chłopca, jakiego zapamiętała.

Poczuła, jak oblewa ją rumieniec na myśl o ostatnim spotkaniu z Sebastianem. Obściskiwali się na imprezie z okazji ukończenia szkoły przez jego siostrę Paige dwadzieścia lat wcześniej. Tamtego wieczoru Anne się upiła i oznajmiła Hattie, że zamierza stracić dziewictwo.

– Nie mogę sobie w ostatniej klasie zawracać głowy tym, że muszę to zrobić.

– Jesteś chora, laska – przyznała wtedy z podziwem Hattie. Ona miała tego samego chłopaka od pierwszego roku i latem straciła dziewictwo. – Powinnaś

poczekać na M-I-Ł-O-Ś-Ć!

– Miłość jest jak jednorożec: marzymy o tym, by go mieć, ale w końcu okazuje się tylko koniem z doczepionym rogiem – odparła Anne, na co Hattie parsknęła, wydmuchując wódkę nosem.

Hattie pomagała jej na tamtej imprezie znaleźć odpowiedniego kandydata. Obie uznały, że najlepszy byłby ktoś spoza miasta. Sebastian to dobra opcja, postanowiła Anne po zlustrowaniu obecnych. Przyjechał na bal siostry sam i wpadł do domu tylko na tydzień, a potem miał wyjechać do Ameryki Południowej na misję. W dodatku był cztery lata starszy, chodził do klasy z siostrą Anne, Laurą, w tej samej prywatnej szkole, do której wszystkie uczęszczały. Dwudziestolatek! Na pewno miał doświadczenie.

Kiedy Sebastian wyszedł z przyjęcia, Anne ruszyła za nim po długim podjeździe prowadzącym na ulicę. Teraz nie pamiętała, jak się przedstawiła, ale właściwie zaatakowała chłopaka, kiedy otwierał samochód. Przycisnęła go do maski volvo i pocałowała, kiedy zaskoczony odwrócił się, słysząc jej powitanie.

Ależ bez pomysłu! I niegrzecznie! Wykorzystała go, tak po prostu. Szesnastoletnia Anne uważała, że jest niezwykła. I włada swoim losem. Jak bardzo można być naiwną?

Co gorsza, przyłapała ich wtedy Laura. Siostra pomyliła samochody tej samej marki i otworzywszy drzwi, zobaczyła Anne leżącą pod Sebastianem na tylnym siedzeniu. Następnego dnia bezlitośnie się z niej nabijała:

– Jesteś totalną zdzirą! Nic dziwnego, że mama tak się o ciebie martwi.

Bezwstydne wspomnienia Anne przerwała Clarkie, jedna z kelnerek, stawiając tacę na barze i spoglądając na Sebastiana. Siedział prosto na wysokim stołku, miał zamknięte oczy. Anne nie wiedziała, czy jest nieprzytomny, czy intensywnie wsłuchuje się w muzykę.

– Ooo, spójrz na tego samotnego wilka – odezwała się Clarkie. – Chętnie zmusiłabym go, żeby zawył.

– Czegoś potrzebujesz? – spytała Anne z nadzieją, że Sebastian ich nie słyszał.

– Jeszcze dwa martini dla tych facetów, którym się zdaje, że tańczą, ale wyglądają jak chorzy na padaczkę. – Clarkie znowu zerknęła na Sebastiana. – Moment. To jest przecież... jak on ma na imię. Brat panny młodej, prawda? Słyszałam, że nieźle mu odwaliło.

– Co masz na myśli? – Anne skupiła się na przygotowaniu drinków.

Clarkie wzruszyła pulchnymi ramionami.

– Totalnie sfiksował po tym, jak jego żona zabiła się, zjeżdżając z klifu, czy coś takiego. – Zrobiła palcem kółko na skroni.

Anne wpatrywała się z przerażeniem w kelnerkę.

– To okropne.

– No cóż. Ten świat pełen jest bólu, skarbie. – Clarkie opuściła bar, balansując drinkami na srebrnej tacy ponad głowami gości.

Kiedy Anne znowu spojrzała na Sebastiana, już go nie było. Może wrócił na przyjęcie. Albo spadł ze stołka. No dobra. Skoro chce leżeć na podłodze, zostawi go w spokoju do zamknięcia baru.

Na szczęście tłum powoli zaczął się przersedzać. Anne bolały plecy, a piersi pękały od pokarmu. Matka miała jednak rację co do napiwków, to już było coś. Kilka takich zmian w pubie i wystarczy na zaliczkę, by wynająć jakieś małe mieszkanie.

Polerowała kieliszki wyjęte ze zmywarki, kiedy w drzwiach pojawił się Jake i zaczął rozglądać się po sali. Anne zwalczyła pokusę, by natychmiast schować się za barem.

– Idź sobie stąd, do diabła – mruknęła pod nosem, odwracając się plecami z nadzieją, że szwagier jej nie rozpozna.

– Słucham?

Anne odwróciła się gwałtownie. Za barem, tym razem przodem do niej, stał Sebastian Martinson. Jego twarz wyglądała marnie nawet w półmroku, ale w oczach mężczyzny dostrzegła, że ją rozpoznał.

– O, to ty – rzucił.

– Tak. To ja.

Sebastian odwrócił na moment wzrok, a potem znów spojrzał na Anne, jakby chciał się upewnić, czy nie ma halucynacji.

– Słyszałem, że wyjechałaś. – Na barze przed nim stała kolejna butelka piwa. Mówił bardzo powoli, aż Anne zaczęła się zastanawiać, ile już wypił.

– Wyjechałam.

– Gdzie byłaś?

– W Portoryko.

– Dlaczego?

– Surfowałam.

Zmarszczył czoło.

– Po internecie?

– Po wodzie.

Rzucił jej ponure, rozkojarzone spojrzenie.

– No to super.

– Tak – potwierdziła. – Bardzo super. Trudno opisać jak bardzo.

Unióśł kącik ust, jakby w uśmiechu. Anne go odwzajemniła. Nagle zapragnęła zrobić coś, by ten facet się zaśmiał. By zniknęła choć odrobina smutku, od którego między brwiami pojawiły mu się głębokie zmarszczki.

Niestety wtedy dostrzegł ją Jake. Ruszył w stronę baru z szerokim uśmiechem, a jego idealnie kwadratowe białe zęby lśniły w półmroku niczym

guma do żucia w pastylkach.

– Anne! Tutaj jesteś! Laura mówiła, że wróciłaś. Wszędzie cię szukałem.

Jake wskoczył na barowy stółek obok Sebastiana i przelotnie skinął mu głową na powitanie.

Sebastian w odpowiedzi uniósł brew. Miał smoking tak pognieciony, jakby wyciągnął go z plecaka. Dostrzegła zapadłe ramiona i ciemne oczy. Nieszczęście wręcz z niego emanowało, otaczało niczym granatowa mgła. Anne piekły oczy, gdy nań spoglądała. Za to Jake był odprasowany i odstawiony, pełen energii i podekscytowany. Oprócz długiej grzywki, którą jedną ręką odgarniał z czoła, włosy ostrzygł na krótko. Ta fryzura odsłaniała szczupłą twarz o drobnych, regularnych rysach. W college’u grał w lacrosse’a i od zawsze wyglądał jak chłopak z plakatu fitness; szczupły i umięśniony, tak jak teraz. Dziś akurat miał na sobie standardowe spodnie khaki i polówkę. Łososiową koszulkę dokładnie włożył w spodnie. Anne zastanawiała się, czy to Laura kupowała mężowi ubrania.

Widok szwagra przywołał mgliste i przygnębiające wspomnienia. Anne desperacko zapragnęła pozbyć się Jake’a.

– Co ci podać? – zapytała szybko. – Zaraz zamykam.

– Och, ja już nie piję. – Jake poklepał się po płaskim brzuchu. – Za dużo pustych kalorii. Ale woda sodowa z limonką dobrze by mi zrobiła.

– Żaden problem. – Anne nalala napój i podała szklankę szwagrowi, uważając, by choćby nie musnąć jego palców.

– Chyba wam nie przeszkadzam? – Jake spojrzał na Sebastiana, potem na Anne i uśmiechnął się szeroko.

– Nie – odpowiedział Sebastian.

W tym samym momencie Anne skinęła głową.

– Właściwie to tak, przeszkadzasz. Więc jeśli możesz... – Wskazała stoliki z tyłu sali. – Mamy sporo wolnych miejsc.

– Tutaj mi dobrze, dzięki. – Jake, wciąż się uśmiechając, odwrócił się do Sebastiana, który zdezorientowany patrzył na Anne. Uścisnął podaną przez Jake’a dłoń. – Chyba się nie znamy. Jake Williams, jestem szwagrem Anne. Mężem jej starszej siostry Laury. – Wskazał gestem smoking. – A ty pewnie jesteś gościem weselnym.

– Zgadza się. Sebastian Martinson, brat panny młodej. – Sebastian ścisnął szklankę wolną ręką, jakby miała odlecieć ze stołu.

– Nie powinieneś dołączyć do imprezy? – Jake wskazał drzwi, za którymi didżej podkręcał właśnie *Last Dance* Donny Summer. – Pożegnać siostrę w jej szczęśliwy dzień?

Anne nie miała pojęcia, dlaczego wszystko, co mówił Jake, brzmiało tak sztywno, jakby po raz pierwszy recytował wyuczone na pamięć fragmenty sztuki.

– Nie. Paige już wyszła – odparł Sebastian. – Ona i jej mąż wcześniej rano

wylatują do Włoch. – Pokazał kciukiem salę za plecami. – Zostali sami maruderzy. Znajomi Paige. Nie znam ich.

Jake przechylił głowę na bok.

– Chyba nie zamierzasz wracać autem, kolego, co? Bo raczej nie powinienes. Tak tylko mówię. Może powinienes przerzucić się na kawę.

– Wróć pieszo. Mieszkam niedaleko. – Sebastian pokręcił głową i odwrócił się do Anne, by dodać: – Ja też pojechałem do Włoch na swój miesiąc miodowy.

– Romantycznie – rzuciła Anne i aż skrzywiła się, jak bezmyślnie gada. Przecież Clarkie wspomniała, że żona Sebastiana nie żyje. Ciekawe, jak długo byli małżeństwem.

Odwróciła się i na powrót zajęła polerowaniem kieliszków z nadzieją, że Jake zniknie, widząc, że nie jest tu sama. Ostatnie, na co teraz miała ochotę, to Laura, która weszłaby do sali i zobaczyła ich razem. I rozpętała piekło.

Ale Jake pochylił się nad barem.

– Słuchaj, Anne, muszę z tobą porozmawiać. Na osobności – dodał znacząco. – Zanim ścignie mnie Laura.

Podniosła wzrok znad kieliszka, czując, jak mocno bije jej serce.

– A za co ma cię ścigać?

– No właśnie, za co? – wtrącił się Sebastian. – Co zrobiłeś?

Jake nie spuszczał wzroku z Anne.

– Nic! Ale wiesz, jak ona się zamartwia. Kiedy po pracy wróciłem do domu, nie było jej, więc przyszedłem tutaj. Będzie się zastanawiać, gdzie jestem. – Jake wyciągnął rękę przez blat i złapał Anne za nadgarstek. – Muszę z tobą porozmawiać.

Anne wyrwała dłoń.

– Pracuję – rzuciła, odsuwając się.

– Anne chyba nie chce z tobą rozmawiać, kolego – odezwał się Sebastian, opierając brodę na rękę.

– Anne, posłuchaj. Nie chcę się wydurniać, ale musimy porozmawiać. Nie rozumiesz. – Jake mówił piskliwym głosem. Głosem desperata.

– Nie, to ty nie rozumiesz. – Anne skrzyżowała ramiona. – Dopóki nie powiesz mojej siostrze, co naprawdę się wydarzyło, nie mamy o czym rozmawiać.

– Nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie – mówił Jake. – Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie trudne.

– Trudne dla ciebie? – zdziwiła się Anne. – Żartujesz? Przez ciebie siostra przestała mi ufać!

– Wiem. Ale moje małżeństwo się rozpada. Musisz pomóc mi je naprawić.

– Nie muszę ci w niczym pomagać, Jake. Nie masz prawa prosić mnie o żadną przysługę! Laura właściwie ze mną nie rozmawia. Nienawidzi mnie. Przez ciebie.

– Wiem, wiem. Ale jeśli mnie wysłuchasz, to zrozumiesz, dlaczego musiałem zrobić to, co zrobiłem. Zaufaj mi, Anne.

– Zaufać ci? – Bar był już pusty, zostali tylko we troje; Anne uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie więc wcześniej zamknąć. Otworzyła bramkę oddzielającą bar od reszty sali i wyszła. – Bardzo zabawne, po tym wszystkim, co zrobiłeś. Nie mamy o czym gadać. Proszę, żebyś wyszedł, zamykam pub. Ty również, Sebastianie. Wynocha!

W połowie drogi do drzwi Jake dogonił ją i złapał za rękę.

– Poczekaj!

– Puść mnie. – Anne kątem oka widziała, że Sebastian ruszył za Jakiem; stał teraz, mając go w zasięgu ręki, lekko się kołysząc.

– Słyszałeś – powiedział. – Ona chce, żebyś zostawił ją w spokoju.

No pięknie, pomyślała Anne. Utknęła z cudzołożnikiem i smutnym pijaczną.

– W porządku, Sebastianie – odezwała się. – Wracaj na przyjęcie siostry. Jake, puść mnie – rozkazała. – Albo zacznę wrzeszczeć.

– Halo? Jeszcze otwarte? – zawołał jakiś kobiecy głos od strony wejścia. Ta sama druha, która wcześniej piła w pubie. – Mam wielką, wielką, wielką ochotę na kolejne cosmo – powiedziała. – Rany, robisz najładniejsze i najślodsze koktajle. I dają niezłego kopa! – Zachichotała i zakryła dłonią usta. Różowe paznokcie pasowały do sukienki.

Przyjęcie weselne najwyraźniej się skończyło. Muzyka przestała grać, a w jadalni włączono światła, co oznaczało, że kelnerzy kończą sprzątanie.

– Przykro mi, ale już zamknęliśmy – odparła.

Druha odwróciła się z jękiem rozczarowania.

– Anne, proszę, chodźmy w jakieś spokojne miejsce i porozmawiajmy – błagał Jake.

– Ona nigdzie z tobą nie pójdzie – oznajmił Sebastian.

I właśnie wtedy do baru weszła Laura. Kiedy była wściekła, chodziła tak, że drżały podłogi i dźwięczały naczynia. Tego wieczoru zdecydowany krok podkreślały wysokie buty do konnej jazdy założone do dżinsów. Na widok żony Jake puścił rękę Anne.

Najwidoczniej Laura wróciła do domu, zobaczyła, że go tam nie ma, i wyszła znowu, wkładając po drodze buty, które stały obok drzwi. Mimo czasu, jaki upłynął, odkąd zabroniono jej wchodzić do domu siostry, Anne wciąż pamiętała tamten przedsiónek, drewniane przegródki oraz równy rząd wysokich butów i adidasów.

Laura pomaszerowała prosto do nich.

– Do diabła, Jake, co jest grane? Myślałam, że wrócisz do domu na kolację. Zamartwiałam się, kiedy przyjechałam i cię nie zastałam.

– Lauro. – Jake uśmiechnął się, zaciskając zęby. – Wróciłem do domu. Ale ciebie nie było. Uznałem, że poszłaś na spotkanie klubu książki czy coś podobnego, zajrzałem więc do siłowni, a potem wpadłem tu na drinka.

Kłamca, pomyślała Anne, ale za bardzo bała się Laury, by coś powiedzieć.

– Byłam z Kennedy w sklepie po nowe adidas – powiedziała Laura. – O czym wiedziałbyś, gdybyś przeczytał kartkę, którą zostawiłam ci na tablicy w kuchni, gdzie zawsze zostawiamy sobie rodzinne wiadomości. – Odwróciła się do Anne. – A więc to tutaj się ukrywasz. Mama mówiła, że przyjechałaś.

– Nie ukrywam się – odparła Anne. – Pracuję tu dzisiaj, bo mama nagle potrzebowała zastępstwa.

Laura przewróciła oczami.

– I tylko ty mogłaś jej pomóc?

– Tak powiedziała.

– A teraz zamykasz i szukasz kogoś, kto cię odprowadzi do domu. – Laura spojrzała na Jake’a, a potem na Sebastiana. Tego drugiego rozpoznała dopiero po chwili – Anne widziała kręcące się w głowie siostry trybiki, a potem moment olśnienia.

– Ach. – Laura się uśmiechnęła. – Sebastian. Kopę lat. Ostatnio, kiedy cię widziałam, moja siostra ujeżdżała cię w aucie. Wróciłeś po dokładkę?

Sebastian nawet nie mrugnął.

– Cześć, Lauro.

– Cześć – odparła. – Historia lubi się powtarzać. Jesteś tak samo pijany jak poprzednio.

– Jego siostra dzisiaj wyszła za mąż – wtrąciła Anne. – Ma prawo się upić. – Chciała jeszcze dodać: „Bo ślub siostry przypomni mi o zmarłej żonie”, ale ugryzła się w język.

– Oczywiście, że ma prawo – ironizowała Laura. – Wszyscy mamy, prawda? Może i ja się nawalę i dołączę do klubu. – Zmierzyła siostrę wzrokiem. – No więc dlaczego przyjechałaś? Co wydarzyło się w Portoryko?

– Nie rozmawiałaś z mamą? – zapytała Anne.

– Oczywiście, że rozmawiałam. Codziennie się widzimy.

– W takim razie na pewno wiesz, dlaczego przyjechałam. – Anne spojrzała w twarz Laury i poczuła mały dreszcz satysfakcji, gdy siostra zmarszczyła czoło, po czym na powrót próbowała przybrać neutralną minę. Najwidoczniej matka nie powiedziała jej o dziecku. I dobrze. Niech się zastanawia, o co chodzi.

– Lauro, chodźmy do domu – przerwał im Jake. – Chyba jesteś zmęczona.

Zapadła cisza, a potem Laura odpowiedziała:

– Miło wiedzieć. Dziękuję ci.

– Zasada numer jeden: nigdy nie mów kobiecie, że wygląda na zmęczoną – odezwał się Sebastian. – One tego nie lubią.

Jake próbował objąć żonę w talii, ale strząsnęła jego rękę. Laura stała tak blisko, że Anne wyczuwała w jej oddechu zapach kawy pomieszany z miętową pastą do zębów. Siostra była żoną Jake'a wystarczająco długo, by pamiętać o higienie jamy ustnej.

– Po co naprawdę przyjechałaś, Anne? – zapytała teraz.

– Wpadłam w odwiedziny do domu. To wszystko. Bez żadnego wielkiego celu.

– Czyżby? Słyszałam, jak mówiłaś, że nigdy nie wrócisz do Zatoki Szaleńców. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

– Późno już. Może porozmawiamy jutro? – Anne miała nogi jak z ołowiu, ale udało się jej przejść obok siostry i obu mężczyzn, ruszając w stronę drzwi.

– Doskonale – zawołała za nią Laura. – Tylko pamiętaj, że mam cię na oku.

Anne odwróciła się na pięcie.

– Lepiej miej na oku swojego męża! To on przyszedł do mnie. Zapytaj go.

– To kłamstwo! – wybuchnął Jake.

– Rzeczywiście przyszedł tutaj, szukając Anne – wtrącił Sebastian. – Chyba. Jake spojrział na niego z politowaniem.

– A ciebie, kolego, będzie rano boleć głowa. – Odwrócił się do Anne. – Proszę cię. Znowu zaczniesz mieszać i wymyślać kolejne historie. – Kolor odpłynął z jego policzków; przeczesał dłonią włosy, które stanęły w brązowych kępkach dokoła uszu.

Anne zacisnęła pięści.

– Jeśli ktoś tu coś zmyśla, to właśnie ty. Powiedz jej, Jake.

– Och, lepiej się już zamknij! – rzuciła Laura. – Widziałam cię w akcji, Anne. Zdzira pozostanie dz zirą! – Podeszła i wymierzyła siostrze policzek.

Dźwięk odbił się echem od marmurowego baru. Anne dotknęła uderzonego miejsca i moment później rzuciła się do przodu, by oddać uderzenie.

– Ty suko! – wrzasnęła Laura. Wyciągnęła rękę, chcąc złapać siostrę za włosy, ale ta się uchyliła i Laura prawie upadła.

Jake złapał żonę w pasie i przytrzymał ją. Anne podeszła do zamrażarki, wyjęła stamtąd garść lodu i przyłożyła go do policzka, patrząc na Jake'a, czekając, aż stanie w jej obronie. Ale mężczyzna tylko spuścił wzrok i wyprowadził za rękę płaczącą teraz Laurę.

– Wow, w porządku? – zapytał Sebastian.

– A jak myślisz? – odparła Anne. – Lepiej idź do domu i napij się kawy. Nie widzisz, że już zamknięte?

Elly zauważyła przed terminalem Laure, która zaparkowała przy krawężniku mimo czerwonego z wściekłości strażnika nakazującego jej odjechać. Siostra ze stoickim spokojem trzymała obie ręce równo na kierownicy i udawała, że nie widzi i nie słyszy funkcjonariusza. Siedzącą z tyłu Kennedy Elly ledwo poznała. Kiedy siostrzenica tak urosła i się roztyła?

– Hej, przyleciałaś wcześniej! – Laura jedną ręką uściskała Elly, która wsiadła do auta, i odjechała, z królewską godnością machając do strażnika.

– Tak. Ale podróż i tak była absurdalnie długa – odparła Elly. – A przecież powinniśmy mieć coraz szybsze samoloty, prawda? Albo przynajmniej latające auta. Jetsonowie widać coś spaprali.

– Kto to są Jetsonowie? – spytała Kennedy.

Elly spojrzała na siostrzenicę w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej i przewróciła oczami.

– To najlepsza kreskówka wszech czasów. Co matka każe ci oglądać w telewizji, hm? CNN? – Zdjęła buty i oparła stopy o deskę rozdzielczą.

Kennedy zachichotała z tylnego siedzenia.

– Co cię tak bawi? – zapytała ciotka.

– Mama nam tego zabrania.

– Czego?

– Kładzenia tam stóp! To niszczy samochód. A ona nie znosi widoku brudnych gołych stóp.

Laura milczała, patrząc na drogę prowadzącą z lotniska Logana na północ. Elly zdawało się, że samochody jadą ślimaczym tempem, bo przyzwyczała się do autostrad w Los Angeles, po których ludzie śmigali sto trzydzieści na godzinę zderzak w zderzak, ale siostra aż marszczyła czoło w skupieniu.

– Mamie się to nie podoba, co? Wielka szkoda. – Elly przesunęła stopy w stronę Laury i pomachała palcami. Jaskrawopomarańczowe paznokcie skupiały na sobie uwagę. – Moje stopy są czyściutkie i pachnące. Oprócz tego, że w samolotowej toalecie wdepnęłam w siki, bo poszłam tam na bosaka. Faceci mają głównianego cela.

– Faj! – Zaśmiała się Kennedy.

– Nie klnij! – skarciła siostrę Laura, choć Elly z zadowoleniem zauważyła uśmiech na jej twarzy.

– Pilnuj się, moja panno, żebyś nie przyniosła wstydu rodzinie. – Elly naśladowała piskliwy głos matki.

Wtedy Laura parsknęła, a Kennedy zaczęła pokładać się ze śmiechu. Elly również, przechylając się przez fotel, by przybić siostrzenicy piątkę. Dobrze zrobiła, przyjeżdżając do domu. Dziewczyny w starej, ponurej Nowej Anglii trzeba

trochę rozweselić.

Laura chciała, żeby Elly mieszkała u niej w domu, nie w hotelu, i siostra chętnie się zgodziła.

– Cieszę się, że będę tutaj – powiedziała, kiedy Laura odesłała Kennedy do pokoju z porcją ciasteczek i książką. – Nie bardzo mam ochotę, by mama stała nade mną i wypytywała o moją karierę wokalną. Albo o facetów. Rany, pewnie będzie pytać, czy mam chłopaka...

– Pewnie tak – przytaknęła Laura. – Mama z wiekiem chyba przestaje się ograniczać.

– Prawdopodobnie też takie będziemy.

– Ja już jestem – zauważyła Laura. – Jakby moje myśli prosto z głowy płynęły na język i wypadały z ust. Czasami mam ochotę dać sobie w twarz.

Siedziały przy kuchennym stole, pijąc kawę. Jake miał wrócić z pracy dopiero za kilka godzin.

– Nigdy nie jemy kolacji przed dziewiątą albo dziesiątą – ostrzegła.

– W porządku. Pamiętaj, że u mnie jest trzy godziny wcześniej. – Elly wyjrzała przez okno na podwórze i stajnie. Za nimi rozciągało się pastwisko otoczone gęstym lasem. Kiedy były małe, a do hotelu przyjechało dużo gości, ojciec zabierał je na wycieczki do Dogtown, żeby „nie wchodziły matce w drogę”.

Tata uwielbiał Dogtown, obszar o wielkości mniej więcej piętnastu kilometrów kwadratowych między miastami Gloucester a Rockport, kiedyś nazywany Osadą. W połowie siedemnastego wieku, do końca wojny o niepodległość, w miejscu lasu leżała najbardziej zamożna część Gloucester. Później, gdy osadnicy zaczęli przenosić się na wybrzeże, pozostały tu tylko wojenne wdowy i inni samotnicy w towarzystwie psów stróżujących, od których miejsce wzięło nazwę. Elly z siostrami przychodziły tu w dzieciństwie i nawzajem straszyły się opowieściami o ciałach, które wrzucono w lodowate głębiny.

Ulubioną trasą Elly w Dogtown była wąska ścieżka wśród powykęcanych krzewów jagód, którą ojciec nazywał „jagodową autostradą”. Zbierali tam owoce, aż usta i dłonie mieli fioletowe. Elly uwielbiała stare kamienne ściany i piwniczne doły; udawały z siostrami, że przeniosły się w czasy kolonii.

Zastanawiała się, gdzie ojciec jest teraz, i wzdrygnęła, choć miała na sobie sweter i grube skarpety. Drzewa zaczynały już nabierać barwy pomarańczy, złota i czerwieni, a liście drżały na tle grafitowego nieba. Zapomniała, jak wygląda jesień w Nowej Anglii, modelowa jak na fotografii, i że temperatura spada o dwadzieścia stopni, gdy słońce chyli się ku zachodowi.

– Zepsuło się wam ogrzewanie? – zapytała. – Strasznie tu zimno.

– Nigdy nie włączamy ogrzewania przed końcem października – wyjaśniła Laura. – Masz pojęcie, ile kosztuje cysterna oleju?

– Och, przestań. Jesteś żoną cholernego dentystry. Na pewno zarabia krocie.

– Jake wciąż sypia kredyt za studia stomatologiczne. Nie chcesz wiedzieć, jakie mamy długi.

– Dobra. W takim razie przynieś mi koc. Będę udawać bezdomną.

– Chyba żartujesz – zdziwiła się Laura. – Tutaj jest osiemnaście stopni.

Elly objęła się ramionami.

– Wyglądam, jakbym żartowała? W Los Angeles przy takiej pogodzie ludzie wyjmują futra i puchówki.

Laura pokręciła głową, ale poszła do salonu i przyniosła stamtąd brązowo-beżowy szydełkowy koc. Otuliła nim Elly z udawaną troską, zatykając jej krawędź pod brodą.

Ich spojrzenia na moment się spotkały i Elly dostrzegła w oczach siostry melancholię, szare drobinki w bladoniebieskich oczach, małe kamyczki na dnie rzeki smutku.

– Kochana moja – szepnęła Elly. – Naprawdę jest tak źle? Bardzo mi przykro. – Przytuliła na moment siostrę, zanim się odsunęła. – Co się dzieje?

– Wczoraj wieczorem widziałam Anne. – Laura ponownie usiadła.

Ponury wyraz twarzy nie poprawiał wyglądu, choć Laura wciąż była atrakcyjna w ten specyficzny dla pewnego typu kobiet sposób. Kobiet dobrych i praktycznych. Godnych zaufania. Takich, które mężczyźni chcieliby mieć przy sobie, jadąc na prerię, bo one znałyby odpowiednie zioła lecznicze uśmierzające ból i potrafiłyby polować z broni na zwierzynę na szlaku.

Najwidoczniej dzisiaj rano Laura się postarała i zrobiła makijaż. Miała gładką cerę, opaloną, ale nie tak wyschniętą jak u wielu kobiet w południowej Kalifornii. Wytuszczyła rzęsy, użyła cienia do powiek i różowego błyszczyka.

Niestety ubrała się w ciuchy, które zamówiła chyba z katalogu dla kobiet mieszkających na przedmieściach, pragnących, by postrzegano je jako energiczne: dzinsy, biała koszula i granatowy sweter. I adidas. Białe adidas. Siostra zawsze była wysportowana, pomyślała Elly, ale dlaczego musi wyglądać jak emerytowany jankes?

– No i? – zapytała Elly, odrywając myśli od wyglądu siostry i widząc, że Laura nie powie nic więcej bez proszenia. – Jak tam Anne?

– W porządku. Ale wczoraj było koszmarne. Zachowałam się jak ostatnia idiotka.

Te słowa z ust poukładanej Laury były tak nieoczekiwane, że Elly niemal zadławiła się kawą.

– Co masz na myśli? Dlaczego koszmarne? Na poziomie liceum czy raczej wojny atomowej?

– Wojny światowej. – Laura westchnęła. – Wczoraj wieczorem wróciłam do domu i Jake'a nie było, więc poszłam go szukać. I znalazłam z Anne, w pubie. I powiedzmy, że wpadłam w furję.

– „Powiedzmy”? – Elly podniosła dłoń. – Moment. Cofnij. Dlaczego Jake był w niedzielę w pracy?

– No tak. Czasami przyjmuje nagłe wypadki – odparła Laura obronnym tonem. – Prowadzi praktykę sam i stara się nie odsyłać pacjentów gdzie indziej w obawie, że ich straci. Wierz albo nie, stomatologia to dżungla.

– Jasne, rozumiem – powiedziała Elly, choć nie potrafiła wyobrazić sobie, jak idzie szukać własnego męża, chyba że istniałaby możliwość, że facet nie żyje. – Gdzie była Anne?

– Obsługiwała bar.

Elly nie nadała.

– Poczekaj. Przepraszam, ale nie rozumiem. Dlaczego Anne obsługiwała bar?

– Najwyraźniej mama miała duże przyjęcie i któryś z pracowników nagle zachorował. Zresztą nieważne. Chodzi o to, że przyłapałam ich razem w pubie!

– Wybacz, Lauro, ale czy zdajesz sobie sprawę, jakie gadasz bzdury? – zdziwiła się Elly. – Co to znaczy „przyłapałam”? Chyba nie kopulowali na tym marmurowym blacie, prawda? Może Jake po prostu wpadł do pubu na drinka. Pewnie nawet nie wiedział, że Anne tam pracuje.

– Może nie. Ale kiedy przyszłam, trzymał ją za rękę. – Spojrzenie Laury było puste. – Zobaczyłam, jak ją dotyka, i wpadłam w szal. Wyzwałam ją.

Elly musiała odstawić kawę, żeby znowu się nią nie udławić.

– Co zrobiłaś?

– Nazwałam ją zdzirą. I spoliczkowałam.

Elly była tak zdziwiona, że mogła się jedynie roześmiać. Ale gdy Laura nie zrobiła tego samego, przestała.

– No ale co się wydarzyło? Zapytałaś Jake’a?

– Oczywiście. Mówi, że prosił Anne, by trzymała się od niego z daleka, ale ona nie chciała słuchać.

– I uwierzyłaś mu?

– Tak! Obie wiemy, że Flossie rozpieściła Anne jak dziadowski bicz, a mama nigdy nie karciła jej tak jak nas. Jeśli Anne czegoś chce, nie spocznie, póki tego nie dostanie. – Laura wstała, podeszła do zlewu, nalała wody do szklanki i wypila, a potem napełniła ponownie i wypila znowu. – Strażnicy Wagi – wyjaśniła, gdy Elly uniosła pytająco brew. – Radzą wypić szklankę wody przed każdym posiłkiem i po nim.

– Przecież my nie jemy.

– No tak, ale zapomniałam wypić po śniadaniu.

Przyjazd Anne najwyraźniej zachęcił Laurę do podjęcia kolejnej diety.

– Wiesz, że wyglądasz dobrze? – spytała Elly.

– To miłe. Ale gdybyś zobaczyła Anne, też wzięłabyś się za picie wody.

– Dlaczego? Jak wygląda?

Laura wzruszyła ramionami.

– Pięknie, jak zwykle.

Elly się zamyśliła.

– Wiesz, kiedy dorastałyśmy, nigdy nie uważałam Anne za piękną. Te rude włosy, chude nogi i piegi.

– Masz rację. Anne nie jest piękna, jeśli traktujesz wszystkie jej cechy osobno – stwierdziła Laura. – Co ja robię, uwierz. Ale ona przyciąga mężczyzn. Nie wiem dlaczego. Może głosem. Tą swoją altową chrypką? Facetom staje na sam dźwięk.

– Hej, myślałam, że w naszej rodzinie to ja mam głos – zażartowała Elly. – To mnie mama dawała wszystkie solówki. Złościłaś się z tego powodu.

– Wiem – przyznała Laura. – Kiedy byliśmy małe, zazdrościłam wszystkiego, co robiłyście ty i Anne. Głupota. – Popijając trzecią szklankę wody, skrzywiła się. – Przez to picie co dwadzieścia minut chce mi się siku.

– W Los Angeles nazywają to dietą oczyszczającą. Ale pogadajmy poważnie, Lauro. Czy ty naprawdę martwisz się Anne i Jakiem? Bo moim zdaniem grubo przesadzasz. Tak tylko mówię.

Laura wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Może wpadam w paranoję, bo między mną a Jakiem kiepsko się ostatnio układa. To znaczy nie kłócimy się o nic wprost, oprócz pieniędzy i zwykłych domowych problemów, ale coś jest nie tak. Nie jesteśmy szczęśliwi.

– Co jest nie tak?

– Zdaje mi się, że Jake nieustannie mnie unika.

– Nawet w łóżku?

Laura odwróciła głowę, potwierdzając tym podejrzenia Elly.

– Daj spokój. Nie będę z tobą rozmawiać o naszym życiu erotycznym.

– Aż tak źle?

– Zostaw to, Elly!

– Już dobrze, dobrze. – Elly od zawsze wiedziała, że z Jakiem coś jest nie tak. Nigdy nie widziała, by dotykał Laurę w sposób inny niż... cóż, braterski. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego siostra tak obsesyjnie i szybko pragnęła poślubić tego faceta. A potem trwać w małżeństwie, choć nie była szczęśliwa. Najwyraźniej, kiedy pojawia się dziecko, wszystko się zmienia, ale mimo to trudno patrzeć na nieszczęśliwą Laurę. – Jak mogę ci pomóc?

Laura zajrzała do pustej szklanki.

– Porozmawiaj z Anne. Dowiedz się, co naprawdę się dzieje. A potem przekaż mi, co powiedziała.

– Zdasz sobie sprawę, że to, co usłyszę, może bardzo różnić się od wersji

Jake'a, prawda? I że żadne z nich może nie mówić całej prawdy?

– Wiem. Ale muszę wiedzieć, co dzieje się w głowie Anne. Poznać jej wersję prawdy. Obiecuj, że to zrobisz!

– Dobrze. – Elly wypłukała kubek, uściskała siostrę i wyszła z kuchni z nadzieją, że to, co usłyszy od Anne, nie zniszczy resztek małżeństwa Laury i Jake'a.

– No i jak poszło z wujkiem Gilem? Jest uroczy, prawda? – Rhonda przyszpiliła Sarah w jej biurze w późne poniedziałkowe popołudnie.

Sarah poprzedniego dnia wróciła z lunchu i ukrywała się w gabinecie, dopóki Rhonda nie wyszła, byle tylko uniknąć tego właśnie pytania. Jak ma powiedzieć Rhondzie, nie raniąc jej uczuć, że nie jest zainteresowana jej wujem? I że nawet gdyby miała ochotę na randkę, choć tak nie było, to Gil nie znalazłby się w obszarze zainteresowania z tą swoją potężną budową i łodzią? Dwa razy się z nim umówiła i wystarczy.

– Z pewnością mówi, co myśli – odparła wymijająco Sarah.

Rhonda się zaśmiała.

– O tak. Mama nazywa go prawdomówcą. A Gil zawsze cytuje jakiegoś pisarza... chyba Orwella i mówi: „W czasach powszechnego fałszu mówienie prawdy jest aktem rewolucyjnym”.

– Bardzo głębokie – uprzejmie zgodziła się Sarah, myśląc: „Ależ irytujące”.

– Opowiadał o łodzi, którą buduje? – Rhonda skrzyżowała ramiona i z szerokim uśmiechem oparła się o framugę. – To naprawdę coś.

– Ależ tak. Wszystko mi opowiedział. Rhondo, skarbie, wiesz, że wciąż jestem żoną Neila – zaczęła delikatnie Sarah. – Umówiłam się z twoim wujem, by ci zrobić przysługę, ale nie zamierzam z nikim na poważnie się wiązać.

– Ale pani mąż zniknął trzydzieści lat temu! – przypomniała Rhonda. – Czy to automatycznie nie oznacza rozwodu?

– Nie, kochanie. I tak bym go nie chciała. Wyjaśniłam to zresztą Gilowi.

– Aha. – Rhonda posmutniała. – Cóż. Szkoda – powiedziała i odeszła, zwykle wysoka i wyprostowana, a teraz lekko zgarbiona i rozczarowana.

Cóż, nie było innego wyjścia, pomyślała Sarah. Moje życie to wyłącznie moja sprawa.

Godzinę później spotkała się z parą organizującą w hotelu przyjęcie z okazji złotych godów. Pięćdziesiąt lat! Sarah podziwiała, jak ludziom udaje się ze sobą wytrzymać tak długo. Może i dobrze, że Neil zniknął, może tylko dlatego była jeszcze w ogóle mężatką.

Goście planujący przyjęcie zjedli dzisiaj w hotelowej restauracji obiadokolację o piątej, korzystając ze specjalnej oferty popołudniowej (antrykot dla pana, łosoś dla żony), a Sarah towarzyszyła im przy deserze i kawie (oczywiście na koszt firmy), by omówić szczegóły przyjęcia. Jakies pięćdziesiąt osób, powiedzieli,

trzymając się za ręce.

– Doskonała liczba na przyjęcie rocznicowe – zauważyła Sarah, kiedy kobieta wyraziła wątpliwość co do listy gości. – Wystarczająco dużo, by świętować, ale na tyle mało, by było prywatnie. Zresztą pewnie nie wszyscy się zjawią – dodała pocieszająco, widząc zmarszczki paniki wokół oczu jubilatki.

Jej mąż, Rick, miał siwe włosy, oboje zresztą je mieli. Wyglądali jak para gołębi połączona na całe życie: on w szarych wełnianych spodniach i jasnoszarym swetrze, ona w ciemnoszarej wełnianej sukience, w której wyglądała jak opity kleszcz. Kobieta wciąż obciążała nerwowo sukienkę na przysadziste uda w czarnych legginsach.

Być może niektórzy pasowali do siebie tak doskonale, że nie wyobrażali sobie życia inaczej niż w parze, jak ci dwoje. Sarah zastanawiała się, jak teraz wygląda Neil. Kiedyś był tak przystojny, że gdy szedł ulicą, oglądały się za nim kobiety.

Neil zniknął na dobre po tym, jak Sarah wyrzuciła go z domu. Źle, że pił za dużo, jednak to nie przez alkohol się rozstali. Z tym mogłaby żyć. Ale nie zniosła, kiedy zasugerował, iż go zdradziła.

W ciągu minionych trzydziestu lat – czasu, w który wciąż nie mogła uwierzyć, mimo powykręcanych artretyzmem palców i reumatycznych bólów w kolanach – czasami dostawała od męża listy. Adresu zwrotnego nigdy nie było, dlatego ani razu nie odpisała. Stemple pochodziły z różnych miast, najczęściej z Florydy, gdzie – jak zakładała Sarah – dało się żyć na ulicy. W listach nigdy nie narzekał, nie wyrażał złości, którą ona chciałaby czasem wyrazić, był za to szczery i od czasu do czasu pełen nostalgii. Córkom nie wspomniała o tej korespondencji, nie chciała bowiem, by żywiły płonną nadzieję na ponowne spotkanie. Bolesnie przekonała się, że na ich ojcu nie można polegać.

A potem, rok temu, Neil przysłał list, który Sarah czytała już tak wiele razy, że większą część znała na pamięć.

Droga Sarah, przepaść między nami jest ogromna, ta geograficzna i ta w sercu. Mimo to chciałbym przebiec drogę, przepłynąć rzeki i przelecieć kaniony, które nas oddzielają. Zawsze trzymałaś moje serce w swojej dłoni. Wiem teraz, że w niektórych sprawach mówiłaś prawdę, w innych nie. Uwierz, proszę, że u mnie wszystko się zmieniło, ale moja miłość do ciebie i naszych córek pozostaje niczym pędząca rzeka, płynąca rwącym nurtem, zawsze w kierunku Zatoki Szałeńców.

Sarah odpisałaby, gdyby znała adres zwrotny. Może zgodziłaby się nawet, by przyjechał do domu, choć wątpiła, że Neil rzeczywiście wyzdrowiał i nie pił. To jednak był ostatni list. I dobrze, że nic nie powiedziała dziewczynkom.

Jubilatka po drugiej stronie stołu zamilkła i wyczekująco spojrzała na Sarah, która zdała sobie sprawę, że straciła wątek.

– Przepraszam, ale czy mogłaby pani powtórzyć? – powiedziała. –

Zamyśliłam się nad wyborem kwiatów.

– Och. – Kobieta zdawała się zaskoczona. – Myślałam, że rozmawiamy o menu. – Zrobiła nadąsaną minę, a usta, z natury małe, wyděła w niewielką czerwoną malinę.

– Bardzo przepraszam – powtórzyła Sarah. – Państwa rocznica jest ogromnie ważna. Chciałabym, żeby wszystkie szczegóły przyjęcia były dopracowane w stu procentach.

W tym samym momencie dostrzegła młodą kobietę stojącą w drzwiach do jadalni. Wysoka blondynka, piękna, mimo swobodnego stroju. Dopiero po chwili Sarah ją rozpoznała.

– Elizabeth! – Sarah gwałtownie zerwała się z krzesła, wrywając jubilatkę z grymasu i powodując, że jej mąż również wstał i się odwrócił, gapiąc na nowo przybyłą. Nic dziwnego. Jej córka była piękna.

Laura wspominała, że Elizabeth – która teraz używała imienia „Elly”, zresztą koszmarnego, jak z książki dla dzieci – zamierza przyjechać w odwiedziny. I że będzie mieszkać u niej, bez dyskusji. Sarah niechętnie się zgodziła, bo oczywiście wolałaby mieć Elizabeth u siebie. Ale Laura przechodziła trudny okres – choć matka obawiała się zgłębiać dlaczego – więc to naturalne, że potrzebowała siostrzanego wsparcia.

Sarah uśmiechnęła się do córki z dumą, że urodziła tak piękne stworzenie. Uważała bowiem, że w każdej rodzinie jedno dziecko zawsze wybija się ponad przeciętność, i u niej to właśnie Elizabeth była najpiękniejszą, najbardziej utalentowaną córką.

Nie chodziło tylko o zdanie Sarah, to był fakt: Elizabeth miała złote włosy i złoty głos, zgrabne nogi i wzrost, dzięki któremu nawet w dzinsach wyglądała jak królowa. Miała również dobry charakter. Nigdy nie stała się tak uparcie metodyczna jak Laura (choć trzeba przyznać, że dzięki temu najstarsza z sióstr w wielu dziedzinach była kompetentna i godna zaufania) ani wściekle, radośnie buntownicza jak Anne. Nie, Elizabeth zawsze słuchała matki, dzięki czemu wygrywała niemal wszystkie konkursy wokalne w okolicy. Zanim wyjechała do Los Angeles, zdobyła role w kilku doskonałych produkcjach teatralnych na Północnym Wybrzeżu.

Sarah nie chciała, by córka wyjeżdżała. A tak naprawdę pragnęła wyjechać z Elizabeth i pomóc jej rozwinąć karierę. Oczywiście było to niemożliwe. Nie mogła przecież zostawić hotelu. Myślała jednak o córce codziennie, zwykle od razu po przebudzeniu, wyobrażając sobie, jak chodzi na przesłuchania i śpiewa na scenach w całym Los Angeles, jak robiłaby to jej matka, gdyby w tym wieku miała podobną szansę.

Podeszła do Elizabeth i ją uściskała, a potem puściła, by lepiej się przyjrzeć. Córka wyglądała dobrze, była opalona i jak zawsze szczupła, ubrana w modne

obcisłe dzinsy i kozaki, krótką czarną skórzaną kurtkę i szal. Jasne włosy opadały falami na ramiona. Jej własna dziewczyna z Hollywood!

– Wyglądasz po prostu cudownie – powiedziała Sarah i odwróciła się do swoich gości. – Ricku i Jean, chciałabym wam przedstawić moją córkę, Elizabeth Bradford. Przyjechała z Hollywood, jest wokalistką.

– Jestem głównie projektantką planów zdjęciowych – sprostowała Elizabeth. Sarah machnięciem ręki zlekceważyła komentarz.

– Moja córeczka ma niezmierny talent.

– Pracuje pani z gwiazdami filmowymi? – zapytał Rick. Jowialny pan z nalaną twarzą wyglądał, jakby lubił szkocką. – Zobaczymy pani nazwisko na ekranie?

– Kiedyś, mam nadzieję. – Elizabeth się uśmiechnęła.

– Ależ na pewno – zapewniła Sarah. – Elizabeth śpiewa jak anioł. Zresztą na pewno z radością zaśpiewa coś i teraz.

– Mamo – zaprotestowała Elly. – Nie. Proszę, daj spokój. Jesteście zajęci. Spotkamy się później. Właściwie to szukam Anne.

– Anne? Przykro mi, skarbie, ale jej tu nie ma. – Sarah poczuła nagły przypływ irytacji. Nie chciała rozmowy o tym, że córka postanowiła mieszkać w omszałej chacie nad wodą, a nie w hotelu. – Mieszka na razie w domku ciotki Flossie. Chciała mieć własną kuchnię.

– Aha. – Elizabeth zmarszczyła czoło. – No dobrze. Przejdę się tam.

– Ale przyjdiesz do mnie jutro, prawda?

– Oczywiście. – Elizabeth schyliła się i ucałowała matkę w policzek, zanim wyszła.

Sarah wróciła do swoich gości z szerokim uśmiechem.

– Doskonale. Bardzo przepraszam za tę przerwę. Porozmawiajmy teraz o kwiatach na wasz wielki dzień – oznajmiła. – Myśleliście o jakimś kolorze przewodnim?

Teraz już wszystko się ułoży, myślała, przeglądając album ze zdjęciami dekoracji kwiatowych. Elizabeth przyjechała do domu. Ona rozweseli Laurę i wniesie trochę rozrywki w ich życie.

Elly szła przez ogrody w stronę plaży. Wciąż było dość jasno, by podziwiać wysokie białe brzozy, których zielone liście nabierały już barwy ciepłego złota. Zapomniała, że jesień w Nowej Anglii oznacza tyle różnych możliwości. Wciągnęła głęboko powietrze z nadzieją, że oczyści płuca z toksycznego smogu Los Angeles.

Dotarła do morza i ruszyła po ubitym maślanym piasku do domu ciotki i przylegającej doń małej chaty. Jako dzieci razem z siostrami nazywały tę chatkę Barką. Sprzeciwiając się Sarah, Flossie zawsze zaopatrywała Barkę w przekąski i napoje i zachęcała, by przychodziły tu jako nastolatki i spędzały czas z dala od

rodzicielskiego nadzoru.

– Każda dziewczyna potrzebuje własnej przestrzeni – powtarzała Flossie.

Lata temu w trakcie Święta Dziękczynienia przy stole toczyła się dyskusja na temat dziewictwa i ciotka naskoczyła wtedy na ich matkę.

– Na miłość boską, Sarah! – zawołała. – Powtarzasz wciąż córkom, że mają się oszczędzać, ale niby po co? Powinny próbować tego, co daje świat, i nauczyć się, co im daje przyjemność, zanim postanowią, kogo pokochać i jak żyć.

– A co ty możesz wiedzieć? – odpowiedziała Sarah, rzucając na stół serwetkę niczym rękawicę. – Byłaś zakonnica! Dziwne rozumowanie jak na kobietę, która była poślubiona Bogu!

Flossie tylko przewróciła oczami.

– Mówię ci po raz tysięczny, zrozum wreszcie: byłam buddyjską zakonnica. Nigdy nie wierzyłam w jednego wyższego stwórcę jak Bóg.

Tylko Laura nie skorzystała z rady Flossie. Poznała Jake’a w college’u, zaszła w ciążę i wyszła za mąż w ciągu roku, choć poroniła.

– Nie musisz już za niego wychodzić! – powiedziała wtedy Elly.

Ale Laura tylko pokręciła głową. Przecież rozesłali zaproszenia, wyjaśniła. A co ważniejsze, matka zaakceptowała Jake’a. No i Jake ją kochał.

– Nie mogę się już wycofać – tłumaczyła. – Złamałabym serce Jake’owi. I mamie. To jej ślub tak samo jak mój.

– Tym bardziej powinnaś go odwołać! – krzyczała Elly na siostrę.

Teraz wyrzucała sobie, że bardziej jej nie wspierała. Jedynym grzechem Laury było to, że za bardzo starała się uszczęśliwić innych.

Elly szła po kamienistej plaży wzdłuż naturalnych stopni z głazów i przystanęła tuż przy niewielkim trawniku otaczającym Barkę, by złapać oddech. Wysoka pożółkła trawa wokół domku wydawała dźwięki przypominające szepczący tłum, słyszalne mimo fal, bo morze było tego dnia spokojne.

Anne siedziała po turecku na ganku, odwrócona plecami do Elly. Co robiła? Ćwiczyła jogę? Po chwili Elly zdała sobie sprawę, że siostra śpiewa. Przysunęła się i rozpoznała starą żeglarską szantę: *Co zrobimy z pijanym marynarzem?* Razem z siostrami wymyślały do niej zwrotki, zabawiając gości hotelu i zapraszając ich do śpiewania. Ludzie to uwielbiali.

Elly lubiła tę piosenkę. Choć czasem traciła sens, miała piękną melodię, kiedyś śpiewaną na statkach wielorybników. Wyobrażała je sobie niedaleko skały Jeffrey’s Ledge, stojąc niedaleko domku i słuchając słodkiego altu Anne płynącego na wodę.

Kusiło ją, by zaskoczyć siostrę i dołączyć do śpiewu. Ale wtedy Anne nagle się podniosła i schyliła, by podnieść coś z ganku i otulić kocem. Co to było?

Niemowle! Z koca wysunęła się mała stopa. Anne miała dziecko! Elly zakryła dłonią usta, by nie krzyknąć z zaskoczenia. Wyobrażała sobie różne

scenariusze wydarzeń w życiu młodszej siostry. Z ostatniej krótkiej rozmowy na Skypie kilka miesięcy temu wiedziała, że Anne jest z jakimś facetem. Pisarzem. Mieszkali razem. Potem straciły kontakt, ale Elly się nad tym nie zastanawiała – była zajęta i uznała, że Anne również.

Gdy nie rozmawiały ze sobą w ostatnim czasie, Elly, myśląc o Anne, wyobrażała sobie różne rzeczy. Że zamieszkała ze swoim pisarzem w kamienicy na Brooklynie. Albo w Paryżu, gdzie razem z kochankiem pisali dzienniki i pili tanie czerwone wino. Była skłonna uwierzyć w te fantazje bardziej niż w to, że zobaczy siostrę tutaj w roli matki, na samotnej skale wychodzącej na szary Atlantyk.

Elly poczuła się opuszczona i zła, choć wiedziała, że pod wpływem takich emocji staje się małostkowa. Nie mogła się jednak nie zastanawiać, czy ma jeszcze cokolwiek wspólnego z Anne i Laurą – obie były matkami, ona nie miała dzieci. Jakby powstała między nimi gigantyczna przepaść. Znalazły miłość i miały swoje życie. Awansowały na kolejny poziom dorosłości. Postawiły biologiczną pieczęć na następnym pokoleniu.

Anne zdążyła już wnieść dziecko do domku. Słońce szybko zachodziło. Elly przeszła ścieżką i zapukała do drzwi.

– No cześć – powiedziała, kiedy siostra otworzyła drzwi.

– Elly! – Miedziane włosy Anne były przycięte do brody i się kręciły. Taką samą fryzurę nosiła jako dziecko, kiedy nieustannie była w ruchu, na rowerze albo deskorolce. Ubrana w dżinsy i flanelową koszulę uśmiechała się szeroko i ze szczerą radością. – Nie wiedziałam, że przyjdiesz!

– Napisałam do ciebie esemesa!

– Napisałaś, że „może” wpadniesz – zauważyła Anne. – Uznałam, że po kalifornijsku to oznacza „może”, nie „na pewno”.

– No ale jestem. Wpuścisz mnie do środka?

– Rany, przepraszam! – Anne otworzyła drzwi. – I za bałagan też przepraszam. Dopiero się tutaj wprowadziłam, a Flossie chciała, żeby najpierw posprzątało. Nie skończyłam się rozpakowywać. Teraz to już nawet nie widać, że było czysto, bo mam tak dużo maneli. – Zagryzła dolną wargę. – Tyle że nie przyjechałam sama.

– Wiem.

– Skąd? Mama ci powiedziała?

– Nie. Widziałam cię na ganku chwilę temu – odparła Elly. – Prawie dostałam zawału. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz dziecko? Albo Laurze? Ona także nie wie, prawda?

Anne się skrzywiła.

– Laura i ja raczej ze sobą nie rozmawiamy. Zresztą uznałam, że mama jej powie.

– Ale tego nie zrobiła. Nie wiem dlaczego. Umysł mamy pracuje

w tajemniczy sposób. – Elly zerknęła przez ramię siostry na niemowlę. Leżało w przenośnym łóżeczku, w zapinanych z przodu śpioszkach – żółtych, trudno było określić płeć. Miało włosy o ton bardziej rude od Anne i machało rękami i nogami na widok domowej roboty ozdoby ze sznurka, kawałka drewna i muszelek.

– Dziewczynka czy chłopiec? – zapytała Elly.

– Dziewczynka.

– Ile ma?

– Cztery miesiące.

– Jak jej na imię?

– Lucy. Czyż nie jest piękna? – powiedziała Anne i się rozpląkała.

Elly objęła siostrę. Anne była kilka centymetrów niższa, dzięki czemu mogła położyć pachnącą kokosem głowę na ramieniu Elly. Anne nigdy nie potrafiła wdzięcznie płakać. W przeciwieństwie do matki, którą Elly zawsze podejrzewała, że wytwarza łzy na zawołanie, gdy sprawy nie idą po jej myśli. Nie, Anne szlochała, smarkała i szukała w kieszeniach džinsów chusteczek.

– Usiądź, zanim się przewrócisz – poprosiła Elly. – Stało się coś złego?

– Wszystko!

– Dobrze już, dobrze, oddychaj. No dalej. – Elly zaprowadziła siostrę na kanapę stojącą przy oknie. Na dole szarozielone fale rozbijały się o brzeg, zdobione białą koronką pryskającą na skały.

Elly miała ochotę zabić tego tam, pisarza. Nie musiała znać szczegółów, by wiedzieć, że złamał serce jej siostrzyczce. Wredny drań.

Przypomniała sobie, że na tej samej kanapie dokazywały w liceum z kolejnymi chłopakami – bambusowej, ze zdejmowanymi poduszkami w brązowych jutowych poszewkach. Poduszki wylatywały spod nich w bardzo niezręcznych momentach, jak wtedy, kiedy Billy Oswald z ostatniej klasy – jej *bad boy* w skórzanej kurtce i podartych džinsach – leżał na Elly i próbował mówić jej świństwa. W końcu zrzuciła go z siebie, bo nie mogła oddychać, tak bardzo próbowała powstrzymać się od śmiechu.

Kolorowe wzory na starych workach, w które ciotka Flossie oblekała poduszki, zdążyły już wyblaknąć. To domowe rzemiosło potwornie irytowało Sarah: „Wasza ciotka dekoruje dom, jakby mieszkała w stodole”, krzywiła się matka. Ale Elly uważała, że surowe jutowe tkaniny pasują do wąskiego salonu wykładanego sosnową boazerią w kolorze miodu. Na dwóch krzesłach, również bambusowych, leżały poduszki obłożone w kremowy muślin i kraciasty błękit, ale w oknach nie było zasłon. Flossie nigdy się nimi nie przejmowała. Bo i po co? Za oknami było tylko morze.

Dziecko zaczęło marudzić. Elly myślała, że Anne nie usłyszy niemowlęcych pisków wśród własnych szlochów, ale włączył się jej instynkt macierzyński. Otarła twarz flanelową koszulą i wzięła małą na ręce. Lucy przestała na moment kwilić,

a potem skrzywiła się i rozplakała w głos.

Elly się uśmiechnęła.

– Zrobiłaś sobie małego brzydkiego trolla. Tylko spójrz na tę buzię.

– Nie bądź wredna. – Anne usiadła na krześle naprzeciwko siostry.

Na tle okna kręcone włosy Anne uniosły się niczym płonąca aureola wokół jej twarzy. Podniosła koszulę, żeby nakarmić dziecko. Piersi miała duże i kremowobiałe, a sutki różowe.

Elly musiała na moment się odwrócić; ból i złość sprawiły, że zapiekły ją oczy.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że trzymałaś to w tajemnicy. Dlaczego, do diabła?

– Wiem, wiem. Jestem okropną siostrą. Przepraszam. – Anne odchyliła głowę i zamknęła oczy. Jej twarz się rozluźniła.

Karmienie dziecka najwyraźniej ją uspokajało. Pewnie przez hormony. Dziecko złapało Anne za bluzkę. Miało różowe i drobne rączki przypominające małe rozgwiazdy.

Elly znowu odwróciła wzrok.

– No więc co się wydarzyło w Portoryko?

– Wszyscy mnie o to pytają, ale nie wiem, co odpowiedzieć. To takie skomplikowane – odparła.

– Zacznij od początku. Z kim zaciążyłaś i gdzie on teraz jest?

Anne otworzyła oczy.

– Z Colinem. W Nowym Jorku.

– Zostawił was na dobre?

Anne skinęła głową. Twarz miała spuchniętą od płaczu. Elly przez jedną durną chwilę pomyślała o wysłaniu przez Snapchata zdjęcia Anne Laurze. Gdyby starsza siostra zobaczyła ten widok, zdałaby sobie sprawę, że nie ma się o co martwić. Było oczywiste, że Anne nie wróciła do domu z powodu Jake'a. Po prostu chciała schronić się po własnej katastrofie.

– Kochałaś go? – naciskała Elly. – Czy planowaliście z tym całym Colinem dziecko, ale on się wycofał? Czy to przypadek? Chichot kosmosu?

Anne zrobiła niezadowoloną minę.

– Co to niby jest? Gra w dwadzieścia pytań?

– Ależ skarbie, ja się dopiero rozkręcam. – Elly założyła ręce i czekała.

Siostra spojrzała na córkę i głaskając jej włoski wolną dłonią, opowiadała Elly, jak surfowała i mieszkała ze znajomymi w domu przy plaży, pracowała jako kelnerka – życie marzeń.

– Serio? Kelnerowanie to życie twoich marzeń? – zdziwiła się Elly. – Masz magisterkę z pedagogiki.

– Zaczęłam też gotować – ciągnęła Anne. – Myślałam o nauce w szkole

kulinarnej.

– Myślałam, że nie znosisz pracować w hotelu.

– Nie znosiłam pracować z mamą – poprawiła Anne. – Zresztą nie chciałabym nigdy prowadzić hotelu, tylko gotować. A właściwie to piec.

– Okej. A kiedy na scenie pojawił się Pan Dupek?

– Nie nazywaj go tak. Jest ojcem Lucy. – Anne przystawiła dziecko do drugiej piersi. Lucy trochę marudziła, ale Anne szybko ją uspokoiła. – Jest pisarzem. Poznałam go w restauracji.

Siostra zajmowała się dzieckiem w tak naturalny sposób, że Elly znów poczuła, jak jej złe serce ogarnia zazdrość, surowa i okropna.

– Jakiego rodzaju pisarzem? – dopytywała, kiedy Anne ponownie oparła głowę o krzesło. Miała opaloną i zgrabną szyję, a rzęsy na tle piegawatych policzków tak gęste i ciemne jak u lalki.

– Odnoszącym sukcesy – odparła Anne jakby rozmarzonym tonem.

Słuchając, jak siostra opowiada o Colinie, Elly pomyślała, że na nowo przeżywa tamte pierwsze emocje zakochania – szalone i piękne – kiedy wchodzisz w niebezpieczną sferę namiętności i jesteś pewna, że wszystko będzie dobrze, choć dowody wskazują na coś innego.

– Colin jest Irlandczykiem – mówiła dalej Anne. – Jakieś dziesięć lat temu wydał w Irlandii powieść, którą zaadaptowano na serial. Przyjechał do Portoryko, żeby napisać drugą część.

Elly niechętnie przyznała w duchu, że jest pod wrażeniem. Zabrakłoby jej palców, gdyby miała zliczyć znajomych z Hollywood gotowych zabić, by ich książkę lub scenariusz sfilmowano.

– Dobra, dosyć o nim. Zaszłaś w ciążę. Szkoda, że kiedy robiłaś magisterkę, nikt nie powiedział ci o antykoncepcji.

– Wiem, wiem. Głupio wyszło. A Colin od razu powiedział, że nie chce dzieci. – Oczy Anne pociemniały ze smutku, zrobiły się niemal ciemnoszare. Znowu zaczęła płakać, aż dostała czkawki. Dziecku w ogóle to nie przeszkadzało, jadło, od czasu do czasu chrumkając z zadowolenia.

Jezu, pomyślała Elly. Dzieci to takie pasożyty.

– A więc ten koleś to drań. Nawet o nim nie myśl. Nie zasługuje na ciebie.

– To nie tak. Colin nigdy niczego mi nie obiecywał. A potem przyjechała do Portoryko jego żona i go zabrała!

Przez krótką chwilę Elly wyobraziła sobie absurdalny obraz kobiety z lassem, zgarbiającej szlajającego się faceta.

– Och, skarbie – powiedziała, bo Anne już zdążyła całkiem się rozsypać. Nie tylko płakała, ale zgarbiła się wokół niemowlęcia, jakby chciała je chronić przed nadlatującym pociskiem.

I chyba w pewnym sensie to właśnie robiła. Elly zaczynała rozumieć: Anne

żyła fantazją, a potem jej wymarzone życie ktoś zniszczył tak gwałtownie, jakby trafiła w nie rakietą.

Elly przeszła przez pokój i uklękła na chodniku u stóp siostry, by ją pocieszyć. Laura znowu wpadnie w złośliwy szal, kiedy się dowie, że ojciec dziecka Anne jest żonaty.

Czy Anne wiedziała, że Colin miał żonę? A może przez cały czas ją okłamywał? Dla dobra ewentualnego rozejmu między siostrami Elly wolałaby drugą opcję. Mocno postukała w kolano siostry odwróconą dłonią.

– Spójrz na mnie!

Anne szybko podniosła głowę.

– Co? Dlaczego mnie bijesz?

– Wiedziałaś, że ten facet jest żonaty? Od początku?

– Tak, ale Colin twierdził, że od dwóch lat są w separacji. I że do rozwodu zostało tyle. – Anne lekko rozstawiła kciuk i palec wskazujący.

Elly usiadła na piętach. Colin zapewne z radością odgrywał papę Hemingwaya i pieprzył uroczą małą wyspiarę. Potem pojawiło się dziecko, więc zniknął od razu, z powrotem do łóżka, które wygrzała mu żona.

– Co za ciul.

– Nie mów takich rzeczy. Nie chcę, by Lucy myślała, że jej ojciec nic dla mnie nie znaczył. – Anne spojrzała z troską na niemowlę, jakby mogło zrozumieć ich rozmowę.

Elly wzruszyła ramionami.

– No dobra. Ale może mała będzie miała szczęście i nigdy nie pozna tego palanta. Pamiętaj, wszystkie doskonale sobie poradziłyśmy bez taty.

Jak tylko wypowiedziała te słowa, Elly zrozumiała, że to nieprawda. Tęskniła za ojcem od dnia, kiedy odszedł. Rankiem po tym, jak zniknął – tchórz wyjechał nocą, kiedy wszyscy spali – Elly zakradła się do szafy w sypialni i wzięła jeden z krawatów taty, jego ulubiony, z czarnymi szkockimi terierami na zielonym tle. Wciąż trzymała go w szufladzie. Następnego dnia pojechała rowerem do Gloucester w poszukiwaniu ojca. Do domu musiała odwieźć ją policja. Miała osiem lat. Teraz zastanawiała się, co wtedy robiła matka, skoro nawet nie zauważyła zniknięcia Elly. To Flossie wezwała gliny.

Jako nastolatka Elly nieustannie wypytywała Sarah, gdzie jest ojciec. Pewnego sobotniego wieczoru, kiedy we dwie polerowały srebra w hotelowej kuchni i pytanie padło po raz kolejny, matka w desperacji podniosła rękę.

– Posłuchaj, wasz ojciec był alkoholikiem. Stracił rozum i oskarżył mnie o różne okropne rzeczy. Taka jest prawda! Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest, i żadnego powodu, by sądzić, że kiedykolwiek wróci – oznajmiła.

– Ale mam! Nie próbowałaś go nawet szukać? – zawołała Elly. – Jaką trzeba być kobietą, żeby nie szukać własnego męża? Alkoholizm to choroba!

Uzależnienie! Jak od heroiny. Uczą nas o tym w szkole!

– Na miłość boską! Nie wierzę, że płacę dziesiątki tysięcy dolarów za tę szkołę, w której jakiś durny nauczyciel w pogniecionych spodniach khaki każe wam wierzyć, że ucieczka i porzucanie rodziny są normalne. – Matka patrzyła z niedowierzaniem.

Elly wstała i podeszła do lodówki – jakieś dziesięć kroków z salonu – w poszukiwaniu wina. Ale wina nie było. Nalała więc sobie wody i usiadła na kanapie.

– Co z mamą? – zapytała Anne. – Pewnie wpadła w histerię, kiedy zobaczyła dziecko?

– Kazała mi mówić, że jestem rozwódką – powiedziała rozgoryczona Anne. – No i zaznaczyła, że Lucy i ja nie jesteśmy mile widziane w jej mieszkaniu.

– Cóż, jedna dobra rzecz, jeśli chodzi o mamę, jest taka, że zawsze wiesz, na czym stoisz. – Elly wyciągnęła rękę, by dotknąć włosów Lucy. Zawinęła czerwony lok wokół palca i się uśmiechnęła. – Chyba wiem, dlaczego dałaś jej tak na imię. Narnia, prawda?

– Tak. – Anne odwzajemniła uśmiech. – Tata czytał nam *Opowieści z Narnii*.

Przez głowę Anne przemknęło kolejne wspomnienie: pachnący słodko whisky ojciec, jego drapiący zarost i „pierzioszkowe pocałunki” w ręce i brzuchy, od których chichotały po czytaniu przez ojca książki Lewisa na dobranoc.

– Rany, od wieków nie myślałam o tych książkach. Pamiętasz, jak tata siadał z nami w tym dużym wnekowym oknie na górze i czytał? I jak używał różnych głosów dla każdego bohatera z Narnii?

Anne się zaśmiała.

– Uwielbiałam, jak udawał fauna Tumnusa.

– Ja też. Ale okropnie bałyśmy się, kiedy odgrywał Jadis. Pamiętasz? Białą Czarownicę, która zamroziła Narnię na sto lat?

– Pewnie. Zawsze chowałam się wtedy pod kołdrę! – wspominała Anne. – Przerazał mnie. Wtedy z Laurą zaczęłyście nazywać mamę Białą Czarownicą i mówiłyście, że może spojrzeniem zmienić nas w sopel lodu. Uważałyśmy, że to przezabawne, choć było tak naprawdę.

– W każdym razie Lucy to idealne imię – podsumowała Elly, zastanawiając się, jak zadać pytanie, o które poprosiła ją Laura. – Muszę zapytać o coś jeszcze.

– Pewnie. Co tylko chcesz.

– Czy coś jest między tobą a Jakiem?

– O matko – westchnęła Anne. – Nie! Próbuję go unikać, ale przyszedł do pubu, kiedy miałam tam zastępstwo. Laura nas zobaczyła i zmieniła się we wrzeszczącą czarownicę. – Anne spojrzała na siostrę spod zmrużonych oczu. – Moment. Przyszłaś tutaj, bo Laura ci kazała?

– Nie bądź durna. I tak bym przyszła. Stęskniłam się. – Elly spokojnie

patrzyła na Anne, choć na twarzy tej drugiej pokazały się sprzeczne emocje. Była zła, i trudno się jej dziwić.

– Nie mogę uwierzyć, że kazała ci mnie szpiegować! I że się na to zgodziłaś!
– Anne odstawiła dziecko od piersi, położyła na ramieniu i poklepała po plecach.

– Nie szpieguję – wyjaśniła Elly. – Wtrąciłam się, bo Laura czuje się zraniona i świruje. Nie wie o Lucy, więc wyobraża sobie, że polujesz na jej męża. Wciąż przeżywa to, co wydarzyło się kiedyś między tobą a Jakiem.

– To absurd. – Anne wstała i zaczęła chodzić po salonie z dzieckiem na ramieniu. – Wiesz dobrze, że między mną a nim nigdy nic nie było!

– Opowiedz mi jeszcze raz, co wydarzyło się tamtego lata, ze szczegółami. – Elly z trudem nadążała za nerwowymi ruchami Anne. W domku nie było wiele miejsca, siostra podążała więc krótką trasą w kształcie litery U, od salonu do przyległej kuchni, a potem z powrotem do salonu.

Lucy położyła się na policzku, odsłaniając drugi, okrągłutki. Miała różową i miękką skórę, rzęsy jak skrzydła ćmy, ciemne na tle bladej skóry. Elly poczuła pod żebrami kolejny bolesny skurcz.

Anne stała na dywaniku przy oknie. Za jej plecami niebo zmieniło kolor na fioletowy, zbliżony do barwy oceanu. Trudno było określić, gdzie kończyła się woda, a zaczynało niebo.

– Dobrze. – Anne wzięła głęboki wdech i zaczęła: – Mieszkałam u nich w domu i zajmowałam się końmi, bo Laura i Kennedy wyjechały. Jake był na konferencji i wrócił wcześniej, niż zapowiadał, późnym wieczorem w przeddzień mojego wyjazdu. Spałam na górze, w pokoju gościnnym. Było mi gorąco, więc nie włożyłam koszuli. Obudziłam się, bo poczułam nagłe zimno.

Przestała mówić i zakryła ręką oczy.

– Jake wszedł do twojego pokoju? – Elly zaczęła sobie przypominać różne fragmenty tej historii; pamiętała, jak zapłakana Anne zadzwoniła do niej do Los Angeles po tym wydarzeniu. Tego samego wieczoru zdążyła też zadzwonić Laura, podając zupełnie inną wersję wydarzeń. Wtedy Elly nie wiedziała, komu wierzyć.

– Jake stał obok mojego łóżka – ciągnęła Anne. – Zdjął prześcieradło, żeby na mnie spojrzeć. Miał rozpięte spodnie i się dotykał – mówiła jakby nieswoim głosem.

– Mój Boże. – Słuchając słów siostry, Elly przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że Anne mówi prawdę. – I co potem?

– Wrzasnęłam, żeby wynosił się z mojego pokoju. Uciekł, jakby gonił go wściekły pies.

– Nie wątpię. Co się później wydarzyło? – spytała Elly.

– Nic. – Anne wzruszyła ramionami. – Ubrałam się i wyjechałam.

– Nie rozmawiałaś z Jakiem?

Pokręciła głową.

– Tamtego dnia nie. Kilka dni później próbował ze mną rozmawiać i przeprosił. Myślałam, że mogę mu wybaczyć, aż do tego przyjęcia bożonarodzeniowego dwa lata temu.

Elly skinęła głową.

– Kiedy Laura was przyłapała.

– No właśnie. Próbowałam unikać ich obojga za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do domu, ale wtedy w hotelu odbywało się to duże rocznicowe przyjęcie świąteczne i wszyscy tu byliśmy. – Anne zmarszczyła czoło. – Wszyscy oprócz ciebie. Dlaczego nie dojechałaś?

– Miałam występ. – Elly nie dodała, że było to tylko nagranie do reklamy ani że spędziła tamtą Wigilię nieszczęśliwa, pijana, śpiewając karaoke w jakimś barze z obcymi ludźmi, bo Hans, facet, którego kochała, ją zostawił.

Na szczęście Anne nie pytała o nic więcej.

– W czasie tej imprezy Jake znalazł mnie w korytarzu i powiedział, że musimy porozmawiać. Potem przycisnął mnie i zaczął całować.

– Chyba żartujesz.

– Nie! – Anne się skrzywiła. – Choć właściwie to mnie nie pocałował. Bardziej przyciskał usta do moich, jak to robią w filmach. Jakby ssali sobie wargi. Zastanawiasz się czasem, kto tak całuje? No właśnie Jake.

– Krzyczałaś czy coś? – Elly wiedziała już od Laury, że nie.

– Nie. Chciałam – wyjaśniła Anne – ale wolałam, żeby Kennedy i Laura się nie zdenerwowały, więc próbowałam go od siebie odsunąć. Wtedy weszła Laura i nas zobaczyła. – Anne zmarszczyła brwi. – To w ogóle było dziwaczne. Jakby Jake chciał, by go przyłapała.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego Jake nie poczekał i nie próbował się do mnie dobierać na górze, w moim pokoju? Albo na dworze? Po co to robił, skoro jego żona była tuż obok?

– Może nie miał okazji się zastanowić – odparła Elly. – Albo za dużo wypił.

– Nie wydawał się pijany. – Anne poszła do sypialni, żeby położyć Lucy.

Elly wstała i ruszyła za nią.

– Wow. Padła jak kawka.

– Tak, po jedzeniu Lucy śpi jak pijany marynarz. Dlatego zawsze śpiewam jej tę piosenkę. – Anne westchnęła. – Jestem wkurzona, że Laura mi nie wierzy, ale jednocześnie mi jej szkoda. Skoro Jake tak zachowuje się przy mnie, co robi z innymi kobietami?

– Nigdy o tym nie pomyślałam – powiedziała Elly. – Może powinniśmy przeprowadzić jakieś śledztwo.

– Nie ma mowy! Będę trzymać się z daleka od niego i Laury.

– Dobrze, sama to zrobię – oznajmiła Elly. – Jeśli znajdę inne kobiety, które Jake podrywał, Laura będzie musiała mi uwierzyć.

– Opuść, Elly. Naprawdę. Dam sobie spokój z Laurą.

Elly uniosła głowę, by spojrzeć w rozzłoszczone oczy Anne, i się uśmiechnęła.

– Nie dasz sobie spokoju – stwierdziła. – Jesteśmy siostrami. Zawsze będziemy dla siebie.

Lekcja jazdy zdawała się nie mieć końca. Laura rozejrzała się wokół, szukając córki.

Zmusiła Kennedy, by po szkole przysłała do stajni, ale Laura sama zajmowała się końmi w obawie, że uparta gniada klacz Zeldy może nadmuchać sobie brzuch, jeśli osiodła ją Kennedy. Sprytny zwierzak wypuszczał potem oddech, siodło się ześlizgiwało, a jeździec gwałtownie spadał na ziemię. Laura dowiedziała się o tym w bolesny sposób: Zeldy ciągała jedną z uczennic po padoku, kiedy siodło się ześlizgnęło, a but dziewczyny utknął w strzemieniu. Na szczęście to była jedna z odważniejszych uczennic i miała poczucie humoru. Wystarczyłby jeden pozew, by zamknąć stadninę.

Dzisiaj Laura poleciła Kennedy wyczyścić boksy, dlatego naburmuszona dziewczynka z nieszczęśliwą miną pchała taczkę z końskim łajnem na stos za stajniami. Dzieci powinny po szkole pomagać w obowiązkach domowych, przypominała sobie Laura, próbując opanować niepokój, który tak często się pojawiał, gdy chodziło o córkę. Ostatnio Kennedy zdawała się zupełnie niczym nie interesować i całymi dniami snuła się z miejsca na miejsce niczym śniąca na jawie staruszka. Czy to naprawdę skutek dorastania i burzy hormonalnej? A jeśli coś złego działo się w szkole? Może Laura powinna spotkać się ze szkolnym psychologiem i poprosić nauczycieli? A może – i tego obawiała się najbardziej – na Kennedy wpływało to, że jej rodzice się nie dogadywali, albo głupia tajemnica i poczucie winy samej Laury?

Głupia czy nie, Laura potrzebowała poprawy humoru, pozwoliła więc sobie pomyśleć o Tomie. Za każdym razem, gdy to robiła, miała wrażenie, że ucieka od własnego życia, w którym nieważne, jak ciężko pracowała, i bez względu na to, jak bardzo starała się cieszyć, wszystko szło jak po grudzie. Czasami zdawało się wręcz, że ich rodzina mieszka na leju krasowym, ale tylko Laura czuje, że ziemia się zapada, w dodatku nie wiedziała, jak ostrzec pozostałych. Zresztą gdyby jej się udało, być może sytuacja jeszcze by się pogorszyła, bo oznaczałoby to przyznanie się do tak licznych problemów z Jakiem, że nie dawało się ich przezwyciężyć.

Toma poznała jeszcze w liceum, kiedy był chudzielcem siedzącym obok na lekcji matematyki. Okulary, aparat na zębach, trądzik, jękanie: biedak stał się obiektem drwin pozostałych uczniów. W prywatnej szkole było mu tak źle, że przed końcem drugiego roku się przeniósł.

Laura natomiast w liceum stała się gwiazdą. Najlepsze oceny, samorząd i różne kluby naukowe – popularna dziewczyna, której zwykle udawało się unikać babskich przepychanek między księżniczkami, bo większość wolnego czasu i tak spędzała w stajni w Gloucester.

„Tylko ty w całej szkole byłaś dla mnie miła” – napisał Tom do Laury na

Facebooku kilka miesięcy temu. „Kiedy w zeszłym roku zmarła moja żona, obiecałem sobie odnowić kontakty z ludźmi, którzy byli dla mnie ważni. Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny, że uczyniłaś moje życie w liceum mniej koszmarnym”.

Laure ta wiadomość wzruszyła, ale i zaskoczyła. Musiała przejrzeć szkolny album, by w ogóle sobie przypomnieć, kim jest Tom.

„To nie było bezinteresowne. Pomogłeś mi przebrnąć przez chemię. Zajmujesz się naukami ścisłymi? Byłeś w tym dobry” – odpisała.

Zgadła. Szybko przeszli z Facebooka na mejle, wymieniając informacje o swoich rodzinach i karierach. Tom założył firmę związaną z ochroną środowiska; jednym z ich produktów był oszczędny system oczyszczania wody, który usuwał z niej rtęć, ołów, arsenik i inne szkodliwe chemikalia.

„Wow, ratujesz świat” – pisała Laura.

„Kropla po kropli. Byłbym jeszcze bardziej dumny, tyle że moja praca jest taka fajna, że w ogóle nie czuję, że to praca” – przyznał Tom.

Wtedy zdążyła już przejrzeć zdjęcia Toma na Facebooku. Na większości były sprzęty, które opatentowała jego firma. Wśród niewielu osobistych znalazła kilka przedstawiających dzieci, dwóch chłopców w szkole średniej. Nie było tu fotografii zmarłej żony, ale Laura wyszukała nekrolog i dowiedziała się, że kobieta zmarła na tętniaka mózgu w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Na jednym z dwóch zdjęć na tle lasu Tom siedział na rowerze górskim. Trudno było powiedzieć, jak wygląda, z powodu kasku i okularów przeciwsłonecznych. Na stronie firmy Laura znalazła tylko katalogowe fotografie produktów i nowoczesnych laboratoriów. Nic osobistego.

W czerwcu i w lipcu się nie kontaktowali. Nie dlatego, że Laura miała wyrzuty sumienia z powodu ich korespondencji – wówczas jeszcze o tym nie myślała – ale dlatego, że była zajęta. Ale w zeszłym miesiącu Tom napisał mejla z pytaniem, jak mija lato, a Laura poprosiła go o radę w sprawie kupna laptopa. Taki przynajmniej powód podała: tak naprawdę zaczęła zdawać sobie sprawę, że brakuje jej tego kontaktu. I że bardzo potrzebuje przyjaciela, który nie miałby nic wspólnego z jej życiem.

Uwielbiała słuchać opinii Toma na wszystkie tematy – od robotów po politykę. Był ciekawy świata; zainspirował Laure, by zainstalowała na telefonie mapę astronomiczną i przed burzą meteorów napisał do niej esemesa: „Będę oglądał z tobą to gwiazdne show”.

Laura wciąż nie czuła się winna. Od niechcienia wspominała nawet o Tomie Jake’owi, a ten ucieszył się, że żona odnowiła kontakt ze znajomym z młodości. Wszystko zmieniło się, kiedy kilka tygodni temu Tom przysłał Laurze niewinne zdjęcie czerwonego roweru z wiadomością bardziej osobistą niż poprzednie: „Któregoś dnia po szkole jeździliśmy na rowerach koło mojego domu. Pożyczyłaś

rower od mojej siostry. Nie wiedziałaś, ale miałem wtedy urodziny. Byłaś najlepszym prezentem”.

W pewne ciepłe wiosenne popołudnie pod koniec drugiego roku szkoły Tom zaproponował, że pomoże Laurze z geometrią. Teraz sobie przypominała: po szkole pojechała wtedy do niego do domu. Uczyli się w kuchni, a Tom okazał się ciepłym wykładowcą. Odrobili zadania i pojechali na rowerach do parku. Wtedy już Laura nie zwracała uwagi na aparat ortodontyczny, trądzik i jękanie. Liczyło się tylko to, że czuła się przy nim tak dobrze we własnej skórze, iż przestała się przejmować, jaką ma fryzurę i czy jej śmiech brzmi jak „umierająca wrona” (tak powiedziała jedna z najbardziej zawistnych dziewczyn w klasie). Bycie z Tomem było równie naturalne jak bycie z samą sobą.

Niedługo później Tom zmienił szkołę i nigdy już się nie spotkali. Ale na widok zdjęcia czerwonego roweru Laura poczuła nagły przypływ tęsknoty za dziewczyną, którą kiedyś była. Wolną, pełną nadziei i przekonaną, że najlepsze lata życia ma jeszcze przed sobą.

Korespondencja z Tomem nie oznaczała tylko odnowienia kontaktu ze znajomym z liceum. To była podróż w przeszłość, do czasów, kiedy dawało się uchwycić chwile pełne ekscytujących możliwości. Po otrzymaniu zdjęcia Laura odpisała: „Teraz twoja kolej, żeby podnieść mnie na duchu. Kiepsko mi się ostatnio układa”.

I tak się zaczęło: ona się żaliła, on ją wspierał, bez względu na to, jakie pisała głupoty. A opowiadała o wszystkim – o pieniądzach, Kennedy, o stajniach. Zabawne anegdoty przeplatała obawami przed starością. Martwiła się, że wzięła na siebie zbyt wiele i nie potrafi uszczęśliwić własnej rodziny. Jedynym tematem, którego nie poruszała, był Jake. Nie chciała pod żadnym względem być nielojalna wobec męża. Ale sumienie i tak ją dręczyło. Nie potrafiła już przetrwać dnia bez kontaktu z Tomem. Miesiąc wcześniej kupiła telefon na kartę i zaczęła myśleć o nim jak o kole ratunkowym.

Tom sugerował spotkanie w realu, ale Laura odmówiła. „Nie interesują mnie romanse” – odpisała.

„Przepraszam, źle mnie zrozumiałaś. To tylko kawa. Szanuję twoje małżeństwo, ale chciałbym cię widzieć, kiedy rozmawiamy. Usłyszeć znowu twój szalony śmiech” – odpowiedział.

Uśmiechnęła się, czytając wiadomość, ale i tak odmówiła. „To nie jest dobry moment. Zresztą już się tak nie śmieję”.

Nawet Tomowi nie zdradziła, że w ogóle śmieje się bardzo rzadko. Ostatnio z powodu depresji najczęściej wracała do łóżka, kiedy Jake jechał do pracy, a Kennedy do szkoły, choć dopiero po tym, jak posprzątała po śniadaniu i oporządziła stajnie. Spała kilka godzin i budziła się, półprzytomna i ociężała, kiedy po południu rozlegał się dźwięk budzika.

Nie mogła przestać myśleć o Tomie. Kiedy pisał, chowała się w sypialni lub w łazience, by odpowiedzieć, nawet gdy Kennedy oglądała telewizję albo coś robiła na swoim komputerze.

Poprzedniego wieczoru Laura zdecydowała się na coś, przez co do tej pory na twarz występował jej rumieniec wstydu, nawet teraz, kiedy stała na padoku, obserwując swoich uczniów: pod wpływem chwili wysłała Tomowi swoje zdjęcie w rozpiętej bluzce. Zrobiła fotografię, głaszcząc się po krawędzi piersi, myśląc o jego dotyku na swojej skórze.

Odpowiedział natychmiast: „Chcę cię tam dotykać. Wszędzie”.

Na myśl o tych słowach przeszedł ją dreszcz, aż założyła ręce, zakrywając instynktownie biust. Mąż kochał się z nią, tylko gdy to inicjowała, ale od miesięcy się nie dotykali. Jak cudownie – i jednocześnie jakże okropnie – że w rezultacie znalazła się w tej dziwnej sytuacji, tęskniąc za mężczyzną, którego nie widziała od dzieciństwa. Źle robiła? Nie chciała się nad tym zastanawiać. Wiedziała jednak, że jeśli kiedykolwiek ma naprawić swoje małżeństwo i znaleźć spokój w życiu, które teraz było męką, musiała przestać się tak czuć.

Zaczęła wykrzykiwać polecenia do swoich uczniów na koniach, te same, raz po raz.

– Pięty w dół! Plecy proste! Nie, Melanie, po przekątnej. Patrz na ramię swojego konia. Cara, wyżej w siodle! Wyżej, wyżej! Pięty w dół! Plecy proste! Tully, nie puszczaj lejców. Nie, Jennifer, nie pozwól koniowi przyciskać cię do poręczy. Używajcie nóg, żeby prowadzić konie! Nóg!

To była pełna grupa, sześć amazoнок, wszystkie z gimnazjum. Laura miała ochotę machać batem, widząc, jak kłusują po kole. W końcu puściła przodem izabelowatego Blizzarda, posłusznego wałacha. Jechała na nim Melanie; szybciej niż pozostałe rozumiała instrukcje. Powinna pomóc wyrównać pozostałe konie.

Popołudnie zrobiło się szare i wilgotne. Mgła zasłaniała lasy Dogtown za padokiem, przypominając Laurze o grze w „koniec świata”, w którą bawiły się z siostrami: jedna twierdziła, że za mgłą leży koniec świata, i zachęcały się, by pobiec po trawniku przy hotelu w stronę klifu.

Czasami, jeśli biegłaś dość szybko, mrużąc oczy od wilgoci, miałaś wrażenie, że zaraz spadniesz z krawędzi ziemi i obejmie cię nicość. Szczególnie jeśli biegły w stronę domu i domku ciotki Flossie, gdzie naprawdę można było sturlać się ze skalistego klifu.

Domek: tam mieszkała Anne!

– Ma dziecko. Wiedziałaś, że Anne ma dziecko? – zapytała Elly, kiedy wróciła wczoraj wieczorem do domu Laury po odwiedzinach u najmłodszej siostry.

Laura na początku nie chciała wierzyć. Dlaczego matka nic nie powiedziała? Na pewno widziała dziecko w dniu, kiedy Anne pojawiła się w domu.

Kiedy Elly w końcu przekonała ją, że mówi prawdę, Laura była w takim

szoku, że naląła sobie drugi kieliszek wina. Otworzyła butelkę jeszcze przed kolacją, a to błąd. Jeśli otwierała ją w trakcie gotowania, a potem każde wypijało przy jedzeniu dwa lub trzy kieliszki, opróżniali całą w jeden wieczór. A jakby do tego kalorie nie były dość szkodliwe, okazywało się to drogą imprezą. Laura i tak kupowała wyłącznie najtańsze w miarę przyzwoite wino, ale nawet przy cenie dziesięciu dolarów za butelkę przy jednej na wieczór dawało to trzysta dziesięć dolarów miesięcznie. Nie stać ich na to. Nie, jeśli mieli jeszcze kupować jedzenie.

Czasami jednak Laura wolałaby się napić wina, niż jeść.

– Nie wiedziałam nawet, że Anne w ogóle chce mieć dzieci – zauważyła.

– Chyba sama Anne tego nie wiedziała. – Elly opowiedziała o pisarzu, który porzucił siostrę i wrócił do Nowego Jorku.

Najpierw Laurze zrobiło się żal Anne. Potem jednak spojrzenie Elly zdradziło, że siostra ukrywa coś jeszcze. W końcu Laura domyśliła się co takiego.

– Jest żonaty, prawda?

Elly przyznała, że tak, i dodała, że facet wrócił do żony i dlatego Anne wyjechała z Portoryko.

– Anne naprawdę uwierzyła, że on się rozwiedzie – ciągnęła Elly. – Twierdził, że jest w separacji i to tylko kwestia czasu. Chyba w miłości wierzymy wszyscy w to, w co chcemy.

Wtedy Elly piła już drugi kieliszek wina, a kolacji wciąż nie było na stole. Na szczęście Jake zadzwonił, mówiąc, że wróci później.

– Ależ idiotka. Jak ona mogła dać sobie zrobić dziecko? Szczególnie że facet jest żonaty – dziwiła się Laura.

– Zakochała się – odparła Elly. – Gdybyś ją widziała. Jest w totalnej rozsypce.

– Powinna być mądrzejsza i nie pakować się w związek z żonatym mężczyzną, to po pierwsze – warknęła Laura, choć gdzieś w środku się wzdrygnęła na myśl o Tomie. Ale przecież ona nie była z nim związana. Głupio się zachowywała, bo czuła się samotna. I zamierzała przestać.

– Może. Chodzi o to, że nie masz się czym martwić – tłumaczyła Elly. – Anne nie poluje na Jake'a.

– Mnie nie oszukasz – upierała się Laura.

Elly zaprzeczyła i opowiedziała tę samą koszmarną historię z punktu widzenia Anne. Kłamstwa o tym, jak Jake się na nią gapił i dotykał, kiedy spała! Jakby był zdolny do czegoś tak zбочzonego! On nie robił nic poza pozycją misjonarską. Z własną żoną. Po ciemku.

– Nie ufam Anne i nigdy nie zaufam – przypomniała Laura siostrze.

Elly wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Mówię jedynie, że być może nie tylko Anne zawiniła.

No i stało się jasne, kto stoi po czyjej stronie. A Laura, jak zawsze, została

po swojej sama.

Nie obwiniała Elly. Anne potrafiła być przekonująca. Laura poklepała się po kieszeni dżinsów, upewniając, że telefon wciąż tam jest. Miała przynajmniej Toma.

Na razie.

Lekcja dobiegała końca. Trzem z sześciu uczennic niemal udało się opanować klus anglezowany. Pozostałe siedziały na końskich grzbietach jak szmaciane lalki. Laura nie miała złudzeń, że coś się tu zmieni. Uczyła je od letniego obozu. Przynajmniej uprawiały po szkole jakąś aktywność fizyczną. A jej własna córka siedziała właśnie na sianie z nosem w książce, ignorując wszystko wokół.

– Kennedy, odłóż książkę i chodź pomóc mi przy koniach! – zawołała Laura ostrzej, niż zamierzała, aż Kennedy nerwowo podskoczyła.

W stajni przywiązała dwa konie, by Kennedy mogła je oporządzić, a potem poprosiła Melanie i Carę, by zaprowadziły pozostałe cztery wierzchowce i przywiązały je do barierki z przodu. Dziewczyny zaproponowały, że pomogą rozsiodłać i zgrzebłem wyczyścić zwierzęta. Pracowały, umilając sobie czas rozmową.

Melanie przypominała samą Laurę – lubiła współzawodnictwo, miała cel. Perfekcjonistka. Przez wiele lat Laura brała udział w najważniejszych pokazach jeździectwa, a w college’u dostała się nawet do drużyny. Gdyby nie Jake, osiągnęłaby więcej.

Kiedy na studiach zaszła w ciążę, Jake zaproponował małżeństwo i powiedział, że pójdzie do szkoły stomatologicznej. „Chcę cię utrzymywać”, oznajmił. „Powinnaś być w domu, z dziećmi”. Oboje się bali, ale starali się być dzielni i zrobić to, co należało. A potem Laura poroniła. Tylko Jake dzielił z nią czarną rozpacz po stracie dziecka. Jak mogłaby za niego nie wyjść?

Matka Melanie przyjechała odebrać dziewczynkę. Znały się z Sandrą z klubu. Jej mąż był lekarzem. Przyjmował w stałych godzinach i jeździł autem z przyciemnianymi szybami, wyglądającymi na kuloodporne. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis „ZWYCIĘZCA”.

Sandra zajmowała się prowadzeniem domu, ale kiedy spotykała się z Laurą, zawsze wyliczała kolejne zadania, które wypełniły jej bardzo zajęte dni: wożenie synów na trening piłkarski, Melanie na taniec albo lekcje jazdy konnej, do tego wciśnięte w grafik: masaż, fryzjer, lekcja tenisa, pedikiur, kurs jogi, prace w kościele, imprezy charytatywne na rzecz szpitala. Sandra należała również do zarządu szkoły, do której chodziły dziewczynki, i świetnie radziła sobie z namawianiem innych rodziców do głosowania na sprawy typu remont hali sportowej.

Każde miasto potrzebowało takiej osoby jak Sandra. Modelowej obywatelki, potrafiącej jak nikt inny zorganizować kiermasz bezglutenowych ciast, z którego

dochód był przeznaczany na cel charytatywny.

Sandra była tym, kim Laura wyobrażała sobie, że będzie, kiedy przestanie startować w zawodach. Ale zmieniła się w kobietę, której sama nie poznawała: nieszczęśliwą żonę i niepewną matkę. W kobietę na krawędzi.

Podobnie jak jej córka, Sandra była szczupła i jasnowłosa. Miała na sobie strój do jogi – intensywnie błękitne legginsy i dopasowaną żółtą bluzę z kapturem z fioletową lamówką. Te ciuchy pewnie kosztowały tyle co dwutygodniowy zapas jedzenia. W ostatnim czasie Laura wszystko przeliczała na żywność.

Sandra uśmiechała się do córki.

– Jak poszło, skarbie? – zapytała Melanie.

Dziewczynka się skrzywiła.

– Świetnie. Możesz mi dać kluczyki? Przywiozłaś coś do jedzenia? – Odmaszerowała z kluczykami do auta, gdy matka zapewniła ją, że w samochodzie czekają odtłuszczony jogurt i owocowe smoothie.

Sandra spojrzała przepaszająco na Laurę.

– Wybacz.

– Nie ma sprawy – odparła Laura. – Dla mnie Melanie jest zawsze bardzo miła.

– Chyba dręczą ją w szkole – wyznała Sandra.

– Naprawdę? – zdziwiła się szczerze Laura. – Ale dlaczego? Jest taka mądra i ładna. I świetnie jeździ konno.

– Konie ratują jej życie – mówiła Sandra. – Muszę ci za to podziękować. Chodzi o to, że Melanie jest zbyt ładna. Gdyby była trochę brzydsza, mogłaby uchodzić za zwyczajną, a nie za konkurencję. Byłaby szczęśliwa, rozumiesz? Gdyby była przeciętna, nikt by jej nie dogryzał.

Tak jak twojej niewidzialnej grubej córce. Czy to miała na myśli Sandra?

– Cóż, w końcu wszystkie dorosną – odparła Laura. – Nie ma sensu się zamartwiać. – Kiedy wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak fałszywie brzmią. Sama tak się przecież nie czuła, chociaż chciała. A w każdej sekundzie martwiła się o Kennedy.

– No tak, wiem – przytaknęła Sandra. – Ale posłuchaj. Chciałam zaprosić ciebie i Jake’a na kolację w klubie ze mną i Wayne’em. Może w przyszły piątek wieczorem? Tak rzadko się spotykamy!

– Sama nie wiem. Dużo się dzieje.

– To prawda! Życie jest teraz szalone! – ekscytowała się Laura. – Ale kiedyż nie jest? Szczególnie dla pracujących mam takich jak ty. Rany, podziwiam to, że w ogóle pracujesz. Tyle że potrzebujesz przerwy, dziewczyno! Byłoby super! Melanie w piątki pilnuje dzieci, a Hunter z Taylorem idą na hokeja, więc wieczorem chodzimy na randki. Wy z Jakiem pewnie też musicie planować schadzki?

Laura nerwowo szukała wymówki. Kolacje w klubie nie były tanie. Wypiją po koktajlu i wyskoczą ze stóły jeszcze przed deserem.

– Po prostu się zgódź! – męczyła Sandra. – Kiedy ostatnio bawiłaś się z mężem?

No właśnie, kiedy? – pomyślała. I czyż nie powinni się bawić teraz, skoro Anne wróciła do domu?

– Dobrze – odparła w końcu.

– Super! Może być siódma?

Kiedy Laura skinęła głową, Sandra ruszyła do samochodu, potrząsając rytmicznie kucykiem i machając do niej przez ramię. Na fotelu pasażera widać było jasną głowę Melanie schyloną nad telefonem i kciuki uderzające w ekran.

Patrząc na dziewczynkę, Laura poczuła, że musi iść do stajni. Nerwowo oglądając się przez ramię, wyjęła komórkę z kieszeni. Trzeba to zakończyć, zanim sprawy zajdą za daleko. „Musimy przestać” – napisała do Toma.

A potem niemal natychmiast wysłała drugiego esemesa: „Ale nie wiem jak. Jesteś moją radością”.

Laura oparła się o parapet, wiedząc, że musi iść do domu i zrobić kolację. Ale stała jak sparaliżowana, czekając na odpowiedź.

Kiedy odpisał, uśmiechnęła się. „A ty jesteś moją. Proszę, nie odchodź. Jeszcze nie. Nawet jeśli się nie widzimy, zostało jeszcze tyle do powiedzenia”.

Pisała dalej: „Mimo to nie żartuję. Musimy przestać. Niedługo. Mam nadzieję, że zrozumiesz”. Włożyła komórkę do kieszeni i poszła do domu.

Jake oczywiście wściekł się na wieść o kolacji w klubie.

– Prawie ich nie znamy – rzucił, kiedy Kennedy poszła do siebie. – No i co z kasą? Ledwo starczy nam na opłacenie prądu, a jeszcze nie zaczął się listopad. Te konie chyba biorą prysznic.

– Muszę włączać teraz światła w stajniach. Robi się ciemno, zanim skończę lekcje – wyjaśniła Laura. – Wiem, że klub jest drogi. Ale sam mówiłeś, że powinniśmy bardziej się udzielać towarzysko, bo to sprzyja interesom, prawda?

– No tak, jasne, ale tylko jeśli nas stać. Widziałaś ostatni wyciąg z karty kredytowej? Oczywiście, że nie.

– Ciągle proponuję, że się zajmę rachunkami – odparła Laura. – Ale mi nie pozwalasz!

Jake westchnął.

– Wiem, przepraszam. No dobrze, skarbie. Chodźmy na tę kolację. Bóg jeden wie, jak na to zasługujesz. – Pocałował ją w czoło i poszedł na górę.

Laura złożyła pranie w pomieszczeniu przy kuchni, już trzeci wsad tego dnia. Z wysiłkiem wyrzuciła rzeczy na blat i sortowała je, składając koszulki, spodnie i łącząc skarpetki w pary. Cieszyła się, że Jake zgodził się na kolację. Więc dlaczego tak się denerwowała? Dlaczego wolałaby, żeby się kłócili? Bo kiedy się

kłócili, przynajmniej rozmawiali.

Kiedy kończyła z praniem, przyszedł esemes od Toma. „Pilne”.

„Co?” – odpowiedziała, drżąc ze strachu. Może coś się stało?

Zdjęcie. Pole pełne dzwonek, których fioletowoniebieski kolor lśnił nawet na telefonie. I wiadomość: „Chciałbym tu z tobą leżeć w słońcu. Wdychać twój zapach i dotykać twoich włosów. I słuchać tego wariackiego śmiechu. Myślałem o tym. Jake nie daje ci szczęścia. A ja wiem, co to smutek. Przetrwałem go. Ty też możesz. Pozwól sobie pomóc. Spotkajmy się. Na pięć minut. Bez zobowiązań. Kawa i pocałunek”.

– Skarbie? Co robisz? – zawołał Jake ze szczytu schodów.

– Już idę – odparła. – Sortuję pranie.

Jedno kłamstwo po drugim. Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie i je skasowała. „Nie. To się musi skończyć” – napisała. „Dzisiaj”. I wrzuciła telefon do kieszeni.

Na górze weszła do pokoju Kennedy, by powiedzieć córce dobranoc i zostawić czyste ubrania.

– Hej, może kiedyś po szkole zaprosisz do nas Melanie? – Schyliła się i pocałowała córkę w czoło.

– Ale ja jej nawet nie znam. Jesteśmy w różnych drużynach. – Kennedy grała w coś na telefonie, z niezadowoloną miną obserwując małe kolorowe kształty na ekranie.

– Ależ znasz. Co tydzień widzisz ją w stajni – zauważyła Laura.

– Tak, ale to suka. Po co mam z nią gadać?

– Wyrażaj się, skarbie! – zawołała zaskoczona Laura. – Jej mama twierdzi, że Melanie gnębią w szkole. Może przydałaby się jej taka koleżanka jak ty.

Kennedy przewróciła oczami.

– Tak, jasne. Jakby Melanie chciała mnie za przyjaciółkę. Ja nawet nie.

– Ty nawet co nie?

– Nieważne, mam. Jezu, daj już spokój z tymi kazaniami.

W gardle Laury rosła gorzka gula niepokoju. Skoro Melanie – szczupłą, wysportowaną, z pięknymi włosami – dręczyli koledzy, co się działo z biedną Kennedy, z jej brzuszkiem i przysadzistymi nogami?

– Cóż, przynajmniej bądź dla niej miła – poprosiła córkę. – Wszyscy ludzie zasługują na sympatię.

– Jasne, mam. Powiedz to światu, może ludzie odłożą karabiny. – Kennedy zdecydowanym ruchem założyła słuchawki, skutecznie przerywając tym samym rozmowę.

Laura wyszła do holu, kiedy Jake akurat wchodził po schodach.

– Idziesz spać? – zapytała.

– Zaraz. Sprawdź plan na jutro i odpiszę na kilka mejli – odparł, skręcając do pokoju gościnnego, który służył mu również za gabinet. – Idź pierwsza do

łazienki.

Pod prysznicem Laura umyła włosy i dwa razy je wypłukała w nadziei, że gorąca woda rozpuści kleiste, ciężkie uczucie rozpacz. Myślała o maleńkiej łazience w pierwszym mieszkaniu, które wynajęli z Jakiem tuż po ślubie. Musieli kąpać się razem, bo gorąca woda szybko się kończyła. Czasami nawet kochali się pod prysznicem, Laura odwrócona plecami opierała dłonie o białe kafelki.

Teraz ich małżeńska łazienka była rozmiaru dawnej sypialni, miała podwójny prysznic i ławkę wewnątrz wykafelkowanej na błękitno kabiny. Laura jednak nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byli razem w tej wielkiej łazience, nie mówiąc już o wspólnym prysznicu. Kiedy raz zapytała Jake'a, dlaczego tak się dzieje, odparł: „Nie lubię zabierać ci czasu, bo masz tak mało spokoju”.

Wyszła spod prysznicza i się wytarła. Z westchnieniem podniosła ubrania, by wrzucić je do kosza, i wyczuła palący telefon w kieszeni dżinsów. Zwykle nocą wkładała go pod papiery w dolnej szufladzie biurka. Zerknęła na drzwi. Nie były zamknięte na amen, ale Jake i tak nie wszedłby do łazienki, kiedy była w niej Laura.

Wyjęła telefon, ale bez wiary, że po ostatniej wiadomości Tom jeszcze coś napisał.

Ale napisał. Napisał! „Szanuję twoją decyzję, by pozostać lojalną mężowi. Chcę tylko, żebyś wiedziała: zasługujesz na szczęście. Jeśli pisanie do mnie cię stresuje, powinnaś przestać, ale proszę, pamiętaj, że jestem, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować. Jako przyjaciel, któremu możesz zaufać”.

Laura spojrzała w łazienkowe lustro i dłonią starła zeń parę. Miała trochę więcej ciała w talii, niżby pragnęła, to prawda, ale teraz, naga i swobodna, czuła się szczuplejsza. Niemal seksowna. Czy jakiś mężczyzna mógłby jej pragnąć?

Tom by jej pragnął. Nie wiedziała, dlaczego była tego pewna. Zanim zdążyła zmienić zdanie, uniosła telefon, zrobiła zdjęcie swojej sylwetki od szyi w dół i wysłała, dołączając wiadomość: „Pod prysznicem, myślę o tobie. Zawsze się uśmiecham, kiedy o tobie myślę. Dziękuję, że jesteś”.

Potem wyłączyła telefon, włożyła go z powrotem do kieszeni dżinsów, a te wrzuciła do kosza pod stertę brudnych ubrań. Do diabła z tym. Jake nie robił prania od dwudziestu lat.

Natychmiast zawstydzila ją własna beztroska. Winna.

Cóż, to by było na tyle. Pamiętka dla Toma. I może dla internetu, jeśli Tom okazałby się świrem, ale Laura zachowała jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, by nie wysłać ujęcia twarzy. Poczowała dreszczyk ekscytacji na myśl o tym, jak Tom otwiera zdjęcie. Może poczuje na jego widok to samo pożądanie, które ona czuła, robiąc fotografię. Rzadkie momenty radości dla nich obojga, zanim zakończy tę korespondencję na dobre.

Teraz jednak musi jakoś dotrzeć do Jake'a. Będzie zatem miłsza. Bardziej kochająca. I bardziej zdecydowana, by spędzali czas razem i naprawdę ze sobą rozmawiali. Utrzymywała kontakt z Tomem, ponieważ zbyt często czuła się jak samotny wilk wyjący w dziczy, przytłoczona zmartwieniami, które pewnie i Jake'a dręczyły. Może powinna nawet przyznać się mężowi, że miała ochotę spotkać się z dawnym kolegą. Może to byłby sygnał alarmowy dla ich małżeństwa. Zbyt wiele lat zainwestowała w budowanie rodziny, by teraz to życie po prostu odrzucić.

Najsmutniejsze, że rodzice Laury nieustannie kłócili się o pieniądze tak jak teraz ona i Jake. Hotel był studnią bez dna, w którą Neil i Sarah bez przerwy musieli inwestować. Laura przysięgała kiedyś, że nigdy, przenigdy nie dopuści, by jej małżeństwo było takie samo. I nie dopuści!

Ojciec chciał sprzedać hotel i przeprowadzić się w jakieś cieplejsze miejsce. Może do Meksyku, do niewielkiego bielonego domku z kwitnącym na fioletowo drzewem różanym. Neil opisywał ten nieistniejący dom tak prawdziwie, że jako dziecko Laura wierzyła, że naprawdę istnieje.

Zakochała się w Jake'u, ponieważ wydawał się absolutnym przeciwieństwem jej ojca. Neil Bradford był synem bogatych rodziców, niepraktycznym, nieodpowiedzialnym marzycielem. Nawet jako dziewczynka Laura miała tego świadomość: tata się z nimi bawił, zabierał na wędrówki do Dogtown, na ryby i żagle, podczas gdy mama pracowała. Tak już było.

– Wasz ojciec ma alergię na obowiązki domowe – mówiła matka, kiedy pytały, dlaczego Neil nie musi ścierać łóżek i czyścić łazienek.

Jake ciężko pracował. Pochodził ze skromnej rodziny ze środkowego Massachusetts. Miał ambicję, by z sukcesem skończyć studia i wykazać się sportowo. W college'u grał w lacrosse'a, a na boisku zmieniał się z uroczego dżentelmena przytrzymującego damom drzwi w prawdziwą bestię, wyjąca i wymachującą kijem, szarżującą na przeciwników, jakby posiadał siłę superbohatera.

Laura przeczesła włosy grzebieniem, nałożyła krem nawilżający i włożyła koszulę nocną, zanim wróciła do sypialni. Najlepszą koszulę, tę białą. Z rozmysłem nie wrzuciła jej do suszarki z pozostałymi. Dziś wieczorem zamierzała kochać się z mężem i oczyścić umysł ze wszystkiego – i wszystkich.

Czytała, już przysypiając, kiedy pół godziny później pojawił się Jake.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że na mnie nie czekałaś – powiedział. – Wezmę tylko szybki prysznic.

– Jasne – mruknęła pod nosem, czując nagły przypływ irytacji.

Czasami Laurze wydawało się, że mąż czeka w gabinecie albo nawet w łazience, aż ona zaśnie. Cóż, tym razem zmusiła się, by nie zasypiać. Może jednak nie będą się dzisiaj kochać. Już straciła nastrój. Za to naprawdę musieli

porozmawiać o Anne. Laura usiadła prosto, wyjęła poduszkę z za pleców i oparła ją wysoko o zagłówek.

Dwadzieścia minut później Jake wyszedł z łazienki, ubrany jak zawsze w dopasowane szare bokserki, w których wyglądał jak idealny bohater politycznego sekskandalu. Laura odłożyła książkę. Do diabła z gadaniem. Tak bardzo go pragnęła. Co powiedzieć, żeby się z nią kochał?

Potem zobaczyła, że Jake ma w ręku telefon. Jej telefon! Pokazał aparat i zapytał:

– Skarbie, czyja to komórka? I co robiła w koszu na pranie?

Laura poczuła, jak rumieniec oblewa jej twarz tak szybko, aż przestraszyła się, że zemdleje. Jak Jake znalazł aparat? Przecież zakopała go głęboko w koszu. A jeśli widział esemesy do Toma? Albo ostatnie zdjęcie, które wysłała?

– Lauro? Wszystko w porządku? – Jake podszedł do łóżka z telefonem w dłoni.

– Dobrze, a co?

– Jesteś dziwnie zarumieniona. I się pocisz. – Wolną ręką dotknął jej czoła.

Laura zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową, choć miała wrażenie, że to bardziej kotwica doczepiona do karku, a język kołkiem stanął jej w gardle.

– To nic, tylko dałam plamę. To telefon jednej z moich uczennic. Całkiem o nim zapomniałam. Nie wierzę, że niemal go uprałam!

Jake zmarszczył czoło, spoglądając na ekran komórki.

– Ale dlaczego w ogóle go masz?

Laura oparła się pokusie wyrwania mu aparatu z dłoni.

– Zabrałam go, bo dziewczyna pisała esemesy podczas lekcji jazdy. Wyobrażasz to sobie?

Jake się zaśmiał.

– Pewnie. Przecież mamy córkę, pamiętasz? – Chciał podać Laurze telefon, ale zawahał się, patrząc znowu na ekran. – Dziwny jak na nastolatkę, prawda? Wygląda na tani. Myślałem, że wszystkie dzieciaki mają teraz iPhone'y.

– To prawda. Też się zdziwiłam. – Laura wyciągnęła rękę.

Tym razem Jake oddał jej telefon i przeszedł na swoją stronę łóżka.

– Komu go zabrałaś?

– Melanie – powiedziała Laura i pospiesznie się poprawiła: – Nie, czekaj. Georginie. Tak, to jej. – Rodzina Georginy nie należała do klubu, więc mniej prawdopodobne, że Jake na nią wpadnie. – Kto wie, po co jej taki telefon. Może to nowa moda. Jednorazowe aparaty.

Jake parsknął i wślizgnął się pod kołdrę obok Laury.

– Taak, pewnie wkrótce będą sobie je drukować. Za kilka lat każdy dzieciak będzie miał własną drukarkę 3D i drona, który będzie dostarczał zadania domowe.

Udało jej się lekko zaśmiać. Nie mogła uwierzyć, że tak okłamuje męża, ale

też nie potrafiłaby powiedzieć mu prawdy o Tomie. Nie, kiedy tamto zdjęcie wciąż było w telefonie.

– Masz rację. Naszym wnukom po urodzeniu wszczepią czipy, żeby rodzice ich nie zgubili.

– A w kołyskach będą korzystać z iPadów. – Jake sięgnął po własny telefon, który na czas prysznic odłożył na szafkę, i zaczął go przeglądać.

Laura odczekała sekundę i zapytała:

– Jak znalazłeś ten telefon? Dlaczego grzebałeś w koszu?

– Co? – Jake znowu się zmarszczył. – A, zdawało mi się, że zostawiłem coś w kieszeni spodni – odpowiedział nonszalancko.

– Przytul mnie – poprosiła nagle Laura. – Tęskniłam dziś za tobą.

Jake wydawał się zdziwiony, ale spełnił jej prośbę, choć najpierw podłączył telefon do ładowarki, zdjął okulary i położył je obok komórki. Wszystko to zajęło więcej czasu, niż zdaniem Laury powinno.

Kiedy skończył, oparła głowę na jego ramieniu.

– Przepraszam za tę durną kolację z Sandrą – powiedziała. – Po prostu nie wiedziałam, jak się z niej wykręcić.

– Wiem. To ja przepraszam, że cię zdenerwowałem. Po prostu chodźmy i się zabawmy. – Pogłaskał ją po głowie.

Jake pachniał tak jak zawsze: miętowym płynem do płukania ust i dezodorantem. W fantazjach Laury mężczyźni pachnieli potem, skórą i końmi.

Ciekawe, jak pachnie Tom. Myśl o Tomie przywołała również myśl o Anne, o Anne bezwstydnie uprawiającej seks z żonatym mężczyzną. Decydującej się urodzić jego dziecko! Powinna była się pohamować, zanim sprawy zaszły tak daleko. Wystarczyła silna wola, której teraz szukała w sobie Laura: musiała przerwać wszelkie kontakty z Tomem, zanim doprowadzi do romansu. Albo zanim Jake przyłapie ją na kłamstwie. Inaczej wyjdzie na potworną hipokrytkę.

– Już lepiej? – zapytał Jake, uściśnął ją przelotnie i puścił.

Laura usiadła prosto. Gdyby Jake ją pocałował – naprawdę pocałował – byłby to może znak, że nie ma się o co martwić. Że choć ich małżeństwo przeżywa kryzys, to jest silne tak jak zawsze.

Odwróciła się do męża i uśmiechnęła, ale natychmiast na powrót zacisnęła usta. Nie chciała, żeby Jake myślał teraz o jej zębach i o tym, czy potrzebują kolejnego czyszczenia. Oczywiście zmuszał ją, by robiła to trzy razy do roku; higienistki w gabinecie Jake'a były bardzo miłe, ale nieustępliwe, gdy chodziło o zdejmowanie kamienia. Po ultradźwiękach Laurę często bolała głowa. I zastanawiała się, czy zostało jej jakieś szkliwo.

Jake jej nie pocałował. Sięgnął po okulary i telefon.

– Elly widziała się dzisiaj z Anne – powiedziała Laura, zanim mąż wrócił do czytania. – Mieszka w domku Flossie.

- Tak? I co u niej?
- Ma dziecko. Wiedziałaś o tym?

Jake zmarł.

- Nie, do diabła. Nigdy nic mi o tym nie mówiła.

Laura obserwowwała go kątem oka, udając, że poprawia ramiączko nocnej koszuli.

- Nie mówiła?
- Przecież powiedziałem, prawda? Oczywiście, że nie.

Laura przestała udawać, że nie patrzy na męża.

- Dlaczego „oczywiście, że nie”?

– Spotkałem się z nią tylko raz, Lauro, w pubie tamtego wieczoru. Przysięgam! Oprócz tego od dwóch lat nie mieliśmy kontaktu.

– W porządku. Przepraszam. – Laura dotknęła dłoni Jake’a leżącej między nimi na pościeli. Mąż nerwowo stukał palcami, jakby pod kołdrą leżała klawiatura.

– Dlaczego Anne nie mieszka u twojej mamy? – zapytał, wciąż poruszając palcami.

– Elly twierdzi, że mama nie chce niemowlęcia w mieszkaniu. Upiera się też, by wszystkim mówić, że Anne jest rozwiedziona. Pewnie woli, by ludzie nie wiedzieli, że jej córka nie umiała trzymać złączonych nóg.

– Nie bądź wredna – delikatnie zasugerował Jake. – Ty też zaszłaś w niezaplanowaną ciążę, pamiętaj. Dlatego teraz tu jesteśmy. Tyle że nam się udało.

Laura już otwierała usta, by zaprotestować, bo kiedy ona zaszła w ciążę, kochali się i żadne nie było po ślubie z kimś innym. Mogli się pobrać bez przeszkód. Ale wcale tak nie było. Nie do końca. Dwa tygodnie przed ślubem Laura skakała konno przez przeszkody. Koń znarowił się przed murem i zrzucił ją z siodła. Poroniła. Na moment zamknęła oczy. Tyle krwi. Nie wiedziała, że ciało może tak krwawić. Nie powinna wtedy jeździć, choć lekarz otwarcie nie zabronił. Była wówczas w czternastym tygodniu. Jake pojechał z nią na łyżeczowanie macicy. Lekarze twierdzili, że po tym zabiegu będzie łatwiej zajść w ciążę. Przez kilka następnych tygodni Laura leżała w łóżku zwinięta w kłębek i płakała. Jake był przy niej. Karmił ją. Nawet kąpał. To nie twoja wina, mówił. Lekarze powiedzieli, że Laura może dalej jeździć konno i że będą mieli szanse na zostanie rodzicami.

Laura nie powiedziała jednak nigdy i nikomu, jak jeżdżąc tamtego dnia, fantazjowała, że spadnie, myślała o wypadku, przez który poroni. Miała wtedy tylko dwadzieścia lat i spała wyłącznie z Jakiem, w dodatku już wtedy przeczuwała, że coś jest między nimi nie tak.

Kiedy to życzenie się spełniło, wyrzuty sumienia niemal zabiły Laurę. Jake płakał po tej stracie tak samo mocno jak ona. Nie mogłaby zdobyć się na rozstanie.

– Domek to trochę zbyt zimne miejsce, żeby siedzieć w nim samotnie z niemowlęciem – odezwał się Jake.

– Wiem. – A potem, po części dlatego, bo obiecała Elly, że wyjaśni sprawę do końca, dodała: – Kiedy się widziały, Anne wciąż mówiła o tobie te same koszmarne bzdury co ostatnio.

– Jakie bzdury? – Jake zaciskał szczękę.

– Przecież wiesz! O tym, jak wszedłeś do jej pokoju. I, no cóż, obnażyłeś się.

– Laurze zrobiło się niedobrze, gdy wypowiadała te słowa.

Jake potarł dłonią twarz.

– Nie mam pojęcia, o czym opowiada Anne. Już ci mówiłem. Między nami nic nie ma. I nigdy nie było.

– Wiem, ale dręczy mnie to, że Elly jej wierzy.

– Daj spokój. Przecież mnie znasz. – Jake wziął ją za rękę. – Czy kiedykolwiek dałem ci powód do podejrzeń, że zrobiłbym coś takiego? Do zwątpienia w to, że cię kocham?

Nie požadasz mnie. Czyż to nie jest wystarczający powód? Laura chciała wypowiedzieć te słowa, ale nagle poczuła znużenie rozdrapywaniem starych ran. Co by to pomogło?

– Nie dbam, co wydarzyło się między tobą a Anne. Ani o to, co myśli Elly. W porządku? – Laura pogładziła męża po policzku, żałując, że nie może zmazać napięcia z jego twarzy tak skutecznie, jak co rano wygładzała zmarszczki na kołdrze. – To należy do przeszłości. Dam sobie spokój. Mamy tylko teraźniejszość i przyszłość, prawda? Liczy się to, że między nami jest wszystko dobrze. Bo jest, tak?

Jake uśmiechnął się czule.

– Oczywiście. – Wziął Laurę w ramiona, tak jak pragnęła tego przed chwilą, i przycisnął mocno do piersi, głaszcząc po głowie. – Bardzo cię kocham.

Te słowa niemal wystarczyły, by poczuła się zadowolona.

Lekko padało, kiedy o szóstej Anne obudziła się, żeby nakarmić Lucy, ale teraz wyszło już słońce. Przez okno widziała, jak szare chmury ustępują miejsca pięknemu błękitnemu niebu. Słoneczne błyskawice odbijały się od wyłożonych boazerią ścian.

Słyszała, jak w zatoce fale rozbijają się o brzeg, równo i rytmicznie, przypominając jej własny oddech. Drżące jasne światło, wrzaski mew nad głową, równo wbudowane półki i szuflady domku sprawiały, że miała wrażenie, iż unosi się na mieszkalnej barce. Przystawiła Lucy do drugiej piersi, myśląc o Colinie. Czy wciąż jest w Nowym Jorku i pisze? Czy tęskni za ich dawnym życiem, czy w ogóle o nim myśli?

Rytmiczny szum morza przypominał jej jedną z pierwszych wypraw, na jakie się wybrali. Colin przekonał Anne, by zrezygnowali ze zwykłej grupowej wycieczki kajakowej po bioluminescencyjnej zatoce Portoryko. Zamiast tego pożyczył kajak od znajomego i popłynęli we dwoje. Zbliżała się północ, nawet uliczne stragany w Fajardo już zamknięto. Noc była pochmurna. Anne martwiła się, czy nie zacznie padać i jak będą prowadzić po ciemku kajak przez bagna namorzynowe. Jednak pragnienie, by zostać z Colinem, pokonywało wszelkie obawy. Noc okazała się tak czarna, że Anne ledwo widziała przed sobą umięśnioną sylwetkę mężczyzny, kiedy płynęli kajakiem po krętej rzece przez bagna. „Gwiżdżące” żaby coqui rechotały ogłuszająco. Bała się, że z drzewa spadnie na nich wąż, bo boa lubiły owijać się wokół grubych gałęzi. Zapomniała jednak o wszelkich lękach, kiedy wpłynęli głębiej między drzewa i wokół łodzi woda zaczęła się rozjaśniać, a pod lśniącą czarną powierzchnią pojawiły się piękne migotliwe iskry.

– Włóż rękę do wody – polecił Colin.

Anne posłuchała, choć bała się meduz i węży. Roześmiała się, nabierając w dłoń wodę i widząc na niej miniaturowy pokaz fajerwerków. Rozbłyśki te wywoływał plankton, tak zwane bruzdnice, wyjaśnił Colin. Nawet meduzy lśniły, tworząc dziwne geometryczne kształty pulsujące światłem.

– Podobają ci się przygoda? – zapytał Colin, kiedy później wnosili kajak na plażę.

Pocałowała go, zamiast odpowiedzieć. Potem kochali się na białym cukrowym piasku.

Anne zmusiła się, żeby usiąść. Odsunęła kołdrę i położyła Lucy na łóżku, by zmienić jej pieluchę, robiąc jednocześnie miny i wydając bezsensowne dźwięki w nadziei, że odwróci uwagę małej. Colin obiecywał, że przeżyją przygody. Spełnił obietnicę. Nie mogła zaprzeczyć. Ale teraz musiała myśleć. Działać. Nauczyć się, jak znowu radzić sobie sama.

No dobrze, nie całkiem sama: oto Lucy. Uśmiechnięta. Zależna we wszystkim od matki. Dlatego Anne czuła taki niepokój. A jeśli nie spełni oczekiwań córki?

Zaniosła dziecko do saloniku. Jedna ściana była pomalowana na jasną jabłkową zieleń, odróżniającą się od brązowej boazerii, a w wyszczerbionym emaliowanym dzbanku na stole Flossie postawiła szkarłatne dalie. Anne uśmiechnęła się na myśl, że matka wpadłaby w furję, wiedząc, że Flossie marnuje na nią dalie, szczególnie w Barce.

To niesamowite, że Sarah i Flossie wciąż mieszkają w tym samym miejscu, choć nie mają o sobie nic dobrego do powiedzenia. Flossie zawsze była buntowniczką; kiedy odziedziczyła niewielką sumę po śmierci ciotki, starej panny, rzuciła kobiecy college z Ligi Bluszczowej, by podróżować, aż w końcu wstąpiła do buddyjskiego klasztoru we Francji. Przyjechała do domu na ślub brata i rodzice pchnęli ją w ramiona syna przyjaciela rodziny, mężczyzny z Essex, który był gotów poślubić Bradfordównę. Ona jednak odmówiła. Nie żyła bynajmniej w celibacie – Anne, dorastając, widziała mężczyzn wchodzących do domu ciotki i z niego wychodzących, ale Flossie nigdy nie stanęła przed ołtarzem.

– Wolę własne towarzystwo – tłumaczyła Anne. – Dzięki temu mogę myśleć po swojemu. Z facetami jest taki problem, że zajmują koszmarnie dużo przestrzeni, i nie mam na myśli jedynie tej dosłownej.

Sarah, która zawsze przestrzegwała zasad, podtrzymywała tradycję oraz dbała o nazwisko Bradfordów, nie mogła uwierzyć, że Flossie odrzuciła propozycję rodziców.

– Mężczyzna z nadmorskim domem w Gloucester i fortuną? To rozwiązałyby wszystkie finansowe problemy rodziny – twierdziła. – Bradfordowie nie potrzebowaliby mnie, bym ratowała ich hotel, gdyby Flossie wyszła wtedy za mąż. Ale moim zdaniem nie zgodziła się z czystego egoizmu.

Kiedy Anne usłyszała tę historię, miała dwadzieścia kilka lat i studiowała literaturę. Bardzo się wtedy oburzyła.

– Ależ mamo, to okropne! Brzmi jak aranżowane małżeństwo z czasów Jane Austen. Dlaczego Flossie miałyby wyjść za człowieka, którego nie kochała?

– Bo nie byłaby wtedy biedna i samotna – rzuciła Sarah. – Nie ma przecież zawodu, którym mogłaby się zająć. Pamiętaj, Anne, możesz całe życie pracować dla pieniędzy albo wyjść za nie w pięć minut.

Matce również nie do końca udało się postąpić zgodnie z własną radą. Sarah zapewne myślała, że wybierając Neila, wychodzi za jego fortunę. A tak naprawdę musiała nieustannie pracować, by hotel nie zbankrutował.

Anne ubrała się i przez następną godzinę szukała w internecie ogłoszeń o pracę. Wysyłała zgłoszenia na każdą posadę w szkole lub restauracji, jaką znalazła w odległości godzinnej jazdy samochodem od Zatoki Szaleńców.

W przerwach między studiowaniem ogłoszeń zrobiła sobie kawę, zjadła jogurt z cząstkami banana, nakarmiła Lucy i wykapała ją w niewielkiej umywalce.

Telefon zadzwonił, kiedy ubierała małą.

– Musisz wyjść z tego domu – rozkazała Flossie.

Zaskoczona Anne zerknęła przez ramię w stronę okien, spodziewając się, że zobaczy Flossie maszerującą po piasku w stronę domku. Ale plaża była pusta.

– Co? Dlaczego?

– Bo siedząc w tej starej wilgotnej szopie, wpadniesz w depresję.

Anne się roześmiała.

– Lubię tę starą szopę. Chociaż pewnie masz rację. Jestem trochę zdołowana. Szukałam w internecie ofert pracy, ale niewiele znalazłam.

– Cieszę się, że w ogóle coś robisz. Ale jako wynajmująca ci mieszkanie żądam, żebyś je opuściła. I przyniosła mi tutaj dziecko. Muszę poszczypać ją w policzki.

Anne zapakowała Lucy i w nosidle zaniosiła ją na drugą stronę plaży. Był przypływ, słońce świeciło; musiała ostrożnie manewrować między skałami, a potem po drewnianych schodach wspiąć się na ganek Flossie.

Flossie i jej dom bardzo się od siebie różniły. Budynek był wysoki, stateczny i wiktoriański, pomalowany na poważny szary z białą obwódką. Ciotka zaś – drobna, delikatna i bynajmniej nie stateczna. Tego ranka jak zawsze włożyła sportowe ubrania: czarne legginsy i czarny polar. Przywitała Anne na ganku, dłonią osłaniając szczupłą twarz od słońca, i od razu wzięła Lucy na ręce, sprawnie wyjmując ją z nosidelka. Mała obdarowała ciotkę bezzębnym uśmiechem.

– No proszę – powiedziała Flossie, odwzajemniając uśmiech. – Tak właśnie wygląda wschodzące słońce. – Spojrzała na Anne. – A co z tobą? Gdzie twoje słońce? Masz taką pochmurną buzię.

– Rzeczywiście trochę mi szaro – przyznała Anne. – Nie jest łatwo zaczynać życie na nowo, i to z dzieckiem. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem zmęczona. – Weszła za Flossie do salonu, w którym ciotka usiadła na kanapie i posadziła sobie Lucy na kolanach. Anne zajęła kwiecisty fotel naprzeciwko.

– Nie musisz robić wszystkiego naraz – szczebiotała Flossie. – Może pojeździsz konno? Oczyszczysz umysł.

Flossie uważała świeże powietrze za panaceum na wszystko. Sarah powiedziała kiedyś Anne, że kiedy córka była dzieckiem i Flossie się nią akurat opiekowała, bez względu na porę roku wystawiała ją na drzemkę na dwór. A sama kładła się obok na bambusowej kanapie.

– Mogło być ledwie dziesięć stopni, a ona i tak uważała, że to doskonały pomysł, by spać na zewnątrz – narzekała Sarah. – Przysięgam, że siostrę twojego ojca chyba wychowywały wilki.

– Niby jak mam jeździć konno? – zapytała Anne.

Flossie zrobiła niezadowoloną minę.

– Jak możesz nie jeździć? Kiedy tu mieszkałaś, codziennie wsiadałaś na konia. Po prostu idź do stajni. Nie jeździłam na Generale cały tydzień i założę się, że z chęcią opuści stajnię w tak piękny dzień. Nie będzie ich już wiele.

– Nie mogę. – Anne pokazała na Lucy, choć poczuła, jak na wspomnienie konnej jazdy instynktownie zaciskają się jej mięśnie ud.

– Ależ możesz. – Flossie spojrzała karcąco. – Lucy i ja jesteśmy już dobrymi kumpelami, prawda, skarbie? – Zrobiła do dziecka śmieszoną minę, otwierając szeroko oczy, a mała posłusznie się uśmiechnęła. – Zajmę się nią. Chyba że nie ufasz starej babie?

Anne kręciła się niespokojnie.

– Oczywiście, że ci ufam. Ale Laura wolałaby mnie nie widzieć w stajni. Raczej ze sobą nie rozmawiamy. – Bardziej krzyczymy, dodała w duchu.

Flossie odgarnęła z oczu siwe kosmyki.

– No na miłość boską. Wy dwie musicie się jakoś pogodzić. Mężowie przychodzą i odchodzą, a siostrami pozostaje się na zawsze. Ja wiem, że nie polujesz na Jake'a, i wkrótce również Laura zrozumie, że nie ty jesteś źródłem jej małżeńskich problemów.

– Słyszałaś, co się wydarzyło między Jakiem a mną? – Anne splonęła rumieńcem zażenowania. Nigdy nie wspominała Flossie o tamtej sytuacji. – To znaczy o tym, co Laura myśli, że się stało, ale się nie stało?

Ciotka skinęła głową.

– Ściany mają uszy. A tak w ogóle jestem po twojej stronie.

Anne się wzruszyła.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Wstała i podeszła do półki nad kominkiem, gdzie wśród oprawionych fotografii stało zdjęcie zrobione w dniu ślubu rodziców. Wyglądali na szczęśliwych, przytulali się do siebie. Włosy Sarah przypominały Elly – miodowe, proste, niczym delikatny złoty szal okrywający ramiona. Matka miała na sobie prostą białą sukienkę bez ramiączek i welon.

Ojciec dopiero skończył wtedy college. Wyglądał chłopięco, szczupły, z gęstą czupryną, która na zdjęciu zdawała się ciemna, a w istocie była kasztanowa jak u Anne. Miał na sobie smoking, ale jednocześnie emanował lekko indierockowym stylem. Flossie w białej bluzce i czarnych spodniach stała z boku grupowego zdjęcia. Miała ogoloną głowę.

– Zapomniałam – odezwała się Anne. – Ślub odbył się zaraz po twoim powrocie z klasztoru we Francji?

– Tak. Wróciłam tylko dla twojego ojca.

– Nigdy właściwie nie opowiadałaś mi, dlaczego w ogóle wstąpiłaś do tego klasztoru.

– Na drugim roku college’u studiowałam za granicą i spędziłam semestr w Paryżu. Mieszkając tam, uczestniczyłam w kursie medytacji prowadzonym przez buddyjskich mnichów z Nepalu. To zmieniło moje życie – odpowiedziała z ożywieniem Flossie.

Anne usiadła w fotelu. Lucy leżała na plecach na kolanach ciotki, najwyraźniej zafascynowana zdobionymi lampami z brązu na suficie.

– W jakim sensie?

Flossie lekko poruszyła nogami i uśmiechnęła się, kiedy Lucy zamachała rączkami i zaczęła gaworzyć do światła nad głową.

– Nasi rodzice nie byli zbyt rozmowni. I z pewnością nie odpowiedzieliby na wszystkie moje pytania. Jako dziecko siedziałam z nimi w kościele i zastanawiałam się, jak mogą wierzyć w Boga, który pozwala, by działy się takie rzeczy jak wojna, i jaki powinien być cel człowieka chroniącego naszą planetę.

– Same banalne pytania – zaśmiała się Anne.

– No właśnie. Medytacje z mnichami pozwoliły mi zrozumieć, że czułam się zła, samotna i bardzo potrzebowałam społeczności, która pomoże mi znaleźć sposób na życie bardziej sensowny od tego, który wyznawali moi rodzice: zachować *status quo* bez względu na to, jak jest absurdalny. Pamiętaj, że to był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, tuż przed końcem wojny w Wietnamie. Burzliwe czasy. Czułam się niedouczone i zbyt przywiązana do własnego życia. Do tych wszystkich ziemskich dóbr, które Bradfordowie za wszelką cenę upierali się chronić.

Uśmiechnęła się, widząc, że Anne rozgląda się po salonie.

– Tak, jestem pewnie trochę hipokrytką. Zbieram antyki i wspomnienia. Ale chcę myśleć, że w Europie nauczyłam się czegoś o akceptacji i cierpliwości. – Skinęła na stolik obok fotela Anne. – Zajrzyj do środka.

Anne delikatnie wysunęła szufladę stolika w stylu królowej Anny. Stary mebel pokryty koronkową serwetką lekko się zakołysał. W szufladzie leżało zdjęcie Flossie w prostej sosnowej ramce. Ciotka wyglądała na nim młodo i radośnie, uśmiechała się na tle poszarpanych gór z ośnieżonymi szczytami. Ubrana była w pomarańczową szatę, miała ogoloną głowę, a uśmiech lśniący i biały jak śnieg widoczny z tyłu.

– Wyglądasz tak radośnie. Gdzie to? – zapytała Anne.

– W Nepalu. Z tyłu widać Annapurnę. Piękna góra. Moja ulubiona w Himalajach. Annapurna często wydaje się różowa przez to, jak odbija światło, a śnieg spada z niej długimi, szerokimi, białymi pasmami.

– Piękna. Ty również.

– Ha! Wyglądałam jak pierzający się rudzik – żartowała Flossie. – Ale to był cudowny czas. Pojechałam do Nepalu uczyć się o buddyzmie, a potem wstąpiłam do francuskiego klasztoru. To zdjęcie zachowałam, by przypominało mi, kim

byłam i co znaczy prawdziwe szczęście.

Anne przyglądała się nieumalowanej twarzy Flossie, głębokim zmarszczkom wokół oczu i ust.

– I wciąż czujesz się szczęśliwa? – zapytała. – Czasami martwię się, że jesteś samotna.

– Samotna? Ja? – Flossie przez chwilę wpatrywała się w Anne, po czym odchyliła głowę, by się roześmiać. Zaskoczona Lucy skrzywiła się, ale Flossie od razu położyła dziecko na ramieniu i wstała, podchodząc do okna, by pokazać małej ocean. Ta natychmiast przestała marudzić.

– Tak, ty – potwierdziła Anne. – Na przykład ja czuję się tu samotna, a przyjechałam dopiero niedawno. I mam Lucy dla towarzystwa.

– Nie wiesz nic o moim życiu – Flossie powiedziała to oznajmującym, ale nie oskarżycielskim tonem. – Takie sobie wybrałam, kochanie. Przeżyłam jedną wielką miłość i od tamtej pierwszej czułam coś do wielu mężczyzn. Ostatecznie jednak wolę żyć sama. Być w zgodzie z rytmem natury, a nie zależną od kaprysów innych. Kilka razy, kiedy czułam się zagubiona, medytacja – szczególnie kiedy medytuję z kolegami z mojej grupy w Rockport – pozwalała mi myśleć o samotności jak o krajobrazie w tle, przez które akurat przechodzę. A więc tak, ogólnie rzecz biorąc, jestem szczęśliwa.

– Wspaniale – powiedziała Anne.

– Bynajmniej. Uważamy nasze emocje za wynik tego, co się nam przydarza, ale szczęście to wybór. Wybór, którego dokonałam. Ty również możesz go dokonać, bez względu na to, co dzieje się w twoim życiu – dodała Flossie. – Ludzie uważają, że muszą fizycznie umrzeć, zanim pójdą do nieba albo zaczną nowe życie, w zależności od wyznawanej religii. Ale tak naprawdę możesz zacząć nowe życie, kiedy tylko zapragniesz, tak łatwo, jakbyś budziła się ze snu.

Anne próbowała to sobie wyobrazić. Czy potrafi się obudzić i postanowić, że zacznie nowe, szczęśliwsze życie, bez względu na okoliczności? Raczej nie. Ale przecież mogła spróbować. I chyba to również był wybór: próba życia pozytywnie, nie negatywnie. Tymczasem musiała wystarczyć.

Flossie pohaustała chwilę Lucy, stojąc przy oknie, a potem przez ramię spojrzała na Anne.

– Lepiej idź pojeździć, zanim to dziecko uzna, że potrzebuje czegoś, czego jej nie zapewnię.

Anne wstała, ale się zawahała.

– Na pewno?

– Na pewno. A jeśli twoja apodyktyczna siostra zacznie marudzić, powiedz, że poprosiłam cię o zajęcie się Generałem w zamian za możliwość mieszkania w Barce. W końcu to wciąż mój koń.

– A jeśli Lucy zacznie płakać, gdy mnie nie będzie? – zapytała nerwowo

Anne, zapinając kurtkę.

– Coś ci powiem. Jeśli Lucy zacznie krzyczeć, obiecuję, że wystawię ją przez okno. Usłyszysz ją nawet w lesie. Wtedy przygalopujesz po plaży na czas, by ją złapać, kiedy puszczę.

Na szczęście w stajni nikogo nie było, Anne nie dostrzegła też samochodu Laury zaparkowanego na podjeździe domu. Osiodłała więc konia i zostawiła kartkę na drzwiach boksu.

Słońce świeciło już mocniej. Anne uniosła twarz, by poczuć jego promienie, i zrelaksowała się, siedząc w siodle. Generał był poważnym czarnym wałachem, wysokim na niemal sto siedemdziesiąt centymetrów, miał biały nos i dwie białe skarpetki. Czternastolatek szedł wolno, dżentelmeńskim krokiem, mimo szczupłej budowy konia czystej krwi.

Anne kierowała się polną drogą wzdłuż pastwiska w stronę jednego ze szlaków prowadzących do Dogtown. Wkrótce znalazła się w gęstym lesie. Wybrała się ku gązom Babsona, na których w trakcie wielkiej depresji pozbawieni pracy robotnicy wryli motywacyjne powiedzenia. Dotarła do kamienia „Prawdy” i zmusiła konia do spokojnego klusa między gęstymi sosnami przetykanymi brzoźami i klonami. Był dopiero pierwszy tydzień października, ale pojawiły się już jesienne liście.

Poranna mżawka oczyściła powietrze z pyłków, a światło zmieniało barwę od maślanego złota tam, gdzie przebijało przez dęby, do ogniście czerwonego wokół cukrowych klonów. Anne głęboko oddychała zadowolona, że jest sama i słyszy tylko dźwięk końskich kopyt na przysypanej sosnowymi igłami ścieżce. Zapomniała już, jak to jest być sam na sam z własnymi myślami i jak niesamowicie piękne jest Massachusetts jesienią. Oczywiście pod koniec listopada liście zdążą już opaść. Zostaną tylko sosnowe igły, ciemnozielone, niemal czarne na tle szarych pni. Zimą wybrzeże Nowej Anglii miało więcej odcieni szarości niż cokolwiek innego: ciemnoszare chmury burzowe i staloszary ocean, bladoszare pnie drzew i zimnoszary deszcz. Czasami w listopadzie ocean przypominał grubą warstwę dymu pod horyzontem. Może już jej tu wtedy nie będzie. Oby.

Szczególnie jeśli Laura wciąż pozostanie na nią bezsensownie obrażona.

Siostra pewnie nie miała pojęcia, że tydzień po tym, jak Jake wywinął ten dziwny numer w pokoju gościnnym, przyjechał do Anne do Gloucester. Czekał przed szkołą podstawową, w której uczyła trzecią klasę. Kiedy wsiadła do swojego auta, by wrócić do mieszkania, i szukała telefonu w torebce, otworzyły się drzwi od strony pasażera i Jake wślizgnął się do środka. Nie krzyczała i nie wzywała pomocy. Nawet po tym wszystkim nie bała się go, bo szwagier zawsze wydawał się facetem niepewnym własnej siły. A nawet własnej tożsamości.

Kiedy Laura za niego wychodziła, a Anne stała niedaleko ołtarza w szorstkiej błękitnej sukni druhny i patrzyła, jak siostra i Jake wygłaszają słowa

przysięgi małżeńskiej, przyszło jej do głowy coś dziwnego: Laura szukała niedokończonego mężczyzny, by go uformować. Dlatego wybrała właśnie tego.

– Wynoś się z mojego auta! – zawołała tamtego popołudnia. – Nawet się do mnie nie zbliżaj.

– Błagam – powiedział. – Wysłuchaj mnie.

– Pięć minut. I lepiej, żebyś miał coś sensownego do powiedzenia.

Jake potarł dłońmi o dzinsy odprasowane w kancik. Bez wątpienia odprasowane przez Laurę, pomyślała Anne, wzdrygając się.

– Słuchaj, przykro mi, że tak wszedłem do twojego pokoju – zaczął Jake.

– I powinno ci być przykro! To było niewłaściwe z tylu powodów, że nie wiem nawet, od którego zacząć.

– Wiem – odparł. – Okropnie się czuję, że tak cię przestraszyłem.

Skrzyżowała ramiona.

– Dlaczego więc to zrobiłeś?

Jake zaczął mówić szybciej; powiedział, że przed ślubem z Laurą zamierzał z nią zerwać, ale ona zaszła w ciążę.

– Wiem, że twoja siostra jest dobrym człowiekiem. Chciałem postąpić właściwie.

Jednak to małżeństwo zawsze było bardziej związkiem biznesowym, a nie namiętnością, kontynuował.

– Jestem nieszczęśliwy, ale co mogę zrobić? – skarżył się Jake. – Znalazłem się w pułapce, Anne! Nie mogę odejść od Laury i Kennedy. One czynią mnie lepszym. Jeśli zostawię rodzinę, zniszczę siebie. Je również! Ale Laura jest nieszczęśliwa, ja też. Co zrobić? Powiedz! Ty zawsze wiesz, czego chcesz.

Anne czuła, że mięknie jej serce. Zrobiło się jej żal Jake'a. I miał rację: Laura była dobrym człowiekiem. Pod wieloma względami najlepszą z sióstr: inteligentną, godną zaufania, szczerą i pomocną.

– Nie powiem ci, co masz zrobić – powiedziała w końcu. – Tylko ty i Laura możecie o tym zdecydować. Próbowaliście terapii?

Pokręcił głową.

– Pytałem, ale Laura mówi, że to bez sensu. Chce zostać ze mną, a ja chcę być z nią. Twierdzi, że nic więcej nie musimy wiedzieć. – Uniósł rękę do twarzy, potem je opuścił. – Wiesz, chciałem zostać architektem. Ale kiedy Laura zaszła w ciążę, uznałem, że muszę utrzymać rodzinę, a mój wujek jest dentystą. Pomógł mi dostać się do szkoły. – Znów pokręcił głową. – Popełniłem błąd. Nienawidzę własnego życia.

– To, że jesteś nieszczęśliwy, nie usprawiedliwia tego, co mi zrobiłeś – stwierdziła Anne.

– Wiem. Możesz mi wybaczyć? Utknąłem, ale nie chcę, by moja córka dorastała bez ojca. – Jake zaczął płakać.

Anne również nie chciała takiego życia dla Kennedy. Wiedziała, jak to jest dorastać bez ojca. Pękłoby jej serce, gdyby siostrzenica straciła swojego. Szczególnie jeśli po części byłaby to jej wina.

Dlatego wybaczyła Jake'owi, a nawet go uściskała, kiedy wysiadał z jej samochodu. Ale dwa lata temu miało miejsce to koszmarne bożonarodzeniowe przyjęcie, kiedy szwagier znów się wygłupił, zachował jak durny uczeń ze studenckiego bractwa, po pijaku przycisnął do ściany i próbował pocałować.

– Wal się, Jake – powiedziała teraz głośno, podnosząc głowę, by spojrzeć na błękitną sójkę besztającą ją z wysokiej sosnowej gałęzi. – Słyszałeś? Skończyłam z tobą!

Jadąc na koniu, nigdy nie wolno tracić koncentracji. Anne puściła lejce i teraz, kiedy jakieś zwierzę przebiegło przez ścieżkę tak szybko, że tylko mignął jej gęsty brązowy ogon (pies? lis?), nie było szans, by pozostała w siodle, kiedy koń stanął dęba.

Walach zбочzył ze ścieżki, Anne otarła się o drzewo, a on odgalopował. Na moment krajobraz wokół stał się zielono-czerwono-żółtą smugą. Potem uderzyła o ziemię i dokoła zrobiło się czarno.

Przyglądanie się z bliska życiu Laury doprowadzało Elly do szału. Dlaczego siostra pozwalała się tak traktować?

Laura załatwiała sprawunki, gotowała, robiła pranie dla wszystkich, a oprócz tego wstawiała codziennie przed świtem, by wyczyścić stajnie z końskiego łajna. Potem do kolacji prowadziła lekcje. Sprzątała dom, a nawet prasowała Jake'owi koszule, jakby facet nie miał pary zdrowych rąk. Elly męczyła się od samego patrzenia na siostrę.

Kennedy także do niczego się nie nadawała – siedziała w swoim pokoju, chyba że przemykała akurat przez kuchnię. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że zostawione przez nią naczynia na blacie ktoś będzie musiał włożyć do zmywarki.

Poprzedniego wieczoru Laura do jedenastej w nocy piekła ciastka, choć Jake i tak by ich nie tknął. Za to Kennedy przemykała z garściami pełnymi słodyczy za każdym razem, gdy myślała, że nikt nie patrzy. W jej pokoju czuć było jednocześnie salę gimnastyczną i cukiernię. Siostrzenica większość czasu spędzała w swojej fioletowej sypialni; od tego koloru Elly aż bolały zęby. W ciągu pięciu dni od przyjazdu ciotki do Kennedy nie przyszły po szkole żadne koleżanki, żeby pochichotać i puszczać głośno muzykę albo wygłupiać się, oglądając durne seriale w telewizji. Nie pojawiali się też oczywiście chłopcy.

Nic nie wskazywało również na to – Elly miała pewność, ponieważ z nudów poszła poszperać w pokoju dziewczynki, kiedy ta była w szkole – by brała narkotyki albo ukradkiem popijała piwo. Żyła jak zakonnica.

Jeśli Kennedy w ogóle wychodziła ze swojego pokoju, poruszała się po domu tak cicho, że często zaskakiwała Elly swoim pojawieniem się.

Materializowała się na przykład obok, kiedy ciotka czytała lub jadła, czasami zerkając na nią w nieco przerażający sposób spod wycieniowanej grzywki. Na przykład teraz: od pół godziny Elly siedziała w salonie, odpisując na mejle na swoim laptopie. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że po drugiej stronie pokoju na kanapie leży Kennedy, jakby ktoś rzucił ją tam niczym dodatkową poduszkę. Nos miała schowany w książce. Na jej okładce widniała jasnowłosa dziewczyna w skórzanym kombinezonie bojowym, z futurystyczną bronią w rękach – najwidoczniej była to któraś z apokaliptycznych powieści dla młodzieży o nastolatce ratującej świat i zmuszonej w przerwach między bohaterskimi akcjami wybrać jednego z dwóch przystojniaków.

Może to właśnie chciała w sekrecie zrobić Kennedy: rozwalić cały ten świat. Mając trzynaście lat, Elly tylko tego pragnęła, a w szczególności załatwić swoje siostry, bo Laura za bardzo się rządziła, a Anne była strasznie marudna.

Elly zamknęła komputer. Nie zaszkodzi okazać jej trochę sympatii. Była sobota, Laura cały dzień miała lekcje, więc biedna Kennedy musiała koszmarnie się nudzić.

– Dobra ta książka? – zapytała siostrzenicę.

– Raczej tak. – Kennedy wzruszyła ramionami.

– Fajnie, że lubisz czytać.

– Mama twierdzi, że za dużo czytam.

– Niemożliwe! – Elly próbowała obudzić w sobie wspierającą ciotkę. –

Czytanie otwiera drzwi do nowych światów.

Dziewczynka przewróciła oczami.

– Gdzie to wyczytałaś? W ciasteczku z wróżbą?

Elly z zaskoczenia aż się roześmiała. Lubiała inteligentne i wygadane dzieciaki.

– Pewnie tak. Chcesz znać prawdę? Nie znoszę czytać. Zawsze mam wtedy wrażenie, że tak naprawdę nic nie robię.

Kennedy w końcu zamknęła książkę.

– Jesteś piosenkarką, tak?

– Już nie. Jakoś nie wyszło, więc teraz jestem producentką planu.

– Co to takiego?

– Pokażę ci, będzie łatwiej wytłumaczyć. – Elly przeszła przez pokój i przysiadła na krawędzi kanapy, otwierając laptop i pokazując Kennedy ekran. Weszła na swoją stronę internetową, kliknęła montaż migawek z różnych projektów: spoty reklamowe, teledyski, kilka internetowych pilotów i przebitka z filmu animowanego, w którym podkładała głos pod śpiewającego pingwina. Ucieszyła się, widząc, jak duże błękitne oczy Kennedy – z takimi rzęsami dziewczynka mogła reklamować maskary – otwierają się jeszcze szerzej.

– To znaczy, że robisz teledyski, reklamy i tak dalej? – zapytała siostrzenica,

kiedy skończyła oglądać klip.

– Projektuję dla nich plany zdjęciowe – odparła Elly. – Inni zajmują się muzyką i kostiumami, są też techniczni od oświetlenia i kamer. Ale ja wymyślam ogólny wygląd planu i rekwizyty. Na przykład muszę wykombinować, jak zbudować kamienny mur albo jak sprawić, by marionetka wyglądała jak kosmita.

– Ale fajnie. – Kennedy usiadła prosto. – Też mogłabym spróbować.

Elly się uśmiechnęła.

– To super, bo potrzebuję twojej pomocy. Twoja mama i ja planujemy przyjęcie urodzinowe dla babci. Jej ulubionym filmem, który nakręcono, gdy się urodziła, jest musical *Amerykanin w Paryżu*, dlatego chcemy zmienić hotelową jadalnię we francuskie bistro i znaleźć odpowiednie kostiumy. Będziemy potrzebować obrusów, sztucznych kwiatów, ubrań vintage i może czegoś, żeby zbudować wieżę Eiffla.

– Zbudujecie wieżę Eiffla? Poważnie?

– Cóż, jej replikę. Ale tak.

– Nie żartuj!

– Nie żartuję – odparła Elly. – Mogłybyśmy od razu pojechać na zakupy, ale nie mam tu auta.

– Tata na pewno pozwoli nam pojechać jego samochodem! Do pracy zawsze jeździ rowerem. Zadzwońię do niego!

Jake zgodził się, by wzięły jego nowiutkiego lexusa. Fajnie jest mieć ojca dentystę, pomyślała Elly, kiedy jechały do Gloucester, by sprawdzić zaopatrzenie tamtejszych sklepów.

W domu Elly zdała sobie sprawę, że od dawna nie tęskniła tak mocno za Neilem. Wracały do niej przypadkowe wspomnienia. Kiedy obie z Kennedy wyjeżdżały z garażu, dostrzegła w rogu jej rower i przypomniała sobie, jak ojciec uczył ją jeździć, doczepiając kij od szczotki przy tylnym błotniku, tak by mógł biec obok i się nie schylać.

– Jedziesz! – powtarzał cały czas tata. – Jesteś stworzona do szybkości, Elizabeth. Wciśnij pedał do dechy!

To dla niego pedałowała z całych sił tak szybko, że zapomniała zahamować. Wjechała w schody przed hotelem dokładnie w chwili, kiedy matka podawała drinki dwóm starszym parom. Elly nic się nie stało, tylko przestraszyła się, widząc wyraz dezaprobaty na matczynej twarzy. Wiedziała, że Sarah zacznie ją łąać, że nie dba o swój rower i przeszkadza gościom. Wtedy po schodkach wbiegł ojciec i porwał Sarah na ręce, jakby do tańca, aż zaczęła chichotać. Starsze pary na ganku zaklaskały. Neil pocałował żonę, zszedł szybko z ganku, podniósł Elly, przerzucił ją sobie przez ramię i biegnąc niczym koń przez trawnik, wniósł ją przez tylne drzwi do mieszkania.

– Było blisko, ale uchyliliśmy się przed tą kulą – powiedział, opatrując

krwawiące kolano Elly i delikatnie bandażując ranę. – Najważniejszy jest element zaskoczenia, kiedy próbujesz pięknymi słówkami wyłgać się z trudnej sytuacji.

Elly zastanawiała się, kiedy dokładnie ojcu skończyły się elementy zaskoczenia i piękne słówka.

Po zakupach w Gloucester razem z Kennedy ruszyły krętą drogą numer 133 w głąb hrabstwa Essex, mijając stare kolonialne domy. Zabawne, że w Los Angeles wszyscy mieli obsesję na punkcie wielkich podwórek, a tutaj domy budowano właściwie przy ulicy, by droga od wejścia była jak najkrótsza i szybciej można było ją odśnieżyć.

Za sitowiem i wysokimi bagiennymi trawami lśniła srebrnobłękitna rzeka. Białe kościoły miały klasyczne linie i wąskie wieże. Kościoły i sklepy z antykami były wszędzie – jakby znalazły się z Kennedy na planie staromodnego filmu, którego akcja toczy się w Nowej Anglii. Szkoda, że Ryder nie mógł tego zobaczyć. Oszalałby.

Elly odkryła sklepy z używanymi rzeczami, jeszcze kiedy była nastolatką; razem ze znajomymi z teatru poszukiwała w nich ubrań różniących się od nudnych sieciowych wieszaków, które kupowały inne dzieciaki. Nawet suknię na bal maturalny kupiła w szmateksie: była to koktajlowa sukienka w szmaragdowym kolorze, z siatkowym dołem, oczywiście vintage. Elly wciąż ją miała i włożyła na kolację z Ryderem.

– Chciałbym ją jak najszybciej z ciebie zdjąć – wymruczał jej w szyję, kiedy zamawiali przystawki.

Nagle Elly poczuła, że za nim tęskni. To na pewno wina odwróconego szoku kulturowego: strasznie było trafić z powrotem do Nowej Anglii. Pod wpływem impulsu wysłała Ryderowi zdjęcie małej meksykańskiej knajpy, w której zatrzymały się z Kennedy na tacos. Dodała jedno słowo: *Picante!* Nawet meksykańskie jedzenie wywoływało w niej tęsknotę. Co za absurd. Elly wrzuciła komórkę z powrotem do torebki. Nie pozwoliła sobie sprawdzić, czy odpisał. Jeśli nie odpisze, będzie miała nauczkę po tym, jak chłodno potraktowała go przed wyjazdem.

– Ulubiony sklep z używanymi rzeczami mamy jest w Ipswich – powiedziała Kennedy. – Mogłybyśmy tam pojechać.

Na razie udało im się kupić sztuczne kwiaty, kraciaste obrusy i biały sweter – Elly wybrała te rzeczy z myślą o piosence *I Got Rhythm* ze sceny, w której Gene Kelly tańczy na paryskiej ulicy. Kiedy opowiedziała o tym Kennedy i siostrzenica nie zrozumiała, Elly zdała sobie sprawę, że dziewczynka nigdy nie widziała *Amerikanina w Paryżu*.

Siedząc w aucie przed restauracją, Elly wzięła telefon od Kennedy i włączyła na YouTube fragment *I Got Rhythm* z Gene'em Kellym.

Kennedy wybałuszyła oczy.

– Chciałabym tak tańczyć.

– Przecież możesz! – odparła Elly. – Wiesz co? Na przyjęcie przebierzemy cię za Gene’a Kelly’ego. Ten sweter, który kupiłam, powinien na ciebie pasować. Możesz zatańczyć i zaśpiewać piosenkę dla babci. Na pewno jej się spodoba. Lepszego prezentu nie wymyślisz!

– Nie ma mowy! – Kennedy wyglądała na przerażoną.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Elly. – Pokażę ci, jak to zrobić.

Spodobał się jej własny pomysł. W wyobraźni przeglądała inne sceny z filmu, które mogłyby odegrać dla matki i jej gości.

– Możemy też poprosić Anne, żeby zagrała Gene’a Kelly’ego, a ty będziesz ją wspierać. Ona jest lepszą tancerką ode mnie. Kiedyś razem z twoją mamą i babcią śpiewaliśmy wspólnie w hotelu. Przez wiele lat występowałyśmy co weekend.

– Poczekaj. Co powiedziałaś? Mama nie śpiewa.

– Ależ śpiewa. Ma piękny głos.

– Nigdy jej nie słyszałam – stwierdziła Kennedy.

Elly wpatrywała się ze zdziwieniem w siostrzenicę.

– Mama nigdy ci nie śpiewała? Nawet kołysanek?

– Żartujesz sobie? – Dziewczynka przewróciła oczami. – Mama jest na to za poważna. Nie słyszałam nawet, żeby kiedykolwiek śpiewała w samochodzie.

Jak to możliwe, że Laurze udawało się tak długo ukrywać przed córką tak ważną część swojego życia?

– Cóż, w takim razie musimy to zmienić – zdecydowała Elly. – Zmusimy twoją mamę, żeby zaśpiewała. A teraz jedźmy do Ipswich i sprawdźmy ten sklep, o którym wspominałaś.

Elly zdążyła już zapomnieć, jak intensywna potrafi być jesień w Nowej Anglii, jakby podróżowało się wewnątrz kalejdoskopu. Krajobraz zaczął rozogniać się na jesień, mokradła miały już ciemnoczerwony kolor rozświetlany krzakami ciężkimi od pomarańczowych owoców. Pola i dęby emanowały złotem i żółcią. Rzadkie brzozy odbijały się bielą od nieba tak błękitnego i wolnego od smogu, że wyglądało to nienaturalnie.

– A więc to jest twój ulubiony sklep? – zapytała Elly, kiedy Kennedy skierowała ją na parking przed niewielkim sklepem, którego wystawę zajmowały klasyczne ubrania: tweedowy blezer, czerwony sweter i stos dżinsów.

– Nie mój, mamy – odparła Kennedy. – Tutaj kupuje większość naszych ubrań.

Te słowa zaskoczyły Elly. Była przekonana, że Laura kupuje wyłącznie rzeczy z katalogów.

– Fajnie – odparła.

– Nie bardzo. Robi to, żeby zaoszczędzić. Mówi, że nie możemy sobie

pozwolić na zakupy w galerii handlowej.

Kolejny szok, przecież Laura i Jake mają wielki dom, stajnie, nowego lexusa.

– Jak to możliwe, że jesteście tacy spłukani? – Elly wiedziała, że nie powinna pytać, więc udawała nonszalancję, oglądając kanarkowo żółty kardigan na jednym z wieszaków.

Kennedy wzruszyła ramionami.

– Życie kosztuje. A pieniądze niestety nie rosną na drzewach.

Brzmiała jak doświadczona pięćdziesięciolatka. Musiała podsłuchać to powiedzenie przy jakiejś kolacji, uznała Elly, sprawdzając krótką, złotą wieczorową szmizjerkę przypominającą jedną z tych, które Leslie Caron nosiła w filmie. Na Elly byłaby za mała, może Anne się zmieści.

Zdjęła ciuch z wieszaka.

– Mają dobre ceny. Twoja mama wie, co robi. – Elly zastanawiała się wciąż, co, do diabła, Laura i Jake robią z pieniędzmi.

– Położyłam wczorajszą pocztę na pani biurku – powiedziała Rhonda, kiedy Sarah wróciła z jadalni po porannej kawie i tostach. – Aha, dostaliśmy dwa mejle z pytaniem o zimowe weekendowe oferty specjalne dla par. Robimy w tym roku promocję?

– Tak – odparła Sarah. – Jeszcze jej nie spisałam, ale myślałam o dziesięciu procentach zniżki za dwie noce i bilecie do muzeum Cape Ann.

– Mało romantyczne – oceniła Rhonda. – Ale oczywiście pani decyduje.

Coś było nie tak. Głos Rhondy nie brzmiał tak serdecznie jak zazwyczaj, miała też zaskakująco poważną minę. Nawet jej włosy wyglądały poważnie, upięte wysoko, a nie opadające jak zawsze lśnącymi lokami. Sarah zastanawiała się, czy powinna zapytać, co się stało. Dziewczynę wyraźnie coś dręczyło.

Nie jesteśmy przyjaciółkami, przypomniała sobie. Nie powinna się przyjaźnić ze swoimi pracownikami. Granica między „zawodowe” a „prywatne” stawała się bardzo cienka, kiedy prowadziło się hotel, szczególnie gdy pracownicy byli tu od tak dawna jak Rhonda. Sarah pilnowała, by tej granicy nie przekroczyć.

Zdjęła wełniany płaszcz, przyglądając się Rhondzie, jak zawsze sprawnie pracującej w recepcji. Wymeldowywała jakąś parę w średnim wieku, z taką ilością bagażu, że mogliby się wybrać do Europy. Serdecznie się do nich uśmiechała. Może Rhonda była zła na Sarah, bo sprawy z Gilem nie ułożyły się tak, jak zaplanowała. Kiedy ich umawiała, wydawała się pełna nadziei.

– Zróbmy tak – odezwała się Sarah, kiedy goście opuścili recepcję, a za nimi potoczył się obładowany walizkami Tommy. – Może sama wymyślisz tegoroczną ofertę zimową, Rhondo? Masz zawsze doskonałe pomysły. Moje się do nich nie umywają.

Przynajmniej to wywołało uśmiech na twarzy Rhondy.

– Jak pani sobie życzy – powiedziała. – Prześlę ją pani, kiedy wymelduję wszystkich gości.

– Cudownie. A teraz lepiej wezmę się do roboty i sprawdzę, jakie tajemnice czekają we wczorajszej poczcie. – Sarah zniknęła w swoim biurze. Rhonda ciężko pracowała. A Sarah z doświadczenia wiedziała, że nic lepiej nie poprawia humoru niż dobrze wykonane zadanie.

Włączyła komputer i powoli zaczęła przeglądać stos listów oraz okólników leżących na biurku. Jej uwagę przykuła gruba szara koperta. Wysłano ją z biura adwokackiego w Venice na Florydzie. Sarah odłożyła resztę listów i otworzyła ten.

Na początku nie mogła zrozumieć. Widziała kolejne wyskakujące zdania, ale biegly one razem, a potem zdawały się rozpadać na kawałki, podczas gdy mózg z trudem przetwarzał to, co widziały oczy.

„Szanowna pani Bradford... Z żalem informuję o śmierci... Poproszono

mnie... Pani mąż, Neil Bradford, zdrowy na ciele i umyśle...”

Umarł. Prawnik przysłał testament, w którym napisano, że Hotel nad Zatoką Szaleńców należał do niej. Neil nie żył. Jej Neil.

– Rhondo! – zawołała Sarah. – Przyjdź tu, proszę.

– Czy może pani poczekać pięć minut? Zaraz skończę tę ofertę.

– Nie – odparła Sarah. Odchrząknęła i dodała: – Potrzebuję cię teraz, Rhondo. Proszę.

Jej własny głos wydawał się dochodzić spoza ciała, ale brzmiał zaskakująco normalnie. Bez śladu rozpadu, którego przed chwilą doświadczył wzrok, bez szumu w głowie ani przyspieszonego bicia serca, kiedy Rhonda pojawiła się w drzwiach, pukając, z otwartymi ustami, i mówiąc coś, czego Sarah nie rozumiała.

Pytające spojrzenie Rhondy zmieniło się w coś innego, coś, czego Sarah nie potrafiła nazwać ani zinterpretować, bo zrobiło jej się właśnie ciemno przed oczami, mózg się wyłączył i tylko serce wciąż pracowało.

Ale nawet jej niezawodne serce miało się zaraz zatrzymać, pęknąć na tysiąc małych bijących kawałków, których już nigdy nie da się na powrót złożyć w całość.

Anne otworzyła oczy. Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna.

Od leżenia na zimnej ziemi miała dreszcze, ale bała się usiąść. Za każdym razem, gdy próbowała, między żebrami czuła kłujący ból. Zamrugła szybko, żeby pozbyć się łez, i próbowała oddychać coraz głębiej, wciąż leżąc płasko na plecach i gapiąc się w drwiąco pogodne niebo. W końcu podjęła kolejną próbę. Ale ból w lewym boku był tak intensywny, że nie mogła usiąść. Przynajmniej nie uszkodziła kręgosłupa. Delikatnie położyła się z powrotem, sapiąc z wysiłku. Miała nadzieję, że Generał wrócił do stajni. Ktoś na pewno zauważy konia, kartkę od Anne na drzwiach i pojedzie jej szukać.

A może powinna spróbować wrócić sama? Najwyraźniej nic nie złamała. Mogła poruszać rękami, nogami i szyją.

Dzwoniąc po pogotowie, czułaby się jak idiotka. Ale do kogo innego miałyby zadzwonić? Do Flossie? Bez sensu. Ciotka była w dobrej formie, ale najpierw musiałyby przejść z Lucy do domku po fotelik samochodowy. No i jak miałyby tu trafić? Anne nie wiedziała, gdzie jest ani gdzie znajduje się najbliższy zjazd z drogi.

Do kogo zatem?

Z pewnością nie do Laury. To tylko jeszcze bardziej wkurzyłoby siostrę, bo nie znosiła, gdy jej przeszkadzano, jeśli była zajęta. A Laura zawsze była zajęta. Ona urodziła się zajęta.

Anne nie śmiała też dzwonić do Sarah. Matka na nic by się nie przydała, bo nigdy nie jeździła samochodem po leśnych traktach.

Została Elly. Elly nie miała auta, ale mogłaby je pożyczyć od Laury albo

Jake'a. Oby GPS w telefonie Anne mógł do niej doprowadzić. Z trudem wyjęła komórkę z kieszeni dżinsów, ciężko oddychając z bólu, i wybrała numer Elly. Nie odbierała. Cholera. Anne zostawiła wiadomość, a potem otworzyła mapy Google, żeby sprawdzić, czy aplikacja znajdzie jej lokalizację. Udało się: była jakieś pięć kilometrów od hotelu, nieco ponad trzy kilometry od stajni. Za daleko, by iść z takim bólem. Ale myśl o Lucy sprawiła, że Anne podniosła się na rękach, centymetr po centymetrze, krzywiąc z bólu.

– Auć – jęknęła, kiedy ból wbił się znów między żebra.

Przynajmniej była rozsądna i nałożyła kask. Zdjęła go teraz i pomacała głowę przy podstawie czaszki. Dobra wiadomość: krwi brak. Pewnie lekkie wstrząśnienie mózgu, sądząc po mdłościach, i złamane albo pęknięte żebro. Przeżyje. Może jednak powinna wezwać pogotowie. Myśl o tym, że na noszach zanieśliby ją do Lucy, sprawiła, że Anne ponownie sięgnęła po telefon. I wtedy usłyszała coś przedzierającego się przez krzaki. Duże coś – raczej człowieka. Jeleń albo kojot zachowywałyby się ciszej.

Anne miała już zawołać o pomoc, ale zamknęła usta. W jednej z lokalnych gazet czytała o rozrabiających w Dogtown nastolatkach z karabinami do paintballu. Nie miała ochoty mieć z nimi do czynienia. Czekwała, słysząc zbliżające się kroki i krew pulsującą w uszach tak głośno, że chyba słyszałby ją każdy, kto podążyłby za tym dźwiękiem.

Przez leśne poszycie tuż obok przedzierał się hałaśliwie jakiś pies z nosem przy ziemi. Na widok Anne podniósł głowę i zaczął ujadać jak szalony. Był brązowy i kudłaty, rasy niewiadomej. Z pewnością to on przestraszył konia.

– Ty durny psie – odezwała się Anne. – Cicho bądź! Przez ciebie tutaj utknęłam!

– Mack! Chodź tutaj, mały. Mack, gdzie jesteś?

Anne rozpoznała ten głos, jeszcze zanim Sebastian odsunął na bok niskie gałęzie obok psa i schylił się do niego. Pogłaskał zwierzę po głowie, uciszając je, a potem zerknął na Anne spod krawędzi czapki w kolorze jaskrawej pomarańczy.

Myśliwi, uzmysłowiła sobie Anne na widok jego nakrycia głowy. Rany, pojechała konno do lasu w sezonie polowań na jelenie? Kolejna idiotyczna decyzja!

Nie, momencik. Sezon na jelenie zaczynał się później. Teraz był sezon na bażanty, aż do listopada. Powinna była jednak włożyć jaskrawe ubranie, a nie kurtkę w wojskowym zielonym maskującym kolorze.

– O! – rzucił zdziwiony Sebastian, widząc leżącą na ziemi Anne. – To dlatego mój pies szczeka. Przepraszam.

– Spłoszył mojego konia. – Anne oskarżycielsko pokazała palcem na Macka.

Ten gest tylko sprowokował psa, który podszedł do Anne – już odważnie, skoro jego pan był obok – i zaczął lizać ją po twarzy, prowokując do śmiechu,

a potem do skrzywienia się z bólu, kiedy znowu zakłuło ją mocno w boku.

– Auć!

– Mack, przestań! Chodź tutaj! – Sebastian przypiął psu smycz i stał, patrząc z góry na Anne. – Jesteś poważnie ranna?

– Nie. Ale za bardzo mnie boli, żebym doszła do stajni. Masz tu auto?

Skinął głową i kciukiem wskazał przez ramię.

– Mam dżipa. Przyjechałem drogą pożarową.

– Wolno ci jeździć po Dogtown?

– Mam specjalne pozwolenie dla badaczy. – Sebastian kucnął obok. Pod czapką widziała bardziej zielone niż brązowe oczy i rudobrązowe kosmyki przyklejone do czoła nad nosem. Mężczyzna był ubrany w złotą kraciatą flanelową koszulę i czarne dżinsy. Wyglądał jak poeta z Cambridge, pominałszy wyraźnie zniszczone górskie buty. Przez ramię przerzucił płócienny worek pocztowy, z którego wystawały gałęzie. Widocznie zbierał jakieś okazy.

– Gdzie cię boli? – zapytał.

– Głównie w boku. Pewnie złamałam żebro. Jest okej, dopóki nie próbuję głęboko oddychać.

– Chyba nie powinnaś wstawać, jeśli nie jesteś pewna.

– Jestem pewna!

– Dobra, tylko nie szarżuj, powoli – poradził.

– Wolniej już nie mogę – narzekała Anne. – Leżę na tej ziemi od wieków.

– Zrób sobie przegląd – zaproponował Sebastian. – Upewnijmy się, że z twoimi plecami wszystko dobrze. Połóż się i sprawdź mięśnie od dołu do góry, jeden po drugim. Położę się z tobą i zrobimy to razem.

– Co? To bez sensu! – oburzyła się Anne.

Jednak gdy Sebastian położył się obok i mówił, co ma robić: „Najpierw pomachaj palcami u stóp, dobrze, teraz poruszaj kostkami”, strach powoli odpływał. Zrelaksowała się. Jakby leżeli na łóżku z sosnowych igieł, pod błękitnym niebem zaciągniętym nad nimi niczym kołdra.

Kiedy skończyli – Sebastian zaproponował nawet, by pomachali uszami, co oboje rozśmieszyło – i Anne uspokoiła go, że ma nietknięty kręgosłup, zapytał, czy jest gotowa, by spróbować wstać.

– Chyba. – Zrobiła się śpiąca, było jej za dobrze, żeby się ruszać.

– Spróbuj. Zobaczmy, czy dasz radę dojść do samochodu. – Sebastian wyciągnął rękę, a Mack zerwał się na równe nogi i zaczął machać ogonem. – Nie, Mack. – Mężczyzna powstrzymał psa, ale miał wyraźną ochotę się uśmiechnąć. – On chce pomóc – wyjaśnił Anne. – Mack ze wszystkimi się przyjaźni.

– Tylko nie z moim koniem – rzuciła drwiąco.

– No tak, naprawdę mi przykro – powiedział Sebastian. – Zapłacę rachunki za lekarza, dobrze? Twoje i konia. Ale na razie zawiozę cię na pogotowie.

Anne pokręciła głową.

– Dzięki, ale muszę sprawdzić, co z koniem, a potem wrócić do domu.

– Naprawdę powinnaś jechać na prześwietlenie.

– Potem – rzuciła, oddychając z trudem, podciągając nogi pod siebie i próbując wstać.

Nie udałoby się to bez pomocy Sebastiana. Musiała bardzo się starać, by nie wybuchnąć płaczem, kiedy zrobiła pierwszy krok.

Sebastian objął ją za ramiona i właściwie zaniósł przez las do dżipa. Anne zagryzała wargi, żeby nie przeklinać, ale bolało ją okropnie. W końcu dotarli do samochodu, w którym Anne wstrzymała oddech, kiedy Sebastian delikatnie przesuwał i zapinał jej pas, bo nie mogła się przekręcić na bok. Mack tymczasem wskoczył na tylne siedzenie. Czują jego cuchnący zdyszany oddech.

– Twój pies śmierdzi jak zdechły bizon – wydusiła z trudem.

– Wiem. Dlatego jest taki uroczy. Może jednak zabiorę cię na pogotowie? Zostawię cię tam i pojedę poszukać konia.

Znowu pokręciła głową.

– Najpierw stadnina. Potem dom. Obiecuję, że jeśli za kilka godzin nie poczuję się lepiej, pojedę na pogotowie. Zresztą co mi poradzą na złamane żebro? Teraz już nawet nie dają bandaża elastycznego. I muszę najpierw coś załatwić w domu.

Prawda: musiała jak najszybciej wrócić z powodu Lucy. Nie tylko po to, żeby ją zobaczyć, ale także by ją nakarmić. Jakby mało było siniaków, Anne bolały nabrzmiałe i twarde piersi. Co robi Flossie, gdy mała zgłodnieje? Nie miała już zamrożonego pokarmu. Wyobrażając sobie ryczącą Lucy i nerwowo chodzącą ciotkę, Anne zaciskała zęby, by nie poganiać Sebastiana. Prowadził powoli, zapewne by oszczędzić jej bólu.

Kiedy podjechali pod stajnie, Laura stała przed budynkiem z komórką przyciśniętą do ucha. Pół tuzina osiodłanych koni czekało przywiązanych do płotu. Elegancko ubrana w żółte bryczesy, wysokie czarne buty do jazdy i białą kamizelkę w kratkę spojrzała na nich podejrzliwie, kiedy się zbliżyli.

– Jesteś wreszcie, na miłość boską – odezwała się, kończąc rozmowę. Szybkim krokiem podeszła do auta i otworzyła drzwi od strony Anne. Obrzuciła Sebastiana za kierownicą przelotnym spojrzeniem i zignorowała. – Właśnie rozmawiałam z Flossie, zamartwia się. Gdzie ty, do diabła, byłaś? Pojechałaś na randkę i zostawiłaś ciotce wyjące dziecko?

– Nie! Jezu, Lauro. Nie mogłam wrócić do domu, bo spadłam z Generała – wyjaśniła Anne. – Sebastian mnie znalazł. Z Lucy wszystko w porządku? – Udała, że nie widzi pytającego wyrazu twarzy mężczyzny. Najwyraźniej nie wiedział, że ma dziecko.

– Jak mogłaś spać z Generała? – zdziwiła się Laura. – Na tym koniu jeździ

się jak na kanapie! – Spojrzała na podarte dzinsy i zakrwawione kolano siostry, którego Anne nie zauważyła. – Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Bo uznałam, że i tak nie przyjedziesz. Czy Generał tu wrócił?

– Tak. Ale daj spokój, Anne. Pojechałabym po ciebie, gdybyś powiedziała, że jesteś ranna.

– A gdybym nie była? – odparowała Anne.

– Przepraszam, to wszystko moja wina, nie twojej siostry – wtrącił się w końcu Sebastian. Pokazał na Macka, teraz grzecznie leżącego na tylnym siedzeniu dżipa i udającego najgrzeczniejszego psa na świecie. – Mój pies spłoszył konia.

– Tego konia nie da się spłoszyć. – Laura skrzyżowała ręce.

– Jasne. Powiedz to Generałowi. – Anne zamknęła oczy, czując mdłości. – Nic mu nie jest?

– Nic. Ale wyobraź sobie, jak się przestraszyłam, widząc go osiodłanego i luzem chodzącego po stajni, pogryzającego siano, bez jeźdźca.

– Zostawiłam ci kartkę z informacją, że go zabrałam. – Głowa Anne robiła się coraz cięższa, a ramiona za słabe, by ją utrzymać. Czowała potworne zmęczenie i miała problem z wypowiedzaniem słów.

– Nie widziałam jej – odparła Laura. – Anne, chyba wpadłaś w śpiączkę, skoro Generał cię zrzucił. Przecież potrafisz jeździć!

– Najwidoczniej nie. – Byłoby milej, gdyby ludzie przestali jej wciąż powtarzać, że stać ją na więcej; miała wrażenie, że wszystkich rozczarowuje. – Muszę wracać do Flossie. – Odwróciła się do Sebastiana mimo bólu raz po raz, małymi falami przeszywającego lewy bok. – Odwieszysz mnie?

– Oczywiście. – Sebastian ponownie przeprosił Laurę za zachowanie swojego psa, podniósł szyby i wyjechał z podjazdu. – Naprawdę uważam, że powinnaś najpierw zrobić prześwietlenie.

– Nie, muszę wracać. – Anne pokręciła głową.

– Na miłość boską, nie bądź taka uparta.

– Muszę wracać – powtórzyła ostro. – Karmię. Muszę nakarmić swoje dziecko.

Sebastian spojrzał na nią. Poczwała jego wzrok na swoich piersiach, zanim zrzucił czapkę i cisnął ją na tył dżipa. Wyjeżdżając spod stajni, usłyszeli, jak pies z radością ją miętosi.

– Mack ci ją przeżuje – zauważyła Anne.

– Mam inne.

Sebastian nie odezwał się, dopóki nie dojechali do domu Flossie.

– Pomóc ci dojść do drzwi? – zapytał.

– Dam radę, dzięki. – Anne udało się otworzyć drzwi, a potem zastygła, łapiąc oddech. Sebastian szybko wysiadł, by jej pomóc.

Zanim zdążyli dojść do drzwi, Anne podniosła wzrok i zauważyła na nich kartkę.

– Chyba ich nie ma – powiedziała, czując przypływ paniki. A jeśli Lucy także się coś stało, kiedy jej nie było? – Proszę, przeczytaj. Ja tu poczekam.

Udało się jej ustać na nogach dzięki przyciskaniu ręki do pulsującego boku, gdy tymczasem Sebastian długimi krokami wszedł na ganek i zgarnął kartkę z pinezki.

– Są w Barce – zawołał, machając liścikiem. – Gdzie to jest?

Anne szybko wytłumaczyła mu, w którą stronę ma się udać. Sebastian pomógł jej wsiąść do auta i pojechali na drugą stronę zatoki. Kiedy zaparkowali przed domkiem, ponownie obszedł dzipa, by otworzyć drzwi od strony pasażera i pomóc Anne wysiąść z auta. W tym czasie na ganek wyszła Flossie, trzymając w ramionach płaczącą Lucy. Mała wyciągała rączki do Anne i niemal wywinęła się z rąk ciotki.

– Ktoś tu się cieszy na twój widok – odezwała się Flossie. – To dziecko ma płuca jak śpiewaczka operowa. – Pytająco uniosła brew, widząc zranione kolano Anne. – Co się stało?

– Spadłam z Generała – odparła Anne. – Poobijałam się, ale nic mi nie jest. Sebastian skinął głową na powitanie.

– Cześć, Flossie – powiedział. – Dobrze cię znowu widzieć.

– Ciebie również – mruknęła Flossie, patrząc, jak mężczyzna pomaga Anne wejść po schodkach.

Anne próbowała nie krzywić się z bólu, wiedząc, że to zmartwi ciotkę, ale kiedy ta podeszła bliżej z Lucy, poprosiła:

– Poczekaj. Nie wezmę jej, dopóki nie usiądę.

– Nie chciała, żebym zabrał ją na pogotowie – odezwał się Sebastian.

– Bo nic mi nie jest – przerwała Anne.

– Oczywiście – rzuciła Flossie. – Cała i zdrowa. W doskonałej formie.

Ciotka weszła z nimi do domu, wciąż niosąc płaczące dziecko, i poczekała, aż Sebastian posadzi Anne na kanapie, zanim oddała jej małą na kolana. Anne podniosła bluzkę i odpięła biustonosz, zbyt zaabsorbowana koniecznością nakarmienia Lucy, by przejmować się otoczeniem.

Flossie wzięła swój sweter i klucze.

– To ja już pójdę – oznajmiła.

– Już? – zapytała niespokojnie Anne.

– Muszę załatwić kilka spraw. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować, ale mała po jedzeniu na pewno pójdzie spać. U mnie, łobuziara, nie zmrużyła oczu ani na minutę. Później przyniosę kolację. – Flossie opuściła domek.

Sebastian z rękami w kieszeniach patrzył wszędzie, tylko nie na Anne.

– Nigdy tutaj nie byłem – powiedział.

– A dlaczego miałbyś być? – Anne oparła głowę o kanapę, spoglądając na mężczyznę spod półprzymkniętych powiek. Z Lucy w ramionach mogła w końcu się zrelaksować.

– Moja babka i twoja ciotka blisko się przyjaźniły aż do śmierci Nan w zeszłym roku.

– Och, nie wiedziałam.

– Chyba niewiele osób wiedziało. Pochodziły z zupełnie innych kręgów.

Anne się zaciekawiała.

– Wydaje mi się, że właśnie z tych samych kręgów. Twoja rodzina i moja mają długie tradycje, prawda? Bradfordowie również mieli kiedyś pieniądze.

– Mój dziadek nigdy nie lubił Flossie – zawahał się Sebastian i dodał: – Bo ma własne zdanie i nie interesuje jej, co myślą inni. Jest wolnym duchem i feministką. Moja babcia prasowała dziadkowi koszule i zawsze przygotowywała kolację na szóstą. Stara szkoła, pod każdym względem. Ale podziwiała Flossie.

– Jest za co – przytaknęła Anne.

Ból chyba nieco zelżał – może dzięki hormonom, które uwalniały się w ciele podczas karmienia. Lucy jadła żenująco hałaśliwie. Ale i tak Anne miała ochotę roześmiać się z ulgą, że może trzymać dziecko na rękach, nie umrze w lesie, nie będzie sparaliżowana ani nie przydarzy jej się nic strasznego. To wielka odpowiedzialność być matką i uważać na swoje ciało, by twoje dziecko mogło przeżyć. Anne poczuła nieoczekiwany przypływ współczucia dla własnej matki. Sarah musiała wychowywać trójkę dzieci i sama prowadzić biznes. Jakim cudem zrobiła to i się nie załamała?

Anne przystawiła Lucy do drugiej piersi i przypomniała sobie, że powinna obciągnąć bluzkę, choć i tak już raczej za późno, by oszczędzić Sebastianowi widoku gołego biustu. A on w końcu spojrział i zdawało się, że wcale nie chce odwracać wzroku. Ze zdziwieniem dostrzegła w jego oczach tęsknotę.

– Usiądź – poprosiła cicho. I przypomniała sobie: – Czy Mack może tak długo siedzieć w aucie? Przyrowadź go. Nic tutaj nie zbroi.

Sebastian wyszedł i po chwili wrócił z psem. Mack wpadł do domu i zaczął badać kąty niewielkiej przestrzeni, węsząc głośno, czym wywołał uśmiechy na twarzy obojga. Powąchał Lucy, zakręcił kółko przy stopach Sebastiana i położył się ze stęknieniem.

– Naprawdę za niego przepraszam – powiedział Sebastian, wskazując na zwierzaka. Siedział na jednym z krzeseł naprzeciwko kanapy, krzyżując nogi w kostkach. Był wysoki. Dopiero teraz Anne zauważyła, jak bardzo wysoki.

– To nie jego wina. Mack robił to, co zwykle robią psy. – Położyła sobie Lucy na ramieniu i poklepała ją po plecach. Czuła pod swoją głową rozpaloną główkę dziecka, twardą jak kula do kręgli. Mała miała wilgotne kręcone włosy, robiła się coraz cięższa i spokojniejsza. Zasypiała.

– Oczywiście, że to jego wina – sprostował Sebastian. – I moja. Gdybym trzymał go na smyczy, nie spadłabyś z konia. Twoja siostra uważa, że doskonale jeździsz.

– Nie, to ona doskonale jeździ. Ja w tej rodzinie jestem marzycielką – wyjaśniła Anne. – Dlatego dałam się zrzucić. Puściłam lejce i wyjęłam stopy ze strzemion. Koń mógłby się spłoszyć w każdej chwili i też bym spadła. Głupia. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. – Uśmiechnęła się do Lucy, która zasnęła z głową na ramieniu Anne, z wydętymi czerwonymi ustami.

Sebastian również się uśmiechnął.

– Śliczne dziecko. Ile ma?

– Cztery miesiące.

Nie zapytał o ojca, ale Anne zauważyła, że spojrzał na jej serdeczny palec.

– Z jej powodu wróciłaś z Portoryko? – zapytał.

Anne pokręciła głową.

– Nie. Ojciec Lucy i ja się rozstaliśmy. Przyjechałam lizać rany i stanąć na nogi.

– Przykro mi.

– Nie ma powodu. To również moja wina. Jeszcze głupszy ruch niż ten z koniem. Zresztą powinnam była to przewidzieć.

– Nie możemy przewidzieć, co nas czeka – stwierdził z ponurą miną Sebastian.

Miał nieuczesane włosy i powinien się ogolić. Patrząc na potargane włosy, długie nogi w dzinsach i szerokie ramiona pod flanelową koszulą, Anne pomyślała, że Sebastian należał do świata natury, był jak zdziczały kot. Nawet teraz rozglądał się po pokoju, dostrzegając szczegóły, których ona pewnie nigdy nie zauważyła.

Anne przypomniała sobie nagle o jego żonie i o tym, czy rzeczywiście popełniła samobójstwo. Co za tragedia, bez względu na rodzaj śmierci. Taka młoda.

– Co robiłaś w lesie? – zapytała z nadzieją, że Sebastian nie zgadnie, o czym myślała.

– Badania do uniwersyteckiego projektu o inwazyjnych gatunkach.

– Jakich dokładnie?

– Czosenaczek pospolity.

Nie mogła powstrzymać śmiechu, słysząc tak absurdalną nazwę.

– Auć. – Złapała się za bok.

– Że co? – oburzył się mężczyzna. – To ważny projekt. Pierwszy, który ma pokazać, że jedna inwazyjna roślina może szkodzić naturalnie rosnącym drzewom, takim jak klony i jesiony.

Anne próbowała przestać się śmiać – nie dlatego, że nie chciała urazić Sebastiana, ale dlatego, że śmiech wywoływał ból – jednak bez powodzenia.

A potem, jakby ktoś wcisnął jakiś guzik, Anne zaczęła szlochać: z bólu, z ulgi, że mogła wrócić do Lucy, a przede wszystkim ze zmęczenia. Nigdy dotąd nie czuła się tak niezdolna do czegoś tak prostego jak wstanie i położenie dziecka spać.

Sebastian zerwał się i jednym susem przebiegł przez pokój, wziął dziecko z rąk Anne i cicho zapytał:

– Gdzie?

Anne wskazała podbródkiem sypialnię, gdzie za drzwiami stało przenośne łóżeczko Lucy. Sebastian zaniósł jej córeczkę – absurdalnie małą na szerokiej męskiej piersi – do pokoju, położył i delikatnie nakrył kocem. Potem zamknął drzwi i wrócił.

– Jesteś zmęczona i obolała. Przyniosę ci przynajmniej ibuprofen. Gdzie jest? W łazience?

Skinęła głową.

– W szafce. Na najwyższej półce.

Przyniósł dwie tabletki i szklankę wody, odczekał, aż Anne popije, i zaniósł szklankę z powrotem do kuchni.

– Okej. Teraz pojedę i dam ci odpocząć. Słyszałem, że Flossie zajmie się kolacją.

– Nie musisz wychodzić. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Sebastian uśmiechnął się, po raz pierwszy całym sobą. Od razu zmieniły mu się rysy twarzy. Był przystojny. Może nawet przystojniejszy niż w liceum, a to wiele mówiło.

– Wcale nie. Ale jesteś zbyt uparta, by dać sobie pomóc, więc lepiej wyjdę, zanim doprowadzę cię do szału, namawiając na coś, czego nie chcesz zrobić.

– Nie wierzę.

– W co? Że doprowadziłbym cię do szału czy na coś namówił?

– W ani jedno, ani drugie.

– Tego nie wiesz. – Potrząsnął głową. – Moja żona... – Urwał.

– Twoja żona co? – dopytywała Anne.

– Nic. Nieważne. – Sebastian podniósł kluczyki ze stołu i zawołał psa, choć to nie było konieczne: Mack już zerwał się na nogi, machając kudłatym ogonem. – Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała pomocy. Przynajmniej tyle mogę zrobić. – Wyciągnął rękę, a Anne podała mu komórkę, do której wpisał swój numer i oddał telefon. – Mówię poważnie. Zadzwoń.

– Nic mi nie będzie. Ale dziękuję.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to jutro i tak do ciebie zajrzę – nalegał i schylił się, by pocałować ją w policzek.

Anne uniosła głowę. W jego oczach dostrzegła znajomy wyraz, kiedy przelotnie dotykał ciepłymi ustami jej skóry. Jakby już kiedyś się kochali, bo przecież tak było, bardzo dawno temu.

Dawno temu, zanim jeszcze którekolwiek z nich wiedziało, czym jest miłość i jak bardzo może ranić.

Ostatnią lekcję w piątkowe popołudnie odwołano, więc Laura postanowiła pojechać na samotną konną przejażdżkę i zrobić to, co powinna już dawno temu. Pospiesznie osiodłała Stara, najnowszego konia w swojej stajni, zanim przyszedłoby jej do głowy zmienić zdanie. Tego czteroletniego wałacha kupiła na aukcji w zeszłym miesiącu, choć знаła jego trudną reputację: znajomy weterynarz, który badał zwierzę, powiedział: „Jest twardy jak skała, ale uważaj. To zawzięte bydło”. Laura była zaintrygowana. Miała słabość do trudnych zwierząt i doceniała konie czystej krwi. Potrafiły być charakterne, ale zwykle okazywały się również inteligentne i dzięki swojej prędkości, sprawności i wzrostowi sprawdzały się w trakcie skoków na zawodach. Miała kilkoro zaawansowanych uczniów, którzy mogliby dobrze wypaść na Starze w wiosennych pokazach, jeśli udałoby się jej go opanować. W dodatku Star był piękny; ciemny kasztan z białym znamieniem na czole, od którego wziął imię. W kłębie mierzył sto siedemdziesiąt centymetrów, więc Laura musiała stanąć na podwyższeniu, by włożyć stopę w strzemień i przerzucić nogę przez grzbiet. Koń nerwowo rzucał głową i robił kroki w bok w półkroku. Uspokoiła go delikatnym głosem i poklepała po szyi, a potem ruszyła wzdłuż podjazdu.

Do tej pory jeździła na Starze wyłącznie w ringu. Uspokajał się, gdy chodził przy ogrodzeniu. Był przyzwyczajony do wewnętrznego płotu na torze. A teraz, bez bezpiecznej zagrody, koń płoszył się na dźwięk każdego szeleszczącego liścia i złamanej gałązki. Jakby jechała na czworonożnej żabiej łasce^[2]. Laurze to nie przeszkadzało. Musiała utrzymać się w siodle na nerwowym zwierzęciu, nie miała więc czasu na rozmyślanie i mogła skupić się na swojej misji: kierowała się do Halibut Point, by definitywnie zakończyć znajomość z Tomem, niszcząc spalony już telefon. Nie mogła ryzykować, że Jake znowu go znajdzie. Trzymała komórkę w staniku i czuła jej ciężar niczym siniaka na skórze.

Po dwudziestu minutach jazdy kłusem po miękkim poboczu dwukierunkowej drogi do parku skręciła na wąską pieszą ścieżkę między drzewami, których gałęzie wisiały tak nisko, że Laura musiała przyciskać się do końskiej szyi. Teren stopniowo opadał w stronę sieci kamienistych ścieżek wiodących nad morze. Wzmagał się wiatr i wysokie żółknące trawy szumiały, wydając ostry, szepczący dźwięk, od którego Star drżał z podekscytowania, strzygąc uszami. Kilka razy musiała go zatrzymać, by mógł rozejrzeć się po okolicy. Na początku koń parskał i rzucał łbem, szarpiąc wędzidło, ale Laura trzymała go mocno.

Kiedy się uspokoił, łydkami zmusiła go do kłusa. Dotarli do prostki i mogła w końcu pocwałować. Schyliła się nisko, przyłgnąwszy do końskiej szyi i Star puścił się w łagodny galop. Oczy Laury łzawiły od wiatru, a mijany krajobraz stał

się smugą żółci, czerwieni i złota. Prędkość pozwoliła oczyścić umysł. Nie było nic prócz tej chwili, zwierzęcia pod siodłem, płynącego krajobrazu, ostrego słonego powietrza na twarzy. Laura czuła się cudownie wolna.

W kilka minut dotarli do końca szlaku. Pod nimi szalał groźny metaliczny ocean, pianą obmywając skały. Słońce było już czerwoną mgłą na zachodzie, a jego odbicie lśniło błyszczącym złotem i różem na powierzchni wody.

Laura sięgnęła za koszulę i bez wahania wrzuciła telefon do wody. Skończyła z Tomem. Koniec z tajemnicami. Była mężatką. I matką. Wierzyła, że trzeba postępować właściwie, nawet jeśli tak jest trudniej. Wpatrywała się w pusty horyzont, czując spływające po policzkach łzy. Na płaskiej szarej linii oddzielającej morze od nieba nie pojawiła się ani jedna łódź. Laura nigdy nie czuła się tak samotna.

Wracając przez pole, powstrzymywała Stara przed zbyt szybką jazdą. Nie chciała, by się zmęczył; dziś wieczorem spotykali się na kolacji z Melanie i jej mężem, nie było więc wiele czasu, by koń ochłonął. Teraz przynajmniej mogła z czystym sumieniem spojrzeć mężowi w oczy przy kolacji. Nie zdradziła go. Nie zdradziłaby. Wróciła na dobrą drogę, ich małżeństwo również. Albo wróci, gdy tylko spotka się z Anne. Laura zamierzała przeprosić za swoje zachowanie w pubie. To, co powiedziała Jake'owi, było prawdą: chciała zapomnieć o przeszłości. Jednocześnie musiała się upewnić, że Anne zrozumie. Jeśli sytuacja ma się poprawić, siostra powinna trzymać się z dala od Jake'a.

Od tamtego dnia, kiedy wywinęła ten głupi numer z Generałem, Anne rozsądnie nie pokazywała się w pobliżu domu Laury. A ta wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego stary poczciwy koń Flossie zrzucił amazonkę tak doświadczoną jak Anne. Na tym zwierzęciu mogłoby jechać dziecko.

Dziecko.

Anne ma dziecko. Anne ma dziecko. Anne ma dziecko. Laura powtarzała to zdanie raz po raz, wracając przez park stanowy, gdzie Star spłoszył trio dzikich indyków przekraczających ścieżkę tuż przed nimi, aż wbiegły w trawę niczym brzydkie długoszyje dzieci. Czy Anne wyglądała, jakby urodziła dziecko? Laura zmarszczyła czoło, z którego pod wykładanym aksamitem kaskiem spływał pot, i próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądała siostra tamtego wieczoru, kiedy pokłóciły się w pubie.

Ciąża całkowicie zmieniła ciało Laury i nie chodziło tylko o dodatkowe kilogramy. Popękane naczynka, cellulit, piersi, które nigdy nie wróciły do stanu sprzed karmienia. Ale brzuch i biodra Anne zdawały się równie szczupłe jak zawsze. Macierzyństwo męczy. Wyczerpuje i ogłupia. Laura wiedziała o tym doskonale. Kochała córkę, ale narodziny Kennedy były początkiem końca ich małżeństwa. A już na pewno oznaczały koniec pożądania Jake'a i początek samotności Laury.

– Cóż, nie powinnaś była pozwalać mężowi, by asystował przy porodzie – oznajmiła Sarah, kiedy Laura w chwili słabości wyznała, że Jake po narodzinach córki był mniej zainteresowany seksem.

– Nic dziwnego – twierdziła matka. – Żaden facet nie chciałby tego oglądać. Nie mają tyle siły co my. Ale jakoś to przeżyje. Tylko potrzebuje czasu, żeby zapomnieć o tych okropnościach.

To prawda, urodzenie Kennedy nie było łatwe. Gdy Laurze odeszły wody, Jake uparł się, że muszą od razu jechać do szpitala, choć poród jeszcze się nie zaczął. I długo się nie zaczynał. W końcu lekarz zasugerował indukcję. Laura protestowała, pamiętając, jak jedna z koleżanek opisywała wywoływany poród jako „ekspres prosto do piekła”. Jake jednak zgodził się z lekarzem, twierdząc, że nie mogą ryzykować infekcji, skoro wody już odeszły. Laura w końcu się zgodziła. Kilka minut po podłączeniu kroplówki całym jej ciałem zaczęły wstrząsać skurcze. Podano epidural, by złagodzić ból. Godzinę później dziecko wciąż się nie urodziło i lekarz podjął decyzję: niemowlę jest zagrożone. Trzeba przeprowadzić cesarskie cięcie.

Kiedy Kennedy przyszła na świat, Laura leżała w sali operacyjnej, patrząc w jaskrawe lampy, otępiała od drugiego znieczulenia, szlochająca z niepokoju, z prześcieradłem naciągniętym tak wysoko, że nie widziała, co dzieje się z jej własnym ciałem. Jake stał z boku, ale widział wszystko, co się działo. Kiedy nagle sapnął nerwowo, Laura zawołała:

– Co się stało?

Dziecku nic nie jest, zapewnił ją szybko mąż.

– Tylko nie spodziewałem się takiej ilości krwi.

Być może matka miała rację i to doświadczenie unicestwiło wszelkie pożądanie, jakie Jake żywił do Laury. Od tamtej pory rzadko inicjował seks. Ale Laura była pewna, że Jake ją kocha. Po porodzie traktował ją czule, przejął obowiązki domowe i gotował, dopóki nie wydobrzała. Zachęcał nawet, by pojechała na weekend do spa, gdy tylko odstawiła córkę od piersi, i doradzał ufarbowanie włosów, choć ten zabieg sporo kosztował.

Dojechała do dwukierunkowej drogi i zatrzymała konia, instynktownie klepiąc go po szyi i rozglądając się, czy nic nie jedzie. Zerknęła w stronę hotelu i na zegarek. Była czwarta po południu. Do klubu wyjdą dopiero koło siódmej. Miała dość czasu, by pojechać do domku i zobaczyć się z Anne. Zrobi jej niespodziankę. Zachowa się przyzwoicie, pomyślała, zwracając konia w odpowiednim kierunku. Elly miała rację: siostrami pozostaną na zawsze. Nie musiały się lubić, ale jeśli Anne nie będzie rozrabiać, jakoś się dogadają. Za miesiąc przyjęcie urodzinowe mamy. Potem święta. W dodatku Anne była taka niepozobierana, a to biedne dziecko potrzebowało ciotek.

Kilka minut później skręciła na żwirowy podjazd prowadzący do domu

Flossie i dawnego domku dozorca. W obu świeciły się już światła; słońce zachodziło teraz wcześniej.

Zbliżała się pora czarownic, ów koszmarny czas w ciągu dnia, kiedy dzieci nic nie mogło uspokoić. Kennedy zawsze wybierała tę ostatnią godzinę za dnia, by wpaść w furję, zwykle wtedy, gdy Laura próbowała zrobić kolację, zanim Jake wróci do domu. Teraz wyobrażała sobie Anne z rozzłoszczonym płaczącym niemowlęciem na rękach, bladą i zdenerwowaną, próbującą powstrzymać przeszywający ryk. Jest niedoświadczona, nie wie, co robić. Laura jej pomoże. Ukołysz dziecko Anne na kolanach i uspokoi. Uśmiechnęła się na myśl o takim scenariuszu i oczach siostry podkrążonych z braku snu. Wyrazie wdzięczności na jej twarzy, kiedy Laura uciszy dziecko magicznym dotknięciem.

Okrążyła żywopłot z jasnych róż otaczający niewielkie podwórze przy domu – kilka delikatnych jak papier różowych kwiatów wciąż kwitło – i zaskoczył ją widok nie jednego, a dwóch nieznanych samochodów. Czy Anne kupiła auto? Kto u niej był?

Laura podprowadziła Stara nieco bliżej, mrużąc oczy w szybko gasnącym świetle dnia.

Zatrzymała konia, kiedy zobaczyła błękitnego dżipa – to nim jechał Sebastian Martinson, kiedy znalazł Anne w lesie i przywiózł ją do domu niczym rycerz w lśniącym czterokołowcu. Laura siedziała na koniu, zagryzając wargi i gapiąc się na domek.

Po kilku minutach ktoś wstał z kanapy przy frontowych oknach. Kobieta, ale Laura jej nie rozpoznała. Potem usłyszała wybuch śmiechu, drzwi się otworzyły i na ganek zaczęli wysypywać się ludzie: Sebastian – nawet z daleka Laura rozpoznała wysoką, szczupłą postać – razem z jakąś kobietą, drugim mężczyzną i kilkorgiem dzieci, a za nimi Anne z córką na rękę. Znowu śmiechy, wyraźnie słyszalne mimo szumu fal. Laura poczuła mdłości. Anne otaczały radość i miłość. Nie zasługiwała na nie. Nie po tym, jak ukradła innej kobiecie męża, żeby zrobić sobie dziecko!

Rodzina. To właśnie stworzyła Anne, choć była tu od niedawna: rodzinę złożoną z ciotki Flossie, Sebastiana, Elly i tej pary, ich dzieci i własnego niemowlęcia. Laura instynktownie sięgnęła po swój drugi telefon, kotwicę łączącą ją z Tomem, ale poczuła bolesne ukłucie tęsknoty, gdy palce przez cienką tkaninę wyczuły jedynie chłodną skórę.

– Jedziemy, Star – powiedziała, zawracając konia tak gwałtownie, że wyrzucił żwir spod kopyt.

W domu Elly gotowała – wspaniale było widzieć elegancką kalifornijską siostrę przy kuchni, z gęstymi złotymi włosami zaczesanymi w kucyk – a Kennedy stała obok i mieszała coś w garnku. Po drodze do domu Laura zdążyła się uspokoić, myśląc, co z tego, że Anne ma przyjaciół. Każda młoda matka ich

potrzebuje. Teraz jednak poczuła kolejną falę smutku, jakby ktoś włożył jej drzazgę pod skórę. W college'u miała przecież mnóstwo przyjaciół, na początku małżeństwa z Jakiem również. Gdzie się podzieli? Tak wiele czasu Laura spędzała w stajniach, pomagając w hotelu i niemal samotnie wychowując Kennedy, że straciła kontakt ze znajomymi. Czasami z zaskoczeniem słuchała matek odbierających swoje córki ze stajni (kilka znała jeszcze z liceum), które gawędziły o wspólnych lekcjach tenisa, lunchach w klubie, wyjściach do kina i weekendach w spa z przyjaciółkami. Nawet gdyby Laurę było stać na te przyjemności, kiedy miałyby znaleźć na nie czas? Usiadła na ławce w wiatrołapie i zdjęła czarne skórzane buty. Obserwując jasno oświetloną kuchenną scenę, czuła się jak podglądacz szpiegujący przez okno inną, szczęśliwszą kobietę.

Kennedy, chichocząc z czegoś, co powiedziała Elly, dodawała sól do gotującej się w wysokim garnku potrawy. Urocza chwila, ale równie dobrze między Laurą a kuchnią mogłaby stać szklana ściana. Laura widziała światło, ale nie czuła ani odrobiny jego ciepła.

Elly wygłupiała się z Kennedy, czesała ją w inny niż zwykle sposób, zabrała na zakupy. Dziewczynka zdawała się inaczej czuć, jakby była lżejsza, może nawet wyglądała nieco szczuplej. Pewnie dzięki temu, że Elly pomagała jej wybierać inne ubrania. Odwiedziły wspólnie z tuzin sklepów z używanymi rzeczami, przygotowując się do przyjęcia urodzinowego Sarah.

Laurę znowu coś zakłuło na myśl, że Kennedy była szczęśliwsza, chodząc na zakupy czy gotując z Elly, niż robiąc cokolwiek z własną matką. Ale co w tym dziwnego? Przecież jej matka stała się jędzą. Znowu instynktownie sięgnęła po telefon i przypomniała sobie, że go wyrzuciła. Musiała zagryźć usta, żeby się nie rozpłakać: dlaczego życie jest tak niesprawiedliwe, że musiała zrezygnować z jedynej rzeczy, która ją uszczęśliwiała?

Dlatego właśnie musiałaś przestać, przypomniała sobie i zmusiła się do wejścia do jasno oświetlonej kuchni.

– Cześć, dziewczyny, co gotujecie? – zapytała radośnie i tak fałszywie, że sama to usłyszała.

Elly podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Robimy spaghetti *alla puttanesca* – powiedziała i zmarszczyła czoło. – Co się stało? Wyglądasz do dupy.

– Nie klnij – rzuciła Laura.

– Spaghetti *alla puttanesca* znaczy „dziwkarski makaron”, mamó! Naprawdę się tak nazywa, spójrz! Jest w książce kucharskiej. Więc nie możesz mnie karać za przeklinanie! – Kennedy skręcała się ze śmiechu.

– Super. Dzięki, Elly. – Laura pomaszzerowała na górę.

Wzięła prysznic, energicznie myjąc włosy i szorując głowę tak mocno, aż zapiekła ją skóra, a potem poddała się, użalając nad sobą, i rozpłakała. Uniosła

głowę, czekając, aż woda zmyje łzy, gdy tylko spadną. Jest do niczego, do niczego, do niczego.

W końcu wyszła spod prysznic, nałożyła balsam i uczesała włosy. Owinęła się w ręcznik i otworzyła drzwi z łazienki do sypialni, gdzie na brzegu łóżka siedziała Elly i przeglądała jakąś gazetę.

Siostra podniosła głowę.

– Co się dzieje, Lauro?

– Nie pytaj.

Ku zdziwieniu Laury Elly wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Pomóc ci się ubrać? Wiem, że boisz się tej kolacji.

– Nie musisz mi pomagać. I tak nie ma znaczenia, co włożę – odparła ponuro Laura, siadając obok. – Będę wyglądać tak samo, czyli koszmarne.

– W takim razie wyglądam inaczej.

– Tak, jasne. – Laura pokazała ręcznik, w który była zawinięta. – Może pójdę w tym.

– W tym na pewno zwrócisz uwagę wszystkich. – Elly się uśmiechnęła. – Ale mam lepszy pomysł.

Dwadzieścia minut później siostra wcisnęła Laurę w czarne spodnie z szerokimi nogawkami, które wykopała z głębi szafy (kupione na jakieś świąteczne przyjęcie wieki temu), i złotą jedwabną bluzkę, częściowo rozpiętą, na czarną koszulkę z koronką. Elly dodała szeroki czarny pasek i kozaki na szpilkach z własnych zasobów, rozsypując rzeczy z wielkiej walizki w pokoju gościnnym. Potem kazała Laurze usiąść na stołku w łazience, tyłem do lustra, pomalowała jej paznokcie na wyrazistą czerwień i wysuszyła włosy, modelując na gładko okrągłą szczotką. Na koniec ją umalowała.

Laura zamknęła oczy i poczuła, jak napięcie powoli znika z jej ramion, kiedy nachylała twarz i poddawała się siostrze. Palce Elly delikatnie niczym ómy pracowały na twarzy i powiekach, a towarzyszyło temu nieustające gadanie o hollywoodzkich gwiazdach, które na szczęście nie wymagało żadnej reakcji.

– No więc czym się tak martwisz? – zapytała w końcu Elly, nakładając na rzęsy Laury kilogramy tuszu.

Wtedy Laura już na tyle się odprężyła, że zaczęła opowiadać o wszystkim: jak Tom odezwał się na Facebooku, jak mejle i esemesy robiły się coraz częstsze i bardziej osobiste, o tym, jak wyrzuciła telefon, i o wyrzutach sumienia wobec Jake'a, którego jednocześnie oskarżała o romansowanie z Anne. Skończyła i bała się spojrzeć na Elly. Ale kiedy siostra odwróciła taboret do lustra i kazała Laurze otworzyć oczy, ta z wielkim zaskoczeniem dostrzegła na twarzy Elly wyraz zaskoczenia i podziwu.

– Wow – rzuciła Elly. – A ja myślałam, że jesteś świętą tej rodziny! Dzięki Bogu, że masz jakieś tajemnice.

– Nie uważasz, że to okropne?

– Nie, do diabła – odparła Elly. – Uważam, że jesteś samotna, bo Jake się od ciebie odsunął, i próbujesz ocalić wasze małżeństwo. A co z tym drugim facetem, Tomem? Chcesz się z nim spotkać?

– Nie – szybko odpowiedziała Laura, a potem się poprawiła: – No może trochę. Ale to coś między nami nie jest prawdziwe. Wiem o tym. Nie widzieliśmy się od liceum! Tyle że Tom sprawia, że czuję się ważna, rozumiesz? Jakbym była prawdziwym człowiekiem, a nie trybikiem w rodzinnej maszynie. – Zaśmiała się. – Zardzewiałym trybikiem w zepsutej maszynie pokrytej rdzą.

– Och, daruj sobie te żale – skarciła ją Elly. – Jesteś niezbędna. Jake i Kennedy na tobie polegają. Mama również. Nic dziwnego, że czujesz się przytłoczona. Potrzebujesz więcej czasu dla siebie. Powinnaś być ważna tak samo jak inni.

– Jakbyś cytowała porady z jakiejś koszmarnej babskiej gazety. – Albo kobietę, która nie musi dbać o pracę, małżeństwo i dzieci, pomyślała Laura, ale nie chciała tego mówić i obrazić siostry.

Elly pokręciła głową.

– Nie mówię o ucieczce do spa ani nawet terapii, choć jedno i drugie mogłoby pomóc. Ważniejsze, żebyś przy Jake’u i Kennedy była prawdziwą sobą. Odkąd przyjechałam, cały czas kogoś udajesz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – oburzyła się Laura.

– Udajesz szczęśliwą, choć tak nie jest – wyjaśniła Elly. – Pamiętasz, jak opanowana była mama za czasów naszego dzieciństwa? Nawet wtedy, kiedy tata upił się tak strasznie, że skosił świeże krzewy róż, które dopiero co posadziła?

– Wciąż jest Królową Śniegu – zauważyła Laura. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam, jak wrzeszczy. Albo płacze.

– No właśnie. Jest ofiarą swojej arystokratycznej bostońskiej rodziny. Sztywna stoicka mieszkanka Nowej Anglii do entej potęgi. – Elly się uśmiechnęła. – Odkąd mieszkam w Kalifornii, widzę to wyraźniej, bo tam nawet kelnerki opowiadają ci o swoim życiu pięć minut po poznaniu. Ale posłuchaj, musisz dbać o to, czego uczysz Kennedy. Ona teraz cię obserwuje i widzi, że nie powinno się prosić o pomoc. Musisz częściej pokazywać, że nie jesteś idealna. Proś o to, czego chcesz. Czego potrzebujesz. Zaslugujesz na szczęście tak samo jak inni.

– Dzięki. – Laura chciała zakryć twarz, jednocześnie wstydząc się przed Elly za swoją głupotę z Tomem i z ulgą myśląc, że ktoś w końcu dowiedział się, co zrobiła.

Elly gwałtownie złapała ją za nadgarstki.

– Nie za twarz! Nie dotykaj twarzy! – zawołała. – Zanim się rozmażesz, przynajmniej wstań i podziwiał moje mistrzostwo. – Odeszła od lustra.

Laura wstała i zobaczyła cudownie zniekształcone odbicie. Kobieta w lustrze

wyglądała na wyższą i szczuplejszą. Miała ciemnoniebieskie oczy, lśniące i z wytuszowanymi rzęsami, gładkie włosy na seksownego pazia, w kolorze lśniącego brązu przetykanego srebrnymi nitkami.

Ta kobieta była elegancka. Piękna. Nie to co Laura.

– Nie mogę uwierzyć, że ty to zrobiłaś – odezwała się w końcu. – Jesteś czarodziejką.

Elly lekceważąco machnęła ręką.

– Tylko pomyśl, co bym mogła zdziałać, mając ze sobą makijażystkę. – Zaczęła upychać pędzle i tubki w podróźnej kosmetyczce. – Twoim zadaniem jest teraz się pokazać. Głowa wysoko, plecy proste, okej? Wmaszeruj do tego klubu, jakby należał do ciebie. Piękno kryje się w środku. Choć tego mama nas nauczyła.

Jake towarzyszył Elly w kuchni, podczas gdy Laura została jeszcze na górze, pomagając Kennedy w lekcjach. On również się wystroił – w staromodnym stylu: marynarka tweedowa, dopasowane brązowe wełniane spodnie, biała koszula z czerwoną muszką. Widać było ślady grzebienia w ciemnych włosach, które zaczesał z czoła do tyłu, by podkreślić wdowi szpic, wyrazisty podbródek i brązowe oczy. Nawet Elly musiała przyznać, że szwagier dobrze wygląda.

Udawała, że czyta gazetę, kiedy Jake podszedł do lodówki i wyjął z niej butelkę białego wina. Przebywanie z nim sam na sam było niezręczne. Nie tylko z powodu tego, co opowiadały Laura i Anne, ale dlatego, że Jake był czarusem.

Gdy Elly wstawiała wcześniej, robił jej kawę. Śniadanie również. Przytrzymywał otwarte drzwi, komplementował stroje i fryzurę, nalewał wino. Troszczył się o to, czy dobrze spała i czy zjadła wystarczająco dużo na kolację. Żaden facet nigdy się tak o nią nie martwił. A Jake traktował podobnie wszystkie kobiety; Flossie w tajemnicy nazywała go nawet Jeevesem^[3].

Ostatnio Jake zapytał Elly o jej pracę. Chwalił interesujący wybór zawodu i nazwał ją „prawdziwą artystką”. Kiedy widział, że szuka zleceń na swoim laptopie w kuchni, zachęcał ją, mówiąc na przykład: „Praca pojawia się wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewasz” albo „Pukaj do różnych drzwi, w końcu któreś się otworzą” i „Szanse się tworzy, a nie dostaje”.

Wszystko to przypominało mądrości z chińskich ciasteczek z wróżbą, ale Elly i tak dawała się nabrać. Pocieszało ją, że szwagier w nią wierzy.

– Ziemia do Elly! Chcesz? – Jake stał tuż przed nią, proponując kieliszek wina.

– Jasne – odparła. – Dzięki.

Zdziwiła się, kiedy sobie nalał wodę gazowaną.

– Prowadzę – wyjaśnił i się uśmiechnął. – Hej, a co zrobiłaś z moją żoną i kim jest ta piękna nieznajoma na górze?

Elly uprzejmie odwzajemniła uśmiech.

– Twoja żona zawsze wygląda pięknie.

– Wiem. – Jake natychmiast przybrał przymilny ton. – W środku i na zewnątrz. Nie zasługuję na nią.

Nie zasługujesz, pomyślała Elly. Nie uszczęśliwiasz jej. I dobiełaś się do mojej młodszej siostry.

W tej samej chwili wpadła Laura.

– Gotowy, kochanie? – zapytała.

– Nie do końca – zamruczał. – Mam ochotę zabrać cię z powrotem na górę, tak ładnie dzisiaj wyglądasz.

– Fuj, ohyda! – odezwała się Kennedy, która zeszła z matką. – Idźcie do motelu!

– Bawcie się dobrze i zadzwońcie, jeśli trzeba będzie was odebrać – powiedziała Elly, zauważając, że Jake nagle zeszywniał, otwierając Laurze drzwi. Dlaczego tak się denerwował?

Elly i Kennedy wciągały spaghetti z trzymanyh na kolanach talerzy w domowym kinie, gdzie Jake zainstalował projektor i ogromny telewizor, który świecił tak intensywnie, że Elly miała ochotę przesunąć kanapę trzy metry w tył. Obejrzały ponownie *Deszczową piosenkę*, zatrzymując film, by przyjrzeć się francuskim plakatom na ścianie za Gene'em Kellym w trakcie piosenki 'S *Wonderful*.

– Na pewno możemy kupić podobne plakaty przez internet – odezwała się Elly.

– I spokojnie możemy zrobić te słomiane francuskie miotły – dodała Kennedy.

– No więc kim chcesz być? Henrim, tym facetem, który gwizdze w trakcie 'S *Wonderful*, czy Jerrym, tym stepującym? – zapytała Elly. Zademontowała kilka łatwiejszych kroków i ze zdziwieniem obserwowała, jak szybko opanowała je Kennedy. – Wymiatasz, dziewczyno! – powiedziała, kiedy niosły naczynia na górę. – Jeśli tak zatańczysz, zostaniesz gwiazdą urodzinowej imprezy babci.

– Tyle że ja nie zatańczę – oznajmiła Kennedy. – Nie przy ludziach!

– A ja to nie ludź? – zażartowała Elly.

– Nie. Ty nie jesteś człowiekiem... tylko klonem! Moja prawdziwa ciotka wciąż jest w Kalifornii i baluje z Miley Cyrus.

– Weź. Miley to przeszłość.

Kennedy śmiała się, bo Elly zaczęła śpiewać *Wrecking Ball*, kiedy płukały talerze i wkładały je do zmywarki.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedziała w końcu dziewczynka.

– Tak? Czego? – Elly upychała plastikowe pojemniki z resztkami jedzenia w lodówce, zafascynowana tym, ile może pomieścić. Nigdy nie miała w niej więcej niż jajka, wino i jogurt.

– Mówiłaś, że odegramy ten film, bo to ulubiony film babci nakręcony

w roku, w którym się urodziła, tak?

– Uhm. – Elly słuchała jednym uchem, wycierając blaty.

– No bo wiesz, wygooglałam *Amerykanina w Paryżu* i nakręcili go w 1951, ale babcia się wtedy nie urodziła.

– O czym ty mówisz? – Elly wypłukała gąbkę. – Babcia obchodzi sześćdziesiąte piąte urodziny. Właśnie wtedy się urodziła. Jestem kiepska z matmy, ale dodawać i odejmować potrafię.

Kennedy pokręciła głową.

– Nie, babcia mówiła mi, że urodziła się w roku 1941. I że dzień jej urodzin, ósmy grudnia 1941 roku, łatwo zapamiętać, bo wtedy prezydent Roosevelt wygłosił to słynne orędzie do narodu po zbombardowaniu Pearl Harbor.

Elly zastygła na środku kuchni, gapiąc się na siostrzenicę.

– Dlaczego, na miłość boską, naopowiadała ci takich rzeczy?

– W szkole omawialiśmy drugą wojnę światową. Babcia chyba uznała, że uczymy się o starożytności.

Elly się zaśmiała.

– Przede wszystkim to z pewnością nie jest „starożytna” historia. A babcia najwidoczniej zmyśliła tę opowieść, żebyś odrobiła zadanie. Moja matka urodziła się tutaj, w Bostonie, w 1951 roku, w jednej z najstarszych bostońskich rodzin, tak jak Bradfordowie, krewni dziadka. Oboje mają starą błękitną krew, tak nazywa się pierwsze bogate rodziny, które osiedlały się w Back Bay. I z pewnością urodziła się w listopadzie, nie w grudniu. Przecież znam datę urodzin własnej matki, prawda? Zawsze urządziłyśmy jej przyjęcie tuż przed Świętem Dziękczynienia.

– Nie – upierała się Kennedy. – Babcia urodziła się w 1941. Zapytaj ją, jeśli mi nie wierzysz.

– Nie ma mowy! Już nigdy w życiu by się do mnie nie odezwała! Gdyby babcia się wtedy urodziła, kończyłaby siedemdziesiąt pięć lat. Według ciebie wygląda na tyle?

– Nie. Ale pewnie dlatego, że miała, no wiesz. Operację. – Kennedy naciągnęła obiema rękami skórę wokół oczu.

– Jaką operację? Masz na myśli lifting twarzy?

– No tak. Dlatego jej twarz wygląda młodo, a szyja staro. W zeszłym roku wróciła obandażowana jak mumia. Widać było tylko oczy, nos i usta.

– Aha. – Elly opłukała ręce w zlewie. Możliwe, że matka miała operację. Dobrze wyglądała. A skoro nie było żadnych komplikacji, Laura nie musiała o tym wspominać. Albo Sarah kazała jej milczeć.

Jednak w kwestii urodzin matki Kennedy na pewno się myliła. Dlaczego Sarah miałaby kłamać co do swego wieku? Bo może, zaświergotał cichy głosik w głowie Elly. Bo Sarah nie ma ochoty się starzeć. Ale czy rzeczywiście przez tyle lat udałoby się jej utrzymać w tajemnicy prawdziwą datę urodzin? Elly próbowała

sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała prawo jazdy albo świadectwo urodzenia matki. Zresztą jakie to miało znaczenie? Co za różnica? I tak mogli świętować te urodziny w listopadzie. Sarah z pewnością zasłużyła, by córki o nią dbały i podtrzymywały – jeśli to była prawda – tę cenną iluzję, którą stworzyła odnośnie do swojego wieku. Kogo to obchodzi?

Okazało się, że obchodzi Elly. Nie znosiła, gdy ją okłamywano, nawet jeśli robiła to matka. A może szczególnie jeśli robiła to matka.

– Hej, wiem, co możemy dzisiaj zrobić. – Kennedy wyrwała ciotkę z zamyślenia. – Musimy pojechać zobaczyć dziecko cioci Anne!

Elly chciała zapytać, skąd siostrzenica w ogóle wie o dziecku, skoro nie widziała się z Anne. Ale właściwie nic w tym dziwnego – nastolatki były jak nietoperze, widziały trzy razy lepiej niż zwykli ludzie i swoimi dużymi uszami dzięki echolokacji odbierały dźwięki odbijające się od przedmiotów.

Tych fascynujących rzeczy dowiedziała się od Rydera, który w ostatnim esemesie przysłał swoje zdjęcie pod prysznicem na podwórzu; znad drewnianych drzwi wystawały tylko głowa i ramiona. Uśmiechał się przez ramię do aparatu. „Szkoda, że cię tu nie ma” – napisał. Też żałowała, że nie może się nim nacieszyć. Poczuć ciepłych męskich dłoni na rozgrzanej słońcem skórze.

Kennedy zaczęła się histerycznie śmiać niczym szalony klaun w jakimś horrorze. Pewnie potajemnie planowała tę ucieczkę z Elly od chwili, gdy usłyszała, że Laura i Jake wychodzą wieczorem z domu.

Elly założyła ręce.

– Naprawdę proponujesz, żebym zabrała cię do Anne podczas nieobecności twoich rodziców, mimo że twoja matka by mnie za to totalnie, absolutnie znienawidziła?

– Mama nie musi wiedzieć. – Kennedy otworzyła szerzej błękitne oczy, udając niewiniątko. – Poza tym jak inaczej mam poznać moją kuzynkę? Moją jedyną kuzynkę? Nie sądzisz, że powinnam ją zobaczyć, nawet jeśli moja mama z jakiegoś durnego powodu jest obrażona na Anne?

– Sądzę. – Elly się uśmiechnęła. A niech to. Przecież jest ciotką tego dziecka. Kto inny ma nauczyć Kennedy, że niektóre zasady trzeba łamać? – Ale nie możesz mówić rodzicom, że cię zabrałam.

– No proszę cię.

– Dobra. Bierz kurtkę.

Kilka minut później zaparkowały pod Barką. Elly zapukała do drzwi. Kennedy, stojąc na ganku, podskakiwała z ekscytacji.

– Proszę cię, przestań – mruknęła Elly, kiedy Anne otworzyła drzwi.

Siostra miała na sobie to co ostatnio, dzinsy i miękki szary sweter, ale wyglądała inaczej. Może to przez włosy: miedziane loki zaczesana rogową opaską do tyłu i zdawała się młodsza niż kiedykolwiek; w uszach miała długie turkusowe

kolczyki. Jakimś cudem Anne w dzinsach i opasce na włosach i tak miała więcej klasy niż dziewięćdziesiąt procent kobiet w balowych sukniach na czerwonym dywanie.

Anne uśmiechnęła się szeroko i serdecznie.

– Wow, Kennedy! To ty! – Uścisnęła siostrzenicę i zrobiła krok do tyłu. – Rany, dziewczyno. Jesteś taka wysoka i piękna! Chodź poznać Lucy!

Kennedy, potykając się o własne nogi, wpadła do środka. Anne weszła za nią i kładąc dłoń na ramieniu Elly, spytała szeptem:

– Na pewno może? Pytałaś Laure?

– Nie, ale Kennedy nic nie powie. – Elly miała nadzieję, że się nie myli.

Przeszła za Anne do salonu. Słyszała, jak w sypialni Kennedy z prędkością karabinu maszynowego mówi do Lucy: przedstawia się, ogląda telefon z muszelek nad przenośnym łóżeczkiem, podnosi kolejne zabawki i nimi grzechocze.

– Mam nadzieję, że Lucy nie spała – odezwała się Elly. – Przepraszam. To był impuls. Powinam najpierw zadzwonić.

– Nie przepraszaj! Chciałam zobaczyć się z Kennedy. – Anne ściszyła głos.

– Ale gdzie jest Laura? Serio, jak udało wam się wymknąć?

– Pojechali z Jakiem na kolację do klubu, wrócą późno. Wiesz, jak tam jest.

– Elly przewróciła oczami. – Jedzenie z lat pięćdziesiątych i ogromne koktajle.

Anne westchnęła.

– To koszmar, że Laura tak mnie nienawidzi. Nawet nie wiem, co się dzieje w jej życiu.

– Ona cię nie nienawidzi.

– Cóż, ale raczej nie kocha – ponuro odparła Anne.

– Daj jej trochę czasu. – Elly padła na kanapę. – Ja niby z nią mieszkam, a i tak nie wiem, co dzieje się w jej życiu.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy, że Laura wcale nie jest taka święta, jak myślałyśmy.

– Serio? – Anne usiadła obok i zdjęła opaskę. Loki rozsypały się na wszystkie strony. Elly poczuła, że palnęła głupstwo. Nie chciała zawieść zaufania starszej siostry.

– Nie mogę ci powiedzieć więcej. Laura na pewno by mnie wtedy zabiła. – Pochyliła się i ściszyła głos. – Skontaktował się z nią jakiś kolega z liceum. I chyba Laura jest blisko nawiązania romansu. – Rozsunęła kciuk i palec wskazujący na jakiś centymetr.

– O Boże. Cóż, chyba chciałabym, żeby naprawdę zdradziła Jake'a – powiedziała cicho Anne. – On na nią nie zasługuje. No i wtedy musiałyby przestać traktować mnie jak jakąś ladacznicę.

– Właściwie to mogłabyś trzymać się tego wizerunku – zażartowała Elly. – Ladacznice w Los Angeles bawią się najlepiej.

Anne się roześmiała.

– A skoro mowa o L.A., jak ci idzie szukanie pracy, masz coś?

– *Nada*^[4]. – Elly wzruszyła ramionami. – Pewnie będę musiała tam wrócić, żeby coś znaleźć. W Hollywood chodzi o to, żeby być we właściwym miejscu o właściwym czasie, jeśli chcesz pracować. A u ciebie?

– Też raczej kiepsko. W przyszłym tygodniu mam rozmowę w katolickiej szkole w Danvers, ale nie wiem, co zrobię z Lucy, jeśli będę musiała pracować na pełny etat.

– Halo? Żłobek?

– Nie chcę. Ona jest taka mała. Ledwo znoszę, kiedy Flossie się nią opiekuje. Elly poklepała Anne po kolanie.

– Nie martw się. Coś znajdziesz, a w miarę jak Lucy zaczną rosnąć, będzie ci łatwiej ją zostawiać. – Wiedziała, że to marne pocieszenie, ale przecież obie z Anne musiały pracować. Nie miały bogatego męża dentysty, który by płacił rachunki.

Raczej który powinien płacić rachunki: Elly wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Laura i Jake byli splukani, jak mówiła Laura.

– A co z twoim życiem miłosnym? Jakies nowiny? – pytała Anne. Elly się zarumieniła, bo siostra ze śmiechem zażądała: – Opowiadaj!

– Opowiem, jeśli ty powiesz.

Anne wzniosła oczy do góry.

– Jakby ktoś mnie teraz chciał.

Przerwał im głos Kennedy dochodzący z sypialni.

– Hej, ciociu Anne, czy mogę ją podnieść? Już się obudziła.

Anne i Elly wymieniły uśmiechy.

– Nie wątpię – powiedziała Anne. – Na pewno się cieszy, że cię poznała. Jasne, możesz ją wziąć. Pokażę ci, jak najlepiej to zrobić. – Wstała i przeszła do sypialni.

Ze swojego miejsca Elly widziała schylającą się Anne – a właściwie jej biodra w drzwiach – a potem pojawiła się Kennedy, niosąc Lucy na rękach. Na widok nowej twarzy mała szeroko otworzyła oczy i zaczęła gaworzyć, co wywołało ogólny śmiech.

– Chyba mnie lubi – zauważyła Kennedy, spoglądając na kuzynkę.

Rysy okrągłej buzi Kennedy łagodziła długa grzywka. Elly podcięła jej włosy prosto, do ramion, co podkreślało wysokie kości policzkowe. Dziewczynka wyglądała ślicznie, może dlatego, że się uśmiechała. Ale jak tu się nie uśmiechać, gdy niemowlę cieszy się na jej widok, jakby była gwiazdą rocka?

Elly poczuła ukłucie zazdrości, aż musiała się odwrócić.

– Chcesz ją nakarmić? – zapytała Anne. – Pewnie znowu jest głodna. Lucy je jak drwal.

Kennedy chciała podskoczyć, ale przypomniała sobie o dziecku i zamarła.

– Mogę?

– No pewnie. Chodź.

Przeszły do części kuchennej, Anne wyjęła torebkę z mlekiem z lodówki, na kilka minut zanurzyła ją w miseczce z ciepłą wodą i przelała do butelki. W tym czasie Kennedy opowiadała o zajęciach szkolnych, podczas których uczniowie musieli opiekować się jajkami.

– Nauczycielka pokazywała nam, jak trudna jest opieka nad dzieckiem, żebyśmy się powstrzymywali i tak dalej, ale ja lubiłam zajmować się moim jajkiem – tłumaczyła. – Narysowałam mu buzię i zrobiłam łóżeczko z pudełka po chusteczkach.

– Będiesz świetną mamą – stwierdziła Anne. – Ale z seksem powinnaś jeszcze poczekać. Albo przynajmniej pamiętać o antykoncepcji, żebyś nie skończyła jak ja.

Kennedy wyglądała na zszokowaną, ale po chwili się roześmiała.

– Jasne, nie martw się. Chłopcy w mojej szkole i tak są obleśni. I strasznie nudni! Mówią tylko o pierdzeniu, grach wideo i sporcie.

– Niektórzy niestety nigdy z takiego gadania nie wyrastają. – Anne podała Kennedy butelkę i spojrzała na Elly.

Elly z trudem zachowywała neutralny wyraz twarzy, bo w jej gardle tkwiła wielka gula. Jednak cokolwiek Anne wyczytała z tej miny, sprawiło, że zwróciła się do siostrzenicy:

– Kennedy, może nakarmisz Lucy w pokoju? Pewnie zaśnie, kiedy będziesz ją kołysać. Bardzo byś mi pomogła.

– Dobrze.

Anne usadowiła w sypialni obie dziewczynki, a potem zamknęła drzwi i wróciła na kanapę.

– No mów.

– Niby co? – odparła Elly sztywno, choć знаła odpowiedź. Nadszedł czas, by komuś powiedzieć. Zresztą i tak nigdy nie potrafiła niczego ukryć przed Anne, młodszą siostrą, która ją uwielbiała i w dzieciństwie naśladowała każdy jej ruch.

Anne utrapienie. Anne maruda.

Anne, jej siostra, która teraz delikatnie dotykała policzka Elly jednym palcem.

– Kochanie, powiedz mi, proszę. Co się dzieje? Dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę – zaprotestowała Elly, ale dotknęła twarzy i, cholera, płakała.

– Czy Laura cię czymś zdenerwowała?

– Nie.

– Jake chyba niczego nie próbował, prawda?

Elly otarła łzy rękawem.

– Jezu, nie. Nie ośmieliłby się.

– To moja wina? Zrobiłam albo powiedziałam coś, co cię zraniło? – Anne wyglądała na zatroskaną, ale nie zdejmowała dłoni z policzka Elly, ogrzewając ciepłą dłonią skórę niczym małe słońce.

– Nie! – Elly odsunęła się i wstała. – Masz tu jakieś wino? Zamordowałabym za kieliszek.

– A wyobraź sobie, że tak. Miałam dzisiaj gości na lunchu.

– Tutaj, w Barce? – Elly zaśmiała się i ponownie otarła łzy.

– Jasne. Tu jest mnóstwo miejsca, jeśli połowa gości zgodzi się stać. Na przykład połowa z ośmiorga. – Anne poszła do kuchni i nalała kieliszek czerwonego wina Elly i drugi sobie. – Może jeśli trochę się napiję, uspię małą podczas karmienia.

Elly znowu się roześmiała. Tego właśnie potrzebowała: śmiechu. Może wtedy mogłaby patrzeć na Anne z Lucy i nie pękać.

– A teraz mów. – Anne usiadła obok i podała siostrze kieliszek.

– No więc był pewien facet... – zaczęła Elly. – Chciałam o nim zapomnieć, ale nie potrafiłam. Wciąż nie potrafię. – Dla kurażu wypija kilka łyków wina.

W pokoju Kennedy śpiewała *Rockabye, Baby*. Miała piękny głos, niemal tak niski jak wspaniały alt Laury, z naturalnym wibratem. Elly powoli się uspokajała.

W końcu zaczęła opowiadać o Hansie.

– To z jego powodu dwa lata temu nie przyjechałam na to wielkie bożonarodzeniowe przyjęcie w hotelu. Chciałam spędzić święta z nim. Myślałam, że poznałam miłość mojego życia. Teraz to brzmi głupio.

– Wcale nie. Ale dlaczego nie przywiozłaś Hansa tutaj? Mogłaś też powiedzieć nam, dlaczego nie przyjedziesz.

– Hans nie chciał jechać na wschód. A nie powiedziałam, bo było mi wstyd, że wolałam faceta niż spotkanie z wami – wyjaśniła Elly. – Rany, to strasznie słabe. Ale tak mnie oczarował, że nie mogłam się zmusić, by go zostawić. Chciałam z nim spędzać każdą sekundę każdego dnia.

Zamknęła na moment oczy, wyobrażając sobie Hansa tak prawdziwego, że niemal mogła go dotknąć, tutaj, teraz, w małym domku pięć tysięcy kilometrów dalej. Hans był szwedzkim producentem i miał potężną kwadratową sylwetkę pięściarza. Poznali się na planie filmu, przy którym oboje pracowali. Tydzień później Elly spędzała już niemal każdą noc w jego bielonym domu w ranczerskim stylu w Hollywood Hills. W domu z oknami od sufitu do podłogi, wychodzącymi na kanion, w którym nocą wyły kojoty i gdzie na tylnym tarasie trzeba było uważać, bo grzechotniki lubiły się tam wygrzewać wokół basenu.

Elly była pewna, że poznała mężczyznę, z którym spędzi resztę życia. Hans był zabawny i wyluzowany, dramatyczny i seksowny, inteligentny i dociekliwy. Wszystko, co razem robili, okazywało się ekscytujące, nieważne, czy były to narty

w Tahoe czy leżenie na podłodze w salonie i gra w szachy. Najmocniej kochała to, w jaki sposób Hans kładł dłoń z tyłu jej szyi, kiedy się całowali.

– Całowanie się z nim było jak taniec – wyznała.

– Zdaje się, że mocno wpadłaś – oceniła Anne.

– Raczej „straciłam zmysły” – poprawiła Elly, przypominając sobie, jak pojawiała się w domu Hansa w środku nocy. Czasem w deszczu. Nawet podczas pożarów lasów, osunięć ziemi, a raz podczas burzy, kiedy grad wgniótł karoserię jej samochodu.

– Chodziło o seks? – zapytała Anne. – Dlatego to był tak intensywny związek?

– Z Hansem wszystko było intensywne.

Elly opowiedziała Anne o niedzielnych porankach w Venice Beach i kolacjach w Koreatown, o miłości Hansa do markowych cygar i whisky, o jego jasnych włosach i oczach czasem mających kolor ponurego szarego zimowego nieba, a kiedy indziej ciepłego grafitu płynnego metalu.

– Byłam pewna, że nie mogę bez niego żyć – ciągnęła Elly, a durne bezwstydnie łzy ciągle płynęły. – Czasami wciąż mam takie wrażenie.

Ulżyło jej, gdy wszystko wyznała. Tylko Anne powiedziała o Hansie. Nie o początkach tego związku – o tym słyszeli wszyscy przyjaciele i znajomi z Los Angeles, ponieważ Elly szalała z podekscytowania i nie mogła powstrzymać się przed opowiadaniem o swoim romansie – ale o koszmarnym, smutnym, niespodziewanym i gorzkim końcu bajki.

– I co się potem wydarzyło?

– Dwa lata temu postanowiłam zostać na Boże Narodzenie z Hansem, a nie jechać do domu, bo myślałam, że może się oświadczy albo przynajmniej poprosi, bym się wprowadziła. Ale on odszedł.

– Zostawił cię w święta? – zapytała Anne.

– W Wigilię, ściślej rzecz biorąc.

Tamtego ranka Hans zadzwonił i oznajmił, że musi wracać do Szwecji. Nie wyjaśnił dlaczego.

– Miał problem z wizą? – zdziwiła się Anne. – Deportowali go?

– Nie.

– W takim razie dlaczego? Był żonaty?

– Nie – odparła Elly i dodała, że później, dużo później, pewien detektyw powiedział jej, że Hans zdefraudował pieniądze. Dużo pieniędzy. – Zbierał fundusze od inwestorów na jakiś niezależny film dokumentalny, a wydawał je na siebie. Uciekł z kraju, żeby uniknąć pozwów sądowych. Później wyjechał również ze Szwecji. Nikt nie wiedział dokąd. Nie mieliśmy już kontaktu.

Z wyrazu twarzy Anne – głęboko błękitnych oczu wpatrzonych w Elly jak dwa kawałki lodu – wiedziała już, że siostra potrafi dopowiedzieć sobie resztę bez

dalszego ciągu: Elly spędziła tamte święta samotnie, pijąc w ciemnym mieszkaniu ze spuszczoneymi żaluzjami w oknach. Została tam niemal tydzień mimo ciepłego grudniowego słońca, dopóki nie skończyły się alkohol i jedzenie.

Wszystkim, którzy dzwonili z Massachusetts, odpowiadała, że na Boże Narodzenie nie uda się jej wyrwać, ale przyjedzie na wiosnę. Tego również nie zrobiła, bo się rozchorowała. Najpierw dostała gorączki i skurczy. Nie mogła oddawać moczu. Infekcja pęcherza, myślała. Piła hektolitry soku żurawinowego i do każdego posiłku zjadała jogurt. Nie chciała brać antybiotyków, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Ból z lekkiego przeszedł w palący i intensywny. W górnej części brzucha pojawiły się ostre kłujące skurcze. Powinna była wcześniej iść do lekarza, ale dostała zlecenie ze związków, teledysk z dobrym artystą i ciasnym grafikiem. Brała więc leki przeciwbólowe w ciągu dnia i piła tequilę w nocy, by zasnąć.

– Przeszłaś piekło na ziemi – wtrąciła Anne.

Elly skinęła głową.

– Było kiepsko. A ja byłam durna, że wcześniej nie poszłam na badania. W końcu po skończeniu zdjęć wylądowałam u ginekologa. Zbadał mnie, skierował na badanie krwi i USG. Okazało się, że to chlamydia, która objęła już narządy wewnętrzne.

Anne wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Elly.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie wiem. Cała ta afera z Hansem sprawiła, że się wstydziłam. Jakbym to ja pomagała mu kraść te pieniądze. – Elly opowiedziała również o zabiegu usunięcia ropnia, który zrobił się w trakcie infekcji. – Lekarze powiedzieli, że została blizna. Wystarczająco duża, by zagrozić zajściu w ciążę.

– Ale nie wiesz tego na pewno – zareagowała od razu Anne.

– To prawda. – Elly zamknęła oczy i położyła głowę na ramieniu siostry. – Ale być może nie mogę mieć dzieci.

Anne ścisnęła jej dłoń.

– Rany, Elly, tak mi przykro.

– To ja powinnam cię przeproszać.

– Coś ty, niby za co?

– Za to, że przy tobie i Lucy nie potrafię być wesoła. Po prostu trudno mi patrzeć na ciebie z dzieckiem i wiedzieć, że pewnie nigdy nie zostanę mamą.

– Nie wiesz tego – sprostowała Anne. – A jeśli kiedyś będziesz chciała mieć dzieci, jest na to wiele różnych sposobów.

Elly wyprostowała się i otarła twarz obiema dłońmi.

– Nie rozmawiajmy już o mnie, dobrze? – zwróciła się do siostry, osuwając na oparcie kanapy i podkulając nogi. – Wyglądasz cudnie. Wyraźnie coś się dzieje. Albo ktoś. Mówiłaś, że miałaś gości. Kogoś wyjątkowego?

Ze sposobu, w jaki Anne się zarumieniła, Elly domyśliła się, że zgadła.

– Kto to jest? – zapytała rozbawiona.

– Nikt! O rany. – Anne nie odpowiedziała, ale również się uśmiechnęła.

Nagle tuż przed nimi w dziwny, cichy, charakterystyczny dla siebie sposób zmaterializowała się Kennedy z triumfalną miną.

– Uśpiłam dziecko – oznajmiła i zmrużyła podejrzliwie oczy. – Co się dzieje?

– Nic! – zawołały razem Anne i Elly, a potem roześmiały się i wyprostowały nogi, dotykając się podeszwami stóp, jak to robiły w dzieciństwie, łącząc się w siostrzanym cieple. Ich silne nogi były jak część jednego stworzenia, przez które przebiegał strumień energii.

Od ostatniego razu, kiedy Laura tu była, zmieniono wystrój country klubu. Wszystko miało teraz kolor myśliwskiej zieleni i złota, nawet kraciasty dywan. Oprawione archiwalne rysunki golfowe w równych rzędach wisały nad kominkiem. Na stołach nakrytych kremowymi obrusami wyszywanymi złotą nicią stały sztuczne kwiaty w wysokich wazonach. W takim miejscu należało się upewnić, czy przypadkiem nie masz szminki na zębach.

Laura zamówiła kurczaka, najtańsze danie z karty, kieliszek cavy, jedyne go wina sprzedawanego za mniej niż dwanaście dolarów za kieliszek, i uśmiechnęła się do starszego kelnera, doceniając jego wysiłki. Jake zamówił zupę i sałatkę, bez wina.

Sandra i jej mąż, Wayne, chyba nie jedli od rana: zamówili przystawki, antrykot z trzema dodatkami na danie główne, do tego chleb i dwie butelki drogiego bordeaux. Teraz raczyli się deserem i zapijali drogim koniakiem. Kiedy Laura podliczyła ich w myślach, niemal zabrakło jej tchu: co najmniej pięćset dolarów za kolację. Miała nadzieję, że nie zaproponują płacenia po połowie.

– Ależ wy mało jecie, jak ptaszki! – zawołała Sandra, kiedy Laura i Jake zrezygnowali z deseru. – Ja cały tydzień ćwiczę jak szalona, więc w piątek wieczorem mogę sobie pozwolić na słodkości. Uwielbiam ich czekoladowego fondanta, prawda, skarbie?

Poklepała się po płaskim brzuchu pod szmaragdową obcisłą sukienką. Zarówno podstarzały kelner, jak i Jake wyraźnie nie mogli się oprzeć i wciąż się gapili na jasne piersi Sandry upchnięte w głębokim dekolcie sukienki.

– Moja słodka uwielbia słodczyce – potwierdził Wayne, opierając się i obracając bursztynowym płynem w obszernej koniakówce.

Wayne nie był nawet w połowie tak przystojny jak Jake. Miał twarz pokrytą bliznami po trądziku, nadwagę i brzuch wyraźnie wystający pod koszulą i niebieskim swetrem. Mówił z mocnym akcentem z południowego Bostonu i szczyił się manierami godnymi dziesięciolatka na kolonii. Siorbał zupę, sałatkę jadł dużym widelcem, a stek kroił, jakby opraciał krowę, piłując drugą stroną noża, aż Laura musiała odwrócić wzrok.

Dawał się jednak lubić. Wayne chyba znał wszystkich z imienia. Serdecznie przywitał się z menedżerem, kelnerami, nawet chłopakiem podającym wodę. Szczególnie blisko był chyba z sommelierem, którego zapytał, jak ma się jego żona, i polecił mu mechanika, gdy mężczyzna wspomniał o problemach ze swoim volkswagenem.

W trakcie kolacji Sandra rozplęwała się nad tym, jak wielki wpływ mają lekcje jazdy konnej na pewność siebie Melanie, potem zapytała o ulubionych nauczycieli i zajęcia Kennedy. Ze szczegółami opowiadała też o swoich synach:

sport o każdej porze roku, nieustanne kłopoty w szkole; żeby się dostać na studia, będą musieli uzyskać stypendium sportowe, oceny im nie pomogą.

Wayne, który studiował w Boston College na stypendium footballowym, wzruszył tylko ramionami.

– No i co zrobisz? Chłopców powinno się wychowywać na ulicy i w lesie. W prawdziwym świecie! Tam się zdobywa edukację. Prawda, Jake, kolego?

Jake odchrząknął.

– Oczywiście. Nie ma jak życie na dworze. Próbuję przekonać moje dziewczyny, by pojechały ze mną na obóz, ale nie chcą.

– Cóż, jeśli nie mogą zabrać suszarki i tuszu do rzęs, to dla nich żadne wakacje – oznajmił Wayne, klepiąc Sandrę po udzie z oczywistym uczuciem.

Sandra zachichotała, Laura uśmiechnęła się, zaciskając usta.

Kiedy Wayne skierował rozmowę na tematy zawodowe, Laura ucieszyła się, że może w końcu się odezwać. Wspomniała o stajniach i zeszłorocznej decyzji, by zbudować krytą arenę. W tym czasie Sandra w milczeniu jadła. Laura szybko zirytowała się na siebie, że przechwala się i zachowuje małostkowo. Ulżyło jej, gdy Sandra z ekscytacją zaczęła opowiadać o swojej pracy wolontariuszki, wyraźnie dumna z wysiłków, by uczynić szkołę lepszym miejscem. Mówiła o wniosku grantowym na nowe laboratorium do nauk ścisłych, „prawdopodobnie jedyne takie gimnazjalne laboratorium w okolicy”.

Przez całą kolację Wayne werbalnie i fizycznie wyrażał swoje uwielbienie dla żony. W pewnym momencie objął mięsistym ramieniem Sandrę i władczo ją uściśnął. Innym razem pochylił się, by połaskotać ją nosem po szyi, jakby byli nastolatkami na namiętnej randce, która ma się zakończyć na tylnym siedzeniu auta. To absurdalne, publicznie okazywane pożądanie bawiło Laurę, choć jednocześnie nieco brzydziło. Kiedy jednak wychodzili z restauracji, a Sandra chichotała i opierała się o Wayne’a, zapragnęła, by Jake choć wziął ją za rękę. Byli na randce. W piątkowy wieczór. Na mieście.

Idący obok mąż milczał, pewnie obliczając, jak dużo będzie kosztować ich ta kolacja. Wayne oczywiście zaproponował podział na pół rachunku wynoszącego pięćset dwadzieścia dolarów, a Jake zgodził się bez słowa. Kolejne obciążenie karty, którego nigdy chyba nie spłacą. Laura westchnęła. Nie chciała myśleć o pieniądzach. Był piękny jesienny wieczór, księżyc świecił jasno nad starannie przystrzyżonym polem golfowym, a za nim niczym lśniący cekin widniała Wenus. Laura pragnęła jak najlepiej wykorzystać czas sam na sam.

Wayne odjechał, machając na pożegnanie przez okno range rovera. Parking przed klubem niemal całkiem opustoszał. Laura słyszała wiatr szumiący w wysokich sosnach rosnących wzdłuż długiego podjazdu do budynku. Na niebie gwiazdy świeciły w najróżniejszych konstelacjach i Laura przypomniała sobie o aplikacji, którą Tom poradził jej zainstalować w telefonie. Wyjęła go

i wycelowwała w niebo, kiedy Jake otwierał samochód.

– Próbujesz złapać sygnał? – zapytał.

– Nie, oglądam mapę nieba – odparła. – Chodź, popatrz.

Jake przeszedł wokół auta, by zerknąć na ekran telefonu Laury.

– Niezłe. Kto ci pokazał? Kennedy?

– Chyba tak – skłamała. – Nie pamiętam. Spójrz, stoimy twarzami na południe. Tam jest Koziorożec, a tam Strzelec.

– Fajne – rzucił Jake. – Chodźmy już, skarbie. Padam na pysk, a ty cała drżysz.

Rzeczywiście drżała, choć nie z zimna. Zdenerwowała się, kiedy tylko nie musiała się już uśmiechać i udawać, że dobrze się bawi. Kiepski humor zawsze sprawiał, że czuła się, jakby brała ją grypa. Utrata. To właśnie czuła: Laura chciała zrobić zdjęcie nocnego nieba i Snapchatem wysłać je Tomowi, ale oczywiście nie mogła. Wszystko się skończyło.

I tak powinno być.

– Zauważyłeś, jak Wayne nie mógł utrzymać rąk przy sobie? – zapytała Jake’a. Zastanawiała się, czy mąż miał w sobie choć odrobinę zazdrości, którą ona czuła. – Choć pewnie każdy facet miałby ochotę ją pomacać. Ta sukienka nie zostawiała za wiele pola dla wyobraźni.

– Racja. Dosyć tani chwyt. – Jake uruchomił silnik i ostrożnie wycofał się z parkingu, choć było niemal pusto. – Ale Sandra wydaje się miła. Mam nadzieję, że nasze dziewczynki się zaprzyjaźnią.

Właśnie takiej odpowiedzi można było się spodziewać. Jake nigdy nie należał do mężczyzn zainteresowanych kobietami w skąpych strojach. Kiedyś powiedział Laurze, że tę pruderyjność wywołuje jego „wewnętrzny purytanin” – zaskoczyła go wtedy w dziesiątą rocznicę ich ślubu, przychodząc do gabinetu w obcisłej czerwonej koktajlowej sukience bez ramiączek. Pod spodem była całkiem naga. Mąż roześmiał się, kiedy zdjęła płaszcz i przeszła przez gabinet, by się o niego pocierać. Rozplakała się, czym oczywiście wywołała w Jake’u wyrzuty sumienia.

– Nie chodzi o to, że źle wyglądasz – tłumaczył szczerze. – Wyglądasz wspaniale. Ale czułbym się dziwnie, idąc na kolację z tobą w takim stroju. Jakbym musiał bronić twojego honoru, bo każdy facet w sali zacząłby rozbierać cię wzrokiem.

– Ale ja chcę, żebyś tylko ty mnie rozbierał i żebyś chciał! – płakała.

Wtedy Jake zamknął drzwi gabinetu na klucz. Powoli, delikatnie zdjął sukienkę z ramion Laury i kochał się z nią na swoim biurku, pozostawiając bez tchu, zaspokojoną, ale jednocześnie zawstydzoną, bo do tego seksu go namówiła.

– Skarbie? Co sądzisz? – Jake spojrzał na Laurę.

– O czym?

– Żeby Melanie i Kennedy się zaprzyjaźniły. Byłoby miło. Kennedy już w ogóle nie zaprasza do domu koleżanek.

– Wątpię, że tak się stanie – odparła Laura. – Kennedy uważa, że Melanie to suka.

– Naprawdę tak ją nazwała?

– Uhm.

– Wow. – Jake się zaśmiał. – Nasza dziewczynka dorasta.

– Szybciej, niżbym chciała. Mam nadzieję, że nie nudziła się dzisiaj z Elly.

– Na pewno nie.

Jake wydawał się rozkojarzony, z jego tonu Laura wywnioskowała, że stracił zainteresowanie rozmową.

– Jake, wszystko między nami dobrze? Wydajesz się dzisiaj nieobecny.

– Dlatego, że nie macałem cię, tak jak Wayne macał Sandrę? – Teraz to Jake wydawał się zirytowany. – Oczywiście, wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczony. Miałem ciężki tydzień. Ale dobrze się bawiłem, dopóki Wayne nie zaproponował podziału rachunku na pół. To nie było w porządku.

– Możemy choć raz zapomnieć o pieniądzach? Przestań zmieniać temat.

– Tak robię? Przepraszam.

Laura westchnęła.

– Robisz. Ale już nieważne. I tak nie mam siły się z tym zmagać.

– Zmagać się z czym?

– Rozkładaniem naszego życia na czynniki pierwsze – odparła. – Pytaniem siebie, dokąd to zmierza. Czy jesteśmy szczęśliwi. Może dlatego, że mam czterdziestkę, ostatnio często zadaję sobie te pytania. A ty nie?

– Nie. Jestem zbyt zajęty, żeby się martwić takimi sprawami. Zastanawiam się raczej, jak, do diabła, spłacimy kartę kredytową i zapłacimy w przyszłym miesiącu rachunki. – Zerknął na żonę. – Przepraszam. Znów o kasie, wiem. Zakazany temat. – Jake westchnął i przeczesał palcami włosy. – Słuchaj, przykro mi, że randka nie poprawiła ci humoru. Przynajmniej spróbowaliśmy. Powinniśmy częściej spotykać się z ludźmi.

Laura się uśmiechnęła.

– Bo przecież doskonale się bawimy, prawda?

Roześmiał się również. Dotarli już do domu. Jake zaparkował auto i wyciągnął dłoń, by poklepać Laurę po kolanie.

– Bo jesteś cudowna i zasługujesz na to, by codziennie się dobrze bawić. A tak w ogóle, czy mówiłem, jak pięknie dzisiaj wyglądasz?

– Tak. Kilka razy. Możesz już przestać. Zresztą i tak to Sandra była dzisiaj gwiazdą.

– No dobra, teraz to ja powiem ci, żebyś przestała – powiedział Jake. – Wyglądasz elegancko i pięknie. Nigdy bym nie chciał, żebyś ubierała się jak

Sandra. Ona za bardzo się stara. A tak w ogóle to próbuję powiedzieć, że bez ciebie bym zginął. Jesteś moją latarnią morską, Lauro. Sprawiasz, że zawsze chcę być lepszym człowiekiem. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię kocham.

– Wiem. Ale dzięki, że mi to mówisz.

Jake przeszedł na drugą stronę samochodu, jak zawsze otworzył Laurze drzwi i podał jej dłoń. Ujęła ją i trzymając się za ręce, przeszli po ceglanej ścieżce prowadzącej do domu.

Laura spojrzała na przystojny profil swojego męża i się uśmiechnęła. To był dobry wieczór. Przynajmniej otwarcie porozmawiali. To więcej niż zwykle mieli siłę i czas robić po długim i wyczerpującym dniu.

A Jake ją kochał. Była tego pewna.

Anne już zasypiała, kiedy do drzwi ktoś zapukał. Zerknęła na zegar. Elly i Kennedy odjechały ponad godzinę temu. Kto miałby wpadać w odwiedziny o dziewiątej wieczorem?

Laura! Pewnie wróciła do domu i dowiedziała się, że Elly przywiozła tutaj jej córkę. Anne zakryła głowę poduszką. Może jeśli nie włączy światła, Laura odpuści i odjedzie. Pukanie nie ustawało. W końcu Anne westchnęła i podniosła się, by wyrzucić przez okno sypialni. Z zaskoczeniem ujrzała stojącą na ganku matkę, drobną postać schowaną w szerokim kołnierzu długiego płaszcza. Siwe włosy w jaskrawym świetle lśniły srebrem.

Sarah zajrzała do domku zaledwie raz, by dać Anne kopertę z pieniędzmi za pomoc w barze. Wtedy została tylko na parę minut i gapiła się na meble, jakby miały kolce. Potem zaskoczyła Anne, biorąc Lucy na ręce, kiedy mała zaczęła marudzić. Sarah kołysała się w miejscu, przerzucając ciężar ciała z jednej nogi na drugą, szeptem opowiadając Lucy o tym, co było widać za oknem: parę kormoranów, odległą łódź rybacką lśniącą jaskrawą czerwienią na tle błękitnego nieba. Dziecko natychmiast się uspokoiło. Gdy tylko Lucy zamilkła, Sarah oddała ją Anne i wyszła.

Czego teraz mogła chcieć?

Anne wygrzebała się z łóżka, ale z nerwów miała wrażenie, że do jej czoła przyczepiają się pajęczyny. Z żebrem było już lepiej – nie złamała go, co wyszło na prześwieteniu, na które Sebastian uparł się zawieźć Anne dzień po wypadku – ale z przyzwyczajenia poruszała się ostrożnie, wkładając na koszulkę flanelową koszulę i znajdując czarne dresowe spodnie pożyczone od Flossie. Po omacku wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi, a dopiero potem włączyła lampę na stole w salonie. Ostatnie, czego było trzeba, to by matka obudziła Lucy.

Anne otworzyła drzwi i zadrzała, czując powiew wilgotnego słonego powietrza. Sarah miała na sobie futro z norek, długie do połowy łydek. Nigdy nie przejmowała się prawami zwierząt. Kiedy Anne była w college’u i przechodziła fazę wegańską, narzekała, że matka nosi futra.

– A czy ja także nie jestem zwierzęciem? – zapytała wtedy Sarah. – Gdyby lew mógł mnie zjeść albo włożyć moją skórę i ogrzać się zimą w Nowej Anglii, jestem pewna, że by to zrobił. Mam po prostu szczęście, że to ja jestem prawdziwą królową dżungli.

– Na miłość boską, wyglądasz, jakbyś spała. Spałaś? – spytała od progu Sarah.

– Tak.

– Jeszcze nie ma dziesiątej! – Zerknęła przez ramię Anne. – Gdzie to dziecko?

– Ona też śpi, mamo.

– No cóż. – Sarah zdawała się zaniepokojona, a jej twarz zasłaniały smutne cienie. – Uznałam, że powinnam zająrzeć z jakimś prezentem dla niej. Chciałam przyjść wcześniej, naprawdę. Ale pewnie Lucy może go otworzyć jutro. Tylko powiedz, że jest ode mnie.

Jakby Lucy znała różnicę, pomyślała Anne, kiedy matka wciskała jej do rąk ciężkie pudełko opakowane w ozdobny papier w kwiaty. I jakby dała radę to otworzyć. Zresztą mała i tak będzie bardziej zainteresowana papierem niż tym, co kryje się pod nim. Mimo to Anne się uśmiechnęła i skinęła głową. Matka przynajmniej zdobyła się na jakiś miły gest.

– Dzięki, mamo. Chcesz na chwilę wejść? – dodała z ziewnięciem.

– Nie, nie, nie chcę wam przeszkadzać – odparła Sarah, ale stała w miejscu, dopóki córka nie powtórzyła zaproszenia.

Wtedy skinęła głową.

– Cóż, skoro nalegasz. – Weszła do pokoju, zrzucając futro z nerek z ramion, jakby tuż obok czekał lokaj mający je złapać.

Anne capnęła płaszcz, zanim spadł na podłogę, i położyła go na krześle. Nie była już weganką ani nawet wegetarianką – w czasie ciąży wciąż miała ochotę na mięso – ale w dalszym ciągu nie znosiła futer. Ale musiała przyznać, że to było piękne, miało aksamitny żółto-brązowy kolor z ciemniejszymi paskami.

– Ciężkie. Co jest w środku? – Anne postawiła pudełko na wąskim kuchennym blacie.

Matka lekceważąco machnęła ręką.

– Srebrny puchar, miseczka i łyżka. Każde dziecko powinno mieć własną rodową pamiątkę. Ty miałaś podobną. Wciąż trzymam ją w kredensie. Dam ci ją, kiedy osiądziesz gdzieś na stałe.

Anne się uśmiechnęła.

– Byłoby super. Dziękuję za prezent, mamo. To bardzo miłe. – Zestaw srebrnych naczyń musiał kosztować kilkaset dolarów. Co ją sprowokowało do tego zakupu?

– Gdzie to dziecko śpi? – zapytała Sarah, rozglądając się wokół. – Z tobą?

- Tak, przywiozłam składane łóżeczko.
- Gdzie ona jest? Chcę zobaczyć moją wnuczkę.

Anne brodą wskazała w stronę sypialni.

- Mamo, ona śpi. To nie jest dobry moment.

– Wiem, jak być cicho. Na miłość boską, Anne! Zachowujesz się, jakbym nigdy nie widziała dziecka! – Sarah przeszła przez pokój na szpilkach, których stuknięcia odbijały się od drewnianej podłogi niczym wystrzały.

– Mogłabyś przynajmniej iść na palcach? – wyszeptała Anne, podążając za matką. – Dopiero udało mi się ją położyć, a zwykle dość kiepsko sypia.

- Dobrze ci tak. Ty też nie sypiałaś.

Anne stanęła w drzwiach, patrząc, jak Sarah pochyla się nad łóżeczkiem, tak blisko, że jej oddech niemal mierzwił loki Lucy. Mała spała, niczego nieświadoma, w ulubionej pozycji na brzuchu.

– Kładę ją na plecach, jak zalecają lekarze, ale ona zawsze się przewraca – szeptała.

– Jest tak samo uparta jak ty w dzieciństwie – odpowiedziała cicho Sarah. – Pamiętam, spałaś identycznie, jak żółwik. Co tu tak pachnie? Czosnek?

- Pewnie tak. Robiłam pesto na lunch.

- Sporo pracy. Miałaś towarzystwo?

Matka i tak zauważyła już pewnie naczynia na suszarce.

– Tak. Hattie z rodziną. – Anne nagle przybrała obronny ton. Nie chciała, by matka wiedziała, że był tu dziś również Sebastian, że wpadał codziennie.

Od dnia wypadku minęło osiem dni, ale Sebastian od czasu do czasu wciąż przynosił zapasy. Oraz wino, choć Anne prosiła, by przestał się o nią martwić. A na dowód, że czuje się świetnie, i chcąc podziękować mu za opiekę, zaprosiła go dzisiaj na lunch. By nie zrobiło się niezręcznie, zaprosiła również Hattie – która wróciła z wesela siostry – oraz męża Hattie i ich czworo dzieci. Od razu się dogadali, rozmawiali o książkach, polityce i filmach, choć Anne i Sebastian ostatnio nieczęsto coś oglądali.

W pewnym momencie Sebastian powiedział: „Musimy częściej wychodzić”, na co Anne zaśmiała się i pokazała na dziecko.

– Nie bardzo mogę teraz chodzić do kina – powiedziała, choć poczuła przyjemny dreszcz, słysząc słowo „my”.

Sebastian jednak chyba przypadkowo użył liczby mnogiej – unikał dotykania Anne i rzadko patrzył jej w oczy. Wciąż był zajęty naprawianiem w domku różnych rzeczy – luźnej deski, zepsutej lampy, szafki, w której brakowało zawiasu.

Sarah właśnie powiedziała coś tak dziwnego, że Anne zdawało się, iż się przesłyszała.

- Mamo, co mówiłaś? – zapytała.

- Że nie powinnam mieć aż tyle dzieci. Patrząc na Lucy, przypominam

sobie, jak bardzo byłam przytłoczona po twoich narodzinach. Ale wasz ojciec zawsze chciał więcej. Nawet po tobie chciał kolejnych. Uparciuch!

– Której z nas byś nie urodziła, gdybyś mogła cofnąć czas? – zażartowała Anne.

Matka zmarszczyła czoło.

– Zapewne ciebie – odparła.

Anne miała wrażenie, że ktoś walnął ją w krtań. Podeszła do kanapy i usiadła.

– Rany, dzięki.

Matka przysiadła na drugim końcu sofy, gdzie wcześniej tego samego wieczoru siedziała Elly. Obie, Sarah i Elly, miały figury chartów, twarze o ostrych rysach, złote i proste włosy, szerokie usta i równe uszy. Były eleganckimi kobietami o królewskim wyglądzie. Różnica między nimi polegała na tym, że Elly często się uśmiechała, a Sarah zawsze pochopnie osądzała.

– Chyba cię zasmuciłam – zauważyła. – Przepraszam. Ale sama zapytałaś.

– Zapytałam.

– Nie mówię, że cię nie kocham.

– Jasne. Wiem, mamo. W porządku. – Anne zastanawiała się, jak zmusić matkę do wyjścia.

– Nie słuchasz mnie. – Sarah wyciągnęła rękę, by ująć dłoń Anne.

– Ależ słucham, mamo. – Anne zabrała palce i przesadnie długo bawiła się leżącą na stole opaską do włosów, którą w końcu założyła na głowę i wygładziła kosmyki za uszami. – Tylko nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć to, co masz mi do powiedzenia.

– Nigdy cię nie nienawidziłam.

– Wow. Od razu mi lepiej!

Zniecierpliwiona Sarah machnęła ręką.

– Wszystko wyszło nie tak. Muszę ci to powiedzieć po swojemu. Przestań zadawać pytania.

– Zadałam tylko jedno.

Matka wzięła głęboki wdech.

– Posłuchaj, prawda jest taka, że poślubiłam twojego ojca, bo oszalałam z miłości. Porzuciłam dla niego karierę wokalną, ponieważ Neil nie przypominał żadnego znanego mi mężczyzny. Był mądry, zabawny i przystojny. Oczarował mnie.

Ależ to dziwne, pomyślała Anne, że kiedy niedawno siedziała tu Elly, opowiadała o tym, jak oszalała na punkcie Hansa. Może to była klątwa kobiet z rodziny Bradfordów przekazywana z pokolenia na pokolenie: wyrwały sobie serca z piersi i oddawały je mężczyznom, ufając, że ci się nimi zaopiekują. Czyż nie zrobiła tego samego z Colinem? A Laura z Jakiem?

Anne na moment zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie twarz ojca. Nie potrafiła. Pamiętała jedynie jego drapiący zarost na swoim policzku, kiedy schylał się, by pocałować ją na dobranoc, i czasami słyszała jego głęboki, dudniący głos: „Dobranocki, Ana Banana. Pchły na nocki”.

– Twój ojciec i ja spędziliśmy wspaniały miesiąc miodowy na Florydzie, a potem wróciliśmy do hotelu i zaczęliśmy pracować tak ciężko, że dopiero pięć lat później mogłam urodzić Laurę – kontynuowała Sarah. – To był dla nas cudowny czas. Twój ojciec poświęcił się Laurze. A ona była taka jak on. Wysportowana i mądra. – Uśmiechnęła się. – Neil kiedyś podziękował mi za syna, którego zawsze pragnął.

Anne poczuła przyływ współczucia dla Laury. Nic dziwnego, że pół życia spędziła w stajni.

– Dwa lata później pojawiła się Elizabeth – ciągnęła matka. – Wtedy już było trudniej. Myśleliśmy, że damy radę po śmierci dziadka Bradforda, ale jego nieszczęsne nałogi zostawiły mnie i waszego ojca po uszy w długach.

– Chodzi ci o to, że dziadek był hazardzistą.

Jeśli matkę zaskoczyło, że Anne nazwała rzeczy po imieniu, to nie okazała tego.

– Tak. Ten facet obstawiał wszystko: konie w Suffolk Downs. Psy w Wonderland. Grał w pokera. Twój ojciec chciał sprzedać Hotel nad Zatoką Szaleńców, by spłacić długi dziadka, ale nie pozwoliłam na to. Po prostu brnęłam dalej. Na szczęście Elizabeth była grzeczna. Zawsze wesoła. I taka ładna. – Sarah się uśmiechnęła. – No i utalentowana. Śpiewała najlepiej z was wszystkich. Jest najbardziej do mnie podobna!

– I równie skromna?

Matka puściła tę uwagę mimo uszu.

– Bez względu na problemy finansowe Neil i ja wciąż byliśmy w sobie zakochani. Mieliliśmy rodzinę. On swoją córkę, ja swoją. Uważałam, że powinniśmy na tym poprzestać.

– Ale nie poprzestaliście.

– Chciałam. – Sarah wyduła wargi. – Jednak podobnie jak ty nie przedsięwzięłam odpowiednich środków, by zapobiec wypadkom. – Machnęła kciukiem przez ramię, pokazując na sypialnię. – Chciałam podwiązać sobie jajniki, ale to był drogi zabieg. Poważna operacja. A twój ojciec odmówił wazektomii. Jak większość mężczyzn jest tchórzem, gdy chodzi o lekarzy.

– Mamo! – Anne podniosła rękę, próbując zatrzymać potok słów. – To nie w porządku, że mówisz takie rzeczy o tacie, choć go tu nie ma i nie może się bronić. I proszę, nie nazywaj Lucy „wypadkiem”. To najlepsze, co mnie w życiu spotkało!

– Ja tylko stwierdzam fakty. W każdym razie okazałaś się bardzo aktywnym

dzieckiem i było mi trudno prowadzić hotel. Byłam potwornie zmęczona. Flossie musiała nam pomóc. Ciotka cię uwielbiała. Wtedy się z tego cieszyłam. Teraz nie jestem pewna.

Anne nie rozumiała, dlaczego matka to wszystko jej opowiada. Sarah miała zwykle obsesję na punkcie staroświeckiej dyskrecji. Co sprawiło, że tak nagle się otworzyła?

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie jesteś pewna, czy to dobrze, że Flossie mnie uwielbiała? – Przynajmniej ktoś mnie uwielbiał, pomyślała jeszcze.

Sarah przechyliła głowę.

– Chodzi o to, że nigdy nie czułam, czy jesteś tak naprawdę moja. Należałaś do wszystkich, tylko nie do mnie: do swojego ojca, ciotki, sióstr. A potem, cóż. – Wzruszyła ramionami. – Kilka lat później twój ojciec zaczął pić i się szlajać, więc wyrzuciłam go z domu. To oznaczało, że sama muszę utrzymać rodzinę. Wszystkim się zająć. Na szczęście Laura była już wtedy dość duża, by cię pilnować wtedy, gdy Flossie nie mogła. Nigdy mnie nie potrzebowałaś.

– Ależ oczywiście, że potrzebowałam! Zawsze byłaś moją mamą – powiedziała Anne, choć coś ścisnęła ją z żalu za gardło.

– Ja jestem twoją matką! – zaprotestowała Sarah. – Dlatego postanowiłam również tobie dać prezent.

– Nie potrzebuję prezentów.

– Potrzebujesz. Chcę, żebyś wyprowadziła się z tej nory.

Anne zaśmiała się zaskoczona.

– I co mam zrobić? Wprowadzić się do ciebie?

– Nie, skąd. Oczywiście, że nie. Kocham cię, ale już mówiłam, że dziecko by mi przeszkadzało. Jestem na to za stara. W przyszłym miesiącu skończę sześćdziesiąt pięć lat. Uwierzyłabyś? Oczywiście znajomi mówią, że wyglądam niewiele starszej od was. – Sarah uśmiechnęła się, pewnie słysząc w myślach tych zmyślonych przyjaciół. – W każdym razie znalazłam ci urocze małe mieszkanie. Z widokiem na ocean! To mój prezent dla ciebie.

– Ale ja mam już widok na ocean. – Anne wskazała na ganek.

– Tak, ale nie możesz tutaj mieszkać wiecznie. Wkrótce nadejdzie zima. Ściany nie są ocieplone. Pomyśl o dziecku. – Matka sięgnęła do kieszeni swetra, wyjęła z niej złożoną stronę z gazety i podała ją Anne.

Była to reklama mieszkania w Rockport: na parterze, z widokiem na wodę i niewielkim ogródkiem, niedaleko dworca kolejowego. Kosztowało absurdalnie dużo. Anne oddała gazetę matce.

– Ładne, ale nie stać mnie.

– Nie martw się. Będę opłacać ci czynsz.

– Dlaczego miałabyś to robić? Flossie pozwala mi tu mieszkać za darmo. Czy to dlatego, że się mnie wstydzisz? Nie możesz znieść swojej marnotrawnej

córki w pobliżu?

– Dlaczego tak mówisz? Oczywiście, że nie dlatego.

– Sama nie wiem, mam. Jasno dałaś mi do zrozumienia, że mam mówić ludziom, że się rozwodzę.

Sarah machnęła ręką.

– To nie znaczy, że się ciebie wstydzę. Tylko chronię twoją reputację.

– I tę rodzinną – dodała Anne.

– Oczywiście.

– Tak czy inaczej, nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy.

– Dlaczego? Twoim siostrom pomagam.

– Naprawdę? – Ta rozmowa z minuty na minutę stawała się coraz dziwniejsza.

– Oczywiście. A jak myślisz, kto pomógł Laurze kupić stajnię i dom, w którym mieszkają? Opłacam również chesne za szkołę Kennedy. Elizabeth płace niewielkie stypendium, by pomóc jej w karierze wokalnej.

Jakiej karierze? – chciała powiedzieć Anne, ale byłoby to nie na temat.

– Dlaczego dajesz Laurze pieniądze? Przecież ma firmę. Jej mąż również.

Sarah wzruszyła ramionami.

– No tak, ale z jakiegoś powodu wciąż im brakuje na życie. Laura od czasu do czasu prosi mnie o pomoc. Z radością robię, co mogę.

Anne nie potrafiła uwierzyć w to, co słyszy. Jak Laura śmiała wyciągać rękę po pieniądze matki?

– A Elly? Czy ona również prosi cię o pomoc?

Matka pokręciła głową.

– Sama ją zaproponowałam. Wiem, jak to jest być początkującą artystką.

Ale Anne nigdy nie zaproponowała ani centa. Poczula falę złości, która zapiekła aż w żołądku. Choć i tak nie przyjęłaby pomocy finansowej od matki.

Sarah wyjaśniała właśnie, że zamierza zapłacić kaucję za mieszkanie oraz czynsz za dwa miesiące z góry.

– Potem będę jeszcze opłacać czynsz przez rok. Do tego czasu powinnaś już stanąć na nogi.

– Ale dlaczego, mam? – zapytała Anne. – Wciąż nie rozumiem. Dlaczego chcesz, żebym się wyprowadziła, skoro jest mi tu bardzo dobrze? Zresztą i tak nie przyjęłabym od ciebie pieniędzy.

Matka zaśmiała się ironicznie.

– Niby dlaczego nie? W końcu i tak będziesz musiała to zrobić. Kiedy umrę, hotel będzie należał do ciebie. Do ciebie i twoich sióstr. Wtedy możecie żyć w przepychu. Na razie nie powinnaś żerować na ciotce. Szczególnie nie w tym paskudnym małym domku! – Zmarszczyła nos. – W dodatku śmierdzi tu wilgocią. Na pewno jest gdzieś pleśń. A pleśń szkodzi dzieciom.

– Lucy i ja mieszkaliśmy w lesie deszczowym w Portoryko, pamiętasz? – Anne oddała gazetę matce. – Jesteśmy przyzwyczajone do wilgoci. Kiedy znajdę pracę, przeprowadzę się bliżej miejsca, w którym będę pracować. Wcześniej nie.

Sarah się rozpromieniła.

– W takim razie ja dam ci pracę! Możesz kelnerować w hotelu. Obsługiwać bar. Albo pracować w kuchni, jeśli wolisz.

To było kuszące. Praca w hotelowej kuchni mogłaby pomóc później w innych restauracjach.

– A Rodrigo?

– Rodrigo ucieszy się z pomocy. Zresztą zawsze miał do ciebie słabość. – Sara skrzyżowała nogi i założyła ramiona. Język jej ciała wskazywał na kobietę, której myśli i emocje nie zgadzały się z tym, co komunikowała werbalnie.

Ale z czym właściwie miała problem?

– Mamo, robisz to z powodu ciotki Flossie? Wiem, że jej nie lubisz.

– Nie przepadam za nią – przyznała Sarah. – Flossie lubi mieszać. Należy do tych ludzi, którzy nigdy nie przestaną się wtrącać w sprawy innych. Ale nie. Nie dlatego to robię. Robię to, ponieważ życie jest zbyt krótkie, by czegoś żałować.

Sarah wstała i podeszła, by wziąć swoje futro. Podniosła je z krzesła i zarzuciła na ramiona jak matador pelerynę.

– Jeśli zmienisz zdanie co do mieszkania, moja oferta jest aktualna. Wiem, co znaczy być samotną matką. Nie chcę, byś się męczyła tak jak ja kiedyś.

– Zastanowię się. Dzięki.

– Dobrze. Jeśli bardzo chcesz tu zostać, pozwól mi przynajmniej przysłać ci malarzy. Te ściany są koszmarnie. A przez tę boazerię cały czas jest tu ciemno.

– Uwielbiam tę boazerię – odparła Anne. – I nie możemy nic tu malować. To nie nasz dom.

– Ten dom jest bardziej mój niż Flossie. Daj znać, kiedy zmęczysz się udawaniem, że wciąż mieszkasz w kraju Trzeciego Świata. I przyjdź do hotelu. Porozmawiamy z Rodrigiem o tym, co możesz robić w kuchni. Dobranoc.

Anne przez okno patrzyła, jak matka wspina się po wzgórzu do swojego auta. Sarah kuliła się przed wiatrem i wyglądała jak stara kobieta; długi płaszcz powiewał wokół szczupłych nóg. Gdyby to była bajka, Anne mogłaby sobie wyobrazić, jak wiatr zwiewa matkę na morze, a futro zmienia się w ogromne skrzydła, które unoszą ją w powietrze.

Na moment położyła dłoń na szybie, pragnąc przywołać Sarah z powrotem i powiedzieć to, czego matka nigdy nie chciała słyszeć: „Kocham cię. I potrzebuję. Proszę, nie odchodź”.

Rankiem po odwiedzinach u Anne Sarah postanowiła nie jechać do domu Flossie autem po wąskiej krętej drodze z hotelu na wybrzeże, ale poszła pieszo, tak jak zawsze chodziły jej córki – z tylnego ganku przez ogrody i dalej kamienistą ścieżką na plażę.

Nie wzięła samochodu, bo nie chciała uprzedzić Flossie o swojej wizycie. Nie dlatego, że miała ochotę zrobić jej niespodziankę – obie były na to za stare – ale ponieważ bała się, że straci odwagę i zawróci. Wciąż nie znalazła odpowiednich słów, by powiedzieć Flossie, że Neil nie żyje.

Bo też odpowiednie słowa nie istniały.

Wzdłuż drogi przed domem szwagierki stały samochody. Pewnie Flossie udzielała lekcji. Od dekad uczyła czegoś, co Sarah wciąż nazywała New Age, choć wiedziała, że teraz są to już normalne, wręcz mainstreamowe kursy: joga, medytacja i coś w rodzaju kursu uzdrawiania świętymi bębnami, niech Bóg broni. Te zajęcia stały się w ostatnich latach tak popularne, że – trudno uwierzyć – na weekendowe sesje u Flossie kursanci rezerwowali pokoje w hotelu.

Widząc marketingową szansę, Sarah już wcześniej zaproponowała szwagierce kampanię promocyjną, połączenie pobytu w hotelu z medytacją i jogą, ze zniżką.

– Mogłybyśmy organizować pobyty dla kobiet – zasugerowała. – Weekendy w Zatoce Szaleńców, w których trakcie odkrywałyby swoje wewnętrzne boginie czy coś tam, co twoim zdaniem straciły.

Flossie wybuchnęła śmiechem.

– Na miłość boską, Sarah. Nigdy w życiu. Uczę ludzi, którzy są wystarczająco zaawansowani w swoich podróżach, by mnie znaleźć. I po co mi kolejni? Ledwo nadążam z tymi, których już mam. – Potem zmrużyła oczy. – Oczywiście może bym się zastanowiła, gdybyś ty dołączyła do mojej grupy. Odrobina jogi rozluźniłaby kij, który połknęłaś.

I to było na tyle.

Sarah ciaśniej opatulila się futrem z norek, stojąc na lekkim wzniesieniu nad wysokim, wąskim, szarym wiktoriańskim domem Flossie i zastanawiała się, czy powinna wrócić czy poczekać, aż skończą się zajęcia. W słońcu nie było zimno, ale wciąż wiało; nie mogła też ciągle otrząsnąć się z zimna i szoku po wiadomości o śmierci Neila.

Kiedy Sarah przeczytała list od prawnika, Rhonda musiała odprowadzić ją z gabinetu do mieszkania. Tam przyniosła szefowej kieliszek brandy, zmusiła do wzięcia gorącego prysznica i wpackowała do łóżka.

– Mam zadzwonić do Laury? – zapytała, stojąc przy łóżku Sarah. – Elly u niej mieszka, prawda? Mogą tu przyjść. Anne również. W takiej chwili powinna

pani mieć córki przy sobie, pani Bradford.

– Absolutnie nie – odparła Sarah. – Nie ma powodu, by denerwować dziewczynki. Jeszcze nie. Ich ojciec porzucił nas trzydzieści lat temu. Sama nie wiem, dlaczego w ogóle się denerwuję. Możemy z tym poczekać, zanim im powiem. Ale dziękuję – przypomniała sobie, z uśmiechem odprawiając Rhondę machnięciem dłoni. – Już sobie poradzę.

Nie radziła sobie. Ale rzeczywiście, tak jak przyznała się Rhondzie, nie wiedziała dlaczego. Czym się różnił nieżyjący Neil od tego, który zniknął? Dlaczego miała wrażenie, że podłoga pod stopami drży, a może wręcz ziemia się trzęsie? Być może dlatego, że list otworzył drzwi tak wielu wspomnieniom, które Sarah upychała dotychczas w różnych kąciach, oznaczając jako bezużyteczne pozostałości dawnego życia. Teraz czuła się tak, jakby weszła w ciemną, chaotyczną szafę śmierdzącą naftaliną emocji i dusiła się jej zapachem.

Na przykład dzień, w którym się poznali. Neil wydawał się podobny do tych wszystkich zbyt młodych mężczyzn, którzy flirtowali z Sarah, gdy występowała w Bostonie albo w hrabstwie Berkshire, w Nowym Jorku czy w New Hampshire: lekko pijanych, przystojnych, z dobrych rodzin. Przyciągała ich, bo emanowała seksem i pewnością siebie w sukniach w kolorach klejnotów (kupowanych w lumpeksach i własnoręcznie dopasowywanych, by opinały figurę), z gęstymi jasnymi włosami opadającymi na ramiona. Gdy śpiewała, czasami wybierała mężczyznę takiego jak Neil i kierowała piosenkę prosto do niego. Publiczność to uwielbiała.

Sarah trzymała się zwykle z dala od takich facetów: zbyt niedoświadczonych i finansowo niepewnych, by ją interesować. Neil jednak był inny: inteligentny, wykształcony, dobrze wychowany. I zabawny! Rany, jakież potrafił być zabawny, śmiejąc się ze świata. Uważał, że każdy człowiek powinien robić to, na co ma ochotę, co sprawiało, że okazał się najlepszym możliwym kompanem i najmniej odpowiedzialnym.

Flossie przedstawił jej dopiero trzy dni przed ślubem. W oczach Neila lśniła ekscytacja, kiedy wziął Sarah na bok i powiedział: „Moja siostra jednak przyjeżdża na wesele! Dowiedziałem się, że będzie dzisiaj wieczorem. Tak się cieszę. A ty? Powiedz, że tak”.

Neil zawsze łatwo się ekscytował. Jednak gdy chodziło o Flossie, niemal szalał z uwielbienia. „Siostra jest moją najlepszą przyjaciółką”, mawiał.

Sarah od razu miała się na baczności. Jej mąż nie powinien przecież uważać, że jego najbliższą przyjaciółką jest Flossie. Nie, skoro Sarah miała zostać żoną.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała wtedy słodko, wiedząc, że w obecności szwagierki musi zachowywać się wyjątkowo sprytnie, jeśli chce wygrać konkurs o uczucia Neila.

Nic jednak nie mogło przygotować Sarah na spotkanie z ekscentrycznością

Flossie, która przyjechała do Zatoki taksówką po całonocnym locie z Francji. Mieszkała tam w jakimś klasztorze, więc była ubrana w czerwoną szatę zakonną, miała ogoloną głowę i obszarpany brązowy wełniany szal przewieszony przez jedno ramię. Wygląd Flossie przeraził Bradfordów, szczególnie ojca Neila, który zawsze nosił garnitur, chyba że akurat grał w tenisa ubrany na biało. Matka Neila udała się do łóżka i oznajmiła, że nie wstanie, nawet na ślub, jeśli Flossie nie odzyska rozumu i nie „włoży czegoś przyzwoitego”.

Nic nie mogło też przygotować Sarah na to, jak silna więź łączyła Neila z siostrą – więź tworzona przez lata czytania tych samych książek, podróżowania z dziadkami po Europie i Indiach, chodzenia do tego samego rodzaju drogich męskich lub żeńskich prywatnych szkół posiadających własne mundurki i słownictwo. Czasami, kiedy rozmawiali, Sarah nie nadążała, miała wrażenie, że mówią w obcym języku. Po koszmarnym próbnym obiedzie, kiedy Sarah musiała kłamać, że jej rodzice nie żyją i nie ma rodzeństwa, Flossie odciągnęła ją na bok. Bradfordowie mieli uwierzyć, że narzeczona Neila dorastała w Back Bay i była wykształconą córką majątnej starszej pary, która od dzieciństwa zabierała ją do opery i filharmonii, dzięki czemu rozwinęła się w niej miłość do muzyki. Mabel, przyjaciółka Sarah, zgodziła się przyjechać i wesprzeć tę wersję; doskonale odegrała rolę debutantki mimo niezliczonych kieliszków whisky, które skonsumowała, flirtując z ojcem Neila.

Na szczęście ślub odbył się przed erą internetu. Wtedy kłamało się łatwiej.

– Chcę, żebyś wiedziała, że przyjechałam tu tylko dla mojego brata – powiedziała wtedy Flossie. Przebrała się już w gładkie czarne spodnie i czarny kaszmirowy rozpinany sweter (jedno i drugie należało do Neila) oraz matczynej szal. Wciąż wyglądała jak zakonnica.

– Doceniam to, że przyjechałaś – odparła Sarah. – To wiele znaczy dla Neila. I dla mnie, oczywiście. Bardzo chciałam cię poznać.

– No jasne. – Flossie przewróciła oczami. – Słuchaj, nie musisz mnie lubić. Nie będziemy udawać siostrzyczek ani nic takiego. Chciałam cię tylko obejrzeć. Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze myślę o instytucji małżeństwa, ale lepiej, żebyś nie skrzywdziła mojego brata. Jeśli to zrobisz, odpowiesz przede mną. Zamierzam wrócić do Francji, ale to nie powstrzyma mnie przed powrotem i zrobieniem z twojego życia piekła, jeśli wyrządzisz mu krzywdę. Rozumiesz?

– Będę dla twojego brata wszystkim – przyrzekła Sarah, z ulgą przyjmując informację o ponownym wyjeździe Flossie.

– Nikt nie jest wszystkim dla drugiej osoby – zaprotestowała Flossie. – Oczekuję od ciebie tylko tego, byś była wobec niego dobra i szczerą.

W pierwszych latach Sarah właśnie taka była. To Neil wszystkich zawiódł.

Flossie wróciła z Francji mniej więcej wtedy, kiedy urodziła się Elly. Nikt nie wiedział dlaczego. Ale nawet siostra nie mogła powstrzymać Neila przed

opuszczeniem Zatoki. Porzucił je trzydzieści lat temu, niemal co do dnia. Czy raczej trzydzieści lat temu Sarah wyrzuciła Neila z domu. Oba zdania były prawdziwe, w zależności od tego, kto opowiadał tę historię.

Od chwili, kiedy otrzymali od dewelopera ofertę kupna hotelu, Neil nieustannie pił. Zawsze pił dużo, nigdy jednak nie był agresywny czy złośliwy. Wolał piwo i koktajle z whisky, a im więcej pił, tym weselszy się stawał. Na początku Sarah nie martwiła się tym, że mąż pije. Wiedziała, że mężczyźni nie stronią od butelki. W irlandzkiej dzielnicy, gdzie mieszkała i gdzie znajdowały się tor wyścigów konnych, wyścigów psów i trzypiętrowe kamienice, które drżały od huku samolotów startujących z lotniska Logana, dzieci regularnie odbierały swoich ojców z barów na kolację.

Nie żeby Sarah wiedziała, kto był jej ojcem.

– Był kanalią – mówiła matka. – Tyle musisz o nim wiedzieć, nic więcej.

Sarah wiedziała, jak się zachować w obecności pijaka. Nauczyła się tego w dzieciństwie, radząc sobie z chłopakami matki, i później w trasie z The Sweet Tones. Któryś z kolegów z zespołu zawsze wypił za dużo. Albo klient.

Przez pierwszych dziesięć lat małżeństwa Neil pił tylko po piątej po południu, w ciągu dnia był trzeźwy i radosny. Flossie nazywała go „funkcjonującym alkoholikiem”. Sarah mogła się z tym zgodzić. Kiedy Neil zrozumiał, że Sarah nie ustąpi i nie zgodzi się sprzedać hotelu, zaczął pić na umór i się na nią złościć.

– Nie zostanę na tej zimnej skale ani minuty dłużej – wybuchnął tamtego ostatniego wieczoru. – Nie rozumiesz, że to miejsce mnie zabija?

– Jeśli sprzedamy hotel deweloperowi, zburzą go co do cegły – wyjaśniała Sarah. Nie pierwszy raz to tłumaczyła. – To twój dom. Dom twojej siostry i córek. To miejsce zbudowali Bradfordowie! Czy rodzinne dziedzictwo nic dla ciebie nie znaczy?

– Mam w dupie Zatokę Szaleńców! – wrzeszczał Neil, a jego przystojna twarz robiła się czerwona i wściekła. – Ten hotel to przekleństwo Bradfordów. Jeśli przyjmujemy propozycję, spłacimy długi i zaczniemy od nowa. Kupimy apartament na Manhattanie albo domek w Tampie!

– Zapominasz, że nasze dzieci chodzą do szkoły. Zresztą ja chcę tutaj mieszkać. I nie jestem tchórzem! – W końcu również Sarah zaczęła krzyczeć. Nie dodała już, że to jedyny dom, jaki kiedykolwiek miała; tego Neil wciąż o niej nie wiedział.

– A co ze mną? – Neil zbliżył twarz do żony tak bardzo, że wyczuwała rozpacz niczym dodatkowy zapach na skórze. – Nigdy nie będę szczęśliwy, jeśli tu zostanę!

– Co ty wygadujesz? Nie zachowuj się jak dziecko – odparła. – A co z dziewczynkami? Mają dla ciebie jakieś znaczenie?

Machnął lekceważąco dłonią.

– Dziewczynki poradzą sobie wszędzie. A Anne nawet nie jest moja.

Nie po raz pierwszy Neil sugerował, że Sarah go zdradziła. Przez te wszystkie lata podejrzliwie traktował każdego faceta, z którym żona się kolegowała. Po raz pierwszy jednak rzucił tak bezpośrednie oskarżenie.

– Oczywiście, że jest twoja – zaprotestowała, ale nawet siebie nie przekonała.

Garth, najdawniejszy kumpel Neila ze szkoły, zaczął przyjeżdżać do hotelu wieczorami po narodzinach Elly. Był wdowcem, cichym, czytany, łysiejącym. Nauczył Sarah grać w scrabble'a. Lubiła jego towarzystwo przede wszystkim dlatego, że jako jeden z nielicznych znajomych Neila nie sprawiał, że czuła się idiotką z powodu braku wykształcenia. (Neil, wciąż żyjący w przekonaniu, że żona skończyła college, często żartował, że większość zajęć, szczególnie historii, musiała przespać). Garth chyba lubił ją uczyć – dzięki jego pomocy Sarah opanowała podstawy księgowości i marketingu. W trakcie wielu weekendów Neil pił w hotelowym pubie, a Sarah i Garth grali w karty lub scrabble'a w bibliotece, pracowali nad rachunkami albo spacerowali po ogrodach. Któregoś wieczoru Garth pochylił się, by pocałować Sarah, która z ekscytacją ułożyła siedmioliterowe słowo na planszy. Gratulacyjny buziak został przez Neila źle zinterpretowany. Pijany mąż natychmiast wygnał Gartha z hotelu, dodając porządny lewy sierpowy w szczękę i posyłając przyjaciela na chodnik na oczach grupy zdziwionych gości czekających na kolację.

Sarah nigdy go nie zdradziła. Ale wkrótce po tamtym wieczorze odkryła, że jest w ciąży z Anne, a Neil był przekonany, że to nie jego dziecko. W trakcie ostatniej awantury przed odejściem Neil oskarżył również Sarah o to, że nie kocha ich najmłodszej córki.

– Widziałem, jak ją odpychasz. Nie dbasz o nią, bo nie możesz patrzeć na swój błąd! – krzyczał.

– Nie bądź idiotą – odparła Sarah. – Nie mam czasu dla Anne, bo tylko ja coś tu robię, wszystko właściwie!

– Wszystko? – wołał Neil. – A kto zajmuje się dziewczynkami? Przecież one są półsierotami! Gdyby nie ja i Flossie, nikogo by nie miały. Orzesz nimi jak psami. Nie mogę uwierzyć, że każesz im sprzątać pokoje. Laura ma dopiero dziesięć lat!

– Nie stać nas na więcej personelu – tłumaczyła Sarah. – To tylko tymczasowe rozwiązanie.

– One nie mają być sprzątaczkami! Laura i Elly to Bradfordówny!

– Anne również – prostowała. – I dlatego musimy zatrzymać hotel. Właśnie z powodu tego, kim są. I kim ja jestem teraz.

Gapił się na nią, milcząc złowrogo.

– No tak. Należysz do Bradfordów – powiedział w końcu. – Wyszłaś za mnie, by to osiągnąć. Teraz rozumiem.

– Nie – odrzekła, ale nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Nigdy nie odbyli tej rozmowy, tak niebezpiecznie bliskiej prawdy. – To ciebie kochałam. To ciebie poślubiłam.

– Nie wierzę ci. – Neil wstał. – Odchodzę. Możesz wybrać: ja albo hotel. Nie możesz mieć jednego i drugiego, Sarah. Jeśli naprawdę mnie kochasz, wyjedziesz ze mną. – Wyciągnął rękę i czekał.

Kiedy jej nie ujęła, skinął głową.

– W porządku. Powiedz ludziom, co chcesz. Że uciekłem. Albo że mnie wywaliliś, bo jestem leniem i pijakiem. Mam to gdzieś. Wyjeżdżam.

Sarah wiedziała, że za mężczyzną się nie biegnie. Poczeka, aż on wróci do niej. Czekala zatem, jeszcze długo po tym, jak zdawało się, że przestała czekać.

Poczuła, jak pieką ją oczy, więc otarła je palcami, uważając, by nie rozmazać tuszu. Nie było już sensu płakać. Jej życie przecież się nie zmieni, oprócz jednego: była wdową. Naprawdę sama. Zaskoczyło ją nagłe poruszenie na ganku domu Flossie. Sarah cofnęła się pod nisko wiszące gałęzie sosny wirginijskiej, kiedy otworzyły się frontowe drzwi. Na ganek zaczęły wychodzić kobiety. Kobiety wszystkich kształtów i rozmiarów, niosące maty do jogi w jaskrawych kolorach. Ich głosy zagłuszał szum morza. Zdrowe kobiety z zarumienionymi policzkami, bez nakryć głowy, na tyle bogate, że mogły sobie pozwolić na zajęcia jogi. Sarah nigdy nie rozumiała tego typu kobiet. Dla niej praca stanowiła ramę działania – dawała jej parametry, według których tworzyła zasady i oczekiwała, że inni będą ich przestrzegać. Praca była jej sanktuarium i kołem ratunkowym. Jej tożsamością po tym, jak udało się całkowicie pozbyć poprzedniej.

Za domem wzdłuż horyzontu zbierały się perłowe chmury. Ocean był niemal tak szary jak powietrze, a piasek jasnobieżowy. Flossie wyszła na zewnątrz, by pomachać na pożegnanie swoim uczennicom. Kiedy ostatnia z nich odjechała, Flossie odwróciła się i założyła ręce, patrząc na ocean, silnymi plecami odwrócona do Sarah.

Po chwili jednak zawołała, nie odwracając się.

– Wiem, że tam jesteś, Sarah. Równie dobrze możesz zejść tu i powiedzieć, co masz do powiedzenia.

Sarah podeszła z wahaniem, jakby Flossie była dzikim zwierzęciem, które można spłoszyć. Gdy Sarah weszła po schodkach na ganek, szwagierka się odwróciła. Była ubrana w koszmarne czarne getry i brązową bluzę na zamek z kapturem. Z krótkimi siwymi włosami i ogromnymi ciemnymi oczami przypominała małą włośniczkę, którą pewnego wieczoru uratował Neil, gdy uderzyła o przednią szybę jego auta. Przyniósł wtedy sowę do siostry. Flossie przez dwa tygodnie w swojej łazience karmiła ją świerszczami i myszami, a potem

wypuściła na wolność. Teraz potomstwo sowy mieszkało w sosnach rosnących ponad domem i od czasu do czasu któraś przylatywała, by odwiedzić Flossie, kiedy ta siedziała na ganku.

Sarah weszła za szwagierką do salonu, w którym niemal wszędzie stały oprawione fotografie, a mebli nagromadziło się tyle, że trzeba było kluczyć między krzesłami, pufami i stolikami.

– Dlaczego nie zrobisz tutaj porządku? – zapytała. – Dziwię się, że twoje uczennice nie potykają się i nie podają cię do sądu.

– Uczę je między innymi równowagi. Fizycznej i duchowej. Herbaty? – zapytała Flossie i gestem zaprosiła Sarah, by usiadła.

– Nie, dziękuję. Nie lubię tej twojej chińskiej herbaty – mruknęła Sarah. – Zawsze robisz za mocną.

– Powinnaś się nauczyć ją pić. Chińska herbata ma mnóstwo antyoksydantów.

– Tak, właśnie widzę, jak cudownie działa na ciebie. – Sarah wybrała jedyne przyzwoite krzesło w całym salonie, biały fotel z podłokietnikami i wygiętymi nóżkami.

Ten fotel, prawdziwy antyk, należał do Bradfordów. Flossie miała tu pewnie dziesiątki tysięcy dolarów w antykach i dziełach sztuki. Gdyby sprzedała choć część i zainwestowała, mogłaby kupić porządne ubrania i nowy samochód. Choć oczywiście twierdziła, że nie potrzebuje dóbr materialnych.

– A zatem? – odezwała się. – O co chodzi? – Przysiadła na zmęczonej tapicerowanej sofie naprzeciwko Sarah. To chyba było miejsce, w którym Flossie jadła, czytała, a może nawet spała: na stole i podłodze przed kanapą stały naczynia, gazety i książki.

Mimo odbytej lekcji jogi – a może z jej powodu – Flossie wyglądała na zmęczoną. Siedziały wystarczająco blisko siebie, by Sarah zauważyła rozszerzone pory i cienkie zmarszczki wokół jej oczu i ust. Ledwie powstrzymała pokusę, by przypomnieć szwagierce, że w ich wieku odrobina makijażu może zdziałać cuda. Ale kobiety bez makijażu mniej ryzykowały, płacząc. Nie chciała widzieć, jak siostra Neila płacze. Ale chyba nie miała wyboru, skoro zaraz złamie jej serce.

– Dostałam list z Florydy, z kancelarii prawniczej – zaczęła Sarah, ale musiała przerwać i odchrząknąć, zanim dodała: – Chodzi o Neila.

Flossie zmarszczyła czoło i spojrzała w dół na swoje małe szorstkie dłonie.

– Rozumiem. Kiedy?

– Wczoraj. – Sarah od razu wiedziała, że Flossie już wie, co zaraz usłyszy. – Neil umarł. – I tak złagodziła ton. – Przykro mi.

Flossie skinęła głową, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Co napisał prawnik?

– Niewiele. Tyle, że Neil umarł na raka wątroby. Pewnie przez picie. Nie

znam więcej szczegółów.

Przynajmniej tego oszczędził jej adwokat. Sarah nie chciała wyobrazić sobie chorego czy cierpiącego Neila. Wołała go pamiętać takim, jakim był z dziewczynkami, zdrowym, opalonym, biegającym i śmiejącym się, jakby sam był dzieckiem.

Po chwili, kiedy Flossie ani nie podniosła głowy, ani się nie odezwała, Sarah zapytała:

– Wszystko w porządku?

Flossie skinęła głową.

– To nie jest bardzo tragiczne umrzeć w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, prawda?

– Nie, chyba nie – odparła Sarah, choć na moment zapomniała, że Neil był dziesięć lat młodszy od niej.

O tym wiedziała wyłącznie Flossie, i to tylko z powodu okoliczności, na które Sarah nie miała wpływu. Nie mogła jednak nie docenić faktu, że szwagierka nigdy nie zdradziła prawdy o wieku Sarah ani jej pochodzeniu Neilowi i dziewczynkom.

Flossie wstała i zaczęła chodzić po pokoju, dotykając różnych mebli, jakby nagle oślepla i musiała odnaleźć drogę.

– To znaczy, może nam się zdawać, że to tragiczna śmierć, bo był młodszy od nas, ale większość ludzi by tak nie pomyślała – stwierdziła. – Powiedzieliby: „Miał długie, dobre życie”.

– Cóż, nie jestem pewna, czy takie dobre – ostrożnie zauważyła Sarah.

– Ale było lepsze – odparła Flossie.

– Skąd to wiesz, do diabła? – z irytacją zapytała Sarah. – I skąd wiedziałas, że Neil nie żyje? Bo wiedziałas, prawda?

– Tak. – Flossie przeszła przez salon i otworzyła dębową szafę wystarczająco dużą, by skryć niejednego rodzinnego trupa. Sięgnęła na górną półkę i zdjęła z niej pocztowy karton, który przyniosła i postawiła na stoliku kawowym.

Sarah miała wrażenie, że ktoś w jednej chwili wyssał z niej całe powietrze, uderzając w brzuch. „SKREMOWANE SZCZĄTKI” widniało na czarnej nalepce. Adres zwrotny na paczce: Venice, Floryda.

– Dostarczono ją wczoraj późnym wieczorem, ale nie chciałam otwierać – oznajmiła Flossie. – Wołałam, żebyś była ze mną. – Usiadła ponownie naprzeciwko szwagierki. Między nimi stało pudełko.

– Miło z twojej strony – odparła tępo Sarah. Dlaczego Neil polecił wysłać to pudełko do siostry, a nie do niej? Czy bał się, że go nie przyjmie? Albo nieotwarte wrzuci do oceanu?

Ta myśl okazała się bardziej kusząca, niż Sarah gotowa była przyznać. Cholerny Neil.

– Napisał do mnie jakiś miesiąc temu, że myśli o powrocie do Zatoki, ale postawiono diagnozę i zostało mu tylko kilka tygodni – spokojnie opowiadała Flossie.

Neil pisał do Flossie? W uszach Sarah rozległo się brzęczenie, zagłuszając szum oceanu. Obraz przed oczami zaszedł mgłą.

– Dlaczego powiedział tobie, nie mnie?

– Jestem jego siostrą.

– A ja żoną! – zawołała Sarah i zacisnęła usta.

– Oczywiście – przytaknęła Flossie. – Ale wiesz, że to nie to samo. Neil i ja kochaliśmy się bezwarunkowo, bez względu na to, jak wielkie od czasu do czasu spotykały nas rozczarowania ze strony tego drugiego. Wyrzuciłaś mojego brata z jego własnego domu. Ja go wspierałam. Wysyłałam pieniądze, żeby nie zawsze musiał żyć na ulicy.

– Wiedziałaś, gdzie on jest? – Sarah przez chwilę była zbyt zaskoczona, by się złościć. – Przez cały ten czas?

Flossie potrząsnęła głową.

– Zawsze podawał mi numer skrytki pocztowej i za każdym razem to było inne miasto.

– Sam zdecydował, że chce tak żyć – stwierdziła Sarah. – Porzucił nas! – Przerazona własną reakcją poczuła, jak trzęsą się jej ramiona. Przycisnęła do ust zaciśniętą pięść. – Mógł wrócić do domu – wymamrotała zduszonym głosem.

– Naprawdę? – Flossie złożyła ręce na kolanach. – Pozwoliłabyś mu na to?

Sarah skinęła głową, choć prawda była skomplikowana. Kiedy Neil oskarżył ją, że urodziła dziecko innego mężczyzny, jakieś drzwi w sercu Sarah zamknęły się na zawsze. Powinien był wiedzieć, że nigdy nie złamałaby przysięgi małżeńskiej. Była dla niej świętością. A nazwisko Bradford okazało się jedynym, co kiedykolwiek miała, wartym zachowania. Nie jej panieńskie nazwisko, Brogan. Pochodzące od irlandzkiego słowa oznaczającego „but”. But! Wymyśliła więc sobie pseudonim artystyczny: Sarah Simmons. Przez całe lata udawało się jej ukrywać, będąc na widoku Bradfordów, dopóki Flossie niechcący nie ujawniła tajemnicy.

– Gdyby wrócił, moglibyśmy być szczęśliwi. – Sarah zamknęła oczy i wyobraziła sobie dawnego Neila: wysokiego, energicznego, dziewczynki przyklejające się doń jak małpki. – Moglibyśmy spróbować.

– Być może – rzuciła Flossie, a potem wstała i poszła do kuchni. Po chwili wróciła z dwiema szklankami z wodą i brandy, postawiła je na stoliku obok Sarah i wróciła do czytania dokumentów, które dała jej szwagierka. Kiwała głową, przeglądając testament, gdy tymczasem Sarah popijała brandy.

Flossie skończyła czytać, złożyła równo papiery i włożyła je do koperty. Oddała ją Sarah.

– Ja też mam coś dla ciebie. Napij się brandy – zaproponowała.

Poczekala, aż Sarah posłusznie weźmie kolejny łyk, po czym wstała, podeszła do wąskiego stolika pod oknem, wyjęła białą kopertę i wręczyła ją szwagierce. Charakterem pisma Neila wypisano tam imię Sarah. Sarah czuła pod żebrami tak kłujący ból, że musiała ostrożnie oddychać. Alkohol piekł z tyłu gardła. Przełknęła z wysiłkiem, by nie wymiotować.

– Mam przeczytać teraz?

– Jak chcesz.

W tym stanie nie mogła wracać do domu. Nie dałaby rady wstać, a co dopiero przejść obok stojącego na stole pudełka. Pudełka, które wydawało się zdecydowanie za małe, by zmieścić Neila. Otworzyła kopertę.

Pismo męża okazało się niemal nieczytelne. Musiał być już bardzo chory. Kilka słów z trudem odczytała.

Moja droga Sarah,

mam nadzieję, że ten list zastanie cię w dobrym zdrowiu. Zakładam, że jeśli go czytasz, moja siostra dotrzymała danego słowa i nie ma mnie na tym świecie. Przykro mi, jeśli jest ci z tego powodu smutno, jeśli to cię zraniło, choć podejrzewam, że poradzisz sobie tak jak zawsze i będziesz żyć dalej, stawiając drobne, ale stanowcze kroki jeden za drugim, jak to zwykłaś robić.

Przede wszystkim chciałbym cię porządnie przeprosić – choć powinienem to zrobić lata temu – że oskarżyłem cię wtedy o zdradę. Wiem, że Anne jest moim dzieckiem. Wówczas również to wiedziałem. Szukałem po prostu wymówki, by wyjechać z Zatoki, a w złości zawsze jest łatwiej kogoś zostawić, prawda? Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Wróciłbym i przeprosił osobiście, ale wolę, byś pamiętała mnie takim, jakim byłem, a nie jakim jestem teraz. Wiedz tylko, że z całego serca cię przepraszam. Każdą komórką swojego istnienia.

– Och. – Sarah zażawionymi oczami spojrzała na Flossie i upiła kolejny łyk brandy. – Pisz, że przepraszam.

– Tak – odparła Flossie. – Do mnie też pisał i przepraszal za kilka rzeczy. Próbował coś naprawić. To część programu AA prosić o przebaczenie.

Sarah wyobraziła sobie Neila tak często stojącego przed nią, gdy mówił, z rękami włożonymi w kieszenie spodni, kołyszącego się lekko na piętach w przód i w tył. Wspominała, jak pierwszego wieczoru, kiedy śpiewała w hotelu, poprosił ją do tańca i właśnie tak się wtedy kołysał. Zawsze, gdy Neil się denerwował, kołysał się na piętach.

Wróciła do czytania.

Nie będę nużył cię szczegółami, ale powinnaś wiedzieć, że już nie piję i gdyby Los nie wtrącił się i nie wywinął mi tego numeru, wróciłbym do domu zapytać, czy możemy spróbować jeszcze raz być mężem i żoną. Widać czekałem zbyt długo, by móc cię o to prosić, ale lubię myśleć, że moglibyśmy zacząć od

nowa.

Kiedy przestałem pić, moje życie się poprawiło, choć niekoniecznie by ci się to spodobało. Znalazłem pracę w Sharky's, restauracji na plaży w Venice, niedaleko mola. Wzruszyła mnie dobroć właściciela, który zgodził się, bym obsługiwał klientów mimo zupełnego braku doświadczenia. Niektóre młode pary przypominały mi nas w trakcie miesiąca miodowego – twoje złote włosy w świetle księżyca, tak dawno temu, kiedy uczyłaś mnie cudów tego, co znaczy naprawdę kochać się z kobietą. Rany, pamiętasz ten piach? Komu w ogóle przyszło do głowy, że można kochać się na plaży?

Odbiegam jednak od tematu. Pewnie byś się śmiała, kochana, gdybyś widziała, jak spędzałem ostatnie dni przed tym, zanim całkiem osłabłem, jak przesiewałem piach na Caspersen Beach, szukając skamieniałych zębów rekina. Wspominałem, jak robiliśmy to razem, jak po raz kolejny to ty okazałaś się bardziej zdeterminowana z nas dwojga. Często o nas myślę w te ostatnie dni, mimo że czasem przez morfinę mam już zwidy, ale przysięgam, że czasami słyszę, jak mi śpiewasz.

Ostatecznie – choć bardzo chciałem wrócić do domu i mimo kiepskiego stanu zobaczyć raz jeszcze ciebie i dziewczynki – postanowiłem zostać tutaj i oszczędzić ci koszarnej konieczności opiekowania się kolejną osobą, bo już tak wiele innych od ciebie zależy.

Chcę ci podziękować, że uratowałaś Hotel nad Zatoką Szaleńców i nazwisko Bradfordów od utonięcia w rynsztoku. Jestem pewny, że doskonale poradziłaś sobie też z wychowaniem dziewczynek. Proszę, przekaż im ode mnie wyrazy miłości. Ale jest dla mnie bardzo ważne, byś powiedziała im już prawdę o swoim życiu – całym. W chorobie wiele czasu spędzałem przy komputerze i wiem już, że moja matka miała rację, mówiąc, że jesteś oszustką. Ja mam to całkowicie w nosie. Raczej podziwiam, że ci się to udało i zawsze lubiłem twoje opowieści, kupowałem je w całości. Jednak uważam, że nasze córki powinny znać prawdę, choćby ze względu na sprawy związane ze zdrowiem i tak dalej.

To nie będzie łatwe zadanie, ale proszę, zrób to, Sarah. Nie tylko po to, by uratować własne sumienie, ale dlatego, że to moja ostatnia prośba do ciebie jako mojej żony. Będę spoczywał spokojniej, wiedząc, że wszystko wyszło na jaw.

Z miłością

Neil

Sarah ostrożnie złożyła list i wsunęła go do koperty, z trudem powstrzymując się przed porwaniem go na strzępy. Jak Neil śmiał o to prosić?

– No i? Co napisał? – zapytała Flossie, patrząc badawczo wielkimi sowimi oczami. Słońce zdążyło już wyjść i teraz wlewało się przez okna od frontu, oświetlając jej siwe włosy i sprawiając, że zdawały się srebrne, niemal metalicznie, jakby Flossie miała na głowie hełm.

– Nie udawaj, że nie czytałaś. – Sarah dwoma łykami dopiła brandy. Flossie nie zaprzeczyła.

– Neil ma rację. Musisz powiedzieć dziewczynkom.

– Nie. I ty również nie waż się tego robić. – Sarah wstała i wzięła futro, wdzięczna, że bufor wściekłości pomaga jej trzymać się prosto.

– One muszą znać prawdę – spokojnie powtórzyła słowa Neila. – Szczególnie teraz, po śmierci ich ojca. Jeśli ty im nie powiesz, ja to zrobię.

– Wtedy ja sprzedam ten dom na pniu – odparła Sarah. – Teraz należy do mnie. Widziałas testament.

– Nie zrobiłabyś tego.

– Przekonaj się. Wiesz, ile wart jest dom nad morzem w Cape Ann? – Sarah wzięła list od Neila i włożyła go do kieszeni płaszcza. – I przykro mi.

– Mnie również.

– Dziękuję – rzuciła Sarah.

– Kiedy powiesz dziewczynkom o śmierci Neila?

– Nie jestem pewna, czy powinny o tym wiedzieć – odparła Sarah. – Po co przysparzać im więcej bólu?

– A uroczystość pogrzebowa? Czy mój brat nie zasłużył choć na to? – Flossie zerwała się z miejsca zarumieniona. Teraz już nie wyglądała jak sowa, a raczej jak ninja w czarnym ubraniu, gotowa przeskoczyć przez stół do kawy.

– Teraz nie mogę jeszcze o tym myśleć. Zresztą to ja powiem dziewczynkom, nie ty. To moje córki. – Sarah niemal rzuciła się do wyjścia. Otworzyła drzwi, kiedy Flossie ją zatrzymała.

– A co z prochami? – zapytała. – Nie weźmiesz ich ze sobą?

– Zatrzymaj je – odparła Sarah, nie odwracając się. – Neil przesłał je do ciebie. Najwidoczniej mnie nie ufał.

Sarah niepewnym krokiem ruszyła ścieżką pod górę, w stronę hotelu, czując mokre i palące łyzy na policzkach, opatulając się ciasniej futrem. Wiatr wkładał się pod jego poły, przenikając aż do kości.

W poniedziałek matka zadzwoniła do Elly, by zaprosić ją na późną kawę.

– Prawie w ogóle nie spędzamy razem czasu – powiedziała Sarah. – Pewnie ty i Laura jesteście zajęte.

Zbyt zajęte dla własnej matki. To właśnie sugerowała Sarah. Elly nie dała się sprowokować. Odparła tylko, że chętnie wpadnie tego ranka.

Koło jedenastej pojechała do hotelu na rowerze Kennedy. Dziewczynka była w szkole, Jake w pracy, a Laura czyściła stajnie, więc Elly cieszyła się, że ma co robić. Sprawdziła mejle i ogłoszenia o pracy, ale nie znalazła nic nowego. Nie było nawet esemesa od Rydera. Ale czego właściwie się spodziewała? Jasno dała mu do zrozumienia, że niczego nie oczekuje, a potem wyjechała do Massachusetts, nie pożegnawszy się nawet telefonicznie. Tylko siebie mogła winić za to, że czuła bezsensowną tęsknotę za tym, co mogłoby się między nimi wydarzyć.

Nie poprawiło jej humoru, że Sarah z premedytacją poruszyła temat przyjaciół, kiedy Elly smarowała masłem upieczoną przez Rodriga babeczkę z malinami, a matka sączyła czarną kawę. Siedziały na tarasie, na białych wiklinowych krzesłach. Na podłodze leżał ręcznie dziergany kolorowy chodnik, na stołach stały kryształowe wazony z jaskrawopomarańczowymi chryzantemami. Elly postanowiła, że nawet jeśli nie uda się jej być całkowicie zadowoloną, to przynajmniej odpręży się, skupiając na ciepłym porannym słońcu oblewającym twarz i słuchając słabego, rytmicznego wycia fal za trawnikiem i ogrodem.

Pamiętała nieliczne poranki, kiedy hotel był pusty – zwykle po sezonie, w styczniu lub w marcu – i razem z siostrami mogły się tutaj bawić. Kładły się na podłodze, na oświetlonych słońcem wełnianych kwadratach w mocnych kolorach i kłóciły, grając w monopol. Albo przynosiły lalki i budowały skomplikowane gospodarstwa, w których Barbie zawsze ubierały się w różne błyszczące stroje i wychodziły za bezpłciowych Kenów. Ach, te godziny spędzone na poszukiwaniu zagubionych malutkich plastikowych szpilek!

Kiedy były starsze, Laura przyprowadzała je tu i bawiły się w fryzjera. Pewnego razu przeraziły Sarah, zaplatając sobie włosy w warkoczyki koralikami od ciotki Flossie, która przywiozła je z jakiejś grupowej wycieczki na Jamajkę, dokąd pojechała ćwiczyć jogę.

– Nie wychowałam was na hipiski i rastafarianki! – krzyczała Sarah. – Natychmiast to zdejmijcie i umyćcie głowy!

– Pewnie tęsknisz za przyjaciółmi z Los Angeles – powiedziała teraz matka. – Spotykasz się z kimś wyjątkowym?

– Nie, raczej nie. – Elly odsunęła od siebie myśli o Ryderze. – Pobyt tutaj to miła odmiana. Lubię być z Laurą i Anne. A Kennedy to świetna dziewczyna.

– Twoi znajomi pewnie też za tobą tęsknią.

Elly pomyślała o Frankie, najbliższej przyjaciółce w Los Angeles, pięćdziesięcioletniej wdowie. Frankie mieszkała pod Elly i oprócz niej jako jedna z niewielu siadywała czasem na wąskim balkoniku z kutego żelaza wychodzącym na dziedziniec. Poznały się, kiedy Frankie zawołała z dołu z pytaniem, czy może pożyczyć jej trochę cukru. Elly wsypała go do plastikowego woreczka i na sznurku spuściła na balkon sąsiadki.

– Pewnie kilkoro tak – odparła. – Ale za nieobecny mi ponoć bardziej się tęskni.

– Chyba że chodzi o twoją karierę – skonstatowała Sarah. – Nie możesz pozwolić, by ludzie z branży zapomnieli, jak wyglądasz. I jak pięknie śpiewasz! Nauczyłam się tego, kiedy wasz ojciec odszedł i próbowałam wrócić do kariery wokalne. Zbyt długo mnie nie było. Musisz wciąż o sobie przypominać, jeśli ma ci się udać.

– Tak, wiem. – Elly rozejrzała się wokół, próbując znaleźć temat inny niż jej kariera. – Ładne te akwarele. Nowe?

Matka nie musiała sprawdzać, o co pyta.

– Tak. Namalowała je artystka z okolicy. Wspieram od czasu do czasu stowarzyszenie sztuki z Rockport. A co z twoimi znajomymi stąd? Widziałas się z kimś?

Kiedy Sarah wspomniała, że koleżanka z klasy Elly, Paige Martinson, niedawno zorganizowała w hotelu swoje wesele i jest obecnie szkolnym psychologiem w liceum w Rockport, Elly uznała, że chciałaby się z nią spotkać. Poszła z matką do jej biura po namiary na Paige.

Po drodze Sarah zatrzymała się, by wymienić uprzejmości z jakąś parą, do której zwracała się po imieniu, pytając, jak mija pobyt. Oboje byli po siedemdziesiątce i obserwowali ptaki. Mieli charakterystyczne kapelusze z miękkim opadającym rondem, przekrzywione pod dziwnymi kątami. Kobieta opowiadała o dzięciurach czerwono brzuchych i drozdach północnoamerykańskich.

– No i widzieliśmy całe stado kamienuszek przy Andrews Point! Uwierzyłybyś? To moje ulubione ptaki! – pochwaliła się starsza pani.

– Bardzo się cieszę, że ptaki były grzeczne, Mandy – odparła Sarah, ściskając kościstą dłoń Mandy i brzmiąc tak szczerze, że Elly musiała się uśmiechnąć.

– Jesteś w tym doskonała, mamó – stwierdziła, kiedy zamknęły się w niewielkim pokoiku Sarah przy recepcji.

– W czym? – Sarah przeglądała adresy w komputerze.

– W sprawianiu, by ludzie byli zadowoleni.

– Cieszę się, kiedy moi goście są zadowoleni. – Sarah z zaskoczeniem uniosła wzrok. – Ja nie udaję. Jeśli ktoś jest szczęśliwy w Zatoce, wraca tu ze swoimi dziećmi. A te dzieci ze swoimi. O – przerwała, spojrzawszy na ekran. –

Znalazłam.

Przeczytała na głos numer telefonu komórkowego i adres mejlowy Paige, czekając, aż Elly wpisze je do swojej komórki.

– Szkoda, że ominęło cię ich wspaniałe wesele. Pojechali na miesiąc miodowy do Włoch. Do Toskanii. Piękna pora roku, żeby tam być.

Sarah mówiła z takim przekonaniem o rzeczach, o których nic nie wiedziała, że przez moment Elly miała ochotę zapytać matkę o Włochy, ale w porę przypomniała sobie, że przecież Sarah nigdy nie wyjeżdżała. Z tego, co wiedziała Elly, tylko raz opuściła Nową Anglię, kiedy to wybrali się z ojcem na Florydę z okazji ich miesiąca miodowego.

Kiedy Elly była w college’u, pojechała z przyjaciółmi na narty do Vermontu, samochód wpadł w poślizg i zjechał z drogi. Siedziała z przodu, w fotelu pasażera i po wypadku spędziła tydzień w szpitalu w Burlington, ale matka jej nie odwiedziła.

– Mamy w hotelu Boże Narodzenie – tłumaczyła się. – Wiesz, jak to jest. Ale przyślę ci wszystko, czego potrzebujesz. Tylko daj znać.

Wówczas Elly zaakceptowała sytuację. Dopiero gdy podsłuchiwała pielęgniarki litujące się nad nią spędzającą całe święta w samotności, poczuła złość. Nigdy jednak nie wspomniała o tym matce. Nic by to nie zmieniło.

– Chętnie posłucham opowieści Paige o podróży poślubnej – powiedziała Elly. Nie śmiała wyznać matce, że Paige po prostu nie zaprosiła jej na wesele. Sarah by się wściekła.

Ale to Elly była winna tego, że nie została zaproszona. Utrzymywała kontakt z Paige do Bożego Narodzenia kilka lat temu, kiedy odszedł Hans. Przyjaciółka napisała wtedy mejla, przysłała kartkę. Dzwoniła nawet kilka razy i zostawiała wiadomości. Elly jednak nie odpowiedziała, pogrążona głęboko w nieszczęściu.

Sarah zerknęła na Elly znad niebieskich oprawek okularów do czytania.

– Elizabeth, czy mogę zadać ci bezpośrednie pytanie?

Elly już dawno przestała prosić matkę, by nie zwracała się do niej pełnym imieniem.

– Jasne.

– Choć bardzo się cieszę, że tu jesteś, chciałabym znać twoje plany na przyszłość. Z wiekiem zdaję sobie sprawę, jak krótkie jest życie. Będąc tutaj tak długo, tracisz kontakt z branżą. Chyba że wybierasz się na jakieś przesłuchanie do Nowego Jorku? – W oczach matki błysnęło zainteresowanie. – Kiedy byłam młoda, marzyłam o występach na Broadwayu.

– Nie chcę jechać do Nowego Jorku, mamó. – Elly wzięła głęboki wdech. – Właściwie to postanowiłam rzucić śpiewanie.

– O nie! – Sarah z przerażeniem złapała się za gardło. – Nie wolno ci porzucać marzeń!

– Mamo, spokojnie. To nie koniec świata. Nie jestem dość dobra. Nie jestem nawet pewna, czy to w ogóle było moje marzenie. Chyba bardziej twoje.

– O czym ty mówisz? – zawołała Sarah. – Oczywiście, że to twoje marzenie! Jesteś najlepszą wokalistką w naszej rodzinie! – Wstała od biurka i sięgnęła po album ze zdjęciami leżący na półce.

– Tak, w naszej rodzinie – mruknęła Elly. – Ale to dość mała grupa fokusowa.

– Potrafię rozpoznać talent. Jesteś doskonałą wokalistką. – Matka rzuciła album na biurko i zaczęła przewracać strony, aż znalazła zdjęcie Elly jako nastolatki w pasiastej sukience, z koszykiem piknikowym przewieszonym przez chude ramię.

Elly rozpoznała tę fotografię: zrobioną tego lata, kiedy wybrano ją do roli córki burmistrza w musicalu *The Music Man* w miejskim teatrze. Miała wtedy piętnaście lat. Sarah narzekała, że córka nie dostała roli Marian Bibliotekarki, choć wszyscy, łącznie z Elly, wiedzieli, że była za młoda, by grać tę bohaterkę.

– Zrobiłaś furorę w *The Music Man*! – przypomniała jej matka. – A pamiętasz konkurs Marblehead Arts na ostatnim roku studiów? Wszyscy zgodnie twierdzili, że nigdy nie słyszeli takiego talentu!

– To i tak mała grupa fokusowa, mamo. – Elly delikatnie zamknęła album. – Czy naprawdę nie możesz się cieszyć ze mną? Że mam pracę, którą lubię? I miejsce, w którym jestem szczęśliwa? W Los Angeles mam fajne życie. – Mówiąc to, Elly poczuła, że ma wątpliwości: nienawidziła smogu. Korków. Nieustannie słyszanej odmowy. Czarodziejskiego kręgu producentów i reżyserów, celebrytów i ich żądzy sławy, nieprzerwanej presji, by młodnieć zamiast się starzeć.

Matka ciężko opadła na krzesło.

– Jak mogę się cieszyć, kiedy rezygnujesz ze swojej przyszłości? Wiem, że jesteś już starsza. Za stara, by nazywać cię obiecującą. Ale z pewnością możesz coś zrobić ze swoim głosem, a nie się poddać.

– To nie była moja decyzja – odparła urażona Elly. – Ja nie rzuciłam śpiewania. Los zdecydował za mnie.

– Nie! Nie uwierzę. Wciąż jesteś za młoda, żeby prowadzić zwyczajne życie. – Matka nie płakała, ale miała zaczerwienione oczy. W tej chwili wyglądała na swój wiek. Jak kobieta, która młodość miała za sobą, a nie taka, która posiadała władzę.

– Wiem, że cię rozczarowałam, mamo, ale tak już jest – ciągnęła Elly. – Jestem zwyczajna. Hurra! Mogę przestać się o to obwiniać. Słuchaj, muszę już iść. Obiecałam Laurze, że odbiorę Kennedy ze szkoły.

– O czym ty mówisz? Dopiero południe. I przecież rozmawiamy.

Raczej wysłuchuję twojego łajania, pomyślała Elly.

– Wiem, ale Kennedy dzisiaj zwalnia się wcześniej, bo ma wizytę u ortodonta. Zjrę znowu niedługo – zapewniła spokojnym głosem.

Sarah skinęła głową i pożegnała się z córką wesołym machnięciem ręki, choć drżały jej wargi.

Wymykając się z biura matki, Elly miała wrażenie, że zostawia za sobą dymiący ślad porażki. Poczuli się nagle tak przygnębiona, że postanowiła napisać esemesa do Paige. Koniecznie musiała spotkać się z kimś spoza rodziny. Paige cudownym trafem odpowiedziała od razu i chętnie przystała na propozycję spotkania.

– Oczywiście, że możesz wziąć auto – powiedziała dwie godziny później Laura, kiedy Elly przywiozła Kennedy po koszmarnie długiej wizycie u ortodonta. – Jestem ci winna przysługę. Siedziałas w gabinecie, kiedy ja miałam lekcje. Zresztą zasłużyłaś na relaks. Zostań tak długo, jak chcesz.

Laura zapewne nie byłaby taka hojna, gdyby знаła plany Elly, która mając samochód tego popołudnia, postanowiła śledzić Jake'a w pracy. Musiała się dowiedzieć, co ukrywa. Im dłużej Elly u nich mieszkała, tym bardziej była pewna, że szwagier ma jakieś tajemnice. Umówiła się z Paige na trzecią, miała zatem wystarczająco dużo czasu, by przedtem pojechać do gabinetu Jake'a. Recepcjonistka przywitała ją z uśmiechem. Była to blada, wygłodzona brunetka w kowbojkach, ozdobiona zwisającymi z uszu turkusowymi kolczykami. Elly uznała, że to kolejna nedorobiona modelka. Nie w typie Jake'a, pomyślała z ulgą Elly. Miała nadzieję, że Laura się nie myli i jej mężowi można zaufać. Ale czy nie oznaczałoby to, że Anne kłamie? Elly nie chciała w to uwierzyć bez dowodów.

Pomoc dentystyczna, która wyszła właśnie z gabinetu po pacjenta, gdy Elly czekała, aż recepcjonistka skończy rozmowę telefoniczną, bardziej nadawałaby się na kochankę Jake'a: młoda wysportowana brunetka w o kilka centymetrów za krótkiej spódniczce, nawet jak na tak zgrabne nogi. Bez wątpienia wzorowała się na Jennifer Lopez, która uwielbiała miniówki. Elly oglądała *Idola* i nie uszło jej uwagi, że piosenkarka ciągle, wręcz obsesyjnie je obciągała. Nic dziwnego, że są strony internetowe poświęcone wyłącznie temu, co odsłaniają spódniczki J. Lo.

Recepcjonistka o imieniu Kim, które widniało na plakietce wiszącej między nieistniejącymi piersiami, odłożyła słuchawkę i posłała jej kolejny uśmiech.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. W czym mogę pomóc?

Elly wygłosiła przygotowaną wcześniej formułkę: przyjechała tu z Zachodniego Wybrzeża i już dawno powinna zrobić przegląd uzębienia, a także zdjąć kamień.

– Zastanawiałam się, czy mogę to zrobić w tym gabinecie.

Oby Jake jej nie przyłapał. A jeśli nawet, to miała gotową odpowiedź. Naprawdę musiała zdjąć kamień.

Kim spojrziała w kalendarz w komputerze.

– Żaden problem. Chętnie panią przyjmujemy. Jakiś konkretny dzień i pora?

– Nie. Jakikolwiek termin w najbliższym czasie.

– Dobrze. Pierwszy dostępny?

– Moment. Ten dentysta jest dobry? – zapytała Elly, uprzednio wystawiając głowę za róg i upewniając się, że poczekalnia jest pusta. Dobiegający z oddali dźwięk wyjącego wiertła oznaczał, że Jake jest zajęty.

– Ależ tak. Bardzo dobry. Uczył się w Tufts. Lepszego pani nie znajdzie.

– To super. – Elly ściszyła głos do szeptu. – Mam straszliwego pecha do dentystów. Na pewno znasz takie przypadki, Kim... Dentyści, którym się wydaje, że mogą robić, co im się podoba, kiedy jesteś uwięziona w fotelu.

Oczy Kim – w nienaturalnym kolorze jasnej zieleni soczewek kontaktowych – otworzyły się szeroko.

– Znam – odpowiedziała szeptem. – Raz zdarzyło mi się to z lekarzem! Ale zapewniam panią, że doktor Williams to dżentelmen. Ojciec rodziny. Lubiany. I zdolny. W ogóle nie będzie bolało.

– Nie lata za spódniczkami? Jest pani stuprocentowo pewna? – dociekała Elly, zaglądając głębiej w okienko recepcji. Pomalowane na krwistą czerwień paznokcie Kim wyglądały jak płatki róż na klawiaturze komputera.

Recepcjonistka była wyraźnie zażenowana.

– Tak! Doktor Williams to uroczy i troskliwy mężczyzna. Nic pani tu nie grozi. – Pospiesznie zaczęła wymieniać dostępne terminy.

– Coś po szóstej w przyszłą środę? – przerwała jej Elly.

– O nie. Gabinet zamykamy codziennie o siedemnastej, z wyjątkiem wtorków i czwartków, wtedy pracujemy do osiemnastej.

– Naprawdę? Tylko do szóstej? I doktor Williams nigdy nie pracuje w środy wieczorem?

– Nie. Kiedyś codziennie pracował do późna – wyjaśniła Kim z żalem w głosie – ale teraz już tylko we wtorki i czwartki. Jeśli chciałaby pani się umówić na późniejsze godziny, to niestety dopiero za kilka miesięcy. One szybko się zapełniają.

– Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. – Elly uśmiechnęła się i wycofała z okienka recepcji. – Zadzwoń, jak tylko będę miała swój grafik. – I wyszła, czując na plecach ciekawski wzrok Kim niczym laserowy celownik.

Elly się nie przejmowała. Dostała to, czego chciała: dowód, że Jake coś knuł. Gdzie w takim razie bywał wieczorami, kiedy nie pracował? Oczywiście robił coś, co kosztowało sporo kasy, ale co? Hazard? Narkotyki? Kochanka?

A może mieszkała w Hollywood tak długo, że wyobraźnia podpowiadała jej jedynie scenariusze oper mydlanych? Może Jake naprawdę był przyzwoitym facetem, za jakiego uważali go Laura i pracownicy, a problemy finansowe były

spowodowane studenckimi kredytami i ubezpieczeniem? Życie kosztuje, jak zauważyła Kennedy. Ale Kennedy również wydawała się bardzo niespokojna i pocieszała się jedzeniem, zamiast spotykać z przyjaciółmi. Co ją trapiło? Problemy z wagą? Chłopcy? Wredne dziewczyny? A może wiedziała o ojcu coś, czego nie wiedzieli inni?

Paige czekała już w pubie Waterside, kiedy Elly udało się zaparkować wzdłuż nabrzeża Gloucester. Wybrała to miejsce, bo kiedy były nastolatkami, często przychodziły tutaj z kradzionymi legitymacjami. Elly musiała się napić z tego samego powodu, dla którego piła w młodości: rodzina doprowadzała ją do szału. Po wejściu do środka odetchnęła znajomym smrodkiem smażonego żarcia i starego piwa. Uśmiechnęła się na widok Paige machającej z tylnej, ciemnej części pubu zdobionej porożami zwierząt. Kilku mężczyzn przy barze odwróciło się i wyszczerzyło, patrząc na Elly przemierzającą salę.

– Hej, ślicznotko. Siadaj tutaj – rzucił jeden z nich, klepiąc sąsiedni czerwony stołek obleczony popękany skajem. Facet miał na sobie motocyklową kurtkę z naszytymi łatami i bandankę w amerykańską flagę.

– Dzięki, spasuję – odparła Elly.

Nieważne, że ci faceci siedzieli w speluncie o trzeciej po południu, i tak miło, że ktoś ją zauważył. Szczególnie w tym bezpłciowym ubraniu, które dziś włożyła – wyblakłych džinsach, wysokich czarnych kozakach i czarnej koszulce pod długim beżowym swetrem. W Kalifornii Elly była zaledwie kolejną blondynką, w dodatku nie najmłodszą. Dla większości mężczyzn stawała się więc niewidzialna. Przynajmniej nie była brunetką. W Hollywood jeśli masz więcej niż trzydzieści pięć lat i ciemne włosy, równie dobrze mogłabyś nie istnieć.

Paige miała ciemne włosy i przyjemną dla oka, mocną budowę. Z takim ciałem byłaby doskonałą zawodniczką hokeja na trawie i lacrosse'a, w które zresztą grały z Elly w liceum, ale Paige miała za dużo serca jak na zawodową zawodniczkę. Gdy dziewczyna z przeciwnej drużyny upadała, Paige zatrzymywała się, by jej pomóc.

Tego popołudnia jej przyjaciółka włożyła pomarańczową wełnianą sukienkę, w której przypominała sporych rozmiarów dynię.

– Cóż, muszę przyznać, że nie było mi łatwo się z tobą umówić, dziewczyno z Kalifornii – powiedziała, kiedy się uściskały i usiadły. – Wiedziałam, że będziesz wyglądać jak prosto z Hollywood, a ja pasuję bardziej do Halloween. Ale od miesiąca miodowego nie miałam czasu zrobić prania. Tylko ta sukienka była czysta.

Elly uśmiechnęła się szeroko. Zapomniała już, jak podekscytowana była zawsze Paige, aż brakowało jej tchu.

– Wyglądasz cudownie jak zawsze – odparła.

I to była prawda. Kiedy Paige uśmiechała się do niej znad lepkiego od brudu

drewnianego stolika, Elly natychmiast poczuła radość i bolesną świadomość, że bardzo tęskni za ludźmi, z którymi dorastała.

– Pokazuj ten pierścień, który masz na palcu, panienko – dodała.

Paige wyciągnęła rękę przez stół i zachichotała, kiedy Elly z prawdziwym zainteresowaniem podziwiała antyczną oprawę pierścionka ozdobionego prostym pojedynczym brylantem. Była to pamiątka po babci Paige. Ozdoba z klasą, jak zresztą cała rodzina przyjaciółki. Skromny pierścionek sugerujący starą fortunę z Północnego Wybrzeża.

Podzieliły się pizzą i wypity czerwone wino z taką ilością taniny, że Elly ścierpły usta. Paige opowiadała o miesiącu miodowym we Włoszech i swoim mężu Johnie, inżynierze, który miał dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa.

– Domyślasz się pewnie, że moja matka nie uznała go za idealnego zięcia – z żalem mówiła Paige. – Ale pozytywną stroną brania ślubu w naszym wieku jest to, że matki są już wtedy tak zdesperowane, że przyjmą każdego, kto ma trzy sprawne kończyny.

Elly się zaśmiała.

– Moja mama pragnie, żebym tylko podpisała kontrakt płytowy. Nie jest wielką fanką małżeństwa. – Oderwała kolejny kawałek pizzy. – A jak poznałaś Johna?

– W szkole, w której pracuję. Nie lubię o tym mówić, bo to strasznie nieprofesjonalne, ale doradzałam jego synowi. Pomagałam jemu i Johnowi przebrnąć przez proces aplikacyjny do college’u i starać się o stypendia.

– John musi być dużo starszy, skoro ma syna na studiach.

– Nie bardzo. Pięć lat. My też jesteśmy już bliżej tamtej strony, dziewczyno. – Zaczerwieniła się i nagle wyrzuciła z siebie: – Chciałam cię zaprosić na ślub, Elly. Ale myślałam, że już nie chcesz się ze mną przyjaźnić.

– Ależ skąd! – zaprotestowała Elly. – Nie przejmuj się, nie obraziłam się. Tylko mi przykro, że przegapiłam twój wielki dzień.

Paige zerknęła na Elly spod ciemnych brwi.

– No więc dlaczego tak naprawdę mnie olałaś?

Elly zawahała się, ale nie wytrzymała. Znały się z Paige za długo, żeby kłamać albo szukać wymówek.

– Poznałam faceta i myślałam, że się zakochałam. Ale on nagle wrócił do Europy i to zerwanie mnie dobiło. Zostawił mi też chlamydię. Lizałam więc rany i użalałam się nad sobą.

– Co za bydlak, wstrętny bydlak. – Paige się skrzywiła.

– On był bydlakiem – przyznała Elly. – Teraz to rozumiem. Nie wiem tylko, dlaczego wtedy tego nie dostrzegałam.

Zabawne, że opowiadając Anne i Paige o Hansie, Elly czuła, jak wspomnienia o nim stopniowo i nieodwracalnie tracą moc. Wiedziała, że może

wyznać Paige również resztę, przyjaciółka zrozumie, gdy podzieli się z nią swoimi obawami dotyczącymi bezpłodności. Anne miała rację, nie ma sensu się o to martwić, dopóki nie pozna mężczyzny, który pomoże Elly uwierzyć, że będzie równie dobrą matką jak jej siostry.

– Cóż. Lepiej, żeby tutaj nie przyjeżdżał, bo przejadę go autem – zapowiedziała Paige.

Elly się zaśmiała, a potem ujęła dłoń Paige i ją ścisnęła.

– Naprawdę mi przykro, że nie byłam na twoim ślubie. Mama mówiła, że był wspaniały. Musisz pokazać mi zdjęcia.

Paige się rozpromieniła.

– Mam link do filmu, wyślę ci. Ale obejrzyj go tylko wtedy, gdy będziesz umierać z nudów.

– Mam lepszy pomysł. Mieszkam teraz u Laury. Przyjedź z Johnem i obejrzymy go razem. Bardzo chcę go poznać. Kupię szampana i wypijemy za wasz wielki dzień.

– Brzmi doskonale, ale dlaczego mieszkasz u Laury, a nie z mamą? Zawsze ci zazdrościłam, że możesz mieszkać w hotelu. Myślałam, że to przypomina życie na planie filmowym.

Elly zastanawiała się nad odpowiedzią. Wyprostowała się na krześle. Stolik lepił się potwornie, pewnie od piwa, które od trzystu lat rozlewali tu rybacy z Gloucester. A prawda była taka, że Elly nigdy nie rozważała mieszkania u matki.

– Mama raczej nie ma miejsca dla gości.

– Serio? Myślałam, że ma dla siebie całe skrzydło.

Elly pokręciła głową.

– Tak było przez chwilę. Akurat wtedy odwiedzałaś mnie w hotelu. Ale kiedy Laura i ja wyjechałyśmy na studia, mama przeniosła się do apartamentu z dwiema sypialniami w rogu budynku. I to nawet nie z tyłu, bo goście płacą dodatkowo za widok na ocean. Nie ma więc zbyt dużo miejsca.

– Aha. – Paige z namysłem upiła łyk wina. – Zawsze wyobrażałam sobie Sarah Bradford jako panią we dworze, w jadalni z kryształowym żyrandolem, jedzącą z najlepszej chińskiej porcelany, z lokajem przy boku. I w ciszy przerywanej jedynie tykającym w kącie zegarem pradziadka.

– No cóż, rzeczywiście używa prawdziwej porcelany i sreber – przytaknęła Elly. – I ma antyki. Dziedzictwo rodowe. Ale żyje skromnie i lubi samotność. Zresztą to Laura zadzwoniła i mnie zaprosiła, a mama jest teraz na mnie trochę zła.

– Poważnie? Dlaczego?

– Bo rzuciłam śpiewanie.

– Rzuciłaś? – Paige ze zdziwieniem przytknęła dłoń do piersi. – Ale dlaczego? Byłaś w tym dobra!

Elly wzruszyła ramionami.

– Wiem. Ale na świecie jest mnóstwo wokalistek. Okazuje się, że to nie wyjątkowego.

– Tak mi przykro – powiedziała Paige. – To szok, kiedy budzisz się i zdajesz sobie sprawę, że życie nie będzie już lepsze...

– Mam nadzieję, że to nieprawda – parsknęła Elly. – Tylko spójrz na mnie: bez pracy, bez męża. Nawet bez chłopaka! Gorzej już być nie może.

– Nie będzie – lojalnie pocieszyła ją Paige. – Uwielbiasz Kalifornię, więc przynajmniej znalazłaś swoje miejsce.

– I pracę, którą lubię. – Elly opowiedziała przyjaciółce o zajęciu projektanta planu.

– Znajdujesz własną drogę – oceniła Paige. – A to niełatwe. Szczególnie jeśli jest artystyczna. Po prostu podążaj za tym, co kochasz. Zawsze powtarzam moim uczniom, że czasami trzeba zrezygnować z planów i zrobić miejsce temu, co cię czeka.

Elly próbowała wyobrazić sobie życie z dala od Miasta Aniołów. A może zamiast wracać do Kalifornii, zostałyby tutaj? Co takiego jest w Los Angeles, czego potrzebuje?

Kilka kontaktów. Ale w Bostonie mogłaby znaleźć podobne.

Mieszkanie. Ale pozbawione duszy i drogie.

Pogoda! Tyle że w Los Angeles panuje smog, a z tyłu głowy nieustannie słychać brzęczące ostrzeżenie, że w mieście w każdej chwili może wybuchnąć pożar, skończyć się woda albo zatrzęść ziemia. No i był Ryder. Ale to tylko miły przelotny flirt, powtarzała sobie Elly, mimo że jego esemesy i rzadkie telefony wywoływały uśmiech na jej twarzy.

– Niewiele mnie trzyma w Kalifornii – przyznała.

Paige poklepała ją po ręce.

– Na pewno coś wymyślisz. A tymczasem ciesz się, że możesz być z Laurą i mamą. I z Anne. Cudownie, że znowu jesteście razem.

– Skąd wiesz, że Anne wróciła? – Elly obracała pusty kieliszek między palcami, zastanawiając się, czy ma odwagę zamówić więcej tego koszmarnego wina. Lepiej nie. Przyjechała autem Laury i musiała być trzeźwa, by ukradkiem śledzić Jake'a, kiedy o siedemnastej opuści gabinet. – Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

– Nie przyjaźnimy się. To znaczy znam ją trochę, bo zawsze kręciła się koło nas, a ty zawsze próbowałaś się jej pozbyć – zaśmiała się Paige. – Chyba że ktoś zrobił jej jakąś przykrość. Wtedy wchodziłaś w tryb pitbulla i chroniłaś młodszą siostrę. Pamiętasz tę łajzę Jade Killian? Jak przyszpiliłaś ją do ściany w szkolnej stołówce, bo powiedziała coś wrednego o rudych włosach Anne?

– Anne była szkodnikiem, ale moim szkodnikiem – zgodziła się Elly. – Fajnie, że się widujecie. Ona potrzebuje przyjaciół. Odkąd ojciec jej dziecka zwał

z powrotem do żony, przechodzi trudny okres.

– Co? Anne ma dziecko? Z żonatym facetem? – Paige otworzyła szeroko usta i zapomniała je zamknąć.

– Nie wiedziałaś? – Elly żałowała, że nie może cofnąć tej rozmowy i nie zdradzić tajemnicy Anne, jeśli to miała być tajemnica.

Paige potrząsnęła głową.

– Właściwie nie widziałam się z Anne. Wiem od Sebastiana o jej przyjeździe. Pamiętasz go?

– Pewnie. Ciacho na maksa. Wszystkie durzyliśmy się w twoim starszym bracie.

– Fuj, nie mów tak. Ohyda – rzuciła Paige.

Elly się zaśmiała.

– No dobra. I co z Sebastianem?

– On także tutaj wrócił, jakiś rok temu – ciągnęła Paige. – Wynajmuje dom w Halibut Point, przy drodze do parku stanowego.

– Serio? Słyszałam, że ratuje świat.

– Wciąż to robi. Przez jakiś czas pracował jako leśnik na Alasce. Potem realizował projekty agroleśnictwa w Brazylii. Teraz wykłada na Harvardzie i prowadzi badania w lasach na Północnym Wybrzeżu. I dzięki temu zaczął spędzać czas z twoją siostrą.

Elly przypomniała sobie wyznanie Laury o jej wirtualnym romansie. Nie takim wirtualnym, skoro naprawdę spotykała się z Sebastianem.

– A więc on widuje się z Laurą i stąd wie, że Anne przyjechała?

– Nie, nie. Sebastian widuje się z Anne.

Elly otworzyła usta i znów je zamknęła, przetwarzając informację.

– To dziwne. Sebastian jest dużo starszy. Nie wiedziałam nawet, że się znają. Jesteś pewna, że spotyka się z Anne, a nie z Laurą?

Paige uniosła brew.

– Tak! Seb mówił, że codziennie widuje się z Anne. Podobno przez głupiego psa mojego brata twoja siostra spadła w lesie z konia. Sebastian miał wyrzuty sumienia, że się poobijała, więc teraz jej pomaga. Ale nie mówił nic o dziecku. Jesteś pewna, że ona ma dziecko?

– Ha, ha. Może twój brat i moja siostra bawią się w dom. Anne mieszka w domku ciotki Flossie, z dala od czujnego wzroku mamy. Byłoby cudownie, gdyby się spiknęli.

– Wątpię, że to się uda. Ale nie, nie z powodu Anne, tylko Sebastiana – dodała szybko Paige i spoważniała. Wyraźnie walczyła, zastanawiając się, jak wiele może zdradzić.

Elly czekała, próbując odczytać coś więcej z wyrazu twarzy przyjaciółki i przypominając sobie, jak wyglądała dawniej, po treningu hokeja na trawie,

spocona, z wysokim, ciasno związanym kucykiem. Zaśmiewały się wtedy, choć ich usta – skrzywione i odrętwiałe po wyjęciu ochraniaczy – odmawiały posłuszeństwa i zamiast normalnych słów dobywał się z nich dziwny bełkot. Zabawne, że po tak wielu latach spotykasz bliską osobę i zauważasz, jak się zestarzała, potem jednak te zmiany stopniowo znikają, kiedy patrzysz na nią dłużej. Jakby wszystkie jej dawne wcielenia wciąż tu były i czekały, aż pamięć je odsłoni.

– Myślę, że powinnaś ostrzec Anne, żeby uważała z Sebastianem – odezwała się w końcu Paige. – Mój brat zniechęciłby mnie, wiedząc, że ci to mówię, ale po tym, jak jego żona się zabiła, on jest w koszmarnej depresji.

– Mój Boże. Tak mi przykro. – Elly była zaskoczona. – Kiedy to się stało?

– Jakieś półtora roku temu. – Paige zacisnęła dłonie na pustym kieliszku, a Elly dała kelnerowi znać, by przyniósł kolejne dwa. Po drodze wpadnie do McDonalda na kawę, ale ta rozmowa wymagała większej ilości alkoholu.

– Nie wiem nawet, z kim ożenił się Sebastian – powiedziała Elly. – Poznałam ją kiedyś?

– Raczej nie. Wtedy byłaś już chyba w Kalifornii, a ona nie pochodziła stąd – odparła Paige. – Nazywała się Jenny O'Donnell. Poznali się, kiedy oboje pracowali w Korpusie Pokoju w Salwadorze. Tam wzięli ślub, by uniknąć weselnego cyrku tutaj. To na bank był pomysł Sebastiana. Wiesz, jak wyglądają śluby w mojej rodzinie.

– Jak u Kennedych – przytaknęła Elly. – Nie żeby moja mama na to narzekała.

Przyjaciółka lekko się uśmiechnęła.

– W każdym razie polecałam do Salwadoru z rodzicami i siostrami na ich ślub. Jenny była śliczna: wysoka szczupła brunetka. Wyglądała tak, jakby w jednej ręce powinna trzymać papierosa, a w drugiej kieliszek martini. Ona i Sebastian mieli ze sobą wiele wspólnego: Liga Bluszczowa, liberalna polityka, ideały dobrego samarytanina.

– Chyba do siebie pasowali.

Paige skinęła głową.

– Rodzicom ulżyło, bo Jenny okazała się „odpowiednią” dziewczyną. Byli też przekonani, że Korpus Pokoju to dla Sebastiana jednorazowa przygoda i w końcu zostanie finansistą jak tata. A ja cieszyłam się, bo Jenny wydawała się normalna. Mój brat miał tendencję do różnych niepozbitowanych kobiet i wariatek.

Umilkła na moment, kiedy kelner stawiał na stole kolejne dwa kieliszki wina i zabierał poprzednie.

– Strasznie trudno mi o tym mówić.

– To może nie opowiadaj.

– Ale chcę. Chyba powinnaś wiedzieć o wszystkim, jeśli Anne naprawdę zbliży się do Sebastiana. Będziesz musiała ją ostrzec.

– Przed czym? – Elly się zaniepokoiła.

– Sebastian z zewnątrz wydaje się normalnie funkcjonować, ale w środku zupełnie się rozsypał – odparł Paige. – Kiedy wrócili z Jenny z Korpusu Pokoju, Seb poszedł do szkoły leśnictwa i zajął się badaniami. Wydawał się szczęśliwy. A Jenny się męczyła. Nie mogła znaleźć pracy, która by ją uszczęśliwiła, i z trudem nawiązywała znajomości. Nie chciała nawet przychodzić na rodzinne obiady. W końcu w ogóle przestała wychodzić z mieszkania.

– Stany lękowe? – zgadywała Elly.

– Tak. I depresja. W końcu poszła do psychiatry, który przepisał jej leki. Wydawało się, że jest lepiej. Potem zaszła w ciążę i odstawiła prochy. I wszystko gwałtownie się posypało.

– Dlaczego odstawiła leki? Z powodu ciąży?

– Nie – powiedziała Paige. – Z tego, co wiem, psychiatra doradzał kontynuowanie leczenia. Ale Jenny należała do tych nawiedzonych, uważała, że musi oczyścić swoje ciało z toksyn. I wkrótce stany lękowe wróciły ze zdwojoną siłą, było gorzej niż przedtem. Przestała sypiać i zaczęła się ciąć.

– Lekarz nic nie mógł zrobić?

– Nikt nie mógł. Jenny zupełnie sfiksowała. – Paige lekko się uśmiechnęła. – Przepraszam. Koszmarne słowo. I nieadekwatne do tego, co się wydarzyło. Ale zachowywała się tak, jakby wszystkie obwody naraz się jej przepaliły. Mózg przestał pracować. Zaczęła miewać ataki paniki i kilka razy trafiła na ostry dyżur z powodu problemów z oddychaniem. W końcu Sebastian odebrał telefon, którego się obawiał: Jenny z premedytacją zjechała z mostu samochodem. Była w siódmym miesiącu ciąży.

Elly zapiekły oczy, kiedy wyobraziła sobie Jenny za kierownicą, desperację, jaką musiała wtedy czuć, rozpacz i szok Sebastiana.

– I to na pewno nie był wypadek? – zapytała.

– Na pewno. Nie zjechała z drogi bez powodu. Samochód był sprawny. Asfalt suchy. W raporcie z wypadku podano, że było to samobójstwo. – Paige otarła oczy serwetką. – Tak mi było szkoda Jenny. I żał jej rodziny. Ale najbardziej Sebastiana. Cieszył się, że zostanie ojcem. Teraz już nie jest taki sam. Dlatego musisz ostrzec Anne.

Elly pomyślała o Anne w małym domku nad morzem, leżącej na podłodze i bawiącej się z Lucy albo z dzieckiem na kolanach oglądającej fale rozbijające się o skalistą plażę na dole. Anne była taka samotna. Chyba potrzebowała Sebastiana, żeby ją pocieszył, a on potrzebował jej. Czy to takie złe?

Życie jest ciężkie. I skomplikowane. Może trzeba szukać pocieszenia tam, gdzie masz szansę je znaleźć, i hojnie się nim dzielić. Ale Paige miała rację: Anne powinna znać historię Sebastiana, jeśli jeszcze jej nie poznała, skoro być może się do siebie zbliżyli.

Szczególnie że wszystko, co się teraz dzieje w życiu Anne, będzie miało wpływ na Lucy.

– Porozmawiam z nią – obiecała i by rozweselić Paige, dodała: – Hej, może pójdziemy się zabawić dzisiaj wieczorem?

Paige spojrzała podejrzliwie.

– Jestem mężatką – oznajmiła.

Elly się zaśmiała.

– Ale nie tak się zabawić. Zapraszam cię do wzięcia udziału w mojej szpiegowskiej misji.

– Kogo szpiegujesz?

– Męża Laury.

– Co robisz? Śledzisz go?

– Tak jest – potwierdziła Elly. – Zamierzam zaparkować niedaleko jego gabinetu i śledzić go po wyjściu z pracy.

– Wow. Agentka 007. Ale dlaczego?

– Żeby sprawdzić, dokąd pójdzie! Jake co wieczór wraca do domu bardzo późno, koło dziewiątej. A kiedy dzisiaj poszłam do jego gabinetu, recepcjonistka powiedziała mi, że gabinet jest otwarty do wieczora tylko dwa razy w tygodniu.

– Laura myśli, że Jake ma romans? Dlatego to robisz?

– Ona nie wie, że to robię. – Elly zagryzła wargę, zastanawiając się, ile zdradzić Paige, ale postanowiła nie wspominać o Jake’u i Anne ani podejrzeniach Laury. To tylko wywoła kolejne plotki. – Chodź ze mną.

Paige zerknęła na zegarek.

– Nie mogę. Przepraszam. Dzisiaj wieczorem mam pogadankę dla rodziców o finansowaniu studiów.

– Brzmi ekscytująco.

– Hej – roześmiała się Paige. – Jeśli będę wiedziała, jak inni ludzie płacą za college, może uda mi się opłacić studia własnym dzieciom. To dla mnie wystarczająco ekscytujące. – Podniosła się i wzięła swoje rzeczy. – Powodzenia. Choć nie wiem, czy powinnam mieć nadzieję, że znajdziesz coś na Jake’a czy nie. Małżeństwo to niełatwe zadanie.

– Racja. Dlatego właśnie siostry muszą sobie pomagać – odparła Elly.

Laura skończyła ostatnią tego dnia lekcję i zapukała do drzwi pokoju Kennedy.

– Jak tam twoja biedna buzia po ortodontyce? – zawołała.

Drzwi się nie otworzyły, odpowiedź nie padła. Laura zapukała ponownie. Chciała szanować prywatność córki i rzadko wchodziła bez zaproszenia. Wiele znajomych mam robiło odwrotnie.

– Skąd będziesz wiedzieć, że wpadła w tarapaty, skoro jej nie sprawdzasz? – zapytała Laurę Meredith po ostatniej szkolnej imprezie. – Znalazłam prezerwatywy

w szafce nocnej Luke'a! I jointa! – zawołała niemal z triumfem.

Ale Laura dorastała z matką, która miała żołnierską obsesję na punkcie czystego pokoju. Wszystkie trzy siostry co rano musiały ścielić łóżka i utrzymywać porządek, jaki panował w pokojach hotelowych. „Na wypadek, gdybyśmy musieli wynająć również wasze pokoje”, powtarzała im matka. Sarah próbowała żartować na ten temat, ale na każdym kroku przypominała im, że mieszkały w budynku służbowym, który miał przynosić dochody. Jeśli kiedykolwiek trzeba by skorzystać z pokoiów dziewczynek, by zarobić, powinny być gotowe na to poświęcenie. Sypialnie nie należały do nich – należały do hotelu.

Laura natomiast powtarzała swojej córce, że jej pokój to sanktuarium, miejsce, które może wyglądać, jak ona je urządzi. To jej prywatna przestrzeń.

– Kennedy? – zawołała znowu. – Jesteś tam?

Kolanem trąciła drzwi. Kennedy nie było w pokoju. Zapewne oglądała w piwnicy jakiś film. Laura ostatnio nie wchodziła tutaj przy zapalonych światłach – kiedy zaglądała, by ucałować córkę na dobranoc, jedynym światłem był blask ekranu iPoda dziewczynki. Teraz zauważyła, że Kennedy pozbyła się wszystkich maskotek. Kiedy to się stało? I gdzie były? Pewnie leżą upchane w szafie. Rozejrzała się i dostrzegła kolejne zmiany: czerwony szal zarzucony na klosz nocnej lampki. Błyszczyki na toaletce. Czarne skórzane buty motocyklowe obok biurka. W jedną noc pokój jej córki stał się pokojem nastolatki.

Laura z trudem przełknęła ślinę. Z jakiegoś powodu przegapiła przemianę Kennedy z pyzatej dziewczynki w kwitnącą młodą dziewczynę.

Podeszła do łóżka i poczuła zapach przypominający woń kadzidła. Moment: to było kadzidełko wetknięte w stojak w kształcie Buddy. Paczuli! Dziedzictwo ciotki Flossie. Laura miała kiepskie kwalifikacje, by być matką nastolatki.

Wyciągnęła się na łóżku. Może tylko na chwilę zamknie oczy, a potem zejdzie na dół, znajdzie córkę i zapyta, co ma ochotę zjeść na kolację. Odwróciła się twarzą do ściany, spuszczać z łóżka brudne nogawki dżinsów. Wciąż miała na sobie stajenne ubrania. Tego popołudnia dała cztery lekcje, później nakarmiła i napoiła konie, i zaprowadziła je do boksów na noc.

Obudził ją śpiew. Piękny głos i stara piosenka, którą rozpoznała: *I Got Rhythm*. Odwróciła się od ściany i z zaskoczeniem patrzyła, jak Kennedy – jej własna Kennedy, w dżinsach i koszulce – stepowała przed lustrem, naśladując ruchy Gene'a Kelly'ego. Film leciał z laptopa, który stał na toaletce. Delikatny, śpiewny alt był zaskakująco czysty.

Kiedy Kennedy zaczęła śpiewać? I tańczyć? Kto ją tego nauczył?

Elly, oczywiście! Gdy nie robiły zakupów na przyjęcie urodzinowe Sarah, zapewne oglądały ten film i ćwiczyły kroki. Laura przypomniała sobie, że Elly coś o tym wspominała.

– Mama chętnie zobaczyłaby swoje córki znowu razem na scenie –

powiedziała przy kolacji kilka dni temu.

– Mnie w to nie mieszaj – zastrzegła się Laura. – Jeśli stanę obok Anne, szybciej na nią splunę. A poza tym nie śpiewam. Już nie.

Patrząc na Kennedy, Laura przypominała sobie czasy, kiedy śpiewały we trzy. Ich głosy łączyły się w sposób tak naturalny, że zawsze się zgrywały. Śpiewały razem, sprząając hotelowe pokoje, polerując srebra albo wykonując inne niewymagające myślenia zadania, które przydzielala im matka. Nagrodą czasami było to, że Sarah włączała się do śpiewu ze swoim mocnym altem i jazzowymi zagrywkami. Matka miała silny i lekko ochrypły głos, z wiekiem dotarło do Laury, że dzięki temu głosowi faceci chcieli stawiać Sarah drinki i iść z nią do łóżka.

Laura czekała, próbując się nie ruszać, dopóki Kennedy nie skończyła śpiewać.

– To było naprawdę dobre. Masz śliczny głos, skarbie. Chyba nie słyszałam go od czasu, gdy byłaś w podstawówce. Pamiętasz ten musical, w którym występowałaś? *Annie*?

Kennedy wzdrygnęła się nerwowo.

– Chciałam być Annie albo inną z sierotek. Zamiast tego kazali mi grać opiekunkę z sierocińca. Mówili, że jestem za duża, by grać dziewczynkę. Ale ja byłam dziewczynką! – Odwróciła się, zaplatając włosy w warkocz, podeszła do łóżka i usiadła. – Chciałam zrezygnować przed przedstawieniem, ale mi nie pozwoliliś.

– Dlaczego chciałaś zrezygnować? Bo nie dostałaś roli, o której marzyłaś? – Laura podniosła się i delikatnie zmusiła Kennedy, by opuściła rękę. Zaczęła splatać jej włosy w dobieranego.

– Nie. Bo jeden chłopak powiedział, że mam cycki jak balony.

Laura gwałtownie westchnęła. O tylu rzeczach nie wiedziała: o przykrościach, kpinach, chwilach, kiedy dziecko chowało się w łazience i płakało.

– Przykro mi.

– Dlaczego ci przykro? Przecież to nie twoja wina. Ten chłopak był debilem.

Laura już miała zwrócić jej uwagę, by nie używała słowa „debil”, ale tylko zagryzła usta i dokończyła warkocz. Tamten chłopak był debilem.

– A więc zaśpiewasz dla babci na przyjęciu urodzinowym?

– Nie wiem. Może. – Kennedy podniosła głowę i dotknęła warkocza. Laura dostrzegła w lustrze, że córka się uśmiechnęła. – Elly mówi, że wszystkie powinnyśmy zaśpiewać. Ty również.

– O nie.

– Dlaczego nie?

– Nie śpiewałam od ponad dwudziestu lat! – odparła. – Mój głos brzmi jak zardzewiała brama.

– Więc musisz poćwiczyć. No chodź. Poćwiczmy razem – zaproponowała energicznie Kennedy. – Jakie znasz piosenki?

– Już niewiele ich znam – powiedziała z westchnieniem. – I powinnam zacząć przygotowywać kolację.

Córka złapała ją za rękę.

– Dopiero kiedy zaśpiewasz! Proszę, mamó. Chcę cię posłuchać. Elly mówi, że zawsze miałaś lepszy głos nawet od niej.

Laura się zaśmiała.

– Elly chce być miłą. To ona miała największą szansę na karierę wokalną.

– Ale jej się nie udało – zauważyła Kennedy.

– Jeszcze nie. Ale może się uda.

Córka pokręciła głową.

– Jest już za stara, mamó.

Laurze nagle zrobiło się żal Elly. Wszyscy przeżywali w życiu takie rozczarowania. Im większe marzenie, tym boleśniejszy upadek.

Przez jakiś czas myślała, że równie dobrze mogłaby umrzeć – wtedy, kiedy straciła dziecko i wiedziała, że musi porzucić sen o wyjeździe na olimpiadę. Gdyby Jake nie był dla niej tak czuły, nie opiekował się nią po poronieniu, nigdy nie wyszłaby z depresji. Wierzył w nią i wiedział, że Laura znajdzie w końcu swoją drogę, odważyła się więc założyć szkołę i udzielać lekcji jazdy.

Szkoda, że Elly nie ma męża albo chociaż chłopaka, który obdarzyłby ją równie wielką miłością i wspierał. Ale siostra wydawała się nie interesować mężczyznami, oprócz tego jednego, z którym pracowała w Kalifornii, z którym czasami rozmawiała, a Laurze zdarzało się to słyszeć. Rozśmieszał ją. Laura widziała imię, które kilkakrotnie wyświetliło się na komórce Elly: Ryder. I tyle. Ale i on od jakiegoś czasu nie dzwonił.

– Jesteś gotowa, mamó? – Kennedy stała przed nią z rękami na biodrach. – No dalej. Zaśpiewam z tobą.

– Nie znam żadnych słów – wykręcała się Laura.

– Na pewno znasz. Co śpiewałaś, kiedy byłaś mała?

– Nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy. – Laura wstała. – Idziemy na dół.

– Nie! Musimy to zrobić. – Kennedy uśmiechała się szeroko. – Jesteś moim więźniem, musisz wyśpiewać sobie drogę na wolność.

Laura westchnęła, ale z trudem powstrzymywała uśmiech.

– No dobra. A może być głupia piosenka?

– Jakakolwiek – z ekscytacją odparła Kennedy. – Może nawet mnie jej nauczysz.

Laura się roześmiała.

– Wątpię, czy chciałabyś ją znać – powiedziała i zaczęła śpiewać *Z pijanym*

marynarzem.

Ku jej zdziwieniu Kennedy dołączyła i zaśpiewały razem kilka wersów. Później padły na łóżko i zaśmiewając się, łapały oddech.

– Skąd znasz tę piosenkę? – zapytała Laura. – Jest stara. Elly cię nauczyła?

– Nie. Anne śpiewa ją małej – odparła Kennedy, po czym gwałtownie zakryła dłonią usta. – O szlag – mruknęła.

Laura zerwała się z łóżka i złapała córkę za nadgarstek.

– Co ty powiedziałaś?

Kennedy podniosła się i usiadła obok, patrząc smutnymi błękitnymi oczami.

– Anne śpiewa tę piosenkę małej. Tak się jej nauczyłam. – Spojrzała spod jasnej grzywki, czekając na reakcję matki.

– Kto ci pozwolił spotykać się z Anne? – zapytała Laura.

– Nie powiedziałaś, że mi nie wolno – wypomniała Kennedy zdecydowanym i obronnym tonem.

– Ale wiesz, co myślę o Anne – nerwowo tłumaczyła Laura, próbując sobie przypomnieć, co właściwie powiedziała córce. Ale nie pamiętała.

Kennedy pokręciła głową.

– Słyszałam, jak mówisz cioci Elly, że nie chcesz, żeby ciocia Anne tutaj przychodziła, ale nie wiem dlaczego – odparła. – Dlaczego, mamó? Co ona zrobiła?

– Nieważne.

– Dla mnie ważne! To moja ciotka! A Lucy jest moją jedyną kuzynką! – Kennedy wstała z łóżka, przeszła przez pokój i usiadła w białym wiklinowym fotelu bujanym. Zwykle leżały na nim pluszaki, teraz siedziała w nim naburmuszona nastolatka. – To, że jesteś na nią zła, nie znaczy, że ja też muszę!

Laura westchnęła. Jak to się stało, że chwilę temu śpiewała i tańczyła z córką, a teraz się z nią kłóci?

– Nie – odpowiedziała z rozmysłem. – Nie musisz być zła na Anne. Nie powinnam zmuszać cię, byś stawała po czyjejś stronie.

Kennedy objęła rękami kolana i lekko kołysała się na fotelu, patrząc spode łba.

– Ale będziesz na mnie zła, jeśli dalej będę się z nią widywać?

– Co to znaczy, że będziesz się z nią widywać? – Laura z trudem kontrolowała głos. – Ile razy tam byłaś? – I jak to możliwe, zastanawiała się, że nie miała pojęcia, gdzie przebywa jej córka?

Kennedy zacisnęła pięści leżące na kolanach.

– Trzy. Żeby zobaczyć małą. Przede wszystkim.

Laura była ciekawa, nie mogła się powstrzymać.

– Jaka ona jest?

– Mała? – Kennedy uśmiechnęła się radośnie. – Jest taka słodka, mamó! Ma

rude włosy jak ciocia Anne! I kręcone! I śmieje się ze wszystkiego. Anne nauczyła mnie karmić Lucy butelką i dwa razy zmieniałam jej pieluszkę!

Laura musiała się uśmiechnąć.

– Na pewno jesteś wspaniałą kuzynką.

– Naprawdę nie będziesz się złościć, że tam chodzę?

– Nie, skarbie, oczywiście, że nie. Po prostu chciałabym wiedzieć, gdzie jesteś.

– Byłaś zajęta – powiedziała dziewczynka. – Zawsze jesteś zajęta. – Znów posmutniała.

Laura wyciągnęła ręce.

– Chodź do mnie.

Kennedy powoli rozwinęła się z kucek i podeszła do łóżka, powłócząc bosymi stopami (z pomalowanymi na niebiesko paznokciami – zapewne kolejny pomysł Elly), aż stanęła przed Laurą. Matka bez ostrzeżenia pociągnęła ją ku sobie i posadziła na kolanach, przytulając.

– Wciąż mieścisz się w moich ramionach – zauważyła, chowając twarz we włosach córki. – I Lucy na pewno nie jest w połowie tak słodka jak ty, kiedy byłaś niemowlakiem.

– Mamo, nie wygłupiaj się – odparła Kennedy, ale oparła się o matczyne ramię jak ciepły, silny tobołek, pół dziecko, pół kobieta.

Elly zaparkowała na ulicy, tak daleko od gabinetu, jak się dało, ale by widzieć drzwi wyjściowe. Kilka minut po piątej dostrzegła recepcjonistkę Jake'a w jasnym płaszczu, który wokół jej chudych nóg wydymał się niczym balon, z zieloną torebką, w której zmieściłaby toster. Kobieta wsiadła do sportowego dodge'a i szybko odjechała. Następna pojawiła się pomoc dentystyczna w czerwonej pelerynie, w której wyglądała jak superbohaterka kreskówki. Nie miała torebki. Elly przyglądała się jej uważnie, spodziewając się, że Jake wyjdzie chwilę później i obejmie tę kobietę – była naprawdę piękna.

Dziewczyna jednak wsiadła do poobijanego sedana prowadzonego przez starszą panią. Zapewne wciąż mieszkała z matką.

Na Jake'a Elly musiała poczekać jeszcze dziesięć minut. Ledwo go rozpoznała. Do pracy pojechał rano rowerem – widziała, jak wyjeżdża w spodniach khaki, których nogawki spiał spinaczami – ale teraz pojawił się w czymś, co wyglądało jak przebranie: w czarnej skórzanej kurtce i czarnych dżinsach włożonych do ciężkich butów. Pod ręką niósł kask, zdecydowanie nie rowerowy. Poszedł na tył budynku. Minutę później wystrzelił z uliczki na czerwonym motocyklu Suzuki i pędem wyjechał z parkingu.

– Co jest, do diabła? – mruknęła, wyjeżdżając za nim.

Elly niemal straciła szwagra z oczu, bo próbowała trzymać się kilka pojazdów z tyłu. Bała się, że Jake rozpozna samochód Laury, jeśli zobaczy go we wstecznym lusterku. W dodatku bez przerwy szybko zmieniał pasy ruchu. Serce Elly biło jak szalone, a kierownicę ścisnęła tak mocno, że bolały ją nadgarstki.

Jake zjechał wiaduktem na drogę numer 128, ale nie skierował się na północ w stronę Rockport, tylko południowym zjazdem w stronę Bostonu. Na autostradzie łatwiej go było śledzić. Elly trzymała się w bezpiecznej odległości, aż oczy zaczęły jej łzawić od wpatrywania się w cel. Bała się nawet mrugnąć.

Jake jechał na południe, na drogę numer 60 w Medford. Elly zjechała dwa auta za nim, niemal zgubiła go w centrum miasta, ale później dogoniła na jednej z bocznych ulic niedaleko Uniwersytetu Tuftsa. Przez moment miała wyrzuty sumienia z powodu swoich podejrzeń – szwagier pewnie odwiedzał tu jakiegoś kumpla ze szkoły dentystycznej.

Ale przecież Tufts mieścił się, owszem, w Bostonie, tyle że niedaleko dzielnicy teatralnej, a więc po przeciwnej stronie rzeki Charles niż Medford.

Kilka minut później Jake wjechał na podjazd trzypiętrowego błękitnego domu z gankami na wszystkich trzech poziomach. Budynek nie różnił się niczym od wielu identycznych przy tej ulicy, oprócz jaskrawego koloru. Biały płot, z którego odłaziła farba, otaczał zapuszczony ogród, o który kiedyś ktoś dbał, a teraz porzucił. Na schodkach stały doniczki z uschniętymi roślinami, między nimi

dynie z wydrążonymi trójkątnymi oczami i spiczastymi zębami. Na ganku zauważyła huśtawkę i rower. Papierowe duchy i dynie zdobiące szyby w oknach na pierwszym piętrze wisiły dość nisko, by mogło je tam umieścić dziecko.

Elly zaparkowała po drugiej stronie ulicy. Jake wyłączył silnik, zszedł z motoru i zdjął kask, a potem wszedł schodkami na ganek. Poruszał się szybko, dwa stopnie naraz. Z daleka można by go wziąć za nastolatka. Nacisnął klamkę i wszedł do środka, nie dzwoniąc żadnym z trzech podświetlonych na żółto dzwonek przy czarnych metalowych skrzynkach pocztowych. Nie wiedziała, do którego mieszkania poszedł. Albo drzwi frontowe nie były zamknięte, albo Jake miał klucz.

Elly zerknęła na zegarek: wpół do szóstej. Laura będzie czekała na męża około dziewiątej. Do tego czasu zajmie się uczniami i Kennedy, a później zrobi kolację i nastawi pranie. Przygotuje posiłek, by postawić go na stole, gdy tylko Jake się pojawi. Poczekaj, by z nim zjeść, i pewnie otworzy butelkę wina. Może wcześniej naleje sobie kieliszek i będzie popijać w trakcie gotowania. Takie miała zwyczaj. Świadomość, że Laura nie ma pojęcia, dokąd jej mąż jeździ po pracy, tak bardzo wkurzyła Elly, że wysiadając z samochodu, mocno trzasnęła drzwiami. Z podobną wściekłością weszła po schodach i pociągnęła za klamkę frontowych drzwi. Zamknięte. A więc Jake miał klucz! Chyba że ktoś, kto tu mieszkał, czekał na niego i go wpuścił.

Cholera. Elly oparła czoło o zimne drzwi. Czy naprawdę chciała wiedzieć, co się działo w środku?

Dla dobra siostry – tak.

Nacisnęła dzwonek mieszkania na trzecim, później na drugim piętrze. Bez odpowiedzi. Kiedy zadzwoniła na pierwsze – w ostatniej kolejności z powodu oczywistych znaków, że mieszka tam dziecko – niemal natychmiast została wpuszczona do korytarza wyłożonego szalonymi chińskimi tapetami – z wzorami mężczyzn w sukniach puszczających latawce, ozdobnych mostów i ptaków na jaskrawym złotym tle. Spodziewała się, że drzwi otworzy jej kobieta, ale przywitał ją mężczyzna. Trzydzieści kilka lat, wąskie ramiona. Miał szczękę wystającą jak u bohatera kreskówki i burzę gęstych czarnych włosów stojących niemal pionowo, jakby nieustannie za nie ciągnął. Typ, który zdawał się zadzierać nosa. Zawadiaka – to staromodne słowo przyszło teraz Elly na myśl.

Mężczyzna się uśmiechnął i na obu policzkach pojawiły się głębokie dołeczki. Elly instynktownie odwzajemniła uśmiech mimo parszywego nastroju. Facet był uroczy i miał zęby równe jak kostki cukru. Można by je possać, pomyślała Elly.

– O, cześć – rzucił swobodnie, wciąż się uśmiechając. – Nie przyjechałaś z pizzą. W czym mogę pomóc?

– Szukam Jake’a.

Mężczyzna zrobił się niemal tak biały jak jego zęby.

– Przepraszam, kogo?

– Jake’a – powtórzyła Elly. – Jake’a Williamsa. – Wsadziła czubek buta między drzwi na wypadek, gdyby mężczyzna próbował je zamknąć. – Powiedz mu, że Elly przyjechała. – Miała ochotę dodać „jego szwagierka”, ale uznała, że pozwoli mu się zastanawiać, czy nie jest żoną.

Facet zerknął na but Elly, potem spojrzał jej w twarz. Miał piękne oczy, ciemne i łagodne. Wyraz jego twarzy był tak oczywisty, że Elly wiedziała, co dzieje się w głowie: zastanawiał się, czy zaprzeczyć, że zna Jake’a, ale postanowił ustąpić bez walki. Westchnął ciężko, jakby nagle uszło zeń powietrze. Ramiona zamknęły się wokół chudej piersi. Elly na nowo oszacowała wiek – był raczej przed trzydziestką.

– Chyba powinnaś wejść – powiedział.

– Pizza jest, pizza jest! – zawołało jakieś dziecko ze środka. Po tym okrzyku rozległ się ostry skrzek przypominający papugę.

Kiedy Elly wchodziła do korytarza, z przeciwnej strony nadbiegł mały chłopiec. To on wydawał skrzeczące dźwięki. Okazał się miniaturką przystojniaka, który otworzył drzwi. Ciemne włosy, ciemne oczy, dołeczki. Był nawet podobnie ubrany – jasna koszulka i džinsy. Wciąż skrzeczał. Elly zakryła uszy, kiedy chłopiec rzucił się do nóg mężczyzny i do nich przywarł.

– Zaraz cię złapię! – zawył jakiś mężczyzna z drugiego pokoju i za dzieckiem pojawił się Jake, schylony niczym potwór, gwałtownie wymachując rękami. Niemal uderzył w drugiego mężczyznę i ledwo udało mu się zatrzymać, kiedy dostrzegł Elly.

– O Jezu – powiedział, wciąż skulony, zerkając na nią spod schylonej głowy. Powoli się wyprostował. – Mój Boże, Elly. Co ty tutaj robisz? – Poruszał szczęką, jakby się zacinała. – W domu wszystko w porządku? Jak mnie znalazłaś?

Obaj mężczyźni i chłopiec patrzyli na nią szeroko otwartymi oczami, jakby Elly przybyła do ich salonu prosto z kosmosu. I tak jej się wydawało, bo nie rozumiała tego, czego właśnie jest świadkiem. Znalazła się w świecie równoległym. Czy Jake wykonywał tu zabiegi dentystyczne *pro bono*? Czy ten człowiek to kuzyn, o którym nie wiedziała? Ale wtedy Jake dotknął ramienia mężczyzny i Elly pojęła. Poczowała, jak w szoku resetuje się jej umysł. Kolana zmiękły. Jake zrobił krok naprzód, wziął ją pod ramię i delikatnie poprowadził przez pokój na kanapę, na której leżało mnóstwo małych metalowych samochodzików. Zrzucił kilka na podłogę i posadził Elly.

– Czy w domu wszystko w porządku? – powtórzył pytanie. – Z Laurą i Kennedy wszystko w porządku?

Elly zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy chłopiec zaczął ciągnąć Jake’a za rękaw.

– Goń mnie, goń mnie! – ponaglał.

Jak z Laurą i Kennedy może być wszystko w porządku, skoro ich mąż i ojciec żyje w kłamstwie?

– Nic im nie jest – odparła. – Nie wiedzą, że tu jestem.

– Hej, Brad – zawołał drugi mężczyzna. – Chodź, pójdziemy na dwór i poczekamy na pizzę! – Ponownie otworzył frontowe drzwi.

Chłopiec przybiegł do niego i wziął za rękę.

– Pizza jedzie, pizza jedzie!

Jake podniósł się, wciąż wyraźnie poruszony.

– Czekaj. Kurtka. Robi się zimno – powiedział.

– Nic mu się nie stanie przez tych kilka minut. Poczekamy przed domem – rzucił mężczyzna przez ramię i zamknął za sobą drzwi.

Elly rozejrzała się po mieszkaniu. Meble w salonie nie były drogie, ale wygodne: kanapa tapicerowana skajem, fotel, pomarańczowo-niebieski dywan imitujący wyrób orientalny, oprawione obrazki na ścianach. W drugim pokoju dostrzegła stół nakryty trzema czerwonymi podkładkami. Na środku stał kryształowy wazon z jesiennymi kwiatami, podłogę pod stołem zajmował skomplikowany drewniany tor kolejki owinięty wokół nóg. Wagony pociągu leżały pod spodem, jakby pospadały z wiaduktów.

– Brad interesuje się różnymi pojazdami – wyjaśnił Jake, podążając za wzrokiem Elly i siadając obok. – Na pewno będzie inżynierem albo budowlańcem. Jest bardzo chłopięcy. – Ostatnie zdanie wypowiedział z rozrzewnieniem, wybudzając Elly z katatonicznego stanu. Jakby spała i dopiero teraz wracała do przytomności.

– Brad jest twoim synem?

Jake skinął głową, z błyskiem dumy w oku.

– Mieliliśmy surogatkę. Oczywiście nie jestem biologicznym ojcem – dodał szybko, widząc wyraz twarzy Elly. – Tylko pomagam Anthony’emu go wychowywać.

– A Anthony to...?

– Właśnie go poznałaś – zauważył Jake.

– Właściwie to się nie poznaliśmy.

– Aha, no tak. Nie poznaliście się. No dobrze, Anthony i ja jesteśmy... on jest... – Jake urwał, żeby odetchnąć głęboko i dokończył: – My się kochamy – wyznał. – Mój Boże, Elly. Nie wyobrażam sobie, co teraz o mnie myślisz. – Jake energicznie potarł dłonie o czarne dżinsy, jakby próbował je rozgrzać, choć w mieszkaniu było wręcz za gorąco. – A może sobie wyobrażam.

Surogatki dużo kosztowały. Elly pomyślała o Laurze, która kupowała ubrania w sklepach z używaną odzieżą i upierała się, by w domu utrzymywać niską temperaturę i oszczędzać na ogrzewaniu. Która prosiła Sarah o pieniądze na czesne

Kennedy.

– Nie wydaje mi się, że powinieneś się martwić o to, co ja myślę, Jake. Powinieneś martwić się o Laurę.

– Ona o tym nie wie.

– Domyślam się. Ale musisz jej powiedzieć.

– Nie mogę! – Jake był przerażony. – Próbowałem, Elly. Milion razy próbowałem. Ale nie potrafię. Nie mogę jej zranić! – W jego głosie słyszała rozpacz. – Wszystko stracę. Kennedy mnie znienawidzi. I co powie kolegom? – Pokręcił głową. – Wiem, jaka jest jej szkoła.

Elly patrzyła na szwagra z niedowierzaniem.

– Ale nie możesz ciągnąć tej gry. Co z Laurą?

– Myślisz, że naprawdę chciałaby wiedzieć? – Twarz Jake'a była tak napięta, że zarys jego czaszki zdawał się wystawać spod skóry, jakby kości policzkowe miały wyskoczyć na wierzch. – Co robi Laura, jeśli się rozstaniemy? Wiem, że ona mnie kocha. Popatrz, ile udało nam się razem stworzyć. Dom. Jej szkoła, mój gabinet. Kennedy! Nie chcę się tego wszystkiego wyrzec, Elly. I nie sądzę, by Laura chciała. Przynajmniej dopóki Kennedy nie pójdzie na studia. Anthony to rozumie. Zgodził się poczekać.

Elly się zastanowiła: Anthony wpuścił ją do środka, nie kazał czekać w korytarzu – może właśnie na taką konfrontację liczył, by sytuacja mogła się zmienić. Był młody, wciąż przystojny. Mieli z Jakiem dziecko.

Potem pomyślała o Anne i o podejrzeniach Laury.

– A co z Anne? – zapytała. – O co wtedy chodziło? Naprawdę coś się stało? Wargi Jake'a nabrały tej samej trupiobladej barwy jak jego cera.

– Coś, tak. Ale nie to, co myślisz.

– Nie wiem, co myślę. Powiedz.

– Byłem wtedy u Anne. Zrobiłem to, co mówiła.

– Ale dlaczego, Jake? Skoro tak naprawdę pociągają cię mężczyźni?

– Nie zawsze pociągali mnie mężczyźni. – Lekko się uśmiechnął. – Albo po prostu nie byłem tego świadom. Z Anne próbowałem się sprawdzić. Wytworzyć coś, czego nie było.

Elly wciąż nie wiedziała, co sądzić.

– Co niby chciałeś „wytworzyć”?

– Pożądanie kobiety. – Jake już się uspokoił, oddychał wolniej, choć znów pocierał dłońmi uda. – Poznałem Anthony'ego na konferencji w Las Vegas, w ten weekend, kiedy Anne przyjechała opiekować się końmi Laury. Był krupierem w jednym z kasyn. Może dlatego, że byłem z dala od domu, ale sprawy się skomplikowały. I to szybko.

– Wróciłeś więc do domu i postanowiłeś skusić się na Anne? – Elly nie chciała rozumieć, ale w jakimś sensie rozumiała. Widziała tę sytuację:

beznadziejną i zawziętą determinację Jake'a, by stać się kimś, kim nie był – heteroseksualnym facetem – którą prawdopodobnie odczuwał przez całe życie.

– Tak – potwierdził. – Anne była w pokoju. Musiałem skusić się na kogoś, kto nie był moją żoną. Jakaś część mnie wciąż chyba miała nadzieję, że to małżeństwo zabrało mi pożądanie. Nie zaś fakt, że chciałem być z mężczyzną zamiast z kobietą.

Elly rozważała jego słowa. Jake dorastał w konserwatywnej katolickiej rodzinie. W college'u grał w lacrosse'a, był członkiem bractwa. Jaka torturą musiała być świadomość, że jest gejem, i niemożność sprawdzenia swojej seksualności. Unieszczęśliwił się, próbując robić, co wypada, dla dobra rodziny. Tak jak Laura. Co za smutna i popaprana sytuacja.

– No więc co naprawdę się wydarzyło? – zapytała.

– Kiedy Anne spała, wszedłem do pokoju gościnnego i ściągnąłem prześcieradło, żeby na nią spojrzeć. Dotykałem się. Ale nic więcej się nie wydarzyło, przysięgam! Nie chciałem jej obudzić. – Przycisnął dłoń do twarzy, na moment zakrywając oczy, potem ją opuścił. – Powiedziałem o tym Laurze, żeby nie wiedziała, co robiłem z Anthonym w Las Vegas, i nie zgadła, kim naprawdę byłem. Kim jestem. Z tego samego powodu pocałowałem Anne na przyjęciu bożonarodzeniowym. Chciałem powiedzieć Anne prawdę. Dlatego poszedłem jej szukać do pubu. Miałem nadzieję, że zrozumie. Może mi wybaczy.

– To strasznie pokręcone, Jake.

– Wiem, wiem. Ale ja nie chciałem być gejem! W college'u byłem tylko z jednym facetem i kilkoma kobietami. Przez lata nie miałem pewności. – Mówił teraz szybko, słowa zlewały się jedno z drugim. – Zakochałem się w Laurze. W tym, kim jest. Ona ma to, co zawsze podziwiałem w ludziach: odwagę i szczerłość. Jest mądra. Wierna sobie.

– To prawda – przytaknęła Elly.

– Myślałem, że potrafię kontrolować swoje uczucia wobec mężczyzn. Kiedy w college'u Laura zaszła w ciążę, uznałem to za znak, że robię dobrze. Zawsze pragnąłem być ojcem. Pomyślałem: no dobra, czasami pociągają mnie faceci, ale przecież potrafię kontrolować swoje uczucia. I udawało mi się, póki nie spotkałem Anthony'ego.

– Ale Laura poroniła. Tego już nie uznałeś za znak?

Jake pokręcił głową.

– Nie. Zresztą nie mogłem jej zostawić. Była w potwornej depresji. Z mojego powodu przestała profesjonalnie jeździć konno. A wiedziałem, że będzie wspinała żonę i matkę. – Oparł się o kanapę, oczy mu lśniły, a szczeka wciąż się zaciskała. – Za to ja jestem głównianym mężem.

Wyglądał tak mizernie, że Elly chciała go pocieszyć. Jake miał rację: Laura go kochała. Uważała, że jest dobry i ciężko pracuje. I zwykle tak właśnie było.

Miała ochotę zabić szwagra za te kłamstwa. Za to, że skrzywdził Laurę. Nawet jeśli ona nie wiedziała, gdzie jest w tej chwili, gdzie zapewne spędzał większość wieczorów i niektóre weekendy, to cierpiała. Wiedziała już, że Jake nie kocha jej tak, jak powinno się ją kochać. Nie było to niewybaczalne. Ale należało to zmienić.

Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Anthony, niosąc pudełko z pizzą. Obok szedł podekscytowany Brad z zaróżowionymi policzkami.

– Mamy ją, tatusiu! – wołał. – Mamy pizzę, mamy pizzę! – Potem wbiegł prosto w ramiona Jake’a.

– Co ja mam robić? – zapytał Jake, spoglądając na Elly znad głowy chłopca.

– Teraz zjemy po kawałku pizzy – wtrącił się Anthony, pospiesznie kładąc pudełko na stole. – Potem razem się zastanowimy, co robić. Tak, Elly?

Siedziała zaskoczona na kanapie, kiedy wszyscy trzej na nią patrzyli, i skinęła głową.

Lucy zasnęła tuż po szóstej. Anne usiadła na kanapie, by sprawdzić mejle. Dostała dwie odpowiedzi w sprawie posady nauczycielki, ale teraz, kiedy matka zaproponowała jej pracę w hotelowej kuchni, Anne zastanawiała się, czy nie zostać w domku Flossie i tutaj pracować. Finansowo to by miało największy sens.

Ciotka jasno zadeklarowała, że chętnie zaopiekuje się Lucy, jeśli Anne chce pracować w hotelu. Miałaby w końcu okazję gotować na pełny etat. A Rodrigo mógł ją wiele nauczyć. I szczerze mówiąc, każda inna opcja wydawała się zbyt męcząca. Albo musiałyby bardzo daleko jeździć, albo płacić kosmiczny czynsz. Pozostawał też przerażający temat żłobka. Anne nie mogła nawet o nim myśleć. Nienawidziła samego pomysłu. Chciała, by Lucy, dopóki jest taka malutka, przebywała z rodziną.

Rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Otworzyła i z zaskoczeniem zobaczyła Sebastiana. Kiedy ostatnio żegnali się po kolejnym wspólnym posiłku, powiedziała: „Ty i twój pies jesteście wolni. Całkowicie wyzdrowiałam! Koniec wyrzutów sumienia. Nie musicie wpadać z jedzeniem i winem i się nade mną użalać, dzięki”. Od tamtej pory się nie widzieli, od czterech dni. Teraz Sebastian w jednej ręce trzymał butelkę białego wina, w drugiej torbę z pobliskiej chińskiej knajpy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Anne się uśmiechnęła.

– Nie żartuj. Lucy zasnęła wcześniej niż zwykle, więc dałam sobie spokój z gotowaniem. Właśnie miałam rzucić się na krakersy.

Sebastian się zaśmiał.

– To tylko miejscowy „chińczyk”, ale chyba może konkurować z krakersami. – Wszedł za nią do salonu i rozgościł w niewielkiej kuchni, podgrzewając jedzenie w mikrofalce i otwierając wino, podczas gdy Anne

wyjmowała talerze i kładła sztucze na blacie.

Anne jadła łąpczywie, pytając, nad czym Sebastian pracował tego dnia. Odparł, że cieszy się, bo dostał z miasta pozwolenie na kolejny rok, by kontynuować badania.

– Wiesz, że w Dogtown straszy? – zapytała.

– Oczywiście. Nie zapominaj, że ja także tu dorastałem – odparł.

– Zawsze się bałam opowieści o Jamesie Merrym.

– O kim?

– Tym facecie, który hodował w Dogtown byka, żeby co roku się z nim siłować, aż zwierzak zabił go w końcu w 1892 roku, kiedy mierzyli się trzeci rok z rzędu.

– Byka chyba nie ma co winić – zauważył Sebastian.

– Racja. Facet sam się prosił – zgodziła się Anne. – Najstraszniejszy jest ten kamień z nazwiskiem Merry’ego i datą jego śmierci wypisanymi czerwoną farbą, żeby wyglądała jak krew.

Nagle oboje zaczęli się śmiać z absurdalności tej historii. Anne musiała odstawić wino, by go nie rozlać.

– Dlaczego tak się cieszysz, że możesz tutaj pracować? – zapytała. – Przecież podróżowałaś po całym świecie. Po co zostawać w Massachusetts?

– Zrozumiałem, że nieważne, jak daleko wyjedziesz, czasami musisz wrócić do domu, by zrozumieć różne sprawy. Zresztą dla takiego faceta jak ja, zainteresowanego związkami między zmianami klimatu a naturalnymi zasobami, Cape Ann to fascynujące miejsce. Tylko pomyśl: ledwie dwadzieścia tysięcy lat temu Nową Anglię pokrywał wielki lodowiec. Potem się stopił, odsłaniając najróżniejsze skały i głazy.

Rozmawiali o historii, o ludziach, którzy przyplýwali do Cape Ann od jedenastu tysięcy lat, poczynając od wikingów i Francuzów.

– Potem był John Smith i europejscy osadnicy, którzy łowili ryby, uprawiali ziemię i handlowali drewnem – mówił Sebastian.

Później odkryto granit, dodał, kamienie brukowe z Cape Ann wykorzystywano w Nowym Jorku, Bostonie i innych miastach. Uśmiechnął się szeroko.

– Mogę mówić o historii całymi godzinami, wybacz. Ale chodzi o to, że ty i ja jesteśmy tylko drobinkami w dziejach świata. Praca w Dogtown codziennie mi o tym przypomina.

– To z pewnością nadaje perspektywę naszym drobnym problemom – zauważyła Anne. Kiedy Sebastian zamilkł i zaczął grzebać w jedzeniu, trąciła go łokciem.

– Dlaczego tak naprawdę tu dzisiaj przyjechałeś? Wyglądasz, jakby coś chodziło ci po głowie.

Sebastian przeczesał dłonią kasztanowe włosy przetykane jaśniejszymi miedzianymi pasmami rozjaśnionymi przez słońce.

– Bo chodzi. Moja siostra Paige widziała się dzisiaj z Elly.

– Serio? To dobrze. Elly nie spotyka się z dawnymi znajomymi. Chyba czuje się trochę zagubiona – powiedziała Anne. – Ja nie jestem dobrą towarzyszką, bo wieczorami nie mogę wyjść z domu. W dodatku to Elly musi organizować zakupy na przyjęcie urodzinowe mamy, które powoli zmienia się w istny cyrk. Elly uważa, że wszystkie powinnyśmy zaśpiewać i zatańczyć do piosenek z *Amerykanina w Paryżu*, bo mama urodziła się w roku, w którym go nakręcono.

Sebastian patrzył na Anne z uniesioną brwią, wyraźnie czekając, aż skończy mówić.

– Gadam bzdury, przepraszam – powiedziała w końcu. – A co wspólnego mają spotkanie Paige z Elly i twoja wizyta tutaj?

– Paige powiedziała Elly, że się widujemy.

Anne natychmiast chciała zaprotestować – przecież Sebastian bywał tu tylko po to, by sprawdzić, jak się miewa, nic więcej. Ale widząc, że mężczyzna odchrząkuje, a potem zrywa się gwałtownie, by umyć talerze, domyśliła się, że to nie koniec rozmowy. Rany. Oby tylko nie zeszli na temat Jake'a. A jeśli Laura opowiedziała Paige tę samą koszmarną historię, a Paige powtórzyła ją bratu? Sebastian był przecież świadkiem nieprzyjemnej konfrontacji w barze między nią, Jakiem i Laurą. A jeśli uwierzył siostrze?

Zaproponował, żeby usiedli na kanapie.

– Kiedy siedzę przy tym blacie, zawsze mam wrażenie, że jestem na przesłuchaniu – wyjaśnił, pokazując nisko wiszącą lampę.

Anne nie zauważyła, że Sebastian jest sporo od niej wyższy. Tak wysoki, że gdy usiadła na kanapie, musiała podwinąć pod siebie nogi, by go nie dotykać, bo męskie ciało zdawało się wypełniać cały pokój.

Jak im się udało uprawiać seks w samochodzie? Oczywiście, byli wtedy niemal dwadzieścia lat młodszy. Bardziej elastyczni. Sebastian pewnie nie miał pojęcia, że był jej pierwszym kochankiem. Wspomnienie tamtej nocy bez zaproszenia pojawiło się w głowie Anne, wywołując na policzkach rumieńce tak gorące, że musiała przyłożyć do twarzy dłoń, by choć lekko ją schłodzić.

– Dobrze się czujesz? – Sebastian zmarszczył ciemne brwi.

– Tak, w porządku. Tylko się denerwuję. Jakoś dziwnie się zachowujesz – odparła, choć pewnie mógł to samo powiedzieć o niej.

– Przepraszam, nie chciałem się dziwnie zachowywać. Czasami nic na to nie poradzę.

– Witaj w klubie. – Anne próbowała się uśmiechnąć, ale dolna warga tak jej zadrzała, że zamiast uśmiechnąć się, musiała ją zagryźć.

Sebastian spojrzał na jej usta.

– Paige nie wiedziała, że masz dziecko. Zdziwiła się, słysząc o tym od Elly – mówił powoli.

Zaskakująca informacja.

– Jak to Paige nie wiedziała? Nie mówiłeś jej?

Potrząsnął głową.

– Uznałem, że to twoja sprawa.

– Czy Paige ma coś przeciwko, że ty i ja się przyjaźnimy?

Uśmiechnął się.

– Nie. Chyba nawet się cieszy.

– Uf, ulżyło mi. – Anne poczuła, że nieco się relaksuje.

Sebastian pochylił się i złapał Anne za kolana tak gwałtownie, aż włosy opadły mu na oczy.

– Paige uważa, że powinienem powiedzieć ci o mojej żonie. Próbuję właśnie znaleźć sposób, żeby zacząć.

– Ale nie musisz – odparła. – To znaczy, jeśli chcesz, oczywiście mów. Ale jeśli wolisz w ogóle nie mówić, zrozumiem.

– Moja siostra ma rację. Muszę ci powiedzieć.

Sebastian zaczął z wahaniem, wypowiadając naraz ledwie dwa czy trzy zdania, robiąc długie przerwy, ale brnął przez opowieść o Jenny: o tym, jak poznali się w Salwadorze, gdzie on zachorował na dur brzuszny i umarłby, gdyby Jenny się nim nie zajęła. O wspólnej decyzji, że to związek, w którym mogą pomóc sobie nawzajem stać się lepszymi ludźmi, a świat uczynić lepszym miejscem.

– Wiem, że to wszystko banały – mówił. – Ale byliśmy młodzi i wierzyliśmy w ideały.

Po powrocie do Stanów Jenny miała problemy z przystosowaniem się do nowej sytuacji. Wpadła w depresję. Chodziła wciąż w tych samych ciuchach. W zlewie piętrzyły się naczynia, dopóki Sebastian nie wrócił z pracy, nie posprzątał i nie dopilnował, by Jenny coś zjadła. Chodziła do kolejnych terapeutów i na kilka tygodni trafiła do szpitala; byli wtedy pięć lat po ślubie. Wydawało się, że leki pomagają. Jenny zaszła w ciążę i przestała brać tabletki, bo jej zdaniem szkodziły dziecku.

– Wracalem z pracy, a ona leżała zwinięta na łóżku, jakby próbowała nie rozpaść się na kawałki – opowiadał.

– Biedaczka – powiedziała Anne. – Przechodziła piekło. Ty również. – Patrząc na Sebastiana, poczuła rosnące napięcie.

– Tak – potwierdził. – Piekło to właściwe słowo.

Jenny była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy Sebastian wrócił do domu i znalazł ją na kuchennej podłodze z nożem w dłoni. Pocięła sobie nadgarstki, choć na szczęście powierzchownie.

– Zadzwońm po pogotowie. Znienawidziła mnie za to, ale bardzo się

przestraszyłem.

Ratownicy przekonali Jenny, by zgłosiła się do oddziału psychiatrycznego miejscowego szpitala, lecz to i tak nie miało sensu.

– Jenny wypisała się na własne żądanie i zniknęła.

Kiedy zamilkł, patrząc w przestrzeń pustym wzrokiem, Anne w końcu dotknęła jego dłoni. Była chłodna, szorstka od pracy na dworze.

– Dokąd pojechała?

Wzruszył ramionami.

– Wciąż nie wiem. Wróciła trzy dni później w tym samym ubraniu, w którym wyjechała. Pewnie spędziła ten czas gdzieś na ulicy.

Tamtego wieczoru Sebastian zadzwonił do Paige. Rozmawiali o przymusowym umieszczeniu Jenny w ośrodku, bo Seb martwił się nie tylko o bezpieczeństwo żony, ale także dziecka. Jenny, która nigdy nie wychodziła z domu, w nocy zabrała kluczyki do auta i odjechała.

– Zostawiła mi list. Znalazłem go, kiedy się obudziłem, a jej nie było ze mną w łóżku.

– Co napisała? – Anne niemal wstrzymywała oddech, tak wielkie czuła napięcie.

– Że mam się nie martwić. – Sebastian pokręcił głową. – Jakby to w ogóle było możliwe. Napisała też, że jedzie na kilka dni do rodziców. Jeśli oni się ze mną zgodzą, dobrowolnie zgłosi się do szpitala. I, Boże dopomóż, postanowiłem jej uwierzyć. Wróciłem do łóżka, a rano miałem zadzwonić do teściów.

– Mogłeś zasnąć? – Anne była zszokowana. Ale też trudno było przewidzieć, jak człowiek zachowa się w trakcie tak ekstremalnego doświadczenia.

Skinął głową.

– Byłem wycieńczony. Psychicznie i fizycznie wyczerpany. Godzinę później zadzwonili do mnie ze szpitala.

Jenny jechała w stronę New Hampshire drogą numer 1 i prawdopodobnie przekraczając most, jak robiła to tysiąc razy wcześniej, z premedytacją skręciła toyotą i wjechała w barierki. Pędziła niemal sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Policjanci napisali w raporcie, że działała świadomie.

– Równie dobrze sam mogłem ją zabić – dodał Sebastian.

– Nie mów tak. To nie była twoja wina! – zaprotestowała Anne. – Zrobiłeś, co mogłeś, by się nią zająć.

– Nie – zaprzeczył. – Tamtej nocy powinienem był ruszyć za nią. Wezwać policję. Zrobić cokolwiek!

– Ale gdybyś próbował prowadzić auto tak zmęczony, równie dobrze sam mogłeś zjechać z drogi!

Sebastian odwrócił się. Anne dostrzegła, że jego orzechowe oczy nabrały koloru mokrej kory.

– Nie. To moja wina, Anne. Jenny wiedziała, że nie zostawiłem jej tylko dlatego, że była w ciąży.

Dodał, że żona prawdopodobnie podsłuchiwała jego wieczorną rozmowę z Paige o przymusowym umieszczeniu jej w szpitalu.

– Myślałem, że śpi. Ale widocznie była na górze schodów, kiedy mówiłem siostrze, że nie mam już siły brać odpowiedzialności za życie Jenny. Moja żona się zabiła, bo wiedziała, że przestałem w nią wierzyć. Wierzyć w nas.

– Och, Sebastianie – szepnęła Anne. – Nie rozumiesz? Nie miałeś innego wyjścia, jak zmusić ją do przyjęcia pomocy. Inaczej nie mógłbyś ufać jej przy dziecku. I nie stanowilibyście małżeństwa.

Spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

– Dziękuję, że to mówisz, ale jesteś dla mnie zbyt łaskawa.

– Nie jestem – zaprzeczyła. – Po prostu przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić. Na pewno czułeś się samotny.

Sebastian lekko się kołysał, wciąż pochylony do przodu, trzymając łokcie na kolanach.

– Czułem się beużyteczny – odezwał się po chwili.

Anne dotknęła go ponownie. Najpierw ręki, potem pleców. Gorąco jego skóry, które poczuła przez flanelową koszulę, odczuła na dłoni niczym prąd elektryczny, ale jej nie zabrała.

– Posłuchaj – mówiła zdecydowanie. – Wszystko, co robiłeś dla Jenny i waszego nienarodzonego dziecka, robiłeś z miłości. Czasami jednak nie wystarczy kochać ludzi, by ich ocalić. Muszą ocalić sami siebie. – Objęła Sebastiana jedną ręką i kołysała się wraz z nim, przyciskając się doń biodrem i udem.

– Rozumiesz teraz, dlaczego moja siostra uważała, że powinienem ci to wszystko powiedzieć. – Sebastian uwolnił się z uścisku. Podeszedł do blatu i dolał obojgu wina.

– Nie – odparła. – Nie do końca. Ale to dobrze, że powiedziałeś. Od bardzo dawna nosiłeś w sobie to wszystko. Najwyższy czas, by się z kimś podzielić.

Skinął głową, a potem odgarnął z oczu włosy niecierpliwym gestem, który Anne zdążyła już poznać.

– Przez jakiś czas chodziłem na terapię. Pomagała, ale tylko przez chwilę. Opowiedziałem kilkorgu przyjaciółom. Ale wiesz, co pomogło najbardziej? Samotność w lesie, praca. Kiedy jestem na dworze, czuję się mniej ważny. Nie wiem, dlaczego to sprawia, że jest mi lepiej.

Anne się uśmiechnęła.

– Wiem, o czym mówisz. Dlatego tak często, jak mogę, siadam z Lucy na ganku albo z nią spaceruję. Kiedy idę do lasu albo nad ocean, czuję się nieistotna, w tej większej perspektywie. Mniej przytłoczona własnymi małymi problemami.

– Nigdy nie mówiłaś nic o ojcu Lucy. – Sebastian wciąż opierał się o kuchenny blat. – Poznałaś go w Portoryko?

Skinęła głową. Brakowało jej ciepła Sebastiana obok, na kanapie, ale nie wiedziała, jak go poprosić, żeby znowu przy niej usiadł.

– Kiedy zaszłam w ciążę, mieszkaliśmy razem. Myślałam, że się rozwodzi. Okazało się, że miał inne plany.

– Chyba cieszysz się, że po tym wszystkim możesz być tutaj, z rodziną?

– Tak. – Anne nie zamierzała wspominać o absurdalnej historii z Laurą ani opowiadać o dziwnym zachowaniu matki wobec niej i Lucy.

Sebastian przeszedł przez pokój i uklęknął przed Anne na plecionym chodniku.

– Cieszę się – powiedział. – I cieszę się, że mogę spędzać z tobą czas. Choć nie będę kłamał, że czasami być przy tobie i Lucy nie jest łatwo. Boli. Boję się, że nigdy nie doświadczę takiej więzi z dzieckiem. Jednocześnie gdy na ciebie patrzę, śmiem wierzyć, że może kiedyś to będzie możliwe.

– To dobrze. – Nic więcej nie powiedziała. Nie musiała. Czowała, że Sebastian nagle zaprosił ją do swoich myśli i do serca. Jakby rozpiął flanelową koszulę i przyciągnął Anne do siebie. Wciąż czuła żar jego skóry pod miękkim materiałem, choć już go przecież nie dotykała.

Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale zacisnęła je tylko w pięści na kolanach. To był zły pomysł. Sebastian za bardzo cierpiał. Ona również.

Czasami jednak złe pomysły masz największą ochotę zrealizować, pomyślała, kiedy Sebastian spojrzał na nią nieco dłużej orzechowymi oczami, teraz ocieplonymi złotem, a potem pochylił się powoli i ją pocałował.

Pachniał winem i sosną, morskimi glonami i wilgotnymi liśćmi. Anne sapnęła z zaskoczenia, czując dotyk ciepłych warg. Potem złapał ją za piersi, tak pełne, że aż jęknął.

Schyliła się, pragnąc wcisnąć piersi mocniej w jego dłonie, poczuć na sobie męskie ciało. Złapał ją, kiedy Anne niemal się na niego przewróciła.

Położył ją na dywaniku obok siebie, potem przetoczył się nad nią, całował włosy, twarz, rozpiął koszulę, a ona rozpięła swoją. Mieli nagie, przyciśnięte do siebie piersi i Anne pomyślała, że nigdy nie czuła większego ciepła niż teraz, nigdy bardziej nie czuła, że żyje.

Minęła dziewiąta wieczorem, ale ani Elly, ani Jake nie wrócili do domu. Pół godziny później Laura napisała esemesy do obojga i w odpowiedzi otrzymała przeprosiny od siostry i męża.

„Coś mi wypadło. Niedługo będę” – pisał.

Wiadomość od Elly była bardziej zaskakująca: „Zostałam z Paige”.

„Co z moim autem?” – zapytała Laura.

„Rano ci je oddam” – przyszła odpowiedź.

Laura tak naprawdę nie potrzebowała samochodu – rodzice ze szkoły Kennedy wozili dzieci na zmianę, w dodatku w domu został lexus Jake’a – ale było jej smutno, że musi spędzać wieczór samotnie. Chciała porozmawiać z Jakiem i Elly o Kennedy.

Spędziły razem wspaniałe popołudnie i wieczór. Zrobiły kolację, śpiewały w kuchni do puszcanych w radiu piosenek, czasem zmyślając słowa i się śmiejąc. Laura nie mogła uwierzyć, że tak szybko wróciła jej radość ze sztuki hałasowania, swobodnego współbrzmienia. Znalazła w końcu coś, czym wspólnie mogły się cieszyć. I zawdzięczała to swojej siostrze.

O jedenastej Jake’a wciąż nie było, a Laura zdążyła się upić. W trakcie kolacji z Kennedy wypić tylko kieliszek wina, ale kiedy córka poszła spać, Laura włączyła nagrany wcześniej telewizyjny show taneczny i dokończyła butelkę, szlochając w trakcie jakiegoś współczesnego numeru wykonywanego przez kalekiego wojennego weterana.

Och, ta ludzka odwaga! Piękno sztuki! I jej własna córka tancerką i wokalistką!

Na stoliku obok zadzwonił telefon stacjonarny. Przez moment Laura myślała, że dźwięk dochodzi z telewizora. Na ten numer nie dzwonił nikt oprócz matki – i to rzadko – ale Jake upierał się, żeby zachować aparat mimo dodatkowych kosztów.

Podniosła słuchawkę, absurdalnie dużą i dziwną w porównaniu do iPhone’a.

– Halo?

– Elly? Tu Ryder.

– Ryder! – zawołała radośnie Laura.

– Nie jesteś Elly – powiedział Ryder podejrzliwie.

– Nie, tu Laura. Jej siostra. – Laura trzymała słuchawkę przy policzku, przypominając sobie, jak to było rozmawiać w młodości przez telefon hotelowy z przyjaciółmi. Matka pozwalała im korzystać z aparatu w recepcji – jedynym w budynku – ale jeśli blokowały linię, robiła awantury.

– Mogłam przez was stracić rezerwację! – wrzeszczała.

W końcu Sarah kupiła elektroniczny minutnik do gotowania jaj, który

ustawiła obok aparatu. Córki miały go włączać w chwili, kiedy podnosiły słuchawkę.

– Moja matka była suką – powiedziała Laura, otwierając oczy.

– Słucham? – odezwał się Ryder.

– Arystokratyczną suką – wyznała Laura, chichocząc. – A my byłyśmy jak trzy małe kopciuszki. Równie dobrze mogłybyśmy być jej przyrodnimi córkami. Szoruj, szoruj, szoruj. Cały dzień, ach, szoruj!

– Lauro, czy dzwonię w kiepskim momencie? U was chyba jest już późno.

– Nie za późno dla mojej siostry i męża! Wciąż są poza domem! – oznajmiła Laura, machając ręką w stronę wyciszonego telewizora. Uczestniczka, którą właśnie wyrzucono z programu, jakaś słynna szefowa kuchni, z dużym biustem, właśnie wyplakiwała sobie oczy na ekranie.

Cóż, widać nadeszła pora, by odeszła. Na każdego przychodzi pora. A ta kucharka tańczyła jak dwie osoby przebrane za muła. Laura znów zachichotała na tę myśl.

– Elly i twój mąż wyszli razem? – Ryder zdawał się zdziwiony.

– Nie, nie, nie. Elly jest ze swoją koleżanką Paige. Znasz Paige? Nie, oczywiście, że nie. To kopciuszek z innej bajki, ha, ha! Jeszcze licealnej! A ty jesteś jej kolegą z Kalifornii! Hej, dlaczego nie dzwonicz do niej na komórkę?

– Nie odbiera. Twój numer znalazłem w sieci.

– Aha. – Dziwne. Elly zawsze odbierała telefon. Ale Laura ucieszyła się, że Ryder zadał sobie trud, by wyszukać numer stacjonarny. Siostra zasługiwała na zalotnika. Gorącego zalotnika! Bo głos miał bardzo gorący! Każda kobieta tego potrzebowała. – Może śpi – zasugerowała Laura. – Albo padła jej bateria. Chyba nie zakładała, że spędzi noc u Paige. Ładowarkę pewnie zostawiła tutaj.

– No dobra – rzucił Ryder. – Cóż, dzięki. Spróbuję się dodzwonić jutro. Miło się rozmawiało.

– Czekaj! – wrzasnęła Laura.

Zapadła cisza, a potem Ryder się odezwał.

– Tak?

Ma taki miły głos, pomyślała tęsknie Laura. Głęboki. Wyobraziła sobie szary garnitur, rozpiętą białą koszulę. Blondyn, który w wolnym czasie surfował.

Nie, nie, surferów wołała Anne. Elly lubiła łobuzów.

– Jesteś łobuzem, Ryder? – zapytała swobodnym tonem.

Zaśmiał się.

– Zazwyczaj nie.

Śmiech też miał uroczy. Spokojny i ciepły. Laura zamknęła oczy, pławiąc się w jego dźwięku.

– Powinieneś wpaść z wizytą – powiedziała.

– Do was?

– No pewnie! – Zmusiła się do otwarcia powiek. Program taneczny się skończył, włączyły się ponure wiadomości. Przy wyłączonym dźwięku prowadząca wyglądała płasko, zbyt chuda w błękitnej sukience bez rękawów. – Ryder? Pracujesz dla telewizji, prawda?

– Właściwie to jestem operatorem. Głównie teledysków i reklam.

– Ale siedzisz w tym biznesie! – Laura machnęła ręką w powietrzu. Fajne uczucie. Zrobiła to jeszcze raz. – Powiedz mi, dlaczego kobiety w telewizji nie mogą mieć rękawów, ale faceci mogą nosić garnitury? Przecież te biedaczki zamarzną na śmierć.

Znowu się zaśmiał.

– To wina Michelle Obamy i jej wyrzeźbionych ramion.

– Aha. – Laura wciąż machała ręką, powolnym ruchem palców na przemian zasłaniając i odsłaniając zmarzniętą dziewczę na telewizyjnym ekranie.

– Chciałbym zobaczyć Nową Anglię – mówił Ryder.

– Nigdy tu nie byłeś?

– Nie. Nie byłem dalej niż w Idaho.

Oczy Laury znów zaczęły się zamykać.

– A jak tam było, w Idaho?

Próbowała przeciągnąć ostatnie słowo tak, jak robił to Ryder. Jak miód.

– Tak pięknie, że rzuca na kolana.

– Na pewno. – Laura westchnęła. – Cóż, Massachusetts to nie Idaho. Ale Cape Ann nie jest złe. Powinieneś przyjechać, dopóki Elly tu jest. – Nagle wyprostowała się, wpadając na doskonały pomysł. – Hej! Potrafisz obsługiwać kamerę, prawda?

– Jestem operatorem kamery. Zgadza się, no raczej. – Ryder mówił bardzo poważnym głosem. Może wiedział, że Laura zamierza powiedzieć coś bardzo istotnego.

– Za trzy tygodnie moja matka ma urodziny! – oznajmiła. – Musisz przyjechać i je nakręcić! To bardzo ważne urodziny. Sześćdziesiąt pięć lat, ale wygląda na sześćdziesiąt dziewięć!

– Słucham?

– Żarcik taki, ha, ha! – Laura śmiała się tak gwałtownie, że łzawiły jej oczy.

– Ale nie żartuję, mówiąc, że potrzebujemy dobrego operatora, żeby nakręcić imprezę. Mógłbyś to zrobić? Oczywiście zapłacimy.

– Nie musicie mi płacić – odparł Ryder. – Chętnie przyjadę.

– Super! Będziesz oczywiście mieszkał u nas.

Podawała mu datę przyjęcia i się rozłączyła. Rozwiązała kolejny problem. Wszystkim potrafiła się zająć, prawda?

Kiedy Jake przyjechał, zdążyła już zasnąć na kanapie. Laura uśmiechnęła się do męża, a potem skrzywiła, widząc zegar za telewizorem. Dochodziła północ!

– Gdzie ty byłeś, do diabła? – zapytała i natychmiast pożałowała ostrego tonu. Brzmiała jak gotowa na wszystko gospodyni domowa z serialu, i to bynajmniej nie z inteligentnych seriali z Netflixa.

– Przepraszam – powiedział Jake.

– Daruj sobie przeprosiny! Lepiej mi to wymaśnij! – Laura oblizała usta i się poprawiła: – Wyjaśnij!

– Jesteś pijana, skarbie? – Jake podszedł do kanapy, ale zatrzymał się przed nią.

– Nie – odparła i wstała, by z trudem przejść pozostałą odległość. Jake miał przewagę, patrząc na nią z góry. – Już nie. A ty? Jesteś pijany? Mam nadzieję. Tylko tak możesz wytłumaczyć, że przyjechałeś tak późno, chyba że miałeś jakiś cholerny wypadek. – Na samą myśl Laura złapała się za gardło, ale Jake wyglądał na zdrowego.

Westchnął. A potem jej sprawny, rozsądny, ciężko pracujący mąż padł. Dosłownie, jakby ktoś przeciął sznurki trzymające go w pionie, ciało Jake’a osunęło się na podłogę. Potem przewrócił się na bok i przyciągnął kolana do piersi, obejmując je.

– Lauro – jęknął. – Mój Boże, Lauro. Co my teraz zrobimy?

Zaniepokojona i przestraszona już Laura okrążyła stolik kawowy i opadła na podłogę obok Jake’a. Potarła jego ramiona.

– Co się stało? Jesteś chory? Masz gorączkę? Zawał?

– Nie, nie, nie – jęczał dalej.

– Jake, przestań! Przerażasz mnie! – Laura położyła mu dłoń na czole. Ciepłe, ale nie gorące.

– Nie, nie – ciągnął Jake. – Mój Boże, nie. Nie dam rady. Nie mogę tego zrobić!

Laura nie wiedziała, czy jęczy ze zdenerwowania, czy naprawdę szlocha. Pohamowała się, by nie wymierzyć mu policzka. Czyż nie to powinno się robić, gdy ktoś wpada w histerię?

– Spójrz na mnie! – zażądała. – Muszę zobaczyć twoją twarz.

Kiedy w końcu się do niej odwrócił, oczy miał suche, ale zaczerwienione, jakby bez powodzenia próbował zmusić się do łez. Zauważyła spękane usta i nos. Może się przeziębził?

– Jake. – Laura już zupełnie wytrzeźwiała. – Co się dzieje?

– Nasze życie jest skończone! Skończone! – zawodził. – I to tylko z mojej winy. Tak mi przykro, Lauro. Boże, przepraszam.

Przysiadła na piętach.

– Nie odstawiaj teatru – rzuciła. – Co się stało? Miałeś w pracy kiepski dzień?

– Kiepski dzień w pracy? – powtórzył Jake.

– Tak.

Zaczął się śmiać. Nagle cicho, a potem histerycznie, ha, ha, ha, ha, ha, jak jeden z tych przerażających klaunów, którzy gonili cię ze sztuczną piłą łańcuchową w nawiedzonym dworze na jarmarku.

– Mój Boże. Zły dzień w pracy! Gdyby o to chodziło. Gdyby ktoś pozwał mnie za źle zrobiony mostek! Leczenie kanałowe, które poszło nie tak! Lauro, oddałbym wszystko, co mamy, gdyby o to chodziło.

Laura ciężko opadła z powrotem na dywan, podwijając pod siebie nogi.

– No cóż, ja bym nie oddała. Kocham to, co mamy – oznajmiła. – Ciebie i Kennedy. Nasz dom. Stajnie. Więc nie, nie oddałabym tego wszystkiego za lepszy dzień w pracy. Gadasz bzdury, Jake. Może napijesz się kawy i przestaniesz histeryzować. – Wstała z podłogi. – Poczekaj tutaj. Zrobię kawę.

– Nie. Nie potrzebuję kawy. – Mówił już bardziej zdecydowanie. – Posłuchaj, przepraszam.

– Przestań wreszcie przepraszać.

– Nie mogę. I pewnie przeproszę cię jeszcze ze sto razy dzisiaj wieczorem. Może będę przepraszał każdego dnia do końca życia. – Jake obiema rękami potarł twarz i wstał, lekko się kołysząc. – A ty nawet nie wiesz dlaczego, prawda, Lauro? Nie masz pojęcia. – Pokręcił głową, już zupełnie poważny. – Nie masz cholernego pojęcia.

Stała naprzeciwko niego, przez moment nie wiedząc, co powiedzieć. O co chodziło z tymi zmianami nastroju? Jake zawsze był taki opanowany. Wszyscy wiedzieli, że można mu ufać, bo jest spokojny. Ostrożny we wszystkim, co robił.

Tylko nie w przypadku Anne. O Jezu. Żeby tylko nie chodziło o Anne.

– A więc mnie oświeć – zażądała.

Wyczytał z jej miny, o czym myśli.

– To nie ma nic wspólnego z Anne ani z żadną inną kobietą, jeśli o tym myślałaś.

– Tak, myślałam – przytaknęła, zakładając ręce. – Dziwisz się?

– Nie. Wiesz równie dobrze jak ja, że nasze małżeństwo nie istnieje. Wiesz o tym od jakiegoś czasu, prawda?

Laura przeszła na kanapę i ciężko na niej usiadła. Poduszki były jeszcze ciepłe po tych niewinnych godzinach, podczas których siedziała tu, oglądając telewizję, pijąc wino, czekając, aż mąż wróci do domu.

– Nie bądź śmieszny. Nic takiego nie wiem. Jeśli coś jest nie tak z naszym związkiem, po prostu to naprawimy.

– Nie – zaprzeczył. – Nie naprawimy. Przepraszam. – Jake obszedł stół kawowy, by usiąść obok Laury na kanapie, w bezpiecznej odległości. By nie dosięgnął go policzek.

– Dlaczego nie? – Złożyła ręce na kolanach.

– Bo jestem gejem.

Słyszała, co mówi, ale słowa nie miały sensu. Uśmiechnęła się do Jake’a.

– To śmieszne. Jak możesz być gejem? Znamy się od dwudziestu lat!

Milczał, tylko na nią patrzył.

Nie miała wyjścia, musiała przyjąć to, co powiedział, w ich cichym domu, czując na sobie wzrok męża, który czekał, aż Laura zrozumie.

College. Lacrosse. Imprezy. Cięża i oświadczyzny. Poronienie: Jake był czuły i troskliwy, nalegał, by mimo wszystko się pobrali.

Ale przedtem: Laura wiedziała już, że coś jest nie tak. Że ich powściągliwy, rzadki seks to coś innego niż większość koleżanek przeżywała ze swoimi chłopakami na studiach, a nawet po studiach. Jake jest dżentelmenem, mówiła tym niewielu przyjaciółkom, z którymi rozmawiała otwarcie o seksie. Szanuje moje potrzeby. Jake nie lubi się narzucać, tłumaczyła. Zawsze czekał, aż ona zainicjuje seks. Przed Jakiem Laura nic nie wiedziała o seksie. Czekala na mężczyznę, którego będzie chciała poślubić. Tłumaczyła sobie, że różni ludzie mają w sobie różny poziom namiętności. Wiedziała też jednak od bardzo dawna, że w jej życiu namiętności brakuje. Też wiedziała już dlaczego. Jak mogła być tak ślepa?

– Boże, Jake. – Laura zakryła dłońmi twarz, oddychając w ręce, jakby były papierową torebką, bo czuła, że ogarniają ją mdłości. – Od jak dawna wiesz?

– Od jakiegoś czasu.

– Od jak dawna? – powtórzyła, opuszczając ręce.

Westchnął.

– W college’u myślałem, że jestem biseksualistą. Rozumiesz, trochę eksperymentowałem. Potem poznałem ciebie i się zakochałem. Chciałem z tobą spędzić życie. Wciąż cię kocham. Wciąż tego pragnę!

– Przestań – przerwała mu głosem ochryplym od wstrzymywanych łez. – Proszę, przestań.

– Ale to prawda! – zawołał. – Kocham twoje ciepło, twoją dobroć, twoją umiejętność rozwiązywania problemów, twoją rodzinę. Ciebie, Lauro! Kocham ciebie i nasze życie z Kennedy. Trwałem w tym małżeństwie, bo nie chciałem zranić żadnej z was. Jesteście dla mnie wszystkim. Jesteście moją rodziną!

– Dlaczego teraz mi to wszystko mówisz? Miałeś jakieś wielkie objawienie?

– Laura wpatrywała się w Jake’a, dostrzegając siny cień nadchodzącego zarostu, zmęczenie w oczach. – Poznałeś kogoś.

Ku jej przerażeniu skinął głową.

– Kiedy?

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma!

– Trzy lata temu. Poznałem go na konferencji w Las Vegas – dodał i opowiedział o Anthonym.

A potem, gdy Laura nalegała, by wyznał również szczegóły, których potem wolałaby nigdy nie poznać, Jake opowiedział, jak w ciągu ostatnich lat znajdował czas na spotkania z Anthonym, mówił o ich domu w Medford. I o wspólnym synu.

Syn! Laura poczuła, że ogarniają ją mdłości. Jake siedział przed nią na podłodze, po turecku, zaciskając ręce. Mogłaby zwymiotować prosto na niego. Doskonale.

– Anthony ponosi większość wydatków, ale on ciągle studiuje, próbuje zrobić dyplom – mówił Jake. – Dlatego pieniądze...

Przerwała mu.

– Nie chcę słuchać o pieniądzach. Co z Anne?

Wzruszył ramionami.

– Między mną a Anne nigdy nic nie było.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas ona mówiła prawdę? Że przez ciebie straciłam zaufanie do własnej siostry bez powodu? Musiałam stanąć po czyjejś stronie, Jake. I wybrałam ciebie!

– Przepraszam. Nienawidzę się za to. Ale tak. Anne mówiła prawdę.

Laura zacisnęła dłonie w pięści i wyobraziła sobie, że uderza nimi w pierś Jake'a. Sprzeda mu liścia, cokolwiek to znaczy. Wyrządzi trwałe szkody przystojnej twarzy tego zdrajcy. Wyobrażała sobie, jak go podpala, a potem toczy po dywanie, by uratować życie, ale dopiero, gdy zacznie wyc z bólu, tak jak ona wyla teraz w głębi serca.

Potem pomyślała o czymś jeszcze i przeszedł ją dreszcz.

– Badałeś się?

– Tak. Nic ci nie grozi. Nic nam nie grozi. A ja i on zawsze się zabezpieczamy.

– Na Boga – jęknęła Laura, pochylając się do przodu i chowając twarz w poduszkę utrzymaną na kolanach. Gdyby tego nie zrobiła, rzuciłaby się na męża, gryząc i drapiąc aż do krwi. – Jak mogłeś, Jake. Jak mogłeś?

– Nie mogłem inaczej – odparł. – Taki już jestem, Lauro.

I stało się: Jake w końcu mówił prawdę, całą prawdę, być może pierwszy raz w ich wspólnym życiu, niszcząc tym wszystko.

Praca w kuchni z Rodrigiem okazała się zaskakująco naturalna. Anne czuła się jak w domu wśród szybkich uderzeń siekających noży, łyżek bijących w metalowe gary, unoszącej się pary, półek z przyprawami i koszy świeżo pokrojonych ziół.

Może czuła się tak swobodnie, bo bawiła się tu jeszcze jako dziecko. Jeśli Flossie nie mogła się zająć Anne, Sarah czasami oddawała ją pod opiekę Rodriga. „Siadaj” – mówiła. „Pomóż przesiewać mąkę”. Albo: „Stój na tym stołku i mieszaj sos. Jak zgęstnieje, zawołaj Rodriga”.

Anne mogła też układać sałatki albo garnirować dania i zupy. W hotelu

podawano trzy posiłki dziennie przez siedem dni w tygodniu. Na śniadanie zwykle był to bufet i na bieżąco przygotowywane omlety, ale na lunch i kolację goście mogli wybierać spośród dwóch chowderów i dwóch zup, kilku sałatek, przynajmniej pół tuzina standardowych dań oraz specjalności kuchni.

Wahadłowe drzwi jadalni oddzielały kuchnię, w której panowało szaleństwo przygotowań, od spokojnej sali, w której w chłodne dni i wieczory rozpalano kominek, a o każdej porze roku stawiano na stołach świeże kwiaty. Używano wyłącznie porcelanowych talerzy i srebrnych sztućców oraz kieliszków z tak cienkiego kryształu, że Anne jako dziecko myślała, iż mogłyby być zrobione z wygładzonych warstewek lodu.

Na początku każdego posiłku Rodrigo przyglądał się z niepokojem gościom, czekając na znak, że jego dania nie tylko są zjadane, ale także dają przyjemność. Anne robiła to samo: kiedy gotowała w Portoryko, zrozumiała, że potrafi czytać mikrozmiany w wyrazach twarzy klientów, jeszcze zanim skończyli coś próbować.

Kilkanaście lat temu Rodrigo był hałaśliwym, temperamentnym i dość młodym kucharzem, który potrafił nieustannie zabawiać wszystkich opowieściami o swojej wielkiej brazylijskiej rodzinie albo w sekundę zmrozić cię spojrzeniem. Teraz miał już chyba sześćdziesiąt lat, stał się przysadzistym, milczącym, pełnym godności mężczyzną, którego ciemne włosy przetykały srebrne nitki. Gdyby ubrać go w garnitur, mógłby uchodzić za prawnika.

Mimo brazylijskiego pochodzenia Rodrigo przyrządzał dania typowe dla Nowej Anglii – homara, łopatkę jagnięcą, antrykot – oraz przepisy wymyślone specjalnie dla Hotelu nad Zatoką Szaleńców, na przykład kremowy makaron Alfredo z kurczakiem, szpinakiem i karczochami.

Jako szef kuchni Rodrigo nadzorował cały personel. W tym między innymi Doris, szczupłą czterdziestokilkulatką z dużym nosem. Niedawno awansowała na zastępcę szefa kuchni, kiedy jej poprzednik odszedł do pracy w hotelu w Danvers, o czym opowiadała teraz Anne, oprowadzając ją po kuchni.

– Rodrigo dba o najdrobniejsze szczegóły we wszystkim, co robimy – ostrzegła. – Na przykład o jakość pietruszki wykorzystywanej do garniowania ziemniaków i o to, czy jagnięcina dla gościa na pewno jest *medium rare*, jak prosił. Jeśli więc zobaczysz, że coś jest nie tak, od razu mów.

Anne myślała, że zacznie jako pomocnica kucharza i może pozwoli jej siekać warzywa do sałatek, ale kiedy opowiedziała Rodrigowi, co robiła w Portoryko, od razu postawił ją przy kuchni. Tempo i obowiązki były do przyjęcia, szczególnie że pracowała obok cukiernika i kucharza odpowiedzialnego za warzywa. Pozostałymi pracownikami kuchni w Hotelu nad Zatoką Szaleńców byli mężczyźni, młodszy od Anne, prawdopodobnie przed trzydziestką. Poznali się w miejscowej szkole gastronomicznej, a Rodrigo poprosił, by przyszli w poniedziałek z Anne, chciał bowiem wypróbować kilka nowych przepisów.

Anne miała zmianę od jedenastej do ósmej, z popołudniową przerwą wystarczająco długą, by mogła piechotą wrócić do domku i nakarmić Lucy. Flossie oznajmiła, że dziewczynka zachowywała się „jak złoto”, kiedy Anne wróciła w poniedziałek o ósmej wieczorem i nakarmiła Lucy jeszcze raz, zanim położyła ją spać. Flossie nie spieszyła się do domu. Zjadły wspólnie piezzonego kurczaka, piure ziemniaczane i kabaczka, które Anne przyniosła z pracy, i otworzyły chardonnay.

– Nie wiem, jak ci dziękować, że opiekujesz się Lucy – powiedziała Anne, kiedy wino ogrzało jej gardło i rozluźniło ramiona. Rozmasowała sobie kark. – Do weekendu znajdę opiekunkę.

Flossie machnęła ręką.

– Nie ma potrzeby. Popilnuję szkraba. Mogę ją zabrać na lekcje bębnow, a w weekend prowadzę tylko jedno zajęcia jogi. Moje uczennice nie będą miały nic przeciwko, jeśli do nas dołączy. Ustawię jej kojec w studiu. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Nauczę ją pozycji psa i intonowania „om”, zanim się zorientujesz.

Potem rozmawiały o Rodrigu i kuchennym personelu. Anne słyszała ocean wzdychający na dole i wyobrażała sobie czarną lśniąca wodę pod pełnym księżycem, rozbijającą się białą pianą o brzeg. Przypomniała sobie pewien równie księżycowy jesienny wieczór, kiedy miała szesnaście lat i rozpaczała po jakimś chłopaku. Opłakiwała też rozstanie z Elly, która wyjechała do college’u. Anne jak zwykle przyszła wtedy po pocieszenie do Flossie. Ciotka zachęcała ją, by opowiedziała o tamtym chłopaku, a nawet trochę popłakała. Potem zaprowadziła Anne na plażę. Stały bosy w zimnym wilgotnym piasku Zatoki Szaleńców, patrząc na wściekłą, czarną jak węgiel wodę i lśniąca białą ścieżkę na powierzchni rzucaną przez księżyc.

Nagle tuż pod księżycem z wody wynurzyło się trio wielorybów fałdownców, aż Anne westchnęła z przejęcia.

– Widziałaś to, ciociu Flossie? Widziałaś? – Podskakiwała na piasku, zapomniawszy o złamanym sercu.

Flossie się wtedy zaśmiała i powiedziała, że często widuje te zwierzęta żerujące przy Jeffrey’s Ledge. Podała też różne fakty o wielorybach, a niektóre z nich Anne wciąż pamiętała: że płetwal błękitny jest większy od wszystkich dinozaurów, ma serce wielkości samochodu i słychać go nawet z pięciu kilometrów. Że białucha arktyczna potrafi naśladować ludzką mowę, a fałdownce uczą się od siebie nawzajem piosenek.

– Chciałabym, Anne, żebyś coś zapamiętała – mówiła Flossie, kiedy tamtego wieczoru wracały do domku. – Jesteś tylko małym stworzeniem w nieskończonym wszechświecie cudów. Otwórz oczy na wspaniałości wokół siebie, wtedy uda ci się na drobiazgi spojrzeć z dystansem. W porównaniu do tego, co nas otacza, nawet

miłość to drobiazg.

Teraz, patrząc, jak Flossie wstaje ze stołka i myje swój talerz, a potem ostrożnie stawia go na suszarce obok zlewu, Anne poczuła nagły przypływ miłości. I zapagnęła kupić ciotce jakiś prezent.

– Kiedy masz urodziny? – zapytała, kiedy Flossie brała płaszcz, zbierając się do wyjścia.

Ciotka się uśmiechnęła. W słabym świetle wyglądała teraz jak druid, który z radością zamieszkałby w pniu drzewa.

– Nie wierzę w urodziny. Nie ma sensu świętować dnia, w którym się urodziłaś. Czas to sztuczny ludzki twór. Każdy dzień powinien być celebracją życia.

– No przestań – odparła Anne. – Po prostu mi powiedz.

– Nie. – Flossie włożyła kurtkę, nie przestając się uśmiechać.

– Dlaczego?

– Bo jeśli ci powiem, zrobisz coś głupiego, na przykład urządzisz mi przyjęcie. Nie chcę, by ktoś robił wokół mnie zamieszanie. Oszczędzaj energię na urodziny swojej matki.

Anne spojrzała na Flossie pytająco, wciąż myśląc o tamtej nocy na plaży, kiedy miała szesnaście lat.

– Byłaś kiedyś zakochana? – zapytała.

– Oczywiście. Wszyscy się zakochujemy.

– A byłaś zakochana wiele razy? Czy tylko raz?

– Byłam zakochana wiele razy. I pewnie zakocham się znowu, dopóki wciąż jestem po tej stronie darni. – Flossie poprawiła kołnierz.

– No dobrze, ale kto był twoją pierwszą prawdziwą miłością?

– Nie chcesz słuchać tych bzdur – odparła ciotka.

– Chcę!

Flossie westchnęła i wróciła na kanapę.

– Dobrze zatem. Rozweseleń cię. – Usiadła i rozpięła kurtkę. – Był Brytyjczykiem. Poznałam go we Francji, gdzie uczyliśmy się w tym samym klasztorze. We Francji istnieje długa tradycja edukowania ludzi Zachodu w tybetańskim buddyźmie głównie dzięki wpływowi Alexandry David-Néel.

– Kogo?

Flossie spojrzała na bratanicę z politowaniem.

– Skarbie, naprawdę powinnaś więcej czytać – zwróciła jej delikatnie uwagę. – David-Néel była francuską badaczką, feministką i spirytualistką, która odwiedziła Tybet, gdy jeszcze był zamknięty dla obcokrajowców. Napisała około trzydziestu książek i miała ogromny wpływ na beatników takich jak Jack Kerouac i Ginsberg. O nich, zakładam, słyszałaś?

Anne zrobiła oburzoną minę.

– Skończyłam studia.

– Tak, no cóż, byle nie był to koniec twojej edukacji.

Przytyk Flossie po raz kolejny był subtelny, ale Anne wiedziała, że ciotka nie żartuje.

– No dobrze. Wróćmy do miłości twojego życia – poprosiła. – Jak miał na imię?

– Clark. – Ciotka wymówiła to imię z czułością. – Był ode mnie starszy, zdążył się już ożenić i rozwieść. Podróżował po świecie i miał się różnych dziwnych zajęć. Taki trochę cygan. – Uśmiechnęła się. – Diabelnie przystojny, szczególnie pociągający dla takiej nijakiej dziewczyny jak ja.

– Nigdy nie byłaś nijaka! – zaprotestowała Anne.

– Tak, cóż, nigdy nie byłam też zbyt piękna. Nie to co wasza matka albo ty i twoje siostry – zauważyła Flossie. – W każdym razie myślałam, że poznałam bratnią duszę. Razem uczyliśmy się w klasztorze i przez jakiś czas wspólnie pracowaliśmy. Pojechaliśmy do Tajlandii, gdzie uczyłam angielskiego, do Nepalu i na Bali. W przerwach wracaliśmy do klasztoru, w którym Clarka zatrudniono w końcu do opieki nad ogrodami, bo przyjmowano tam coraz większą liczbę uczniów. Nie wszyscy chcieli oczywiście zostać mnichami czy zakonnikami. Niektórzy po prostu studiowali buddyzm, by stosować go we własnym życiu. Pomagałam czasami w lekcjach dla początkujących i pracowałam w kuchni. – Uśmiechnęła się. – Wyobraź sobie, ja w kuchni! To cud, że nikogo nie otrułam.

– Flossie, co się stało z Clarkiem? – dopytywała Anne, pragnąc usłyszeć resztę opowieści.

– Próbował zdecydować, czy zostać w klasztorze na pełny etat, kiedy zadzwonił do mnie Neil, błagając, bym przyjechała do domu na jego ślub. – Flossie rozłożyła dłonie i przyglądała się im, jakby odzwierciedlały jej podróż wypisaną na stwardniałej skórze. – Oczywiście pojechałam do domu. Nie mogłam przegapić wesela własnego brata. – Przełknęła ślinę, wciąż wpatrując się w swoje dłonie. – Wkrótce po tym, jak wróciłam do Francji, Clark podjął decyzję.

Anne położyła rękę na dłoni ciotki.

– Został mnichem?

Flossie uniosła wzrok i skinęła głową.

– Oczywiście nie mogę go za to winić. To był dobry wybór. Clark nigdy nie pasował do prawdziwego świata.

– A nie zastanawiasz się czasami, co by się stało, gdybyś wtedy została we Francji?

– Płacz nad rozlanym mlekiem. – Flossie machnęła lekceważąco ręką. – Wkrótce potem opuściłam klasztor, przez jakiś czas podróżowałam samotnie, uczyłam angielskiego w różnych miejscach i próbowałam znaleźć własne. Po narodzinach Elly wróciłam do Zatoki, by pomóc, a potem pojawiłaś się ty. Byłyście

moją nagrodą. Udało mi się zakochać później jeszcze kilka razy. Nic poważnego, ale dostarczało mi rozrywki. Mam dobre życie. – Uśmiechnęła się szeroko, potem ścisnęła dłoń Anne i wstała, ponownie zapinając kurtkę.

Anne odprowadziła ciotkę do drzwi, przy których Flossie pocałowała ją w policzek na dobranoc i niespodziewanie przytuliła.

– Wszystko dobrze? – Anne potarła szczupłe plecy ciotki.

Flossie odsunęła się i skinęła głową. Miała zarumienione policzki i siwe włosy postawione na sztorc.

– Posłuchaj, muszę porozmawiać z tobą i twoimi siostrami – powiedziała. – Czy pojutrze możecie do mnie przyjść wszystkie trzy? Muszę powiedzieć wam coś ważnego.

– Nie możesz mi tego powiedzieć teraz?

– Niestety nie. – Ciotka włożyła czarną wełnianą czapkę. – Musimy zwołać spotkanie rodzinne. Rozmawiałam już z Laurą i Elly. Mogą przyjść późnym rankiem, może koło jedenastej. Tobie też pasuje?

– Tak, raczej tak. Powinnam zdążyć nakarmić i ubrać małą bestyjkę. – Anne ponownie pocałowała miękki policzek ciotki i zauważyła, że Flossie drży. A przecież w domku było ciepło, ciotka miała na sobie kurtkę.

– Nie możesz dać mi choć wskazówki? – poprosiła Anne, czując, jak ciężar niewiedzy ją przytłacza.

– Nie, skarbie. Niestety nie mogę. A teraz dobranoc. Śpij dobrze.

Zaszokowana Anne zauważyła, że choć Flossie odwróciła się gwałtownie i zamknęła za sobą drzwi, to nie zrobiła tego dość szybko, by ukryć łzy spływające po jej policzkach.

– Spróbuj coś zjeść. Chociaż odrobinę. Musisz zachować siły – mówił Gil. – W żałobie spala się dużo kalorii. Wiem coś o tym.

– Przestań mnie dręczyć. – Sarah odłożyła widelec. – Mówiłam ci, że nie mam apetytu. Ale ty się uparłeś, żeby iść na lunch. Ty i Rhonda. Oboje jesteście niemożliwi. – Zwinęła serwetkę w kulkę i położyła ją na środku talerza, by kelner nie miał wyjścia i go zabrał.

Gil tylko się zaśmiał.

– Aj waj! Tym spojrzeniem mogłabyś zdejmować skalpy. – Poklepał się po łysince wewnątrz wianuszka siwiejących loków. – Poważnie. Widzisz, jak podziałało?

Nie chciała się roześmiać. Sarah wygładziła spódnicę i odwróciła wzrok.

Minęło sześć dni, odkąd otrzymała list od prawnika Neila. Flossie jeszcze nie powiedziała nic dziewczynkom, ale groziła, że zrobi to jutro, jeśli Sarah pierwsza nie wyzna prawdy.

– Powiedziałam, że daję ci tydzień, byś zachowała tę wiadomość dla siebie – oznajmiła Flossie, kiedy tego ranka przypadkiem wpadły na siebie w hotelowej jadalni. – Czas się kończy. Jutro zaprosiłam dziewczynki do siebie, na dziesiątą. Jeśli ty nie powiesz im o wszystkim, ja to zrobię i przekażę im prochy ojca. Powinno się odbyć nabożeństwo. Dziewczynki potrzebują zamknięcia.

– Już o nim zapomnieli – zaprotestowała Sarah wścickłym szeptem. – Po co wyciągać stare historie i znów łamać im serca? Jeśli ktoś tu powinien mieć uroczystość, to ja! Byłam jego żoną! Tak powinno być.

– W takim razie weź jego prochy – powiedziała Flossie i zdecydowanie dodała: – Przed jutrem musisz powiedzieć dziewczynom o Neilu i wszystkim innym. Nie mogę trzymać tego dłużej w tajemnicy, a twoje dzieci zasługują, by wiedzieć. – Potem odeszła, mała dyktatorka.

Kilka minut później Rhonda przyprowadziła Gila do biura szefowej. Oczywiście zdążyła mu już opowiedzieć o Neilu, więc wuj przyjechał z bukietem lilii i kondolencjami. Zaprosił Sarah, by „wyszła na trochę i zapomniiała o smutkach”. Groźba Flossie tak ją zdenerwowała, że postanowiła się zgodzić.

Jednak od wspomnień nie było ucieczki. Na przykład teraz, kiedy Sarah z premedytacją odwróciła się od Gila i spojrzała przez okno, widziała ocean nieprzerwanie rozbijający się o skały niedaleko. Gil przywiózł ją do restauracji na Rocky Neck. Po drugiej stronie zatoki znajdowało się miasto Gloucester, widać było iglice kościołów, stare ceglane młyny, potężne magazyny i wiktoriańskie domy: wszystkie możliwe kształty w wyrazistych kolorach, jak dziecięca układanka. W Rocky Neck znajdowała się jedna z najstarszych działających w kraju kolonii artystycznych. Sarah często przysyłała do niej turystów, by mogli

zrobić zakupy w galeriach, ale sama rzadko się tu pojawiała. Przecież nie miała czasu na zabawy w turystkę.

Na dole brzegiem spacerowały rodziny, rozchodząc się niczym kraby między skałami i napełniając plastikowe wiaderka jak kolejne pokolenia przed nimi. Niekończący się ludzki strumień przyjeżdżał z Europy do Nowej Anglii na poszukiwanie morskich skarbów już od XV wieku, a rdzenni mieszkańcy robili to samo setki lat wcześniej. Kto jednak pamiętał tych zwykłych ludzi, ich radości i troski? Kto będzie pamiętał ją i jej córki?

Sarah patrzyła na grupkę dzieci ubranych w jaskrawe kurtki, grzebiących w wodzie kijkami i pomyślała, że kiedy jej dziewczynki były małe, to Flossie po odejściu Neila zawsze zabierała je na plażę, by Sarah mogła pracować.

– Jestem okropną matką – stwierdziła nagle.

Gil w milczeniu przeżuwał – z jego wyglądu można było wywnioskować, że rzadko rezygnował z posiłku – czekając na argumenty uzasadniające tę opinię. Kiedy Sarah ich nie podała, odezwał się:

– A jednak twoje córki dorosły i mają swoje życie.

– Nic o nich nie wiesz.

– Zapominasz, że mam szpiega w hotelu.

– Rhonda?

Skinął głową.

– Rhonda opowiedziała mi wszystko o twoich córkach. I wnioskuje z tego, że raczej nie są psychopatkami. Przynajmniej z pozoru. – Gil dokończył pieczonego łososia z warzywami i sałatą, posiłek człowieka, któremu lekarz pewnie kazał pilnować poziomu cukru we krwi, i odłożył widelec. – Jeśli dobrze pamiętam, twoje córki nie są bezdomne, nie są narkomankami ani nie kradną samochodów. Wszystkie trzy pracują i są samodzielne. Według moich standardów to oznacza, że odniosły sukces. A to z automatu czyni cię dobrą matką.

– Nie – zaprzeczyła. – To tylko oznacza, że przetrwały mimo moich zaniedbań. Po odejściu Neila wyłącznie pracowałam.

– Zapewniłaś im dach nad głową i miały się w co ubrać – odparł Gil. – Nigdy nie byłaś *baleboste*^[5], i co z tego? Przestań się biczować. Nauczyłaś córki zarabiać na siebie. *Mazel tow!*^[6] W dzisiejszych czasach to ważniejsze niż wiedza, jak posprzątać dom. – Zdjął serwetkę z talerza Sarah i pokazał gestem jedzenie. – Trzy kęsy. O więcej nie proszę.

Sarah parsknęła z irytacją, ale słowa Gila jakimś cudem ją uspokoiły. Posłusznie wzięła trzy kęsy sałaty, a potem jadła dalej, kiedy Gil opowiadał o swoim bracie, który popełnił samobójstwo w wieku dwudziestu lat.

– Zaburzenia dwubiegunowe – mówił – w czasach, kiedy lekarze jeszcze nie znali się na takich rzeczach.

Sarah podejrzliwie spojrzała na Gila. Czy to możliwe, by w jakiś sposób

dowiedział się o jej problemach sprzed tak wielu lat?

– Bardzo mi przykro. To musiało być straszne.

Gil machnął ręką.

– Było. Ale i tak każdego dnia jestem wdzięczny, że moi synowie nie odziedziczyli genów, które wpędziły mojego brata do grobu.

Wzmianka o synach oczywiście sprowokowała Sarah do pytania o dzieci Gila, potem do dokończenia sałatki i pieczywa, a w tym czasie mężczyzna opowiadał, że jeden syn jest inżynierem w Providence, a drugi robi magisterkę z biochemii na Uniwersytecie Bostońskim.

Po śmierci żony widywał się z nimi częściej.

– Chyba się boją, że ja też coś sobie zrobię, bo nie będę potrafił żyć z poczuciem winy. Ale raczej już ich przekonałem, że daję radę.

– A dajesz? – zapytała.

– Oczywiście, że nie.

Sarah się uśmiechnęła, Gil odwzajemnił uśmiech, choć jego ciemne oczy pozostały poważne i tylko kąćki ust nieco się wygięły, jak u aktora zmuszonego do odegrania roli, której jeszcze nie opanował.

– Ja też nie daję rady – przyznała Sarah – ale nie rozumiem dlaczego. Ty powinieneś oplakiwać swoją żonę. Żyłeś z nią, opiekowałeś się. Ja nie widziałam Neila od trzydziestu lat. Dlaczego mam być smutna?

– Jesteś smutna, bo ktoś, kto był ci drogi, mężczyzna, którego znałaś, gdy byliście młodzi, piękni i zapewne pełni nadziei, odszedł – szybko odpowiedział Gil i dodał: – Ty wciąż jesteś piękna.

Sarah się roześmiała.

– I kiedy już zaczynałam myśleć, że mogę ci ufać, mówisz coś tak głupiego. – Musiała jednak przyznać, że poczuła się mile polectana. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jakiś mężczyzna powiedział coś na temat jej wyglądu. – Chyba masz rację, że bardziej tęsknię za świadomością, że Neil był na świecie, niż za jego rzeczywistą obecnością. Smutno mi, że go nie ma, bo naprawdę był dobrym człowiekiem, no i wiem, że ta wiadomość bardzo zrani moje córki. Ale jestem też zła, bo Neil nigdy nie wrócił, by przeprosić, żeby zobaczyć, czego dokonałam, ani nie pozwolił mi przeprosić. To było ogromne wyzwanie. Mój mąż odszedł między innymi dlatego, że nie wierzył w powodzenie hotelu.

– Tym bardziej szkoda, że nie wrócił – przyznał Gil. – Doskonale się spisałaś.

– Tak, ale ten sukces zdaje się mniejszy, bo Neil nigdy nie zobaczył, że nie miał racji – dodała Sarah, a potem ścisnęło ją za gardło. Miała wrażenie, że przed chwilą zjedzona sałatka zbija się w supeł w żołądku niczym zielona kula błonnika naciskająca na przeponę.

– Przepraszam – rzuciła, pospiesznie wstała i poszła do toalety, gdzie

włożyła nadgarstki pod zimną wodę i nie zdobyła się, by spojrzeć w lustro. Wiedziała, kogo tam zobaczy: starą kobietę przygniecioną smutkiem.

Kiedy wyszła, Gil czekał już w korytarzu przed toaletami, trzymając na ręku płaszcz i torebkę Sarah. Pomógł jej się ubrać, ale nalegał, że torebkę zanieś do auta. Otworzył drzwi od strony pasażera, poczekał, aż Sarah usiądzie i zapnie pas. Potem z tylnego siedzenia podniósł koc i opatulił jej nogi, delikatnie wkładając brzegi pod uda.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Zaraz będzie dobrze. Chyba wciąż jestem w szoku.

– Oczywiście, że jesteś. I te wstrząsy wtórne będą się jeszcze pojawiać – dodał. – Moja żona nie żyje od roku, ale za każdym razem, kiedy robię sam coś, co kiedyś robiliśmy razem, boleśnie to odczuwam.

Sarah patrzyła na opatulające ją kocem ręce mężczyzny: brązowe jak drewno, pokryte żyłkami, ale wciąż silne i sprawne, z szerokimi dłońmi i mocnymi palcami – mając dziwnie uspokajające wrażenie, że już tutaj razem byli, robili dokładnie to samo, jakby wróciła do domu po długiej podróży.

Sarah gwałtownie wzięła wddech i potrząsnęła głową. Jest starą kobietą i ma starcze urojenia.

– Dziękuję ci za zrozumienie – powiedziała. – Zawieź mnie, proszę, do domu.

– Jak sobie życzysz – odparł Gil i jadąc powoli, wrócił do hotelu, przez całą drogę niezobowiązująco paplając o niczym.

Nalegał, by Sarah pozwoliła mu się odprowadzić do apartamentu. Wciąż niósł jej torebkę, a jednocześnie z powodu przysadzistej budowy i nieco wygiętych nóg wyglądał, jakby potrafił sobie dać radę i w barowej bójce.

– Kawa czy herbata? – zapytał, idąc prosto do kuchni, jakby i on wrócił do domu.

Sarah opadła na kanapę, zdjęła kozaki i podwinęła pod siebie stopy.

– Herbata – odpowiedziała i oparła głowę.

Kiedy poczuła, że Gil siada obok na sofie, otworzyła oczy i zobaczyła, że przygotował dwa kubki herbaty, postawił je na tacy wraz z mlekiem, cukrem i paczką razowych krakersów, jej przysmakiem od czasów dzieciństwa, kiedy był to jedyny smakołyk, jaki matka mogła pobrać na kartki w sklepie na rogu.

– Moje córki nie wiedzą o ojcu – wyznała.

Gil podniósł swój kubek, dmuchnął do środka.

– Czego nie wiedzą? Że nie żyje? – zapytał.

– Tak. I że od czasu do czasu się ze mną kontaktował. Wołałam, by o nim zapomnieli, żeby nie tęskniły za ojcem, którego nie mogły mieć.

– Chyba chciałaś je chronić.

– Ujmujesz sprawy w taki sposób, że czynisz mnie niemal świętą. – Sarah

zerknęła na drugi kubek i go podniosła. Nie, żeby się napić, ale żeby mieć w dłoniach coś ciepłego.

– Mój terapeuta nazywa to „przeformułowaniem”. Zamierzasz im powiedzieć, że umarł? – W głosie mężczyzny nie było osądu.

– Nie chcę. Obawiam się, że źle to zniosą. Moje dziewczynki są bardzo uczuciowe. Pełne miłości i tęsknoty. Dziwne, ja jestem zupełnie inna.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła. – Dawno temu nauczyłam się oddzielać swoje emocje i przestałam za czymkolwiek tęsknić. Tak było łatwiej. Miałam trudne dzieciństwo, choć tego moje córki również nie wiedzą.

Sarah przestała mówić, kiedy odrobina herbaty rozlała się na jej nadgarstek. Wzdrygnęła się, ale gorący impuls wybudził ją i uświadomił gwałtownie, że opowiada temu mężczyźnie o sprawach, które przez dziesięciolecia ukrywała przed własną rodziną.

– Przepraszam – dodała. – Zwykle się tak nie spowiadam. Widać masz w sobie coś, co wywołało we mnie taką potrzebę.

– W takim razie to zaszczyt – odparł Gil. – A przy okazji, myślę, że nasze dzieci nie zawsze muszą wszystko wiedzieć o rodzicach. Rodzice zasługują na prywatność.

– Brzmi jak slogan z magnezu na lodówkę.

– Dobry pomysł. Opatentuję go. – Gil sięgnął po krakersa i bezceremonialnie zmiażdżył go w zębach, rozsypując okruszki na błękitny sweter. – No ale powiesz im?

– Jeśli ja tego nie zrobię, to Flossie – siostra mojego męża, mieszka w tym domu na plaży pod hotelem – zrobi to za mnie. Twierdzi, że powie im wszystko.

– Wszystko? O tobie też?

– Tak.

– To nie w porządku. – Gil zdawał się oburzony.

– No nie. Ale niewiele mogę zrobić. – Sarah znowu oparła głowę o tył kanapy i zamknęła oczy. Miała dreszcze. Może to początek choroby.

– Zimno ci – zauważył Gil. – Przyniosę koc.

– Chyba po prostu jestem zmęczona zamartwianiem się, co pomyślą moje córki, gdy dowiedzą się, że je oszukiwałam. Połowa tego, co im mówiłam, to kłamstwa. Znienawidzą mnie.

– Powinnaś się położyć, jeśli jesteś zmęczona, *bubele* ^[7].

– Tak by było najlepiej – przytaknęła, ale czuła się zbyt wyczerpana, by się ruszyć.

Po kilku minutach poczuła, że Gil wstaje i zabiera kubki z herbatą.

– Wiesz, wszyscy w życiu oszukujemy, choćby dlatego, że chodzimy na dwóch nogach, jakbyśmy nie byli zwierzętami. Twoje córki przez jakiś czas będą

cię nienawidzić. I co z tego? Przywilejem młodych jest nienawidzić starych za błędy. Potem same się zestarzeją i zrozumieją. – Usłyszała.

Sarah uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Jesteś takim optymistą.

– Realistą – sprostował. – Byłem optymistą, który sam popełnił kilka błędów.

Myślała, że Gil się pożegna i wyjdzie z mieszkania, ale po chwili wrócił, podnosząc Sarah z kanapy.

Gwałtownie otworzyła oczy.

– Co ty robisz, do diabła?

– Zabieram cię do łóżka – odparł i zaśmiał się, widząc jej minę. – Nie w tym sensie.

– Nie możesz mnie nosić. To absurd.

– Pozwól mi – poprosił.

Ku zaskoczeniu Sarah Gil podniósł ją bez wysiłku, zaniósł korytarzem, stopą otworzył drzwi do sypialni – zamknięte, bo jak zawsze wyłączała tu ogrzewanie.

– Tutaj jest jak w cholерnej lodówce – zauważył.

A potem położył ją na łóżku.

– Cóż mam powiedzieć? Jestem jankeską.

– No dobra, jankeską. Ale nie Eskimoską. – Gil przykrył Sarah puchową narzutą z jednej strony, a potem dodał koc leżący w nogach łóżka, owijając ją dokładnie, aż poczuła się miło opatulona. A potem położył się obok.

– Tylko sobie nic nie wyobrażaj – odezwała się, choć ciepło silnego ciała od razu okazało się ogromnie pocieszające.

– O to się nie martw. Nie rozbiorę się, dopóki tu nie będzie przynajmniej dwudziestu pięciu stopni – odparł.

Sarah roześmiała się i zamknęła oczy, na moment zapominając, kim jest, co się wydarzyło i o wszystkich problemach, które mogą się wkrótce pojawić.

Przez większość dnia Anne pracowała z cukierniczką Sue – pulchną, bladą i uroczą, dopóki nie zirytowała się jej własną opinią. Obserwowała, jak Anne piecze kilka tuzinów owsianych ciastek z rodzynkami, które matka trzymała w recepcji.

Kiedy Sue z zadowoleniem oceniła pierwszą pracę, położyła ręce na biodrach i zapytała:

– No dobra, co teraz? Chleb?

Pokazała Anne przepisy na pieczony w hotelu chleb – tego dnia akurat na zakwasie – i bagietki, a potem, kiedy pieczywo rosło, zapytała ją o pomysł na desery. Anne zaproponowała ciasto, z którym eksperymentowała w Portoryko: czekoladowe, maślane, z brązowym cukrem.

– Jest jesień, więc mogłabym dodać lukier dyniowo-korzenny – powiedziała.

Sue przyklasnęła, a spod pulchnych rąk uniosła się chmura mąki.

– Doskonała propozycja – oznajmiła i zostawiła Anne samą.

Anne zerknęła na telefon. Na szczęście przepis – wynotowany z gazety, którą ktoś zostawił na barze w Luquillo – wciąż znajdował się w jej komórce. Najlepsze było w nim to, że warstwy ciasta można lekko zmrozić, by łatwiej się je potem wypełniało i lukrowało, więc ryzyko popełnienia błędów przy dekoracji okazywało się mniejsze.

Anne postanowiła potroić składniki, bo odkąd przyjechała, hotelowa restauracja zawsze była pełna, i zabrała się do gromadzenia produktów: cukier biały i trzcinowy, jajka, niesłodzone kakao, mąka, proszek do pieczenia, sól, soda, śmietana i syrop czekoladowy. Miała wszystko. Znalazła nawet puszki z dyniowym piure i białą czekoladę do lukru z serka śmietankowego. Może doda jeszcze orzechy pekan.

Trzy godziny później była gotowa. Ciasto miało wyśmienity smak. Poprosiła Rodriga, by spróbował, a jego brązowe oczy zalśniły z zadowolenia. O drugiej była już po pracy, miała też wolny kolejny dzień. I dobrze, bo ramiona i dłonie bolały od ugniatania ciasta, nie wspominając o plecach.

Po powrocie do domu zrobiła zupę z resztek kurczaka, którego piekła poprzedniego wieczoru, dodając do niej wszystkie znalezione w lodówce warzywa, potem włożyła Lucy do nosidełka i ruszyła przez Halibut Point. Zaprosiła Flossie, by poszła z nimi na spacer i zjadła zupę, ale ciotka pokręciła głową. Zdawała się przygaszona.

– Jestem tylko zmęczona – odparła, gdy Anne zapytała, czy coś się stało. – Widzimy się jutro z twoimi siostrami, tak? Koło dziesiątej?

– Jasne – odparła Anne, choć zdążyła zapomnieć o tym tajemniczym spotkaniu. – Może powiesz mi teraz, o co chodzi.

– Nie. Musicie przyjść we trzy – odparła zdecydowanie Flossie, ale w jej oczach nie było jak kiedyś łobuzerskiej iskry.

Może to Lucy tak ją zmęczyła. Mała potrafi zmęczyć każdego, pomyślała z irytacją Anne kilka godzin później, próbując jeść zupę jedną ręką i powstrzymać wrzaski córki. Pewnie wyrzynają się jej zęby – wokół zaczerwienionego dziąsła pojawił się biały załazek. Biedactwo.

Anne dokończyła zupę i zastanawiała się, czy nie pójść na kolejny spacer z Lucy i spróbować ją w ten sposób uspokoić, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Sebastian!

Nie, to niemożliwe. Sebastian wyjechał na trzy dni na konferencję do Waszyngtonu. Spędzili razem tę jedną noc – Anne ogarniało pożądanie za każdym razem, gdy wspominała, jak zaczęli się kochać na podłodze, na tym małym chodniku, dopóki Sebastian nie wziął jej na ręce i nie zaniósł do łóżka, choć wciąż miała stanik na wpół zdjęty z piersi i majtki w połowie ud, bo zbyt szybko się spieszyli,

żeby rozebrać.

No i mała: w końcu musieli wynieść łóżeczko z sypialni, bo Anne nie mogła skupić się na seksie, kiedy Lucy była w pokoju. Na szczęście dziewczynka się nie obudziła.

Następnego dnia Sebastian musiał wyjechać do Waszyngtonu. Anne martwiła się, że nie ma od niego żadnych wiadomości, była bowiem świadoma, jak bardzo się przed nią odsłonił, opowiadając o swojej żonie. I nienarodzonym dziecku. Mój Boże, stracić dziecko!

Anne ucałowała Lucy w czoło i otworzyła drzwi. Mimo zmęczenia cieszyła się, że ma córeczkę przy sobie. Z zaskoczeniem zobaczyła na ganku Laurę, w dodatku wyglądającą na bardzo nieszczęśliwą. Miała bladą twarz i puste oczy koloru betonowej szarości. Włożyła za dużą bluzę i poplamione džinsy, nie umyła włosów. Od ostatniego spotkania postarzała się chyba o dziesięć lat.

– Co się stało? Wszystko dobrze? – zapytała Anne, przekrzykując wrzaski Lucy.

– Tutaj najwyraźniej nie. – Laura spojrzała na małą. – Co się z nią dzieje?

– Chyba ząbkuje.

Laura delikatnie położyła dłoń na czole dziewczynki. Potem włożyła palce do otwartej buzi Lucy i dotknęła dziąseł.

– No tak. Wpuść mnie, pomogę.

– Już cię wpuściłam – mruknęła Anne, ale zrobiła krok w bok.

Siostra weszła prosto do kuchni, stawiając jak zawsze mocne kroki, choć tym razem bez butów do konnej jazdy. Wyciągnęła z szuflady łapkę do gorących naczyń, zmoczyła ją pod zimną wodą, a potem włożyła na chwilę do zamrażarki. Wyjęła i podała Lucy, która natychmiast zrozumiała, że powinna włożyć ją do buzi.

W domku zapanowała absolutna cisza, słychać było tylko rytmiczne uderzenia fal o brzeg na dole i tykanie żółtego kuchennego zegara, który – z powodu obecności Laury – przypominał mającą wybuchnąć bombę.

– Powinnam była na to wpaść – odezwała się Anne. – W książkach zawsze piszą, żeby trzymać szmatki w zamrażarce i dawać dzieciom, bo to znieczula dziąsła.

– Mrożone bajgle – odparła Laura. – Dawałam je Kennedy. Bardzo długo wytrzymują.

Wszystkie od dawna uśpione marzenia Anne o tym, by mieć przy sobie siostry, gdy urodzi pierwsze dziecko, natychmiast powróciły. W college'u, kiedy myślała o ślubie i własnej rodzinie, zawsze była pewna, że będą dzielić się z siostrami ciężowymi ubraniami, przepisami, pomagać sobie przetrwać ząbkowanie i dziecięce histerie. Maluchy co lato będą bawić się na plaży w Zatoce, świadome, że są rodziną.

Gdyby Anne została w domu i tutaj urodziła dziecko, Laura mogłaby ją nauczyć, jak być dobrą matką, tak jak nauczyła ją w dzieciństwie wiązać sznurowadła i pisać własne imię.

Oczywiście, gdyby Laura jej nie znienawidziła.

– Dzięki. Kupię bajgle, jak tylko wybiorę się do sklepu. – Anne wpatrywała się w twarz siostry, ale wciąż nie było na niej konkretnego wyrazu. O co tym razem przyszła ją oskarżyć?

Kennedy, o to chodziło. Córka Laury była tutaj kilka razy. Pewnie się do tego przyznała i teraz zacznie się kolejna afera.

– Kennedy świetnie radzi sobie z małą – powiedziała. – Pewnie się dowiedziałeś, że przychodzi tu czasem mi pomagać. Lucy ją uwielbia.

– Wiem. W porządku.

– Naprawdę? – Anne usiadła na kanapie. Nie była pewna, czy cieszyć się czy nie, kiedy Laura zrobiła to samo, wciąż trzymając na rękach Lucy.

Tak naprawdę to było jak sen widzieć Laurę z małą w ramionach, ale Anne jeszcze nie zdecydowała, czy sen dobry, czy koszmar.

– Tak – potwierdziła Laura. – Choć kiedy Kennedy mi powiedziała, najpierw się wkurzyłam. Mogłaś mnie zapytać.

– Niby jak? – zdziwiła się Anne. – Bałam się, że znów mnie spoliczkujesz!

– Wiem. Przepraszam. – Laura odetchnęła tak gwałtownie, że Lucy popatrzyła na nią, z uśmiechem unosząc głowę. Laura odpowiedziała uśmiechem, ale drżały jej wargi. – Przepraszam, posypałam się. Lepiej ją weź. – Podała niemowlę Anne. – Pewnie się zastanawiasz, co tu robię.

– Ależ nie. To przecież całkiem normalne – odparła Anne.

Lucy natychmiast zaczęła się wiercić, więc Anne postawiła ją na kanapie. Dziewczynka, piszcząc, podskakiwała na poduszkach.

– Zapomniałam, jakie hałaśliwe potrafią być dzieci. – Laura mówiła już głośniej. – Przyszłam cię przeprosić.

Najwyższy, kurna, czas, pomyślała Anne.

– Dlaczego teraz? – zapytała.

– Jake powiedział mi prawdę. – Laura zaczęła płakać, ale bardziej wyglądało to, jakby ktoś odkręcił kran: krople spływały po jej policzkach bez śladu szlochu czy drżenia. – Właściwie to opowiedział mi o wielu rzeczach.

– Na przykład? – Anne myślała, że ten dzień nie może już być bardziej dziwny.

Ale mógł.

– Jake jest gejem – oznajmiła Laura.

– Co? – zapytała Anne tak zmienionym głosem, że Lucy przestała skakać i wpatrywała się w matkę. Anne zrobiła do dziecka śmieszoną minę, nie spuszczając jednak oczu z siostry.

– Tak – potwierdziła Laura, pociągając nosem. – Powiedział mi wczoraj wieczorem.

Anne patrzyła na nią zbyt zszokowana, by się odezwać. Laura wstała i podeszła do stojaka z papierowym ręcznikiem. Kiedy pociągnęła, kilka listków oderwało się jednocześnie. Wzięła je i szeleszcząc papierem niczym szalem, wróciła na kanapę. Wydmuchała nos. – Okazuje się, że kocha innego mężczyznę. I mają razem syna.

Anne nie pytała o szczegóły. Była zbyt zaskoczona i przerażona, kiedy patrzyła na nieszczęśliwą twarz Laury i jej opuszczone ramiona.

– W takim razie po co ta cała historia związana ze mną?

– Najwyraźniej chciał sprawdzić, czy mu staje przy kobietach innych niż żona.

– Jeśli nie szło mu przy tobie, to wątpię, by z kimkolwiek innym mu się udało – zauważyła Anne.

Laura znów pociągnęła nosem.

– Dzięki.

– Mówiłaś już Kennedy?

– Nie. Jake i ja postanowiliśmy powiedzieć jej razem w weekend. To da nam czas, żeby się uspokoić i zastanowić, jak to zrobić. Dzisiaj rano Kennedy poszła do szkoły, a potem spędzi noc u jakiejś nowej koleżanki. Odwołałam swoje lekcje dzisiaj po południu. Nie dałabym rady.

Anne zastanawiała się, czy Kennedy będzie zaskoczona informacją, że jej ojciec jest gejem. Ona nie pamiętała wiele z tego, co Sarah i Neil mówili podczas swoich kolejnych kłótni, ale ogólny sens był zwykle jasny: tata uważał, że matka romansuje z innymi, a mama, że ojciec jest leniem i pijakiem.

– Tak mi przykro, Lauro – powiedziała.

Siostra potrząsnęła głową.

– To ja powinnam cię przeprosić. Gdybym trochę pomyślała, zauważyłabym, że z moim małżeństwem coś jest nie tak. Zresztą chyba podświadomie to czułam, ale za bardzo się bałam, żeby kopać głębiej i sprawdzić, co naprawdę się dzieje.

Anne pomyślała o Colinie, o jego wycieczkach do Nowego Jorku „w interesach” i nocnych rozmowach telefonicznych.

– Kiedy kogoś kochasz, nie zawsze łatwo jest dostrzec prawdę – stwierdziła.

– Ale wszystko się ułoży. Oboje z Jakiem kochacie Kennedy. Znajdźcie sposób, żeby jej wszystko opowiedzieć, i będziecie przy niej. Poszłaś drogą, którą uważałaś za właściwą, jak powiedziałyby Flossie. Wyszłaś za męża, urodziłaś wspaniałą córkę. Po prostu ta droga nie doprowadziła cię tam, gdzie planowałaś.

– Dzięki, kochana. – Laura uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce. – A teraz podaj mi dziecko.

Nie było trudno znaleźć Colina. Elly wpisała w wyszukiwarkę jego nazwisko i udało się od razu. Oczywiście blogował o swojej wciąż niedokończonej powieści. Budował sobie cholerną publiczność. Elly poczuła dreszcz satysfakcji i zaczęła szukać adresu domowego pod nazwiskiem żony – założyła, że skoro to żonusia płaci rachunki, to jej dane i numer telefonu umieszczono w książce telefonicznej w internecie. Bingo: Pan Pisarz i Żonka mieszkali na Brooklynie, zaledwie kilka godzin drogi od Zatoki.

Elly korzystała z laptopa w kuchni, sama w wielkim pustym domu. Nie było nawet Kennedy. Ciekawe, czy wczoraj wieczorem Jake wyznał Laurze prawdę. Poczucie winy kryło się pod skórą – jeśli tak, to będzie wina Elly, że ich małżeństwo się rozpadnie.

Cokolwiek się zdarzy, miała nadzieję, że Jake dotrzyma obietnicy i nie powie żonie, że to Elly zmusiła go do ujawnienia się.

– Będzie lepiej, jeśli sam wszystko opowiesz Laurze – postanowiła Elly poprzedniego wieczoru, kiedy razem z Jakiem i Anthonym udawali, że mają ochotę na pizzę. – Jeśli Laura uzna, że zrobiłeś to z własnej woli, będzie bardziej skłonna uwierzyć, że jej dobro leży ci na sercu.

Kiedy znalazła już w sieci adres Colina, zadzwoniła do Anne i ze zdziwieniem usłyszała w tle głos Laury.

– Laura jest u ciebie?

– Tak. Elly, stało się coś okropnego.

– Zaraz przyjdę – powiedziała Elly, choć niewiele brakowało, żeby rzuciła: „Wiem”.

Dotarła do domku i z nieszczęśliwej miny Laury szybko wywnioskowała, że rozmowa z Jakiem się odbyła, postanowiła jednak wciąż udawać, że o niczym nie wie. Musiała czekać, aż siostra się jej zwierzy.

Laura trzymała na rękach Lucy, która ssała ściereczkę.

– Co zrobiłaś? Zanurzyłaś ścierekę w wódce, żeby uciszyć małą? – zapytała Elly.

Laura się roześmiała. Słabo, ale szczerze.

– Nie. Jest zmrożona, żeby mogła ją żuć do upadłego. Ma szczęki pitbulla.

– W porządku? – zapytała delikatnie Elly. – Bo nie wyglądasz w porządku.

– Chyba powinnam odpowiedzieć „nie”, ale jestem nieco otępieła – odparła Laura. Opowiedziała Elly o Jake’u, a Anne zaniósła Lucy do drugiego pokoju, żeby zmienić jej pieluszkę i przebrać ją w piżamę.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. I taka ślepa! – zakończyła Laura.

– Próbowалаś naprawić swoje małżeństwo – odparła Elly. – Jake naprawdę

cię kocha. Pewnie dlatego tak trudno było mu wyznać ci prawdę. – Zamilkła, by nie wydało się, że śledziła Jake'a i widziała jego drugie życie. Jego drugą rodzinę!
– Czy Anne wie?

Laura skinęła głową.

– Oczywiście przeprosiłam ją.

– To dobrze. A ja mam coś, co sprawi, że przestaniesz myśleć o Jake'u – oznajmiła Elly. – Anne! Chodź tutaj! Znalazłam Colina. Laura i ja pomożemy ci odebrać alimenty, które jest wam winien. – Pokazała siostronom mapę w komórce i wyjaśniła swój plan.

– Ale nie możemy po prostu pojechać do niego do Nowego Jorku. – Twarz Anne się ściągnęła, aż piegi wyraźniej wyszły na nosie. – Tam będzie Barbara!

Elly wzruszyła ramionami.

– No i? Informacja o twoim istnieniu raczej nie będzie dla niej niespodzianką. Najwyższy czas, żeby facet zaczął ci płacić alimenty. Przynajmniej tyle jest ci winien.

– Nie – zaprotestowała Anne. – On nawet nie chciał dziecka.

– Planowałaś tę ciążę? – zapytała Laura.

– Nie! To był wypadek. Zaryzykowaliśmy. – Anne spojrzała na Laurę. – Ale wiesz co? Miałaś rację, żeby nie spotykać się z żonatymi facetami.

– Dzięki. Ale wiesz co? Jestem bardziej popaprana niż ty. Pamiętaj o tym zawsze, kiedy będę ci doradzać.

Laura z gniewną miną przechadzała się po pokoju. Z trzech siostr to ona odziedziczyła po matce bezwzględną determinację. Poradzi sobie i bez Jake'a, z ulgą stwierdziła Elly.

– Chodźcie – oznajmiła Elly. – Jedziemy.

– Elly ma rację, Anne – przytaknęła Laura. – Popełniłaś błąd, ale on również. Prawnie rzecz biorąc, oboje jesteście finansowo odpowiedzialni za wychowanie Lucy. Musisz go zmusić, by to zaakceptował.

– Ale Colin nie chce mieć z nią nic wspólnego! Ani ze mną! – Anne wyglądała, jakby miała się rozplakać. – Od początku dał mi to jasno do zrozumienia.

– W takim razie równie jasno powinien dać do zrozumienia, żeby jego fiut nie robił dziecka – oznajmiła Laura.

Elly się zaśmiała.

– Tak, Colin zdecydowanie powinien przemówić swojemu ptaszekowi do rozumu!

Anne patrzyła na siostry, aż nagle i ona się roześmiała, tak mocno, że z bólu złapała się za bok.

– Przestańcie!

Elly otarła oczy. Wiedziała, jak to jest śmiać się z siostrami. Nikt inny nie

potrafił wprowadzić jej w ten euforyczny, pijacki stan rozbawienia.

– Jedziemy. Jeśli teraz ruszymy, dotrzemy na Brooklyn koło ósmej. Wiem, że są w domu, bo zadzwoniłam – komenderowała Elly.

Anne nerwowo się wyprostowała.

– Niemożliwe.

– Możliwe. Odebrała Barbara. Powiedziałam jej, że sprzedaję prenumeratę czasopism, a ona odparła, że powinnam uważać, bo ich numer jest zarezerwowany dla sprzedaży. Podziękowałam i obiecałam, że już nie będę dzwonić.

– Sprytne – odezwała się Laura. – Ale mogą wyjść na kolację albo do kina. Długa podróż, jeśli ryzykujemy, że nikogo nie będzie w domu.

– Ależ będą – uspokoiła ich Elly. – Jest środek tygodnia. Nawet jeśli poszli do kina, to raczej na wczesny seans.

A potem, nie dyskutując już więcej, wszystkie trzy włożyły kurtki i ruszyły do samochodu Laury, jakby odbywały takie siostrzane podróże codziennie.

Lucy usnęła w ciągu dziesięciu minut, uspokojona rytmiczną jazdą. Elly zerknęła we wstecznym lusterku na Anne i z ulgą stwierdziła, że młodsza siostra zdaje się już mniej spięta i również przysypia. Siedząca obok Laura siedziała sztywno wyprostowana, wpatrując się w przednią szybę, jakby jej zadaniem było mentalne prowadzenie samochodu w ruchu drogowym.

– Poradzisz sobie – powiedziała cicho Elly.

Laura nie odwróciła głowy, by na nią spojrzeć, ale odparła:

– Wiem. W jakiś dziwny sposób chyba mi ulżyło, że moje małżeństwo rozpadło się z jakiegoś konkretnego powodu. I to powodu, który ze mną nie ma nic wspólnego.

Elly skinęła głową i poklepała leżącą na siedzeniu dłoń Laury.

Musiały się zatrzymać, by Anne mogła nakarmić Lucy, więc zrobiły to na ostatnim parkingu przed Connecticut. Wyspały się z samochodu, w knajpie zamówiły cheeseburgery i frytki zalatujące rybą i starym olejem. Jadły, żując te okropieństwa i czekając, aż Anne skończy karmić małą.

– Dojadasz takiego burgera do połowy i zaczynasz się zastanawiać, co w ogóle, do diabła, jesz, i się za to nienawidzisz – powiedziała Laura.

– Ale i tak go dojadasz – odparła Elly. – To jak pakt z diabłem „nie będziesz zostawiał niedojedzonych burgerów”.

– Rodrigo by umarł, gdyby nas zobaczył – wtrąciła Anne.

Laura spojrzała na nią pytająco, kiedy ruszyły z powrotem do auta.

– Lubisz gotować? Bardziej niż uczyć?

– Na razie tak – odparła Anne. – I chyba dam radę zarobić wystarczająco dużo, pracując na pół etatu wieczorami, żeby dni spędzać z Lucy.

– To niesamowite, że obie jesteście takimi dobrymi mamami – odezwała się Elly. – Dajecie mi nadzieję. – Wsiadły do samochodu. – Bo przecież nie miałyśmy

dobrego wzoru, co nie? Naszej mamie daleko do Matki Teresy.

– Blżej do panny Hannigan – zgodziła się ze śmiechem Laura.

– Kogo? – zapytała Anne.

– No wiesz, tej kobiety prowadzącej sierociniec w musicalu *Annie* – przypomniała Elly i zaczęła śpiewać: – „Małe dziewczynki, małe dziewczynki...”.

Laura dołączyła:

– „Widzę je wszędzie, gdzie tylko spojrzę!”

Anne wybuchnęła śmiechem.

– O rany. Biedna mama. Pamiętacie, jak zakradałyśmy się do jej szafy i bawiłyśmy w przebieranki, wkładając jej suknie wieczorowe? I jak jej szminką narysowałam na podłodze na ganku zachód słońca?

– Biedna mama? Chyba padło ci na głowę – oburzyła się Laura. – Boże. Wszystkie te obowiązki. Łazienka, jedna za drugą. Ścielenie łóżek. Obieranie ziemniaków. Była poganiaczem niewolników!

– Cóż, taty nie było, więc mama pewnie ciągle bała się o pieniądze – zastanawiała się głośno Anne.

Elly spojrzała w lusterku na Anne i przewróciła oczami.

– No ale jednak. Mogła nas chociaż czasami przytulić. Nie umarłaby od tego. Patrzę, jak całujecie swoje córki każdego dnia, i przypominam sobie, że nas to ominęło. Pewnie mamy to co rumuńskie sieroty.

– Zespół zaburzenia więzi – podpowiedziała Laura. – Ale to chyba mama cierpi na tę chorobę. Co mnie dziwi, bo przecież dorastała w sztywnej części Bostonu przy majątnych rodzicach.

– Ale i tak wyszłyśmy na ludzi – podsumowała Anne.

– Mów za siebie – niemal jednocześnie zaprzeczyły Elly i Laura, a potem wszystkie trzy roześmiały się tak głośno, że obudziły Lucy, która była gotowa znów się rozplakać, dopóki Anne nie włożyła jej do buzi kawałka mrożonego bajgla (dzięki uprzejmości jednej z miłych sprzedawczyń w Dunkin’ Donuts, gdzie kupowały kawę).

Dom Colina znajdował się przy eleganckiej wąskiej ulicy w rzędzie kamienic. Elly pomyślała, że w takiej dzielnicy nianie pewnie zbierają się na pogaduchy w parku, który właśnie minęły przed zakrętem. Colin z pewnością zagadywał je, zanim rozpoczął swoje wyczerpujące dni blogowania w pobliskiej kawiarence. Zastanawiała się też, czy jakimkolwiek mężczyźnie można ufać. Wystarczy spojrzeć – ich ojciec odszedł. Hans, Colin i Jake skrywali swoje sekrety przed Bradfordównami. I to niemałe sekrety. Bydlaki, same bydlaki, jak powiedziała Paige.

Cóż, oficjalnie da sobie spokój z miłością, zaufaniem i innymi bzdurami, postanowiła, kiedy we trzy wchodziły na schodki kamienicy Colina, Anne z dzieckiem na rękach. Od tej chwili Elly zamierzała być jak Flossie: wieść

efektywne życie w towarzystwie kobiet.

Stały z tyłu, kiedy Anne nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzyła kobieta, która – jak założyła Elly – musiała być Barbarą. Miała na sobie kraciaste spodnie od piżamy i krótki satynowy szlafrok. Męski strój w tym rodzaju Elly nazwałaby bonzurką. Barbara miała siwe włosy, zbyt krótko ostrzyżone, przez co odstawały jej uszy. Lekko spiczaste na końcach.

Anne zaskoczyła Elly, bo odezwała się pierwsza.

– Cześć, Barbaro – powiedziała. – Pamiętasz mnie? – I wepchnęła się do holu, mijając kobietę.

Siostry weszły do środka i stanęły za Anne. W domu czuć było płynem do prania i kotami.

Barbara najpierw spojrzała na Lucy, układając usta w jakiś niezidentyfikowany kształt. Na razie nie dobył się z nich żaden dźwięk.

– Poczekajcie tutaj. Zawołam Colina – powiedziała po chwili.

– Dziękuję. – Anne mówiła głosem słodkim jak harcerka sprzedająca ciasteczka na cele charytatywne.

Wkrótce pojawił się Colin. Miał na sobie kraciaste spodnie od piżamy i szlafroczek podobny do tego żony. Może Barbara kupowała je w tym samym sklepie? Miał też takie same kręcone siwe włosy i szeroką twarz jak żona, ale jemu te surowe rysy dodawały urody.

Elly zrozumiała, co spodobało się Anne w tym facecie: Colin emanował seksownym ciepłem nawet teraz, gdy mierzył je lodowatym wzrokiem.

– Co ty tutaj robisz, Anne? – zapytał, gdy minął pierwszy milczący szok. – Jak mnie znalazłaś?

– Uroczo witasz matkę swojego dziecka – warknęła Laura.

Elly spojrzała na nią z podziwem.

Colin podniósł ręce, jakby trzymały go na muszce.

– Czego chcesz, Anne? – zapytał. – Między nami koniec. Jasno to powiedziałem jeszcze w Portoryko.

– Chce alimentów, palancie. – Elly podeszła do przodu i stanęła obok Anne, a nie za jej plecami. – Zapomniałaś o tym drobiazgu, kiedy wiałaś z powrotem na Brooklyn do swojej zaskakująco wyrozumiałej żonki. Jestem pewna, że to było przeoczenie.

– Słyszę was! – zawołała Barbara z drugiego pokoju.

– I dobrze! – odwrzasnęła Elly.

– Nie pomagacie mi – odezwała się Anne i odwróciła, by spojrzeć na siostry.

– Wracajcie do samochodu. Poradzę sobie.

– Nie. – Laura również podeszła bliżej, by mogły z Elly osłonić młodszą siostrę. – Nie ruszymy się stąd, dopóki twoje żądania nie zostaną spełnione.

– Co to ma być, twoja prywatna armia? – zapytał Colin.

– Coś w tym rodzaju – odparła Anne. – Poznaj moje siostry.

Colin wciąż wpatrywał się w Anne.

– Myślałem, że się dogadaliśmy. Ty chciałaś dziecka, ja nie! Twierdziłaś, że zajmiesz się nim sama, więc pozwoliłem ci robić, co chciałaś.

– Ale sytuacja się zmieniła! – odparła Anne. – Myślałam, że zostaniemy razem w Portoryko. Nigdy nie mówiłaś, że mnie zostawisz! Ale zostawiłaś, a potem straciłam pracę. Wszystkie swoje pieniądze włożyłam w nasze mieszkanie, więc nic mi nie zostało. Pomagałam ci, bo twierdziłaś, że się rozwodzisz!

Elly miała cholerną nadzieję, że Barbara wciąż podsłuchuje spiczastymi uszami teriera.

Colin bezradnie opuścił ręce. Elly zastanawiała się, ile może mieć lat. Pięćdziesiąt? Był w wieku, w którym niektórzy mężczyźni zachowują młode ciało i twarz, podczas gdy inni się syją. Colin zapewne od zawsze był przystojny, co przyciągało do niego ludzi, szczególnie kobiety, i sprawiało, że potrafił zawładnąć uwagą innych. Wręcz nimi komenderować. Pewnie był jeszcze przystojny, gdy romansował z Anne, ale teraz wyraźnie się syjął. Powinien był zostać w Portoryko.

– Nie wiem, co miałbym zrobić. – Colin rozłożył bezradnie ręce. – Nie jestem bogaczem.

– Na miłość boską, Colin. – Barbara wyłoniła się zza jego pleców. – Daj tej dziewczynie trochę pieniędzy, żeby sobie poszła. Rano każemy prawnikowi się z nią skontaktować. – Przepchnęła się do przodu i zdecydowanie stanęła przed Anne.

Lucy, doskonale odnajdując się w sytuacji, na widok Barbary zaczęła płakać.

– Każ siostrze poczekać w aucie, to wypiszę ci czek – poleciła Barbara, przekrzykując wrzaski małej.

– Nie ruszymy się stąd, póki ona nie dostanie pieniędzy do ręki – wtrąciła Laura.

Barbara próbowała zmrozić je wzrokiem, ale była jedna przeciw trzem plus ryczące dziecko – nie miała szans.

W końcu pokręciła głową, zniknęła w drugim pokoju i wróciła z książeczką czekową. Wypisała Anne czek i podała jej jakąś wizytówkę.

– Masz – oznajmiła. – To nasz adwokat. W przyszłości kontaktuj się, proszę, tylko za jego pośrednictwem. I zrób temu dziecku badania DNA. Jeśli masz zamiar dalej szantażować mojego męża, potrzebne ci będą dowody.

– Jak niby go szantażuję? – zapytała Anne. – Proszę tylko, żeby wspierał własną córkę, nawet jeśli nigdy więcej jej nie zobaczy. – Spojrzała na Colina, który wycofał się do ciemnego holu, używając Barbary jak żywej tarczy.

– Colin, wołałabym jednak, żebyś widywał Lucy – dodała Anne spokojnie, jakby złagodzenie głosu miało wywabić mężczyznę z ciemności niczym zdziczałego konia. – Nie chcesz z nią utrzymywać żadnego kontaktu?

– To jest absolutnie wykluczone – oznajmiła Barbara. – A jeśli któraś z was znowu się tu pojawi, pozwę was za nękanie.

– Ple, ple, ple – śpiewnym głosem odpowiedziała Anne, wywołując tym chichot Laury i Elly. – Chodźcie, dziewczyny. Nie mamy tu nic więcej do roboty. Ci biedni państwo już dawno powinni leżeć w łóżkach. – Odwróciła się, minęła Laurę i Elly, wychodząc frontowymi drzwiami, i poprowadziła orszak do samochodu.

Elly pozwoliła Laurze wyjść pierwszej, ale nie mogła się powstrzymać, odwróciła się i lekko trąciła Colina w ramię.

– Na pewno jesteś głównianym pisarzem – zauważyła. – Nie mogę doczekać się twojej powieści, żeby potweetować recenzję.

Na dworze Anne oparła się o samochód.

– Co za tchórzliwy palant – jęknęła. – Nie mogę uwierzyć, że nie chciał nawet wziąć Lucy na ręce. Ledwie na nią spojrział!

– Lepiej ci będzie bez niego – delikatnie zasugerowała Laura.

– Tak – potwierdziła Elly. – A teraz przynajmniej będzie ci lżej finansowo.

– Nie chcę jego pieniędzy! – Anne przycisnęła dłoń do oczu, jednocześnie kołyszając Lucy na biodrze. Dziewczynka miała smutną buzię, a kiedy łąpała rude loki matki, wyglądała, jakby również miała się rozplakać.

– To są pieniądze dla Lucy, nie dla ciebie – przypomniała Laura. – Colin również pomógł sprowadzić ją na świat. Nie powinnaś wszystkiego robić sama.

– Ale ja chciałam robić wszystko sama – powiedziała Anne, przekładając Lucy na drugie biodro, bo mała zaczęła łąpać za srebrny naszyjnik Laury.

Laura zdjęła ozdobę i pomachała nią przed oczami dziewczynki, która radośnie zagaworzyła.

– Jesteśmy Bradfordównami – oznajmiła. – Dzięki mamie potrafimy robić wszystko same, jeśli musimy. Ale Elly ma rację. Byłoby nam lepiej, gdybyśmy nauczyły się czasem prosić o pomoc.

Lucy w końcu udało się złapać za wisiołek Laury. Jej okrągłe policzki i zadarty nosek tak bardzo przypominały małą Anne, że do Elly wróciło nagle niemal namacalne wspomnienie tego, jak nosiła młodszą siostrę. Była tylko dwa lata starsza od Anne, ale nosiła ją na biodrze albo na barana po całym hotelu. Przypomniała sobie również, jak razem z Anne i Laurą chowały się pod tarasem, ryzykując spotkanie z pajakami i węzami, by uniknąć wrzeszczących na siebie rodziców. Trzymały tam nawet zestaw do herbaty, kilka maskotek i koce, by na nich siedzieć lub się nimi okrywać jak pelerynami niewidkami, kiedy bawiły się, słuchając odległego szumu fal. Dźwięk oceanu do dzisiaj uspokajał Elly. Był znakiem, że rytmy świata pozostaną niezmiennie, bez względu na to, co zrobią Neil i Sarah.

Pomogła wychowywać Anne, tak jak Laura pomogła wychować ją, Elly.

A teraz Kennedy i Lucy miały je wszystkie trzy. Szczęściarzy.

– Daj mi to dziecko, zanim ruszymy w drogę – poprosiła Elly. – Nie miałam jeszcze okazji jej potrzymać.

Anne się uśmiechnęła.

– Jest twoja, bierz.

Elly wzięła ciepłe mocne małe ciało. Lucy wpatrywała się w nią, marszcząc czoło, jakby próbowała zdecydować, czy ta nowa twarz to przyjaciel czy wróg. Elly trzymała ją blisko i zaczęła cicho śpiewać o pijanych marynarzach.

Dziewczynka uśmiechnęła się, a potem we cztery odtańczyły taniec zwycięstwa wokół samochodu. Laura i Anne śpiewały razem z Elly, zgrywając się tak doskonale jak zawsze.

Elly miała nadzieję, że Colin obserwuje je przez okno, i nawet jeśli Barbara kazała mu zaciągnąć zasłony, zrobił to z żalem.

Flossie zadzwoniła do Sarah wczesnym wieczorem. Gil przez kilka godzin spał obok, a potem obudził ją delikatnym całusem w policzek, mówiąc, że pójdzie do domu, zanim coś przyjdzie mu do głowy.

Sarah potarła policzek, nagle zwracając uwagę na cienką pomarszczoną skórę, teraz ciepłą od snu i wrażliwą na dotyk tam, gdzie Gil ją pocałował.

– Czego? – rzuciła do telefonu, rozpoznając numer Flossie.

– Zastanawiałam się, czy zmieniłaś zdanie – zaczęła Flossie.

– Oczywiście, że nie zmieniłam.

Usłyszała przeciągłe westchnienie szwagierki.

– Mój Boże, ależ z ciebie uparta krowa.

– Kocioł. Garnek.

Flossie parsknęła.

– Wykazujesz zachowania pasywno-agresywne, Sarah. To nie w twoim stylu.

– To ty jesteś agresywna – odparła Sarah. – Szantażujesz mnie i bardzo mi się to nie podoba.

– Szantażuję cię? – Flossie zdawała się szczerze zdziwiona. – Jak to niby możliwe, skoro to ty trzymasz wszystkie karty? Jesteś wdową po moim bracie. Hotel nad Zatoką Szaleńców należy teraz do ciebie. Już straszylaś, że wystawisz mi walizki, jeśli powiem dziewczynkom o Neilu. To właśnie jest szantaż.

– Ale ty nie wierzysz, że bym to zrobiła.

– Nie mogę mieć wpływu na to, co robisz – powiedziała Flossie. – Mogę mieć wpływ tylko na to, co robię ja, a ja robię tylko to, co moim zdaniem jest słuszne.

– Jesteś suką – syknęła Sarah i byłaby z siebie zadowolona, gdyby jej głos, już i tak słaby od tej cholernej rozmowy, którą odbyła z Gilem, nie załamał się, kiedy wybuchała płaczem.

– Sarah, dobrze się czujesz? – zapytała Flossie.

– Doskonale. – Troska w głosie szwagierki była okropna. Boleśnie przypominała o czasach, kiedy wiele lat temu Flossie opiekowała się Sarah. – Oczywiście powinnaś robić to, co uważasz za słuszne, Flossie. O ile tylko ja poniosę tego konsekwencje. – Odłożyła słuchawkę i zakryła twarz.

Co zrobi, jeśli Flossie opowie córkom o jej przeszłości? O kłamstwach? Flossie dowiedziała się wszystkiego o Sarah już wiele lat temu, wkrótce po odejściu Neila: poznała prawdziwe nazwisko Sarah, datę i miejsce jej urodzenia. Namierzyła nawet jej siostrę!

– Dałam ci się zwiść – powiedziała wtedy Flossie, kiedy odkryła dawne tajemnice. – Naprawdę myślałam, że mój brat spotyka się z jakąś zbuntowaną debutantką. A okazuje się, że jesteś prostytutką udającą kogoś lepszego. Dziewczyną, która dorastała między motelem a klubem ze striptizem. Moja matka miała rację. Zawsze uważała za dziwne to, że nikogo z twoich bliskich nie było na ślubie. Mówiłaś, że twoi rodzice nie żyją. I nigdy nie wspominałaś, że masz siostrę!

– Małą Joanie – tylko tyle udało się wtedy powiedzieć Sarah, bo oczywiście w jej pamięci Joanie była taka jak w trakcie ostatniego ich spotkania, dziewiętnastoletnia, wciąż ładna, choć wyniszczona przez tamtego koszmarnego człowieka. – Ona żyje?

– Ależ tak – przytaknęła wówczas Flossie. – Jest wdową z pięciorgiem dzieci. Ale sądząc z wyglądu jej domu, dobrze sobie radzi. Szkoda, że nigdy nie utrzymywałyście kontaktu.

Jak miała opowiedzieć Flossie o swoim dzieciństwie? Nigdy nikomu o nim nie mówiła.

– Nie wykorzystam tego wszystkiego przeciwko tobie – obiecała szwagierka. – To nie moje tajemnice. Ale kiedyś będziesz musiała je zdradzić swoim dzieciom.

I ten dzień najwyraźniej nadszedł.

Sarah wciąż siedziała w łóżku. Okryła się kaszmirowym kocem i zgasła wszystkie lampy, jakby siedzenie w ciemności miało jakimś cudem ukryć to, co Flossie zamierzała wyciągnąć na światło dzienne. Podniosła telefon i zastanawiała się, czy nie oddzwonić. Ale co miałyby powiedzieć, by szwagierka zmieniła zdanie? Przycisnęła aparat do twarzy, aż poczuła własną kość policzkową. W tym wieku przerażająco łatwo było wyobrazić sobie czaszkę pod skórą.

Zerknęła w stronę okna, ale było ciemne.

Mogła wstać z łóżka i zejść do jadalni na kolację. Ale tam będą Betty albo Rhonda, a w tej chwili nie miała siły na spotkanie z nimi i ich pytania. Były jak jej córki, ale gorsze, bo płaciła im, by ją lubiły. Może powinna wyjechać z hotelu. Nie na jeden wieczór, ale na kilka dni, podczas gdy Flossie zdetonuje rodzinną bombę. Tylko dokąd miałyby pojechać? Stos zaproszeń bynajmniej nie piętrzył się na biurku.

Kilka lat temu Sarah napisała własny nekrolog i zamierzała wysłać go do gazety, by czekał w archiwum. W końcu tego nie zrobiła. Nie miała do napisania nic wartościowego. Cóż osiągnęła po tylu latach życia?

Miała mieszkanie, ale była w nim sama. Córki – zbyt zajęte, by znaleźć czas dla matki. Hotel, który dzieci sprzedadzą, gdy tylko ją pochowają. Deweloperzy w końcu zabudują tę ziemię. Nie zostanie ślad ani po Sarah, ani po Bradfordach.

Zdała sobie sprawę, że pada deszcz; jakby tłum ludzi nagle zaczął pukać do okien. Znalazła w sobie dość energii, by w końcu wstać, i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Kąpiel. Kąpiel zawsze poprawiała jej nastrój.

Weszła do łazienki (klasyczne czarno-białe kafelki, relaksujące ściany w kolorze morskiej zieleni, luksusowe grube białe ręczniki z tureckiej bawełny, wszystko wybrane przez Sarah, by zapewnić natychmiastową wygodę, choć teraz te szczegóły zrobiły się banalne wobec innych spraw) i napuściła wody do wpuszczonego w podłogę jacuzzi. Dodała ulubiony różany płyn do kąpeli.

Woda była tak gorąca, jak tylko dało się znieść. Niezbyt korzystna dla skóry. Ale Sarah miała to w nosie: dorastała w mieszkaniu, w którym zawsze brakowało ciepłej wody, dlatego wprowadzając się do małego hotelowego apartamentu, poprosiła architekta, by zaprojektował łazienkę wokół wanny, w której spokojnie mieściły się dwie osoby. I zawsze pozwalała sobie na tyle gorącej wody, ile chciała. Zanurzyła się głęboko, aż do ramion, potem do brody, robiąc głową miejsce w pianie. Woda podchodziła już tak blisko nosa, że gdy Sarah wydychała powietrze, wokół robiły się bąbelki, unosząc chmurki piany wokół jej twarzy.

Mogłaby wślizgnąć się pod wodę i tam zostać. Nikt nie będzie tęsknił. Hotel albo sobie poradzi, albo nie. Może Laura i Jake przeprowadzą się tu i będą nim zarządzać. Albo Flossie zmieni go w ośrodek buddyźmu. Nie ma mowy. Jeśli to zrobi, Sarah znajdzie sposób, by dręczyć szwagierkę nawet zza grobu.

Ale po co w ogóle się martwić? Co jeszcze zostało do zrobienia? Osiągnęła cel – uratowała hotel, zachowała przy życiu nazwisko Bradfordów, ale to zdawało się ważne wyłącznie dla niej samej, szczególnie teraz, po śmierci Neila. Laura tutaj nie zostanie. Pewnie pojedzie do Elizabeth, do Los Angeles, albo dołączy do Anne w jakimś dalekim i tanim kraju.

Sarah wstrzymała oddech i zanurzyła się pod wodę.

– Sarah? Jesteś tam?

Sarah miała głowę pod wodą, ale i tak słyszała głos Flossie; szwagierka zawsze była hałaśliwą kobietą. Nie umiała ani trochę modulować głosu.

Cóż, niech sobie woła. Sarah nie musiała odpowiadać. Nagle przypomniała sobie, że po wyjściu Gila zapomniała zamknąć drzwi na zamek. Usiadła prosto, opierając się o wannę, i zdjęła z wieszaka ręcznik, by zakryć biust.

– Idź sobie, Flossie!

Jak zawsze jednak nakazywanie czegokolwiek siostrze Neila miało efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Flossie nieproszona weszła do salonu – Sarah domyśliła się tego, gdy usłyszała grzechot porcelany stojącej w narożnym kredensie – i hałaśliwie maszerowała przez mieszkanie.

– Chciałam się tylko upewnić, że wszystko w porządku. – Flossie wetknęła pomarszczoną małą twarz za drzwi, a potem weszła do łazienki. – Jezu, tu jest jak w saunie. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego ludzie muszą kąpać się we wrzątku.

– Wynoś się – syknęła Sarah.

Flossie przysiadła na klapie sedesu, kładąc ręce na kolanach.

– Fajna wanna. Nie wiedziałam, że masz jacuzzi. Wygląda, jakby mogły zmieścić się tu dwie osoby.

– Nie, kiedy ja tu jestem.

Flossie się zaśmiała.

– Wyobrażasz sobie, co by powiedziały dziewczynki, gdyby któraś tu zajrzała i zobaczyła nas razem w wannie? To one dostałyby zawału.

Sarah nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Tyle że moje córki mają mnie w nosie.

– Na stypie pachnącej różami jeszcze nie byłam.

Sarah prysnęła odrobiną piany na czarną kamizelkę Flossie.

– Psujesz imprezę. Jak ci się nie podoba, to wyjdź.

– Twoje córki cię kochają, Sarah, ale tak naprawdę nic o tobie nie wiedzą. Przyszłam raz jeszcze prosić, żebyś pozwoliła im poznać prawdę. Zaslужują na to. Ty również.

Sarah miała już mokre włosy i zmarznięte ramiona. Wślizgnęła się głębiej pod wodę i przełożyła ręcznik, żeby zakrywał biust. Choć nie miało to specjalnego znaczenia. Pewnie obwisłe stare cycki Flossie nie były wcale jędrniejsze.

– Moja przeszłość należy do mnie. I wolę, by tak zostało.

– Boisz się, że twoje córki nie będą cię kochać, gdy poznają prawdę – zasugerowała w końcu Flossie.

– Bo nie będą! Nie, kiedy dowiedzą się, że kłamałam.

– Wszyscy kłamiemy, Sarah. To czyni ludzi tak interesującym gatunkiem: komunikujemy się, używając języka, ale ten język czasami jest narażony na szwank z powodu naszych lęków. To oznacza, że relacje międzyludzkie są zawsze trudne. Kiedy byłaś w szpitalu, obejrzałam twoją historię medyczną. – Flossie rozłożyła ręce. – Poznałam twoją przeszłość. Ale prawda nie sprawiła, że cię znienawidziłam.

– Za to zaczęłaś się nade mną litować! A to jeszcze gorsze. – Boże, myślała Sarah, miałabym ochotę się teraz utopić. Jakie to wszystko jest męczące. Jak męcząco i jak boleśnie jest patrzeć na Flossie i wiedzieć, że ma rację.

– Nie do końca się litowałam. – Szwagierka mówiła powoli, marszcząc brwi.

– Ale współczułam, że matka tak źle cię potraktowała. Tyle że twoje dzieciństwo jest częścią tego, kim jesteś, i częścią tego, kim są twoje córki. Muszą wiedzieć, skąd pochodzą.

– Ale po co? Żeby nagle w siebie zwątpiły? – odparowała Sarah. – Żeby myślały, że są wnuczkami kobiety, która puszczała się za wódę i próbowała stręczyć własne córki? Że są dziećmi matki, która nie wiedziała, jak je kochać, bo była zbyt zajęta pilnowaniem, by miały co jeść?

– Tak – potwierdziła Flossie. – Właśnie tak.

– Jeśli wszystko im powiesz, to je zniszczy.

Flossie pokręciła głową.

– Znam twoje córki. To silne kobiety, Sarah. Może przez jakiś czas będą się złościć, ale ci wybaczą. Jeśli im pozwolisz. – Pochyliła się do przodu, a jej wąska twarz była zaróżowiona i lśniąca od gorąca. – Nie interesuje mnie twoje prawdziwe nazwisko ani to, gdzie dorastałaś. Ich też nie będzie interesować. Za to na pewno nie pozostaną obojętne, jeśli nigdy nie powiesz prawdy, a one ją odkryją. Przyjdź do mnie jutro o dziesiątej. Będą wszystkie trzy dziewczynki. Ja powiem im o Neilu, a ty opowiesz o sobie.

Sarah leżała w dotąd tak uspokajającej, gorącej i pachnącej wodzie, mając wrażenie, że się dusi. Myślała o tym, jak trafiła do szpitala, jak Flossie musiała szukać w jej rzeczach świadectwa urodzenia, a potem zaczęła dzwonić i odkryła Joanie, odkryła wszystkie szczegóły historii medycznej Sarah: połamane kości, infekcje, siniaki, oparzenia. Jej rany opowiadały historię choroby psychicznej matki i tego, jak zaniedbywała i maltretowała Sarah. Jej wstydu.

– Zaufaj mi, Sarah. Musisz to zrobić – powiedziała cicho Flossie.

– Nie, nie muszę. Nie chcę, żeby moje dzieci patrzyły na mnie z takim politowaniem jak ty teraz. – Sarah naciągnęła ręcznik pod samą brodę. Miała ochotę zakryć sobie nim twarz.

– Mylisz politowanie ze współczuciem – odparła Flossie.

– Nie wydaje mi się.

– Sarah, myślisz, że nasze dzieciństwo naprawdę było lepsze od twojego? Finansowo powodziło nam się lepiej, ale nasz ojciec pił i był hazardzistą. Matka nieustannie brała leki, żeby zmusić się do niemyślenia – wtedy to było łatwe – i nas ignorowała. Dlatego Neil i ja tak się do siebie zbliżyliśmy.

– Szczęściarze, mieliście siebie.

– A ty siostrę.

Sarah westchnęła.

– No tak. Ale miałyśmy innych ojców i inne dzieciństwo. Opiekowałam się Joanie, kiedy mogłam, ale nigdy nie byłyśmy sobie bliskie. Dlatego tak mnie dręczyło, że Laura, Elly i Anne były ze sobą tak mocno związane. Tworzyły własne małe plemię. A ja czułam się wyłączona z ich magicznego kręgu.

– One cię kochają – powtórzyła Flossie. – Tylko tego nie widzisz. A najlepsze, co w życiu zrobiłaś, to urodzenie trzech córek, które będą się o siebie troszczyć na długo po tym, jak mnie i ciebie zabraknie.

Sarah lekko się uśmiechnęła.

– Podoba mi się ta myśl.

– To dobrze. – Flossie zanurzyła palce w wodzie. – Teraz to mniej więcej moja temperatura.

Sarah dołała gorącej wody, odkręcając kurek stopą.

– Do widzenia, Flossie. Czas na ciebie. Nie mogę już dłużej tego robić.

– Czego?

– Udawać, że znoszę twoje wtrącanie się w moje życie.

Flossie wstała.

– Popelniasz błąd. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Okazujesz to w zabawny sposób. A teraz się wynoś.

Sarah odczekała, aż szwagierka przejdzie przez hol i zamknie za sobą drzwi apartamentu. Potem złapała poręcz przy wannie i powoli wynurzyła się z wody, drżąc w chłodniejszym powietrzu.

Zamrugła, by otrząsnąć się z szoku, i spojrzała na szklany słój wacików, tubki kosmetyków i drewnianą szczotkę, jakby należały do innej kobiety; były jej tak obce, że Sarah niemal uwierzyła, że to sen, z którego człowiek czasami wybudza się z uczuciem samotności i odrętwienia. Reszta tej nocy rozciągała się przed nią niczym ciemny las, straszny i zimny, bez wyraźnej ścieżki; jakby miała za przewodników tylko emocje własnego kruchej serca.

To będzie pogodny dzień, pomyślała Anne, ale teraz poranna mgła przykrywała jeszcze spokojny zielony ocean niczym gaza. Laura i Elly przyjechały do niej koło dziewiątej trzydzieści, kiedy Laura wysłała Kennedy do szkoły i skończyła pracę w stajniach. Napiły się kawy i zjadły muffiny – Anne upiekła swoje ulubione, bananowo-orzechowe z kawałkami czekolady, które Rodrigo wciąż uważał za nieodpowiednie do podawania w hotelu – i teraz we trzy szły piechotą do domu Flossie na coś, co Elly nazwała „tajemniczym buddyjskim spotkaniem z kobiecą wersją Yody pod nazwą wszystko, «co najważniejsze»”.

To Elly prowadziła, długimi nogami bez wysiłku krocząc przez kamienistą plażę. Jasne włosy związała w niedbały koczek, a znad kołnierza niebieskiej kurtki niczym tajemnicze morskie stworzenia wymykały się pojedyncze kosmyki. Laura miała krótsze nogi, ale bez problemu nadążała za Elly. Wciąż była w dżinsach i butach do jazdy konnej; zapewne szybki spacer nie był dla niej problemem, bo przyzwyczała się do prowadzenia zwierząt. Laura wyglądała, jakby w końcu lepiej spała, choć przy kawie zwierzyła się siostrze, że tego wieczoru planują z Jakiem powiedzieć Kennedy o separacji. Martwiła się. Anne z trudem nadążała za siostrami, co przywiodło jej na myśl wspomnienie dziecięcych zabaw, kiedy zwykle wołała: „Poczekajcie na mnie!”. Ciężko dyszała z wysiłku.

Oczywiście teraz miały nad nią przewagę. Anne niosła na rękach Lucy i mogłaby przysiąc, że dziecko od wczoraj przytyło ze dwa kilogramy. Powinna była wziąć nosidełko, ale coraz trudniej się go używało, odkąd mała postanowiła, że go nie znosi.

– To jak próbować upchać kota w chlebaku – zauważyła rano Elly. Zaproponowała, że przytrzyma rączki Lucy, by nimi nie machała, ale Anne w końcu postanowiła zostawić nosidełko i nieść dziewczynkę.

– Hm – mruknęła Elly. – Gdybyś była naszą matką, wpakowałabyś ją w kaftan bezpieczeństwa, żeby była grzeczna.

Patrząc, jak Elly swobodnie maszeruje, Anne myślała o tym, że dziecko na zawsze rozłączyło ją z Colinem – i właściwie z każdym, kto nie doświadczył, czym jest macierzyństwo. Była związana z Lucy w nieznany wcześniej sposób – płacz dziecka przeszywał jej serce i sprawiał, że piersi robiły się drażliwe. Dawne zamiłowanie do niebezpiecznych zabaw, surfingu i jazdy konnej, rowerowej i samochodami, skłonność do podejmowania ryzyka z facetami i zawodowo osłabły wobec pragnienia, by dziecko było bezpieczne. Nie chciała jednak tego zmieniać.

Dotarły do ganku domu Flossie i zatrzymały się w milczącym porozumieniu.

– Jak myślicie, co jest tak ważne, że ciotka kazała nam przyjść tu razem? – zapytała Elly, podnosząc głowę i patrząc na wiszącą ozdobę z kawałków wyrzuconego przez morze drewna i szkła.

– Może znowu chce wstąpić do klasztoru. – Laura spojrzała na Anne. – Jeśli to zrobi, mogłabyś tutaj zamieszkać zimą. Byłoby cieplej niż w domku.

– A może się zakochała i planuje ucieczkę – odezwała się Elly. – Któregoś ranka, kiedy odwiedzałam mamę, widziałam jakiegoś mężczyznę wychodzącego od Flossie.

– Pewnie uczeń z jogi – zasugerowała Laura.

– Nie, jeśli Flossie ma zwyczaj całowania swoich uczniów po zajęciach – odparła Elly.

– Wątpię, że Flossie by uciekła, nawet jeśli się zakochała – wtrąciła Anne. – Nie pozwala, by miłość dyktowała jej, jak żyć, tak jak my to robimy. Zresztą chyba dobrze jej w pojedynkę.

– Ja też taka będę – zadeklarowała Elly. – Samotna i zadowolona.

Laura i Anne zaczęły wiwatować, czym wywabiły Flossie na ganek.

– Proszę, proszę, co to morze wyrzuciło na brzeg. Wejdźcie, zanim to dziecko się przeziębii. Rześko jest.

Anne weszła do domu ostatnia. Podała Lucy ciotce, która od razu schyliła głowę, żeby mała, chichocząc, mogła złapać ją za krótkie siwe włosy.

Kiedy Anne zdejmowała buty na ganku, żeby oszczędzić podłogi, zastanawiała się, kiedy ciotka zaczęła martwić się o dzieci i zimno na dworze. Pamiętała, że kiedy były małe, Flossie zabierała je na plażę nawet w trakcie zamieci śnieżnej. Anne to uwielbiała. Było coś magicznego w grubych szarych chmurach, lodowatych i mokrych sopelkach na twarzach, falach uderzających o skały, gdy budowały bałwana na piasku. Ozdabiały go guzikami z muszelek, naszyjnikami z wodorostów i robiły ręce z wyrzuconego na brzeg drewna.

Kiedyś z siostrami ulepiła ze śniegu syrenkę. Gdy się roztopiła, Anne płakała – uwielbiała patrzeć na figurkę leżącą ponętnie na boku, odwróconą twarzą ku otwartemu morzu.

Flossie zdążyła już oddać Lucy Laurze, która zabawiła ją, machając plastikowymi łyżkami do odmierzania produktów, podczas gdy ciotka robiła herbatę. Anne przysiadła na taborecie i rozejrzała się po zagraconej kuchni, jak zawsze zainteresowana tym, jak gotują inni. Z haczyków umocowanych na desce zwisały miedziane garnki i żeliwne patelnie. Słoiki z przyprawami, suszoną fasolą i makaronem stały równiutko na metalowych półkach, a obok zlewu znajdował się blok z porządnymi nożami. Wszystko tu było proste, ale funkcjonalne, nawet stara kuchenka gazowa i mała biała lodówka. W takiej kuchni można gotować całe życie i niczego ci nie zabraknie, pomyślała z zadowoleniem Anne. Nie dostrzegła tu zbędnych przedmiotów, na których kupno ludzie dawali się namawiać – łuskarki do kukurydzy, rozdzielacza białka od żółtka, drylownicy do papryki czy przyrządu do szypułkowania truskawek.

– Chodźmy do salonu. – Flossie podała im herbatę i zrobiła się nagle

bardziej formalna. – Będzie wygodniej.

Kiedy wszystkie już się usadowiły – siostry rządkiem na kanapie, Lucy na pledzie na podłodze, na plecach, z palcami w buzi, patrząc ze zdziwieniem na trzy postacie nad sobą – Flossie usiadła w białym fotelu, zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich, uspokajających wdechów.

Ciotka miała na sobie te same co zwykle sportowe ciuchy. Jej twarz, mimo głębokich zmarszczek, była elegancka i wyrzeźbiona, z wystającymi kośćmi policzkowymi, pomyślała Anne. Nic dziwnego, że mężczyźni wciąż uważali Flossie za pociągającą i szukali jej towarzystwa. Być może fakt, że wolała mieszkać sama, czynił ją jeszcze bardziej interesującą.

Flossie wciąż głęboko oddychała, jej pierś unosiła się i opadała, szczęka powoli rozluźniała, a zmarszczki na twarzy stały się mniej widoczne. Anne niemal spodziewała się, że ciotka zaintonuje jakiś dźwięk. Przez kilka minut czekały w milczeniu. Nawet Lucy była spokojna. Anne bała się spojrzeć na siostry, wiedząc, że wszystkie zaczną wtedy nerwowo chichotać. Kątem oka dostrzegła drgające kolano Elly i położyła na nim dłoń, by się uspokoiło.

W końcu Flossie otworzyła oczy. Anne z zaskoczeniem dostrzegła, że lśnią od łez.

– Muszę wam powiedzieć coś smutnego – zaczęła.

Serce Anne waliło jak szalone. Złożyła spocone z nerwów ręce. Czy ciotka była chora? Nie, wtedy nie powiedziała by, że to coś smutnego. Użalanie się nad sobą nie jest w jej stylu.

Flossie poprawiła się w fotelu, z kieszeni czarnej bluzy z kapturem wyjęła kopertę, z której wyjęła list.

– Miałam nadzieję, że matka sama wam powie albo dzisiaj do nas dołączy. Ale ponieważ postanowiła się nie pojawiać, odpowiedzialność spadła na mnie. Dziewczynki, wasz ojciec nie żyje.

– O czym ty mówisz? – Laura z nerwów się zirytowała. – Tata umarł? – Spojrzała na pozostałe. – Czy to jest nowa wiadomość? Szczerze mówiąc, myślałam, że nie żyje już od dawna.

– Ja również. Skąd o tym wiesz, ciociu Flossie? – odezwała się Elly.

Flossie podniosła dłoń, by zamilkły.

– Wszystko wam powiem, ale muszę to zrobić po mojemu. Pamiętajcie, proszę, że mówimy o moim bracie. Moim młodszym bracie. – Łzy, które przed chwilą lśniły w jej oczach, popłynęły po policzkach, aż załśniła również skóra. Flossie wyjęła chusteczkę z pudełka stojącego obok i otarła twarz. – Być może matka mówiła wam, że Neil od czasu do czasu pisywał do nas obu – dodała.

– Oczywiście, że nie mówiła – odparła Elly. – Mama nigdy nic nam nie mówi.

– Dlaczego ty nam nie powiedziałaś? – zapytała Laura.

– Cóż, nasza korespondencja była sporadyczna – wyjaśniła ciotka. – Proszę, nie bądźcie zbyt surowe dla matki. Ani dla mnie. Tak naprawdę nie miałyśmy jak kontaktować się z waszym ojcem. Przez większość tego czasu mieszkał na ulicy.

– Gdzie był? – zapytała Anne.

– Chyba w różnych miejscach, ale pod koniec życia na Florydzie. W końcu wyszedł na prostą.

– Po zaledwie trzydziestu latach – westchnęła Laura. – Rany. Doskonały wynik.

– To nie czas na złośliwe uwagi – skarciła ją delikatnie Flossie.

– Nie zrozum mnie źle. Kochałam tatę – tłumaczyła Laura. – Bardzo mnie wspierał i był taki zabawny. Pewnie dlatego tak bolało, gdy od nas odszedł. Nie jestem pewna, jak powinnam się teraz czuć.

– Oczywiście. – Ciotka skinęła głową. – Nie winię cię, że czujesz się zraniona. Neil nigdy nie powinien was tak porzucać, bez względu na to, co myślał o hotelu i waszej matce.

– Więc dlaczego to zrobił? – zapytała Elly.

– Wasz ojciec był alkoholikiem – ciągnęła Flossie. – Często nie myślał racjonalnie. Gryzło go także poczucie winy, szczególnie gdy trzeźwiał. Próbował utrzymywać z wami kontakt, dziewczynki, wysyłał wam listy, kartki, od czasu do czasu prezenty. Po kilku latach przestał. Nie chcę tłumaczyć jego zachowania, ale chyba łatwiej mu było całkowicie się od was odsunąć, bo bardzo bolało go myślenie o tym, jak bardzo zawiódł.

– Co ty mówisz? Nie próbował się z nami kontaktować – sprostowała Laura. – Nigdy nie dostałam żadnej kartki ani prezentu od taty. A wy, dziewczyny?

Anne i Elly zgodnie pokręciły głowami.

– Mama pewnie je przed nami ukrywała – zasugerowała Elly. – To by było w jej stylu.

Anne coś sobie przypomniała.

– Lalki! – powiedziała. – Pamiętacie te lalki, które dostałyśmy na pierwsze Boże Narodzenie po odejściu taty? Nie były od mamy ani od Świętego Mikołaja. Nie było na nich żadnej karteczki.

– „Lalki bliźniaczki”! – zawołała Laura. – Całkiem o nich zapomniałam.

– Anne, twoja miała rude włosy, a moja była blondynką – powiedziała Elly.

W tamto Boże Narodzenie znalazły lalki pod choinką, bez karteczek na pudełkach. Nawet wtedy Anne wiedziała, że były dużo droższe niż jakiegokolwiek prezenty, które kupiłaby im matka czy nawet Flossie. Wtedy wierzyła też jeszcze w Świętego Mikołaja i rozplakała się, kiedy Laura powiedziała, że tylko dzieci są takie naiwne.

Zaczęły się kłócić, która lalka jest najładniejsza. Dopiero po kilku minutach zauważyły, że ta dla Anne ma niewłaściwy kolor oczu. Anne była zrozpaczona. Ale

to miało sens – jeśli prezenty wysłał ojciec, to błąd zdawał się dla niego typowy.

– A więc tata o nas zapomniał – podsumowała Laura. – No jasne. W końcu jest facetem.

– Teraz mówisz jak ja – ostrzegła Elly.

– Cóż, kobiety Bradfordów nie mają najlepszych doświadczeń z mężczyznami. – Laura pociągnęła nosem. – Jesteśmy w miłości urodzonymi pechowcami.

Anne obserwowała Flossie, która wpatrywała się w trzymany w dłoniach list. Był składany tyle razy, że miał mnóstwo zagieć.

– Czy to list od taty?

Ciotka skinęła głową.

– Chciał w końcu wrócić do domu. Ale wtedy zdiagnozowano u niego raka wątroby. Zdecydował, że nie przyjedzie, by nie robić problemu mnie czy waszej matce.

– No tak, wiedział, że mama jest na niego wściekła. Pewnie przejechałaby go samochodem – odparła Laura.

– Nie jestem taka pewna – zaprzeczyła Flossie. – Wasi rodzice wciąż się kochali. Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale taka jest prawda. – By podkreślić wagę swoich słów, spojrzała po kolei na każdą siostrę. – A teraz wam go przeczytam. To list od waszego ojca. Prosił, żebym to zrobiła.

– A nie możemy same go przeczytać? – zapytała Anne. Nie chciała sprawiać ciotce jeszcze więcej bólu.

Flossie pokręciła głową.

– Neil prosił, żeby tak się to odbyło. Kochał was wszystkie tak samo i uważał, że powinnam przeczytać go wam jednocześnie.

– Mógł do nas napisać osobne listy – mruknęła Laura, ale ciotka uciszyła ją spojrzeniem.

I zaczęła czytać.

Kochane Dziewczynki,

dorastałyście beze mnie. To jednocześnie powód do smutku, bo tak wiele straciłem, i do świętowania, jestem bowiem pewien, że beze mnie było wam lepiej. Miałem nadzieję, że przed śmiercią zobaczę was raz jeszcze, ale los jak zawsze lubi igrzać z żalonymi ludźmi. Jeśli ciotka czyta wam ten list, to znaczy, że mój czas dobiegł końca.

Na pewno jesteście na mnie złe, że odszedłem. To dobrze. Gniew daje nam siłę. Wychowała was matka, jestem więc pewien, że wyrosłyście na silne, niezależne kobiety. Nie pozwólcie jednak, proszę, by gniew przeszkadzał wam kochać, miłość bowiem to największy dar.

Chciałbym, żebyście wiedziały, że śledziłem wasze życie z daleka, przynajmniej w internecie, kiedy tylko miałem na to siłę. W idealnym świecie

mógłbym pogratulować wam osobiście wszystkich osiągnięć. Jednak w moim dalekim od perfekcji życiu musi mi wystarczyć, że czuję się zaszczycony, bo odegrałem choć niewielką rolę w sprowadzeniu was trzech na tę planetę, byście mogły realizować swoje pasje. Mam nadzieję, że będziecie celebrować swoje sukcesy, podejmować ryzyko i iść za głosem waszych serc.

Pamiętajcie, że duchem zawsze będę z wami i będę was pilnował z miejsca, w które zawiedzie mnie ta nowa droga.

Z miłością

tata

– Jezu, tato – odezwała się Laura, pociągając nosem. – Kiedy zrobiłeś się taki cikliwy?

– Tak się dzieje, gdy jesteś bliski śmierci – odparła Flossie i schowała list do koperty.

Potem wstała, podeszła do szafy w holu, otworzyła ją i z półki nad wieszakiem wyjęła pudełko. Lucy zaczęła marudzić, więc Anne podniosła ją i przytrzymała, by mogła widzieć, co się dzieje.

Flossie przyniosła pudełko i ostrożnie postawiła je na stoliku do kawy. Potem cofnęła się, jakby coś miało wyskoczyć ze środka. Był to zwykły biały priorytetowy karton, jakie za darmo można było otrzymać w każdym urzędzie pocztowym. Z przodu nabazgrano adres Flossie, zwrotny podano w Venice, na Florydzie. Pod każdym względem zwyczajne pudełko, oprócz kawałka czarnej taśmy, na którym białymi literami nadrukowano: SKREMOWANE SZCZĄTKI.

Zaszokowana Anne niemal zgięła się wpół.

– Czy to tata? – wyszeptwała. – Czy on naprawdę jest w środku? – Poczowała, że znalazła się niebezpiecznie blisko histerycznego śmiechu.

– Tato, wyłaź stamtąd – odezwała się również szeptem Elly. Kiedy siostry spojrzały na nią karcąco, dodała: – Przepraszam.

– To strata pieniędzy wysyłać je priorytetem – powiedziała Laura. – Przecież nigdzie się nie spieszył. Od jak dawna trzymasz go w tej szafie, Flossie?

Wszystkie trzy zaczęły chichotać. Flossie dołączyła i nawet usta Lucy ułożyły się w szeroki uśmiech.

A potem, niemal jednocześnie, cztery kobiety zaczęły szlochać i drzeć, a zaskoczona Lucy siedziała w milczeniu, trzymając się swetra Anne.

– Tak mi przykro, Flossie – powiedziała w końcu Anne. – Ale to taki szok.

– Oczywiście, że szok – przyznała Flossie. – A wy przecież ledwie znaliście swojego ojca. – Zawahała się, ale dodała: – Są też rzeczy, których nie wiecie o waszej matce. I choć ona nie zgadza się ze mną, uważam, że powinniście poznać o niej prawdę, bo ta prawda dotyczy również was.

– Czy to nie mama powinna nam powiedzieć? – zapytała Laura.

– Tak, ale wiecie, że tego nie robi – wtrąciła Elly. – Dawaj, Flossie.

Laura wstała i nerwowo zaczęła przechadzać się po pokoju.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. I nie wiem, czy zniosę dzisiaj kolejne niespodzianki. – Spojrzała na pudełko. – Nawet nie otworzymy go, żeby sprawdzić, czy tata naprawdę jest w środku?

– Jest w środku – odparła ciotka. – Usiądź, Lauro. To zajmie tylko kilka minut. A potem, jeśli chcesz, otworzymy pudełko.

– Ten dzień w ogóle mi się nie podoba – mruknęła Laura. – Czuję się, jakbym wdepnęła w gniazdo os. – Ale usiadła, jak prosiła Flossie.

Elly nachyliła się i bzyczała siostrze do ucha, póki Laura jej nie odsunęła.

– Co to znaczy, że musisz nam powiedzieć prawdę o mamie? – zapytała Anne ponad głosami sióstr.

– Cóż, chyba najważniejsze, co musicie wiedzieć, to to, że dzieciństwo waszej matki było zupełnie inne, niż pozwoliła wam wierzyć – zaczęła Flossie. – Nie dorastała w bogactwie. Nigdy nie miała obojga rodziców. Nie dorastała nawet w Back Bay.

– Co? – rzuciła Laura. – W takim razie skąd pochodzi?

– Z Everett – odparła ciotka.

– Everett? – zdziwiła się Elly. – Z tego Everett, przy lotnisku?

– Tak.

– Rany – powiedziała Elly. – Kim byli jej rodzice?

– Ojca nigdy nie знаła – kontynuowała Flossie. – Wychowała ją samotna matka, bardzo biedna, w zwykłym mieszkaniu. Sarah nie kończy też sześćdziesięciu pięciu lat, tylko siedemdziesiąt pięć.

Laura zmarszczyła czoło.

– To by znaczyło, że miała trzydzieści pięć lat, kiedy się urodziłam. I była niemal dziesięć lat starsza od taty. Czy on w ogóle wiedział?

– Raczej nie – odparła Flossie. – Ale wątpię, by go to obchodziło. Sarah była piękna bez względu na wiek. Wciąż jest – dodała łagodnie. – Nie bądźcie dla niej zbyt surowe. Wasza matka walczyła o przetrwanie.

– Skąd wiesz to wszystko? – pytała Anne. – Dlaczego mama powiedziała tobie, ale nie tacie? I nam?

– Kiedy poznałam waszą matkę, od razu nabrałam podejrzeń, że nie jest tym, za kogo się podaje – wyjaśniła Flossie. – A potem, wiele lat później, kiedy tobie wycinano wyrostek, Lauro, Sarah wspomniała coś o swojej siostrze. Wpadła wręcz w histerię, kiedy zabrano cię karetką do szpitala, bo przypomniała sobie, że jej siostra po operacji niemal zmarła z powodu zakażenia. Skontaktowałam się więc ze znajomym prokuratorem w Essex County. Pomógł mi znaleźć informacje o jej pochodzeniu. Kiedy Sarah wychodziła za waszego ojca, jej matka jeszcze żyła, teraz już nie żyje. Za to jej siostra wciąż mieszka w Revere. Ma na imię Joanie.

– Mamy drugą ciotkę, która mieszka pół godziny drogi stąd? – głos Elly

zrobił się piskliwy z zaskoczenia. Potrząsnęła głową. – Rany. Mama jest oszustką. Nic z tego nie rozumiem! Dlaczego przez tyle lat kłamała?

– Wstydziała się – wyjaśniła Flossie. – Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, skąd pochodzi, ponieważ próbowała zakopać swoją przeszłość. Uwierzcie mi, miała powód: to było nieszczęśliwe pod każdym względem dzieciństwo. Potem, kiedy poznała waszego ojca, Sarah najbardziej na świecie pragnęła zostać zaakceptowana jako członkini rodziny Bradfordów. Nasi rodzice nigdy nie zgodziliby się na to małżeństwo, gdyby znali jej prawdziwe pochodzenie. – Zaśmiała się krótko. – Ja również, choć teraz wstyd mi to przyznać.

– To dlatego hotel znaczy tak wiele dla mamy, prawda? Więcej, niż kiedykolwiek znaczył dla taty – powiedziała powoli Anne. – Dawał jej stabilizację.

– Dość łagodnie to nazwałaś – odezwała się Elly. – Bo można też spojrzeć na to tak, że mama jest kłamczuchą i oszustką.

Flossie uderzyła dłońmi o uda i wstała.

– Cóż, chyba dosyć tajemnic jak na jeden dzień. Przepraszam. Macie o czym myśleć, dziewczynki, i na pewno będziecie miały wiele pytań. Naprawdę liczyłam, że wasza matka dołączy do tej rozmowy, ale bez względu na wszystko cieszę się, że coś już wiecie. A teraz może przejdziemy się na plażę, żeby oczyścić umysły?

– Poczekaj – wtrąciła Anne. – Nie otworzyłyśmy pudełka.

– Naprawdę chcesz to zrobić teraz? – zdziwiła się Laura. – Rany, przecież tam jest pewnie urna zapakowana w folię bąbelkową i oklejona taśmą albo coś równie okropnego.

– No – mruknęła Elly. – I wszystkie wiemy, że to mogą być prochy kogokolwiek. Albo czegoś kogokolwiek. Nawet czyjegoś psa. Pewnie w krematorium mieszają wszystkie razem.

– Przestań, Elly. – Anne z troską spojrzała na Flossie.

Siostra ją zignorowała.

– Ważniejsze jest pytanie, co zrobimy z jego prochami, kiedy już otworzymy to pudełko.

Dziwne, ale Flossie na te słowa nieco się uśmiechnęła, choć oczy miała znowu wilgotne.

– Znam odpowiedź. Neil prosił, żebyście rozsypały jego prochy tutaj, na plaży w Zatoce Szaleńców. W liście do mnie napisał, że w końcu zrozumiał, iż bez względu na to, jak wiele lat i kilometrów dzieli go od hotelu, tutaj wciąż jest jego dom.

– Cóż, teraz tego nie możemy zrobić – warknęła Laura. – Nie bez mamy. I trzeba zorganizować uroczystość.

– Nie mówiłam, że teraz, głupia – odparła Elly. – Laura, czy naprawdę cię nie męczy bycie zawsze taką odpowiedzialną i dosłowną?

– Zamknij się – rzuciła Laura. – A czy ciebie nie męczy bycie taką

nieodpowiedzialną i wredną?

– Dziewczynki – przerwała im Flossie. – Chodźmy na plażę. Macie czas, żeby zdecydować o uroczystości dla waszego ojca. Do tego czasu ja przechowam prochy, dobrze?

Wciąż narzekając pod nosem, Elly i Laura zeszły ścieżką na plażę. Za nimi szła Flossie w czarnej wełnianej czapce naciągniętej na ciemne oczy i czarnej marynarskiej kurtce. Wyglądała jak miniaturowy komandos. Anne z Lucy ruszyła z tyłu, myśląc o tym, jak ojciec chodził z nimi na tę samą plażę, nawet w takie dni, kiedy wiatr zmieniał fale w dziką pianę, a czubki uszu i nosy natychmiast drętwiały z zimna.

Ojciec pomógł Anne i jej siostrze znaleźć w Zatoce tyle morskiego szkła, by napełnić słoik w kształcie serca. Kiedyś zabrał je do Bostonu na *Dziadka do orzechów*, a potem pomógł zrobić kostiumy myszek. Tata nauczył Anne jeździć na rowerze – biegał obok niej, by nie upadła. Jako sześciolatka dziewczynka dziwiła się, że ojciec potrafi tak szybko biegać. Mógł prześcignąć rower i złapać ją, kiedy się zakołysała i już zaczynała przewracać, razem z rowerem! A rankiem, jeśli Anne wchodziła do łazienki, kiedy ojciec się golił, podnosił ją, sadzał na umywalce, a potem razem robili brody i rogi z kremu po goleniu. Tata rozśmieszał ją tak bardzo, że dostawała czkawki.

Kochał ją. Wszystkie je kochał.

Flossie się odwróciła, zobaczyła, że Anne płacze i wzięła ją pod ramię, kiedy schodzili po schodkach za pozostałymi.

– W porządku? – zapytała.

– Chyba tak – odparła Anne. – A ty? Dajesz radę?

Flossie odwróciła głowę, patrząc na ocean.

– Czuję się zagubiona. I bardzo mi smutno. Mój brat i ja kochaliśmy się i kłóciliśmy tak jak ty ze swoimi siostrami. A teraz, kiedy go nie ma, czuję wielką ziejącą dziurę, choć nie widzieliśmy się od wielu lat.

– Wiem, co masz na myśli. – Anne trzymała Flossie pod ramię i stały tak przez chwilę, patrząc, jak Elly i Laura ostrożnie idą kamienistą ścieżką na plażę. Krótkie ciemne włosy Laury stroszyły się na wietrze, a jasne Elly spadały do tyłu, kiedy się śmiała.

Było zimno, ale słonecznie. Woda miała kolor tak błękitny, że reszta krajobrazu zdawała się wyblakła. W oddali płynął biały holownik, a chmura biegusów uniosła się znad wody i usiadła na plaży. Odpływ zostawił kręgi na piasku i błota, niekończące się wzory na złotym półksiężycu plaży.

Anne przychodziła na tę plażę wiele razy z ojcem i siostrami. Chwile takie jak ta już nie wrócą. Miała szczęście, że je przeżyła i znów może tu być. Spojrzała na córeczkę. Lucy pochylała się w przód, zaczarowana lśniąca wodą, jakby chciała złapać tańczące fale. Anne przysięgła sobie, że zapamięta dokładnie ten moment,

ciepło dziecka w ramionach, rozpościerający się przed nimi ocean cudów i cień ojca stojący obok.

Po powrocie do domu Laura włożyła na dżinsy buty do jazdy konnej i zeszła do stajni, stawiając kołnierz kurtki przeciw wiatrowi. Było wczesne popołudnie, słońce zaczynało już zachodzić. Jesień bezlitośnie przechodziła w zimę.

W tej chwili nie wiedziała, co czuje – ani gdy chodziło o zmianę pór roku, ani śmierć ojca, ani rewelacje Flossie na temat matki, choć tymi ostatnimi Laura była chyba najmniej zaskoczona. Kennedy kiedyś wspomniała o urodzinach Sarah, mówiąc, że powinny obchodzić inne, ale Laura zignorowała wtedy córkę, mówiąc: „Cóż, w urodziny najważniejszy jest jubilat, a nie wiek, a babcia prosiła, byśmy na jej cześć świętowali właśnie ten dzień. Musimy to uszanować”.

Co za bzdura. Szanować matkę? Jak miała to zrobić, skoro nawet jej nie znała? W tej chwili Laura czuła tylko odrętwienie. Nie było to nieprzyjemne uczucie, szczególnie gdy porównać je do tego, co musiała zrobić wieczorem – powiedzieć córce, że małżeństwo jej rodziców to kłamstwo, podobnie jak wiele innych rzeczy w życiu Laury.

Kilku właścicieli koni ćwiczyło swoje zwierzęta w ringu, wykorzystując go przed rozpoczęciem lekcji Laury. Dzisiaj miała tylko dwie, na szczęście obie dopiero późnym popołudniem, mogła więc skoncentrować się na zwyczajnych, samotnie wykonywanych zajęciach jak zrzucanie siana i napełnianie wodą wiader, nie musiała z nikim rozmawiać.

Miała nadzieję, że stajnia jak zawsze zdziała cuda, poprawi paskudny humor i da siłę na to, co wieczorem czeka ją z Kennedy i Jakiem. Na razie powinna przynajmniej do jutra odłożyć na bok myśli o rodzicach. Bo też co mogłaby w tej sprawie zrobić?

Laura przywitała się z właścicielami koni, wdychając przyjemne zapachy siana, słodkiej końskiej karmy i zwierząt, próbując rozruszać ramiona. Może także przydałaby się jej przejażdżka. Chmury przesuwały się szybko, więc pogoda powinna wkrótce się poprawić, a Kennedy nie wróci do domu przed kolacją, bo ze szkoły odebrała ją Sandra i zabrała do siebie. Co zaskakujące, Kennedy zaprzyjaźniła się jednak z Melanie, udowadniając nie po raz pierwszy, że umysł nastolatki jest wielką tajemnicą.

Dopiero kiedy Laura weszła do stajni, zobaczyła, że ktoś siedzi na ławce tuż za drzwiami.

– Cześć, Lauro.

Zatrzymała się tak nagle, że do nosa wpadły jej trociny spod własnych butów. Mężczyzna siedział w cieniu, ale wystarczyła sylwetka, by Laura rozpoznała go natychmiast – tak dobrze znała zdjęcia z internetu.

– Tom! – Zakryła dłonią usta, a serce zaczęło walić jej jak młotem. – Co ty tutaj robisz?

– Twoje milczenie mnie dobijało. Musiałem cię zobaczyć. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale martwiłem się, kiedy tak nagle zerwałaś kontakt. – Spojrzał na nią i się uśmiechnął. – Dobrze wyglądasz, cieszę się.

– Ty również. – Laura była zdziwiona głosem dobywającym się ze swojego gardła, bo miała raczej wrażenie, że siedzi na fotelu dentystycznym Jake'a, a w ustach ma wepchnięty przez asystentkę odśliniacz, który wysusza wszystko na wiór.

A w ogóle to jak on mógł coś podobnego powiedzieć? Jak mogła wyglądać dobrze po takim poranku?

Wyrzuciła z głowy te myśli i skupiła się na Tomie. Nie przypominał chłopaka, którego znała z liceum. Z chudego dzieciaka z kiepską cerą wyrósł potężny mężczyzna. Nie gruby, ale wysoki i dobrze zbudowany. Z taką posturą i swobodnym zachowaniem w stajni mógł być drwalem albo farmerem – otoczonym końmi, które zwieszały głowy przez drzwi boksów albo miały ich w przejściu, jak przed chwilą zrobił to jeden z jeźdźców ze swoim zwierzęciem. Jest atrakcyjny, uznała Laura: pociągający jak mężczyzna, który emanuje pewnością siebie. W woskowanej kurtce i sztruksach przypominał też nieco Brytyjczyka. Ten wygląd do niego pasował.

– Przepraszam – odezwał się w końcu, kiedy cisza się przedłużała. – Może to nie był dobry pomysł. Nie chcę przeszkadzać, nie chcę, żebyś czuła się niezręcznie. Naprawdę wpadłem tylko się upewnić, czy wszystko dobrze.

– Nie czuję się niezręcznie! – Z ciepła na policzkach Laura wywnioskowała, że pewnie się rumieni, i to niezbyt wdzięcznie. Pewnie wyglądała, jakby przed chwilą podnosiła ciężary. – Nikogo tu nie ma.

Tom spojrzał w stronę wejścia do stajni, skąd było słyhać rozmawiających jeźdźców, kiedy trzeci koń wchodził do ringu.

Laura się zaśmiała.

– To znaczy nikogo z mojej rodziny. Kennedy jest u koleżanki.

– Twoja córka. – Tom się uśmiechnął. – Podobna do ciebie.

Laura uświadomiła sobie, że wiele o niej wiedział z Facebooka. Przynajmniej to, czym chciała się dzielić. Wrzucała zdjęcia ze świąt i zwycięstw, a nie spalone kolacje i kłótnie o rozrzucone na podłodze ciuchy Kennedy, nie swoje zmartwienia o pieniądze i żale do matki, nie drzemki w środku dnia, na które sobie pozwalała, kiedy nie miała już siły.

Tom znał tylko profil, który udostępniała światu. Nie miał pojęcia, że Jake ją zostawił, że właśnie dowiedziała się o śmierci swojego ojca ani że matka całe życie ją okłamywała.

– Chyba powinienem się zbierać – powiedział Tom.

Wtedy Laura pomyślała, że przecież w żaden sposób nie okazała radości z tego spotkania, pewnie Tom pomyślał, że jest niezrównoważona. Bo trochę była.

Ale naprawdę się ucieszyła: Tom tu był, taki prawdziwy. Zależało mu, odnalazł ją nawet po tamtych durnych zdjęciach i nie musiała się martwić, co myśli o jej wyglądzie. I tak wszystko już mu pokazała. Wszystko.

Pewnie z tego powodu powinna rzucić się do ucieczki. Ale spojrzała w ciepłe oczy Toma – miał takie same zmarszczki jak ona – i nagle się odprężyła. Uśmiechnęła się, on zrobił to samo. Nic prostszego.

– Może wejdziemy do domu i napijemy się kawy? – zapytała. – Masz czas? Tyle muszę ci opowiedzieć.

Uśmiech Toma zrobił się jeszcze szerszy. Teraz przypominał chłopaka, którego kiedyś znała, który jeździł dokoła jej roweru na swoim i z ekscytacją opowiadał o matmie i chemii. Chłopaka, który chciał wiedzieć wszystko o świecie i o tym, jak jest skonstruowany, do najdrobniejszej cząstki.

– Dla ciebie? Mam cały czas wszechświata – powiedział i ruszył za Laurą do domu.

Elly wiele razy wcześniej widziała Sarah w furii. Choćby w dzieciństwie: pewnego razu matka rzuciła w nią miotłą, kiedy zapomniała pozamiatać pod kuchennymi blatami; boleśnie wykręciła jej ramię, kiedy jako czternastolatka wbrew woli Sarah próbowała się wymknąć na spotkanie z chłopakiem; pamiętała ostre słowa, gdy zjadła jabłka przeznaczone na szarlotkę.

Teraz matka krzyczała na nią, choć tak naprawdę była zła, że Flossie wszystko im powiedziała.

– Nie miała prawa opowiadać mojej historii moim dzieciom! – powtórzyła. – To ja powinnam była wam powiedzieć!

Elly odczekała chwilę, aż Sarah się zmęczy, a w końcu podniosła rękę, by ją uspokoić.

– Wyluzuj, mamó. – Ona również zaczynała się irytować, była za stara, żeby znosić takie traktowanie. – Flossie powiedziała nam, bo wiedziała, że ty tego nie zrobisz. Nie uważasz, że powinniśmy wiedzieć przynajmniej o śmierci taty? A te kłamstwa o twoim pochodzeniu! Naprawdę były konieczne? Naprawdę myślałaś, że którąkolwiek z nas obejdzie to, że nie dorastałaś w bogactwie? I nigdy nie skończyłaś studiów?

– Bradfordów by to obeszło! Nie rozumiecie, jak to było. – Twarz Sarah zaróżowiła się od gniewu. Chodziła po swoim biurze i być może po raz pierwszy w życiu zdawała się nieświadoma, że w recepcji znajdują się goście, czteroosobowa rodzina, która najwyraźniej chętnie by zwiła, a stali się mimowolnymi świadkami tej sceny.

Elly wstała z krzesła stojącego przed biurkiem Sarah i zamknęła drzwi, przedtem pomachawszy po przyjacielsku do gości i Rhondy, płochliwej jak myszokoczek za recepcyjną ladą. Sarah nigdy nie krzyczała, będąc w pracy. Zawsze w profesjonalny sposób wydawała polecenia, cicho, z żelaznym spokojem.

– Może sprawdzimy? Jak to było? – Elly odwróciła się do wciąż chodzącej nerwowo matki.

Kiedy nie odpowiedziała, Elly dodała:

– No dobrze. Zapomnijmy o Bradfordach. Zacznijmy od czegoś prostego. Twój wiek. Dlaczego kłamałaś w tej sprawie? Nie mogę uwierzyć, że masz siedemdziesiąt pięć lat! W ogóle na tyle nie wyglądasz – dodała z nadzieją, że komplementem nieco uspokoi matkę.

Sarah zerknęła na córkę, potem odwróciła wzrok. W końcu stanęła przed oknem, plecami do Elly.

– Ciężko pracuję, by nie wyglądać na swój wiek.

To była prawda. Tego ranka Sarah nałożyła grubo makijaż, wygładziła cerę podkładem, równo podkreśliła oczy granatowym cieniem, rzęsy miała czarne

i gęste. Ale pod makijażem była tak blada, że przypominała woskową figurę. Jak ciało przygotowane do pogrzebu w otwartej trumnie. Jakby to ciało było tancerką rewiową.

– Usiądź, mamó – poprosiła spokojnie Elly. – Przepraszam, że cię zdenerwowałam. Przyniosę ci wody.

Sarah machnęła ręką.

– Nie chcę żadnej cholernej wody. – Usiadła ciężko w biurowym fotelu, łapiąc za podłokietniki, jakby krzesło miało się zaraz unieść i zacząć latać po pokoju razem z pasażerką. – Jezus Maria. Niech to wszystko szlag.

Matka nigdy nie przeklinała i nigdy nie pozwalała na to córkom. Elly musiała zacisnąć usta, bo w pierwszej chwili miała ochotę się roześmiać, słysząc te słowa wychodzące z delikatnych matczynych ust pomalowanych na ulubiony róż.

– Mamó, zacznij od początku. No dalej, proszę. Powiedz mi przynajmniej, dlaczego kłamałaś w sprawie swojego wieku.

Spojrzenie Sarah powędrowało w kierunku twarzy Elly, a potem dalej, w stronę drzwi. Otrzeźwiała już wystarczająco po ataku złości, by okazać nerwowość.

– Twój ojciec miał ledwie dwadzieścia jeden lat, kiedy się poznaliśmy. Był dzieckiem! Ja miałam trzydzieści. Prawie trzydzieści jeden. Jego rodzice i tak z trudem zaakceptowali mnie jako członka rodziny. Choć wymyśliłam sobie przeszłość, której nie mogli zakwestionować, i tak uznali mnie za nieodpowiednią dla Neila, bo pracowałam w przemyśle rozrywkowym. Bradfordowie szli na Harvard. Robili karierę w bankowości albo prawie. Jeździli konno i grali w golfa. Ale nie pracowali w rozrywce. To już jeden argument przeciwko mnie. A teraz, jak myślisz, co by powiedzieli na wieść, że ich złoty chłopiec żeni się z kobietą być może za starą, by kiedykolwiek dać mu małych Bradfordów? Pamiętaj, że w tamtych czasach nie rodziło się dzieci po trzydziestce. Chyba że byłaś katoliczką i tak wyszło, oczywiście.

– To i tak niesprawiedliwe w stosunku do taty.

– Na miłość boską, niby dlaczego? – zapytała Sarah. – Byłam tak samo seksowna i piękna w wieku trzydziestu lat jak większość kobiet w wieku Neila. Co więcej, emanowałam pewnością, której im brakowało! A twój ojciec był pełnoletni, kiedy się pobieraliśmy. Nie dostał przecież wybrakowanego towaru. Dałam mu dzieci. A potem i tak was w końcu nie chciał, prawda?

Oczywiście matka nie mogła sobie darować okazji, by o tym przypomnieć, zauważyła Elly.

– A reszta? Naprawdę dorastałaś w jakimś koszmarnym mieszkanku w Everett?

Matka się odwróciła.

– Tak, ale nie możesz nikomu o tym wspominać, Elly. Mówię poważnie.

Reputacja hotelu zależy od tego, kim jestem dzisiaj, a nie kim byłam tak wiele lat temu, że już nie zliczę. Proszę. – Spojrzała znowu na Elly szeroko otwartymi błękitnymi i zażawionymi oczami. – Błagam cię. Możesz mnie nienawidzić. Ale miałam ku temu powody. A teraz proszę, odejść. Zostaw mnie samą.

Elly westchnęła.

– Nie nienawidzę cię, mamó. Ale chwilę nam zajmie, zanim przyswoimy te informacje. I od teraz musisz być z nami szczerą, dobrze? Na przykład czy naprawdę masz siostrę?

Sarah skinęła głową, ale mocno zacisnęła usta, jakby bojąc się, że wyjdzie z nich coś okropnego.

– W takim razie mi o niej opowiedz. Jest starsza czy młodsza? Flossie powiedziała nam tylko, jak ma na imię.

– Joanie – szepnęła matka. – Jest pięć lat młodsza ode mnie. A nie widziałam jej od niemal pięćdziesięciu. Była słodkim maleństwem.

– Rany. Nie chcesz się z nią spotkać przed śmiercią? – Elly nie miała zamiaru tak tego ujmować, ale po tym, jak zobaczyła swojego ojca w pudełku, możliwość śmierci matki wydawała się dużo bardziej nieunikniona.

Sarah wyglądała na zaskoczoną.

– Nie, raczej nie. Bo niby po co?

– No nie wiem – przyznała Elly. – Choćby po to, żeby się dowiedzieć, jak się miewa. A co z twoimi urodzinami? Zaproszenia już rozesłałyśmy. Jest na nich napisane, że kończysz sześćdziesiąt pięć lat. Skłamałaś w żywe oczy setce ludzi. Plus swojej rodzinie. Nie wydaje ci się, że to jednak nie fair?

– Tak jak mówiłam, miałam powody, żeby to robić. Co zamierzasz, Elizabeth? – zapytała zdecydowanie. – Przecież nie możesz zmienić zaproszeń. Już zostały wysłane!

– Jedyne, czego dla ciebie nie zrobię, to oszukiwanie – odparła Elly. – Sama się w to wplątałaś, mamó. Musisz znaleźć sposób, żeby się wyplątać. Tylko pamiętaj, że im więcej będziesz kłamać, tym mniej będziemy ci ufać. Naprawdę tego chcesz?

– Nie wiem, czego chcę – powiedziała matka – oprócz tego, żebyście przestały mnie męczyć.

– Jasne. Ja właśnie skończyłam – oznajmiła Elly i wyszła, by nie powiedzieć czegoś, czego pożałuje. Kiedy zamykała za sobą drzwi biura, czuła na plecach ciekawskie spojrzenie Rhondy.

Na zewnątrz słońce świeciło jasno i bezlitośnie. Krajobraz wokół rozblęsnął odcieniami pomarańczy, złota i czerwieni. Elly ze spuszczoną głową powoli wróciła do domu Laury. Kiedy już wydawało się, że rodzina nie mogła stać się bardziej dysfunkcyjna, przechodzili na kolejny poziom szaleństwa.

Nie zauważyła mężczyzny siedzącego na schodach domu siostry, dopóki nie

wstał. Wtedy poznała kucyk i szerokie ramiona, przekłute ucho.

– O mój Boże! – zawołała. – Ryder! Co ty tutaj robisz?

Wyglądał na zmieszanego.

– Twoja siostra mnie zaprosiła – odparł. – Laura pomyślała, że mógłbym przyjechać nakręcić przyjęcie urodzinowe waszej matki. Nie mówiła ci?

– Nie. – Elly niepewnie podeszła i dotknęła kołnierza jego skórzanej kurtki.

Mężczyzna ją przytulił. Pachniał tak jak zawsze: cytryną i solą, wyobrażała sobie, że albo pił tequilę, albo się golił. Kiedyś widziała, jak robił jedno i drugie jednocześnie.

– Wszystko dobrze? Co się dzieje? – zapytał.

– Proszę, powiedz mi, że jestem normalna.

Ryder ucałował ją w czubek głowy.

– Przykro mi, skarbie. Gdybyś ty była normalna, mnie pewnie by tu nie było.

Z jakiegoś powodu obecność Toma w jej kuchni sprawiła, że Laura zapomniała nie tylko o upływającym czasie, ale też o swoim życiu: dziwnej, surrealistycznej informacji o śmierci ojca, o kłamstwach matki, nawet o Jake’u i bólu, który wywoływała świadomość, że ich małżeństwo to ściema.

Kiedy powiedziała Tomowi o Jake’u, zapytał:

– Ale czy nie lepiej znać prawdę, mimo że tak cię przygnębiła?

Musiła przyznać, że tak właśnie jest, choć finansowe skutki rozwodu wydawały się przerażające.

Cóż, jeśli będzie musiała sprzedać dom, to sprzeda. Najbardziej zależało jej, by tak szybko, jak to możliwe, oddzielić swoje życie od życia Jake’a, i zamierzała to zrobić bez pomocy Sarah. Jeśli istniał jakiś sposób, by nie powiedzieć matce, co się dzieje, to go wykorzysta. I nie będzie żałowała, że wyłącza ją ze swojego życia. Nie po tych wszystkich kłamstwach, które im serwowała.

– Nie chcę jej nic mówić, bo wolę, żeby nie wtrącała się w moje życie i nie krytykowała – opowiadała Tomowi. – Straciła prawo doradzania mi, kiedy zawiodła nasze zaufanie. Zresztą wiem, że wołałaby, bym została z Jakiem.

– Dlaczego? – zapytał Tom.

– Cóż, nie jest wielką miłośniczką rozwodów. Mój ojciec oszedł trzydzieści lat temu, a ona wciąż nosi nazwisko Bradford.

Obecność Toma uspokajała Laureę, podobnie łatwość, z którą przyjmował to, co mu opowiadała, tak jak wtedy, gdy byli nastolatkami. Słuchał uważnie i niewiele mówił, uspokajał ją tylko, że Kennedy być może jest bardziej odporna, niż się wydaje.

– Ma wsparcie twoje i twoich sióstr – stwierdził. – Zresztą być może już coś podejrzewa. Nastolatki mają bardzo czułe radary, gdy chodzi o dorosłych obecnych w ich życiu. Wyczuwają pismo nosem. Naturą człowieka jest być spostrzegawczym, żeby przetrwać.

Do drzwi domu Laury zapukała jedna z właścicielek koni, by dać znać, że nadeszła pora lekcji o czwartej.

– Zupełnie straciłam poczucie czasu. – Laura zaczęła na powrót wkładać buty do jazdy konnej.

– Mam nadzieję, że to dobrze. – Tom także wstał i patrzył, jak Laura zapina kurtkę i przeczesuje dłonią krótkie włosy.

Nagle poczuła się zawstydzona, przypominając sobie zdjęcia, które mu wysłała.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś. Tylko szkoda, że w takim szalonym czasie. Jake i ja nie jesteśmy jeszcze oficjalnie w separacji. I nie jestem gotowa na zbyt wiele.

Na twarzy Toma powoli wykwitł uśmiech, kiedy odwzajemniał jej spojrzenie, ona zaś nie potrafiła zachować powagi.

– Ale bierzesz pod uwagę różne możliwości? – zapytał.

– Możliwości czego?

Przeszedł przez kuchnię, by wziąć ją w ramiona.

– Możliwość nas – powiedział, całując Laurę tak namiętnie, że niemal ugięły się pod nią kolana.

Kiedy w końcu złapała oddech, uśmiechnęła się ponownie.

– Nie wiem – odparła. – Zrób to jeszcze raz, to się zastanowię.

Lekcja o czwartej minęła szybko, choć Laura co chwilę musiała sobie przypominać, kim jest i co powinna robić. Podobnie przeszła lekcja o piątej z Blythe, dziewiętnastolatką, najbardziej zaawansowaną jej uczennicą.

Kiedy Blythe jeździła na Starze, zachowywał się spokojnie, jak z żadnym innym jeźdźcem na grzbiecie. Laura założyła ręce i poruszała się wokół środka ringu ze stoperem, mierząc czas Blythe i Stara jadących przez kozły. Ustawiła podstawowe skoki na metr dwadzieścia i z radością patrzyła, jak Star skacze gładko, nawet nie muskając przeszkody kopytem. Zawołała parę z powrotem na środek ringu i dała Blythe kilka wskazówek co do sylwetki, a potem pożegnała machnięciem. Dziewczyna miała rozsiodłać i oporządzić Stara – zaczęła popołudniami pomagać Laurze w stajni w zamian za dodatkowe lekcje. W końcu, kiedy konie wróciły z dworu i zostały nakarmione, Laura poszła do domu, myśląc ponownie o Tomie i dziwnych wydarzeniach tego popołudnia.

Kiedy przygotowywała w pośpiechu kolację, poczuła, jak ściska ją w żołądku na myśl o rozmowie, którą musieli z Jakiem odbyć z Kennedy. Przygotowywała omlety, bo była zbyt zmęczona i roztrzęsiona, żeby robić cokolwiek wymagającego więcej wysiłku. Właśnie tarła ser, kiedy wróciła Kennedy. Rzuciła plecak na kuchenną podłogę i oznajmiła, że nie jest głodna, bo po szkole pojechała do Melanie, u której lodówka wygląda „jak cały supermarket Costco”.

– I tak powinnaś coś zjeść – powiedziała Laura. – Podejrzewam, że nie dali ci tam zbyt wiele warzyw.

– Mamo – jęknęła dziewczynka, padając na krzesło obok swojego plecaka. – Nie zmuszaj mnie do jedzenia. Proszę, proszę, proszę, nie zmuszaj mnie. Bo eksploduję!

– No dobrze, ale przynajmniej z nami usiądź.

Laura spojrzała na córkę. Kennedy zrobiła coś z włosami. Z jednej strony miała ufarbowany na niebiesko kosmyk podpięty wysoko z tyłu. Włożyła też jakiś nowy sweter, w biało-czarne paski, w którym wyglądała jak mim.

– Okej. Siedzę. – Kennedy wyjęła komórkę.

– Jak było u Melanie? – zapytała Laura.

– Dobrze. – Kennedy wisiała nad telefonem, z uśmiechem coś na nim pisząc.

– A jak twój dzień?

Widok córki, wciąż nieświadomej tego, co ma nadejść, niemal dobił Laurę. Pospiesznie wróciła do blatu i zaczęła siekać szpinak tak gwałtownie, że ostrze noża zostawiało nacięcia na desce.

– Dobrze – rzuciła.

Z gorąca, które nagle poczuła na karku, domyśliła się, że Kennedy uniosła wzrok znad telefonu i na nią patrzy.

– Co się stało, mamo? Próbujesz zamordować ten szpinak.

– Nic. Nakryj, proszę, do stołu.

– Dlaczego jemy tak wcześnie?

– Tata wraca wcześniej z pracy.

– Serio? Dlaczego?

– Bez powodu.

– A gdzie jest ciocia Elly?

– Dzisiaj je kolację u cioci Anne.

Laura pilnowała się, żeby jej twarz nie zdradziła emocji, które raz sięgały wulkanu, a chwilę później leju krasowego. Opowiedziała Kennedy o spotkaniu z Anne i Lucy w domu Flossie, ale postanowiła nie mówić na razie córce o śmierci Neila. Dziewczynka i tak nigdy nie знаła swojego dziadka, a pora nie była odpowiednia na nowe dramaty. Zaserwują ich dosyć.

– Czy teraz, kiedy pogodziłaś się z Anne, mogę spotykać się z nimi, kiedy tylko chcę? – Kennedy z podekscytowania podskakiwała na krześle.

– Tak, jeśli najpierw zapytasz Anne. – Laura spojrzała na zegar. Jake powinien wrócić lada moment. Miała wrażenie, że coś ściska ją za czoło, jakby źle wstrzyknięty botoks. – Powiedz mi coś więcej o wizycie u Melanie. Dobrze się bawiłaś? Jest miłsza, niż myślałaś?

– Chyba jest okej. Ale rany, mamo, nie uwierzyłybyś, jaki oni mają dom!

Kennedy zaczęła wyliczać cudowności domu Sandry: kanapę z podpórką na

nogi i podstawkami na kubki, kryty basen, pokój Melanie i jej łóżko z baldachimem oraz własny telewizor.

– Ma superfajnie! Jakby mieszkała w galerii handlowej!

– Wow, to naprawdę coś – powiedziała Laura, starając się, by w jej głosie nie dało się usłyszeć krytyki.

– Prawda? – ekscytowała się Kennedy. – Ale nie ma sprawy. Melanie i tak jest zazdrosna, bo ja mam konie i plażę. A ponieważ jesteśmy przyjaciółkami, to jakbyśmy miały dom na wsi i dom w mieście.

– Jasne – rzuciła Laura. – Świetnie.

Omlety były już w piecu, a ona przygotowywała wytrawne muffiny. W końcu pozwoliła też sobie na kieliszek wina. Dopiero kiedy przełknęła pierwszy łyk, przypomniała sobie wieczór, kiedy zadzwonił Ryder. Zapomniała wspomnieć Elly, że go zaprosiła. Pamięć jej szwankowała. Czy on nie miał przyjechać dzisiaj? Może Elly już się z nim widziała i zabrała go do Anne.

Jake przyjechał, kiedy smarowała masłem muffiny, i nienaturalnie serdecznym głosem zawołał z korytarza:

– Hej, gdzie są moje piękne dziewczyny?

– Tutaj, tato! – odparła Kennedy. – Nie uwierzysz, gdzie byłam po szkole. Zgaduj!

– Pomyślmy. – Jake wszedł do kuchni i uściskał córkę. – W Hiszpanii? W Senegalu? W Timbuktu?

– Tato! – Kennedy odsunęła się ze śmiechem. – Byłam u Melanie! I było superfajnie!

Jake napotkał spojrzenie Laury. Wyglądał na równie zmęczonego jak ona, miał podkrążone oczy i otepiały wzrok.

– Nie wątpię. Opowiedz mi.

Usiedli do kolacji. Laura ruszała widelcem i przełykała kolejne kęsy, patrząc, jak córka mówi – wciąż była dzieckiem, wierzyła, że wszystko pozostanie takie na zawsze, będą szczęśliwą rodziną, która co wieczór zasiada razem do kolacji.

Laura zamknęła oczy. Zapamiętaj to, pomyślała. Przynajmniej przez jakiś czas mogłaś to dawać swojej córce.

Po wyjściu od Flossie Anne wróciła do domku i położyła Lucy spać, a potem wzięła elektroniczną nianię i poszła na plażę, drżąc z zimna, by pomyśleć o wszystkim, co usłyszała od ciotki.

Ich ojciec zmarł. Anne patrzyła na wodę, rytmicznie uderzające fale i wodną mgiełkę na ich grzbietach – i zrozumiała w końcu, co czuje. Oprócz czystego żalu wywołanego listem od niego, tak pełnym smutku, pojawiła się ulga. Nie musiała już się zastanawiać, gdzie jest ojciec. Mogła przestać się zastanawiać, czy kiedykolwiek wróci. Czuła ból, oczywiście, ale również spokój.

Matka to inna historia. Dlaczego tak się upierała, by udawać kogoś, kim nie

była? Anne w pewnym sensie rozumiała motywację Sarah – która bez wątpienia weszła w tryb przetrwania, szukając ucieczki ze swojego trudnego życia – ale w Anne obudziła się złość, a co gorsza, czuła się oszukana. Nie miała już ojca, ale nie miała też matki, jaką znała. Wiedziała, że nie ma sensu złościć się bardziej na matkę niż na ojca – Sarah przynajmniej została i zarabiała na ich życie, edukację, wychowała na niezależne kobiety. Ale to na nią Anne była bardziej zła, i to z niewytłumaczalnego powodu. Sfrustrowana zagryzła wargę.

Unoszący się w powietrzu metaliczny zapach oznaczał, że nadchodzi deszcz. Może ze śniegiem. W domku będzie dzisiaj zimno. Matka miała rację, nie został ocieplony; wiatr z łatwością przenikał stare mury niewielkiego budynku. Przed zimą musi znaleźć inne mieszkanie. Ale niech ją szlag, jeśli poprosi matkę o pomoc. Sarah nie zasługiwała na to, by być częścią życia Anne ani Lucy, dopóki się nie wytłumaczy.

Komórka zadzwoniła, kiedy Anne wciąż patrzyła na ocean, obserwując kormorana nurkującego po rybę, jego szczupłą długą czarną szyję przypominającą węża, który wynurzał się z wody. Dzwonił Sebastian, który wrócił z Waszyngtonu i chciał się spotkać.

– Przywiozę coś do jedzenia – zaproponował.

Anne uśmiechnęła się na dźwięk jego głosu i rozciągnęła plecy, czując ciepło między łopatkami, jakby Sebastian położył tam dłoń.

– Nie, ja coś ugotuję – odparła. – Byłeś tyle dni w podróży. Na pewno masz dość żarcia na wynos. Szybko coś przyrządę.

Po drzemce Lucy Anne pożyczyła auto od Flossie i pojechała do sklepu. Z dzieckiem w nosidełku kupiła świeży szpinak, ryż arborio i filety z kurczaka.

Położyła małą spać wcześniej niż zwykle – choć raz Lucy zgodziła się współpracować – i zaczęła podsmażać mięso do szpinakowego risotto, które przygotowała wcześniej. Zjedzą z sałatką i bagietką – Sue dała Anne resztę ciasta z hotelowej kuchni. Kiedy Sebastian koło siódmej przyjechał z butelką caberneta, wszystko było gotowe. Anne włączyła elektryczne grzejniki – jedyne źródło ciepła w domku – ale i tak musieli siedzieć w swetrach. Po kolacji zaparzyła jeszcze świeżą miętę z ogrodu Flossie.

Kiedy Anne robiła herbatę, Sebastian rozpalil ogień w piecyku. Domek szybko się ogrzał. Zdjęli swetry i swobodnie rozmawiali. Sebastian był w Waszyngtonie z wykładem na konferencji leśników. Opowiedział trochę o badaniach, na których oparł swój tekst – przed powrotem do Massachusetts badał wpływ zacienienia i nasłonecznienia na wzrost liści i gęstość alpejskich krzewów w Górach Białych – a potem zapytał Anne o pierwsze dni pracy w hotelowej kuchni.

– A więc ją lubisz? – zapytał, kiedy trochę opowiedziała mu, co robiła.

– Lubię – odparła. – Uwielbiam gotować. Zawsze tak było. To sztuka

tworzyć jedzenie równie piękne i pyszne. – Pokazała połowę kruchej bagietki leżącą na stole. – To jest prosty chleb, tylko drożdże, mąka i sól. A jednak wystarczy dodać coś swojego, może świeży rozmaryn lub oregano, posolić wierzch, a otrzymujesz coś wyjątkowego. Nigdy nie nudzi mi się próbowanie dań w restauracjach i wyobrażanie sobie, co zrobiłabym inaczej. Uwielbiam łamać zasady, nawet jeśli kilka razy popełnię błąd, zanim znajdę smaki, które współgrają. Eksperymentowanie z jedzeniem mnie uszczęśliwia.

Przerwała, ze ściśniętym gardłem przypominając sobie, jak matka uczyła ją gotować jajko w koszulce. „Coś bardzo prostego, ale można je łatwo zepsuć”, powiedziała wtedy, stojąc obok Anne czekającej z chochlą na kuchennym stołku.

Matka tak wiele ją nauczyła. Między innymi tego, żeby nikomu nie ufać.

Sebastian uśmiechnął się, nieświadomy zmiany w nastroju Anne. Wyglądał na zmęczonego, po południu przyleciał z Bostonu, pojechał autem do siebie wyprowadzić psa i przyjechał tutaj. Mack leżał teraz u ich stóp, od czasu do czasu rzucając pełne nadziei spojrzenia w kierunku stołu i uderzając ogonem o podłogę, kiedy Anne dała mu odrobinę kurczaka.

– To świetnie, że jesteś szczęśliwa – stwierdził Sebastian. – Martwiłem się, jak mi powiedziałaś, że możesz mieć uraz do pracy w hotelu.

Anne pokręciła głową.

– Nie. Kiedy byłam małą, w hotelowej kuchni czułam się jak w domu. Była dla mnie jak czarodziejski dom olbrzyma. Stały w niej ogromne słoje z mąką i cukrem, były długie blaty z nierdzewnej stali, do których nie sięgałam, gigantyczne garnki wisiały nad nimi albo leżały na półkach pod spodem.

Jakbym obserwowała magików przy pracy, pomyślała. Rodrigo i jego pracownicy zmieniali surowe składniki w cudowne potrawy, kelnerzy wchodzili do kuchni i wychodzili z niej niczym tancerze, balansując talerzami.

– Gary na dolnych półkach były takie ogromne – wyjaśniała Sebastianowi. – Mogłam z nich zrobić dziecięce meble. Udawałam, że mam stoły i krzesła. Rodrigo nigdy nie wyganiał mnie z kuchni, tylko stawiał w kącie, bym nie przeszkadzała. Tyle wspaniałych zapachów! I tyle skomplikowanych dźwięków i rytmów ponad moją głowę. Jak w filharmonii. Wiedziałam, że matka nie ma czasu na mnie krzyczeć, bo jest zajęta dyrygowaniem. Ledwo zauważała moje istnienie.

Anne urwała, nagle uświadamiając sobie, że w przeszłości brak zainteresowania ze strony matki nigdy nie wydawał się ważny – miała przecież siostry i Flossie – dopóki sama nie urodziła córki. Teraz myśl o tym, że matka była zbyt zajęta, bolała.

Zmusiła się do uśmiechu, bo Sebastian obserwował jej twarz, gdy mówiła. A powiedziała chyba za dużo. Nerwy. Anne się denerwowała, zastanawiając, dlaczego Sebastian od przyjscia tu jej nie dotknął, tylko przelotnie pocałował w policzek na przywitanie. A całe ciało Anne przeszywał przecież dreszcz za

każdym razem, kiedy odwracała się w kierunku mężczyzny. Pragnęła poczuć męskie dłonie na udach i biodrach przyciągające ją do siebie. Ale Sebastian pozostawał zdystansowany, osobny.

– Przepraszam – powiedziała. – Jesteś taki milczący, pewnie zmęczony.

– Nie o to chodzi. To znaczy tak, jestem zmęczony. Ale próbuję się zebrać, żeby ci coś powiedzieć.

Poczuła ucisk w żołądku.

– Co powiedzieć?

– Kilka rzeczy. To skomplikowane. – Sebastian wstał i odstawił kubki na kuchenny blat, napełnił zlew gorącą wodą i zaczął zmywać naczynia. Anne nie miała nic przeciwko. Wiedziała, że Sebastian należy do osób, które by myśleć, muszą coś robić. Ona była podobna, uspokajała się i lepiej koncentrowała, kiedy wykonywała jakieś manualne czynności. Razem posprzątała kuchnię. Sebastian odwrócony plecami mył naczynia i garnki, a Anne zbierała i odkładała resztki. Opowiedział jej jeszcze o Waszyngtonie i jakimś eksponacie, który widział w Smithsonian.

Miał na sobie eleganckie ciuchy, w których nigdy przedtem go nie widziała: szare wełniane spodnie i koszulę w paski bez krawata. Pewnie go zdjął po drodze tutaj albo przedtem, w samolocie. Wyobrażając sobie ten gest, zgrabne męskie palce rozplątujące węzeł, Anne zapragnęła odpiąć swoją bluzkę, teraz, kiedy Sebastian był wciąż odwrócony. Wyobrażała sobie, jak wyjmuje mu koszulę ze spodni, podnosi ją, przyciskając swoje nagie piersi do jego ciepłych pleców. Zmoczyła papierowy ręcznik i przesunęła się na drugą stronę blatu, ścierając na dłoń okruszki chleba z miejsca, gdzie go kroїła.

– Ciotka powiedziała nam dzisiaj, że nasz ojciec nie żyje – odezwała się czy raczej słowa po prostu nagle się pojawiły, gotowe popłynąć w powietrze.

Sebastian odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na Anne.

– Mój Boże, tak mi przykro. To musiał być szok. Jak się czujesz? Wiem, że od dawna nie miałaś od niego wiadomości.

– Od trzydziestu lat. – Wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem, jak się czuję. Chyba trochę bezradna. Ledwie go pamiętam. To było takie dziwne, że Flossie nam powiedziała, a nie mama. Flossie ma jego prochy. Wiedziałaś, że można wysłać czyjeś prochy w zwykłym pocztowym pudełku? Mają nawet specjalną nalepkę informacyjną. Oczywiście czarną.

– O rany. – Sebastian obszedł blat, by przytulić Anne, i oparł brodę o jej głowę. – Naprawdę mi przykro. Jak umarł? I gdzie był?

– Na raka. Mieszkał na Florydzie. Okazuje się, że czasami pisał i do mamy, i do Flossie. Tyle że one nigdy nam o tym nie wspomniały. Dziwne, co nie? – Anne czuła, jak oddech więźnie jej w gardle: kolejna zdrada. I to ze strony Flossie.

– Z pewnością próbowały was chronić – zauważył Sebastian. – Usiądź,

biedactwo. Tak mi przykro – powtórzył.

Wzięli kubki i usiedli na kanapie. Anne postawiła swój na stole i zauważyła, że Sebastian ma mokrą od zmywania koszulę. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy, i podciągnęła kolana pod brodę, tworząc z nich naturalną barierę. Nie by oddalić od siebie Sebastiana, ale by powstrzymać się przed dotknięciem miejsca, w którym wilgotna koszula przylegała do ciała.

– Chodzi o to, że nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, dlaczego tata odszedł. To znaczy wiem, że często się z mamą kłócili, pamiętam to, ale nigdy nie wiedziałam dlaczego. Ani dlaczego Flossie została z nami, choć nigdy się z mamą nie dogadywały.

– Pewnie po to, by się wami opiekować.

– Do tego mama mogła wynająć niańki.

– Nie, kiedy była w szpitalu.

Powiedział to, jakby przypominał Anne o tym fakcie, ale ona przecież nic nie wiedziała.

– Kiedy moja mama była w szpitalu?

– Kilka razy po odejściu waszego ojca – odparł. – Ja to pamiętam, bo moja babcia i Flossie się przyjaźniły. Kiedy byłem dzieckiem, babcia przywoziła mnie tutaj i pomagała Flossie się wami zajmować. Chyba czasami pomagała również w hotelu. – Uśmiechnął się. – Byłaś mała, jeszcze w podstawówce. Ja za to już w gimnazjum i uważałem cię za strasznie upierdliwą.

Anne zaśmiała się i przygryzła wargę na to wspomnienie.

– Nie pamiętam, że do nas przychodziłeś. W ogóle nic nie pamiętam z tamtego czasu. Dlaczego mama trafiła do szpitala? – Wyobrażała sobie wszystko, od raka do histerektomii, ale nie spodziewała się takiej odpowiedzi:

– Kilka razy miała załamanie nerwowe. Z tego, co pamiętam, to trzy. Trafiła wtedy do McLean.

McLean był szpitalem psychiatrycznym niedaleko Bostonu.

– Nie wiedziałam o tym. Pamiętam, że czasem wyjeżdżała.

– Pewnie tak to planowała. Wasza matka wołała, by nikt o tym nie wiedział. Nawet jej rodzina.

– Jaka rodzina? Jej rodzice zmarli, zanim wyszła za mojego ojca, a rodzeństwa nie miała. – Anne przyłapała się na tym, że powtarza kłamstwa Sarah.

– Nie, cofam to. Flossie właśnie powiedziała nam, że mama ma siostrę, a jej matka wciąż żyła, kiedy mama wychodziła za tatę, choć babki nigdy nie poznałyśmy.

Sebastian skinął głową.

– Pamiętam, że moja babcia mówiła: „Ta biedna kobieta jest odcięta od swojej prawdziwej rodziny”. Wtedy zrobiło to na mnie wrażenie, bo moja babka była twarda jak gład. Nigdy nikomu nie współczuła. W każdym razie Flossie prowadziła hotel i zajmowała się wami, gdy Sarah źle się czuła.

– Biedna mama. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tata tak po prostu ją zostawił. I własne dzieci – dodała, świadoma goryczy w swoim głosie.

– Gdyby twój ojciec tu został, mógłby nie przeżyć – delikatnie odparł Sebastian. – Nie tłumaczę tego, co zrobił. Ale żyjąc z moją żoną, nauczyłem się, że choroba psychiczna może z człowiekiem zrobić wszystko. Twój ojciec był alkoholikiem. Pewnie musiał odejść od ludzi i z miejsc, które napędzały picie.

Anne spojrzała na niego, rumieniąc się ze wstydu.

– Wiedziałaś?

Sebastian wzruszył ramionami.

– Większość ludzi w mieście wiedziała.

Anne pomyślała o matce i sile, jaką musiała w sobie znaleźć, by dalej funkcjonować.

– Dziwię się, że Flossie nie powiedziała nam o tym wszystkim.

– Może mówiła tylko o tym, co miało na was bezpośredni wpływ. – Zerknął na zegarek. – Chyba powinienem się zbierać. Robi się późno, a ty miałaś ciężki dzień. Naprawdę przykro mi z powodu twojego ojca.

– Nie wychodź, proszę. – Anne rozplątała ręce i nogi i pochyliła się, by dotknąć kolana mężczyzny. – Może zostaniesz na noc?

Niby nie drgnął, ale w jego spojrzeniu pojawił się niepokój.

– To raczej nie jest dobry pomysł.

Zabrała dłoń.

– Rozumiem, że żałujesz tamtej nocy.

Oczy Sebastiana pociemniały z żalu, zniknął z nich cały złoty blask.

– Oczywiście, że nie – odparł cicho.

– W takim razie o co chodzi? Czujesz się jak w pułapce – zgadywała. – Tak jak czułeś się przeze mnie w liceum.

– O czym ty mówisz?

– Nie pamiętasz? – Anne się zaśmiała. – Rany, idealne zakończenie tego koszmarnego dnia. Ja martwię się o to właściwie, od kiedy się wydarzyło, a ty masz to w nosie. Nawet nie pamiętasz!

– Anne, o czym ty mówisz?

– O imprezie twojej siostry, o tym, jak za tobą chodziłam, a potem praktycznie siłą wlałam ci do auta!

– Nie wiedziałem, że za mną chodzisz.

– Oczywiście, że nie wiedziałaś! – Anne ściszyła głos, by nie obudzić Lucy. – Ja nie pamiętam, że poznałam cię jako dziecko. Moje pierwsze wspomnienie związane z tobą to to z imprezy Paige. Cały wieczór cię obserwowałam. Czekałam na dobry moment. Bo widzisz, ja cię wybrałam.

– Wybrałaś mnie do czego? – Teraz Sebastian nic już nie rozumiał.

Anne chciała, żeby ją przytulił i powiedział, że angażując się w tę relację, nie

popęłniła kolejnego błędu. Przecież powinna się nauczyć większej ostrożności. Ale może, gdy masz ojca, który odszedł, i matkę, która zawsze kłamała, uczysz się, że ból to naturalna droga miłości.

– Chciałam, żebyś był moim pierwszym kochankiem – powiedziała. – Dlatego cię wybrałam.

– Żartujesz.

– Nie. – Anne wstała i podeszła do blatu, strząsnęła stamtąd nieistniejący okruszek i przesunęła na powrót dzbanek z suszonymi hortensjami. – Byłam dziewczicą i chciałam przestać nią być. A ty zdawałeś się idealnym kandydatem, bo byłeś starszy i wkrótce miałeś wyjechać w świat.

– Dlaczego to dobrze, że miałem wyjechać?

Odwróciła się. Sebastian siedział wyprostowany na kanapie, trzymając dłonie na kolanach szarych spodni niczym mężczyzna czekający na autobus.

– Bo nie chciałam komplikacji, tak jak ty nie chcesz ich teraz – odparła. – I nie winię cię za to. Miłość jest dla głupców.

Wypowiedziała to jedno słowo, którego tak nie chciała mówić: „miłość”.

Sebastian wstał i podeszedł do niej.

– Anne. Przestań. Nie jesteś głupia.

– Powinieneś już iść. Naprawdę robi się późno.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie pozwolisz mi wyjaśnić.

Przez moment miała jeszcze nadzieję. Może Sebastian weźmie ją w ramiona i pocałuje, tak jak całował przedtem, ogrzeje swoim oddechem i dłońmi. Nie. Wskazał na kanapę i uprzejmie poprosił, by usiadła. Kiedy to zrobiła, przysiadł na stoliku do kawy twarzą do Anne.

– Nie mogę uwierzyć, że sądzisz, iż nie pamiętam tamtego wieczoru i przyjęcia Paige – zaczął. – To było jak sen. Ty byłaś taka piękna. Taka prawdziwa i otwarta. Miałem dość lasek, które spotykałem w college’u. Tych ich gierek. Myślałem o tobie każdego dnia przez wiele miesięcy po wyjeździe. Chciałem się z tobą skontaktować, ale wiedziałem, że to głupota: miałaś ledwie szesnaście lat, ja byłem w college’u i planowałem wyjazd za granicę. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Powinnaś była dokończyć liceum i dorosnąć. – Potarł twarz dłonią, aż na policzki wrócił mu kolor. – Nie miałem pojęcia, że dla ciebie to był eksperyment, ale pochlebia mi, że to mnie wybrałaś na swój pierwszy raz.

– Naprawdę? – Anne poczuła, jak nieco rozluźniają się jej ramiona. – Bałam się, że poczujesz się wykorzystany albo coś.

Wtedy Sebastian się zaśmiał, po raz pierwszy tego wieczoru.

– Zapewniam cię, że nie przeszło mi to przez myśl – powiedział. – Czuję się tylko cholernym szczęściarzem.

Przez chwilę się do siebie uśmiechali, a potem Sebastian znowu spoważniał.

– Ale mimo to nie jestem teraz na ciebie gotowy, Anne.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem. Przeżyłem koszmarne małżeństwo. Bardzo bolesne. I jeszcze się nie pozbierałem po tym, jak Jenny... – zaczął i wziął głęboki wdech – ...po tym, jak Jenny postanowiła zakończyć życie swoje i naszego dziecka. Kiedy patrzę na ciebie i Lucy, już o tym mówiłem, pojawia się we mnie nadzieja. Jesteś wspaniałą matką. Taką, jaką powinna być każda matka. Ale ja nie jestem gotów, by zostać ojcem.

– Nie prosiłam cię o to – powiedziała Anne ostrzej, niż zamierzała. – Seks nie oznacza, że mamy się pobrać. Seks nie znaczy też, że nagle zostajesz ojcem. Uwierz mi – dodała z goryczą. – Colin skutecznie mnie tego nauczył. Ja i ty dopiero się poznajemy. Nawet nie wiem, czy zostanę w Zatoce.

– Rozumiem to wszystko – odparł. – Ale być z tobą to znaczy być również z Lucy. To transakcja wiązana. A ja nie potrafię się odnaleźć przy dziecku. Nie potrafię nawet zmusić się, by wziąć ją na ręce.

Anne zastanowiła się nad tym, co powiedział Sebastian: rzeczywiście nie widziała, by dotykał Lucy, z wyjątkiem tamtego dnia, gdy spotkali się w lesie po wypadku z koniem i to Sebastian włożył małą do łóżeczka.

– Dlaczego nie? – zapytała.

– Czy to nie oczywiste? Boję się – odpowiedział. – Moja żona zabiła siebie i nasze dziecko. Nie potrafiłem ich ochronić. Czuję się przeklęty. Wiem, że to nielogiczne, ale tak jest. Więc choć mi na tobie zależy, to nie powinniśmy się spotykać. – Wstał. – Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Uważam, że jesteś tchórzem i palantem. – Również wstała, ale ze złości zeszytniały jej plecy i kolana. – I dlatego masz rację. Powinieneś wyjść. Miałam takiego ojca jak ty. Łatwo się poddajesz. A ojciec mojego dziecka nie jest lepszy. Nie potrzebuję faceta, który wieje, gdy tylko ogarnia go strach. Wszyscy się boimy, Sebastianie. Ale niektórzy z nas nie rezygnują.

Mężczyzna włożył kurtkę.

– Moglibyśmy zostać przyjaciółmi – zaproponował. – Krok po kroku.

– Nie – rzuciła. – Za daleko zabrnęliśmy, żeby teraz robić małe krociki. Ale życzę ci szczęścia. Szczerze.

Sebastian ze schyloną głową wyszedł. Jakimś cudem Anne powstrzymała się, by nie trzasnąć za nim drzwiami. Na blacie zadzwoniła jej komórka. Wyświetlił się numer Laury. Anne odebrała, gotowa złorzeczyć i płakać.

– Cześć.

Anne spodziewała się, że siostra z tonu jej głosu rozpozna, że coś się stało. Ale to Laura szlochała do słuchawki.

– Musisz przyjechać do szpitala.

– Dlaczego? Co się stało? – Anne tak mocno przyciskała telefon do twarzy,

że przygryzła sobie policzek i poczuła smak krwi.

– Chodzi o mamę! Upadła. Sądzą, że to udar. Robią jej badania. Jestem tutaj, Elly też. Pospiesz się, Anne!

– Przyjadę tak szybko, jak mi się uda.

Rozłączyła się i wybiegła z domku. Sebastian właśnie wyjeżdżał z podjazdu.

– Czeka! – krzyknęła. – Musisz mnie zawieźć do szpitala – powiedziała, kiedy otworzył okno.

– Co się stało?

– Mama upadła, chyba miała udar. – Przypomniała sobie o dziecku. – Szlag. Lucy. Nie mam fotelika. Został w aucie Flossie.

– Weź moje auto – powiedział Sebastian. – Zostanę z dzieckiem.

Anne kiwnęła głową, bo zaniemówiła z wdzięczności, i pobiegła do domku po kurtkę i buty.

Sarah leżała w zaciemnionym pokoju, ale nie we własnym łóżku. To nie była jej pościel i poduszki. Te były szorstkie i śmierdziały wybielaczem. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego! Ani we własnym łóżku, ani w żadnym hotelowym. Próbowwała się obrócić, ale coś ją powstrzymywało. Jakby ktoś unieruchomił jej nadgarstki. Słyszała też głośny pikający dźwięk gdzieś obok. Jakby ciężarówka wjeżdżała tyłem do łóżka.

Spanikowała. Jest w szpitalu!

Otworzyła gwałtownie oczy. Zobaczyła szpitalne łóżko, biały koc na swoim ciele. Nie mogła znowu trafić do McLean! Tylko nie to! Zrobiła przecież wszystko, co jej kazali! Terapia i leki!

Wolną ręką dotknęła głowy i z ulgą stwierdziła, że nie ma tam klejących miejsc. Ostatnio, gdy trafiła do McLean, poddali ją terapii elektrowstrząsami. Po to ją tam zamknęli. Obudziła się wtedy, nic nie pamiętając, ale miała klejące miejsca tam, gdzie smarowali głowę żelem, przyczepiając elektrody.

– Nie poczuje pani bólu – zapewniał ją lekarz. – Będzie pani spała jak dziecko. A po przebudzeniu poczuje się dużo lepiej. W kwestiach dotyczących zdrowia psychicznego medycyna poczyniła ogromne postępy.

Postępy. Ale zostały białe koszule, powłóczący nogami pacjenci zamroczeni lekami tak, że wywracali oczami.

Hospitalizowali ją trzykrotnie. Terapię elektrowstrząsami przeszła za trzecim razem. Jakimś sposobem udało im się pomóc Sarah przezwyciężyć stany lękowe i depresję. Ale ona przyrzekła sobie, że nigdy tam nie wróci. I jej się udawało.

Zatem gdzie jest? W szpitalu, tak, to oczywiste. Ale to było inne miejsce, bardziej ożywione. Nikt tu nie jęczał, nie krzyczał, nie mamrotał pod nosem.

Sarah zmusiła się do powolnego, równego oddychania. Spróbowała się podnieść. Poczowała jednak, że powstrzymuje ją czyjaś dłoń. Chciała ją strącić.

– Spokojnie, mamó. Poprawię ci łóżko.

To Elizabeth! Zatem nie utknęła w koszmarnej przeszłości, to piękna rzeczywistość. Dzięki Bogu.

Elly, przypomniała sobie. Ona nie lubi imienia, które jej nadałaś. Skąd miałyby wiedzieć, że wybrałaś je z powodu swojej licealnej mistrzyni, nauczycielki śpiewu, jedynej, która kiedykolwiek uznała, że będą z ciebie ludzie? Boże, błogosław Elizabeth Murphy.

Ujrzała nad sobą piękną twarz córki. Duże, jasne, błękitne oczy, gładka zasłona blond kosmyków. Sarah próbowała się uśmiechnąć, ale z ustami coś było nie tak. Poczowała, że tylko jeden kącik się unosi, jakby drugi był przyszyty.

Elly też nie wyglądała najlepiej. Miała zmarszczki wokół oczu. Kurze łapki.

Jej córka była już kobietą i miała własne życie, przypomniała sobie Sarah.

Jest starsza, tak jak one wszystkie. Jak to możliwe, że jej trzy córki były takie dorosłe i takie nieszczęśliwe? Rozczarowane swoim życiem, choć miały do wyboru tyle możliwości? Możliwości, których Sarah nigdy nie dostała. Wśród dzisiejszych młodych kobiet rozczarowanie szerzy się niczym epidemia. Nawet jeśli mogłyby mieć wszystko, i tak nie byłyby zadowolone. Tragedia.

Sarah skrzywiła się, czując nagły ból w szyi. Teraz sobie wszystko przypominała: dzisiejszy dzień i te poprzednie. Może to właśnie to – śmierć, która miała nadejść. W życiu nigdy nie ma się dość czasu.

Tygodnie, miesiące i lata minęły tak szybko, że wciąż pamiętała, jak pierwszy raz tańczyła z Neilem, kołysała się, policzek przy policzku, do *Summertime*, a potem do *I've Got a World on a String*, wąchała męski zapach wykrochmalonych koszul i korzennego płynu po goleniu. Pamiętała tamte chwile z mężem, jakby wydarzyły się poprzedniego wieczoru, nawet teraz, gdy masowała powykręcane artretyzmem dłonie. Dłonie tak szczupłe, że żyłki prześwitywały przez luźną skórę niczym błękitna pajęczyna.

Cholerny Neil. Miał czelność umrzeć.

Elly wyglądała na zmartwioną, ale wciąż była na nią zła. Sarah widziała to w oczach córki: stalowoszarych pod błękitem. Złość Elly zdawała się fizycznie bolesna, jakby ktoś dźgał Sarah szwajcarskim scyzorykiem.

Tak, tym właśnie stałaby się Elly, gdyby mogła być bronią: czymś niewielkim o dużej liczbie ostrzy. Podstępny i szybkim. „Śmierć tysiąca cię”. Czy nie taką właśnie karę stosowali dawno temu Chiczy? *Ling chi*. Neil nauczył ją tych słów. Neil, który mnóstwo czytał. Który wyjechał i bez niej zwiedzał świat. A potem umarł, zanim zdążył wrócić do domu. Musieli go przysłać w byle jakim małym pudełku przetrzucanym przez niekompetentnych pocztowców.

Cóż, czyja to wina? pomyślała ze złością, ale była świadoma płynących łez. Ciemnej pustej przestrzeni pod żebrami. Sarah oddychała ciężko. Żal był tak bardzo nieprzyjemny. Zostawiał w ustach paskudny posmak, a na piersi rzucał kowadło.

Laura również tu była, podeszła do łóżka, by zerknąć na matkę. Ona nie mogłaby być małym i podstępny nożem. Smutek i wściekłość Laury czyniłyby z niej tępe i ciężkie narzędzie, jak buzdygan albo obuch. Nietrudno było sobie wyobrazić najstarszą córkę na koniu dzierżącą broń. Odważną. Zdeterminowaną. Niewzruszoną. Wściekłą.

Poprzedniego wieczoru Laura z pewnością była wściekła, kiedy Sarah zadzwoniła do niej, prosząc, by przyszła do hotelu.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś po karetkę, skoro dotarłaś do telefonu? – zawołała Laura, kiedy przyszła i znalazła matkę na podłodze. – Po co zadzwoniłaś do mnie? A jeśli jest za późno? – Wrzeszczała na nią. Czerwona na twarzy. Przestraszona i wściekła.

Sarah znów zemdląła, zanim zdążyła wyjaśnić, że się wstydzi i za wszelką cenę próbuje unikać szpitali. Zawsze nosiła głowę wysoko, choć wiedziała, że ludzie gadali o jej pobytach w McLean. O tym, że była niezrównoważona.

– Mąż ją zostawił i postradała zmysły – usłyszała kiedyś słowa mijanej kobiety.

Ale Sarah im pokazała. Była jak skała, jak granit wokół Zatoki Szaleńców.

Teraz przypomniała też sobie telefon, przez który spadła ze schodów. Flossie. Powiedziała, że nie dba o to, czy Sarah wyrzuci ją z domu. Z okolicy. Przykro jej, ale powiedziała dziewczynkom całą prawdę.

– Najwyższy czas – mówiła przez telefon Flossie. – Powinnaś tam być i zrobić to sama. Te głupoty trwają już zbyt długo, Sarah. Chyba nie chcesz, żeby kłamstwa wisiały nad tobą do końca życia. Co innego okłamywać męża, ale to są twoje córki.

Sarah była wtedy na górze, sprawdzała pokój, w którym zdaniem Betty pojawiła się wilgoć. Schodziła właśnie z powrotem do biura, kiedy zadzwoniła szwagierka. Sarah zaczęła krzyczeć na Flossie tak, jak krzyczała na Neila tuż przed jego odejściem. W końcu rzuciła komórką o schody. Gniew miał taką moc, że mogłaby przebić aparatem ściany! Potem pojawiła się dezorientacja. Mgła przed oczami i swędzenie twarzy. Sarah również to zrzuciła na złość. Ale nagle straciła równowagę i schodząc, poślizgnęła się i upadła. Zleciała ze schodów. Nikt nie mógł jej usłyszeć. Rhonda, Betty, Rodrigo i reszta personelu kuchennego poszli już do domu. Sarah nie wiedziała nawet, czy na wieczornej zmianie pracowała Anne.

Anne. Jaką bronią by była, gdyby wpadła w złość?

Anne była jej najsilniejszą córką. Ona nigdy nie potrzebowała Sarah. Była jak broń nuklearna. Bum i obróciłbyś się w pył. Zniknął. W popiół.

Twarz Laury zniknęła z pola widzenia i odezwała się Elly.

– Mamo? Mamo, słyszysz mnie? Potrzebujesz czegoś? Mam wezwać pielęgniarkę?

Sarah poruszyła ustami. Tak jej się zdawało. Oby. Chciała poprosić o wodę, ale nie dobił się z nich żaden dźwięk.

– Pomocy! – zawołała Elly.

– Czuję się parszywie – powiedziała Elly, opierając łokcie na kolanach i podbródek na dłoniach. – Wiecie, co wczoraj powiedziałam mamie na do widzenia? – Opuściła ręce. – „Nie oczekuj, że ci pomogę” czy coś takiego. To pewnie moja wina, że miała udar i spadła ze schodów.

Elly popatrzyła na siostry, które wciąż zszokowane i półprzytomne odwzajemniły spojrzenie. Siedziały we trzy w poczekalni, podczas gdy pielęgniarka badała matkę. Spędziły już dwie godziny na ostrym dyżurze, gdzie Sarah poddano serii badań, między innymi tomografii, i kilkakrotnie musiały prosić pielęgniarki, żeby przestały krzyczeć na pacjentkę.

– To, że ma siwe włosy, nie znaczy, że nasza mama jest głucha, na miłość boską! – krzyczała na nie Elly. – Doskonale was słyszy!

Musiały jednak poprawić informacje w dokumentach, by podać personelowi prawdziwą datę urodzin Sarah. Dziwne, ale pielęgniarki nie wydawały się zaskoczone.

– Zdziwiłyby się panie, wiedząc, ilu ludzi kłamie – powiedziała im jedna z bardziej gadatliwych.

– Elly, twoja matka miała udar niedokrwienny – tłumaczył Ryder. – To nie była twoja wina, skarbie. To po prostu nieszczęśliwy wypadek.

Wszystkie trzy obróciły się jednocześnie, by spojrzeć na mężczyznę. Elly niemal zapomniała, że wciąż tam jest. Siedział kawałek dalej, w kącie. Tak bardzo tu nie pasował, jakby pochodził z innego kraju, może wręcz z innego wymiaru, z długimi blond włosami, kolczykiem, w skórzanej kurtce i niebieskich džinsach.

– On ma rację – przyznała Laura. Ze sposobu, w jaki spojrzała na Rydera, Elly wiedziała, że siostra jest zdziwiona jego obecnością, choć przecież sama go tu zaprosiła. – Nic, co ktoś powiedział albo zrobił, nie mogło tego wywołać.

– Nie jestem pewna. – Anne z podwiniętymi nogami, w swetrze koloru złamanej bieli pobrudzonym jakimś sosem, siedziała obok Laury na krótkiej pomarańczowej plastikowej kanapie.

– Co masz na myśli? – zapytała Laura.

– Może to stres spowodował udar, gdy mama dowiedziała się, że Flossie wszystko nam powiedziała. Wszystko oprócz tego, że mama bywała już w szpitalu. Przynajmniej trzykrotnie.

– Co? – zapytały jednym głosem Elly i Laura tak głośno, że Ryder aż się wyprostował.

Anne skinęła głową. We fluorescencyjnym świetle jej rude włosy lśniły bardziej niż zwykle, poprzetykane złotymi pasemkami.

– Dowiedziałam się, że mama cierpiała na depresję i przebywała w szpitalu McLean. Nie pamiętacie tego?

– Nie – odparła Laura. – A ja byłam dużo starsza od ciebie. Gdyby naprawdę tak było, mama i Flossie musiałyby bardzo się starać, by to przed nami ukryć.

– A pamiętasz, że mama wyjeżdżała? – pytała Anne. – Bo ja doskonale pamiętam.

Laura zmarszczyła czoło.

– Tak, kilka razy na pewno. Kiedyś mama pojechała na konferencję hotelową i wtedy Flossie z nami została. Nie było jej chyba jakiś tydzień. A, i jeszcze Flossie opiekowała się nami, kiedy mama musiała wyjechać i pomóc jakiejś chorej kuzynce czy coś takiego. To pamiętam, bo mama nie przyszła wtedy na zakończenie roku, gdy byłam w szóstej klasie.

Anne uniosła brew.

– No to już wiesz. Widać Flossie ją kryła.

– I tak nie rozumiem – wtrąciła Elly. – Dlaczego Flossie nie powiedziała nam o tym, skoro wszystko inne zdradziła? Może to nieprawda, Anne. Załamanie nerwowe? Czy to pasuje do mamy? – Patrzyła to na jedną, to na drugą siostrę, ale na ich twarzach widziała tylko wątpliwości.

– Gdzie teraz jest Flossie? – zapytała Laura. – Czy któraś z was do niej dzwoniła?

Elly nie dzwoniła. Anne również nie. Może to i lepiej, pomyślała Elly.

– Nie dzwońmy do niej na razie – powiedziała. – Jeśli właśnie z jej powodu mama tak się zdenerwowała, to kiedy Flossie tu przyjedzie, nie polepszy sytuacji. A co z Lucy? – Odwróciła się do Anne. – Gdzie ona jest?

Anne się zarumieniła.

– Zostawiłam ją z Sebastianem. Był u mnie na kolacji.

– Ooooh! – zawołały Laura i Elly.

– No przestańcie! – zaprotestowała. – Wolałabym, żeby było inaczej, ale nie jest.

Elly poklepała Anne po ręce.

– Daj temu czas.

Ryder wstał i się przeciągnął. Wszystkie trzy siostry spojrzały na niego, a Elly gwałtownie westchnęła, gdy koszula mężczyzny podjechała do góry, odsłaniając nad paskiem dżinsów silny opalony brzuch.

Jeszcze się tutaj nie kochali – po południu Elly pokazywała Ryderowi okolicę, spacerowali wokół Halibut Point i wypili kawę na Bearskin Neck w kawiarni z widokiem na wodę. Pozwolił jej spojrzeć na Cape Ann oczami Kalifornijczyka, zachwycał się małymi drewnianymi domkami z drewnianymi płotami, skalistymi zatoczkami, brzoza i sosnami, żywymi kolorami liści i pomnikiem rybaka w Gloucester, który – jak twierdził Ryder – znał z opakowań paluszków rybnych podawanych kiedyś przez matkę.

Elly chciała zabrać go do łóżka zaraz po kolacji, gdy już odbęda uprzejmą pogawędkę z Laurą, która zapewne będzie przeżywać rozmowę z Kennedy o separacji. Ale Jake wciąż był w domu z córką i powiedział, że Laura odebrała telefon od matki. Od tego momentu wydarzenia potoczyły się szybko – Ryder zabrał Elly do szpitala wynajętym samochodem.

– Znajdę jakąś kawiarnię – odezwał się Ryder. – Chcecie coś?

Poprosiły o zupę i kawę, chciały dać mu pieniądze. Odmówił i odszedł.

– Elly, o co chodzi z tym facetem? – Anne skinęła głową za Ryderem. – Wygląda jak Leo DiCaprio na sterydach. Gdyby był misiem, z chęcią bym się z nim poprzytulą.

Laura parsknęła.

– Nie waż się śmiać – ostrzegła ją Elly i zwróciła się do Anne. – Laura

zaprosiła Rydera, żeby sfilmował przyjęcie urodzinowe mamy. Jest operatorem, znamy się z Los Angeles. To tylko kolega.

W drzwiach pokazała się głowa pielęgniarki.

– Wasza matka jest przytomna i chce was zobaczyć. – Była najstarsza z pielęgniarek, ale miała oczy koloru żywej zieleni. – Co za szczęśliwa mama, trzy córki. Ale proszę, spróbujcie jej nie męczyć.

Sarah wyglądała jak porcelanowa lalka. To była pierwsza myśl Elly, kiedy wtoczyły się do szpitalnej sali. Była też mniejszą wersją siebie. Błękitne oczy w wąskiej twarzy wydawały się ogromne. Bez makijażu brwi zrobiły się szare, ledwie widoczne. Oczy pozbawione rzęs, blade i spierzchnięte usta. Pod białym szpitalnym prześcieradłem ciało zdawało się niemal płaskie.

– Jak się czujesz? – zapytała Elly.

– Jak milion dolarów. – Sarah mówiła tylko trochę niewyraźnie.

Elly ulżyło, że matka w ogóle może mówić – lekarz powiedział im, że udar był niewielki i nie jest konieczna operacja, tylko leki, które rozpuszczą skrzep. Podawano je teraz przez kroplówkę. Elly bała się, że udar może też zmienić wyraz twarzy Sarah, ale oprócz lekkiego opadania kącika ust wydawało się, że wszystko jest w porządku.

– Przepraszam za tę kłótnię, mamó. Naprawdę. – Elly dotknęła dłoni matki i z ulgą poczuła, że jest ciepła.

Sarah chciała lekceważąco machnąć, ale przypomniała sobie o kroplówce i położyła rękę.

– Nie bądź śmieszna. Zirytowałam się bez powodu. Ale jestem, żyję i mam tu wszystkie swoje córki. Kogo obchodzi, czy mam sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt pięć lat?

– Tylko tak dalej, mamó – mruknęła Laura. – Nawet na łożu śmierci w dobrym humorze.

Elly dźgnęła siostrę w żebra.

Sarah spojrzała przez ramię Laury.

– Gdzie jest Jake? Myślałam, że tu będzie.

– W domu, z Kennedy – odparła szybko Elly, by Laura nie musiała kłamać. Choć to akurat raczej była prawda.

– A mała? Pewnie z Flossie – mówiła Sarah. – Flossie uwielbia to dziecko. Naprawdę mam nadzieję, że przyniesiesz ją do hotelu, Anne. Chociaż na krótką wizytę.

– Przyniosę – obiecała Anne. – Co mówią lekarze, jak długo tu zostaniesz?

– Tylko dwa dni, a potem rehabilitacja. Łącznie może tydzień. – Matka otworzyła i zamknęła usta, jakby sprawdzała sprawność szczęki. – O nie. Mój Boże. W następny weekend mamy wesele Sandersonów! Ponad stu gości. Zapomniałam o nim! – Nerwowo poruszała głową na poduszce.

– Nie martw się, mamó – powiedziała Anne. – Zajmiemy się tym.
– Jasne – przytaknęła Laura. – Wszystkie się zajmiemy.
– Ale ty masz swoją szkołę, Lauro – odparła Sarah z powątpiewaniem. – I niedługo zawody, prawda?

Elly zdziwiła się, że po tym, co przeszła, matka pamięta takie szczegóły.

– W porządku, mamó – powiedziała. – Będziemy pracować razem.

– Ja również – odezwał się Ryder spod drzwi.

– Rany boskie, kto tu sprowadził wikinga? – zapytała Sarah.

Elly się zaśmiała.

– To ja – odparła, zerkając na Rydera, który także się uśmiechnął. – To jest Ryder. Mój znajomy z Kalifornii.

Sarah uniosła głowę, by znów spojrzeć na młodszą siostrę.

– Dobra robota. – Położyła się ponownie.

– Powinnaś odpoczywać, mamó – zasugerowała Anne.

– Odpocznę, jeśli zajmiecie się tym weselem – zgodziła się Sarah. – Wszystkie potrzebne informacje znajdziecie w niebieskiej teczce na moim biurku. Rhonda pomoże wam ją odszukać. – Zamknęła oczy.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Elly patrzyła na siostry, one na nią, a wszystkie czekały, co się teraz wydarzy.

– Możecie iść. – Sarah otworzyła jedno oko. – No idźcie! Nie stójcie tak z otwartymi ustami. Jeszcze nie umieram.

Laura była w szoku, gdy Kennedy wyznała, że wiedziała o Jake’u.

– Ale skąd? – zapytała córkę z niedowierzaniem.

Następnego wieczoru po wypadku Sarah siedziały z Kennedy na kanapie w salonie i jadły popcorn. Przed telefonem od matki Laura i Jake przy kolacji powiedzieli Kennedy, że ojciec się wyprowadza. To była sztywna rozmowa i mówił głównie Jake. Nie powiedzieli córce o Anthony’u. Tylko tyle, że Jake od jakiegoś czasu się ze sobą zmagają i nadszedł moment, by „wyszedł z szafy”, jak to ujął, robiąc niezręczny cudzysłów w powietrzu.

– Mam nadzieję, że wiesz, że to nie twoja wina i oboje bardzo cię kochamy – dodał Jake.

Kennedy przewróciła oczami – tak bardzo przypominała wtedy swoją babkę, że Laura pomyślała „zuch dziewczyna”.

– Dajcie spokój – rzuciła Kennedy. – Jesteś gejem, tato. Rozumiem, że to nie ma nic wspólnego ze mną, bo niby jak? Mogę już iść na górę?

Jake płakał w trakcie ich rozmowy, ale Laura była odrętwiała i zaskakująco nieobecna. Podała nawet mężowi chusteczki. Niech po pocieszeniu wraca do Anthony’ego. Miała go tam właśnie odesłać, kiedy zadzwoniła matka. Musiała więc poprosić męża, żeby został w domu, dopóki nie wróci ze szpitala, a kiedy tak się zdało, zaskoczona poczuła, że dobrze było mieć go obok, by ją przytulił

i wysłuchał o tym, co się stało Sarah.

Kennedy następnego dnia poszła jak zwykle do szkoły. Kolację zjedli osobno – Laura pojechała do szpitala – a teraz zwabiła córkę na dół popcornem, gorącą czekoladą i obietnicą, że znowu obejrzą *Deszczową piosenkę* i poćwiczą nowe kroki. Plany przyjęcia urodzinowego Sarah najwidoczniej się nie zmieniły. Po południu pielęgniarki uspokoiły siostry, że Sarah przez kilka dni musi przechodzić rehabilitację, ale wkrótce wróci do domu.

– Poważnie. – Laura mówiła do córki, biorąc kolejną garść popcornu. – Skąd ci przyszło do głowy, że tata jest gejem?

– Nie chcesz wiedzieć.

Laura rozważyła te słowa. Kennedy pewnie miała rację.

– Ale i tak mi powiedz.

Dziewczynka podniosła czekoladę, przyjrzała się bitej śmietanie na wierzchu, a potem zanurzyła w niej palec i go oblizwała.

– Pornosy – powiedziała w końcu.

– Co? – Laura niemal udławiła się kukurydzą.

– Na komputerze taty – wyjaśniła Kennedy. – Kilka razy korzystałam z jego komputera, gdy przygotowywałam jakiś projekt. No i tam było, no wiesz. Gejowskie porno.

– Kennedy Sarah Williams, nie waż się mnie okłamywać. Na pewno chodzi o coś więcej. Twój ojciec nie zostawiłby otwartych stron porno na swoim komputerze.

Kennedy przeciągle i z irytacją westchnęła.

– No dobrze, w Google’u jest tak, że kiedy zaczynasz wpisywać jakieś hasło, to włącza się autouzupełnianie. Kojarzysz?

– Oczywiście.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– No dobra. Siedziałam więc przy kompie taty i szukałam informacji o rozmnażaniu na zajęcia z biologii. Wpisałam „penis” i pojawiły się strony ze zdjęciami.

– Aha. Rozumiem. – W gardle Laury tkwiła wielka kula waty, której nie mogła przełknąć, próbując wyrzucić z głowy obrazy tego, co córka musiała widzieć na komputerze Jake’a.

– To nie było sado-maso ani nic takiego – uspokoiła ją Kennedy.

– Aha. Okej. – Laura zakryła rękami twarz.

– No ale faceci robili „to” z facetami. No wiesz. Całowali się na golasa i wszędzie penisy.

– Dosyć, przestań! – Laura jeszcze przez chwilę chowała twarz w dłoniach, próbując nie widzieć „tego” i, co gorsza, „wszędzie penisów”.

– Sorry. Sama pytałaś. – Kennedy siorbała kakao.

Laura zebrała się, by znowu spojrzeć na córkę.

– I z tego wywnioskowałam, że tata musi być gejem.

– No nie od razu. Najpierw myślałam, że zrobił to samo co ja. I przypadkiem wszedł na te strony. Ale próbowałam jeszcze kilka razy i zawsze wychodziło to samo. Na komputerze stacjonarnym i na laptopie. Tata nigdy nie czyści historii przeglądarki – dodała dziewczynka. – Zawsze kasuj historię wyszukiwania, jeśli nie chcesz, żeby ktoś wyśledził, co robisz w sieci.

Laura zdobyła się na uśmiech i jednocześnie zaczęła się martwić, co musi ukrywać Kennedy, jeśli chodzi o przeglądanie internetu.

– Dzięki za radę. Ale dlaczego mi nie powiedziałaś? Albo nie zapytałaś taty?

– Próbowałam, ale zaprzeczył. Powiedział, że to przypadek. A tobie nie chciałam mówić, bo... no cóż, po prostu nie chciałam. – Kennedy poprawiła się na siedzeniu i spojrzała w telewizor, choć był wyłączony.

– Bo pragnęłaś mnie chronić. I może mała część ciebie nie chciała, by to była prawda.

Kennedy skinęła głową i odwróciła się do matki, a w jej błękitnych oczach lśniły łzy.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam. A jeśli tata sypia, z kim popadnie, i ty na coś zachorujesz? To będzie moja wina! A jeśli złapiesz AIDS i umrzesz? – Szlochała dziewczynka.

– Och, skarbie. – Laura wyciągnęła ręce i przytuliła córkę. – O to się zamartwiasz? Nie musisz! Tata nie sypia, z kim popadnie. Przysięgam. A ja się badałam i nic mi nie jest. Jemu też nie.

Kennedy pociągnęła nosem i otarła oczy rękawem swetra.

– Co my bez niego zrobimy, mamó? Nienawidzę taty! Ale już za nim tęsknię, a nie ma go od godziny!

Laura przesunęła się i objęła córkę, kładąc policzek na miękkich, jasnych włosach Kennedy. Myślała o tym, jak Neil je zostawił, jak bolało, że nie przychodził już na zawody, i jak była zła, że musiała pomagać z siostrami w hotelu. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, jaką wściekłość czuła wobec ojca. Wciąż była zła, choć już mniej. Teraz myślała o tym, że Neil był alkoholikiem, który musiał walczyć z uzależnieniem i wyrzutami sumienia, i że kiedy po latach chciał w końcu wrócić do domu, nie mógł tego zrobić. Laurę zasmuciła ta myśl, choć wiedziała, że gdyby ojciec wrócił, powitałaby go z mieszanymi uczuciami.

– Rodzina to bardzo, bardzo skomplikowana rzecz – odezwała się. – Zdaje się nam, że znamy naszych rodziców, ale zawsze pozostanie ta część ich życia, o której nic nie wiemy, bo oni są dorośli, a my jesteśmy dziećmi. Tak się czuję, gdy chodzi o moich rodziców.

Przyciągnęła Kennedy bliżej, napawając się ciepłem jej ciała.

– Przez jakiś czas będziesz zła na tatę. Ale on cię kocha i jestem pewna, że

też zaczął już za tobą tęsknić. Możesz się z nim widywać, kiedy tylko chcesz. A teraz obejrzymy *Deszczową piosenkę* i poćwiczymy nasze taneczne ruchy, dobrze?

– Dobrze. – Kennedy pociągnęła nosem. – Ale, mamo, dla twojej informacji: nikt już nie mówi „taneczne ruchy”.

– Aha. Dobrze, że dzięki tobie będę na bieżąco.

– Lubię kobiety, które udają trudne do zdobycia, ale naprawdę nie musiały się tak trudzić i ukrywać przede mną w szpitalu – powiedział Gil. – Wystarczyło wyłączyć telefon.

Sarah parsknęła. W normalnej sytuacji byłaby przerażona, że jakiś mężczyzna chce ją odwiedzić w trakcie rekonwalescencji, jednak Laura przyniosła jej ładny błękitny szlafrok z białą satynową lamówką. Kolor podkreślał niebieskie oczy Sarah, a rękawy były dość długie, by zakryć starzejące się ręce, ale nie przeszkadzały.

– Nie pochlebiaj sobie – odparła.

– Och, nie martw się. Domyślam się, że zalotnicy ustawiają się tu w kolejce, ale ja lubię wyzwania – ciągnął Gil. – Proszę. To dla ciebie. Gdzie mam postawić?

Przyniósł osiemnaście różowych długich róż w wazonie, ozdobionych golterią i bluszczem. Musiały go kosztować co najmniej sto dolarów, pomyślała Sarah, ale tylko machnęła ręką.

– Może być na parapecie, tam gdzie reszta.

W ciągu dwóch dni, odkąd trafiła do szpitala, dostała kilka bukietów, choć nie zamierzała przyznawać się Gilowi, że wszystkie były od córek, oprócz zestawu grubych kaktusów – prezentu od szwagierki.

Na liściku, który dołączono do talerza z kaktusami, Sarah przeczytała typowy tekst Flossie pełen metafor, coś o tym, że kaktus symbolizuje przetrwanie, jej własne i Sarah, i ich umiejętność przejścia próby czasu. No i oczywiście przysłowie zen: „Nie możemy wybaczyć innym, póki nie wybaczymy samym sobie, a tego nie zdołamy zrobić, jeśli nie spojrzymy na własne błędy i nie potraktujemy ich jak nauczkę na przyszłość”.

Anne przyniosła kaktusy do szpitala. Flossie jeszcze tu nie przyjechała, więc Sarah zastanawiała się, czy szwagierka wciąż obawia się wydalenia z domku i posiadłości. Miała nadzieję, że tak nie jest.

– O czym myślisz? – Gil wytrącił ją z zamyślenia. Zapomniała o jego obecności.

– O niczym.

– Twoje tajemnice są u mnie bezpieczne. Komu innemu się zwierzysz, jeśli nie prawie całkiem obcej osobie? – Nachylił się i z poważną miną dotknął ręki Sarah. Wciąż miał ciemne brwi, mimo że włosy miejscami pokrywała siwizna, przez co wyglądał poważnie, choć wiedziała, że przez połowę czasu żartuje, tak jak ona. – No dalej, *bubbe*, opowiadaj.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czy to nie znaczy „babciu”?

Gil usiadł i się zaśmiał.

– Przyłapałaś mnie. To chyba nie jest gorący komplement, na który czeka każda kobieta.

Sarah poprawiła się na łóżku, dokładnie okrywając się w talii kocem i prześcieradłem.

– Jakbyś nie zauważył, jestem w szpitalu. To nie jest odpowiednie miejsce na gorące komplementy.

– Poprawię się, obiecuję. Ale powiedz mi, Sarah – Gil już się nie uśmiechał – co cię tak przygnębiło?

A co mi tam, do diabła, pomyślała Sarah.

– Jestem oszustką i przyłapano mnie na gorącym uczynku.

Patrzył na nią przez chwilę oczami brązowymi jak szklane kulki, a potem roześmiał się szczerze i z trzewi, czym wywołał uśmiech u przechodzącej właśnie korytarzem pielęgniarki – i to tej naprawdę opryskliwej, pani Finich.

Gil otarł łzy rozbawienia.

– Chcesz mi wyznać swoje kłamstwa? Wysłucham cię, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej. I jestem przekonany, że wszystkie twoje oszustwa nie są takie straszne.

– Tego nie wiesz.

– No to spróbuj.

I wtedy Sarah opowiedziała mu wszystko, o swojej młodszej siostrze, o zimnym mieszkaniu w pobliżu lotniska, o spaniu w samochodzie i o tym, jak matka nie mogła utrzymać żadnej posady, bo piła.

– Myślisz, że lubię być na zasiłku? Tak? – wrzeszczała zawsze matka, kiedy Sarah pytała, dlaczego nie pójdzie do pracy, by mogły zapłacić rachunki.

Co tydzień matka wymieniała kartki żywnościowe na piwo, opowiadała Sarah Gilowi.

– Myślała, że o tym nie wiem, ale ja oczywiście byłam inteligentna, widziałam każdy drobiazg. Musiałam przetrwać. Jej biedna siostra, Joanie, natomiast mówiła tylko „Tak, mamo”, cokolwiek powiedziała albo zrobiła ich matka. Joanie w wieku zaledwie siedemnastu lat wyszła za tego starego pierdziela, żeby ich matka miała dach nad głową. Nawet kiedy Sarah powiedziała siostrze prawdę, Joanie nie uwierzyła, że to małżeństwo było ustawione, że matka je zaplanowała, by mogły wyprowadzić się z tamtej rudery. Matka próbowała najpierw wcisnąć facetowi Sarah, ale kiedy ona nie dała się dotknąć, podsunęła mu Joanie, młodszą i jeszcze bardziej niewinną.

– Joanie była równie ładna jak ja i także jasnowłosa, ale była też głupia jak but i uległa – kontynuowała opowieść.

Kiedy Sarah próbowała ostrzec siostrę, że matka po ślubie zamierza się wprowadzić do niej i jej męża, Joanie powiedziała: „Jesteś po prostu zazdrosna, bo to ja pierwsza wyjdę za mąż! I będę miała własny dom! A ty co masz, Sarah? Nie

masz nic!”.

– Powiedziałałam siostrze, że nie musi wychodzić za tego dziada, ale nie chciała mnie słuchać. Bała się, że nasza matka będzie głodować, jeśli ona nie weźmie ślubu.

Niedługo potem Joanie zaszła w ciążę.

– Zanim jej mąż w końcu umarł, urodziła pięcioro dzieci – mówiła Sarah. – Boże, myśl o tym obleśnym facecie leżącym na mojej ślicznej młodszej siostrze wciąż wywołuje we mnie mdłości.

Odwróciła głowę, udając, że musi odetchnąć, ale tak naprawdę próbowała powstrzymać łzy. Zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas tęskniła za siostrą. I miała wyrzuty sumienia, że ją opuściła.

– Wciąż czuję się winna – przyznała.

– Dlaczego?

– Bo to powinnam być ja! Byłam starsza. Gdybym wyszła za tamtego faceta, Joanie by się uratowała. Zawsze dużo się uczyła. Może udałoby się jej dostać do publicznego college’u.

Gil ujął Sarah za rękę i pogładził ją kciukiem.

– Musisz o tym zapomnieć – powiedział. – Byłaś dzieckiem, kiedy to wszystko się wydarzyło. Dzieckiem, które próbowało przetrwać.

– Być może. Al potem było gorzej. Próbowałam tak bardzo o wszystkim zapomnieć, że nie powiedziałam nawet własnej rodzinie – ciągnęła Sarah. – Mój mąż, moje córki, nikt o niczym nie wiedział. Nie dlatego, że wstydziłam się Joanie, ale dlatego, że miałam wyrzuty sumienia, że nie byłam dość silna, by jej pomóc. Uciekłam tak samo jak Neil.

– Czy twoja siostra ułożyła sobie życie?

– Nie wiem. Chyba tak. Jest wdową z pięciorgiem dzieci. Flossie mówi, że mieszka w ładnym domu.

– To dobrze. A wybaczyłaś Neilowi, że odszedł? – zapytał Gil.

Sarah pociągnęła nosem i skinęła głową.

– Nie miał innego wyjścia.

– W porządku. W takim razie teraz musisz wybaczyć sobie – oznajmił Gil. – Musisz pamiętać siebie jako tamtą małą, przestraszoną dziewczynkę. I możesz jej pomóc, mówiąc: „W porządku, skarbie. Staralaś się, jak mogłaś, i wszystko się ułożyło”. Możesz to dla mnie powiedzieć?

– Nie bądź głupi. – Sarah czuła jednocześnie irytację i strach.

– Powiedz to – zachęcał ją Gil. – No dalej. Wiem, że potrafisz.

Sarah zamknęła oczy.

– Nie potrafię.

– Potrafisz. Powtarzaj za mną: „W porządku, skarbie. Staralaś się, jak mogłaś, i wszystko się ułożyło”.

Powoli wypowiedział te słowa raz jeszcze, zatrzymując się po każdym zdaniu, aż Sarah powtórzyła je z nim.

Kiedy znów podniosła powieki, Gil się uśmiechał, a w jego oczach dostrzegła błysk, który podejrzenie przypominał miłość.

– Ależ z ciebie sentymentalny głupek – westchnęła.

– Jestem, jaki jestem – odparł. – Na twoje szczęście.

Kiedy lekarze powiedzieli Sarah, że po dwóch dniach przeniosą ją ze szpitala do ośrodka rehabilitacji, znów się przeraziła.

– Muszę wracać do pracy! – narzekała w obecności przemądrzałego i niewyrośniętego lekarza w kwadratowych czarnych okularach, przez które wyglądał jak postać z kreskówki. Zaproponował, żeby wzięła udział w siedzącej sesji jogi w gabinecie fizjoterapeuty, a Sarah wpadła we wściekłość. Joga jest dla takich jak Flossie. Ludzi, którzy mają czas leżeć na plecach z nogami w powietrzu.

Ostatecznie jednak rehabilitacja okazała się nadspodziewanie przyjemna. Fizjoterapeuta był uroczym młodym człowiekiem z dołeczkami w policzkach, który niedawno skończył studia. Podawali znośne jedzenie, a w słonecznym jednoosobowym pokoju Sarah mogła nadrobić oglądanie Fox News, nie musząc wysłuchiwać marudnej współlokatorki, która kazałaby jej zmienić kanał.

Trzeciego dnia rehabilitacji w końcu pojawiła się Flossie. Miała na sobie coś innego niż dres, choć Sarah nie była pewna, czy szerokie szare wełniane spodnie i za duży biały wełniany sweter pasowały do czerwonych chińskich pantofli. Szwagierka wyglądała jak robiona na drutach małpka.

– Zdaje się, że przeżyjesz – oceniła Flossie, podając Sarah prezent w dziwnym kształcie. Oczywiście opakowany w gazetę, bo szwagierka była królową recydingu. – Jak się czujesz?

– Jakby ktoś przeciął mi sznurki. – Sarah pomachała lekko bezwładną ręką. – I po jednej stronie wciąż jestem zbyt słaba, żeby zjeść łyżeczką mus jabłkowy.

– Cóż. Nigdy go nie lubiaś.

– To prawda. – Sarah rozpakowała gazetę i zobaczyła ręcznie zrobioną z morskiego drewna ramkę. Flossie od lat je produkowała. W środku widniało zdjęcie Sarah i Joanie. Sarah miała wówczas sześć lat i trzymała siostrę na rękach, pulchne dziecko w białej letniej sukience podobnej do tej Sarah. Obie miały we włosach kokardy.

Sarah poczuła napływające do oczu łzy.

– Skąd wytrzasnęłaś tę starość?

– Musiałam włamać się do twojej szafy w sypialni. – Flossie pokazała stojącą przy drzwiach niewielką walizkę, której Sarah dotychczas nie zauważyła. – Teoretycznie szukałam ubrań, w których możesz wrócić do domu.

– Dziękuję. – Sarah delikatnie odstawiła zdjęcie na stolik przy łóżku, obok pudełka szorstkich chusteczek higienicznych i plastikowego kubka. Dlaczego do

szpitali i przychodni kupowano takie same rzeczy jak do przedszkoli?

– I co, zamierzasz wykopać mnie z domu? – Flossie założyła nogę na nogę i stopą uderzyła w ramę łóżka. – Wystawiłaś mój dom na sprzedaż?

– Przecież wiesz – odparła Sarah.

Flossie skinęła zdecydowanie głową.

– Jak dziewczynki?

– Są jak przerażone króliczki. Żadna z nich od mojego wypadku nic nie powiedziała.

– Martwię się o ciebie, Sarah – zauważyła Flossie. – Każda matka chciałaby mieć takie szczęście.

– I każda siostra. – Sarah wyciągnęła rękę, by dotknąć dłoni Flossie. – Zawsze potrafiłaś zadbać o mnie i moje córki. Dziękuję.

Flossie skinęła głową.

– Dobrze będzie mieć cię z powrotem.

Dwa dni po wizycie Flossie Sarah wypisano ze szpitala.

– Wszystko gotowe, panno Sarah? Ostatni dzień, kochanieńka. Na pewno się pani cieszy, że wraca do domu.

To była jej ulubiona pielęgniarka, Monique, drobna brunetka ze śnieżnobiałym uśmiechem i pierścionkiem zaręczynowym z diamentem większym od zęba. Pewnie chapnął ją jakiś doktorek. Szczęściara.

– Jestem gotowa – odparła Sarah. – Moja córka powinna zaraz przyjechać.

– Już jest, czeka w recepcji – poinformowała Monique. – Pani wnuczka również. Jest do pani taka podobna!

Rany boskie, pomyślała Sarah. Jeśli Monique dostrzegła podobieństwo między nią a Kennedy, w przyszłym tygodniu trzeba się zapisać na podwójną sesję pilates.

Ale Kennedy wyglądała inaczej. Nowa fryzura – włosy do ramion i ukośna grzywka – bardzo jej służyła. W końcu widać było, że ma szyję. Ubrała się w czarne legginsy, jaskrawozieloną tunikę we wzór ptaków i ciężkie buty.

Nie był to dla Sarah szczyt elegancji, ale wiedziała, że w dzisiejszych czasach dziewczyny noszą takie ciuchy, udając hipiski, kiedy hipisi wymarli. I dzięki Bogu.

– Witaj, Kennedy. – Sarah uśmiechnęła się z wózka inwalidzkiego, który nie był konieczny, ale szpital się upierał.

– Dadzą ci wózek, żebyś nie upadła i ich nie pozwała – ostrzegła wcześniej Flossie. – Tylko się tym nie denerwuj. Ciesz się przejażdżką.

– Jak się miewasz? – zapytała Laura. Ona również wyglądała szczupłej, ale to była jedyna zmiana: ubranie prosto ze stajni, zapach koni i siana.

Córka widać wyczuła sytuację.

– Przepraszam, przyjechałam tu zaraz po czyszczeniu boksów. Kazali mi być

przed dziesiątą. Ale dokumenty przygotowywali całe wieki. Na pewno jesteś głodna, mamó. Już prawie południe.

– Nie bardzo, nie. – Sarah lekko uniosła głowę, by się uśmiechnąć. – Dziękuję, że znalazłaś czas, żeby po mnie przyjechać.

Powiedziała to. W szpitalu Sarah miała mnóstwo czasu na myślenie, nawet kiedy córki ją odwiedzały, czasami pojedynczo, a kiedy indziej we trzy, gadając niczym stado gąsek i śmiejąc się w głos, szły korytarzem, więc słyszała je, zanim jeszcze dotarły do pokoju. A kiedy rozmyślała, postanowiła, że od teraz będzie miłsza i zacznie okazywać wdzięczność, szczególnie córkom. Flossie kiedyś odejdzie i wtedy Sarah będzie musiała polegać tylko na dziewczynkach.

Laura wydawała się zaskoczona.

– Nie ma sprawy, mamó. Cieszę się, że mogłam przyjechać. Elly i Anne też chciały, ale są zajęte w hotelu, przygotowują się do jutrzejszego wesela Sandersonów.

– A Jake? Pewnie ma dużo pracy – zapytała Sarah. Cóż, zięć mógłby przynajmniej raz pofatygować się do szpitala po tym, co zrobiła dla jego rodziny.

Laura zdawała się nie słyszeć tego pytania. I nic dziwnego, skoro tuż obok Kennedy podskakiwała na piętach jak kukiełka na patyku.

– Mogę popchać wózek? Mogę? – ekscytowała się.

Monique się zaśmiała.

– Jasne, ale ja muszę trzymać drugą rączkę. Lepiej, żebyśmy przypadkiem nie przewróciły twojej babci na podłogę.

Ośrodek fizjoterapii znajdował się obok szpitala, zaledwie dwadzieścia pięć minut drogi od domu. Laura prowadziła jak staruszek w kapeluszu. Sarah wciąż powtarzała córce, by przyspieszyła.

– Jadę zgodnie z przepisami, mamó – warknęła w końcu Laura. – Nie stać mnie na mandat.

Sarah poczuła, jak sztywnieje jej kark. Kiedy ona w końcu poradzi sobie z domowymi finansami? Nic jednak nie powiedziała. Pamiętała o danej sobie obietnicy, że będzie miłsza dla córek.

– A co u Jake’a? – zapytała. – Wciąż pracuje do późna? Zdziwiłam się, że nie zajrzał do mnie do szpitala. – No dobrze, to była lekka krytyka. Ale nie bezpośrednia i nie wobec Laury!

Samochód gwałtownie zjechał na bok.

– Przepraszam, mamó. Dziura w drodze – rzuciła Laura.

Sarah zmierzyła córkę podejrzliwym spojrzeniem. Jej dłonie – które mogłyby być ładne, gdyby tylko zrobić coś z obdartymi paznokciami – ściskające kierownicę zrobiły się białe. Na ich widok Sarah zacisnęła zęby. Na tylnym siedzeniu Kennedy, dzięki Bogu, zamilkła. Ale to również zdawało się raczej podejrzane.

– Lauro – zaczęła Sarah. – Dlaczego nic nie mówisz? Czy coś się stało w hotelu? Czy Elly i Anne radzą sobie z weselem?

– Doskonale sobie radzą. W hotelu wszystko w porządku. – Laura oddychała głośno jak cyrkowy połykacz ognia.

– W takim razie o co chodzi? – dopytywała Sarah.

– O nic, mamó. Cieszę się tylko, że wracasz do domu. – Laura wciąż ścisnęła mocno kierownicę.

Przejeżdżały właśnie przez Rockport. Droga do Bearskin Neck była dziwnie wyludniona. Po tym, jak opadły liście, ruch znacznie się zmniejszył. Ludzie zaczęli robić zakupy bożonarodzeniowe dopiero w okolicy Święta Dziękczynienia.

– Możesz mi powiedzieć. – Sarah nie odpuszczała. – Chodzi o pieniądze? Potrzebujesz więcej?

– Nie. – Laura miała głowę przekrzywioną pod dziwnym kątem.

– Chodzi o Jake’a? Pokłóciliście się?

Córka znów mocno skręciła.

– Jasny szlag, mamó! Zostaw mnie w spokoju, do diabła. Próbuję prowadzić, do cholery!

– Mamó! – wrzasnęła Kennedy z tyłu. – Nie krzycz na babcię! Dopiero co przeszła udar! A jeśli dostanie zawału? Po prostu jej powiedz, dobrze?

Laura zjechała na pobocze i tak gwałtownie zahamowała, że samochód zatrzymał się w miejscu.

Droga była wąska. Sarah niespokojnie spojrzała przez ramię. Wciąż żadnych innych aut. Czy Laura przechodziła załamanie? O Boże, tylko nie to. Wszystko, tylko nie to. Wiedziała, że córka miewała w życiu gorsze dni. Oby nie takie jak kiedyś ona. Proszę, niech moje córki poradzą sobie z życiem lepiej niż ja, zaczęła się modlić. Nie wiedziała do kogo. Z pewnością nie do tego grubego Buddy Flossie.

Laura pochyliła się nad kierownicą, dysząc jak pstrąg wyjęty z wody. Drżały jej ramiona. Sarah delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu, ale córka zrzuciła ją ze złością.

W końcu Sarah się odwróciła i pytająco uniosła brew, patrząc na Kennedy.

– Może lepiej ty mi powiedz, o co chodzi.

Wnuczka spojrzała na nią szeroko otwartymi błękitnymi i zmartwionymi oczami. Sarah przypomniała sobie twarz własnej siostry. Właśnie ją przypominała Kennedy: młodszą siostrę Sarah, Joanie. Której nie widziała Bóg jeden wie ile lat. Joanie jest teraz starą kobietą.

Ale Sarah wiedziała, że z pewnością także pamięta najgorszy dzień ich życia. Kiedy nie mogły dobrać leżącej na kanapie mamy, Joanie była tak przerażona, że tylko wydawała z siebie piskliwe, pozbawione sensu słowa. Matka miała siniaka na czole i krew na uchu. Na podłodze leżała fiołka po tabletkach. Sarah musiała ciepło

ubrać siostrę i wysłała ją do sąsiadów, zanim przyjechały gliny.

– Przepraszamy za kłopot – powtarzali wciąż policjanci. Jakby wiedzieli cokolwiek o tym czarnym, wszechogarniającym bagnie smutku, które sączyło się przez skórę. Które Sarah musiała odepchnąć od siebie, gdy odszedł Neil, kiedy została sama z dziećmi, pracą i gdy cały świat wokół zdawał się pogrążyć w ciemności.

Proszę, Boże, kimkolwiek jesteś, nie pozwól, by to się przydarzyło Laurze. Którejkolwiek z moich córek. Nie zniosę tego. Sarah poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Rozpięła pas i wysiadła z auta, aż Kennedy krzyknęła zdenerwowana. Ale Sarah obeszła tylko samochód, otworzyła drzwi od strony kierowcy i zdecydowanie przepchnęła córkę na siedzenie pasażera.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała, gdy siadała za kierownicą, a Laura zapinała pas. Silnik wciąż pracował.

Sarah powoli wyjechała na drogę prowadzącą do hotelu. Nie może zabrać ich do domu. Weźmie je do swojego apartamentu i poprosi kogoś z kuchni, by przyniósł herbatę i coś do jedzenia. Kuchnia Rodriga potrafi wskrzeszać zmarłych.

Tak właśnie wyglądała teraz Laura, miała trupio szarą, ściągniętą twarz i bez powodzenia próbowała przestać płakać.

– Nie przypuszczałam, że to się może stać – powiedziała. – Tak mi przykro, mamo.

Sarah się nie odzywała.

– Mamo, powiedz jej. Babcia musi wiedzieć – poprosiła Kennedy.

Sarah czekała.

Laura w końcu przełknęła z trudem ślinę.

– Jake i ja jesteśmy w separacji – powiedziała.

Żołądek Sarah ścisnął się w supeł.

– Co zrobił?

Laura milczała, patrzyła przez okno.

– Cholera jasna, Lauro. Co ci zrobił ten człowiek? Cokolwiek to jest, pomogę ci. Zapłacę, ile trzeba, żeby to naprawić. Nie możesz odpuszczać tego małżeństwa.

– Wszystko skończone, mamo. Przykro mi. Nawet ty nic nie możesz zrobić, żeby to naprawić.

Przyjechały już do hotelu. Sarah podjechała pod drzwi i zaparkowała tak gwałtownie, że auto się zatrzęsło, jakby i ono było zmęczone dramatem istnienia.

– Nie zaakceptuję tego – odparła Sarah. – Nie pozwolę, by ten człowiek cię ranił.

Laura odwróciła się, patrząc na matkę, a na jej twarzy pojawił się niewielki uśmiech.

– Nie wydaje mi się, żebyś miała wybór, mamo. Ja też nie mam.

Sarah kątem oka patrzyła, jak dłoń wnuczki, niewielka i blada, sięga przez fotel, by dotknąć ramienia matki. Potem poczuła drugą rękę Kennedy, która dotykała jej własnego ramienia i lekko je poklepywała.

Sarah tak rzadko była dotykana, że teraz niemal rozplakała się na to delikatne, zaskakująco ciepłe uczucie.

O dziewiątej wieczorem następnego dnia, w sobotę, weselne przyjęcie Sandersonów trwało w najlepsze w hotelowej jadalni. Elly zaprowadziła matkę do pubu, gdzie było spokojniej.

– To dopiero jest męski mężczyzna – szepnęła Sarah, wskazując podbródkiem. – Taki przystojny. Mogłabym na niego patrzeć godzinami.

Elly nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Cieszę się, że jesteś już bardziej sobą, mamo.

Podążyła spojrzeniem w kierunku Rydera i Sebastiana pogrążonych w rozmowie przy barze. Poznali się na przyjęciu Sandersonów, na którym Sebastian był gościem – chyba znał tu wszystkich – a Ryder pomagał kamerzyście. Teraz Ryder pomagał barmanowi – nie przewidzieli, że tak wielu weselnych gości przeniesie się do pubu.

W tym czasie Anne spędzała wieczór w kuchni, z Rodrigiem, Laura po raz kolejny sprawdzała pokoje, a Rhonda obsługiwała recepcję. Dlatego Elly została z matką.

– Przestańcie. – Elly kłóciła się wcześniej z siostrami, bojąc się perspektywy wieczoru spędzonego z Sarah. – Musi być dla mnie jakaś robota. Nie mam waszego wyczucia. Naprawdę boję się, że nie wytrzymam i zacznę na nią krzyczeć.

– Nie – oznajmiła zdecydowanie Laura. – Mama nie może się męczyć, a ty jesteś jej ulubienicą. Ciebie najszybciej posłucha.

– Już nie jestem jej ulubienicą – odparła Elly. – Nie zostałam piosenkarką i mówię, co myślę. Anne powinna z nią zostać.

Anne podniosła rękę.

– Na mnie nie patrz. Pamiętaj, że mama powiedziała, że to mnie nigdy nie powinna była urodzić. W dodatku jestem samotną matką. I muszę pomagać w kuchni.

– Tak, a ja jestem małą niewolnicą, bo od lat muszę tu harować – dodała Laura. – Mnie nie słucha nigdy. To musisz być ty, Elly. – Potem przybiły sobie z Anne piątkę.

Minęła mniej więcej połowa wieczoru i na razie wszystko szło gładko. Elly obserwowała Rydera i Sebastiana, ich głowy blisko siebie nad barem – jedna jasna, druga ciemna. Ryder był szerszy w ramionach, ale niemal tak wysoki jak Sebastian.

Wcześniej tego wieczoru Ryder z podziwem powiedział Elly, że „Sebastian zna nazwy wszystkich cholernych roślin w Nowej Anglii”. Poznali się rankiem w Dogtown, gdzie Ryder robił zdjęcia wschodu słońca, i zamierzali tam wspólnie wrócić. „Niesamowite światło, człowieku. Zupełnie inne niż w Kalifornii”. Obecnie Sebastian bada akurat zagajnik w głębi lasu, gdzie rosły pietrasznik, biała sosna i cedry, które zaczął sadzić w latach trzydziestych XX wieku jakiś profesor

z MIT, Frederick Norton, dodał Ryder.

– Ogarniasz, co nie? Ten koleś posadził cały las, który ma teraz chyba ze sto metrów wysokości!

Elly nie ogarniała. Nie mogła również uwierzyć, że sypia z facetem, który używa słów takich jak „koleś”.

– Słuchasz mnie w ogóle, Elizabeth? – Matka nerwowo pukała ją w ramię. – Kim jest ten przystojniak?

Elly z troską spojrzała na matkę. Dlaczego nie rozpoznawała Sebastiana? Z ulgą zobaczyła, że Sarah wygląda normalnie. Miała na sobie błękitny kostium podkreślający kolor oczu i diamentową broszkę w kształcie ptaka.

– Słucham cię, mamó. To Sebastian Martinson. Starszy brat Paige. Przecież go znasz.

– Nie, nie. Nie on. Oczywiście, że jego znam. Mówię o tym drugim mężczyźnie. Twoim wikingu z Kalifornii. Zapomniałam, jak ma na imię.

– Aha – rzuciła zaskoczona Elly. Była pewna, że matka od razu skreśli Rydera i potraktuje go jak włóczęgę lub gorzej z powodu obdartego wyglądu i długich włosów. Nie wspominając już o kolczyku. – To jest Ryder.

Czy matka naprawdę nazwała Rydera „męskim mężczyzną”? I „przystojnym”? Elly uśmiechnęła się szeroko. Ryder ucieszy się, gdy mu to powie.

Pewnie zdobył jej serce, kiedy dzisiaj wieczorem przyszedł do pracy w barze, nisko się uklonił pocałował dłoń Sarah. Pocałował ją w rękę.

– Mama raczej nie pasuje cię za to na rycerza – drażniła się z nim Elly. – Trochę topornie ci wyszło.

– Słucham? – zapytał niewinnie, powstrzymując się od śmiechu. – Myślałem, że tak to się robi w Nowej Anglii. Ale co my tam wiemy, pospolici Kalifornijczycy.

Walnęła go w ramię. Teraz jednak, patrząc, jak Ryder z ożywieniem rozmawia z Sebastianem przy barze, cieszyła się, że przyjechał. Czują, jak gorąco powoli rozlewa się po całym jej ciele, kiedy myślała o tym, co robili razem w łóżku. O tych wszystkich rzeczach, które chciała, żeby jeszcze jej zrobił. O jego rękach. Jego biodrach. Jego...

– Czy twój wiking ma też jakieś nazwisko?

Elly wzdrygnęła się. Mamie się spodoba.

– Argenziano.

– To dopiero łamaniec. Będziesz musiała poważnie się zastanowić, czy je przyjmiesz po ślubie – zastanowiła się Sarah.

– Mamó, my się nie pobieramy. Mówiłam ci, Ryder to tylko kolega.

– Dla mnie zdecydowanie na to nie wygląda. Ale co ja tam wiem? Jestem tylko starą kobietą. Dużo, dużo starszą, niż się wydaje, o czym doskonale wiecie. –

Spojrzała szelmowsko na Elly, a potem gwałtownie wstała z krzesła, na którym Elly posadziła ją ze szklanką wody. – Przepraszam cię, kochanie. Zauważyłam kogoś, z kim koniecznie muszę się przywitać.

Zaskoczona Elly patrzyła, jak matka przygląda włosy i kołysząc biodrami – tak, właśnie to robiła – podchodzi do baru. Kogo niby dostrzegła?

Przy barze stali bracia Sandersonowie, robiąc dużo hałasu. W przeciwległym rogu jakiś weselny gość z brzuszkiem, po czterdziestce, po przyjacielsku flirtujący z Laurą. Czy to o niego chodziło? – zastanawiała się Elly, podziwiając przy okazji, jak atrakcyjnie wygląda dzisiaj jej siostra.

Laura, która na powrót ufarbowała włosy na piękny kasztan, choć Elly niemal siłą zaciągnęła ją poprzedniego dnia do fryzjera, wyglądała seksownie, ale elegancko w obcisłej czarnej sukience z dekoltem w serce, którą Elly w zeszłym tygodniu znalazła w sklepie z ubraniami vintage.

Jednak Sarah zignorowała zarówno Sandersonów, jak i Laurę. Wpadła za to prosto w ramiona niskiego łysiejącego mężczyzny stojącego blisko wejścia do pubu. Ten przytulił ją z uśmiechem, a potem odsunął się, by spojrzeć na Sarah. Powiedział coś, od czego się roześmiała. Elly nie miała pojęcia, kto to jest. Jako że byli w pubie, może facet po prostu wpadł na drinka. A czy to nie Rhonda z recepcji podeszła do niego i Sarah? Tak, to była Rhonda. Pomachała do Elly z drugiego końca sali i gestem pokazała, że powinna do nich dołączyć. Elly uśmiechnęła się i odmachnęła, ale przeszła na drugą stronę pubu, żeby porozmawiać z Ryderem i Sebastianem. Stąd mogła mieć oko na matkę, nie przeszkadzając jej.

Elly wciąż do końca nie wiedziała, co czuje, jeśli chodzi o te wszystkie nowiny związane z rodzicami. Musiała przyznać, że Sarah ciężko pracowała, by zapewnić córkom dach nad głową i prowadzić hotel. Ale trudno kochać kogoś, kto nigdy nie zdjął lśniącej zbroi, by odsłonić delikatną skórę pod spodem.

No i tata. Także nie wiedziała, co o nim myśleć. Jeszcze nie rozmawiała o uroczystości pogrzebowej. Z tego, co wiedziała Elly, pudełko z prochami wciąż znajdowało się w szafie ciotki Flossie, tam, gdzie leżały maty do jogi.

Mimo słabości do alkoholu Neil dał Elly dziecięce wspomnienia, które pozostawały najszcześniejszymi chwilami w jej życiu: spacer w Dogtown, budowanie na plaży niesamowicie skomplikowanych piaskowych rzeźb z wykorzystaniem znalezionych przedmiotów, jeżdżenie na rowerach do Rockport na lody i nauka rowerowych sztuczek. Elly wciąż potrafiła dzięki tacie jeździć na jednym kole i odrywać rower od podłoża. Ryder niemal przewrócił się ze śmiechu, kiedy pokazała mu te numery na rowerze Kennedy.

Elly wiele lat temu przestała myśleć o ojcu. Ale świadomość, że naprawdę go nie ma, sprawiała, że czuła się staro, nawet w eleganckiej i lśniącej srebrnej sukience, srebrnych bransoletach i długich kolczykach. Utrata rodzica była jak utrata jednej warstwy między człowiekiem a tym, co poza nim, a Elly odczuwała to

jak pustkę.

– Hej, wszystko dobrze? – Ryder wyszedł zza baru i objął ją ramieniem. – Drzysz. Chcesz moją kurtkę?

– Nie, wszystko okej. Tylko myślałam o tacie.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Będzie jeszcze bolało, skarbie. Tak to jest z żalobą.

A co ty tam wiesz, pomyślała z goryczą. Rodzice Rydera żyli, dobrze się miewali i pracowali jako nauczyciele w Kalifornii.

– Kim jest ten facet, który wychodzi z twoją mamą?

– Wychodzi? – Elly zamruła, odganiając łzy, i nerwowo rozejrzała się wokół. Jeśli zgubi matkę, siostry urwą jej głowę.

Rzeczywiście, matka bez pośpiechu wychodziła z sali, trzymając pod ramię tamtego niskiego faceta, nachylając głowę w jego kierunku i chichocząc jak nastolatka na balu.

– Ona nie może sama wyjść – powiedziała Elly i ruszyła w ich stronę.

– Poczekaj. – Ryder złapał ją za ramię. – Przecież nie jest sama, prawda? Chyba powinnaś ją zostawić.

Elly próbowała wykręcić się z uścisku.

– Nie. Ona jest pod moją opieką. Nie chcę, żeby miała kolejny udar!

Ryder patrzył współczująco, ale nie puszczał.

– Twoja mama nie dostanie kolejnego udaru tylko dlatego, że będzie z kimś innym niż ty, Elly.

– Ale ja nawet nie wiem, kim on jest!

Ryder westchnął i puścił jej ramię.

– No dobrze. Uspokój się. Chodźmy za nimi, ale dyskretnie.

Skinęła głową i poczekała, aż Ryder upewni się, że barman poradzi sobie sam. Kiedy tamten potwierdził, wyszli z pubu, śledząc Sarah i jej towarzysza. Jasne włosy matki odróżniały się niczym płomień w ciemności. Zimne powietrze uderzyło o nagie ramiona Elly, która zaczęła drżeć. Ryder zdjął kurtkę i tym razem ją włożyła, napawając się ciepłem i zapachem mężczyzny na sobie.

– Nie wiesz, z kim jest twoja mama? – Ryder pytał szeptem, choć szli w bezpiecznej odległości.

– Nie mam pojęcia. Ale Rhonda najwyraźniej go zna.

– Może jest częstym gościem w hotelu?

– Może.

Elly lekko się rozluźniła, kiedy matka i nieznajomy dotarli do drzwi mieszkania Sarah po drugiej stronie hotelu. Pewnie matka nie chciała przyznać się Elly, że jest zmęczona i poprosiła tego mężczyznę, by ją odprowadził. Ale ku jej zdziwieniu zamiast pożegnać się przy wejściu, mężczyzna wszedł za Sarah do środka!

– Pewnie poszli na drinka przed snem – domyślił się Ryder, ale uśmiechał się przy tym szeroko, obejmując Elly i przyciągając ją bliżej.

– Dam im dziesięć minut, a potem zapukam. – Elly szczękała zębami z zimna.

– Jasne, i lepiej, żeby oboje mieli obie stopy na podłodze – zażartował Ryder.

Elly niechętnie się rozeźmiała i przycisnęła twarz do jego koszuli, by ogrzać sobie nos. Wciąż nie mogła wyjść z szoku: koszula była bowiem w paski i z kołnierzykiem. Zwykle oglądała Rydera w tiszertach. Przez kilka minut milczeli. Elly poczuła, że zaczęli się też lekko kołysać do dochodzących z oddali dźwięków weselnej muzyki, tak blisko siebie, że czuła guziki męskiej koszuli i kości biodrowe Rydera. On trzymał ją z tyłu w tali. Odwróciła głowę i zobaczyła mewy siedzące na dachu garażu przed hotelem niczym małe białe duchy w ciemności.

– Moja mama jest już chyba oficjalnie wdową. To taka dziwna myśl. Myślisz, że kiedyś się ożenisz?

– Nie wykluczam tego. – Przyciągnął ją bliżej. – Bo jaka jest alternatywa? Mieszkać samotnie? Co wieczór zamawiać kolację na wynos?

– Ale to takie szalone, że człowiek ma wybrać jedną osobę i już zawsze być z nią szczęśliwy – zauważyła Elly.

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie romantyczka – zażartował Ryder.

– Nie, mówię poważnie. To szaleństwo myśleć w ten sposób, prawda? Sama idea małżeństwa to absurd. Ciekawe, co by się stało, gdyby mój tata tu został, a nie uciekł. Pewnie by się rozwiedli, bo mama zawsze uważała, że ją rozczarowuje. Może o tym wiedział i między innymi dlatego wyjechał. Serio, po co my w ogóle się zakochujemy? To nigdy nie trwa wiecznie.

– Sam nie wiem. – Ryder mówił z namysłem. – Ludzie nie potrafią się nie zakochiwać. Oddajemy nasze serca. Całych siebie. Możemy sobie mówić, że fajnie jest mieć taki wybór, przesuwac i kasowac ludzi na Tinderze i tak dalej. Możemy uprawiac seks bez zobowiazan czy plodzenia dzieci, a czasami nawet bez uczucia. Ale czy to naprawde lepsze, niz spróbować zostać z kimś i się z nim zestarzeć?

– Nie wiem. – Elly zaśmiała się bez przekonania. – Pewnie tak.

Ryder odchylił się nieco, by na nią spojrzeć.

– Naprawdę tak myślisz? Ja nie. Myślę, że wszyscy szukamy tego samego, tej jednej osoby, bez której nie możemy żyć. A jeśli znajdziemy taką osobę, chcemy z nią założyć rodzinę, bo inaczej życie robi się samotne. Spójrz na siebie teraz, po powrocie do domu. Widzę, jak dobrze ci z siostrami. Czujesz się spełniona, przy ludziach, których znasz całe życie. Może nie ma sensu walczyć z potrzebą związku, Elly. Może powinniśmy jej posłuchać. Połączyć się i założyć rodzinę.

Miał rację, gdy chodziło o jej siostry – z nimi czuła się inna, kompletna. Ale Elly ścisnęło w gardle na myśl, że miałyby powiedzieć Ryderowi o Hansie, zabiegu i bardzo prawdopodobnej możliwości, że być może nigdy nie będzie miała dzieci.

Wyplątała się z jego uścisku i drżała, stojąc w zimnym nocnym powietrzu.

– O czym ty mówisz, Ryder? Masz na myśli nas? Czy mówisz raczej ogólnie, o całej ludzkiej rasie?

Dostrzegła błysk białych zębów, gdy mężczyzna się uśmiechnął. Nad ich głowami na czarnym niebie lśniło tylko kilka gwiazd i paznokiec księżycy.

– Chyba jedno i drugie – odpowiedział. – Elly, dlaczego mnie tutaj zaprosiłaś?

– Nie zaprosiłam – odparła szybko. – Laura to zrobiła. I to po pijaku. Inaczej by cię tutaj nie było. Nie planowałam tego wszystkiego. Nie myślałam, że ty i ja powinniśmy być razem.

Ryder milczał tak długo, że Elly słyszała chichot mew na dachu. Wyobraziła sobie, że ptaki śmieją się z głupich ludzi na ziemi. „Dyskutują o tym, czy się łączyć w pary, zamiast po prostu działać i znosić jaja”.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby to zależało od ciebie, nigdy byś mnie tutaj nie zaprosiła – odezwał się w końcu Ryder. – I że nie powinniśmy być razem?

– Tak.

– Okej, no dobrze. Cóż. To wiele wyjaśnia. Lepiej wróć do pubu. – Odwrócił się gwałtownie i szybko ruszył w stronę baru.

– Ryder, zaczekaj! – zawołała Elly, ale długie nogi tak szybko niosły mężczyznę przez trawnik, że nie mógł jej słyszeć. Albo udawał, że nie słyszy. I pewnie tak będzie lepiej, pomyślała, bo i tak nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

A potem zniknął, otworzył drzwi do pubu, rzucając na trawnik kwadrat żółtego światła, zamknął je i zostawił Elly samą w zimnej i cichej ciemności.

Laura pozwoliła sobie wczoraj na napisanie dokładnie jednego esemesa do Kennedy z hotelu, w którym pomagała Rhondzie w meldowaniu gości na wesele Sandersonów.

Kilka par narzekało na hałas dochodzący z baru i prosiło o zmianę pokoi, ale mieli pełne obłożenie. Laura mogła im tylko zaproponować dziesięcioprocentową zniżkę. To bardzo ucieszyło marudnych klientów, szczególnie kiedy Laura zadzwoniła jeszcze do znajomej właścicielki restauracji w mieście i przekonała ją, by dała parom dwadzieścia pięć procent rabatu na lunch po wymeldowaniu dzisiejszego dnia.

Laura bała się, że matkę zezłoszcą te jej decyzje. Ale Sarah tylko się uśmiechnęła i powiedziała:

– Masz żyłkę do interesów, kochana.

Dobre słowo od matki dodało Laurze odwagi, by napisać do córki, która po

raz pierwszy w ten weekend została w domu Jake'a w Medford, choć wciąż wyobrażała sobie, jak Kennedy je kolację z ojcem, tym obcym facetem, Anthonym, i ich małym synkiem.

„Wszystko dobrze?” – napisała.

„Doskonale. Nie martw się!” – odpowiedziała Kennedy. Laura widziała w wyobraźni, jak córka, pisząc te słowa, przewraca oczami.

Teraz, następnego ranka, Laura zdecydowanie zapukała do drzwi Elly, kiedy już nakarmiła i oporządziła konie, choć nie było jeszcze dziewiątej.

– Hej, jadę na naleśniki do Pancake House w Rowley. Chcecie się zabrać z Ryderem?

– Nie. – Elly miała zduszony głos, jakby leżała z głową pod poduszką. – Ryder wyszedł z Sebastianem, chodzą po lasach czy coś. Ja zostaję w łóżku. Głowa.

– No dobrze – zawołała Laura. – Zdrowiej.

Wsiadła do auta, na szczycie podjazdu zawahała się i skręciła w stronę hotelu. Może Anne się zabierze. Lucy była za mała na naleśniki, ale Laura wciąż miała w pamięci żywe wspomnienia długich niedzielnych poranków spędzanych z małą Kennedy, kiedy Jake wychodził na rower. Albo spędzał czas z kimś innym. Nie, nie może tak myśleć. Jake powiedział, że Anthony jest jego pierwszym facetem. Laura musiała w to wierzyć, jeśli nie chciała stracić rozumu. Zresztą jakie to miało teraz znaczenie?

Anne już wstała i była ubrana, zdążyła zjeść śniadanie i wyjść na spacer. Miała splecione rude loki, jakby przez cały ranek wkładała i ściągająca swetry.

– Tylko wezmę kurtkę – powiedziała, gdy Laura zaprosiła ją na śniadanie.

– Ale przecież już jadłaś. Na pewno chcesz jechać?

– Cokolwiek, byle tylko stąd wyjść – odparła siostra. – W domku jest zimno, a Lucy marudzi.

Laura czekała, patrząc, jak dziewczynka podejmuje heroiczne próby przewrócenia się z boku na bok na kocu rozłożonym na podłodze. Anne miała rację: zimno jak diabli. I czuć było wilgocia. Wyobraziła sobie, jak strugi wody płyną po krytych gontem ścianach, a drewno robi się zielone i śliskie.

Anne ubrała córkę w pajacyk i sweter, więc Lucy raczej nie marzła. Wyglądała na zadowoloną, grubiotka jak szczeniaczek. Ale Laura i tak podniosła ją i przytuliła. Mała uśmiechnęła się szeroko i z piskiem zadowolenia próbowała złapać wiszące kolczyki obręcze Laury. Ciotka zdjęła je, a potem schowała twarz w dziecięcym karku, wachając tak znajomą upojną mieszaninę aromatów: dziecięcego szamponu, talku i mleka.

– Mały małpiszonek – powiedziała Laura, gdy Anne wróciła. – Taka sama jak ty kiedyś.

Anne uśmiechnęła się, obwiązując szyję szalikiem.

– Naprawdę pamiętasz mnie jako dziecko?
– Czy pamiętam? – Śmiała się Laura. – Nie mogłam się ciebie pozbyć! Ciągle miałam cię pilnować, a ty czepiałaś się mnie jak rzep. Jeszcze w podstawówce, kiedy mijałyśmy się w korytarzu, biegałaś za mną. Łapałaś się mojej nogi i nauczyciele musieli cię siłą odrywać.
– Rany. Pewnie strasznie się wstydziłaś.
– No pewnie. Byłam wtedy bardzo *cool* – odparła Laura, gdy Anne zapinała Lucy w foteliku.
– Byłaś – przytaknęła Anne. – Zawsze uważałam cię za boginię.
– Nieprawda.
– Poważnie! – odparła Anne. – Podziwiałam wszystko, co robiłaś.
– Nie powinnaś. Nie byłam zbyt dobrą starszą siostrą.
– Ale co ty mówisz? Lauro, byłaś dla mnie wspaniała – zdziwiła się Anne. – Szczególnie po odejściu taty. Pamiętasz, co mi powiedziałaś następnego dnia? Pomogłaś Elly i mnie zbudować fort pod stołem w jadalni, kiedy mama była na górze, kazałaś mi przynieść tam ulubione zabawki, bo to, co chciałaś powiedzieć, mogło mnie zasmucić. Elly powiedziałaś to samo. Obie wiedziałyśmy, że jeśli ty zostaniesz i powiesz nam, co robić, wszystko będzie dobrze. – Zaśmiała się. – Byłaś apodyktyczna.
– I zazdrosna – westchnęła Laura. – Szczególnie o ciebie.
– O mnie? Dlaczego? Przecież Elly była tą ładną.
– Tak, ale ciebie wszyscy chcieli rozpieszczać – odparła Laura. – Wkurzałam się, kiedy dzięki Flossie coś ci uchodziło na sucho.
– I nic dziwnego. – Anne poklepała Laurę po udzie. – Mama zawsze obarczała cię zbyt wielką odpowiedzialnością.
Laura skinęła głową.
– Jak myślisz, co mama teraz robi, po śmierci taty?
– Może znowu wyjdzie za męża.
– Serio? Nie wyobrażam jej sobie z kimkolwiek.
– Nie widziałaś, jak flirtowała z tamtym facetem w pubie? Wyszli razem. Elly poszła za nimi do mieszkania mamy i on wszedł do środka!
– Nie!
– Tak! – upierała się Anne. – Elly podobno dała im dziesięć minut, potem zapukała do drzwi, ale mama nie chciała jej wpuścić!
– A wiemy, kto to jest?
– Tak. Elly po powrocie do pubu zapytała Rhondę. Okazuje się, że to jej wuj. Był z mamą na kilku randkach.
– Rozumiem, że nie jest seryjnym mordercą.
– Raczej nie. W każdym razie zadzwoniłam dzisiaj rano do mamy sprawdzić, jak się czuje, i chyba wszystko okej. – Anne dodała po chwili wahania: – W tle

grała muzyka. Jakiś jazz. O dziewiątej rano!

– Jezu. Oszczędź mi życia, w którym mama jest ponętą singielką.

Choć pojawiły się w Pancake House w porze pokościelnych przekąsek, nie musiały czekać na stolik. Zamówiły naleśniki, jajka i pieczone ziemniaki. Rozmawiały z Laurą o weselu i różnych kuchennych kryzysach, które pojawiły się w trakcie przyjęcia.

– Dobrze sobie poradziłaś – mówiła Laura. – Wszystkim, z którymi rozmawiałam, smakowało jedzenie.

– Rodrigo się tym zajmował. To mój bohater – odparła Anne. – Jest nieziemsko dobrze zorganizowany i bardzo rzadko krzyczy, dzięki czemu wszyscy pracują w spokoju i z pewnością siebie.

– Planujesz zatem zostać?

– Nie wiem. – Anne zmarszczyła czoło, bo Lucy zaczęła marudzić. Podała córce szmacianą lalkę, którą musiała zrobić Flossie. Wyglądała jak rodzaj Buddy – pulchna i zadowolona. Lucy wsadziła ją sobie do buzi i ssała z taką intensywnością, że obie siostry się roześmiały.

– Słuchaj, mam pewien pomysł – powiedziała Laura. – Nie możesz mieszkać zimą w tym domku, a wiem, że nie chcesz przenosić się do mamy. Może więc zamieszkaż na jakiś czas u mnie?

Oczy Anne załśniły srebrnobłękitnym blaskiem zaskoczenia, a policzki się zarumieniły.

– Mówisz poważnie?

Laura wzruszyła ramionami.

– A czemu nie? Przyda mi się towarzystwo. Zrobisz mi przysługę. Kennedy ucieszy się, że ma kuzynkę blisko. Spróbujemy przetrwać zimę i zobaczymy, jak będzie. No bo co się może zdarzyć złego? Znienawidzimy się? To już mamy za sobą i przeżyjemy.

– Nigdy cię nie nienawidziłam! A ty mnie?

Laura się zastanowiła.

– Gdybyś spytała mnie kilka tygodni temu, być może odpowiedziałabym twierdząco. Ale kiedy zadzwoniła Flossie, mówiąc, że zaginęłaś, jadąc na Generale, a potem zobaczyłam cię zakrwawioną i poobijaną w samochodzie, bardzo się zmartwiłam. Więc nie. Nie naprawdę. Po prostu bałam się stracić Jake'a. Ale okazuje się, że straciłam go już dawno temu.

– Przykro mi, Lauro, że musiałaś we mnie zwątpić.

– Wiem, że ci przykro. A mnie jeszcze bardziej, że w ciebie zwątpiłam. – Laura spojrzała na Lucy, która spokojnie ssała teraz łyżeczkę i obserwowała ludzi w restauracji. Z tymi swoimi błękitnymi oczami i rudymi lokami mała była obiektem zachwyty – goście zatrzymywali się, żeby skomentować jej urodę, to, jaka jest grzeczna, a Lucy się do nich uśmiechała.

Szczęśliwa i ufna, jak kiedyś Anne. Anne dorastała, wierząc, że wszyscy będą ją kochać – bo też wszyscy ją kochali. Za to Laura była już dość duża, by widzieć niezadowolenie i złość matki, świadoma nagłego odejścia ojca, pamiętała, jak Sarah zostawiała je na kilka dni lub tygodni, a wtedy pojawiała się Flossie, choleryczna i zabiegana.

– Kiedy powiedziałaś nam, że mama przeszła załamanie nerwowe, odparłam, że tego nie pamiętam – ciągnęła Laura. – Ale to nieprawda.

– Serio? To znaczy pamiętasz coś więcej niż to, że wyjeżdżała?

Laura skinęła głową. Hałas w restauracji sprawiał, że nikt nie mógł podsłuchać ich rozmowy.

– Kiedy chodziłam do szkoły, czasami wracałam do domu, a mama krzyczała na ciebie i Elly. Karmiłam was i kładłam do łóżka, żeby mogła wrócić do pracy w hotelu. Często wieczorami słyszałam, jak płacze w swojej sypialni. Czasami nie zauważała nawet, że Elly śnił się koszmar, a ty chodziłaś przez sen.

– Biedna. Pewnie czułaś się, jakbyś nosiła cały świat na swoich barkach. – Anne dotknęła dłoni Laury. – Przykro mi.

– Nie ma powodu. To, przez co przechodzimy jako dzieci, kształtuje nas jako dorosłych, prawda? – Laura się uśmiechnęła. – A może próbuję tylko się tłumaczyć, każąc Kennedy przeżywać rozwód rodziców. Ale naprawdę szkoda mi mamy. Na pewno czuła się samotna, z premedytacją odcięła się od własnej rodziny, a potem zostawił ją mąż. Jakby utknęła na własnej bezludnej wyspie nieszczęścia.

– Na którą sama przyплыnęła – przypomniała Anne.

Zapłaciły rachunek i wróciły do samochodu. Czekając na możliwość wyjazdu z parkingu, Laura zapytała:

– To co, zastanowisz się, czy ze mną zamieszkacie?

Anne odwróciła się i uśmiechnęła.

– Już się zastanowiłam. Odpowiedź brzmi „tak”.

Niedługo po jedenastej Elly w końcu zmusiła się do wstania z łóżka. Laury wciąż nie było. Padało. Nie ulewa, tylko lekkie, niezdecydowane krople, od których szyby w oknach falowały na zielono. Przez godzinę oglądała telewizję, wypila za dużo kawy i poszła do garażu, szukając czegoś, co ją uspokoi. W końcu wsiadła na górski rower Kennedy i popedałowała do Dogtown w poszukiwaniu Rydera i Sebastiana. Musiała spotkać się z Ryderem i wytłumaczyć mu, że wczoraj wieczorem opacznie ją zrozumiał. Cieszyła się, że zależało mu na tyle, by tutaj przyjechać. A przed wyjazdem musiał się o tym dowiedzieć, nawet jeśli nie czekała ich wspólna przyszłość. Elly przez kolejną godzinę zagłębiała się w las, trzymając wyboistych ścieżek krzyżujących się w Dogtown. Nawet teraz, późną jesienią, listowie było tak gęste, że utrudniało widoczność. Liście miały barwę rdzy i brązu. Jechała najszybciej jak potrafiła, mocno naciskała na pedały. Tyle że nie pamiętała, gdzie właściwie pracuje Sebastian. Musiała objechać tyle ścieżek, ile się dało.

Jeśli tutaj nie znajdzie Rydera, powinna szybko wracać do domu Laury, żeby go tam złapać. Rano zauważyła, że zdążył spakować torbę i tej nocy spał na dole, na kanapie w bawialni. Kiedy Elly zasnęła, wszedł do pokoju gościnnego, w którym razem mieszkali, i zabrał swoje rzeczy.

Ryder był poprzedniego wieczoru tak zły, że został do późna w pubie, nawet gdy Elly powiedziała, że wraca do Laury.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego tak się wściekasz? Po prostu powiedziałam prawdę, że to Laura cię tutaj zaprosiła, ale przecież to wiedziałeś.

Ryder westchnął.

– Elly, skoro nie rozumiesz, to lepiej, żebym nic nie wyjaśniał. – Potem odwrócił się i zaczął rozmawiać z jakimś stojącym obok facetem.

Był taki irytujący. Oczywiście, że nigdy nie zaprosiłaby go do Nowej Anglii! Niby dlaczego miałyby to robić? Przecież nie byli parą. Nie byli w oficjalnym związku. Ryder nie był jej chłopakiem. Po prostu pracowali w tym samym specyficznym biznesie i wylądowali razem w łóżku. To nie była podstawa związku. A jednak myśl o tym, że Ryder wyjedzie teraz, przed urodzinowym przyjęciem Sarah w następny weekend, sprawiała, że Elly zdawała się tracić zmysły. Chciała się z nim zobaczyć choćby po to, by przedstawić swoje uwagi na temat mężczyzn, kobiet i bezsensu małżeństwa. Żeby zmusić go, by dotrzymał obietnicy (danej Laurze, przypomniała sobie) i sfilmował tak ważne dla matki urodziny. Ważne udawane urodziny. Nic dziwnego, że Elly nikomu nie ufała, skoro nawet własna matka ją okłamywała.

Pędziła przez powalone drzewa i kamienie. Przygryzła sobie język i poczuła krew. Musiała mocno pedałować, żeby przejechać przez grube kępy poźółkłej trawy, która przypominała ręce łapiące za szprychy. Po godzinie Elly była zmęczona, a lodowaty listopadowy wiatr zaczynał wdzierać się pod kurtkę. Padało coraz mocniej. Wąskie pasy nieba między drzewami miały szarozieloną barwę. Z każdego krzaka i drzewa spadały na nią krople i była już przemoczona. Światło nabrało szarego koloru, a ścieżki zmieniły się w gęste smugi błota ze zdradliwymi kamieniami. Elly spadła z roweru, wlatując głową w jeżyny, i skręciła sobie nadgarstek. Po kilku kolejnych ostrych zakrętach zerknęła na telefon i zobaczyła, że minęły już niemal dwie godziny. Drżała od zimna i wilgoci i całkiem zgubiła się w Dogtown.

Ojciec ostrzegał je przed tym za każdym razem, gdy tu przychodzili. Dogtown było labiryntem usianym skałami, znakami dawnych lodowców, które przepychały i zderzały ze sobą kamienie na całej ziemi, a potem stopniały i zostawiły całe wzgórza, jakby dziecko olbrzyma bawiło się i ułożyło przypadkowe kamienne stosy.

Elly zatrzymała się i postawiła rower na niewielkim wzniesieniu, próbując ogarnąć sytuację. Nie dostrzegła żadnego znajomego punktu: ani masywnej

moreny czołowej wyższej od tysiąca ogromnych głazów. Ani Ambony Petera, wielkiej skały stojącej na zakręcie w Commons Road. Ani Wielorybiej Szczęki, głazu narzutowego kiedyś przypominającego wieloryba wznoszącego otwartą paszczę do nieba, ale teraz pękniętego na dwa niezgrabne kawały – złamana szczeka sprawiła, że Elly rozpląkała się, widząc ją pierwszy raz i wyobrażając sobie, że to część prawdziwego zwierzęcia. Nie była też na pewno w okolicy kamiennego szlaku Babsona przy zbiorniku, bo w pobliżu nie dostrzegła żadnej z oznaczonych piwnic wkopanych w ziemię, pozostałych po dawnych mieszkańcach. Na pewno wiedziała tylko, że jest w lesie, na jakiejś ścieżce. A ponieważ niebo się zachmurzyło i widoczność była kiepska, Elly nie odróżniała nawet kierunków. Powinna była trzymać się szerokich ścieżek i bitych dróg.

Było za zimno, by stać w miejscu i szczekać zębami. Wsiadła więc z powrotem na rower i ruszyła. W końcu zobaczy coś znajomego albo dojedzie do przedmieść dawnej osady, jeśli pojedzie względnie prosto. Ważne, żeby się ruszać i nie zmarznąć. Elly próbowała osłabić narastającą panikę, przypominając sobie historie, które ojciec opowiadał o tych miejscach. Wiele mówił o kobietach, które nigdzie nie miały swojego miejsca.

Tak jak ja, pomyślała ponuro.

Na przykład czarownicy z Dogtown, Tammy Younger i Luce George, które twierdziły, że potrafią rzucać zaklęcia. I Easter Carter, stara panna, pielęgniarka, właścicielka jedyne w okolicy piętrowego domu. Easter żywiła się głównie gotowaną kapustą i miała lokatorkę, była niewolnicę, która ubierała się jak mężczyzna i podawała za Johna Woodmana, a zarabiała, budując mury z kamienia. Może zbudowała też jakieś murki gdzieś tutaj, wzdłuż tego wyboistego szlaku, pomyślała Elly, wciąż szukając znajomych punktów.

Kto jeszcze? Oczywiście Becky Rich. Robiła nalewki z leśnych owoców i przepowiadała przyszłość z fusów. Elly i jej siostry uwielbiały tu kiedyś zbierać owoce. Zgniatały je potem, mieszały z liśćmi i wodą, udając, że warzą specjalne napary, kiedy ojciec zabierał je tu i kazał się bawić, podczas gdy sam czytał książkę.

Ojciec wiedziałby, gdzie jest, pomyślała Elly. Mógłby ją uratować. Ale go nie było i na tę myśl zaczęła szlochać, a łzy mieszały się z kroplami deszczu na policzkach. Tatusiu.

Rany, ależ było zimno. Elly nie czuła już palców u nóg. Zdrętwienie przypomniało jej o ostatnim mieszkańcu Dogtown. Black Neil także był kiedyś niewolnikiem. Zarabiał, zarzynając świnie i do 1830 roku mieszkał w ziemiance – wtedy miasto wysłało do Dogtown konstabla, żeby zabrał Neila, który miał odmrożone stopy.

Elly zatrzymała rower, by złapać oddech, i nasłuchiwała jakiegoś zwierzęcia przedzierającego się przez krzaki. Tutaj nawet wiewiórki brzmią jak wilki,

przypomniała sobie, a jedynymi drapieżnikami w okolicy były kojoty, które raczej nie atakowały ludzi. Ale i tak się bała. Paliło ją w płucach, a uda piekły z wysiłku. Pokrzywione pnie drzew dokoła zdawały się przybierać ludzkie formy, powykręcane i wściekle wyciągały po Elly długie ramiona. Zaczęła panikować; mrugała gwałtownie, by drzewa wróciły do dawnej postaci, ale nawet wtedy ich korzenie przypominały powykręcane stopy, a sęki wyglądały jak oczy.

W lesie szybko robiło się ciemno, a popołudniowa mgła zaczynała oblewać gałęzie drzew gęstym białym szalem. Kolejne zwierzę przemykało hałaśliwie między pobliskimi drzewami i Elly podskoczyła ze strachu, a potem zobaczyła mignięcie białego sarniego ogona. Miała nadzieję, że nic nie ściga zwierzęcia. Wsiadła na rower i ruszyła dalej, choć lzy płynęły, ciągle mieszając się z deszczem. I wtedy zobaczyła dwie niewielkie skulone postacie idące w jej stronę przez bladą kurtynę deszczu. Zatrzymała się nagle, mrużąc oczy, kiedy sylwetki zaczęły nabierać kształtów. Jedna miała na sobie jaskrawożółty przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem, ciemne spodnie i kapelusz z czerwonym rondem; kolory niczym płomień odbijały się od szarobrazowego krajobrazu. Druga postać była ubrana na czarno.

– Tatus – wyszeptała Elly i rozpląkała się z ulgą, ale przypomniała sobie, że Neil nie żyje. Ojciec już nigdy nie pokaże jej tego lasu. Przyłożyła dłonie do twarzy i szlochała, z tęsknoty za nim, za dzieciństwem i za tymi spędzonymi z siostrami chwilami, które nigdy nie wrócą.

– Elly? Tutaj jesteś. Martwiłyśmy się, dziewczyno.

Elly z zaskoczeniem odsłoniła twarz. Przed nią stała Flossie w czarnym kombinezonie przeciwdeszczowym i wysokich butach.

– Laura i Anne przyszły do mnie, pytając, czy jesteśmy razem – powiedziała. – Martwiły się o ciebie.

– Do mnie też zadzwoniły. – Obok Flossie stała zupełnie do siebie niepodobna Sarah w kolorowym ubraniu. Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że się uśmiechała, ciepło patrząc błękitnymi oczami na córkę. – Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedziała energicznie. – Co ty sobie myślałaś, jadąc na rowerze do Dogtown w koszmarną pogodę? Powinnaś być rozsądniejsza. A teraz chodź. Zabierzemy cię z powrotem do Laury.

Elly delikatnie postawiła rower na ziemi i stała tak, zamknawszy oczy. Czowała, jak matka i Flossie podtrzymują ją z dwóch stron, a ich uspokajające głosy szumiały niczym deszcz.

Temperatura tak gwałtownie się obniżyła, że Laura namówiła Anne, by od razu przeniosły się do niej z Lucy.

– Uporządkujemy sprawy i wyprowadzisz się z domku w następny weekend – zdecydowała. – Wolę nie myśleć, jak we dwie drżycie we śnie w tym zimnie.

Anne cieszyła się z pobytu u Laury nie tylko z powodu chłodu, ale też dlatego, że była na miejscu, gdy Sarah i Flossie zaskoczyły ją, przyprowadzając tu przemokniętą i przemarznąętą Elly, którą udało im się odnaleźć w Dogtown.

– Skąd wiedziałyście, gdzie szukać? – zapytała Anne ciotkę.

– Nazwij to starczą intuicją – odparła Flossie, wskazując na Sarah. – To znaczy jej, nie moją. Sarah uważa, że Elly najgorzej zniosła informację o śmierci waszego taty, a właśnie tam zawsze zabierał waszą trójkę.

Anne pogrzebała w szafkach i lodówce Laury, po czym przygotowała dla wszystkich pożywny warzywny gulasz z jęczmieniem, modyfikując przepis i dodając ziołowe kluski. Flossie przyniosła z auta kilka butelek hiszpańskiego czerwonego wina – podarunek od jednego z wielbicieli, co wstydliwie wyznała – i zrobiły sobie ucztę. Kiedy Sarah ziewnęła, ciotka bardzo się przejęła, pomogła jej włożyć jaskrawożółty płaszcz przeciwdeszczowy i odwiozła do hotelu.

Anne również była zmęczona. Położyła Lucy w składanym łóżeczku w gabinecie, sama zamierzała spać na rozkładanej kanapie. Żeby zrobić miejsce, musiała przesunąć biurko Jake’a – mała strata, pomyślała – i zastanowiła się, czy pójść spać. Ale wciąż było wcześnie, więc zabrała elektroniczną nianię i zeszła na dół.

Laura i Elly siedziały na skórzanej kanapie w salonie. Otworzyły kolejną butelkę wina i trzymały kieliszki w dłoniach. W świetle stołowych lamp płyn odbijał się mocno wiśniowym kolorem. Kiedy przyszła Anne, siostry przesunęły stopy i poklepały środkową poduszkę. Usiadła między nimi, a potem ześlizgnęła się na podłogę razem z poduchą, twarzą do Elly i Laury. Laura naląła trzeci kieliszek wina. Elly wyglądała na chorą. Miała przekrwione oczy, kalifornijska opalenizna zniknęła. Nawet usta miała blade. Rozmawiały z Laurą o przygotowaniach do urodzin matki w następny weekend i o tym, jakie piosenki powinny we trzy przećwiczyć z Kennedy, jednak Elly ledwo nadażała za rozmową. Jakby była na lekach.

– Chyba się przeziębiłaś na tej wycieczce do Dogtown – zasugerowała w końcu Anne. – Nawet głos masz zmieniony.

– Nie da się złapać przeziębienia z zimna. – Elly pociągnęła nosem. – To bujda. Muszę mieć jakiegoś wirusa.

Laura zerknęła na Elly.

– Mówi tak, bo płakała. Wygląda na to, że Ryder zniknął.

– No coś ty? – Anne spojrzała na Elly. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że tak całkiem wyjechał, prawda? Przecież miał zostać na przyjęciu mamy.

Elly założyła włosy za uszy i wzruszyła ramionami.

– Pokłóciliśmy się. I wyjechał.

– Jesteś pewna? – dopytywała Anne. – Może po prostu nie pojawił się na kolacji?

– Nie. Rzeczy też zabrał.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Anne. – O co się pokłóciliście?

– Powiedziała Ryderowi, że jest tu tylko dlatego, że go zaprosiłam – tłumaczyła Laura. – A kiedy to robiłam, byłam naprawdę pijana – dodała. – I nie wiedziałam, co plotę.

Anne roześmiała się, ale zamilkła, widząc kamienny wyraz twarzy Elly.

– Ale o co chodzi? Przecież Rydera nie obchodzi, dlaczego został zaproszony, jeśli tylko może być z tobą, Elly. I nie odjechałby bez słowa.

To bardziej w stylu Colina, pomyślała.

– Opowiedz jej resztę. – Laura trąciła stopą udo Elly. – Opowiedz Anne, co usłyszała od ciebie Ryder w trakcie przyjęcia Sandersonów.

Elly odstawiła kieliszek na stolik tak gwałtownie, że Anne niemal widziała pękającą stopkę.

– Powiedziałałam mu, że gdyby to zależało ode mnie, tobym go wcale nie zaprosiła. I że nigdy nie planowałam naszego bycia razem.

– Auć. – Skrzywiła się Anne.

Elly skinęła głową.

– Zgubiłam się w Dogtown, bo szukałam Rydera. Myślałam, że jest z Sebastianem i chciałam przeprosić, zanim wyjedzie. Już miał spakowane rzeczy, wiedziałam więc, co zamierza. Ale chyba wrócił tu i się zabrał, zanim przyjechałam.

– Zniknął na dobre. Przysłał mi esemesa z podziękowaniem za wszystko – dodała Laura. – Ale myślałam, że może dostał jakieś zlecenie i musiał wracać do Kalifornii przed przyjęciem mamy.

– Bardzo by mu się spodobało to durne przyjęcie – z żalem powiedziała Elly. – Całe to śpiewanie i tańce. Teatrzyk.

– Maminy czy nasz? – droczyła się Laura.

Żadna się nie roześmiała. Anne zerkała w swój na wpół pełny kieliszek, marszcząc czoło.

– A jeśli Ryder wcale nie wyjechał?

– Wziął swoje rzeczy – przypomniała Laura.

– No dobrze, ale jeśli zaplanował lot powrotny po przyjęciu mamy, to pewnie wolałby nie płacić za przebukowanie. Może zatrzymał się gdzie indziej i będzie zwiedzał Boston czy coś. Może czeka, aż Elly wyruszy za nim.

– Nie. Ryder nie jest taki wyrachowany – zaprotestowała Elly. – I nie dba aż tak o pieniądze. Nie przejmowałyby się, gdyby trzeba było dopłacić za zmianę rezerwacji.

– Ale może Anne ma rację i Ryder nie odpuścił zupełnie, jeśli chodzi o ciebie – odezwała się podekscytowana Laura. – Widziałam, jak się na ciebie gapił.

– Przestań. On nie jest stalkerem – powiedziała Elly. – Zresztą to wszystko nie ma znaczenia. Pewnie lepiej, że wyjechał. Bo co niby miałabym mu powiedzieć? „Och, momencik, przypomniałam sobie, że jednak chciałam cię tutaj zaprosić”? To by było kłamstwo. Nie jestem mamą – przypomniała siostrom.

– Cóż, mogłabyś powiedzieć, że nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo chcesz z nim być, dopóki nie wyjechał. – Laura zdawała się zniecierpliwiona. – Bo to prawda, co nie? Tylko na siebie spójrz. Nigdy nie widziałam cię takiej zdolowanej. Naprawdę zależy ci na tym facecie, Elly.

– Laura ma rację – przytaknęła Anne. – Pojechałaś do Dogtown, sama, w deszczu, na górskim rowerze, i to dlatego, że desperacko chciałaś znaleźć Rydera. Co to mówi o twoich uczuciach?

Elly westchnęła i zapadła się w kanapę.

– Ale to nie ma znaczenia, co do niego czuję! I tak nie możemy być razem.

– A to dlaczego? – zapytała Anne.

– Bo jest jeszcze jeden powód, dla którego Ryder wyjechał. Rozmawialiśmy o rodzinie – odparła Elly. – On uważa, że ludzie powinni łączyć się w pary i rozmnażać, bo do tego są stworzeni. A ja nawet nie wiem, czy mogę mieć dzieci. Ryder by odszedł, gdyby o tym wiedział.

– Nie – odezwała się Laura. – Tylko wydaje ci się, że by odszedł. A to co innego niż normalna, szczerza rozmowa o waszym związku i tym, czy chce mieć dzieci. – Dopiła wino i dodała: – Mądrze gadam, prawda? Jestem w końcu książkowym przykładem szczerości małżeńskiej.

– Doskonale ci idzie. – Elly się uśmiechnęła.

Laura machnęła ręką.

– Hej, przyszło mi coś do głowy – ciągnęła. – A Sebastian? Ryder mówił, że jedzie z nim do Dogtown. Może byli tam razem, a potem Ryder zamieszkał w domu Sebastiana? Powinniśmy do niego zadzwonić. A mówiąc „my”, wiecie, kogo mam na myśli. – Spojrzała znacząco na Anne.

– O nie. – Anne uniosła obie dłonie. – To zły pomysł. Sebastian ciężko pracuje. Pewnie już śpi.

– Jest dopiero ósma – zaprotestowała Laura. – Z tego, co widzę, żadna z nas nie śpi, a miałyśmy raczej ciężki dzień.

– A Sebastian jasno dał do zrozumienia, że ze mną nie chce mieć nic wspólnego – dodała Anne.

– Wielka szkoda – rzuciła Elly.

– No dobrze, ale musisz do niego zadzwonić, dla Elly, skoro nie dla siebie! – zawołała Laura. – Słuchaj, zadzwoń do Sebastiana i poproś do telefonu Rydera. Zachowuj się swobodnie. To nie jest szpiegowska intryga. Po prostu powiedz mu, że się martwimy, bo jeśli Ryder postanowił wrócić do Kalifornii, musimy znaleźć innego filmowca na przyjęcie mamy. Nie musisz się płaszczyć.

– Nie płaszczyłabym się przed nim! – oburzyła się Anne. – Wiem, dlaczego nie chce się ze mną spotykać.

– Na pewno mu przejdzie – powiedziała Laura.

Anne pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się. Strasznie jest popaprany.

– Dlaczego? – zacięła się Laura.

Anne zerknęła na Elly.

– Nie mówiłaś jej o żonie Sebastiana?

– O mój Boże! Sebastian ma żonę? Serio? Co się z tobą dzieje, Anne? – irytowała się Laura.

– Spokojnie. Ona nie żyje – odparła Elly.

Laura otworzyła, a potem zamknęła usta.

– Przepraszam, biedaczek.

– Była w ciąży – dopowiedziała Elly. – Popęłniła samobójstwo.

– Jezu! – Laura spojrzała na Anne i potrząsnęła głową. – Cóż, zawsze wybierałaś sobie przystojnych popaprańców.

– Zamknij się, Lauro! – Anne założyła ręce. – Nie zaczynajmy dyskusji o tym, jakich facetów wybieramy. Mogłabym ci co nieco wypomnieć.

– Przestańcie! – rozkazała Elly. – Wszystkie osoby w tym pokoju mają koszmarny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Kobiety Bradfordów dziedziczą w genach przyciąganie frajerów. Ale Anne, proszę. Zadzwoń do Sebastiana – błagała. – Zrób to dla mnie. Możesz? Ja umieram. Jeśli Ryder tam jest, muszę się z nim spotkać.

– No dobrze już. Skoro umierasz – ustąpiła Anne.

– Przynies tutaj telefon! – Laura i Elly zawołały jednocześnie, gdy siostra wychodziła z pokoju.

– Nie ma mowy! – odparła.

Zamknęła się w łazience na parterze i odwróciła plecami do lustra, by nie widzieć swojej bladej piegowanej twarzy. Wykręciła numer Sebastiana.

– Halo?

Miał niższy niż zwykle głos.

– Sebastian? – zapytała.

– Nie, tu Ryder. Cześć, Anne.

– Skąd wiedziałeś? – zaczęła, ale przypomniała sobie, że Sebastian wpisał jej

numer w komórkę. Pewnie wyświetlił się też jakiś obrazek. – Moment. Dlaczego odbierasz telefon Sebastiana?

– Bo on śpi.

– Aha – rzuciła. – Przepraszam. Myślałam, że jeszcze jest wcześniej.

– Dla niego już za późno. Położył się koło siódmej.

– Jest pijany?

– Nie. Tylko zdołowany.

Anne położyła dłoń na sercu.

– Przykro mi. Rozumiem, że jesteście u niego w domu.

– Tak. Byliśmy w Dogtown, ale kiedy zaczęło padać, wróciliśmy tutaj. Miałem ze sobą sprzęt, a Sebastian stwierdził, że i tak jest zbyt mokro, by pracować.

– Na pewno wszystko z nim w porządku?

– Tak. Zaglądałem do niego jakiś czas temu. – Kiedy Anne przez chwilę się nie odzywała, dodał: – Wiem, co się z wami dzieje. Powiedział mi.

– Aha – powtórzyła.

– Nie chodzi o ciebie.

– Dzięki, że to mówisz, ale tak naprawdę dzwonię do Sebastiana, żeby znaleźć ciebie.

– Aha. – Ryder zdawał się zaskoczony.

– To znaczy z nim również chciałam pogadać. Ale nie byłam pewna, czy w ogóle zechce.

– Z pewnością by chciał – powiedział Ryder. – Nie skreślaj go, Anne.

– Ja się nigdzie nie wybieram – odparła. – Wprowadzam się do Laury.

Przekażesz mu to?

– Pewnie. A po co mnie szukałaś?

– Elly naprawdę się stresuje, że rozstaliście się w ten sposób.

– Nie rozstaliśmy się – sprostował Ryder. – Jej zdaniem nigdy nie byliśmy razem.

– To raczej nieprawda – zauważyła Anne. – W każdym razie chce z tobą pogadać.

– Tak powiedziała?

– Tak – potwierdziła Anne. – Możesz wrócić tu, do Laury?

– Nie – odmówił. – Nie chcę jej osaczać.

Anne zdała sobie sprawę, że to patowa sytuacja: Ryder oczekiwał, że to Elly przyjedzie do niego.

– Szukała cię dzisiaj po całym Dogtown – wspomniała Anne. – Zabłądziła w deszczu. Gdyby mama i ciotka jej nie znalazły, pewnie wciąż by tam tkwiła.

– Twoja matka była w Dogtown? Serio? Nie obraż się, ale trudno mi to sobie wyobrazić. Rozumiem, że czuje się lepiej.

– Najwyraźniej zapomniała, że nie powinna się przemęczać. Ale to cała mama.

– I bardzo dobrze.

Odbiegali od tematu. Musiała pomóc Elly naprawić sytuację.

– Słuchaj, a może przywiozę Elly do domu Sebastiana, żebyście mogli pogadać? To by ci pasowało? Nie będę wchodzić. Da mi znać esemesem, kiedy skończycie. Chcesz się z nią spotkać?

– Tylko jeśli ona chce – odparł Ryder.

Kwadrans później podjechały pod dom Sebastiana. Anne nigdy tu nie była – z powodu Lucy to Sebastian zawsze przyjeżdżał do Barki. Ale przy drodze stało jedynie pięć domów, a przy trzecim z kolei, niewielkim białym budynku z XVIII wieku, typowym dla Cape Ann, dostrzegła zaparkowanego na podjeździe dżipa.

– Jesteś pewna, że Ryder chce się ze mną spotkać? Powiedział ci to? – Elly splatała i rozplatała palce. Zdażyła się uczesać i zrobić lekki makijaż, choć wyglądała bardziej blado, niemal jak widmo w ciemnym samochodzie.

– Tak! Prawie błagał mnie, żebym cię przywiozła. – Anne uśmiechnęła się do siostry. Kiedy Elly i Ryder się spotkają, nie będzie miało znaczenia, jak do tego doszło. – Lepiej już idź, zanim Lucy się obudzi i wkurzy Laurę.

Elly zaśmiała się i nachyliła, by uściskać siostrę.

– Napiszę esemesa, jak skończymy gadać.

Anne odwzajemniła uśmiech.

– Nie napiszesz. Będiesz zajęta czym innym.

Wciąż się uśmiechała, wyjeżdżając z podjazdu, choć spoglądając we wsteczne lusterko, żałowała, że nie weszła do domu Sebastiana.

Ryder otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Elly uważała, by przypadkiem nie dotknąć go ramieniem. Przypomniała sobie, jak dobrze im się razem pracowało, jak beztrudnie. Angażowanie się w tę znajomość było błędem. Na zawsze zniszczyła ich przyjaźń.

– Hej – powiedział Ryder. – Dzięki, że przyjechałaś.

– Żaden problem. – Elly udawała swobodny ton, pomyślawszy, że może tak właśnie kobiety Bradfordów tworzą dobre związki z mężczyznami: postanawiając, że zaangażują się tylko w minimalnym stopniu. W końcu nic tak nie psuje dobrej zabawy jak zaangażowanie, prawda?

Od czasu ukończenia studiów mieszkała sama i było jej z tym dobrze. Jednak w głębi duszy musiała przyznać, że teraz trudno byłoby wrócić do cichego mieszkania w Kalifornii, do nieobecności dźwięków, które stały się już naturalne: rozmów w kuchni, zduszonych kroków nad głową, odgłosów prysznicza i śmiechów. Dźwięków rodziny.

– Usiądź. Rozpaliłem w kominku.

Zaprowadził ją do salonu umeblowanego eklektycznie, jak to bywa

w wynajmowanych domach. Na ciężkim dębowym biurku pod oknami najważniejsze miejsce zajmował laptop. Przy takim biurku mógł siadywać Karol Dickens; pod roletową pokrywą ukryto półki z małymi przegródkami. Wokół krzesła niczym papierowe miasto leżały stosy fachowych czasopism o leśnictwie i podręczniki.

– Sebastian nieustannie pracuje. – Ryder podążył za spojrzeniem Elly. – Pewnie wiesz o jego żonie. Jakby chciał wpędzić się w śpiączkę.

– Tak, to smutne. – Elly usiadła na kanapie naprzeciwko kominka, bez zaskoczenia zapadając się w mebel o obdartym kwiatowym obiciu.

Pokój pomalowano na głęboki brąz, a ściany od połowy obito ciemnobrązową boazerią. Ryder przysunął krzesło od biurka i odwrócony plecami do kominka patrzył na Elly. W ciemnym pokoju oświetlona od tyłu przez płomień twarz mężczyzny chowała się w cieniu i nie dało się odczytać jej wyrazu. Wyraziste rysy Rydera i jego sylwetka wydawały się przesadzone, jakby jakiś artysta narysował go tu szybkimi, szerokimi pociągnięciami pędzla.

Elly się uśmiechnęła.

– Doskonale pasujesz do tego domu w Nowej Anglii. Nathaniel Hawthorne byłby dumny.

– No jasne. – Ryder w swoim stylu przeciągał słowa. – Tylko wezmę swoją fajkę i Biblię. – Przybliżył się, opierając łokcie na kolanach. – Elly, co się stało? Najpierw rozmawiamy i wszystko jest dobrze, a potem nagle już nie jest.

– Naprawdę nie wiem – odparła. – Nie chciałam, żebyś wyjeżdżał.

Przynajmniej to było prawdą.

– Serio? Bo miałem dokładnie odwrotne wrażenie.

Elly wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze.

– Nie. To prawda, że nie ja cię tu zaprosiłam. Ale kiedy przyjechałeś, było mi z tobą dobrze. A potem zaczęłam się bać.

– Mnie?

– Nie, o ciebie. Bo zacząłeś mówić o naszej wspólnej przyszłości.

– Jasne. Rozumiem. Nie widzisz nas razem w przyszłości. W porządku. Nigdy nie chciałem na ciebie naciskać. – Ryder wstał i zaczął grzebać w kominku. – Cieszę się, że to wyjaśniliśmy i możemy zostać przyjaciółmi. – Drewno rozpałiło się i w powietrze uniosły się znowu pomarańczowe gorące iskry.

Elly zagryzła wargę, powstrzymując się, by nie podejść do Rydera, przyciągnąć go na kanapę i położyć na sobie.

– Przyjaźń już chyba mamy za sobą.

Wrócił na krzesło, ale Elly pokręciła głową.

– Usiądź na kanapie, Ryder. Proszę.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Nie, jeśli my nie...

– Chcę po prostu widzieć twoją twarz, kiedy będę mówić. Nic więcej.

Ryder ustąpił i powoli obszedł kanapę, kolanem odsuwając stojący na drodze stolik. Elly poczuła ucisk w piersi, kiedy blask z kominka odstłonił głębokie, smutne zmarszczki wokół ust i oczu mężczyzny.

– Nie będzie mi łatwo o tym mówić – zaczęła cicho. – I pewnie zaboli cię to, co usłyszysz. Ale chciałabym, żebyś zrozumiał, dlaczego tamtego wieczoru spanikowałam.

I opowiedziała mu o Hansie, o wszystkim, od szalonego początku romansu do jego nagłego wyjazdu, do diagnozy lekarskiej i zabiegu, swojej ewentualnej bezpłodności.

Ryder milczał, słuchając, tylko od czasu do czasu potakująco mruczał. Raz wyciągnął rękę i przykrył dłonią dłonie Elly, ale tylko na chwilę.

– Wtedy na przyjęciu mówiłeś o rodzinie. Wiem, że pewnie miałeś na myśli ogólną sytuację, nie konkretnie naszą – ciągnęła Elly. – Ale rozumiałam także, że chcesz mieć dzieci, a ja prawdopodobnie nie mogę ci ich dać.

– Nie mówiłem ogólnie. – Ryder znów sięgnął po jej dłonie.

Nie wyrwała jej. Nie chciała, choć gdy mężczyzna zaczął głaskać ją kciukiem, miała ochotę się odsunąć. Zdawało się jej, że uciska rany na jej sercu.

– Aha – rzuciła. – Cóż, w takim razie dobrze, że ci powiedziałam.

– Tak. Ale nic z tego, co powiedziałaś, nie zmienia moich uczuć do ciebie.

Ryder przesunął się bliżej na kanapie i objął Elly. Miał koszulę ciepłą od ognia, a pod spodem jeszcze cieplejsze ciało. Elly chciała się w nie wtulić, wdychać drzewny zapach i ten wyjątkowy korzenny aromat Rydera.

– A powinno – powiedziała, wpatrując się w ogień. – Jeśli pragniesz mieć rodzinę, powinieneś przestać się ze mną spotykać od razu, póki jeszcze możesz.

– Moment. – Odsunął się, by na nią spojrzeć. – Zaraz zaczniesz gadkę w stylu „nie chodzi o ciebie, tylko o mnie”?

– Nie! – zaprzeczyła. – Po prostu nie chcę, byś miał wobec nas oczekiwania, których nie da się spełnić.

W blasku kominka skóra Rydera nabrała złotego odcienia, a jasne kosmyki stały się bardziej widoczne. Wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z ognia, jak mężczyzna wyrzeźbiony ze światła. Elly jeszcze nigdy nie pragnęła nikogo tak pocałować jak teraz jego. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, więc powoli wypuściła powietrze.

Jedna ze szczap w kominku gwałtownie się osunęła, co przstraszyło ich oboje. Ryder odwrócił się twarzą do Elly i ujął obie jej dłonie.

– Jeśli przez „oczekiwania, których nie da się spełnić” masz na myśli to, że będziemy kochać się częściej, niż kłócić, jeździć na wakacje nawet wtedy, gdy będziemy bez kasy, sprzeczać się o to, gdzie chcemy mieszkać, i zastanawiać, czy chcemy mieć dzieci i w jaki sposób, to pewnie. Tak! Mam wobec nas takie oczekiwania. Mam nadzieję, że ty też.

Nachylił się, by ją pocałować, i Elly miała wrażenie, że i ona powstała z ognia.

Następny tydzień minął na przygotowaniach do urodzinowego przyjęcia Sarah. Odkąd Anne się przeniosła, Laurze było łatwiej zebrać obie siostry w swoim salonie i ćwiczyć choreografię do dwóch piosenek z *Amerykanina w Paryżu*, co pomagało nie myśleć o nieobecności Jake'a.

Anne, najbardziej wysportowana i giętka, przejęła rolę Gene'a Kelly'ego w *I Got Rhythm*. Wciąż zaskakująco dobrze stepowała – nie zapomniała pobieranych w dzieciństwie lekcji.

Laura zgodziła się wesprzeć je wokalnie, ale odmówiła tańca. Za to Elly zdaniem Laury również niezłe stepowała. Elly i Anne układały trudniejsze fragmenty choreografii, upraszczając je, a Laura kibicowała z boku. Jakimś cudem Elly i Kennedy udało się znaleźć lniane spodnie, biały sweter i białą czapkę z daszkiem, które Anne miała włożyć do *I Got Rhythm*. Kennedy miała przebrać się za francuską uczennicę z warkoczykami. Zdobyły nawet marynarki z szerokimi klapami w stylu lat pięćdziesiątych dla Kennedy, Elly i Anne do kawałka 'S *Wonderful* oraz stare francuskie plakaty mające służyć za tło.

Anne poprosiła siostrzenicę o pomoc w znalezieniu idealnego przepisu na tort w kształcie wieży Eiffla. Anne musiała do niego upiec czekoladowe płaskie biszkopty i pociąć je w coraz większe kwadraty, które później ułoży w kształt wieży; każdy miał leżeć na cienkiej warstwie kremu.

– Prawdziwa wieża Eiffla jest szara, więc zrobię szary lukier ze srebrnym kremem maślanym do przekładania i pokryję całe ciasto – opowiadała podekscytowana Anne. – Możemy też zrobić odcisnięty wzór wieży. A na czubku położę cylinder.

W tym czasie, przez cały tydzień, na zmianę odwiedzały matkę, by upewnić się, że odpoczywa i dobrze się odżywia.

– To dziwne, ale ona wydaje się naprawdę szczęśliwa – zaanonsowała Elly Laurze, gdy wróciła od Sarah w poniedziałek. – I Flossie często u niej bywa.

– Tak, no i ten facet, z którym się spotyka, Gil, też ją odwiedza – dodała Anne, kiedy po skończonej zmianie w kuchni odwiedziła matkę we wtorkowe popołudnie. – On i Flossie pili z mamą herbatę, kiedy przyszłam. A Flossie przyniosła ze sobą Lucy.

Siedzieli przy kolacji w kuchni Laury. Brakowało tylko Kennedy, która zapisała się – ku zadowoleniu Laury – do szkolnego chóru i wieczorami często zostawała na próbach przed świątecznym koncertem.

– Może jednak Flossie dobrze zrobiła, mówiąc nam o wszystkim. – Laura postawiła na stole garnek z chili. – Mama przez te wszystkie lata tak jakby się przed nami ukrywała, a teraz się ujawniła. Tak jak Jake – dodała ze śmiechem, który, miała nadzieję, nie wydał się zbyt gorzki.

– A może wylew był jak pobudka, przypomniał jej, że nie jest nieśmiertelna – wtrącił Ryder. – Wasza mama wszystko docenia teraz bardziej.

– Myślicie, że jest gotowa porozmawiać o uroczystości pogrzebowej taty? – zapytała Anne.

– Nie wiem – odparła Elly. – Kiedy wczoraj przy niej o tym wspomniałam, zmyła mi głowę. Szczerze mówiąc, chyba się boi. Nie jest emocjonalnie gotowa, żeby ostatecznie się pożegnać.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Laura. – Jaka to różnica? Przecież widać, że zdecydowała się żyć dalej.

– Być może – powiedziała Elly. – Albo tylko udaje. Wciąż nie do końca wiem, co czuje.

– Zapytam – zdecydowała Laura. – Jutro do niej idę.

Zadzwoiła do matki z samego rana, gdy tylko skończyła oporządzać konie i czyścić boksy, i uprzedziła o swojej wizycie.

– Ależ to nie jest konieczne, naprawdę – powiedziała Sarah. – Na pewno masz teraz dużo na głowie, kochana, z powodu separacji. Nie chcę ci przysparzać kłopotów.

– Mamo, to żaden problem – zaprotestowała Laura. – Jake i tak niespecjalnie mi tu z czymkolwiek pomagał.

Chciała też dodać, że jej życie jest pod pewnymi względami nawet łatwiejsze i szczęśliwsze bez Jake'a, szczególnie gdy obok są siostry, ale tego nie zrobiła. Wciąż nie zdradziła matce, dlaczego tak naprawdę się rozstali, i nie była pewna, czy znajdzie kiedyś odwagę, by wyznać Sarah, że Jake jest gejem.

– A co z przyjęciem? – zapytała Laura. – Na pewno dasz radę?

– Pewnie – odparła Sarah z zaskakującą nonszalancją. – Nie macie się o co martwić. Skoro wszystkiego dopilnujecie, będzie dobrze.

Dziwnie to słyszeć, pomyślała Laura, rozłączając się i wkładając kurtkę. To było zupełnie nie w stylu Sarah oddawać kontrolę nad jakąkolwiek sprawą. A już z pewnością nie nad własnym przyjęciem urodzinowym, które zawsze planowała na wiele tygodni naprzód.

Poprzedniego wieczoru przeszła nawałnica. Choć poranek zrobił się pogodny, wszędzie widać było skutki ulewy i wiatru: połamane gałęzie, liście, kawałki kory. Na trawnik spadło nawet kilka dachówek, zauważyła Laura. Dziwne, że w nocy nic nie słyszała.

Myśl o tym, że musi samotnie przetrwać zimę – odgarniać śnieg, rozpalać piec, odwoływać lekcje, bo drogi będą nieprzejezdne – na nowo wzbudziła niepokój. Przecież nie jesteś sama, przypomniała sobie: Anne tu zostanie. I Kennedy. I może Tom.

Minęła kępę trzciny. O tej porze roku były wysokie i pożółkłe, na czubkach miały gęste kępki. W dzieciństwie nazywały je z siostrami „lwimi ogonami”

i próbowały – ku przerażeniu matki – wnosić je do hotelu. Laura uśmiechnęła się, zrobiła zdjęcie i przesłała je do będącego w biurze Toma.

Był taki uroczy, dwa razy przyszedł na lunch, ale szanował prośbę Laury, która na razie nie chciała się angażować. Pragnęła dać Kennedy trochę czasu, by córka przyzwyczaiła się do kursowania między domem a Jakiem, zanim przedstawi ją Tomowi.

– Jest za wcześnie na coś więcej – powiedziała poprzedniego dnia Laura, po lunchu odprowadzając Toma do auta. – Przepraszam. Mam nadzieję, że cię nie rozczarowałam.

– W porządku – odparł, a potem się uśmiechnął i poruszał brwiami. – Z chęcią poczekam. Te zdjęcia, które mi wysłałaś, wystarczą, by zaparowały mi okulary, i dają cierpliwość do czekania na lata.

W hotelu było spokojnie, ale w recepcji stała na warcie Rhonda w obowiązkowym mundurku, białej bluzce i spódnicy.

– Chciałam tylko przywitać się z mamą – odezwała się Laura, obciągając polar i nagle uświadamiając sobie, że śmierdzi stajnią.

– Jest u siebie w mieszkaniu – odparła Rhonda. – Tylko nie męcz jej za bardzo przed imprezą!

Od czasu wylewu Rhonda, Betty i pozostali personel bardzo troszczyli się o Sarah. Oni też są jej rodziną, pomyślała Laura.

– Dzięki, że się nią zajmujecie, Rhondo – powiedziała z uśmiechem.

Do mieszkania matki można było dojść z hotelu, ale zamiast iść długim korytarzem do północnego skrzydła, Laura wyszła z budynku i obeszła go, by zapukać do drzwi od zewnątrz. Matka wołała, by goście tędy wchodzili.

Ta część budynku latem znajdowała się w cieniu brzozy, których rósł tu gęsty zagajnik. Teraz, gdy opadły liście, brzozy odbijały się bielą od głęboko niebieskiego nieba niczym blade ramiona płynące przez przestrzeń. Laura przypomniała sobie, jak z siostrami odzierały brzozową korę, udając, że są indiańskimi dziewczycami wypisującymi do siebie tajemne wiadomości.

Dziwne, że te ulotne wspomnienia z dzieciństwa wracały teraz coraz częściej po przyjeździe Anne i Elly, jakby ich fizyczna obecność pozwoliła Laurze otworzyć dawno zamknięte drzwi. Zaskakujące, że wiele drzwi otwierało się na szczęśliwe chwile.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, kiedy nacisnęła klamkę, więc Laura zawołała: „To ja, mamoo!”, i weszła do salonu.

Matka leżała na kanapie, jej gęste siwe włosy były rozpuszczone. Miała na sobie złoty satynowy szlafrok, a pod nim białą piżamę i białe futrzane klapki. Wyglądała jak zadowolony śpiący kot mrużący w słońcu.

– Wow – odezwała się Laura. – Dobrze wyglądasz, mamoo. – Rozejrzała się po pokoju i przez otwarte drzwi do sypialni zobaczyła niepościelone łóżko. Szybko

odwróciła wzrok, zastanawiając się, czy matka naprawdę zabawiała tutaj wuja Rhondy czymś więcej niż tylko herbatą. Przypuszczała, że odpowiedź byłaby twierdząca.

Na widok miny Laury kącik ust Sarah lekko drgnął.

– Powinnam dobrze wyglądać. Wszyscy tak się o mnie troszczą.

– Cieszę się. – Laura ze zdziwieniem poczuła, jak fala gniewu przepływa jej po kręgosłupie i nie pozwala usiąść. Skąd wzięło się to wrażenie? Przecież tak bardzo się starała wyzbyć gniewu wobec Jake’a, ojca i wobec matki również. Ale on wciąż w niej tkwił.

Zaczęła chodzić po pokoju.

– Strasznie było widzieć cię w szpitalu. – Zatrzymała się i spojrzała na matkę. – Ale i tak gorsze były pewne rzeczy, o których powiedziała nam Flossie.

Sarah uniosła wzrok i gwałtownie zamrugała.

– Zdajesz się bardzo rozgniewana, Lauro.

– Bo jestem! I co w tym dziwnego? – Laura zdała sobie sprawę, że trzyma ręce zaciśnięte w pięści przy bokach, więc puściła je i próbowała oddychać spokojniej. – Tak wiele przed nami ukrywałaś! Nigdy nie powiedziałaś, skąd naprawdę pochodzisz! I że masz siostrę! Nigdy nie wspomniałaś, że jesteś w kontakcie z ojcem, nawet gdy pytałyśmy cię, gdzie on jest. Pozwoliłaś nam wierzyć, że nie żyje!

– No i nie żyje – przyznała cicho Sarah i zaczęła szlochać, pochylając szczupłe ramiona.

– Och, mamó. – Laura próbowała trzymać się swojego gniewu, ale widok matki kruchej, skulonej, ze szczupłymi kostkami, wystającym na karku kręgosłupem, teraz widocznym przy schylonej głowie, sprawił, że coś ścisnęło ją w gardle. Matka była starą kobietą. Starą kobietą, która zrobiła w życiu głupie rzeczy.

Starą kobietą, ale jedyną matką, jaką Laura kiedykolwiek będzie miała.

– No przestań, mamó, nie płacz – powiedziała i usiadła na kanapie, przesuwając stopy Sarah, by zrobić sobie miejsce.

– Jak mam nie płakać, skoro tak na mnie wrzeszczysz? – Matka uniosła głowę. Tusz do rzęs spływał jej po policzkach czarnymi smugami.

To były słowa tak podobne do tych, które mogłaby wypowiedzieć Kennedy, że Laura niemal się roześmiała.

– Przepraszam, mamó. No dalej. Wytrzyj oczy.

Podawała jej chusteczkę z pudełka na stole. Może tak właśnie jest w życiu, pomyślała Laura: matka cię wychowuje, a potem ty musisz się nią zająć. Proste.

Sarah otarła oczy.

– Pewnie marnie wyglądam.

– Wcale nie. Wyglądasz, jakbyś płakała, i tyle. Ale wciąż jesteś sobą.

– Aha. Cudownie. – Sarah zwinęła chusteczkę w kulkę i pociągając nosem, wepchnęła ją do kieszeni.

– A więc o co chodzi? Naprawdę płakałaś, bo na ciebie nakrzyczałam? Czy to z powodu taty?

– Chyba jedno i drugie, ale bardziej z jego powodu. On i ja tak wszystko skomplikowaliśmy. Ale wiesz, co w tym jest najbardziej szalone?

Laura pokręciła głową.

– Przez cały ten czas, kiedy myślałam, że jestem niezależna, tak naprawdę czekałam, aż Neil wróci do domu, ale nie wiedziałam tego aż do dziś.

– Bo tak bardzo go kochałaś?

Matka wzruszyła ramionami.

– Miłość też pewnie była. Ale przede wszystkim chciałam mu udowodnić, że się mylił, rozumiesz? Czekałam na dzień, kiedy twój ojciec wejdzie do hotelu i powie: „Wow. Dokonała tego. Stworzyła tu pałac”. Chciałam wepchnąć mu te słowa do gardła, żeby się udławił tymi okropieństwami, które mówił – że poniosę porażkę, bo ten hotel to przekleństwo Bradfordów.

Laura się uśmiechnęła.

– Powiedziałaby tak. To miejsce jest piękne. I wszystkiego dokonałaś sama.

– Z waszą pomocą, oczywiście. Was trzech. Nie poradziłabym sobie bez was, dziewczynki.

– Bez dzieci mogłoby być ci łatwiej.

– Inaczej. Ale niekoniecznie łatwiej. Oczywiście ja też dałam plamę. Wiem o tym. Ale nie potrafiłam się wypłatać z tej sieci.

– Co masz na myśli?

Sarah westchnęła i w końcu uniosła wzrok, powoli odwracając głowę w stronę Laury. To było denerwujące. Jakby obserwować ożywianą lalkę.

– To prawda, co powiedziała wam Flossie. Okłamywałam waszego ojca i jego rodzinę we wszystkich sprawach: gdy chodziło o moją rodzinę, wykształcenie, związki z mężczyznami. Ojciec naprawdę myślał, że byłam dziewczynką, uwierzysz?

Laura nie mogła się nie zaśmiać.

– Żartujesz.

Sarah wyglądała na obrażoną.

– To nie aż tak dziwne. W tamtych czasach później traciło się dziewictwo. I pamiętaj, Neil sądził, że jestem dziesięć lat młodsza. Więc byłoby to wiarygodne. To właśnie odkryłam, jeśli chodzi o kłamstwa: nieprawda musi być równie wiarygodna co prawda.

– Zapamiętam sobie. – Laura przewróciła oczami.

– Dlatego właśnie Jake tak długo nas nabierał – powiedziała nagle Sarah, nieco się wyprostowawszy. – Wszystkie jego kłamstwa były wiarygodne: pożyczki

na studia dentystyczne, koszty ubezpieczenia, koszty prowadzenia gabinetu. Dlatego nigdy się nie domyśliłyśmy, o co naprawdę chodzi. Powinnam była domyślić się, że jest gejem. Tak ładnie się ubierał i w ogóle.

Laura na moment zasłoniła twarz dłonią.

– A więc wiesz.

– Domyśliłam się. – Matka spojrzała surowo. – Wiem też, że byś mi nie powiedziała. Ale miałam czas się zastanowić, skoro powiedziałaś mi o separacji. To, co ci zrobił, jest niewybaczalne. Ale pewnie musisz zachowywać się wobec niego przyzwoicie dla dobra Kennedy. Tak się teraz rozwodzą ludzie. Mam nadzieję, że znalazłaś dobrego prawnika.

– Do tej części jeszcze nie doszliśmy. Wciąż próbujemy rozmawiać.

– Cóż, uwierz, że lepiej mieć prawnika wcześniej niż później – odparła Sarah. – Umówię cię na spotkanie. Znam jednego.

– Dobrze. Dziękuję. – Laura spojrzała pytająco. – Jesteś gotowa na uroczystość pogrzebową taty? Elly chciałyby ją zorganizować przed powrotem do Kalifornii.

– Jednak wraca?

Laura skinęła głową.

– Ale Ryder mówi, że spróbują tam pomieszkać przez rok, a jeśli Elly będzie chciała przeprowadzić się na wschód, przyjedzie z nią.

Sarah się uśmiechnęła.

– Wiking. Dobrze, że się go trzyma.

– Tak, ja też go lubię. – Laura poklepała stopę matki. – No więc co z uroczystością?

– Załatwcie to. Ja przyjdę. Wszystko jedno kiedy. Ale dopiero po moim przyjęciu.

– Dobrze. – Laura chciała wstać, jednak matka wyciągnęła rękę i złapała ją za nadgarstek kościstymi palcami.

– Zaczekaj. Skoro mówimy o kłamstwach, zostało jeszcze kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć. Tego najbardziej żałuję.

– Dobrze, słucham. – Laura poczuła, że znów się spina.

– Po pierwsze, przepraszam, że nigdy nie powiedziałam ci o swoich problemach. – Sarah odwróciła wzrok i głośno przełknęła ślinę. Jej blade czoło lśniło w porannym słońcu, w którym delikatne rysy się wyostrzały.

– Twoich problemach? – Laura nie rozumiała, o co chodzi.

– Mojej depresji, załamaniu, jakkolwiek to nazwiesz. – Wzruszyła lekko ramionami. – Przez całe życie musiałam walczyć z tym smutkiem. Śpiewanie pomagało, ale bardziej pomagały lekarstwa. – Znów spojrzała na córkę, tym razem prosto w jej oczy. – Martwię się, że możesz mieć te same problemy. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak. – Laura splotła dłonie na dżinsach i skinęła głową.

– Nie chcę, żebyś cierpiała tak jak ja. Bo można sobie pomóc. Nie ma nic złego w proszeniu o pomoc. – Matka mówiła już bardziej zdecydowanie. – Wierz lub nie, ale to wasza ciotka Flossie swoją miłością do natury i zerowym makijażem, swoim antytym i antytamtym, to właśnie ona pomogła mi podjąć decyzję, że nie ma nic złego w zażywaniu tabletek, gdy okazało się, że pomagają. Dlatego mówię ci, jeśli potrzebujesz pomocy, powiedz mi, a ja dopilnuję, byś ją otrzymała. Nie żartuję.

Zaskoczona Laura znów sięgnęła po dłoń matki, pragnąc dotyku i chcąc wyrazić wdzięczność, którą czuła, ale nie potrafiła wyrazić.

– W porządku.

Sarah skinęła głową i znów się ożywiła.

– Bardzo dobrze.

– A czego jeszcze żałujesz? Użyłaś liczby mnogiej.

– Jest więcej rzeczy. Dużo więcej. Ale najbardziej żałuję, że skłamałam na temat mojej siostry – odparła cicho Sarah. – Joanie. Żałuję, że nie utrzymywałam z nią kontaktu. – W głosie matki Laura usłyszała tęsknotę, której do tej pory nie znała.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Och, z wielu różnych powodów. Żałuję, że nie mogłam patrzeć, jak Joanie dorasta. Gdy ją widziałam ostatni raz, miała dziewiętnaście lat. Teraz jest matką i wdową. Pewnie również babcią. I żałuję, że jej nie pomogłam. Finansowo nie musiałam, wyszła za bogatego człowieka, ale Joanie była urocza i zawsze widziała w ludziach dobro. Teraz patrzę na was, dziewczynki, i zastanawiam się, jakby to było całe życie mieć siostrę.

– Masz Flossie – powiedziała Laura, nie znajdując innego sposobu na pocieszenie matki. To była prawda: utrata siostry musiała być okropna. To jak stracić część siebie.

– Tak. Flossie jest jak wrzód wiadomo gdzie, ale to mój wrzód. – Sarah uśmiechnęła się i mocniej ścisnęła dłoń Laury. Miała chłodne, szczupłe, lecz silne palce. – Przede wszystkim żałuję, że nie mogłam być tak dobra dla mojej młodszej siostry, jak ty jesteś dla swoich.

– Och, mamo.

Potem siedziały w milczeniu na kanapie, patrząc, jak brzozy za oknem kołyszą się na wietrze.

Sarah zapewniała rozrywkę na wielu imprezach, najpierw jako piosenkarka, a potem jako właścicielka Hotelu nad Zatoką Szaleńców, a córki śpiewały w chórkach. Jednak od chwili, kiedy rozpoczęło się jej urodzinowe przyjęcie, zaskoczyło ją, jak wielki mają talent.

Zasługa matki, mówili goście.

– Cóż, urodziny ma się tylko raz w roku, a moje córeczki upierały się, by wystąpić na tym przyjęciu! – odpowiadała Sarah, uśmiechając się z wdziękiem do każdego z obecnych.

Jedynie ta wścibska przewodnicząca Stowarzyszenia Sztuki Rose skomentowała wiek jubilatki.

– Sześćdziesiąt pięć, proszę, proszę! – powiedziała. – Myślałaś kiedyś, że dożyjesz takiego wieku, gdy miałaś tyle lat co one? – Skinęła głową na córki Sarah, które na szczęście nie słyszały, co mówi.

Sarah zaśmiała się i ściszyła głos do udawanego szeptu.

– Cóż na to poradzić? Wiek to tylko liczba. Masz tyle lat, na ile się czujesz. A ty, jak się czujesz, Rose? Nie wyglądasz na więcej niż sześćdziesiątkę! Na pewno używasz jakiegoś cudownego kosmetyku.

Elly przemieniła jadalnię w paryskie bistro, z kafejkami wychodzącymi na ulicę. Anne pięknie zaśpiewała i zatańczyła do *I Got Rhythm* razem z Kennedy, wszystkie razem wykonały jeszcze *'S Wonderful*. Wyglądały cudownie w za dużych garniturach! Szczególnie głos Elly brzmiał czysto i idealnie jak zawsze. Po każdej piosence Sarah z przyjemnością biła brawo.

Kolacja również była doskonała. Pieczona jagnięcina z sosem miętowym, piure ziemniaczane i fasolka szparagowa. Jej ulubione dania, perfekcyjnie przygotowane. No i tort! Anne sama go upiekła – miał kształt wieży Eiffla! Kiedy go wwieziono na specjalnym wózku, goście wiwatowali, i nic dziwnego. Jej córka była przecież mistrzynią cukiernictwa!

Sarah pomyślała życzenie – nigdy go nie zdradzi – i zdmuchnęła świece. Zmęczyło ją to, ale było warto, gdy usłyszała aplauz. Potem zjadła swój kawałek i kilka kęsów porcji Gila. Dziewczynki zdawały się zaskoczone jego obecnością, nie znajdował się na pierwszej liście gości, ale te zaproszenia wysyłało, jeszcze zanim Sarah nabrała pewności, że chce, by mężczyzna się pojawił – a zresztą wytłumaczyła to, mówiąc, że jest osobą towarzyszącą Rhondy.

Nawet Flossie była grzeczna. Włożyła czyste czarne spodnie i białą bluzkę oraz zieloną tweedową kamizelkę, w której wyglądała jak krasnolud.

Zespół zaczął grać po kolacji. Wokalistką była znajoma Rhondy, a ktoś – Elly? Laura? – poprosił, by zagrali ulubione standardy jazzowe Sarah. Ona zaś przytupywała, patrząc, jak Laura idzie na parkiet ze swoim nowym facetem, którego imię Sarah już zapomniała. Wydawali się do siebie pasować. Nie był wysoki ani specjalnie przystojny, ale czuło się w nim spokój i siłę, sprawiał też, że Laura się uśmiechała.

Potem Gil poprosił Sarah do tańca. Chciała odmówić, bo kto by pomyślał, że mężczyzna takiej budowy może nie przypominać na parkiecie byczka, tak jak w życiu? W dodatku grali właśnie *I've Got the World on a String*, jej najulubieńszą piosenkę i pierwszą, do której kiedyś tańczyła z Neilem. Tańczyć do niej z kimś

innym – to złamałoby jej serce.

I wtedy wszystko wróciło – jak Neil wziął ją w ramiona, poruszał się po parkiecie, w tej samej jadalni, tak płynnie, jakby tańczyli razem całe życie, choć spotkali się wtedy po raz pierwszy. Wcześniej zaśpiewała mu tę piosenkę ze sceny po tym, jak pomógł jej rozplątać przewód mikrofonu, a następnie on poprosił orkiestrę, by zagrała wersję instrumentalną, chciał bowiem śpiewać z nią, gdy tańczyli.

Nagle w oczach Sarah pojawiły się łzy, a przecież nie miała chusteczki. Nie wiedziała nawet, gdzie się podziała jej torebka. Zaczęła panikować, że rozmaże się jej makijaż i będzie musiała chlipać na własnym cudownym przyjęciu. Dziewczynki się zmartwiają, gdy zobaczą, że jest nieszczęśliwa. Nie chciała im tego robić, nie po tych wszystkich sprawach, które ostatnio na nie zrzuciła. Nie, nie tylko ostatnio. Od dzieciństwa córki robiły wszystko, by ją zadowolić. Nadszedł czas, by choć raz to ona sprawiła im przyjemność.

Uśmiechnęła się do Gila, który ofiarował jej chusteczkę. Sarah otarła oczy.

– Chyba jednak chcę zatańczyć – powiedziała, a on zaprowadził ją na parkiet.

Wszyscy zebrali się wokół, by na nich patrzeć, i klaskali, jakby Sarah i Gil byli młodzi, zakochani i mieli całe życie przed sobą. Sarah podśpiewywała, a Gil powiedział:

– Śpiewasz jak anioł – dzięki czemu przypomniała sobie, że muzyka pomagała jej wyrazić, co czuje, nawet wtedy, gdy słowa zawodziły.

– Obiecasz mi, że nie umrę na szlaku?
 – Jezu, Elly. – Laura się zaśmiała. – Jeszcze nikt nie umarł, jadąc ze mną.
 – Jasne, a na Generale jeździ się jak na kanapie! – żartowała Anne. – Prawda, Lauro? – I obie się zaśmiały.

– Hej, wiecie, co jest bardziej irytujące niż końskie żarty? – wtrąciła się Elly.
 – Słuchanie, jak wyjecie we dwie niczym hieny na cracku.

Na te słowa Laura i Anne wybuchnęły jeszcze głośniejszym śmiechem. W końcu i Elly dołączyła, czekając, aż Laura skończy zakładać więzadło i siodło na przeznaczonego jej konia, i próbując się nie martwić, że zwierzę jest wielkie i czarne niczym ziejąca ogniem diabelska bestia.

Laura podprowadziła konia do podestu i pomogła Elly wsiąść. Wtedy Elly odkryła, że wsiadanie na konia jest trudniejsze, niż się zdaje. Rzuciła się na siodło zbyt energicznie i pewnie ześlizgnęłaby się na drugą stronę, gdyby Laura nie chwyciła jej za łydkę.

– Spokojnie, kowbojko – powiedziała siostra. – Włóż stopy w strzemiona. Nie puszczaj lęku, to nic ci nie będzie.

– A co to jest lęk? – Elly rozejrzała się wokół. Tylko raz w życiu siedziała na koniu, na turystycznym ranczu w Kalifornii (jeden z reżyserów wpadł na kiepski pomysł integracji zespołu w firmie producenckiej), ale tamto siodło przypominało raczej fotel, wysoki z przodu i z tyłu, więc miała się czego trzymać. To zaś było angielskie, tyle jeszcze wiedziała, i prawie płaskie.

– Lęk jest z przodu siodła – podpowiedziała Anne.

– Aha. – Elly złapała lęk całą ręką. Nie ma mowy, nie puści.

Wycieczka w niedzielny poranek to nie był jej pomysł. Czowała się zmęczona po urodzinowym przyjęciu matki poprzedniego wieczoru i chętnie spędziłaby ten dzień rozwalona na kanapie przed kominkiem Laury, patrząc, jak mała Lucy przeżuwa niedzielną gazetę, a gdy dom by opustoszał, zaciągnęłaby Rydera z powrotem do łóżka. Ale w następną niedzielę wracali razem do Kalifornii i dzisiejsza była ostatnim wolnym dniem dla wszystkich siostr – Laura i Anne pracowały w ciągu tygodnia, a w sobotę planowały rozrzucenie prochów ojca.

Dwie oferty pracy, które omawiała przez telefon, miały zakończyć się spotkaniami z producentami – spot telewizyjny i teledysk z jakimś nowym australijskim talentem. Ryder przekonał Elly, że powinna je sprawdzić. Zapewniał ją także, że rozważy przeprowadzkę do Nowej Anglii, jeśli Elly nie zechce zostać w Los Angeles.

– Dlaczego miałbyś chcieć to zrobić? – zapytała go wtedy zaskoczona.

– W Massachusetts macie dużo więcej wody, niż jest w Kalifornii – odparł Ryder. – I dużo więcej siostr. Za to nie ma trzęsień ziemi i pożarów.

– Ale mamy zadymki. Zapominasz o śniegu.

– Polubiłbym śnieg, chyba – powiedział. – Mogłabyś nauczyć mnie, jak robić w nim aniołki. Albo budować igloo. I z pewnością znalazłbym jakąś robotę w okolicach Bostonu. To byłby dla nas dobry ruch, prawda?

– Tak, pewnie – odparła. – Zobaczymy, ile z tego entuzjazmu zachowasz dla Massachusetts, kiedy przywiozę cię do domu na Boże Narodzenie i będziesz musiał w adidasach przekopywać się przez dwumetrową zaspę.

W końcu Laura usadziła Elly na Generale i wytłumaczyła, jak używać lejców. Wydawało się to łatwe – ciągniesz w prawo, koń skręca w tym kierunku. To samo z lewej. Łatwiejsze niż jazda samochodem.

Ruszyły wzdłuż drogi, prowadząc konie gęsiego poboczem, bo trasa numer 127 miała tylko dwa pasy. Elly tak naprawdę w ogóle nie musiała kierować Generałem, zwierzak szedł z nosem prawie schowanym w ogonie wierzchowca Anne.

Anne jechała na koniu należącym do jednego z klientów, klaczy o tajemniczym imieniu Cadno. Laura wyjaśniła, że po walijsku to znaczy „lis”, co miało sens, bo zwierzę było lśniącej rdzawej maści. Star, koń Laury, miał ładną barwę mahoni, a jego sierść lśniła jak wypolerowane drewno. Elly cieszyła się, że nie musi na nim jechać – zwierzę podskakiwało jak na sprężynach. Elly nigdy nie uczyła się jeździć konno, bo zajmowała się lekcjami śpiewu i tańca. Anne przez jakiś czas jeździła, za to nigdy nie trenowała tak jak Laura, i wolała jeździć trail. Elly widziała kiedyś młodszą siostrę siedzącą tyłem na koniu. Innym razem stała na końskim grzbiecie na oklep, a zwierzę kłusowało po ringu. Teraz Elly próbowała naśladować zrelaksowaną postawę siostry w siodle. Ale w przeciwieństwie do Anne, która darowała sobie strzemiona (mimo napomnień Laury), Elly nie wypuszczała stóp z metalowych obręczy.

Jechały i rozmawiały o przyjęciu. Zgodnie przyznały, że poszło lepiej, niż się spodziewały, i matka wydawała się szczęśliwa. Nie mogły też nie wspomnieć, jak uroczo i dziwnie zarazem było obserwować Sarah tańczącą z Gilem pod koniec imprezy.

– Rany, wyglądali jak jedna z tych starych par w telewizyjnej reklamie viagry – powiedziała Laura. – Przecież ten facet nie spuszczał z niej wzroku!

– Proszę, nie każ mi sobie tego znowu wyobrażać – odezwała się Elly. Odwróciła się, by spojrzeć na Laurę, i położyła rękę na szerokim czarnym zadzie Generała. Ten koń naprawdę był jak kanapa. Kołysząca się kanapa. Ktoś powinien taką wynaleźć.

– Tak, a kiedy odstawiłam dziś rano Lucy do Flossie, ciotka powiedziała mi, że Gil spędził tę noc u mamy – dodała Anne.

– Wow – rzuciła tylko Elly, kiedy skręcały na szlak wiodący na czubek Halibut Point. Z założenia odrzuciła pomysł wycieczki do Dogtown, nawet pod

opieką siostr. – Chyba nie myślicie, że to takie ruchanko na pocieszenie? No bo mama miała wylew i jest wdową, a żona Gila nie żyje, to wręcz idealny scenariusz filmowy, co nie? Albo powieść Nicholasa Sparksa dla seniorów.

– Ruchanko na pocieszenie? Elly, weeeź! – jęknęła Anne.

– Ale kto kogo miałby tutaj pocieszać? – zapytała Laura.

– Raczej mama Gila – odparła Elly. – Żal jej go, bo jest wdowcem. A faceci nie wiedzą, co robić, kiedy żony odchodzą albo umierają.

– A może to Gil współczuje mamie, bo miała parszywe dzieciństwo, a potem jej mąż odszedł i umarł, nie zdążywszy wrócić do domu – dywagowała Anne.

– Tak czy owak, idealnie do siebie pasują – podsumowała Laura.

– A co z sobotą? Myślicie, że mama przyjdzie, gdy będziemy rozrzucać prochy taty? – zapytała Elly.

– Mnie powiedziała, że przyjdzie – odparła Laura. – A Flossie obiecała, że tego dopilnuje. Ale to trochę dziwne, że nie możemy poczekać z uroczystością do lata, choć chyba tata wolałby, żebyśmy teraz rozrzuciły jego prochy, a nie trzymały go w szafie tyle czasu.

Roześmiały się zgodnie. Elly nieco rozluźniła plecy, ale wciąż mocno trzymała lejce, kiedy robiły kółko w stronę kamieniołomu Babsona i porozrzucanych tam wielkich kawałów granitu wielkości fortepianu.

Minęły wieżę pożarową, a potem ścieżką zjechały w stronę wody. Tutaj roślinność składała się głównie z bagnistych traw i niskich krzewów. Elly próbowała sobie przypomnieć nazwy, których uczył je ojciec – świdośliwa, dereń, woskownica, kolcorośl – i żałowała, że nie pamięta, co jest czym.

Dzień był pogodny, ale zimniejszy niż poprzedni tydzień. Wiatr wiał coraz mocniej, gdy tylko wyjechały zza ochroniających je drzew. Morze rozbijało się o skały poniżej i trzeba było krzyczeć, by się usłyszeć. Siostry zatrzymały na kilka minut konie, by obserwować, jak blisko brzegu żerują ptaki, głównie perkozy i nury.

Elly opowiadała o szansach na zlecenia w Los Angeles, ale oczywiście chciały tylko słuchać o Ryderze. Zaczęły też żartować z Laury i Toma. Elly chciała zapytać Anne o Sebastiana – on z pewnością znałby nazwy tych głupich drzewek – ale nie miała odwagi. Na przyjęciu urodzinowym Sarah nigdzie nie widziała Sebastiana, choć jego siostra z mężem przyjechali.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Elly i Ryder szykowali się do łóżka, zapytała go, dlaczego Sebastian się nie pojawił, ale Ryder tylko wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Myślałem, że przyjdzie. Gadaliśmy o tym. Ale ten koleś to enigma. Może twojej siostrze lepiej będzie bez niego.

Anne w trakcie przyjęcia albo była zbyt zajęta, by dostrzec nieobecność Sebastiana, albo zaakceptowała fakt, że nie chce się z nią wiązać. Tak czy owak, Ryder zapewne miał rację.

– Hej, Elly! – zawołała z tyłu Laura. – Gotowa wcisnąć gaz do dechy?

– Żartujesz sobie? Nie ma mowy. – Elly poklepała konia po szyi. – Generał i ja z radością podrepczemy. Popatrzymy, skoro chcecie poszaleć i się ścigać.

– Z końmi to tak nie działa – odparła Laura. – To zwierzęta stadne. Jeśli pozwolimy naszym ruszyć, Generał będzie chciał popędzić za nimi.

– No dalej, Elly! – odezwała się Anne. – Będzie fajnie. I co się może zdarzyć? Będziesz jechała między nami. Generał nie zboczy nie wiadomo gdzie.

– Momencik – odparła Elly. – Pozwólcie mi pomyśleć.

Sprzeczały się jeszcze, jadąc wzdłuż Ipswich Bay, gdzie było tak pogodnie, że widziały Isles of Shoals przy wybrzeżu New Hampshire, a nawet Mount Agamenticus w Maine. W końcu, kiedy oddalały się od oceanu ścieżką prowadzącą do Gott Avenue, Elly pękła.

– Ale tylko przez chwilę. A jeśli usłyszycie krzyk, hamujcie.

– Jasne – rzuciła Laura. – Jedź, Anne. Zostanę z tyłu i dopilnuję, żeby ona nie spadła.

– Rany, dzięki – obruszyła się Elly. – Od razu czuję się lepiej, wiedząc, że będziesz galopować tuż za mną. Idealne usytuowanie, żebyście mnie zdeptały.

Anne się roześmiała.

– Wyluzuj, Elly. Koń Laury cię nie zdepcze. Konie nie lubią sobie brudzić kopyt. I na pewno ci się spodoba! – I już jej nie było. Pochyliła się w przód, po czym popędziła konia, przyciskając mu nogi do boków.

Generał wydawał się równie zaskoczony: ze zdziwieniem podniósł głowę, widząc odjeżdżającą szybko Anne. A potem, zanim Elly zdążyła postawą i nogami skopiować Anne, jej czarny koń ruszył nagle z kopyta. Elly zaśmiała się, choć oczy zaczęły ją szczypać od wiatru. To było niesamowite uczucie. Koń biegł tak lekko, jakby unosił się nad skalistą ścieżką. A więc dlatego siostry tak kochały jeździć.

– Jasna cholera, fajowo! – zawołała do Laury, odwracając głowę. Przynajmniej zdawało się jej, że siostra tam jest, słyszała bowiem tylko tętent kopyt Generała pod sobą.

Zaczęli doganiać konia Anne. Wtedy Generał spuścił gwałtownie głowę, a choć Elly bez przerwy ściągała lejce, nie zwalniał z galopu ani na moment. „Prrr! Stop! Stój!”, krzyczała, ale bez skutku. Jakby lejce były przymocowane do betonowego słupa.

– Cholera, on chyba ma wędzidło w zębach! – usłyszała z tyłu krzyk Laury.

– Co to znaczy? – zapiszczała Elly, kiedy Generał nabierał prędkości, mijając konia Anne na wąskim szlaku.

– On z nią ucieka! – usłyszała jeszcze wołającą Anne, gdy ją mijali. – Pewnie wraca do stajni!

Cóż, pomyślała Elly, jeśli to prawda, powinna teraz tylko się mocno trzymać. Generał na pewno się zatrzyma, gdy tylko dotrze do swojego boksu i paszy. Nie

musiała go zawracać w stronę stajni; koń zna drogę. Trzymała więc lejce tylko po to, by się nie majtały, bo ogarnęła ją absurdalna obawa, że koń się w nie zaplącze i przewróci. Wystrzelili ze szlaku na Gott Avenue, która wciąż była gruntową drogą, ale dość szeroką, by Elly nie musiała się bać, że otrze się o drzewo i spadnie. Trzymała się nisko przy końskiej szyi, by zwierzę utrzymało równowagę. Pewnie dlatego dżokeje tak robią, myślała, i wtedy uniosła wzrok i zobaczyła jadącego w ich stronę dżipa.

Usłyszała jeszcze, jak Anne wrzeszczy:

– Auto!

Siostry podjechały z dwóch stron, blokując Generała i zmuszając go, by zjechał na pobocze, a dżip gwałtownie się zatrzymał. Anne wyciągnęła rękę i złapała lejce.

– Zdurniałyście czy co!? – wrzasnął Sebastian, wysiadając z samochodu.

– Wszystko w porządku – odrzyknęła Laura. – Tylko Elly podekscytowała się, że ma własnego konia i w ogóle. Chciała się z nami ścigać do stajni.

Elly chciała rzucić oburzone spojrzenie, ale strach sprzed chwili osłabił ją tak bardzo, że poczuła, jak ześlizguje się z konia. Niestety zapomniała wyjąć stopy ze strzemion, zanim się na to zdecydowała. Ten koń był cholernie wysoki. Została z jedną stopą w strzemionie, a druga zawisała nad ziemią.

– Auć! Auć! – jęczała. – Zaraz się rozerwę, Sebastianie, pomóż!

Teraz Laura i Anne znów rżały ze śmiechu niczym hieny, ale Elly miała to w nosie. Była wdzięczna, kiedy Sebastian uwolnił jej stopę i złapał, kiedy zsuwała się na ziemię.

Elly odwróciła się i spojrzała na siostry.

– Już nigdy, przenigdy nie pojedę z wami, wariatki.

Potem odkuśtykała, zostawiając Sebastiana trzymającego lejce, i dotarła do dżipa, po czym bezsilnie się o niego oparła.

Sebastian odwiózł Elly do stajni. Anne prowadziła Generała – teraz pokornego jak owieczka – mocno ściśniętego między koniem swoim i Laury.

– Strasznie jesteś milcząca – odezwała się Laura. – To dlatego, że spotkałyśmy Sebastiana czy że niemal zabiłyśmy własną siostrę?

Anne się uśmiechnęła.

– Jedno i drugie – odparła. – Ale było warto, choćby po to, żeby zobaczyć to finalne zejście z konia.

– Porozmawiaj z nim – zaproponowała łagodnie Laura. – Powinien wiedzieć, co czujesz.

– Jak mam mu powiedzieć, co czuję, skoro sama tego nie wiem? – zapytała Anne.

– Ależ myślę, że wiesz.

Kilka minut później dotarły na podjazd domu Laury. Anne nie wiedziała, czy

się cieszyć, czy martwić, że dzipa Sebastiana już tutaj nie było.

– Pewnie wyrzucił Elly jak tobolek z praniem – powiedziała. – I pewnie się bał ze mną spotkać.

– Tak, bo jesteś straszna – zażartowała Laura, spoglądając przez grzbiet Generała. Oczy miała przysłonięte jeździeckim kaskiem, ale widać było, że się uśmiecha. – Jedź do niego, Anne – dodała. – Co złego może się stać? Zaboli cię?

– Tak! – odparła Anne.

– Najwyższy czas, żebyś się czegoś nauczyła od starszej siostry, bo w dzieciństwie nigdy mnie nie słuchałaś – ciągnęła Laura. – Nie popełniaj tego samego błędu, który ja popełniłam. Nie czekaj, aż stanie się coś dobrego. Sięgaj po to, czego pragniesz. Powiedz Sebastianowi, co dokładnie czujesz i czego potrzebujesz. Potem wysłuchaj jego. Jeśli po tym sprawy się nie ułożą, to przynajmniej nie dlatego, że mieliście przed sobą tajemnice.

Anne rozważała słowa Laury, kiedy pomagała jej rozsiodłać i oporządzić konie. Myślała dalej, kiedy powoli brała prysznic, a potem wkładała ulubione dzinsy i miękki błękitny sweter, który Laura dała jej z niechcianych przez Kennedy ciuchów.

W końcu zadzwoniła do ciotki Flossie, by dowiedzieć się, czy może zostać z Lucy nieco dłużej, a potem poprosiła Laurę o pożyczenie samochodu.

Siostra z uśmiechem machnęła na pożegnanie.

– Pewnie, dziewczyno. Jedź i dorwij go!

Elly, która właśnie skończyła wygrzewać obolałe członki w gorącej kąpieli, dodała:

– Po powrocie masz zdać pełen raport!

Anne spodziewała się, że gdy przyjedzie do domu Sebastiana, nie ujrzy tam jego samochodu, ale dżip stał zaparkowany z przodu. Na trawniku leżał Mack, który na widok gościa zaszczekał, pomachał ogonem i podszedł się przywitać. Oparł się o nogi Anne i kręcił z radością, kiedy podrapała go za uszami.

– Gdyby tylko twojego pana można było równie łatwo zadowolić, miałabym sprawę z głowy.

– To możliwe, gdybyś i mnie tak drapała za uszami.

Anne uniosła głowę i zobaczyła, że Sebastian zszedł po frontowych schodach. Miał na sobie dzinsy i czarny sweter. Włosy pod wpływem słońca nabrały miedzianej barwy.

– Kogo próbujesz oszukać? – zapytała. – Jesteś zbyt płochliwy, od razu byś zwiął.

Uśmiechnął się, ale w jego orzechowych oczach dostrzegła powagę i cień.

– Z Elly wszystko dobrze? Musiałem pomóc jej wejść do domu.

– Ciągle ratujesz jakąś Bradfordównę – zażartowała Anne. – Pewnie Laura będzie następna.

Sebastian się roześmiał.

– Wątpię. Kobiety Bradfordów raczej nie potrzebują ratunku. Szczególnie jeśli jesteście we trzy. Choć może powinienem powiedzieć „w pięć”, wliczając twoją mamę i Flossie?

– Flossie liczy się nawet za dwie – zauważyła Anne.

– Racja.

– Wracałem od ciebie, kiedy dziś się spotkaliśmy – ciągnął Sebastian. – Było mi głupio, że nie przyszedłem na przyjęcie waszej matki. Chciałem przeprosić.

– Mogłeś zadzwonić.

– Chciałem cię zobaczyć – powiedział, po czym się poprawił: – Musiałem cię zobaczyć, Anne.

Na moment zapadła cisza. Anne słyszała sapanie psa. Mack szczyrzył się psim uśmiechem, spoglądając to na nią, to na Sebastiana, i tak w kółko, aż oboje musieli się roześmiać.

– On chyba próbuje zdecydować, czy wchodzisz do domu czy nie – odezwał się Sebastian.

– A wchodzi? – Anne przestała głaskać psa, ale wciąż nie mogła zdobyć się na spojrzenie Sebastianowi w oczy.

Bo zawsze, gdy na niego patrzyła, chciała wiedzieć wszystko: jak to się stało, że rozdarł dżinsy na kolanie, gdzie kupił zegarek ze skórzanym paskiem noszony na lewym nadgarstku, czy ta blizna na uchu oznacza, że kiedyś było przekłute. A najbardziej na świecie chciała wiedzieć, co by zrobił, gdyby teraz podeszła i przycisnęła swoje ciało do jego.

– Straszny bałagan – mówił Sebastian – tam w domu.

– To miły dom – zaprotestowała bez sensu Anne. Niby dlaczego miał być miły? Bo należał do Sebastiana? – To znaczy ładnie wygląda z zewnątrz. I nie obchodzi mnie bałagan. Pamiętaj, że mieszkam z Lucy. A życie z dzieckiem to życie w bałaganie.

Zaśmiał się.

– W takim razie wejdz. – Poprowadził Anne po schodach na ganek i przytrzymał drzwi, by mogła wejść pierwsza do środka.

Czy raczej weszłaby do środka, gdyby Mack nie wcisnął się między jej nogi, machając ogonem tak energicznie, że Anne poczuła, jak uderza o jej kolana, a potem straciła równowagę. Sebastian złapał ją, zanim uderzyła o framugę, od tyłu obejmując w pasie. A potem nagle zamarł, kiedy przycisnęła się do niego biodrami, słuchając, jak wiatr szumi w sosnach nad nimi.

– Tak próbujesz zaprosić mnie do środka? – odezwała się w końcu Anne.

– Na to wygląda – odparł.

A potem obrócił ją i pocałował. To był przelotny, ale ciepły pocałunek. Potem Sebastian westchnął, kiedy Anne się w niego wtuliła i wyciągnęła ręce, by

objąć jego szyję.

Teraz to ona go pocałowała. Pochyliła się tak mocno do przodu, że spadła ze stopni, ufając, że Sebastian ją złapie. Miała wrażenie chwilowego zawieszenia w powietrzu, gdy ich ciała się spotkały i nastąpiła ta jedna jedyna chwila w czasie i przestrzeni, kiedy wszystko to, co było wcześniej, przestało się liczyć. Ważne było tu i teraz.

Zanim zeszły na plażę, Flossie uparła się, że to ona otworzy pudełko z prochami.

– Jest zaadresowane do mnie – powiedziała, gdy Sarah zdecydowanie oznajmiła, że to ona była żoną Neila. – Nie wolno otwierać cudzej poczty, Sarah. To wbrew prawu.

– A od kiedy przejmujesz się prawem? – zdziwiła się Sarah. – Uczysz jogi bez licencji. Powinni cię aresztować za to, że zachęcasz ludzi, by medytowali, zamiast się do czegoś przydać. – Odsunęła się jednak razem z córkami, kiedy Flossie wyjęła nożyk do listów w kształcie syreny i zaczęła piłować taśmę, jakby kroić szynkę.

W końcu udało się jej otworzyć pudełko. W środku była folia bąbelkowa i mnóstwo plastikowych torebek. Prochy zaczęły się unosić w powietrzu niczym czarna smuga, bo Flossie przecięła także opakowanie.

Wszystkie się odsunęły, jakby pudełko miało eksplodować w tym zagraconym salonie Flossie, co – pomyślała Sarah – byłoby może błogosławieństwem dla całej planety, biorąc pod uwagę zalegające tu tony gratów.

– Dlaczego Neil nie pomyślał przynajmniej o urnie? – zaniepokoiła się Sarah, nie chcąc mówić tego, co oczywiście: nic w tym pudełku nie przypominało jej męża.

– Tata sam się nie spakował – zauważyła Laura, a potem spojrzały na siebie i wybuchnęły dziwnym płaczośmiejem, który było słyhać, odkąd przyjechały.

– Mamo! – odezwała się Kennedy. – Weź się w garść!

W końcu Sarah i Flossie zgodziły się – po krótkiej dyskusji i małej kłótni – że zniosą pudełko do Zatoki Szaleńców, tak jak stało. Flossie podała je szwagierce, ale kiedy Sarah poczuła jego ciężar, oddała je. Nie doszłyby na plażę, gdyby musiała jeszcze targać prochy swojego męża.

Tylko ona ubrała się odpowiednio na tę okazję – w czarną koronkową sukienkę, którą zamówiła przez internet. Model Diane von Fürstenberg, dopasowana, z suwakiem z tyłu, wykończona rąbkiem w kształcie rybich łusek. Elegancka. W dodatku Sarah od dawna podziwiała Diane, która poślubiła księcia i postanowiła założyć własną firmę. To był wzór do naśladowania. Ale z butami jej nie wyszło – nie miały pięt i ślizgały się teraz na kamieniach, jakby podeszwy były z lodu. Sarah postanowiła poczekać, aż przejdą córki, Flossie, a nawet Kennedy z Lucy – Laura teraz szła pierwsza i niosła prochy Neila – a potem zdjęła buty

i wzięła je do ręki. Nie żeby inni mieli w ogóle prawo oceniać jej ubiór. Wspólnie uzgodniły, że Neil wolałby, aby to było nieformalne, rodzinne spotkanie, a porządną uroczystość zorganizują w czerwcu. Dzisiaj Flossie włożyła więc swój najlepszy strój do jogi – ten najmniej sprany – a Laura i Kennedy występowały w dżinsach i kurtkach.

Anne miała na sobie kuchenny uniform, spodnie w kratkę tak luźne, że wyglądały jak gacie od pizamy. Błękitna kurtka podkreślała kolor rudych włosów na tle nieba, loki burzyły się niesforne, przypominając Sarah, jak Neil wyglądał zawsze na plaży – z gołą głową, szczęśliwy.

Tylko Elly ubrała się tak, jak przystało na Bradfordównę – w krótką czarną spódnicę odsłaniającą nogi i wysokie czarne kozaki, dopasowaną zieloną marynarkę i szalik w paski.

Zresztą i tak nikt ich nie widział tutaj, w Zatoce Szaleńców, w listopadzie, na złotej plaży. Dlatego Sarah postawiła buty na dużym płaskim kamieniu i zanurzyła stopy w piasku.

Nigdy nie nauczyła się pływać. To Neila zawsze wysyłała na plażę z dziewczynkami, ale nigdy nie zdradziła im dlaczego: Sarah bała się widoku swoich córeczek w paszczy tej wielkiej wyjącej wodnej bestii, ich białych kończyn targanych w różnych kierunkach, małych foczych główek wyskakujących ponad wodę i znikających pod nią, aż Sarah drętwiała ze strachu, patrząc, jak bawią się z ojcem w oceanie.

Może kiedyś im się przyzna. Córki powinny wiedzieć, że matka czasami trzymała się z daleka nie dlatego, że ją nie interesowały, ale dlatego, że kochała je z czułością równą furii, chciała chronić i dbać o nie, tak jak o nią nikt nigdy nie dbał, a gdyby mogła, rozpostarłaby nad nimi pole siłowe miłości, by chroniło je przed wszystkimi troskami tego świata.

Laura otwierała już pudełko i siostry garściami wyrzucały prochy Neila na wiatr, by mieszały się z zielonymi falami. Najpierw z powagą, potem ze śmiechem, kiedy prochy kręciły się na wietrze niczym czarny dym. Trzy kobiety – tak różne i tak samo będące częścią Sarah, że czuła, jakby jej serce pękało, sklejało się i pękało na nowo, kiedy obserwowała, jak córki zatracają się w tej chwili, a ogromny piękny ocean rzuca im się do stóp.

Podziękowania

Mam szczęście, że wspiera mnie tak wielu dobrych ludzi, szczególnie mój mąż Dan. Pomaga mi wierzyć w siebie jako pisarkę nawet wtedy, kiedy z rozpaczy kładę głowę na biurku. Przygotowuje mi również tak pyszne posiłki, że pod koniec dnia zawsze czuję się nagrodzona, bez względu na to, jak poszło mi pisanie.

Moja matka uczyniła mnie czytelniczką zainspirowaną, by pisać. Kiedy dorastałam, czytała nieustannie różne gatunki, nigdy nie cenzurując tego, jakie książki wybieram ja. Mama jest moją pierwszą i najważniejszą krytyczką, ponieważ cenię jej szczerość i opinie. Jest również doskonałym nawigatorem, kiedy szukam lokalizacji do opisania.

Żyję i oddycham dla moich dzieci – Drew, Blaise’a, Taylora, Mai i Aidana – a ich niekończący się entuzjazm dla mojej pracy daje mi energię. Tak jak ich własne przygody, którymi na szczęście się ze mną dzielą.

Moja wielka rodzina – Cooksonowie, Boyle’owie, Schneiderowie i Robinsonowie – najlepsi kibice, jakich może mieć pisarz.

Susanna Einstein, moja agentka, zasługuje na ogromne podziękowania za sokoli wzrok, mądre uwagi i radosną gotowość do zajmowania się każdym książkowym projektem, jaki wymyślę – nawet tymi szalonymi. Tak bardzo cieszę się, że ją znalazłam.

W wydawnictwie Penguin Random House dziękuję mojej drogiej przyjaciółce i redaktorce Tracy Bernstein, która co dzień zaskakuje mnie z tylu powodów, że nie starczyłoby tu na nie miejsca. Kiedy Tracy była nieobecna, redaktorka Katherine Pelz zgodziła się pokierować tą książką na ostatnich etapach – za co jestem jej bardzo wdzięczna. Dziękuję również całej ekipie Berkley/New American Library, szczególnie Claire Zion i Frankowi Walgrenowi.

Oprócz mojej rzeczniczki Caitlin Valenziano chciałabym podziękować Rachel Tarlow Gul z Over the River Public Relations, która pomogła mi dotrzeć do czytelników. Mam szczęście znać wiele cudownych kobiet z pisarskiej społeczności. Przede wszystkim Emily Ferrarę. To dzięki niej poznałam Rockport i to ona na urodziny podarowała mi pisarski wyjazd, i jej piękny wiersz znalazł się w tej książce. Swoją przyjaźń i wsparcie ofiarowały mi również Susan Straight, Maddie Dawson i Toby Neal, niestrudzenie oceniające kolejne szkice tej powieści i dotrzymujące mi towarzystwa w trakcie pisarskich wyjazdów.

Dziękuję również innym pisarzom i redaktorom za wsparcie. Szczególnie jestem wdzięczna Karmie Brown, Elisabeth Elo, Amy Sue Nathan i Sonji Yoerg, a także Tall Poppy Writers, Girlfriends’ Book Club oraz księgarzom i czytelnikom, którzy wspierają autorów na całym świecie.

Przypisy

[1] Dogtown – opuszczona osada na Cape Ann w stanie Massachusetts (USA), obecnie w większości porośnięta lasami. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Żabia laska (ang. *pogo stick*) – wynaleziona w 1919 roku w USA urządzenie-zabawka do skakania, składająca się z drążka z uchwytem i podstawką na dole oraz sprężyny.

[3] Jeeves – fikcyjna postać kamerdynera, idealnego służącego z powieści i opowiadań P.G. Wodehouse'a.

[4] *Nada* (hiszp.) – nic.

[5] *Baleboste* (jidysz) – gospodyni domowa, szczególnie w tradycyjnym rozumieniu.

[6] *Mazel tow* (jidysz) – powodzenia, szczęścia.

[7] *Bubele* (jidysz) – dziecinko, czuły zwrot w odniesieniu do kobiety.

